

ŚLADY



ZBRODNI

LARS

KEPLER

ŁOWCA





CYKL Z KOMISARZEM JOONĄ LINNĄ

HIPNOTYZER

KONTRAKT PAGANINIEGO

ŁOWCA

L A R S

KEPLER

ŁOWCA

Przełożył ze szwedzkiego
Maciej Muszalski



WROCŁAW 2018

Tytuł oryginału
Kaninjägaren

Projekt okładki
HUMMINGBIRDS

Fotografia na okładce
© Love Lanner

Redakcja
IWONA GAWRYŚ

Korekta
JOLANTA PAWLAK

Redakcja techniczna
KRZYSZTOF CHODOROWSKI

Copyright © Lars Kepler 2016
Published by agreement with Salomonsson Agency

Polish edition © Publicat S.A. MMXVIII (wydanie elektroniczne)



jest znakiem towarowym Publicat S.A.

Publicat S.A.

61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24
tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00
e-mail: office@publicat.pl, www.publicat.pl

Oddział we Wrocławiu
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62
tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66
e-mail: wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl

SPIS TREŚCI

* * *

1. Piątek, dwudziesty szósty sierpnia

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28
29
30
31
32
33
34
35
36
37
38
39
40
41
42
43
44
45
46
47
48
49
50
51
52
53
54
55
56
57
58

59
60
61
62
63
64
65
66
67
68
69
70
71
72
73
74
75
76
77
78
79
80
81
82
83
84
85
86
87
88
89

90

91

92

93

94

95

96

97

98

99

100

101

102

103

104

105

106

107

108

109

110

111

112

113

114

115

Epilog

Jest wczesny poranek. Gładka powierzchnia fiordu błyszczy jak stal. Wszystkie luksusowe wille są pogrążone w drzemce, ale przez ogrodzenia i gałęzie widać połyskującą wodę w basenach i światła w przydomowych ogrodach.

Drogą wzdłuż plaży idzie pijany mężczyzna z butelką wina. Zatrzymuje się przed białym domem o długiej szklanej fasadzie zwróconej w stronę zatoki. Bardzo ostrożnie stawia butelkę na środku drogi, omija przydrożny rów, wdrapuje się na czarny metalowy płot i schodzi na teren posesji.

Chwiejnym krokiem przecina trawnik i przystaje. Patrzy na wielkie okna, odbicie światła werandy i ciemne kontury mebli w środku.

Idzie dalej w stronę willi, macha do półmetrowego porcelanowego krasnala, okrąża drewnianą ściankę, potyka się na werandzie i uderza w kolano, ale zaraz wstaje.

Woda w basenie lśni jak błękitny blok ze szkła.

Mężczyzna niepewnie staje na krawędzi, rozpina rozporek i zaczyna sikać do basenu. Zataczając się lekko, podchodzi do granatowych mebli ogrodowych i obsikuje poduszki, krzesła i okrągły stół.

Mocz paruje na zimnym powietrzu.

Mężczyzna zapina rozporek i patrzy na białego królika, który biegnie po trawniku i znika pod krzakiem.

Uśmiechnięty, wraca w kierunku domu, mija drzwi werandy, opiera się o ściankę, schodzi na trawnik, staje i się odwraca.

Jego zamglony umysł próbuje zrozumieć, co właśnie zobaczył.

Ktoś ubrany na czarno, o dziwnym kształcie twarzy, wbijał w niego wzrok.

Mógł stać w ciemnym domu albo być na zewnątrz i spoglądać na niego poprzez odbicie w szybie.

1 PIĄTEK, DWUDZIESTY SZÓSTY SIERPNIA

Z ciemnego nieba powoli siąpi mżawka. Matowe światło padające od strony zabudowań sięga trzydziestu metrów ponad dachami. Nie ma wiatru, a oświetlone krople tworzą nad Djursholm coś w rodzaju niewyraźnej kopuły.

Tuż przy połyskujących wodach zatoki Germania stoi wielka willa.

W środku, po lakierowanym parkiecie i dywanie perskim, czujnie jak zwierzę, chodzi młoda kobieta.

Nazywa się Sofia Stefansson.

Niepokój sprawia, że dziewczyna rejestruje każdy szczegół.

Na podłokietniku kanapy leży czarny pilot do telewizora. Ktoś okleił go przezroczystą taśmą, żeby nie odpadła tylna klapka. Na stole widać delikatne kręgi po szklankach. We frędzle dużego dywanu zaplątał się stary plaster.

Podłoga skrzypi, jakby za plecami Sofii ktoś się skradał.

Na jej butach na wysokim obcasie i umięśnionych łydkach widać plamy od kałuż z kamiennej ścieżki. Nogi nadal ma wyćwiczone, choć już od dwóch lat nie grała w piłkę.

Ukrywa w dłoni pojemnik z gazem łzawiącym, tak aby nie widział go ten, który na nią czeka. Powtarza sobie, że sama tak wybrała, że ma kontrolę nad sytuacją i chce być w tym miejscu.

Mężczyzna, który otworzył drzwi, stoi obok fotela i bezwstydnie wodzi za nią wzrokiem.

Sofia ma twarz o symetrycznych rysach, z dziecięco zaokrąglonymi policzkami. Jest ubrana w niebieską sukienkę z odkrytymi plecami. Rząd małych, obciągniętych materiałem guziczków biegnie od szyi w dół, między piersiami. Małe złote serduszko na łańcuszku podskakuje na jej grdyce pod wpływem przyspieszonego pulsu.

Wie, że może przeprosić i powiedzieć, że nie czuje się dobrze i musi jechać do domu.

Mógłby się zdenerwować, ale zaakceptowałby to.

Mężczyzna patrzy na nią smutno, z głodem w oczach, a pod wpływem tego spojrzenia strach znów trzepocze jej w brzuchu.

Nagle Sofii wydaje się, że już go kiedyś widziała. Że może to być jeden z szefów, który mignął jej w którejś pracy, albo ojciec dawnego kolegi z klasy.

Przystaje w pewnej odległości od niego. Czuje szybkie bicie serca. Zamierza zachować dystans, dopóki nie odczyta tonu głosu i ruchów.

Jego dłoń ściskająca oparcie fotela nie zdradza żadnych oznak brutalności – paznokcie są zadbane, a gładka obrączka wysłużona przez długie lata małżeństwa.

– Ładny dom – mówi Sofia i odgarnia lśniący kosmyk z twarzy.

– Dzięki – odpowiada mężczyzna, puszczać oparcie.

Ma nie więcej niż pięćdziesiąt lat, ale porusza się z ponurą ociężałością, jak stary człowiek w starym domu.

– Przyjechałaś tu taksówką? – Głośno przełyka ślinę.

– Tak – odpowiada Sofia.

Znów zapada cisza, nagle z sąsiedniego pokoju dobiegają dwa eteryczne uderzenia zegara z wahadłem.

Z rozkwitłej lilii w wazonie opada bezgłośnie szafranowy pyłek.

Sofia wcześniej zdała sobie sprawę, że kręca ją erotyczne sytuacje. Lubiła czuć się wybrana, doceniona, ale nigdy tak naprawdę w nikim się nie zakochała.

– Spotkaliśmy się już kiedyś? – pyta.

– Nie zapomniabym tego – odpowiada on z uśmiechem, w który m nie ma radości.

Jego siwiejące blond włosy są rzadkie i zaczesane do tyłu. Obwisła twarz lekko błyszczący, a na czole widnieje głęboka bruzda.

– Zbierasz dzieła sztuki? – Sofia wskazuje głową na ścianę.

– Interesuję się sztuką.

Jego jasne oczy spoglądają na nią zza okularów o rogowych oprawkach. Sofia się odwraca, ukradkiem chowa gaz łzawiący

z powrotem do torebki i podchodzi do dużego obrazu w złotej ramie.

Mężczyzna idzie za nią, staje odrobinę za blisko i oddycha przez nos. Sofia się wzdryga, kiedy on unosi prawą dłoń, żeby coś jej pokazać.

– Dziewiętnasty wiek... Carl Gustaf Hellqvist – mówi tonem wy kładu.
– Umarł młodo. Trudne życie, mnóstwo bólu i elektrowstrząsów... ale to był wspaniały malarz.

– Fascynujące – odpowiada cicho Sofia.

– Tak sędzę – stwierdza mężczyzna i rusza w kierunku jadalni.

Sofia podąża za nim w upiornym poczuciu, że oto powoli daje się zwabiać w pułapkę, że klapa zamyka się za nią, sennie i powoli, a obroty wielkich kół zębatych centymetr po centymetrze zmniejszają jej drogę ucieczki.

Na umeblowanie ogromnego pokoju z rzędami wychodzących na zatokę okien szczeblinowych składają się niepasujące do wnętrza fotele i lśniące szafy.

Na skraju owalnego stołu stoją dwa kieliszki z ciemnoczerwonym winem.

– Mogę zaprosić na kieliszek wina? – pyta mężczyzna i znów się do niej odwraca.

– Wołałabym białe, jeśli masz – odpowiada Sofia w obawie, że będzie próbował ją odurzyć narkotykami.

– Szampana? – Mężczyzna nie spuszcza z niej wzroku.

– Chętnie.

– No to napijemy się szampana – postanawia.

Wchodząc do obcego domu, człowiek kuli się w sobie, bo każdy pokój może być pułapką, a każdy przedmiot potencjalnym zagrożeniem.

Sofia woli hotele, bo tam ktoś może ją usłyszeć, gdyby wołała o pomoc.

Idzie za nim do kuchni, kiedy nagle słyszy dziwny dźwięk o bardzo wysokiej częstotliwości.

Nie sposób go zlokalizować. Mężczyzna najwyraźniej nie zwraca uwagi na ten odgłos, ale ona zatrzymuje się, rzuca spojrzenie w kierunku

ciemnych okien i już ma coś powiedzieć, kiedy rozlega się trzask, jakby pękającej kostki lodu w szklance.

– Jesteś pewien, że w domu nie ma nikogo? – pyta.

Przechodzi jej przez myśl, że gdyby coś się stało, mogłaby szybko zdjąć buty i pobiec do głównych drzwi.

Prawdopodobnie jest dużo zwinniejsza od niego – jeśli po prostu popędzi, zostawiając płaszcz na wieszaku, zdąży się wydostać.

Wciąż stoi w drzwiach kuchni, a on wyjmuje z lodówki butelkę bollingera.

Wyciąga korek, napełnia dwa smukłe kieliszki, czeka, aż piana opadnie, dolewa jeszcze trochę i podchodzi.

2

Sofia próbuje szampana, czuje smak rozchodzący się w ustach i słyszy delikatne musowanie w kieliszku. Coś sprawia, że jeszcze raz spogląda w kierunku rzędu okien. Może to sarna, myśli. Na dworze jest ciemno. Widzi w szybie odbicie kuchni i świecące kontury pleców mężczyzny. Gładką powierzchnię blatu, bloczek na noże i miskę cytryn.

Mężczyzna ponownie unosi kieliszek i pije, a jego dłoń minimalnie drży, kiedy wykonuje gest w jej kierunku.

– Rozepnij trochę sukienkę – odzywa się słabym głosem.

Sofia opróżnia kieliszek – widzi odcisk szminki na krawędzi – i odstawia go na stół. Potem płynnym ruchem wyjmuje pierwszy guzik z małej dziurki.

– Masz na sobie stanik – mówi mężczyzna.

– Tak – odpowiada Sofia, rozpinając drugi guzik.

– Jaki rozmiar?

– Sześćdziesiąt C.

Mężczyzna nie rusza się z miejsca i patrzy na nią z uśmiechem. Sofia czuje pod pachami szczypanie gromadzącego się potu.

– Jakie masz majtki?

– Błękitne, jedwabne.

– Mogę zobaczyć?

Sofia się waha, a on to zauważa.

– Przepraszam – mityguje się natychmiast. – Jestem zbyt bezpośredni, tak?

– Powinniśmy zacząć od spraw finansowych. – Sofia stara się, aby to zabrzmiało zdecydowanie i naturalnie.

– Rozumiem – odpowiada mężczyzna chłodno.

– Na początek lepiej...

– Dostaniesz pieniądze – przerywa z nutą irytacji w głosie.

Kiedy Sofia jest w towarzystwie stałych klientów, najczęściej

wszystko wydaje się proste, czasami nawet potrafi być miło, ale przy nowych zawsze czuje się potwornie zdenerwowana. Zaczyna myśleć o wszystkim, co się może wydarzyć, przypomina sobie rzeczy, które przeżyła, chociażby to, kiedy ojciec dwójki dzieci z Taby ugryzł ją w szyję i zamknął w garażu.

Umieszcza ogłoszenia na Rosa Sidan i Stockholmstjejer.se. Prawie wszyscy, którzy się z nią kontaktują, są niepoważni. Głównie ma do czynienia z wulgarnym językiem, obietnicami cudownego seksu, groźbami przemocy i kar.

Przed rozpoczęciem korespondencji zawsze słucha tego, co mówi jej przecucie. Ten list był dobrze napisany, konkretny, ale niepozbawiony szacunku. Mężczyzna przedstawił się jako Wille, miał zastrzeżony numer telefonu i mieszkał w modnej dzielnicy.

W trzecim mailu określił, co chce z nią zrobić i ile jest gotów zapłacić.

Potraktowała to jak ostrzeżenie.

Jeżeli brzmi za dobrze, to znaczy, że coś jest nie tak. W tym świecie nie krążą loteryjne losy, a nawet gdyby tak było, to lepiej przegapić fantastyczny interes, niż podjąć ryzyko.

A jednak tu przyszła.

Mężczyzna wraca i wręcza jej kopertę. Sofia szybko przelicza pieniądze i wkłada je do torebki.

– Tyle wystarczy za pokazanie majtek? – pyta Wille.

Dziewczyna uśmiecha się, jakby odpowiedź była oczywista, chwytając oburącz miękkiego materiału i powoli unosi sukienkę nad kolana. Skraj tkaniny trzaska o nylonowe rajstopy, kiedy wędruje w górę ud. W końcu Sofia przestaje i na niego patrzy.

Mężczyzna nie odwzajemnia spojrzenia, tylko gapi się między jej nogi, kiedy ona z ociąganiem podnosi sukienkę do talii. Pod rajstopami w bladym pudrowym kolorze jedwabny materiał majtek błyszczy jak masa perłowa.

– Jesteś wygolona? – Jego głos jest nieco bardziej schrypnięty.

– Wosk.

- Całkiem?
- Tak – odpowiada po prostu Sofia.
- Na pewno bolało? – pyta z zaciekawieniem mężczyzna.
- Można się przyzwyczaić.
- Jak do niejednego w życiu – szepcze Wille.

Sofia wypuszcza materiał i ociera z dłoni pot, wygładzając sukienkę na udach.

Choć dostała pieniądze, znowu zaczyna się denerwować.

Może z powodu wysokiej sumy.

Zapłacił pięć razy tyle, ile jakikolwiek klient do tej pory.

W mailu wyjaśnił, że dopłaca za dyskrecję i życzenie specjalne, ale kwota i tak znacznie przekracza rozsądną granicę.

Kiedy jej napisał, co chce zrobić, nie wydawało jej się, żeby to brzmiało szczególnie niebezpiecznie.

Pamiętała mężczyznę o przerażonym spojrzeniu, który przebierał się w bieliznę matki i chciał, żeby Sofia kopała go w krocze. Zapłacił, żeby go obsikała, kiedy leżał na podłodze i płakał z bólu, ale nie mogła. Po prostu wzięła pieniądze i wybiegła.

– Ludzi kręcą różne rzeczy – mówi Wille z zawstydzonym uśmiechem.
– Nie da się nikogo zmusić... No i wtedy trzeba płacić. To znaczy... nie liczę na to, że ci się spodoba to, co będziesz robiła.

– Bywa różnie, ale jeśli mężczyzna jest czuły, mogę odczuwać przyjemność – kłamie Sofia.

Wprawdzie w ogłoszeniu obiecuje pełną dyskrecję, ale mimo to ma jeden środek bezpieczeństwa. W domu trzyma dziennik. Zapisuje w nim nazwiska i adresy ludzi, z którymi postanowiła się spotkać, tak aby można ją było odnaleźć, gdyby zniknęła.

Poza tym Tamara miała już Willego – tuż przed tym, zanim odeszła ze świata escortingu, wyszła za mąż i przeprowadziła się do Göteborga. Na pewno umieściłaby ostrzeżenie na forum sex workerów, gdyby źle się zachowywał.

– Tylko nie myśl, że jestem paskudny i odrażający. – Mężczyzna robi

krok w jej stronę. To znaczy... jesteś niewiarygodnie piękna i młoda... a wiem, jak sam wyglądam. Wyglądałem dobrze, kiedy byłem w twoim wieku, ale...

– Dobrze wyglądasz – zapewnia Sofia.

Myśli o tych wszystkich razach, kiedy słyszała, że dziewczyny do towarzystwa muszą być jak psychologowie. Jednak większość mężczyzn, z którymi się spotyka, nie mówi nic osobistego.

– Przejdziemy do sypialni? – rzuca swobodnym tonem mężczyzna, który mówi o sobie Wille.

3

Sofia czuje, że chce jej się sikać, ale idzie za nim po szerokich drewnianych schodach. Cienkie mosiężne listwy przytrzymują miękki chodnik na każdym stopniu. Światło dużego żyrandola odbija się w lakierowanej poręczy.

Od początku zamierzała przyjmować tylko luksusowych klientów, gotowych płacić wyższe sumy za całą noc. Takich, którzy chcieli towarzystwa na przyjęciu albo w podróży.

W ciągu trzech lat, w czasie których dorabiała jako prostytutka, miała około dwudziestu zleceń tego typu, ale większości klientów chodziło po prostu o obciążenie po pracy, przed spotkaniem z rodziną.

Wielka sypialnia jest jasna i zdominowana przez okazałe podwójne łóżko z piękną jedwabną pościelą w szarym kolorze.

Po stronie żony leży powieść Leny Andersson i słoiczek luksusowej emulsji do rąk, a po stronie Willego – iPad z odciskami palców na ciemnym szkle.

Mężczyzna pokazuje jej przygotowane pasy z czarnej skóry, przywiązane do słupów łóżka. Sofia widzi, że nie są nowe – zagięcia są trochę popękane, a farba zaczęła się łuszczyć.

Pokój dwa razy drży i gwałtownie się obraca. Sofia patrzy na mężczyznę, ale on nie wygląda na przejętego.

W kącikach jego ust widać białe resztki pasty do zębów albo novalucolu, tabletek do żucia na zgagę.

Schody trzeszczą, mężczyzna odwraca spojrzenie w kierunku korytarza, a potem znów na nią patrzy.

– Muszę ci ufać i wiedzieć, że mnie rozwiążesz, kiedy zechcę – oznajmia, rozpinając koszulę. – Muszę mieć pewność, że nie będziesz próbowała mnie okraść albo nie zwiejesz z pieniędzmi.

– Jasne – odpowiada Sofia.

Jego klatkę piersiową pokrywają jasne włosy i widać wyraźnie, że

próbuję wciągać brzuch, kiedy czuje na sobie jej wzrok.

Sofia postanawia, że kiedy Wille będzie związany, powie, że chciałaby skorzystać z łazienki. Łazienka jest tuż obok sypialni. Drzwi są uchylone, a w lustrze widać prysznic na tle ściany ze złotą mozaiką.

– Chcę, żebyś mnie związała. Bez pośpiechu, bo nie lubię przemocy i przymusu – precyzuje mężczyzna.

Sofia kiwa głową i zdejmuje buty, po raz kolejny czuje lekki zawrót głowy, kiedy prostuje plecy i przez chwilę patrzy mu w oczy. Podnosi sukienkę do pępka. Naelektryzowany materiał trzaska. Sofia wkłada kciuki pod gumkę rajstop i je ściąga. Ucisk na udach znika, cienki materiał kłębi się wokół łydek.

– A może ty chcesz być związana? – pyta Wille i się śmieje z własnego pomysłu.

– Nie, dziękuję – odpowiada Sofia, zaczynając rozpinąć sukienkę.

– To całkiem wygodne – dodaje Wille żartem i szarpie pasy.

– Nie robię takich rzeczy – wyjaśnia grzecznie dziewczyna.

– Nigdy nie próbowałem na odwrót... Gdybyś się zdecydowała, mógłbym podwoić stawkę – dodaje ze śmiechem mężczyzna, jakby ta myśl go dziwiła i nakręcała.

Sofia wie, że klient proponuje więcej pieniędzy, niż ona zarabia w dwa miesiące, ale uznaje, że leżeć przywiązana do łóżka to stanowczo zbyt niebezpieczne.

– Co ty na to? – Wille się uśmiecha.

– Nie – odpowiada Sofia. Żałuje i jednocześnie czuje ulgę.

– Okej – mówi od razu Wille i wypuszcza z ręki pas.

Klamra grzechocze, kiedy pas odskakuje od szczebli u wezgowia łóżka.

– Chcesz, żebym zdjęła wszystko?

– Poczekaj chwilę – odpowiada i wpatruje się w nią osobliwie badawczym wzrokiem.

– Mogłabym skorzystać z łazienki?

– Zaraz. – Mężczyzna sprawia wrażenie, jakby wstrzymywał oddech.

Sofia czuje, że jej wargi są dziwnie chłodne. Kiedy podnosi rękę i próbuje dotknąć ust, spostrzega na jego twarzy szeroki uśmiech.

Wille podchodzi do dziewczyny, chwyta ją za podbródek, mocno przytrzymuje i spluwa jej prosto w twarz.

– Co ty robisz? – Sofii kręci się w głowie.

Nagle nogi się pod nią uginają. Siada na podłodze tak gwałtownie, że przygryza sobie język. Osuwa się na bok, czuje, że jej usta wypełniają się krwią, i widzi, że on stoi nad nią, rozpinając sztruksowe spodnie.

Nie ma siły odczołgać się na bok. Opiera policzek na podłodze i w kurzu pod łóżkiem dostrzega martwą muchę. Jej serce bije tak mocno, że aż szumi jej w uszach. Sofia domyśla się, że w jakiś sposób została odurzona narkotykami.

– Nie rób tego – dyszy, a potem zamyka oczy.

Zanim traci przytomność, uświadamia sobie, że on ją chyba zabije. Że ta chwila może być ostatnia w jej życiu.

4

Sofia kaszle i budzi się ze snu, w którym wydawało jej się, że tonie. Natychmiast do niej dociera, gdzie się znajduje. Jest przywiązana do łóżka w mieszkaniu mężczyzny, który mówi o sobie Wille. Leży na plecach, unieruchomiona naprężonymi skórzanymi pasami. Przypiął ją tak mocno, że mięśnie ramion i nóg są naciągnięte, w nadgarstkach Sofia czuje palący ból, a koniuszki jej palców są lodowate. W ustach ma kompletną suchość, język przestał krwawić, ale jest spuchnięty i obolały.

Sukienka podjechała do góry, kiedy siłą rozwarł jej uda.

To nie może być prawda, myśli Sofia.

Przewidział wszystkie jej reakcje i już wcześniej wsypał narkotyki do jednego z kieliszków w szafce.

Sofia słyszy głos dobiegający z sąsiedniego pokoju. To rozmowa utrzymana w urzędowym tonie. Mówi szef.

Próbuje podnieść głowę i wyjrzeć przez okno, zobaczyć, czy jest dzień, czy noc, ale jej się to nie udaje, ramiona nadal bardzo bołą.

Kiedy on wchodzi do sypialni, Sofia uświadamia sobie, że nie ma pojęcia, jak długo tu leży. Strach wypełnia jej serce jak trucizna. Czuje w głowie narastającą panikę. Krtań się zaciska, a puls łomocze.

To, co nie miało prawa się stać, właśnie się stało.

Sofia próbuje się uspokoić, przychodzi jej do głowy, że powinna nawiązać rozmowę, wytłumaczyć mu, że wybrał niewłaściwą dziewczynę, ale przymknie na to oko, jeśli on natychmiast ją wypuści.

Obiecuje sobie, że skończy z escortingiem. To już trwa za długo, a ona i tak bezsensownie trwoni pieniądze.

Mężczyzna patrzy na nią z takim samym głodem w oczach jak przedtem. Sofia próbuje zachować spokojny wyraz twarzy i myśli, że już od początku wiedziała, że z tą sytuacją jest coś nie tak. Ale zamiast się odwrócić i odejść, zignorowała przecucie. Popełniła katastrofalny błąd, zachowała się desperacko jak heroinistka.

– Odmówiłam – oznajmia opanowanym tonem.

– Tak. – Mężczyzna przeciągle się uśmiecha, wędrując wzrokiem po jej ciele.

– Znam dziewczyny, dla których to jest okej. Jeśli chcesz, mogę dać im kontakt do ciebie.

Wille nie odpowiada, oddycha tylko ciężko przez nos i staje przy łóżku pomiędzy jej nogami. Sofia zaczyna się pocić na całym ciele, przygotowuje się na agresję i ból.

– Zdajesz sobie sprawę, że to jest napaść, prawda?

Tym razem mężczyzna też nie odpowiada, podsuwa tylko wyżej okulary na grzbiecie nosa i przygląda jej się z zainteresowaniem.

– To dla mnie nieprzyjemne i krzywdzące – zaczyna znowu Sofia, ale milknie, kiedy łamie jej się głos.

Na siłę uspokaja oddech. Nie może wyglądać na przestraszoną, nie może błagać. Co zrobiłaby Tamara? Przypomina sobie piegowatą twarz przyjaciółki, jej szydrczy uśmiešek i harde spojrzenie.

– Mam twoje dane w notesie w moim mieszkaniu – oświadcza, patrząc mu w oczy.

– Jakie dane? – pyta Wille niezrażony.

– Twoje imię, które na pewno jest zmyślone, ale również twój adres domowy, mailowy, godzinę spotkania...

– Już rozumiem. – Kiwa głową.

Materac zaczyna się bujać, kiedy mężczyzna rusza ku niej na czworakach. Rozhuśtany zatrzymuje się pomiędzy jej udami, chwytając majtki i szarpie. Szwy trzeszczą, ale nie puszczają, a staw barkowy boli, jakby kość została wyrwana z panewki.

Mężczyzna znów szarpie, tym razem oburącz. Sofia czuje piekący ból, kiedy majtki wrzynają się w biodra, ale nakładane szwy wokół gumki nie dają za wygraną.

Wille szepcze coś do siebie i zostawia ją w łóżku.

Materac znów się buja, a Sofia czuje skurcz w mięśniu uda.

Przez głowę przemyka jej szybkie wspomnienie treningu piłkarskiego.

Pamięta zbliżający się skurcz, sztywność w łydce, kiedy próbowała wyciągnąć kępy sprasowanej trawy spomiędzy korków.

Pamięta rozgrzane, czerwone twarze koleżanek. Skrzypiącą drewnianą podłogę w przebieralni, zapach potu, maści i dezodorantu.

Jak wszystko mogło tak się potoczyć? Jak to się stało, że tu wylądowała? Ze wszystkich sił próbuje się nie rozplakać. Czuje, że gdyby pokazała, jak bardzo się boi, byłby to jej koniec.

Mężczyzna wraca z nożyczkami do paznokci, przecina majtki po obu stronach i ściąga je z niej.

– Jest wiele osób gotowych na *bondage* – mówi Sofia. – Znam...

– Nie chcę dziewczyn, które są gotowe – przerywa Wille i rzuca majtki obok niej na łóżko.

– Chodzi mi o to, że niektóre kręci wiązanie.

– Nie powinnaś była tu przychodzić – stwierdza on po prostu.

Sofia nie potrafi już dłużej się opanować i wybucha płaczem. Strach sprawia, że napina mięśnie grzbietu i zaczyna szarpać pasy, aż rozcina sobie skórę i po prawej ręce zaczynają spływać wąskie strużki krwi.

– Nie rób tego – prosi, szlochając.

Mężczyzna zdejmuje koszulę, rzuca ją na podłogę. Opuszcza lekko spodnie i wkłada prezerwatywę, jego członek jest w półwzwodzie.

Kłęka na łóżku i wpycha jej do ust strzępy majtek. Sofia czuje, że jego palce śmierdzą gumą. Robi jej się niedobrze, prawie wymiotuje. Ma suchy język, a po jej policzkach spływają łzy.

Wille ściska jej pierś przez sukienkę i kładzie się na niej całym ciężarem.

Sofia ze strachu popuszcza, czuje pod sobą gorący, rozlewający się strumień moczu.

Kiedy mężczyzna próbuje w nią wejść, dziewczyna szybko odwraca się na bok i uderza go biodrem.

Kropla potu skapuje z jego nosa na jej czoło.

Mężczyzna jedną ręką chwyta Sofię za szyję, patrzy na nią przeszywającym wzrokiem, zaciska dłoń i kładzie się na niej. Pod jego

ciężarem Sofia zapada się jeszcze głębiej w materac, a uda rozszerzają się jeszcze mocniej. Czuje palący ból w nadgarstkach i słyszy skrzypienie słupów łóżka.

Walczy o tlen, rzuca głową na boki, w końcu udaje jej się wciągnąć trochę powietrza przez nos.

On jeszcze mocniej ściska jej szyję, aż przed oczami stają jej małe punkciki. W pokoju robi się ciemno, Sofia czuje, jak mężczyzna próbuje w nią wejść. Ze wszystkich sił stara się odwrócić, ale nie może. Wie, że to i tak się stanie. Nie może zostać w ciele, musi myśleć o czymś innym, musi zniknąć. W głowie pojawiają się rozbłyśki wspomnień – mroźne wieczory na trawie, urywany oddech, mgiełka wokół ust, cisza przy jeziorze i w starej szkole w Bollstanas.

Trener wskazuje na piłkę, dmucha w gwizdek i robi się cicho.

Ucisk na szyi ustaje. Sofia kaszle, wypluwa majtki i wciąga powietrze. Mruga i słyszy melodię wygrywaną przez jakiś mechanizm.

Mężczyzna znów klęka. Ona ciężko dyszy, pali ją twarz.

Ktoś dzwoni do głównych drzwi.

On chwytą ją za brodę, mocno ściska usta i znowu wypycha do nich majtki. Sofia zaczyna się dławić, oddycha przez nos, nie może przełknąć śliny.

Dzwonek do drzwi rozlega się ponownie.

Mężczyzna spluwa na nią, a potem wstaje z łóżka, zapina spodnie, bierze koszulę i wychodzi.

Gdy tylko znika za drzwiami, Sofia zaczyna z całej siły szarpać prawą ręką. Nie myśli o konsekwencjach ani o bólu.

Ból jest straszliwy, ale udaje jej się uwolnić rękę.

Nie krzyczy tylko dlatego, że w ustach ma majtki.

Huczy jej w głowie, prawie traci przytomność, cała drży z bólu. Kość kciuka może być złamana, może palec wyskoczył ze stawu. Sofia czuje, że jej skóra jest jak zniszczona rękawiczka, a kiedy wyciąga majtki z ust, po ramieniu spływa jej krew.

Jęcząc głośno, desperacko próbuje rozpiąć klamrę, która trzyma lewą

rękę. Palce się ślizgają, ale daje radę wyciągnąć blaszkę z dziurki. Szybko przeciąga pasek przez pętlę, siada i uwalnia stopy.

Wstaje, chwieje się na nogach, przykładając uszkodzoną rękę do brzucha i zaczyna iść po grubym dywanie. Z szoku i bólu szumi jej w głowie, stopy są zdrętwiałe, a zimny i mokry materiał sukienki klei się do pośladków.

Sofia ostrożnie wychodzi z sypialni, wymyka się na korytarz, którym niedawno odszedł mężczyzna.

Kiedy dociera do schodów, przystaje. Słyszy dobiegający z dołu inny głos i uświadamia sobie, że powinna zawołać o pomoc. Nie słyszy, co mówi drugi mężczyzna. Ostrożnie podchodzi bliżej. Na poręczy schodów wiszą ubrania z pralni. Przez cienką folię widać stos takich samych białych koszul.

Sofia delikatnie odchrząkuje, żeby krzyknąć, kiedy nagle dociera do niej, co się dzieje.

Drugi mężczyzna nie jest na dole. Jego głos dobiega z domofonu. To kurier, który stoi przed bramą i chce, żeby go wpuścić. Wille powtarza, że zaraz wróci, przerywa połączenie i rusza z powrotem w kierunku schodów.

Sofia chwieje się, ale utrzymuje równowagę. Stopy mrowią i pieką, kiedy wraca krążenie krwi.

Idzie z powrotem, a podłoga skrzypi pod jej nogami. Rozgląda się i kawałek dalej spostrzega większy pokój. Na ścianach wiszą malowane portrety. Powinna tam pobiec, otworzyć okno i krzyknąć o pomoc, ale dochodzi do wniosku, że nie zdąży.

5

Sofia szybko przemyka wzdłuż ściany, mija schody i dociera do wąskich drzwi garderoby. Naciska klamkę i ciągnie.

Drzwi są zamknięte.

Ostrożnie puszcza klamkę i jednocześnie we wszystkich kryształach żyrandola dostrzega odbicie mężczyzny wchodzącego po schodach.

Jeszcze chwila i będzie na górze.

Sofia idzie z powrotem w kierunku schodów i opada na podłogę przy poręczu, gdzie zasłaniają ją koszule z pralni. Wie, że jeśli mężczyzna spojrzy w jej stronę, zobaczy ją, ale jeśli po prostu przejdzie obok, będzie miała kilka sekund przewagi.

Ból ręki jest tak silny, że przyprawia ją o dreszcze, a szyja i krtań są opuchnięte. Sofia czuje, że powinna odkaslnąć, odchrząknąć, napić się wody.

Schody skrzypią, Wille idzie ciężkim, zmęczonym krokiem. Sofia widzi go między słupkami balustrady i ostrożnie się odsuwa.

Patrzy, jak mężczyzna wchodzi, chwytając poręcz i rusza korytarzem. Wkracza do sypialni, ale nie zauważa kropel krwi na podłodze.

Sofia ostrożnie wstaje, rzuca spojrzenie na opalony kark i plecy Willego, który zaraz potem znika za drzwiami.

Bezgłośnie obchodzi poręcz i zaczyna zbiegać po schodach.

Wie, że zawrócił, że już ją goni.

Dudniące kroki się zdwajają.

Sofia osłania zdrową ręką zranioną dłoń. Ścisną krwawiące, obolałe palce.

Myśli tylko o tym, że musi zdążyć wybiec z domu. Biegnie przez przestronny hol i słyszy za sobą wyraźne skrzypienie schodów.

– Nie mam na to czasu! – krzyczy mężczyzna.

Sofia bezszelestnie sunie po wąskim dywaniku w stronę drzwi. Potyka się o parę butów, ale nie traci równowagi.

Przy drzwiach jarzy się wyświetlacz alarmu przeciwwłamaniowego.

Jej dłoń jest tak mokra od krwi, że pokrętko wyślizguje się z palców. Sofia wyciera ręce o sukienkę i próbuje jeszcze raz, pokrętko ani drgnie. Naciska klamkę i popycha drzwi barkiem, ale są zamknięte. Gorączkowo szuka wzrokiem kluczy i jednocześnie znów próbuje przekręcić zamek.

W końcu daje za wygraną, wraca i przez otwarte podwójne drzwi wbiega do salonu.

W innym pokoju coś uderza o podłogę. Po parkiecie toczy się jakiś metalowy przedmiot.

Sofia odsuwa się od wielkich okien. Szkło połyskuje czernią, jej odbicie jest jak sylwetka na tle jaśniejszej ściany.

Słyszy, że mężczyzna nadchodzi z przeciwnej strony. Wycofuje się i chowa za jednym ze skrzydeł drzwi.

– Wszystkie drzwi są zamknięte – mówi głośno Wille, wchodząc do salonu.

Sofia wstrzymuje oddech, serce łomocze jej w piersi. Drzwi lekko skrzypią. Mężczyzna zatrzymuje się w progu. Sofia widzi go w szczelinie przy zawiasach – jego otwarte usta i spocone policzki.

Jej nogi znów zaczynają drżeć.

Wille wychodzi zza drzwi, robi kilka kroków, przystaje i nasłuchuje. Sofia stara się być cicho, ale jej przerażony oddech i tak jest za bardzo słyszalny.

– Już mam dosyć tej zabawy – oznajmia mężczyzna, mija ją i idzie dalej. Sofia słyszy, że jej szuka – otwiera i zamyka drzwi. Krzyczy, że chce z nią tylko porozmawiać.

Słychać skrzypienie jakiegoś mebla, a potem zapada kompletna cisza.

Sofia słyszy swój własny oddech, posępne tykanie zegara, ciche potrzaskiwanie parkietu i nic więcej.

Tylko grobową, pełną rozpaczony ciszę.

Czeka jeszcze chwilę, próbuje usłyszeć kroki skradającego się mężczyzny, wie, że to może być pułapka, ale mimo wszystko opuszcza kryjówkę, bo prawdopodobnie to jej jedyna szansa. Przekrada się do

salonu. Wszystko jest ciche i spokojne, jakby pogrążone w stuletnim śnie. Zbytkowne meble i ich bliźniacze rodzeństwo odbite w szybach. Jej postać w świetle żyrandola o szklanych ramionach.

Podchodzi do jednego z krzeseł stojących wokół błyszczącego stołu i próbuje je podnieść, ale czuje, że jest o wiele za ciężkie. Chwyta je zdrową ręką za oparcie i ciągnie do dużej szyby w drzwiach na werandę. Zmusza się, żeby chwycić oparcie także uszkodzoną ręką, i jęczy z bólu.

Podnosi mebel oburącz, podbiega dwa kroki, obraca się i z krzykiem rzuca.

Krzeseło uderza w drzwi i spada na podłogę. Wewnętrzna szyba się tłucze, szklane odłamki zasypują cały parkiet. Jeden kawałek szkła pozostaje oparty o niestłuczoną szybę.

Rozlega się ogłuszający ryk alarmu przeciwłamaniowego.

Sofia znów chwyta krzesło, nie zważając na to, że rani się w stopy. Już ma rzucić nim w szybę po raz drugi, kiedy dostrzega, że mężczyzna idzie w jej stronę z korytarza.

Wypuszcza z rąk krzesło, rusza prosto do wielkiej kuchni, omiata wzrokiem białe deski podłogowe i blaty ze stali nierdzewnej.

Mężczyzna spokojnym krokiem podąża za nią.

Przez głowę przemyka jej wspomnienie zabawy z dzieciństwa, w której trzeba było uciekać: bezsilność, kiedy się czuje, że nie ma już szans na ucieczkę, bo przeciwnik jest tak blisko.

Sofia opiera się o blat i niechcący rzuca na podłogę okulary i dziwną bransoletkę.

Nie wie, co robić. Patrzy na zamknięte drzwi na werandę, a potem podchodzi do wyspy kuchennej, na której stoją dwa lśniące rondle. Trzęsącymi się dłońmi szarpie za szuflady, ciężko dyszy, w końcu zauważa rząd noży.

Mężczyzna wchodzi do kuchni. Sofia wyciąga jeden z noży, odwraca się w stronę Willego i cofa. On wlepia w nią wzrok i bierze w obie ręce pokryty sadzą trójzębny pogrzebacz z kaflowego pieca. Sofia, drżąc, wymierza w mężczyznę nóż kuchenny o szerokim ostrzu i w tej samej

chwili zdaje sobie sprawę, że nie ma żadnych szans.

Wie, że tym ciężkim narzędziem on zatłucze ją na śmierć.

Alarm ciągle wyje, pocięte szklanymi odłamkami stopy bolą, a w zranionej dłoni brakuje czucia.

– Proszę, przestań – wysapuje Sofia, wycofując się w kierunku wyspy kuchennej. – Wrócimy do łóżka, obiecuję. Już jest okej.

Pokazuje nóż, odkłada go na stalowy blat i próbuje się uśmiechnąć.

– I tak cię zatłukę – odpowiada mężczyzna.

– Nie musisz tego robić. – Sofia czuje, że traci kontrolę nad twarzą.

– Poważnie cię uszkodzę – mówi on i unosi pogrzebacz.

– Proszę, poddaję się, ja...

– To twoja wina – przerywa mężczyzna, a potem nieoczekiwanie upuszcza pogrzebacz. Narzędzie uderza o białą podłogę, brzęczy i nieruchomieje. Wirujące drobinki sadzy wzbijają się w powietrze.

Mężczyzna uśmiecha się, zdziwiony, i opuszcza wzrok na krwawe kółko rosnące mu na piersi.

– Co, kurwa – mówi szeptem, szuka ręką oparcia, nie trafia w blat i chwieje się na nogach.

Na środku jego białej koszuli pojawia się kolejna plama. Czerwone plamy rozkwitające na jego ciele wyglądają jak stygmaty.

Wille przyciska dłoń do piersi, niepewnym krokiem rusza w stronę sypialni, a potem nagle zatrzymuje się i odwraca zakrwawiony spód dłoni. Wydaje się przestraszony jak ucniak i próbuje coś powiedzieć, ale opada na kolana.

Krew bryzga na podłogę przed nim.

Alarm pulsuje niestrudzenie.

W wypolerowanym na błysk rondelku do gotowania makaronu widać całą kuchnię w wykrzywionej panoramie.

Na tle jasnej firanki w drzwiach na werandę Sofia widzi mężczyznę. Jego głowa ma dziwny kształt.

Przybysz stoi na szeroko rozstawionych nogach i trzyma oburącz pistolet.

Czarna kominiarka zakrywa mu całą twarz oprócz ust i oczu. Wzdłuż policzka wiszą kosmyki włosów albo sztywne paski materiału.

Wille znów przyciska dłoń do piersi, ale krew przecieka mu przez palce i spływa po rękę.

Sofia, drżąc, odwraca się i patrzy prosto na mężczyznę z bronią. Ten nie przestaje celować w Willego, ale teraz trzyma pistolet tylko jedną ręką, a drugą szybko podnosi z podłogi dwie łuski.

Potem biegnie i mija dziewczynę, jakby nie istniała, odsuwa pogrzebacz kopniakiem wojskowego buta, chwytając Willego za włosy, odchyła mu głowę i przystawia lufę do prawego oka.

To egzekucja, myśli Sofia i jak we śnie idzie do kuchni, uderza biodrem w blat, przesuwa dłońią po krawędzi. Mija obu mężczyzn, czuje dreszcz na plecach, zaczyna biec i nagle ślizga się w kałużę krwi. Jej stopy się rozjeżdżają. Zamiera w powietrzu, a potem uderza plecami i tyłem głowy o podłogę.

Wszystko dookoła robi się czarne, ale potem Sofia znów otwiera oczy.

Widzi, że mężczyzna jeszcze nie wystrzelił, wylot lufy nadal miękko przylega do zamkniętego oka Willego.

Czuje palący ból i dudnienie z tyłu głowy.

Jej wzrok traci ostrość, jakby pole widzenia się wygięło. To coś przy policzku mężczyzny, co przed chwilą wyglądało jak grube skórzane paski, teraz nagle przypomina mokre pióra i skołtunione włosy.

Sofia zamyka oczy, mocno kręci jej się w głowie, a potem, wśród wysokich dźwięków alarmu, słyszy głosy.

– Czekaj, czekaj – prosi Wille. Jego oddech jest przyspieszony. – Wydaje ci się, że wiesz wszystko, ale tak nie jest.

– Wiem, że Ratjen otworzył drzwi, a teraz...

– Kto to jest Ratjen? – przerywa Wille, dysząc.

– A teraz piekło pochłonie was wszystkich – kończy zamaskowany mężczyzna.

Zapada cisza i Sofia znów otwiera oczy. Ma wrażenie, że wszystko dziwnie zwolniło.

Zamaskowany mężczyzna patrzy na zegarek i mówi coś szeptem do Willego.

Wille nie odpowiada, ale wygląda, jakby rozumiał. Krew cieknie mu z brzucha, spływa między jego nogi i zbiera się w kałużę na podłodze.

Sofia widzi, że jego okulary leżą bardzo blisko niej obok porysowanej podstawy wyspy kuchennej, a jeszcze bliżej jest przedmiot, który wzięła za bransoletkę.

Teraz rozumie, że to alarm osobisty – małe stalowe pudełeczko z dwoma przyciskami, umieszczone na pasku od zegarka.

Zamaskowany mężczyzna stoi w zupełnym bezruchu i spogląda na swoją ofiarę.

Sofia ostrożnie przesuwając rękę, chwytając alarm, chowa go przy sobie i kilka razy wdusza przyciski.

Nic się nie dzieje.

Mężczyzna puszcza włosy Willego, ale wciąż trzyma lufę przy jego prawym oku. Odczekuje krótką chwilę, a potem naciska spust.

Rozlega się szcęk zamka. Głowa Willego zostaje odrzucona do tyłu, a z ciemienia tryska krew. Kawałki czaszki i szarej tkanki bryzgają na podłogę, dolatują aż do jadalni i spadają na oparcia krzeseł, stół i miskę z owocami.

Sofia czuje ciepłe krople skapujące na jej wargi i jednocześnie zauważa, jak łuska po naboju, grzechocząc, toczy się po podłodze.

W powietrzu zawisa szary dym, a ciało opada na podłogę jak wór trocin i mokrego materiału. Nieruchomieje.

Zamaskowany mężczyzna się pochyla, żeby podnieść z podłogi łuskę, a wtedy zegarek zsuwa mu się na grzbiet dłoni.

Intruz staje na szeroko rozstawionych nogach nad ciałem, nachyla się, przykładając lufę pistoletu do drugiego oka Willego, przekrzywia głowę, żeby odgarnąć z twarzy mokre paski materiału, i jeszcze raz naciska spust.

6

Pierwsze dźwięki służbowego szyfrowanego telefonu to część snu o strumyku płynącym przez bujnie porośnięty krajobraz. Sekundę później Saga Bauer zostaje wyrwana ze snu i wstaje z łóżka, nie zauważając, że ściągnęła za sobą kołdrę na podłogę.

W samych majtkach podbiega do szafki na broń, wybierając numer, którego zdążyła się nauczyć na pamięć. Światło ulicznych latarni pada przez listewki żaluzji na chropowatą skórę jej nóg i nagie plecy.

Szybko otwiera solidne stalowe drzwi i wysłuchuje telefonicznych instrukcji, a jednocześnie wyciąga czarną torbę, wkłada do kabury glocka 21 i pięć dodatkowych magazynków.

Saga Bauer pracuje jako komisarz operacyjny w szwedzkiej policji bezpieczeństwa Säpo i działa w grupie antyterrorystycznej.

Dźwięk, który ją obudził, oznacza, że został nadany sygnał Platyna.

Biegnie do przedpokoju, słucha ostatnich wskazówek, rozłącza się i wrzuca telefon do torby.

Musi się spieszyć.

Wciąga czarny skórzany kombinezon na gołe ciało, czuje chłodną skórę na plecach i piersiach, wciska nagie stopy w wysokie buty i zdejmuje z półki kask, ciężką kamizelkę kuloodporną oraz rękawice.

Nie traci czasu na zamykanie drzwi, po prostu wychodzi z mieszkania, schodzi po schodach, otwiera drzwi, podciąga zamek błyskawiczny pod brodę, wkłada kask i pośpiesznie wsuwa do środka kilka kosmyków jasnych włosów.

Na Tavastgatan stoi brudny motocykl Triumph Speed Triple z wgniecionym zderzakiem, porysowanymi crash padami i zepsutym starterem. Saga podbiega do niego, otwiera kłódkę i pozwala jej upaść razem z ciężkim łańcuchem na asfalt. Wsiada, odpala silnik i jedzie przez pogrążone w mroku miasto najszybciej, jak to możliwe.

Niebo ma kolor stłumionej szarości – powoduje to oświetlenie miasta

przenikające przez drobne kropelki deszczu.

Bauer ignoruje światła i znaki stopu, przyspiesza i przy Bastugatan wyprzedza taksówkę.

Czuje wibracje motoru po wewnętrznej stronie kolan i ud, a kask sprawia, że ryk silnika brzmi, jakby dochodził spod wody.

Komisarz Saga Bauer ma metr siedemdziesiąt wzrostu i muskulaturę baletnicy. Przez długi czas była jedną z najlepszych pięściarek w północnej Europie, ale od kilku lat już nie bierze udziału w zawodach.

W wieku dwudziestu dziewięciu lat nadal jest olśniewająco piękna, może nawet piękniejsza niż kiedykolwiek; ma jasną cerę, długą szyję i błękitne oczy.

Większość ludzi, którzy spotykają ją po raz pierwszy, ogarnia wewnętrzna słabość, jakby coś w nich pękało.

Saga zostawia po sobie pustkę, jak po nieszczęśliwej miłości.

Koledzy już się do tego przyzwyczaili – tak jak można się przyzwyczać do pięknej siostry.

Sama nie myśli zbyt często o wyglądzie i w ogóle nie zauważa, że w jej towarzystwie mężczyźni i kobiety uśmiechają się i rumieniają.

Niewiele rzeczy denerwuje ją tak bardzo, jak to, kiedy ktoś mówi, że Saga wygląda jak rusałka albo disneyowska księżniczka.

Z zamyślenia wyrывa ją foliowy woreczek unoszący się na wietrze.

Saga dociera do Söder Malärstrand i skręca ostro w prawo. Podnózek drapie o asfalt, ale udaje jej się utrzymać tor jazdy, wjechać pod Centralbron i dalej pod górę, drogą wyjazdową z autostrady.

Po raz pierwszy jest świadkiem tego, że w trudnej sytuacji zostaje ogłoszony kod Platyna.

Wie, że ta sprawa ma teraz priorytet wyższy niż wszystkie inne.

Kiedy mija Gamla stan, a potem wieże i wąskie uliczki Riddarholmen, czuje się jak we wnętrzu ciemnej lampy.

Była szkolona pod kątem podobnych scenariuszy i wie, że w tej fazie oczekuje się od niej samodzielnego działania, bez oglądania się na obowiązujące przepisy.

Dostrzega smutne ceglane budynki szpitala Karolinska, wyjeżdża na E4, wyciska ostatnie poty z trzycylindrowego silnika swojej dziewięćsetki, osiągając prędkość dwustu dwudziestu kilometrów na godzinę. Mija Roslagstull i skręca w lewo w kierunku uniwersytetu.

Zimne powietrze ją uspokaja, pozwala powtórzyć w myślach wszystkie informacje i ułożyć pierwszą strategię operacyjną.

Zjeżdża z autostrady, na końcu zakrętu dodaje gazu i rusza ulicą Vendevägen w kierunku dzielnicy Djursholm, obfitującej w soczystą zielen i duże wille. Na wyłożonych kamieniami podjazdach stoją mokre samochody. Spomiędzy drzew owocowych i krzewów prześwitują połyskujące turkusowo przydomowe baseny.

O wiele za szybko wjeżdża na rondo i natychmiast odbija w prawo. Zanim umysł rejestruje zaparkowany samochód, mięśnie działają automatycznie i Saga robi ostry zakręt. Prawie się wywraca, ale udaje jej się skontrolować ciężarem ciała. Z trzaskiem potrąca wielki plastikowy kosz na śmieci, ale w końcu odzyskuje panowanie nad motocyklem i dodaje gazu.

Czuje przyspieszone bicie serca.

Tuż za zakrętem, pod osłoną wysokiego żywopłotu ktoś zaparkował srebrnego jaguara. Na szczęście jej motocykl ma niski punkt ciężkości i reaguje błyskawicznie.

Prawdopodobnie właśnie to ją uratowało.

Kiedy wchodzi w szeroki zakręt pomiędzy willami i jedzie wzdłuż wody, przelotnie zauważa wielkie łodzie. Kładzie się mocno na lewym boku i jeszcze bardziej przyspiesza na prostym odcinku drogi przez park.

7

Kiedy Saga dojeżdża pod podany adres, zwalnia, miękko skręca w prawo na wąską drogę zjazdową i się zatrzymuje.

Pozwala motocyklowi upaść na trawę przy drodze, obok upuszcza kask i rusza przed siebie.

Jednocześnie wkłada kamizelkę kuloodporną i zapina kaburę.

Od momentu, kiedy obudził ją telefon, minęło trzynaście minut.

Z domu dobiega wycie alarmu.

Przez głowę przelatuje jej trwająca sekundę tęsknota za komisarzem Jooną Linną. Nad swoją największą jak dotąd sprawą Saga pracowała u jego boku.

Raz go zawiodła, zrobiła jedyną rzecz, jakiej nie powinna była robić, ale wszystko naprawiła i ma pewność, że jej wybaczył.

On sam twierdził, że w ogóle nie ma czego wybaczać.

Stracili kontakt, kiedy trafił do więzienia. Chętnie by się z nim spotkała, ale wie, że komisarz musi zbudować sobie życie od nowa. Nie będzie mu łatwo przekonać pozostałych więźniów, że jest jednym z nich.

Teraz zaś nadano kod Platyna i Saga Bauer jest sama.

Nikt inny z policji bezpieczeństwa nie przyjechał jeszcze na miejsce.

Saga wdrapuje się na ogrodzenie, przechodzi na drugą stronę i biegnie do drzwi willi. Wkłada do zamka wytrych, a potem wąską końcówkę pistoletu do otwierania zamków. Przyciska kilka razy, przesuwając końcówkę wyżej w szczelinie, aż wreszcie bolec puszcza i można wykonać obrót.

Drzwi otwierają się z głuchym kliknięciem.

Saga rzuca narzędzia na ziemię, wyciąga glocka, odbezpiecza go i popycha drzwi. Wycie alarmu zagłusza wszystkie inne dźwięki.

Zabezpiecza wejście i duży przedpokój, potem szybko wraca do centrali alarmowej przy drzwiach i wystukuje kod, którego się nauczyła

na pamięć.

Przez dom przetacza się cisza, zostawiająca po sobie złowieszczy ciężar.

Z uniesionym pistoletem i palcem na spuście Saga idzie korytarzem, mija schody na piętro i wkracza do dużego salonu. Zabezpiecza skrzydła drzwi i ścianę po prawej i pochyłona rusza dalej przed siebie.

Jedna z dużych szyb z tyłu domu jest stłuczona. Na podłodze, wśród połyskujących odłamków szkła, leży krzesło.

Saga podchodzi do otwartych drzwi kuchni i widzi siebie, odbitą i zwielokrotnioną w licznych szklanych elementach.

Krew i fragmenty czaszki bryznęły z kuchni, ochlapały podłogę, fotele i niski stolik biblioteczny.

Saga omiata pistoletem otoczenie, ostrożnie rusza naprzód i stopniowo dostrzega coraz większą część kuchni, białe szafki i blaty ze stali nierdzewnej.

Przystaje i nadstawia uszu.

Słychać delikatne tykanie, jakby ktoś siedział nieruchomo i stukał paznokciem o blat.

Saga celuje w otwarte drzwi kuchni, bezgłośnie przesuwa się w bok i widzi mężczyznę leżącego na plecach na podłodze.

Zauważa przestrzelone oczy i brzuch.

Brakuje zaokrąglenia z tyłu głowy.

Ręce leżą wzdłuż tułowia, jakby mężczyzna się opalał.

Saga unosi broń w kierunku, z którego padły strzały, i przeszukuje kuchnię.

Firanki przed drzwiami na werandę poruszają się na wietrze. Kółka na karniszu stukają o siebie.

Po pierwszym strzale w głowę krew chlapnęła daleko na podłogę i została rozniesiona przez gołe stopy.

Siady wiodą prosto do Sagi.

Szybko się odwraca, omiata bronią pokój i idzie z powrotem w stronę podwójnych drzwi do salonu.

Nagle wzdryga się, bo kątem oka zauważa człowieka wypełzającego

z kryjówki za kanapą.

Robi obrót, a w tej samej chwili człowiek wstaje. Okazuje się, że to kobieta w niebieskiej sukience. Stawia niepewny krok. Saga celuje pomiędzy jej piersi.

– Ręce na kark! – krzyczy. – Na kolana, na kolana!

Utrzymując linię strzału, biegnie przed siebie.

– Proszę – mówi szeptem kobieta i upuszcza alarm osobisty na podłogę.

Chce pokazać, że ma puste ręce, ale Saga nadbiega z boku i kopie ją pod kolanem, tak mocno, że kobieta traci grunt pod nogami i z hukiem uderza o podłogę, najpierw biodrem, a potem policzkiem i skronią.

Saga staje nad nią, bije po lewej nerce, przystawia jej pistolet do tyłu głowy, przytrzymuje prawym kolanem i jeszcze raz lustruje pokój.

– Jest tu ktoś jeszcze?

– Tylko człowiek, który strzelał. Wszedł do kuchni – odpowiada kobieta i usiłuje zaczerpnąć tchu. – Skończył strzelać i poszedł...

– Cicho – przerywa Saga.

Szybko odwraca kobietę na brzuch i wykręca jej ręce do tyłu. Ta poddaje się wszystkiemu z nieprzyjemną uległością. Saga krępuje jej poranione nadgarstki opaską zaciskową, gwałtownie wstaje, mija ciało mężczyzny i wchodzi do kuchni.

Firanki wydymają się na wietrze.

Saga celuje przed siebie, robi krok nad brudnym od sadzy pogrzebaczem, zabezpiecza kuchnię po lewej stronie, okrąża wyspę i podchodzi do przesuwanych drzwi.

W szybie widnieje okrągła dziura wykonana piłą diamentową, a drzwi są otwarte. Haczyki do firanek grzechoczą pod wpływem wpadającego do wnętrza wieczornego powietrza. Saga wychodzi na taras, opuszcza broń i celuje w trawę, pomiędzy rabatki.

Woda jest nieruchoma, panuje cisza.

Ktoś, kto dostaje się do domu w taki sposób i przeprowadza modelową egzekucję, nie pozostaje na miejscu zbrodni.

Saga wraca do kobiety, okręca jej nogi opaską zaciskową, siada i przyciska kolanem jej krzyż.

– Potrzebuję odpowiedzi na kilka pytań – mówi spokojnie.

– Nie jestem w to zamieszana, po prostu się tu znalazłam, nic nie widziałam – odpowiada kobieta szeptem.

Saga odruchowo opuszcza jej sukienkę, zakrywając goły tyłek, a potem się podnosi. Wie, że wkrótce przed domem stanie pięć SUV-ów i do środka wpadną funkcjonariusze policji bezpieczeństwa.

– Ilu było sprawców?

– Tylko jeden. Widziałam tylko jednego.

– Możesz go opisać?

– Nie wiem, miał na twarzy maskę. Czarne ubranie, rękawiczki. Wszystko działo się tak szybko, myślałam, że mnie też zabije, myślałam...

– Okej, chwileczkę – rzuca Saga.

Podchodzi do zwłok. Okrągła twarz jest w na tyle dobrym stanie, że nie ma problemów z identyfikacją. Saga wyjmuję służbowy szyfrowany telefon, oddala się nieco i dzwoni do szefa policji bezpieczeństwa. Jest noc, ale on czekał na tę rozmowę i odbiera natychmiast.

– Minister spraw zagranicznych nie żyje – mówi Saga.

8

Siedem minut później w ogrodzie i w domu roi się od członków grupy specjalnej Säpo, znanej pod popularną nazwą Electrolux – u jej początków leży żart, którego nikt już nie pamięta.

W ciągu dwóch lat Säpo bardzo mocno zwiększyła bezpieczeństwo władz centralnych dzięki ochronie i nowoczesnym alarmom osobistym. Naciskając oba przyciski jednocześnie i przytrzymując je ponad trzy sekundy, kobieta uruchomiła kod Platyna.

Miejsce zbrodni jest ogrodzone, trzy strefy wokół okręgu sztokholmskiego zostały objęte ścisłym nadzorem, postawiono też blokady dróg.

Zjawia się Janus Mickelsen, podaje Sadze rękę i przejmuje dowództwo nad operacją w budynku. Saga szybko zdaje mu relację.

Janus emanuje wdziękiem wyniszczonego hipisa. Ma jasnorude kręcone włosy i zarost. Saga uważa, że wygląda jak *peace and love*. Wie jednak, że zanim wylądował w Säpo, był zawodowym żołnierzem. Brał udział w operacji Atalanta i stacjonował u wybrzeży Somalii.

Janus umieszcza w drzwiach agenta, choć zwyczajowa lista osób, które były na miejscu zbrodni, nie zostanie sporządzona. Tym razem nie powstaną żadne dokumenty, z których da się wyczytać, kto przebywał w willi po morderstwie. Kiedy obowiązuje kod Platyna, nikt nie może później sprawdzić, kto wiedział o tych wydarzeniach albo został o nich poinformowany, a kto nie.

Dwóch funkcjonariuszy idzie prosto do młodej kobiety leżącej na boku. Kobieta ma ręce i nogi skrępowane opaską zaciskową. Jej oczy są czerwone od płaczu, a na skroni widać pionowy ślad tuszu.

Jeden z mężczyzn klęka przy niej i wyjmuje strzykawkę z ketaminą. Kobieta zaczyna się trząść ze strachu. Przytrzymywana przez drugiego funkcjonariusza, dostaje zastrzyk w szyję, prosto w żyłę.

Jej policzki robią się czerwone, odchyła głowę, napina mięśnie,

a potem się rozluźnia.

Saga widzi, jak mężczyźni rozcinają opaski, zakładają maskę tlenową na nos i usta, przenoszą nieprzytomną kobietę do worka na zwłoki i zasuwiają zamek błyskawiczny. Wynoszą bezwładne ciało do czekającej furgonetki, która pojedzie do Spinnhuset.

Czwórka pozostałych członków ekipy pracuje już pełną parą nad oględzinami miejsca zbrodni i dokładną dokumentacją. Fachowo zdejmują odciski palców i butów, katalogują zdjęcia plam, dziur po kulach i kątów padania strzałów, zbierają ślady biologiczne, włókna tkanin, włosy, płyny ustrojowe, kawałki kości, mózgu, odłamki szkła i drewna.

– Żona i dzieci ministra są w drodze do domu – oznajmia Janus. – Samolot ląduje na Arlandzie o ósmej piętnaście. Do tego czasu ma tu być czysto.

Członkowie grupy wiedzą, że muszą przyswoić wszystkie informacje za jednym razem, bo drugiej szansy nie będzie.

Saga wchodzi po skrzypiących schodach i kieruje się do sypialni ministra spraw zagranicznych. W pokoju unosi się woń potu i moczu. Z czterech słupów łóżka zwisają skórzane pasy. Pościel jest zachlapana krwią.

W słabym świetle gabloty widać leżący na komodzie pejcz. Za szybą na półce bezgłośnie obraca się rolex, a obok niego breguet.

Saga się zastanawia, czy żona ministra wiedziała o wizytach prostytutek.

Pewnie nie.

A może po prostu nie pytała.

Z biegiem lat człowiek dochodzi do wniosku, że jest w stanie znieść wiele pęknięć w obrazie samego siebie i nadal kurczowo trzymać się tego, co mimo wszystko daje poczucie bezpieczeństwa.

Ona sama przez wiele lat była w związku z pianistą jazzowym Stefanem Johanssonem, który w końcu ją zostawił.

Przeprowadził się do Paryża, gra w zespole i jest zaręczony.

Saga wie, że niełatwo z nią wytrzymać, że ma wybuchowy temperament i w niektórych sytuacjach zdarza jej się przesadzić z reakcją.

Dużo pracuje i jedyne zbliżenie od czasu separacji zdarzyło się, kiedy Stefan przyjechał na tournée do Szwecji. Zadzwoił do niej późnym wieczorem, a ona pozwoliła mu u siebie przenocować. Wiedziała, że on nie zostawi dla niej narzeczonej, ale mimo to zgodziła się pójść z nim do łóżka.

Wraca piętro niżej, do podziurawionych kulami zwłok w kuchni.

Światło reflektorów odbija się w stopniach z ryflowanego aluminium. Saga ma wrażenie, że stoi na srebrnym moście ponad krwawym chaosem.

Długo patrzy na zwrócone ku górze dłonie, żółte zgrubienie pod obrączką, plamy potu na koszuli pod pachami.

Ekipa wokół niej pracuje w pośpiechu i w ciszy. Filmują i katalogują wszystko w iPadzie, w trójwymiarowym układzie współrzędnych. Włosy i włókna tkanin z maszynową precyzją zostają przyklejone taśmą do przezroczystych arkuszy folii, a tkanki i fragmenty czaszki – umieszczone w probówkach, a potem schłodzone, żeby zapobiec namnażaniu się bakterii.

Żadne próbki nie zostają wysłane do Krajowego Centrum Ekspertyz Kryminalistycznych w Linköpingu, bo w takich sytuacjach Säpo korzysta z własnego laboratorium.

Saga podchodzi do drzwi i werandy i patrzy na okrągły otwór wycięty w trzech warstwach szkła.

Dopiero kiedy w okno uderzyło krzesło, zareagowały akustyczne detektory stłuczenia szyby oraz czujniki magnetyczne i został uruchomiony alarm.

Sprawca nie mógł rzucić krzesłem.

Saga myśli o przerażonej twarzy kobiety, poranionych nadgarstkach, woni uryny.

Czyżby dziewczyna była tu więziona?

Dwóch mężczyzn pokrywa podłogę dużymi płatami schłodzonej folii i przyciska je szerokim gumowym wałkiem.

Informatyk ostrożnie zawija w folię bąbelkową twardego dysk z kamer monitoringu i wkłada pakunek do przenośnej lodówki.

Janus jest zestresowany – zaciska szczęki, jego brwi są prawie białe, a piegowate czoło mokre od potu.

– Cholera jasna... co ty na to? – pyta i staje obok.

Podłoga jest zachlapaną krwią z brzucha ministra spraw zagranicznych.

Pocisk wystrzelony z pistoletu porusza się z prędkością około siedmiuset kilometrów na godzinę i zostawia czarną obwódkę wokół rany wlotowej. Na koszuli widać dwa blade okręgi – ślady prochu.

Najpierw dwa strzały z dystansu, a potem dwa kolejne, z bardzo bliska.

Saga pochyla się nad ciałem, patrzy na rany wlotowe w oczodołach i dostrzega, że wokół ran nie ma wgłębień.

– Użył tłumika – stwierdza szeptem.

Musiał to być tłumik ograniczający powylotowy błysk wystrzału, bo nie wykryto dziury po gazach prochowych. W przeciwnym razie gazy dostałyby się pod skórę i uformowałyby lejkowaty kształt wylotu lufy.

Tak to zwykle wygląda.

Saga wstaje i odstepuje na bok, żeby przepuścić technika. Ten podchodzi do zmarłego i rozciąga na jego twarzy folię. Przyciska ją do rany po kuli, żeby zebrać cząsteczki z czarnej obwódki. Następnie zaznacza na folii markerem środek rany wlotowej.

– Po śmierci przewrócono go na brzuch, a potem znów na plecy – mówi Saga.

– Dlaczego? – Technik szczyrzy zęby w uśmiechu. – Dlaczego ktoś miałby...

– Zamknij się – przerywa mu Janus.

– Chcę zobaczyć jego plecy – oświadcza Saga.

– Rób, co ona mówi.

Wszyscy czują, że czas powoli się kończy. Coraz bardziej zdenerwowani, wkładają dłonie denata w woreczki i umieszczają obok otwarty worek na zwłoki. Ostrożnie unoszą ciężkie ciało i kładą je w środku na brzuchu. Saga patrzy na szerokie rany wylotowe na plecach i papkę w otworze z tyłu głowy.

Przygląda się podłodze, na której leżał, widzi dziury po dwóch ostatnich strzałach i dociera do niej, dlaczego ciało zostało przewrócone na brzuch.

– Sprawca zabrał kule.

– Nikt tak nie robi – mruczy Janus.

– Użył pistoletu półautomatycznego z tłumikiem... Oddał cztery strzały, z czego dwa były śmiertelne – odpowiada Saga.

Postawny mężczyzna chodzi wśród ciemnych mebli w salonie i rozpyla po tkaninach hungarian red, środek do wykrywania śladów krwi, a inny technik stawia fotel z powrotem w czterech zagłębieniach, które się utworzyły w dywanie.

– Kończcie! – krzyczy Janus, klaszcząc w dłonie. – Za dziesięć minut czyścimy dom, a najwyżej za godzinę będą tu szklarz i malarz.

Wychodzą, a postawny mężczyzna demontuje aluminiowe stopnie schodków. Zaraz potem do domu wkracza ekipa, która dezynfekuje wnętrze trzaskającą pianą, wydzielającą intensywny zapach chloru.

Sprawca nie tylko zabrał łuski, ale kiedy wył alarm, a policja była w drodze, wydłubał pociski z podłogi i ze ścian. Nawet zawodowy morderca z pierwszej ligi nie zrobiłby czegoś takiego.

Przeprowadził wszystko perfekcyjnie, a jednak zostawił świadka. Nie mógł nie zauważyć, że na miejscu zbrodni ktoś jest i go obserwuje.

– Pojadę porozmawiać ze świadkiem – oznajmia Saga i jednocześnie myśli, że kobieta musi być we wszystko zamieszana.

– Wiesz, że już mamy tam naszych ekspertów – mówi Janus.

– Sama muszę zadać pytania – odpowiada Saga i rusza do motocykla.

9

Na początku zimnej wojny, kiedy go wybudowano, schron w Katarinaberget był największym schronem przeciwatomowym na świecie. Dziś cały kompleks jest używany jako parking, a dawna maszynownia służy do zasilania awaryjnego i wentylacji.

Maszynownia to oddzielny budynek w skale, przy samym schronie.

Teraz dysponuje nim Säpo.

To tutaj mieści się tajny areszt zwany Spinnhuset, a głęboko w starych basenach na lód odbywają się przesłuchania opatrzone wysoką klasą bezpieczeństwa.

Nadal jest wczesny poranek, kiedy Saga mija Slussen na swoim brudnym motorze. Jedzie prosto z miejsca zbrodni w Djursholm i od przeпоconego skórzanego kombinezonu czuje zimno między piersiami. Wjeżdża pod okrągłe sklepienie przy stacji benzynowej i skręca do garażu na dole. Akustyka się zmienia, warkot silnika wraca ku niej.

Pod żółtą poręczą, od której płatami odpada farba, są zebrane śmieci, a z lejkowatego głośnika zwisają luźne kable.

Blachy położone na szerokiej szczelinie w podłodze dudnią pod kołami, kiedy Saga mija ogromne przesuwane drzwi schronu i wokół rozchodzi się fala dźwiękowa.

Zjeżdża po betonowej rampie, ale jej myśli krążą wokół nierozwiązanej zagadki.

Jeśli kobieta była zamieszana w zabójstwo, dlaczego włączyła alarm osobisty i została na miejscu zbrodni?

Jeżeli nie była zamieszana, dlaczego sprawca nie zlikwidował świadka?

Z perspektywy Säpo ta kobieta stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa, bez względu na to, czy była w to zamieszana, czy po prostu znalazła się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

Saga, ostrożnie hamując, zjeżdża spiralą do garażu.

Tożsamość świadka została zweryfikowana. Kobieta nazywa się Sofia Stefansson i wydaje się, że dorabiała jako prostytutka, choć nikt jeszcze tego nie potwierdził.

Opierają się tylko na jej słowach i skąpej dokumentacji, którą znaleźli u niej w mieszkaniu.

Saga oczywiście nie wyklucza, że mogła ją zwerbować jakaś grupa terrorystyczna.

Może była tylko przynętą, może sfilmowano ją w łóżku z ministrem spraw zagranicznych, żeby go później szantażować?

Ale w takim razie dlaczego został zamordowany?

Saga puszcza hamulec i skręca na najniższy poziom, czterdzieści metrów pod ziemią.

Z chrzęstem mija pojedyncze zaparkowane samochody. Kiedy przejeżdża przez środkową część parkingu, wokół motocykla wzbija się czerwony pył. Parkuje i podchodzi do niebieskich drzwi, odpornych na działanie fali detonacyjnej.

Przeciąga legitymację przez nowoczesny czytnik, wystukuje dziewięciocyfrowy kod i czeka kilka sekund. W końcu drzwi się otwierają i Saga staje przed bramką.

Po raz drugi okazuje dokumenty i zostaje wpuszczona przez strażnika, który zabiera jej broń i klucze. Po przejściu przez skaner rentgenowski typu AIT wychodzi drugimi drzwiami.

W pokoju dla personelu, wyposażonym w mały aneks kuchenny, siedzi Jeanette Fleming – psycholog i ekspert od przesłuchań z Säpo. Jest piękną kobietą w średnim wieku, a jej włosy w kolorze ciemnego blondu są obcięte krótko, po męsku.

Jeanette, jak zwykle elegancko ubrana, je sałatkę z plastikowego pojemnika. Pokrywka leży obok na stole.

– Nie próbuję cię poderwać, ale jesteś niewiarygodnie piękna – mówi, wtykając plastikowy widelec w sałatkę. – Za każdym razem udaje mi się to stłumić... To coś w rodzaju instynktu samozachowawczego.

Wstawia resztę sałatki do lodówki i idzie z Sagą korytarzem w stronę

wind.

– Jak tam twoje odwołanie? – pyta Saga.

– Dostałam kategorię odmowę.

– To przykre.

Jeanette czekała osiem lat, aż jej mąż uzna, że nadeszła pora na dziecko. Potem ją zostawił. Przez trzy lata próbowała internetowych randek, aż w końcu złożyła w radzie regionu podanie o sztuczne zapłodnienie.

– Nie wiem, może pojedę do Danii... choć przecież chcę, żeby dziecko mówiło po szwedzku – żartuje i staje obok Sagi w kabinie windy.

Naciska guzik najniższego piętra, drzwi się zamykają i maszyna rusza z hukiem.

– Czytałam tylko pierwszy raport w telefonie – mówi Saga.

– Byli stanowczo zbyt brutalni dla tej dziewczyny. Przestraszyli ją i zamknęła się w sobie – odpowiada Jeanette. – Ale najwyraźniej rozkazano im grać ostro.

– Kto? Od kogo wyszedł rozkaz?

– Nie wiem.

Szybko zjeżdżają w dół szybu. Światło z kabiny pada na chropowatą skalną ścianę. Mruga, kiedy przelatuje przez nie przeciwwaga, szybko znikająca w górze.

– Sofia boi się kolejnej dawki bólu... Potrzebuje kogoś, kto jej wysłucha, kto ją ochroni.

– A kto tego nie potrzebuje. – Saga się uśmiecha.

Zjeżdżają na sam dół i szybkim krokiem idą korytarzem o gołych ścianach. Na takiej głębokości panuje spokojna szarość.

Wersja Sofii Stefansson została poparta przez koronera, który stwierdził w jej krwi duże stężenie szybko działającego środka nasennego o nazwie Flunitrazepam. Kobieta miała rany na nadgarstkach i kostkach, a także siniaki po wewnętrznej stronie ud, a odcisk jej dłoni znajdował się na krześle, którym stłuczono szybę.

Jeżeli mówi prawdę, to zgodnie z ustawą o zakazie kupna usług

seksualnych należy ją uznać za ofiarę. Została wykorzystana i pobita przez klienta, toteż przysługuje jej pomoc policji i psychologa. Ponieważ jednak istnieje możliwość, że jest także zamieszana w poważną działalność terrorystyczną, lokuje ją to poza powszechnie stosowanymi przepisami i zasadą pewności prawa.

– Myślę, że na początek najlepiej będzie, jeśli zaczekam w dyspozytorni – mówi Jeanette.

Saga Bauer wystukuje kod i otwiera drzwi do dawnego basenu z lodem.

W dużym, pozbawionym okien pomieszczeniu pali się jaskrawe światło, a kamera przemysłowa rejestruje wszystko, co się dzieje.

Basen jest tak naprawdę przeznaczony na dwieście ton lodu, który w razie wojny atomowej ma zapobiec nadmiernemu wzrostowi temperatury spowodowanemu ciepłem ludzkich ciał.

Sofia Stefansson stoi w dziwnej pozycji na foliowej płachcie. Ręce ma związane w łokciach i wykręcone za plecy. Większość ciężaru ciała jest wsparta na linie podpiętej do deski pod suwnicą. Jej ramiona są mocno napięte, głowa opuszczona, a przetłuszczone włosy skrywają twarz.

10

Saga podchodzi do Sofii, sprawdza, czy kobieta żyje, i wyjaśnia, że zamierza ostrożnie opuścić ją na ziemię, ale byłoby dobrze, gdyby Sofia spróbowała jej pomóc nogami.

Zbliża się do podnośnika, zwalnia blokadę i zaczyna kręcić korbą. Urządzenie stuka, a Sofia powoli opada. Jedna noga ugina się pod nią w dziwny sposób.

– Postaw pięty na podłodze i się zaprzyj! – woła Saga.

Sofia ma poranione kostki. Saga myśli o zakrwawionych pasach zamocowanych na słupach łóżka na piętrze.

Najpierw tam, a potem tu na dole, bez jakiegokolwiek kontaktu ze światem zewnętrznym, bez żadnego wyjaśnienia.

Sofia leży na boku na folii. Oddycha cicho, resztką sił. Bez makijażu wygląda młodziej, może być naprawdę bardzo młoda. Jej powieki są opuchnięte, a siniaki na szyi mają ciemniejszy kolor.

Kiedy Saga uwalnia jej ręce z materiałowych pęt, Sofia drży i napina mięśnie.

– Nie rób mi krzywdy – dyszy. – Proszę, ja nic nie wiem.

Saga podchodzi do ściany, podciąga wolną linę z powrotem pod sufit i stawia krzesło dla Sofii.

– Jestem komisarz Saga Bauer, pracuję w Säpo.

– Wystarczy – szepcze Sofia. – Proszę, już nie mogę.

– Posłuchaj mnie, Sofio... Nie wiedziałam, że tak cię tu potraktowali, bardzo mi przykro, porozmawiam o tym z szefem – zapewnia Saga.

Sofia lekko unosi głowę nad podłogą. Policzki ma mokre od płaczu, zabrano jej całą biżuterię, a mokre od potu brązowe włosy okalają pobladłą twarz.

W ramach specjalistycznych szkoleń Saga próbowała kiedyś tortury zwanej waterboardingiem, ale nie wierzy w jej skuteczność.

Patrzy na wiadro ze ścierką w krwawej wodzie i myśli, że jedynym, co

zdradzają tortury, są tajemnice torturującego.

Odkręca butelkę wody mineralnej, pomaga Sofii się napić i daje jej kawałek czekolady.

– Kiedy będę mogła wrócić do domu? – pyta szeptem Sofia.

– Nie wiem – odpowiada Saga tonem ubolewania. – Najpierw musimy dostać odpowiedzi na kilka pytań.

– Już wszystko powiedziałam. Nie zrobiłam nic złego, nie wiem, dlaczego tutaj jestem. – Sofia płacze.

– Wierzę ci, ale muszę wiedzieć, dlaczego byłeś w tym domu.

– Wszystko już powiedziałam – mówi piskliwie Sofia.

– Opowiedz mi – prosi Saga łagodnym głosem.

Sofia ostrożnie podnosi zeszywniałe ręce, żeby otrzeć łzy.

– Pracuję jako dziewczyna do towarzystwa i on się ze mną skontaktował.

– Jak? Jak się z tobą skontaktował?

– Wysłał maila z odpowiedzią na moje ogłoszenie i napisał, co go interesuje.

Młoda kobieta powoli siada, bierze jeszcze kawałek czekolady, wkłada go do ust i przeżuwa.

– Miałaś przy sobie gaz łzawiący. To twój zwyczaj? – pyta Saga.

– Tak, chociaż ludzie w większości są mili i delikatni... Mogę powiedzieć, że więcej problemów mam z tymi, którzy się we mnie zakochują, niż z brutalami.

– Ale nikt nie wie, dokąd pojechałaś, w razie gdybyś potrzebowała pomocy?

– Wpisuję nazwisko i adres do takiej książki... a Tamara, moja najlepsza przyjaciółka, miała go już jako klienta... i nie było żadnych problemów.

– Jakie nazwisko nosi ta Tamara?

– Jensen.

– Gdzie mieszka?

– Przeprowadziła się do Göteborga.

– Masz jej numer telefonu?

– Tak, ale nie wiem, czy jest aktualny.

– Czy jeszcze jakieś twoje przyjaciółki pracują jako dziewczyny do towarzystwa?

– Nie.

Saga przesuwając się o kilka kroków, patrzy na Sofię i myśli, że dziewczyna raczej mówi prawdę na temat swojej pracy.

Nic nie podważa jej słów, nawet jeśli tak niewiele je potwierdza.

– Co wiesz o swoim kliencie?

– Nic... Bardzo dobrze płacił za to, żeby go przywiązywać do łóżka – odpowiada Sofia.

– Przywiązywałaś go do łóżka?

– Dlaczego pytacie o to samo? Nie rozumiem. Ja nie kłamię. Po co miałabym kłamać?

– Opowiedz tylko o tym, co naprawdę się wydarzyło. – Saga próbuje nawiązać z Sofią kontakt wzrokowy.

– Odurzył mnie narkotykami i przywiązał do łóżka.

– Jak wyglądało?

– Było duże. Nie pamiętam za dobrze. Jakie to ma znaczenie?

– O czym rozmawialiście?

– O niczym, on coś tam przynudzał.

Technicy przejrzyli jej komputer, telefon i notatnik z adresami. Nic nie wskazywało na to, by wiedziała, że jej klient był szwedzkim ministrem spraw zagranicznych.

Saga patrzy na napięte usta i zmęczoną twarz dziewczyny. Po raz kolejny przychodzi jej do głowy, że Sofia wręcz za dobrze trzyma się swojej pierwotnej historii. Jakby unikała konkretnych szczegółów, żeby nie przyłapano jej na kłamstwie.

– Czy kiedy tam przyjechałaś, przed bramą stał jakiś samochód?

– Nie.

– Co powiedział przez domofon, kiedy zadzwoniłaś? – pyta Saga.

– Nie wiem, kim on jest – oznajmia Sofia łamiącym się głosem. –

Domyślam się, że jest bogaty i ważny, ale nic więcej nie wiem. Mówił o sobie Wille, ale często się zdarza, że klienci nie używają prawdziwych imion.

Sadze przechodzi przez myśl, że jeśli Sofia należy do jakiejś radykalizowanej grupy i sympatyzuje z ich celami, do niczego się nie przyzna. Jeśli jednak została oszukana albo zwerbowana siłą, może się otworzyć.

– Słucham cię, Sofio, jeśli chcesz mi coś powiedzieć... Już wiem, że nikogo nie zabiłaś, i dlatego myślę, że mogę ci pomóc. Ale żebyś mogła to zrobić, muszę znać prawdę.

– Jestem o coś oskarżona? – pyta Sofia martwym głosem.

– Byłaś przy tym, jak mordowano ministra spraw zagranicznych, leżałaś przywiązana do jego łóżka, rozbiłaś krzesłem szybę w jego domu, poślizgnęłaś się na jego krwi.

– Nie wiedziałam – szepcze Sofia, blednąc.

– Dlatego potrzebuję kilku odpowiedzi... Rozumiem, że zostałaś oszukana albo zmuszona do wszystkiego, ale chciałabym od ciebie usłyszeć, na czym polegało twoje zadanie wczorajszego wieczoru.

– Nie miałam żadnego zadania, nie rozumiem, o co ci chodzi.

– Jeżeli nie będziesz ze mną współpracowała, nie mogę nic dla ciebie zrobić. – Saga wstaje z krzesła.

– Nie idź, proszę. – W głosie Sofii nabrzmiewa desperacja. – Próbuję ci pomóc, daję słowo.

11

Kiedy Sofia prosi, żeby nie zostawiać jej samej, Saga podchodzi do drzwi i kładzie dłoń na klamce.

– Jeżeli tobie albo twojej rodzinie coś grozi, możemy wam pomóc – mówi i otwiera drzwi. – Możemy wam załatwić bezpieczne lokum, postarać się o nową tożsamość dla was. Poradzicie sobie.

– Nie rozumiem... Kto nam niby zagraża? Dlaczego miałby... To jakieś wariactwo!

Saga po raz kolejny jest skłonna się zgodzić, że Sofia mogła po prostu znaleźć się w niewłaściwym miejscu.

Ale w takim razie pozostaje pytanie, dlaczego zawodowy morderca miałby zostawiać przy życiu świadka.

Jeżeli ona naprawdę jest świadkiem, musiała zobaczyć coś, co posunie śledztwo naprzód.

Podczas wcześniejszych przesłuchań nie potrafiła podać rysopisu sprawcy. Wciąż tylko powtarzała, że jego twarz była zakryta i że wszystko działo się tak szybko.

Saga wie, że musi ją skłonić do przypominania sobie szczegółów, bo takie drobiazgi potrafią pociągnąć za sobą większe fragmenty i pozwalają przywołać w pamięci spostrzeżenia wyparte przez szok.

– Widziałaś mordercę. – Saga się odwraca.

– Ale miał na głowie kominiarkę, przecież mówiłam.

– Jaki miał kolor oczu? – pyta Saga i znów zamyka drzwi.

– Nie wiem.

– Jaki miał nos?

Sofia kręci głową, jej warga pęka i zaczyna krwawić.

– Minister został zastrzelony, ty się odwróciłaś i zobaczyłaś mordercę z bronią w ręku.

– Chciałam tylko stamtąd uciec, zaczęłam biec, przewróciłam się i znalazłam alarm, który...

– Chwileczkę – przerywa Saga. – Musisz mi powiedzieć, jak wyglądał zabójca, kiedy się odwróciłaś i na niego spojrzałaś.

– Trzymał pistolet oburącz.

– W ten sposób? – Saga pokazuje chwyt oburęczny.

– Tak, ale patrzył prosto przed siebie, jakby mnie nie dostrzegał... Nie obchodziło go, że tam jestem, nie wiem, czy w ogóle mnie zauważył, wszystko trwało kilka sekund, stał za moimi plecami, ale podbiegł, chwycił za włosy...

Sofia milknie i marszczy czoło, jakby naprawdę widziała przed sobą opisywane wydarzenia.

– Trzymał *go* za włosy? – pyta łagodnym głosem Saga.

– Po drugim strzale Wille upadł na kolana, a morderca trzymał go za włosy, przycisnął mu pistolet do oka. Nie wiem, to było tak nierealne.

– Mocno krwawił, prawda?

– Potwornie.

– Był przestraszony? – pyta dalej Saga.

– Wyglądał na przerażonego – odpowiada Sofia. – Chciał mieć więcej czasu i mówił, że to pomyłka, krwawił z szyi, więc trudno go było zrozumieć, ale próbował powiedzieć, że to pomyłka, że on powinien być pozwolić mu przeżyć.

– Co dokładnie powiedział?

– Powiedział, że... „Myślisz, że wiesz wszystko, ale tak nie jest”... I wtedy morderca powiedział... zupełnie spokojnie, że... Ratjen otworzył drzwi... Moment, to było tak: „Ratjen otworzył drzwi... i piekło pochłonie wszystkich... was wszystkich”. Tak powiedział.

– Ratjen?

– Tak.

– Czy to możliwe, że to było jakieś inne imię?

– Nie... to znaczy... tak to brzmiało.

– Czy odniosłaś wrażenie, że minister spraw zagranicznych wie, kim jest Ratjen?

– Nie. – Sofia zamyka oczy.

- No, przypomnij sobie. Co jeszcze powiedział?
 - Nic. Nie słyszałam nic więcej.
 - Co miał na myśli, mówiąc, że Ratjen otworzył drzwi?
 - Nie wiem.
 - Czy to Ratjen ma to zrobić? Sprowadzić piekło na wszystkich? – Saga podnosi głos.
 - Proszę.
 - Jak ci się wydaje? – pyta Saga.
 - Nie wiem. – Sofia ociera łzy z policzków.
- Saga szybkim krokiem rusza do drzwi. Słyszy krzyki Sofii, która zapewnia ją, że nie wie.

12

Twarz szofera jest nieruchoma, kiedy mężczyzna zerka w lusterko wsteczne, żeby się upewnić, że eskortujący ich samochód nadal jedzie tuż za nimi.

Odgłos silnika wewnątrz specjalnie skonstruowanego dla premiera volva brzmi jak przyjemny pomruk.

Przed rokiem policja bezpieczeństwa zdecydowała, że premier będzie jeździł opancerzonym i wzmocnionym wozem, który waży prawie cztery tony, ma dwanaście cylindrów i moc czterystu pięćdziesięciu trzech koni mechanicznych. To samochód, który może jechać na wstecznym biegu z prędkością ponad stu kilometrów na godzinę. Jego szyby są tak skonstruowane, żeby zatrzymać pociski o wysokiej energii kinetycznej.

Premier siedzi z tyłu na szerokiej skórzanej kanapie, a kciuk i palec wskazujący jego lewej dłoni spoczywają na zamkniętych powiekach. Granatowy garnitur jest rozpięty, a czerwony krawat zwisa krzywo na piersi.

Obok niego siedzi Saga Bauer w skórzanym kombinezonie motocyklowym. Nie zdążyła się przebrać, po nocy i poranku jest jej ciepło. Miałaby ochotę opuścić suwak aż do pępka, ale nie robi tego, bo pod kombinezonem jest naga.

Z przodu po prawej stronie siedzi szef Säpo – Verner Sandén. Prawą dłonią chwycił oparcie fotela i się odwrócił, żeby widzieć premiera w czasie zdawania relacji z szybkich działań Säpo. Niskim głosem opisuje wszystko w kolejności chronologicznej – od momentu, kiedy Saga wyruszyła, przez ustawianie blokad drogowych, po przyspieszone oględziny miejsca zbrodni i napływające nieprzerwanie raporty techników.

– Willa jest doprowadzona do porządku, nie ma ani śladu po tym, co tam się działo w nocy – podsumowuje Verner.

– Myślami jestem z tą rodziną – mówi cicho premier, odwraca głowę

i patrzy przez okno.

– Nie informujemy ich; to wszystko jest oczywiście objęte klauzulą najwyższej tajności.

– Twierdźcie, że sytuacja jest poważna. – Premier jednocześnie pisze SMS-a.

– Tak, jest kilka szczególnych okoliczności, które sprawiły, że chcieliśmy się spotkać natychmiast.

– Ale, jak wiecie, dziś wieczorem mam jechać do Brukseli, więc w sumie nie mam na to czasu – odpowiada premier.

Saga czuje, że jej spocone pośladki są przyklejone do skórzanego kombinezonu.

– Mamy tu do czynienia z profesjonalnym albo półprofesjonalnym zabójcą, który nie wykracza poza ramy swojego zadania – mówi, próbując trochę unieść tyłek.

– Säpo zawsze wierzy w wielkie spiski – oznajmia premier i znów spogląda na telefon.

– Sprawca użył pistoletu półautomatycznego z tłumikiem, który schładza gazy prochowe – odpowiada Saga. – Zabił ministra spraw zagranicznych strzałem w prawe oko, podniósł łuskę, pochylił się nad zwłokami, przyłożył pistolet do lewego oka i wystrzelił, podniósł łuskę, odwrócił...

– Dobra, co to ma być? – przerywa premier i podnosi na nią wzrok.

– To nie zabójca uruchomił alarm – mówi dalej Saga. – Ale chociaż wycie obudziło całą okolicę, chociaż policja była już w drodze, on najpierw wydlubał kule z drewnianej podłogi i ze ściany, a dopiero potem wyszedł z willi. Wiedział, gdzie są kamery – nie widać go na żadnym nagraniu... Mogę się założyć, że technicy nie znajdą niczego, co mogłoby nas do niego przybliżyć.

Milknie, patrząc na premiera, który wypija łyk norweskiej wody źródlanej, stawia ciężką szklanekę na lakierowanym drewnianym blacie i ociera usta.

Mijają Diplomatstaden i docierają do północnej części Djurgården. Po

lewej rozciągają się olbrzymie trawiaste połacie Gardet. W siedemnastym wieku był to wojskowy poligon, ale dziś widać tam tylko pojedynczych biegaczy i właścicieli psów.

– Czyli to była egzekucja? – pyta premier schrypniętym głosem.

– Jeszcze nie wiemy, ale wygląda to na rodzaj wymuszenia. Podejrzewamy, że sprawca chciał zyskać dostęp do jakichś tajnych informacji – wyjaśnia Verner. – Może zmuszano go do wypowiedzi przed kamerą.

– Nie brzmi to za dobrze – mówi szeptem premier.

– To prawda. Jesteśmy przekonani, że w grę wchodzi terroryzm polityczny, mimo że jak dotąd nikt się nie przyznał do nocnej akcji – odpowiada Verner.

– Terroryzm?

– W domu ministra przebywała prostytutka – informuje Saga.

– On ma swoje problemy. – Premier lekko pociąga się za orli nos.

– Tak, ale...

– Odsuście – przerywa.

Wrona ucieka przed samochodem, machając skrzydłami, kilka liści kołuje i opada na ziemię, na pastwisku w lekkim deszczu stoi nieruchomo szary koń.

Saga zerka na premiera. Widzi jego nieobecne spojrzenie i zacięte usta. Zastanawia się, czy premier próbuje przetrwać to, co się wydarzyło. Minister spraw zagranicznych w jego rządzie został zamordowany. Może właśnie teraz z niepokojem przypomina sobie poprzedni raz, kiedy stało się coś takiego.

Pewnego wrześniowego dnia ówczesna minister spraw zagranicznych Anna Lindh była na zakupach z przyjaciółką, kiedy nagle mężczyzna uzbrojony w nóż zadał jej ciosy w ramiona, klatkę piersiową i brzuch.

Minister nie miała żadnej ochrony. Obrażenia okazały się tak dotkliwe, że zmarła na stole operacyjnym, po tym, jak przetoczono jej ponad osiemdziesiąt litrów krwi.

Szwecja była wtedy innym krajem – politycy wciąż jeszcze uważali, że

mają prawo podtrzymywać socjalistyczną ideę międzynarodowej przyzwoitości.

– Kobieta, którą wykorzystał minister – kontynuuje Saga, patrząc premierowi w oczy – usłyszała fragment rozmowy, który każe nam przypuszczać, że to pierwsze z serii zaplanowanych morderstw.

– Morderstw? Jakich, kurwa, morderstw? – pyta premier podniesionym głosem.

13

Volvo premiera przejeżdża przez wąski kamienny mostek na Djurgårdsbrunn, natychmiast skręca w lewo i jedzie dalej wzdłuż kanału. Żwir chrzęści pod kołami, do wody wchodzą dwie kaczki i odpływają od brzegu.

– Sprawca podał nazwisko Ratjen, sugerując, że to kluczowa postać – mówi Verner.

– Ratjen? – powtarza zdziwiony premier.

– Chyba go zidentyfikowaliśmy. Nazywa się Salim Ratjen i odsiaduje długi wyrok za handel narkotykami – wyjaśnia Saga i się pochyla, żeby odkleić skórzany kombinezon od mokrych pleców.

– Dostrzegamy silne powiązania między wydarzeniem z dzisiejszej nocy a szejkiem Ajadem al-Dżahizem, który kieruje ugrupowaniem terrorystycznym w Syrii – dodaje Verner.

– To jedyny materiał ukazujący Ajada al-Dżahiza, jaki mamy. – Saga podsuwa premierowi telefon.

Na krótkim filmiku widać wiekowego mężczyznę w okularach, o sympatycznej twarzy, z brodą przyprószoną siwizną. Z uśmiechem mówi prosto do kamery takim tonem, jakby nauczał w szkole dzieci, które uważnie go słuchają.

– Ma plamy krwi na okularach – zauważa szeptem premier.

Szejk Ajad al-Dżahiz kończy krótką przemowę i rozkłada ręce w dobrodusznym geście.

– Co powiedział?

– „Ciągnęliśmy niewiernych za ciężarówkami i pojazdami wojskowymi, aż sznury się obluźowywały... Teraz nasze zadanie polega na znajdowaniu przywódców popierających bombardowania i odstrzeliwaniu im twarzy” – odpowiada Saga.

Dłoń premiera drży, kiedy gładzi nią usta.

Jadą z powrotem mostem Lilla Sjötull i docierają do mariny.

– Służba bezpieczeństwa w więzieniu Hall nagrała rozmowę Salima Ratjena z kimś, kto dzwonił z niezarejestrowanego numeru – oznajmia Verner. – Rozmawiali po arabsku o trzech dużych imprezach. Pierwsza to morderstwo ministra spraw zagranicznych... druga wypada w środę, a trzecia siódmego października.

– Boże – mamrocze premier.

– Mamy cztery dni – mówi Verner.

Kilka gałęzi o jasnozielonych liściach uderza o dach, kiedy samochód robi gwałtowny skręt i rusza z powrotem w kierunku wieży telewizyjnej Kaknäs.

– Jak to, do cholery, możliwe, że nie wiecie, kim jest ten Ratjen? – Premier wyjmując papierową chusteczkę z pudełka w drzwiach.

– Dotychczas nie miał powiązań z żadną siatką terrorystyczną – wyjaśnia Verner.

– Czyli zradyzalizował się w więzieniu – mówi premier, wycierając usta.

– Tak sądzimy.

Deszcz przybiera na sile i kierowca włącza wycieraczki. Ich piórka bezgłośnie ściągają z szyby drobne krople.

– I uważacie, że ja mogę być... jedną z tych imprez?

– Trzeba brać pod uwagę takie ryzyko – potwierdza Saga.

– A więc siedzicie tu i opowiadacie mi, że w środę ktoś może mnie zamordować. – Premier nie kryje oburzenia.

– Musimy rozwiązać Ratjenowi język... Musimy poznać jego plan, zanim będzie za późno – odpowiada Verner.

– To na co jeszcze czekacie?

– Z naszej oceny sytuacji wynika, że Ratjen nie może zostać przesłuchany w konwencjonalny sposób – próbuje wyjaśnić Saga. – Podczas przesłuchania pięć lat temu w ogóle nie reagował, a na procesie nie powiedział ani jednego słowa.

– Przecież, cholera, macie swoje metody. Prawda?

– Złamanie człowieka może potrwać wiele miesięcy.

– Piastuję ważne stanowisko. – Premier drze serwetkę na małe kawałeczki. – Mam żonę, dwoje dzieci i...

– Przykro nam z powodu tego, co się dzieje – oznajmia Verner.

– Teraz jesteście potrzebni po raz pierwszy, więc mi nie mówcie, że nic się nie da zrobić.

– Niech mnie pan zapyta, co zrobimy – mówi Saga.

Premier patrzy na nią zdziwiony i lekko poluźnia krawat.

– Co zrobimy? – powtarza.

– Poprosimy kierowcę, żeby się zatrzymał, i wysiądziemy z samochodu.

Dojechali do przylądka Lo, pełnego posępnych cystern. Długa linia molo prawie zupełnie niknie w szarym deszczu.

Choć premier nadal ma pytający wyraz twarzy, pochyla się do przodu i rozmawia z kierowcą.

Deszcz się wzmacnia. Jest zimny, tworzą się kałuże. Kierowca rozmawia krótko z samochodem eskorty i parkuje tuż przed magazynem paliwa.

Za nimi skręca czarne bmw i miękko hamuje.

Kierowca wysiada. Staje w odległości dwóch metrów od samochodu. Deszcz sprawia, że jasnobezowy materiał jego służbowej marynarki ciemnieje w kilka sekund.

– No to co zrobimy? – pyta jeszcze raz premier i patrzy na Sagę.

14

Cień chmury sunie z wolna nad płaski teren, przechodzi przez ogrodzenie z drutu kolczastego, rozlewa się po pożółkłej trawie i wspina na siedmiometrowy mur.

Na oddziale T więzienia Kumla dzień pracy dobiega końca. Piętnastu stłoczonych więźniów próbuje się załapać na miejsce w maleńkiej sali gimnastycznej na końcu korytarza.

Niedozwolone są odważniki kulowe, hantle, sztangi i inne przyrządy, które można wykorzystać jako broń.

Osadzeni się rozstępują, kiedy do środka wchodzi Reiner Kronlid z ochroniarzami z Bractwa. Władza Reinera bierze się stąd, że kontroluje on wszystkie dostawy narkotyków na oddziale i strzeże swojej pozycji niczym zazdrosny bóg.

Nie musi nic mówić – chudy mężczyzna sam schodzi z roweru stacjonarnego i szybko wyciera papierem siodełko i uchwyty.

Na odrapane ściany pada statyczne światło jarzeniówek, powietrze jest ciężkie od woni potu i maści tygryziej.

Za ścianką działową z pleksiglasu jak zwykle stoi grupka starych narkomanów, a dwóch Albańczyków z gangu z Malmö ustawia się przy złożonym stole do ping-ponga.

Kiedy chmura staje w jednej linii z bladym słońcem, robi się ciemno.

Joona Linna kończy serię podciągnięć, puszcza drążek, ląduje miękko na podłodze i spogląda w stronę okna. Siłownię znów wypełnia przykurzone światło słoneczne. Źrenice mężczyzny się zwężają, a szare oczy przez kilka sekund przypominają roztopiony ołów.

Joona jest gładko ogolony, ma krótko ostrzyżone jasne włosy, pobrużdżone czoło i poważne usta. Szwy jasnoniebieskiego podkoszulka napinają się na wydatnych mięśniach.

– Jeszcze jedna seria, a potem zmieniamy chwyt na szerszy – mówi Marko.

Marko jest żylastym, starym więźniem, który sam sobie wyznaczył rolę jego ochroniarza.

Między grupami na oddziale zawsze występują duże napięcia. Choć teraz panuje chwilowa równowaga, Marko nie odstępuje Joony Linny na krok.

Nowy więzień o chudej ptasiej twarzy idzie w stronę sali gimnastycznej. Chowa coś w dłoni przyciśniętej do biodra. Ma wystające kości policzkowe i blade wargi, a jego rzadkie włosy są związane w cienki kucyk.

Nie ma na sobie stroju do ćwiczeń, tylko rozpiętą bluzę z polaru w kolorze rdzy, ukazującą jego wytatuowaną szyję i klatkę piersiową.

Ktoś otwiera drzwi, robi się nagły przeciąg i po podłodze sunie kłęb kurzu ze splątanymi włosami.

Chudy mężczyzna przechodzi pod ostatnią kamerą CCTV pod sufitem, wchodzi do sali gimnastycznej i staje przed Jooną.

Jeden ze strażników za pleksiglasem odwraca się tak, że palka, którą ma u pasa, szura o szybę.

Kilku więźniów obraca się plecami do Joony i Marka.

Atmosfera w sali gimnastycznej się zagęszcza. W ruchach osadzonych daje się wyczuć czujność.

Ciszę przerywa wysoki dźwięk dobiegający z wentylacji.

Joona znów staje pod drążkiem, podskakuje, chwytą go i się podciąga.

Marko staje za jego plecami. Żylaste, wytatuowane ramiona zwisają wzdłuż tułowia.

Joona czuje napięcie w skroniach, kiedy się podciąga – tak że sięga brodą ponad drążek.

– To ty jesteś gliniarzem? – pyta człowiek o chudej twarzy.

Drobiny kurzu przecinają stojące powietrze. Strażnik za szybą zamienia kilka słów z więźniem i rusza z powrotem do dyspozytorni.

Joona znów się podciąga.

– Jeszcze trzydzieści – mówi Marko.

Człowiek o chudej twarzy wpatruje się w Joonę. Pot perli się na jego

cienkiej górnej wardze, spływa po policzku, omijając uszy.

– Zamierzam cię dorwać, dziwko – mówi z nerwowym uśmiechem.

– *Nyt pelkään* – odpowiada spokojnie Joono i znów się podciąga.

– Rozumiesz? – Mężczyzna szczyrzy zęby. – Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Joono wie, że tamten chowa przy biodrze kosę – broń zrobioną z podłużnego kawałka szkła owiniętego srebrną taśmą.

Będzie celował nisko, myśli. Będzie próbował dźgnąć mnie pod żebra. Szklęm raczej nie sposób ugodzić, ale jeśli jest rozwidlone pod taśmą, może przebić ciało, zanim się złamie.

Kilku innych więźniów zbiera się za szybą z pleksiglasu. Rzucają spojrzenia pełne wygłodniałej ciekawości. Ich język ciała zdradza tłumioną ekscytację, kiedy pomału i pozornie przypadkowo stają na linii kamer.

– Jesteś gliniarzem – syczy mężczyzna i rozgląda się po pozostałych. – Wiecie, że on jest gliniarzem?

– Naprawdę? – Jeden z widzów uśmiecha się i popija z plastikowej butelki.

Na szyi mężczyzny z głębokimi zmarszczkami dynda krzyżyk na łańcuszku. Blizny po wewnętrznych stronach rąk są wyżarte kwasem askorbinowym, którego używał do rozpuszczenia bazy heroiny.

– Kurwa, mówię wam – kontynuuje więzień o chudej twarzy. – On jest gliną z Krajowej Policji Kryminalnej, to jebany pies.

– Okej, to wyjaśnia, dlaczego wszyscy nazywają go Gliniarz – odpowiada ironicznym tonem więzień z plastikową butelką i śmieje się cicho, patrząc w podłogę.

Joono Linna nadal podciąga się na drążku.

Reiner Kronlid bez widocznych emocji siada na rowerze. Kiedy śledzi przebieg treningu, jego spojrzenie jest nieruchome jak u gada.

Jeden z ludzi z Malmö wchodzi do sali i zaczyna ćwiczyć na bieżni. W ciasnym pomieszczeniu rozlega się stukot jego kroków i szum taśmy.

Joono puszcza drążek, miękko ląduje na podłodze i patrzy na

człowieka z bronią.

– Mogę powiedzieć ci kilka słów, żebyś je sobie przemyślał? – pyta, jak zawsze z fińskim akcentem. – Udawana niewiedza rodzi się z mądrości, iluzoryczna słabość rodzi się z...

– O czym ty gadasz, do cholery? – przerywa mężczyzna.

Po odbyciu służby w wojskach desantowych Joono został zwerybowany do jednostki do zadań specjalnych, a w Holandii przeszedł specjalistyczny kurs posługiwania się innowacyjną bronią i niekonwencjonalnej walki wręcz.

Porucznik Rinus Advocaat przygotował go do takich sytuacji. Joono wie doskonale, jak zmienić kierunek ruchu ramienia tego człowieka, jak serią ciosów zgruchotać mu gardło i krtań, jak wytrącić kosę z ręki, wbić ją we wcięcie szyjne i złamać czubek ostrza.

– Dźgnij gliniarza – syczy jeden z członków Bractwa i wybucha śmiechem. – Nie odważysz się...

– Stul pysk – gasi go młodszy mężczyzna.

– Dźgnij go – namawia ze śmiechem ten drugi.

Więzień o chudej twarzy ścisną kosę, a kiedy podchodzi bliżej, Joono patrzy mu w oczy.

Wie, że jeśli zostanie zaatakowany w tej chwili, będzie musiał powstrzymać się przed wykonaniem serii ruchów, która jest wdrukowana w jego ciało jak pamięć.

Ma tylko zmienić kierunek ruchu ramienia, wytrącić mu broń z ręki i powalić go na ziemię.

W ciągu prawie dwóch lat pobytu w zakładzie udawało mu się trzymać z dala od większych bójek. Jego jedynym planem było odsiedzieć wyrok i zacząć nowe życie.

Joono odwraca się plecami do świeżaka z bronią.

Zamienia kilka słów z Markiem, przez cały czas widzi odbicie tamtego w oknie na dziedzińcu.

– Mogłem zabić tego gliniarza – mówi świeżak, oddychając szybko przez wąski nos.

– Nie, nie mogłeś – odpowiada Marko znad ramienia Joony.

15

Minęły dwadzieścia trzy miesiące, odkąd sztokholmski sąd skazał komisarza Joonę Linnę na karę więzienia za uwolnienie siłą osadzonego w areszcie więźnia. Skuto mu ręce i nogi, założono pas i zawieziono do zakładu w Kumli.

Transport więzienny zarekwirował jego skromny dobytek, wezwanie do odbycia kary i legitymację służbową. Po przybyciu na miejsce Joona został rozebrany, oddał próbkę moczu do testu na obecność narkotyków, dostał nowe ubrania, pościel i szczoteczkę do zębów.

Po trwającym pięć tygodni śledztwie umieszczono go na oddziale T zamiast w zakładzie w Saltvik, do którego zwykle trafiali skazani policjanci. Miał spędzić najbliższe lata w celi o powierzchni sześciu metrów kwadratowych, z plastikową podłogą, umywalką i małym okienkiem z pancerną szybą i kratą.

Przez pierwszych osiem miesięcy Joona pracował razem z innymi więźniami w dużej pralni.

Poznał wielu mężczyzn z drugiego piętra, opowiadał każdemu z nich o swojej pracy w Krajowej Policji Kryminalnej i o wyroku sądu. Wiedział, że i tak nie sposób zataić przeszłości. Kiedy w zakładzie pojawia się nowy więzień, ktoś z pozostałych zawsze szybko prosi krewnego o zapoznanie się z wyrokiem.

Joona ma swobodny stosunek do większości więziennych grup, ale trzyma się z daleka od Bractwa i jego przywódcy Reintera Kronlida. Bractwo jest powiązane z prawicowymi ekstremistami, w dużych zakładach karnych zajmuje się ochroną i handlem narkotykami.

Kiedy lato dobiegło końca, Joona grupował wokół siebie dziewiętnastu innych więźniów, którzy chcieli kontynuować naukę na różnych poziomach. Stworzyli kółko, żeby się wzajemnie wspierać, i jak dotąd zrezygnowało tylko dwóch.

Z powodu jednostajnych, rutynowych zwyczajów zakład funkcjonuje

jak bardzo powolny zegar. Drzwi wszystkich cel otwierają się o ósmej rano i zamykają o ósmej wieczorem. Z każdym ruchem wskazówki osadzonego ucieka odrobina życia.

Rankiem, gdy tylko zabrzączy automatyczny zamek, Jooną wychodzi z celi, żeby wziąć prysznic i zjeść śniadanie, zanim cały oddział zejdzie do lodowatego tunelu, który niczym kanalizacja łączy różne części zakładu.

Mijają rozwidlenie z nieczynnym kioskiem, czekają, aż drzwi się otworzą, i idą dalej, do tunelu.

Chłopaki z Malmö zawsze przesądnie przesuwają koniuszkami palców po namalowanym na ścianie Złotanie Ibrahimowiciu, a potem znikają w warsztacie, gdzie pracują z farbami proszkowymi.

Grupa studiująca idzie dalej, do biblioteki. Jooną jest w połowie kursu na specjalistę w dziedzinie ogrodnictwa, a Marko wreszcie zdał wszystkie egzaminy potrzebne do rozpoczęcia nauki w liceum. Drżała mu broda, kiedy opowiadał, że będzie próbował się dostać na profil przyrodniczy.

To mógł być jeszcze jeden z identycznych dni w zakładzie. Ale dla Joony taki nie będzie, bo pojawi się Valeria de Castro i jego życie nabierze nieoczekiwanego, niebezpiecznego kierunku.

Jooną nakrywa do stołu w sali odwiedzin, ustawia spodki i filiżanki, wygładza zawiniętą serwetkę i włącza ekspres do kawy w aneksie kuchennym.

Kiedy słyszy za drzwiami brzęk kluczy, wstaje z krzesła i czuje, że serce zaczyna mu szybciej bić.

Valeria ma na sobie granatową bluzkę w białe kropki i czarne dżinsy. Jej ciemnobrązowe włosy są spięte i skręcone w miękkie loki.

Wchodzi, staje przed nim i podnosi wzrok.

Drzwi się zamykają, słychać dźwięk przekręcanego klucza.

Długą chwilę stoją i na siebie patrzą, w końcu mówią szeptem: „Cześć”.

– Wciąż tak dziwnie się czuję na twój widok. – W głosie Valerii

pobrzmiewa nieśmiały ton.

Kobieta patrzy na Jooneę błyszczącymi oczami, jej spojrzenie przechodzi z kapci z logotypem więzienia na szarobiały T-shirt z rękawami piaskowego koloru i wytarte kolana workowatych spodni.

– Niewiele mam do zaproponowania – mówi Joona. – Tylko trochę ciasteczek z dżemem i kawę.

– Ciasteczka z dżemem – odpowiada Valeria, lekko podciąga dżinsy i siada na krześle.

– Są całkiem dobre – oznajmia Joona z uśmiechem, od którego pogłębiają mu się dołeczki w policzkach.

– Jak można być tak słodkim?

– To przez ten strój – żartuje Joona.

– Tak. – Valeria się śmieje.

Joona siada po drugiej stronie stołu.

– Dzięki za list, przyszedł wczoraj.

– Przepraszam, że byłam trochę śmiała. – Valeria się czerwieni.

Joona wygina usta w uśmiechu, ona też szeroko się uśmiecha ze spuszczoną głową, a potem znów podnosi wzrok.

– Szkoda, że odrzucili twój wniosek o przepustkę... skoro już o tym mowa – mówi Valeria z powstrzymywanym uśmiechem, od którego marszczy jej się broda.

– Spróbuję znowu za trzy miesiące... A poza tym staram się o specjalną kilkugodzinną przepustkę dla więźniów z długimi wyrokami.

– Wszystko się ułoży. – Valeria kiwa głową i sięga do jego ręki na stole.

– Rozmawiałem wczoraj z Lumi – ciągnie Joona. – Właśnie przeczytała *Zbrodnię i karę* po francusku... Było fajnie, po prostu siedzieliśmy i rozmawialiśmy o książkach, zapomniałem, gdzie jestem... do chwili, kiedy rozmowa została przerwana.

– Nie pamiętam, żebyś kiedykolwiek przedtem tyle mówił.

– Gdybyś to rozłożyła na dwa tygodnie, wyszłyby dwa słowa na godzinę.

Jeden z jej loków opada na policzek, Valeria odrzuca go ruchem głowy. Jej cera ma odcień upudrowanej miedzi, a w kącikach oczu widać głębokie zmarszczki mimiczne. Cienka skóra pod oczami ma szary kolor, a za krótkimi paznokciami da się zauważyć trochę ziemi.

– Kiedyś można było tu zamówić wypieki z cukierni – oznajmia Joono i podnosi filiżankę.

– Muszę zacząć myśleć o figurze, zanim stąd wyjdiesz – odpowiada Valeria i kładzie sobie dłoń na brzuchu.

– Jesteś piękniejsza niż kiedykolwiek – zapewnia Joono.

– No to powinieneś był zobaczyć mnie wczoraj – mówi ze śmiechem Valeria i długimi palcami dotyka emaliowanej biedronki na łańcuszku zawieszonym na szyi. – Byłam na otwartym kąpielisku w Saltsjöbaden, czołgałam się w deszczu, przygotowując podłoże do sadzenia.

– Wiśnia jedońska, prawda?

– Wybrałam odmianę, która ma białe kwiaty, są ich tysiące, to niesamowite... Jakby w środku maja nad tym małym drzewkiem przeszła śnieżycą.

Joono patrzy na filiżanki i jasnoniebieskie serwetki. Światło z zewnątrz pada szerokimi pasami na stół.

– A właśnie, jak tam zajęcia? – pyta Valeria.

– Ciekawe.

– Dziwnie się czujesz, kiedy musisz od nowa się uczyć?

– Tak, ale w dobrym sensie.

– Jesteś pewien, że nie chcesz wrócić do służby?

Joono twierdząco kiwa głową i odwraca twarz do okna. Pomiędzy pionowymi prętami krat widzi brudną szybę. Rozlega się strzyknięcie w kręgosłupie, kiedy się odchyła na krześle. Pogrąża się w świecie wspomnień i znów przeżywa ostatnią zimę w Nattavaara.

– O czym myślisz? – pyta z powagą Valeria.

– O niczym – odpowiada cicho Joono.

– Myślisz o Summie – stwierdza bezpośrednio Valeria.

– Nie.

– Od kiedy wspomniałam o śnieżycy.

Joona patrzy w jej bursztynowe oczy i kiwa głową. Ona ma dziwną umiejętność czytania mu w myślach.

– Nie ma nic tak cichego jak śnieg, kiedy przestaje wiać wiatr – mówi Joona. – Wiesz... Lumi i ja siedzieliśmy u niej, trzymaliśmy ją za ręce...

Myśli o dziwnym spokoju, jaki ogarnął jego żonę, zanim umarła, i o kompletnej ciszy, która zapadła zaraz potem.

Valeria nachyla się nad stołem i bez słowa kładzie dłoń na jego policzku. Przez cienki materiał bluzki prześwituje tatuaż na prawym ramieniu.

– Damy sobie radę, prawda? – pyta cicho.

– Damy. – Joona kiwa głową.

– Nie złamiesz mi serca?

– Nie.

16

Joona wciąż czuje słodkawy smak radości po wizycie. To tak, jakby Valeria wraz z każdymi odwiedzinami przynosiła mu kawałek życia.

W jego celi prawie nie ma miejsca, ale kiedy staje pomiędzy biurkiem a umywalką, może sobie pozwolić na trening bokserski i szlifowanie wojskowych technik walki. Porusza się powoli i systematycznie, myśli o bezkresnych równinach Holandii, na których zdobywał umiejętności.

Nie wie, jak długo już trenował, ale kiedy zamek brzęczy i drzwi celi się otwierają, niebo jest tak ciemne, że przez zakratowane okno nie widać żółtego muru.

Dwaj strażnicy, których widzi po raz pierwszy, stoją w drzwiach i patrzą na niego nerwowo.

Przebiega mu przez myśl, że zbliża się wizytacja, że coś się stało, może ktoś próbował uciec i powiązali to z nim.

– Spotkasz się ze swoim obrońcą – mówi jeden ze strażników.

– Dlaczego? – pyta Joona.

Nie odpowiadają, tylko skuwają go kajdankami i wyprowadzają z celi.

– Nie prosiłem o spotkanie – dodaje Joona.

Razem schodzą po schodach i idą dalej długim korytarzem. Jeden ze strażników więziennych mija ich cicho na hulajnodze i znika.

Joona myśli, że być może odkryli, iż Valeria podczas odwiedzin pokazuje legitymację siostry. Sama ma za sobą wyrok więzienia i nie mogłaby się z nim spotykać, gdyby nie wpadła na to rozwiązanie.

Malowidła na ścianach mają różne skale kolorów i style. Na krańcach plam światła rzucanego przez lampy widać chropowaty beton.

Strażnicy przeprowadzają Jooneę przez wzmocnione drzwi i śluzy. Kilka razy muszą pokazywać papiery na dowód, że transport odbywa się zgodnie z prawem. Zamki brzęczą, a oni wchodzą coraz głębiej na nieznany mu oddział. Na samym końcu korytarza dwóch mężczyzn

pilnuje drzwi.

Joona od razu rozpoznaje funkcjonariuszy policji bezpieczeństwa Säpo. Nie patrzą mu w oczy, po prostu otwierają drzwi.

W ciemnym pokoju nie ma żadnych mebli, jeśli nie liczyć dwóch plastikowych krzeseł. Na jednym ktoś już siedzi.

Joona się zatrzymuje.

Światło lampy nie dociera do twarzy siedzącego mężczyzny, zatrzymuje się na kantach spodni i czarnych butach z mokrą gliną na czubkach.

Coś lśni w jego prawej dłoni.

Kiedy drzwi się zamykają za Jooną, mężczyzna wstaje, robi krok w krąg światła i wkłada okulary do czytania do kieszeni na piersi.

Dopiero wtedy Joona widzi jego twarz.

To premier Szwecji.

Jego oczodoły wypełnia mrok, a cień ostrego nosa kładzie się na ustach niczym odrobina czarnego tuszu naniesiona przez pędzel.

– To spotkanie nigdy się nie odbyło – mówi premier swoim charakterystycznym schrypniętym głosem. – Nigdy pana nie widziałem, a pan nie widział mnie. Cokolwiek by się działo, powie pan, że miał spotkanie ze swoim obrońcą.

– Pański kierowca nie pali – odzywa się Joona.

– Nie – odpowiada zdziwiony premier.

Jego prawa dłoń błędzi w kierunku węzła krawata. Dopiero po chwili premier kontynuuje:

– Dzisiejszej nocy szwedzki minister spraw zagranicznych został zamordowany w swoim domu. Będzie się mówiło, że zmarł po krótkiej chorobie, ale tak naprawdę był to zamach terrorystyczny.

Jego orli nos błyszczy od potu, a worki pod oczami są ciemne. Alarm na skórzanym pasku zsuwa się na grzbiet dłoni, kiedy premier podstawia Joonie drugie krzesło.

– Złożę panu teraz bardzo wyjątkową propozycję, ofertę ważną tylko tu i teraz.

– Słucham.

– Więzień osadzony w zakładzie karnym Hall zostanie przeniesiony do Kumli i umieszczony na pana oddziale. Nazywa się Salim Ratjen, został skazany za przestępstwa narkotykowe, ale oczyszczony z zarzutu morderstwa... Wszystko wskazuje na to, że zajmuje kluczową pozycję... Może nawet kieruje terrorystami, którzy zamordowali ministra spraw zagranicznych.

– Ma pan raport? – pyta Joona.

– Oczywiście. – Premier wyciąga w jego stronę cieką teczkę.

Joona siada na plastikowym krześle i chwytą ją skutymi dłońmi. Kiedy się odchyła, oparcie trzeszczy. Czytając dokumenty, spostrzega, że premier co chwilę zerka na telefon.

Joona przegląda wyniki oględzin miejsca zbrodni, testy laboratoryjne i protokół przesłuchania kobiety, która twierdziła, że sprawca wspominał o Ratjenie otwierającym drzwi do piekła. Raport kończył się tabelami z rozkładem jazdy i odnośnikiem do słów Ajada al-Dżahiza, który nakazał odnaleźć światowych przywódców i odstrzelić im twarze.

– Tu jest mnóstwo luk. – Joona oddaje teczkę.

– To dopiero pierwszy raport, brakuje wyników badań i...

– Luk pozostawionych celowo – uściśla Joona.

– Nic mi o tym nie wiadomo. – Premier chowa telefon z powrotem do wewnętrznej kieszeni.

– Jest więcej ofiar?

– Nie.

– Są przesłanki świadczące o tym, że ci ludzie planują kolejne zamachy?

– Nie sądzę.

– Dlaczego akurat minister spraw zagranicznych? – pyta Joona.

– Działał na rzecz europejskiej współpracy przeciwko terroryzmowi.

– Co osiągną, zabijając go?

– Chodzi tu o konkretny zamach na samo serce demokracji – wyjaśnia premier. – Chcę mieć głowy tych terrorystów podane na pieprzonej tacy,

proszę wybaczyć to określenie... Tu chodzi o sprawiedliwość, o tupnięcie nogą... Oni nie mogą nas zastraszyć... Przyjechałem tu, żeby pana zapytać, czy jest pan gotów przeświecić Salima Ratjena i całą jego organizację zza murów więzienia.

– Domyśliłem się i dziękuję za zaufanie, ale musi pan zrozumieć, że się tutaj urządziłem. Nie było to łatwe, ci ludzie znają moją przeszłość, ale z czasem zrozumieli, że można mi ufać.

– Rozmawiamy o bezpieczeństwie państwa.

– Nie jestem już policjantem.

– Jeśli pan to robi, Säpo zamieni pański wyrok na warunkowe zwolnienie.

– Nie jestem zainteresowany.

– Przypuszczała, że tak pan odpowie – stwierdza premier.

– Saga Bauer?

– Powiedziała, że nie będzie pan chciał słuchać oferty Säpo... Dlatego przyjechałem tu osobiście.

– Rozważyłbym tę ofertę, gdybym nie czuł, że ukrywacie przede mną kluczowe dane.

– A co tu jest do ukrycia? Säpo uważa, że może pan pomóc namierzyć kontakty Salima Ratjena poza więzieniem.

– Przykro mi, że jechał pan tu niepotrzebnie. – Joonna wstaje z krzesła i rusza do drzwi.

– Mogę doprowadzić do ułaskawienia – mówi premier do jego pleców.

– Do tego jest potrzebna decyzja rządu – odpowiada Joonna i się odwraca.

– Ja jestem premierem.

– Dopóki mam pewność, że nie dostaję wszystkich dostępnych informacji, muszę odmówić – powtarza Joonna.

– Jak może pan twierdzić, że wie pan coś, czego nie wie? – pyta premier z jawną irytacją.

– Wiem, że pan tu jest, choć powinien pan jechać do Brukseli na

spotkanie Rady Europejskiej – mówi Joonas. – Wiem, że rzucił pan palenie osiem lat temu, ale teraz miał nawrót – stwierdzam to po zapachu pańskich ubrań i po ubłoconych butach.

– Ubłoconych butach?

– Pański kierowca nie pali, a pan jest człowiekiem myślącym o innych, więc zapalił pan na poboczu.

– Ale...

– Zwróciłem uwagę, że jedenaście razy patrzył pan na telefon, ale nie odpowiedział na żadną wiadomość. Stąd wiem, że czegoś brakuje, bo nic w tym raporcie nie świadczy o jakimkolwiek pośpiechu.

Premier po raz pierwszy wygląda, jakby nie wiedział, co powiedzieć. Dotyka dłonią podbródka i pertraktuje sam ze sobą.

– Wydaje się, że w grę wchodzi kilka zaplanowanych morderstw – mówi w końcu.

– Kilka – powtarza Joonas.

– Säpo wykreśliła to z raportu, ale wygląda na to, że początkowo były trzy... A następne ma się wydarzyć już w środę... Dlatego należy się spieszyć.

– W kogo ma być wymierzony ten zamach?

– Nie mamy pojęcia, ale nasze informacje wskazują na precyzyjne, zaplanowane egzekucje.

– Polityków?

– Prawdopodobnie tak.

– Myśli pan, że może być jednym z nich. Prawda?

– To nie ma nic do rzeczy, może nim być ktokolwiek – odpowiada szybko premier. – Ale ponieważ, jak rozumiem, jest pan naszą najlepszą opcją, chciałbym usłyszeć, że podejmuje się pan tego zadania... Jeśli zaś rzeczywiście zdobędzie pan informacje, które doprowadzą do zatrzymania tych ludzi, dopilnuję, żeby pan odzyskał swoje życie.

– Nie ma pan takiej władzy.

– Proszę posłuchać: musi pan to zrobić – mówi z naciskiem premier.

Joonas wnioskuje z jego głosu, że premier bardzo się boi.

– Jeżeli może pan skłonić Säpo do prawdziwej współpracy ze mną, to obiecuję, że znajdę winnych.

– Ale rozumie pan, że musi zdążyć przed środą... Tego dnia zabiją kolejną osobę – szepcze premier.

17

Łowca Królików chodzi niespokojnie po dużym kontenerze w krzywym świetle zwisającej jarzeniówki. Echo jego kroków na metalowej podłodze rozchodzi się po ścianach.

Przystaje przy kilku porozrywanych kartonowych pudłach i dużym kanistrze na benzynę, przyciska palce do lewej skroni i próbuje oddychać spokojniej.

Patrzy na telefon.

Nic, żadnych wiadomości.

Idzie z powrotem do swojego sprzętu, stąpając po laminowanej mapie Djursholm, która leży na podłodze.

Na odrapanym biurku zgromadził stosy starych i nowych pistoletów, noży i części broni.

Niektóre są brudne i zniszczone, inne wciąż jeszcze tkwią w oryginalnych opakowaniach.

To mizmasz zardzewiałych narzędzi, starych słoików po dzemie wypełnionych sprężynami, iglicami i dodatkowymi magazynkami, rulonów czarnych worków na śmieci, srebrnej taśmy, toreb z połyskującymi zaciskami i siekier. Jest też nóż Emerson o szerokim ostrzu i czubku ostrym jak grot strzały.

Przy ścianie ustawione są kartony z amunicją różnego typu. Na nich leżą trzy zdjęcia trzech osób.

Wiele pudeł jest nienaruszonych, ale wieko tego z amunicją 5.56x45 mm jest oderwane, a na innym widać krwawe odciski palców.

Łowca Królików wkłada skrzyneczkę z amunicją kaliber 9 mm do wymiętej reklamówki sklepu ICA Maxi, odwraca jedną z siekier o krótkim trzonku, wkłada ją do środka i z hukiem upuszcza reklamówkę na ziemię.

Wyciąga rękę, bierze jedną z małych fotografii i stawiają na krawędzi stalowej listwy biegnącej po wewnętrznej stronie ściany kontenera, ale

zdjęcie natychmiast się przewraca. Ostrożnie ustawia je znowu i z uśmiechem patrzy na twarz – zadowolone usta, nastroszone włosy i ucho, przez które przenika światło. Nachyla się, patrzy mężczyźnie w oczy i myśli, że odetnie mu nogi i będzie patrzył, jak tamten pełza niczym ślimak we własnej krwi.

Będzie obserwował zrozpaczonego syna, próbującego obwiązać kikuty i uratować ojca, może pozwoli mu zatrzymać krwotok, zanim podejdzie i rozpląta ojcu brzuch.

Zdjęcie znów spada na podłogę i leży wśród sztuk broni.

Łowca wydaje krzyk i wywraca biurko, tak że pistolety, noże i amunicja lądują na podłodze.

Odłamki stłuczonych słoików i części broni się rozsypują.

Łowca Królików dyszy, opiera się o ścianę i nagle przypomina sobie starą działkę przemysłową leżącą pomiędzy autostradą a oczyszczalnią ścieków. Drukarnia offsetowa i magazyn spłonęły, a pod dawną pustką podpodłogową jest mnóstwo króliczych nor.

Kiedy po raz pierwszy opróżniał siatkę, na oczkach wisiało dziesięć małych króliczków.

Były zmęczone, ale nadal żyły, kiedy je wyciągał.

Znów jest spokojny i skoncentrowany, wie, że nie wolno mu ulegać złości, nie wolno pokazywać brzydkiej twarzy, nawet w samotności.

Pora iść.

Oblizuje wargi, podnosi z podłogi nóż i dwa pistolety – springfielda operatora i ubłoconego glocka 19 – i wkłada do reklamówki jeszcze jedną skrzynkę amunicji oraz cztery dodatkowe magazynki.

Wyciąga kabel lampki z akumulatora samochodowego, wychodzi na chłodne nocne powietrze, zamyka drzwi kontenera, rygluje, zakłada kłódkę i przedziera się przez wysokie chwasty do samochodu. Kiedy otwiera klapę bagażnika, podrywają się setki much. Rzuca reklamówkę z bronią obok worka na śmieci pełnego gnijącego mięsa, zamyka bagażnik i odwraca się w kierunku lasu.

Spogląda pomiędzy wysokie pnie, myśli o twarzy na małej fotografii

i próbuje wyrzucić z głowy rymowanąkę.

18

W lokalu Armii Zbawienia przy Östermalmsgatan 69 trwa zamknięte spotkanie lunchowe.

Dwanaście osób ustawiło trzy małe stoliki w jeden dłuższy, a teraz siedzą tak blisko siebie, że widzą na swoich twarzach zmęczenie i smutek. Światło z zewnątrz kładzie się na meblach z jasnego drewna i makatkach z adeptami rybołówstwa.

Na jednym końcu stołu siedzi Rex Müller w szytej na miarę marynarce i czarnych skórzanych spodniach. Ma pięćdziesiąt dwa lata i dobrze wygląda mimo pooranego zmarszczkami czoła i opuchlizny pod oczami.

Wszyscy na niego patrzą, kiedy odstawia filiżankę kawy na spodek i przeczesuje dłonią włosy.

– Mam na imię Rex i zwykle tylko się przysłuchuję – zaczyna, a potem uśmiecha się z zakłopotaniem. – Nie wiem, co chcecie ode mnie usłyszeć.

– Powiedz, dlaczego tu jesteś – odzywa się kobieta ze zmarszczkami smutku wokół ust.

– Przyrzędam całkiem dobre jedzenie. – Rex odchrząkuje. – W mojej branży trzeba się znać na winie, piwie, brandy, wódce, likierach i tak dalej... Nie jestem alkoholikiem, może za dużo piję i czasem robię idiotyczne rzeczy, choć nie należy wierzyć we wszystko, co piszą w gazetach.

Robi pauzę, uśmiecha się i zerka na nich spod półprzymkniętych powiek, ale oni tylko czekają na dalszy ciąg.

– Jestem tu, bo mój pracodawca tego wymaga, jeśli chcę zachować pracę... a ja ją lubię.

Rex ma nadzieję, że zareagują śmiechem, ale wszyscy patrzą na niego w milczeniu.

– Mam syna, jest już duży, chodzi do ostatniej klasy liceum... I jedną

z rzeczy, której pewnie powinienem żałować w życiu, jest to, że nie byłem dobrym ojcem. W ogóle nie byłem ojcem, zjawiałem się na urodziny i tak dalej, ale... Tak naprawdę nie chciałem mieć dzieci, nie byłem wystarczająco dojrzały...

W połowie zdania głos odmawia mu posłuszeństwa. Ku swojemu zdziwieniu Rex czuje, że łzy cisną mu się do oczu.

– Okej, jestem idiotą, ale może sami już do tego doszliście – mówi cicho i robi głęboki wdech, żeby zaczerpnąć powietrza. – Tak to wygląda. .. Moja była żona jest fantastyczna. Niewielu tak mówi o swojej eks, ale Veronica naprawdę jest fantastyczna... Niedawno została wybrana przez UNICEF do wdrożenia wielkiego projektu bezpłatnej opieki zdrowotnej w Sierra Leone, ale miała zamiar odmówić, jak zawsze.

Rex posyła zebrany krzywy uśmiech.

– Idealnie się nadaje do tej pracy... więc powiedziałem, że ostatnio próbuję być trzeźwy i że Sammy może ze mną mieszkać przez te parę tygodni... A ponieważ chodzę na wasze spotkania, doszła do wniosku, że zaczynam być odpowiedzialny, i pojechała na pierwszy etap do Freetown.

Jeszcze raz przeczesuje palcami nastroszone czarne włosy i się pochyla.

– Sammy miał ciężko, to na pewno moja wina. Sam nie wiem. Jego życie jest inne niż moje... Nie łudzę się, że mogę naprawić naszą relację, ale naprawdę nie mogę się doczekać, aż go nieco lepiej poznam.

– Dziękujemy, że się tym podzieliłeś – mówi kobieta stłumionym głosem.

Rex Müller od dwóch lat gotował w popularnym porannym programie na TV4, zdobył srebro w konkursie Bocuse d'Or, współpracował z Magnusem Nilssonem w restauracji Fäviken Magasinet, wydał trzy książki kucharskie, a jesienią podpisał lukratywny kontrakt z koncernem restauracyjnym Grupp F12 i miał zostać szefem kuchni w restauracji Smak.

Po trzech godzinach w nowej restauracji przekazuje pracę *sous chef* Elizie, wkłada garnitur i niebieską koszulę, idzie na otwarcie nowego

hotelu na Hötorget, zostaje sfotografowany w towarzystwie producenta muzycznego Avicii i jedzie taksówką na Dalarö, gdzie ma się spotkać ze swoim najbliższym współpracownikiem.

David Jordan Andersen – czy też DJ, jak go wszyscy nazywają – ma trzydzieści trzy lata. Założył firmę zajmującą się produkcją i branded contentem, która wykupiła prawa do programu Rexa. W ciągu trzech lat zadbał o to, aby Rex z jednego z najwybitniejszych szefów kuchni w kraju stał się celebrytą.

Zaprzyjaźnili się też i zaczęli spędzać ze sobą dużo czasu prywatnie.

Rex wchodzi do restauracji hotelu Dalarö Strand, ściska dłoń DJ-a i siada naprzeciwko niego.

– Myślałem, że Lyra przyjdzie z tobą – mówi Rex.

– Ma spotkanie z koleżankami z Uniwersytetu Sztuki Konstfack.

DJ ze swoją jasną, zadbaną brodą i jasnoniebieskimi oczami przypomina kogoś w rodzaju współczesnego wikinga.

– Czyżby miała mnie dość po ostatnim? – Rex marszczy czoło.

– Każdy miałby cię dość – odpowiada szczerze DJ. – Nie trzeba robić kucharzowi wykładów przy każdej wizycie w restauracji.

– To miał być żart.

Zjawia się kelner z przystawkami, odrobinę za długo stoi przy ich stoliku, a potem z rumieńcem na twarzy pyta, czy Rex mógłby złożyć autograf dla ekipy w kuchni.

– To zależy od jedzenia. – Rex poważnie. – Nie znoszę, kiedy krem cytrynowy smakuje jak cukierki.

Kelner z nerwowym uśmiechem stoi przy stoliku, a Rex bierze sztucce i odkrawa kawałek grillowanego szparaga.

– Spokojnie – mówi do kelnera DJ, gładząc się po jasnej brodzie.

Rex zanurza wędzonego łososa w kremie, wciąga nosem zapach, smakuje i przeżuwa w skupieniu, bierze do ręki długopis i na odwrocie menu zapisuje: *Moje gratulacje dla mistrzów kuchni z Dalarö Strand Hotel. Z najserdeczniejszymi pozdrowieniami Rex.*

Kelner dziękuje i szybkim krokiem wraca do kuchni, uśmiechając się

szeroko.

– Naprawdę było takie dobre? – pyta ściszym głosem DJ.

– Było okej – odpowiada Rex.

DJ nachyla się nad stołem, napełnia szklanke Rexa wodą i podsuwa mu mały koszyk z pieczywem. Rex wypija łyk i spogląda na duży jacht żaglowy, który wypływa z mariny na otwarte morze.

Dostają talerze z pieczonym śledziem, przyrumienioną czerwoną cebulą i puree ziemniaczanym.

– Sprawdzaleś, czy możesz w przyszły weekend? – zaczyna ostrożnie DJ.

– To wtedy mamy się spotkać z inwestorami?

Od ponad roku DJ i jego ekipa pracują nad wypuszczeniem na rynek pierwszych elementów wyposażenia kuchni sygnowanych przez Rexa.

Chodzi o naprawdę dobre przyrządy, charakteryzujące się surowym designem i przystępną ceną. Każdy może być królem kuchni – *Rex of Kitchen*.

– Pomyślałem, że smacznie zjemy, spędzimy razem trochę czasu... To niezwykle ważne, żeby czuli się wybrani – wyjaśnia DJ.

Rex kiwa głową, odkrawa kawałek śledzia, przeżuwa, wyciąga się nad stołem i bierze do ręki zimną szklanke piwa DJ-a.

– Rex?

– Nikt nie może się dowiedzieć – mówi Rex i puszcza do niego oko.

– Nie rób tego – odpowiada DJ ze spokojem w głosie.

– Ty też zaczynasz? – pyta z uśmiechem Rex i odstawia szklanke. – Jestem trzeźwy. Zabawna sytuacja: wszyscy orzekli, że mam problem, choć nie pytali mnie o zdanie.

Kończą posiłek, płacą i schodzą na pomost przy hotelu. DJ ma tam swoją łódź sportową – porysowanego sea ray sundancera.

Wieczór jest ciepły i dziwnie cichy, woda sprawia wrażenie nieruchomej, słońce chyli się ku zachodowi, a chmury nabrały złotego koloru.

Odbijają od brzegu i powoli zostawiają za sobą pomost, huśtają się na

miękkich falach pozostawionych przez inną łódź i ostrożnie przepływają przez cieśninę. Po zboczu po stronie bakburty wspinają się stylowe drewniane zamki ze szklanymi werandami, w których przegląda się wieczorne niebo.

– A jak tam twoja mama? – Rex siada na białym skórzanym fotelu obok DJ-a.

– W sumie trochę lepiej – mówi DJ i trochę przyspiesza. – Lekarze próbują nowych leków i w tym momencie jest całkiem dobrze.

Kiedy wypływają na bardziej otwarte wody, jego słowa zagłusza ryk silnika. Za nimi wzbijają się kłęby białej pary, dziób się podnosi, a kadłub uderza o fale. Prędkość wzrasta, w następnej sekundzie łódź powoli opada i pruje przed siebie.

Rex wstaje, próbując utrzymać równowagę, i zaczyna zakładać narty wodne leżące na pokładzie za fotelami.

– Nie zdejmiesz garnituru?! – krzyczy DJ.

– Co?!

– Będzie mokro!

– Nie wywrócę się! – odkrzykuje Rex.

Zaczyna rozwijać linkę, kiedy nagle czuje wibracje telefonu w wewnętrznej kieszeni. Dzwoni Sammy. Rex daje DJ-owi znak, żeby zwolnił.

– Halo?

W tle słychać muzykę i glosy.

– Cześć, tato – mówi Sammy bardzo blisko mikrofonu. – Chciałem tylko spytać, co robisz dziś wieczorem.

– Gdzie jesteś?

– Na imprezie, ale...

Fala wzburzona przez dużą żaglówkę sprawia, że Rex chwieje się na nogach. Traci równowagę i przysiadła na białych skórzanych poduszkach.

– Dobrze się bawisz? – pyta.

– Co?

– Jestem z DJ-em na Dalarö, ale wczoraj upiekłem na grillu solę,

została w lodówce... Możesz ją zjeść na zimno albo wstawić na chwilę półmisek do piekarnika.

– Nie słyszę – mówi ze śmiechem Sammy.

– Nie spóźnię się! – woła Rex.

W tle dudni głośna muzyka, słychać ciężkie basy i wesoły krzyk jakiejś kobiety.

– Zobaczymy się później – mówi Rex, ale połączenie jest już przerwane.

19

Jest późna noc, kiedy ulicą Rehmsgatan nadjeżdża taksówka i staje przed błyszczącymi drewnianymi drzwiami. Rex pożyczył od DJ-a suche ubrania i wziął ze sobą przemoczony garnitur w czarnym worku na śmieci. Wie, że następnego dnia wczesnym rankiem ma program i przydałoby mu się kilka godzin snu.

Wchodzi na klatkę schodową i drżąc z zimna, naciska przycisk windy. Nic się nie dzieje. Robi krok naprzód i zagląda do szybu. Winda stoi na piątym piętrze. Słychać trzeszczenie i skrobanie. Linki zaczynają się huścić i Rex dochodzi do wniosku, że w środku nocy ktoś chce pojechać windą.

Czeka jeszcze chwilę, a potem rusza po schodach z workiem mokrych ubrań zarzuconym na plecy jak u Świętego Mikołaja.

W połowie drogi słyszy zgrzyt – winda rusza. Mija go na trzecim piętrze, Rex widzi przez kraty, że jest pusta.

Na samej górze zrzuca z pleców worek i próbuje zaczerpnąć tchu. Przekręca klucz w zamku, a wtedy winda znów rusza do góry i staje na jego piętrze.

– Sammy?

Drzwi windy się rozsuwają, ale w środku nikogo nie ma. Ktoś musiał wcisnąć szóstkę, a potem wyjść z kabiny.

Rex, nie zapalając światła, idzie do kuchni, żeby przed położeniem się do łóżka sprawdzić, czy Sammy nie zostawił jeszcze kawałka soli.

Drewniana podłoga srebrzyście połyskuje w ciemności, a przez szklane drzwi tarasu widać światła miasta.

Rex otwiera lodówkę i ledwo zdąża stwierdzić, że Sammy nie tknął ryby, kiedy dzwoni telefon.

– Rex – przedstawia się ochryple do słuchawki.

Słychać trzaski. W tle dudni głośna muzyka, ktoś pojękuje.

– Tato? – rozlega się szept.

– Sammy, myślałem, że będziesz w domu.

– Nie czuję się dobrze – bełkocze syn.

– Co się stało?

– Zgubiłem swoje rzeczy i Nico się na mnie cholernie wkurzył... Nie wiem... Kurde, przestań już, dobra? – mówi do kogoś stojącego obok.

– Sammy, co się dzieje?

Rex nie słyszy słów syna, dalszy ciąg zostaje zagłuszony przez hałas, słychać dźwięk tłuczonego talerza, jakiś mężczyzna krzyczy na kogoś.

– Sammy? Powiedz, gdzie jesteś, to po ciebie przyjadę.

– Nie musisz...

Rozlega się huk, jakby Sammy upuścił telefon na podłogę.

– Sammy?! – krzyczy Rex. – Powiedz, gdzie jesteś!

Słychać szumy i trzaski, w końcu ktoś chyba podnosi telefon.

– Przyjedź po młodego, zanim będę go miała dość – odzywa się kobieta o niskim głosie.

Z mocno bijącym sercem Rex zapisuje adres, zamawia taksówkę i zbiega po schodach. Już stojąc na chłodnym powietrzu, jeszcze raz dzwoni do Sammy'ego, ale nikt nie odbiera. Kiedy taksówka zatrzymuje się przed drzwiami, Rex ma za sobą dziesięć prób.

Adres, który dostał od kobiety, to Östermalm, najbardziej prestiżowa dzielnica Sztokholmu, ale budynek przy Kommendörsgatan okazuje się zniszczonym domem z lat osiemdziesiątych. Zza drzwi na parterze dobiega głośna muzyka. Na skrzynce na listy naklejono taśmę z napisem: *Prosimy o więcej reklam.*

Rex przyciska dzwonek, sprawdza klamkę, otwiera drzwi i zagląda do małego przedpokoju pełnego butów. Od ścian odbija się ostra muzyka. W powietrzu unosi się zapach dymu papierosowego i rozlanego czerwonego wina. Na zniszczonym parkiecie w przedpokoju leżą porzucane ubrania. Rex wchodzi do ciemnej kuchni i się rozgląda. Na porysowanym blacie stoi pełno pustych butelek. W zlewozmywaku jest ronderek z zaschniętymi resztkami potrawy fasolowej oraz stopy porcelany i prowizoryczne popielniczki.

Na podłodze w kuchni siedzi ubrany na czarno mężczyzna z umalowaną twarzą i pije coś z plastikowej butelki. Młoda kobieta w dżinsowych szortach i jasnoróżowym staniku, chwiejąc się, podchodzi do lady, otwiera górną szafkę i wyciąga z niej kieliszek. Papieros między jej ściśniętymi wargami drży, kiedy skupiona podstawia naczynie pod kranik kartonu z winem.

Rex przeciska się obok i widzi, że kobieta strzepuje popiół na brudne talerze. Wypuszcza powoli smużkę dymu i podąża za nim wzrokiem.

– Te, kucharz, nie skombinowałbyś jakiegoś omletu? – pyta ze śmiechem. – Zajebicie mnie wzięło na omlet.

– Wiesz, gdzie jest Sammy? – odpowiada pytaniem Rex.

– Wydaje mi się, że wiem wszystko. – Kobieta wręcza mu kieliszek wina.

– Nadal tu jest?

Kobieta kiwa głową i wyjmuje z szafki kolejną szklankę. Czarny kot wskakuje na blat i zaczyna wylizywać nóż kuchenny.

– Chcę się przespać z celebrytą – mówi kobieta żartobliwym tonem i zaczyna chichotać sama do siebie.

Rex przesuwa krzesło, żeby minąć stół, i czuje, że kobieta obejmuje go w pasie.

Ciężar jej ciała przechyla go do przodu.

– Pójdziemy obudzić Lenę i zrobimy to w trójkącie – mamrocze kobieta i przyciska brodę do jego pleców.

Rex odstawia kieliszek na stół, odpycha jej rękę, odwraca się i spogląda na jej pijaną, roześmianą twarz.

– Przyjechałem tu tylko po syna – oznajmia, odwraca wzrok i patrzy na pokój z telewizorem.

– Z tym drugim żartowałam, nie chcę seksu, chcę tylko miłości – odpowiada kobieta i uwalnia go z uścisku.

– Powinnaś pojechać do domu.

Rex przeciska się pomiędzy krzesłem dziecięcym i złożonym łóżkiem polowym. Dwie szklanki brzęczą o siebie w takt muzyki.

Kiedy przechodzi do pokoju z telewizorem, słyszy, jak kobieta mruczy:
– Chcę mieć tatusia.

Na kanapie w szkocką kratę siedzi mężczyzna z długimi siwymi włosami i pomaga młodszemu chłopakowi wciągnąć kokainę. Ktoś wyjął pudło z lampkami choinkowymi. Na podłodze przy ścianach leżą materace. Tęgi mężczyzna w rozpiętych spodniach siedzi odwrócony do ściany i brzdąka na gitarze akustycznej.

Rex idzie dalej wąskim korytarzem, po mocno porysowanej podłodze. Zagląda do sypialni, spostrzega kobietę śpiącą w samych majtkach i zakrywającą twarz wytatuowanym ramieniem. Z kuchni dobiegają głośne krzyki i śmiech jakiegoś mężczyzny.

Rex przystaje i nasłuchuje. Całkiem blisko słysząc postukiwania i westchnienia. Zagląda do sypialni, a kiedy jego wzrok ponownie pada pomiędzy nogi kobiety, odwraca się.

Na podłodze za drzwiami do łazienki widać mrugające światło.

Drzwi są uchylone.

Rex podchodzi do nich bokiem i zauważa wiadro z mopem opartym o pralkę.

Znow rozlegają się westchnienia. Rex zbliża się do łazienki, wyciąga rękę, ostrożnie otwiera drzwi i widzi swojego syna, który klęczy przed mężczyzną z wielkim nosem i głębokimi brzdami wokół rozchylnych ust. Sammy ma spoconą twarz i rozmazany tusz. Jedną ręką trzyma sterczący penis mężczyzny i kieruje go do ust. Kolczyk z czarną perłą huśta mu się na policzku.

Rex się cofa i widzi, jak mężczyzna przeczesuje palcami tlenione włosy Sammy'ego i jednocześnie je chwytą.

Z korytarza dobiega płacz.

Rex się odwraca, idzie z powrotem do pokoju z telewizorem i próbuje złapać oddech wśród fal ogarniających go sprzecznych uczuć.

– Boże – wzdycha i próbuje zareagować uśmiechem na własną reakcję.

Sammy jest pełnoletni. Rex wie, że syn nie chce, aby definiować jego seksualność. Mimo to czuje się straszliwie zażenowany, że niechcący stał

się świadkiem tej intymnej sytuacji.

Na kraciastej sofie mężczyzna z długimi włosami zdążył już włożyć rękę pod koszulkę młodszego.

Rex czuje, że musi wrócić do domu i położyć się spać. Czekając kilka sekund, pociera twarz i znów idzie w stronę łazienki.

– Sammy?! – wola.

W środku coś się przewraca i z brzękiem toczy po umywalce. Rex czeka jeszcze chwilę i ponownie wykrzykuje imię syna.

Po chwili drzwi się otwierają i wychodzi Sammy w obcisłych spodniach i rozpiętej koszuli w kwiaty. Opiera dłoń o ścianę. Jego powieki są ciężkie, a spojrzenie nieprzytomne.

– Co ty tu robisz? – bełkocze.

– Dzwoniłeś do mnie.

Sammy podnosi wzrok, ale zdaje się nie rozumieć słów Rexa. Ma czarne obwódki wokół oczu i rozszerzone źrenice.

– Co tu się właściwie, kurwa, dzieje?! – wrzeszczy mężczyzna z łazienki.

– Już idę... muszę tylko...

Sammy zatacza się i omal nie traci równowagi.

– Idziemy do domu – decyduje Rex.

– Muszę wrócić do Nica, wścieknie się, jeśli...

– Porozmawiasz z nim jutro – przerywa Rex.

– Co? Co mówiłeś?

– Wiem, że masz swoje życie, nie próbuję się bawić w tatusia. Jeśli chcesz zostać, mogę ci zostawić pieniądze na taksówkę. – Rex stara się nadać głosowi łagodniejszy ton.

– Chyba... chyba muszę się przespać.

Rex zdejmuje kurtkę, zakłada ją synowi na ramiona i wyprowadza go z domu.

Kiedy wychodzą na ulicę, niebo jest już jaśniejsze, a ptaki głośno ćwierkają. Sammy porusza się wolno i z przerażającą bezsilnością.

– Dasz radę stać o własnych siłach, kiedy będę dzwonił po taksówkę? – pyta Rex.

Syn kiwa głową i opiera się ciężko o fasadę domu. Jego twarz jest bardzo blada. Sammy dłubie w ustach i zwiesza głowę.

– Jes... jestem...

– Może po prostu spróbowalibyśmy wytrzymać razem te trzy tygodnie? – mówi Rex.

– Co?

Chłopak przełyka ślinę, znów grzebie palcem w ustach i wygląda, jakby miał mdłości.

– Co się dzieje, Sammy?

Syn podnosi głowę, z wysiłkiem wciąga powietrze do płuc i nagłe źrenice uciekają mu do góry. Potem upada na chodnik i uderza głową o skrzynkę elektryczną.

– Sammy! – krzyczy Rex i próbuje pomóc mu wstać.

Z głowy chłopaka płynie krew, źrenice pod przymkniętymi powiekami przesuwają się w bok.

– Patrz na mnie! – nakazuje Rex, ale syn nie kontaktuje, jego ciało jest kompletnie wiotkie.

Rex kładzie go z powrotem, przykłada ucho do jego piersi i słyszy, że serce bije szybko, ale oddech jest zbyt powolny.

Kiedy dzwoni po karetkę, trzęsą mu się ręce.

– Nie umieraj, nie wolno ci umrzeć – szepcze, kiedy w słuchawce brzmiały kolejne sygnały.

20

Słyszając dzwonek telefonu, Rex podskakuje i uderza dłonią o twardą poręcz ławki. Wstaje i ociera usta. Niebo za oknem szpitala jest blade jak papier do pieczenia. Najwyraźniej się zdrzemnął. Pożyczona kurtka leży zwinięta jak poduszka.

Nie wie, jak długo trwało płukanie żołądka Sammy'ego. Raz za razem poprzez wprowadzoną przez usta sondę żołądek chłopaka wypełniano wodą, którą wyciągano z powrotem wielką strzykawką. Sammy słabo wymachiwał rękami, żeby odepchnąć rurkę, i jęczał, kiedy płyn z czerwonym winem i rozmoczonymi kawałkami tabletek wypływał z niego i zbierał się w worku przy podłodze.

Telefon nadal dzwoni. Kiedy Rex podnosi kurtkę, komórka wysuwa się z kieszeni, uderza o drewnianą ławkę i znika.

Rex szuka jej na podłodze i, wciąż jeszcze na czworakach, odbiera szeptem:

– Halo.

– Kochany Rexie – rozlega się zacięty głos producentki. – Powiedz, proszę, że siedzisz w taksówce.

– Jeszcze nie przyjechała.

Jest niedziela, a w każdą niedzielę gotuje na żywo w TV4. Niemożliwe, że to przegapił, nie ma pojęcia, która jest godzina.

Wykładzina PCV na podłodze i świetlówki znikają w mroku, kiedy wstaje. Opiera się o ławkę i zaczyna mówić, że chce mieć zdjęcia produktów wyświetlane z projektora i najazd kamery, kiedy będzie przyrządzał krewetki w woku.

– Już powinieneś siedzieć w charakteryzatorni – mówi producentka.

– Wiem – zgadza się Rex. – Ale co mam zrobić, jeśli taksówka nie przyjedzie?

– Zadzwoń po nową – wzdycha producentka i się rozłącza.

Przechodząca korytarzem pielęgniarka posyła mu nieprzeniknione

spojrzenie zza okularów.

Rex wspiera się o ścianę, sprawdza w telefonie, która godzina, i dzwoni po taksówkę.

Przypomina sobie, jak bezbarwna była twarz Sammy'ego, kiedy pił węgiel aktywowany, który miał rozbić szkodliwe substancje w jelitach. Rex siedział przy nim, zwilżał mu mokrym ręcznikiem złane zimnym potem czoło i ciągle powtarzał, że będzie dobrze. Koło szóstej rano podłączyli Sammy'ego do kroplówki, położyli go do łóżka i zapewnili Rexa, że syn jest bezpieczny.

Usiadł na ławce w korytarzu, na wypadek gdyby Sammy go wołał.

Czterdzieści minut później budzi go dzwonek telefonu.

Szybko podchodzi do drzwi i patrzy na syna, który głęboko śpi. Twarz chłopaka jest blada i jakby wypłowiała. Rurka i worek wypełniony do połowy płynem infuzyjnym błyszczą w porannym słońcu. Brzuch Sammy'ego porusza się rytmicznie, wskazując na równy oddech.

Rex biegnie truchtem do windy, wchodzi do środka i naciska zielony guzik, kiedy dzwoni szefowa odpowiedzialna za zakupy w grupie TV4.

– Już siedzę w taksówce – mówi do niej Rex, kiedy winda rusza.

– Mam się martwić? – odpowiada Sylvia Lund.

– Spokojnie – po prostu pomieszali zlecenia.

– Powinieneś był siedzieć w charakteryzatorni dwadzieścia minut temu – mówi Lund wyczekującym tonem.

– Jadę, jestem w drodze, już wjechaliśmy na Valhallavägen.

Rex opiera czoło o lustro i czuje, jak przelewa się przez niego wyczerpanie spowodowane brakiem snu.

Taksówka czeka przed drzwiami oddziału ratunkowego. Rex rozsiada się na tylnym siedzeniu i zamyka oczy. Próbuje się zdrzemnąć w czasie krótkiej jazdy, ale jest w stanie myśleć tylko o tym, co się wydarzyło, i o tym, że musi zadzwonić do Veroniki, matki Sammy'ego.

O ile dobrze zrozumiał, Sammy dostanie skierowanie do psychologa albo pedagoga, który oceni jego uzależnienie i skłonności samobójcze.

Samochód zakręca i staje na żwirowej drodze przed wejściem do TV4.

Rex płaci, nie zwraca sobie głowy paragonem, wysiada z taksówki i przechodzi przez szklane drzwi.

Sylvia wstaje z jednego z dziwnych siedzisk i biegnie w jego stronę. Jej twarz jest starannie umalowana, a skręcone włosy opadają na szyję i policzki.

– Nie ogoliłeś się – oznajmia.

– Naprawdę? Zapomniałem, przyznaję z ręką na brodzie.

– Mogę ci się przyjrzeć? – Sylvia przesuwając wzrok po jego wymiętej kurtce, nastroszonych włosach i przekrwionych oczach. – Jesteś skacowany – stwierdza. – To się nie dzieje naprawdę.

– Przestań, dam sobie radę – odpowiada Rex zaciętym tonem.

– Chuchnij – rzuca Sylvia.

– Nie – protestuje Rex z uśmiechem.

– Szkoda mi ciebie, ale to nie ma znaczenia... TV4 zakończy współpracę z tobą, jeśli jeszcze kiedyś się ośmieszysz.

– Tak, już to mówiłaś.

– Nie wpuszczę cię na antenę, jeśli nie zrobisz tego, co ci powiem.

Rex się czerwieni, kiedy wydycha powietrze na twarz szefowej, potem patrzy jej w oczy i idzie w stronę służby.

Od strony szklanych drzwi w kierunku studia biegnie młoda kobieta, przeciąga kartę przez czytnik i przytrzymuje ciałem drzwi, żeby wpuścić Rexa i Sylvię.

– Wciąż możemy zdążyć – dyszy Sylvia.

Rex rusza w stronę garderób, ale na stromych metalowych schodach nagle robi mu się niedobrze. Musi na chwilę przystanąć i chwycić się poręczy.

Mija pokój śniadaniowy, w którym czekają przypadkowi goście, szybko idzie do swojej garderoby, podchodzi do umywalki, ochlapuje zimną wodą twarz i usta, spluwa i wyciera się chusteczką.

Drżącymi rękami przebiera się w przygotowany dla niego wyprasowany garnitur i fartuch.

Młoda kobieta czekająca w korytarzu rusza za nim, kiedy Rex biegnie

truchtem do charakteryzatorni.

Siada przed lustrem na fotelu fryzjerskim i próbuje opanować stres, czytając na pasku wiadomości na temat wielkiego zamówienia na samochody Volvo. W tym czasie jedna charakteryzatorka go goli, a druga miesza na palecie dwa podkłady.

W regularnych odstępach czasu realizatorzy puszczaają zapowiedzi „słynnego kucharza, który podzieli się swoimi najlepszymi pomysłami na kaca”.

– W ogóle nie spałem dziś w nocy – mruczy.

– Damy sobie z tym radę – zapewnia makijażystka i przyciska mu mokrą gąbkę pod opuchniętymi oczami.

Rex znów myśli o Sammym, przypomina sobie, jak synek był mały i wypowiedział pierwsze zdanie. Był mroźny jesienny dzień, Sammy bawił się w piaskownicy, kiedy nagle podniósł oczy, poklepał ziemię obok siebie i powiedział: „Tata siada”.

Rex nigdy nie chciał mieć dzieci, Veronica nie miała zająć w ciążę. Chciał tylko pić, gotować i się pieprzyć.

Charakteryzatorka po raz ostatni przeciąga palce przez końcówki jego włosów, żeby leżały płasko.

– Dlaczego ludzie tak szaleją za kucharzami? – pyta retorycznie.

Rex tylko się śmieje, dziękuje, że z powrotem uczyniła go człowiekiem, i biegnie do studia.

21

Dźwiękoszczelne drzwi zamykają się za Rexem. Przemyka do studia i widzi, że gospodyni porannego programu Mia Edwards siedzi na kanapie i rozmawia z różowowłosą pisarką.

Ostrożnie przechodzi nad kablami i zajmuje miejsce w kuchni obok siedzisk. Dźwiękowiec przypina mu mikrofon, a Rex się upewnia, że wszystkie składniki są na miejscu, woda bulgocze, a masło skwierczy.

Widzi na dużym monitorze, jak pisarka wybuchą śmiechem i unosi ręce w obronnym geście, a pasek u dołu informuje o nasilającej się krytyce Rady Bezpieczeństwa ONZ.

– Jesteś głodna? – pyta Mia pisarkę zgodnie z poleceniem wypowiedzianym do słuchawki w jej uchu. – Mam nadzieję, że tak, bo na dziś Rex przygotował coś naprawdę ekstra.

Reflektory się zapalają, a czarne obiektywy kamer zwracają się ku niemu, kiedy wlewa olej na patelnię z kutej miedzi.

Rex zwiększa ogień, odrywa kilka listków bazylii, nieruchomieje, patrzy z uśmiechem w obiektyw i zaczyna:

– Niektórzy z was być może nieźle wczoraj świętowali... Dlatego dziś proponuję danie na kaca: tagliatelle i krewetki na gorąco, roztopione masło z czosnkiem, czerwonymi papryczkami, oliwą z oliwek i świeżymi ziołami. Wyobraźcie sobie leniwy poranek... Budzicie się z kimś, kogo, miejmy nadzieję, rozpoznajecie... Okej, nie bardzo macie siłę myśleć o tym, co robiliście poprzedniego dnia, i potrzebujecie tylko jedzenia.

– Zapomnijcie o wszystkich dietach – mówi Mia tonem pełnym wyczekiwania.

– Tylko teraz, tylko tego ranka – chichocze Rex i przeczesuje dłonią włosy, tak że psuje sobie fryzurę. – Daję słowo, że warto.

– Wierzmy ci, Rex.

Mia podchodzi i patrzy, jak Rex błyskawicznymi ruchami noża sieka papryczki chilli i czosnek.

- Bądźcie szczególnie ostrożni, jeśli jesteście trochę wczorajsi...
- Potrafię to zrobić równie szybko – żartuje Mia.
- Mogę zobaczyć?

Rex podrzuca nóż, który robi dwa obroty w powietrzu, łapie go i kładzie obok deski do krojenia.

- Nie – odpowiada Mia ze śmiechem.
- Moja eks zawsze mówiła na mnie *szmuk*... Nadal się zastanawiam, co to znaczy. – Rex szczyrzy zęby i miesza składniki na patelni do sauté.
- A więc osuszyłeś krewetki papierowym ręcznikiem.
- Ponieważ nie są gotowane, można je obficie posolić – dodaje Rex i wrzuca makaron do bulgoczącej wody.

Przez chmurę pary widzi monitor i najświeższą wiadomość na pasku: *Po krótkiej chorobie zmarł minister spraw zagranicznych William Fock.*

Ze strachu czuje mrowienie w żołądku i kompletną pustkę w głowie. Zapomina, gdzie jest i co ma zrobić.

- Teraz już można zdobyć ekologiczne krewetki, prawda? – pyta Mia.

Rex patrzy na nią i kiwa głową, ale nie rozumie, co powiedziała. Drżącymi dłońmi bierze z blatu materiałową serwetkę i ostrożnie ociera czoło, żeby nie zepsuć makijażu.

To program na żywo, Rex wie, że musi wytrzymać, ale potrafi myśleć tylko o tym, co zrobił trzy tygodnie wcześniej.

- To nie może być prawda.

Jedną ręką przytrzymuje się blatu i czuje pot spływający między łopatkami.

- Poprzednio mówiłeś, że można zachować trochę wody po makaronie i dolewać, jeśli chce się zmniejszyć ilość oliwy – mówi Mia.

- Tak, ale...

- Ale nie dzisiaj, prawda? – pyta z uśmiechem.

Rex opuszcza wzrok i spogląda na swoje dłonie, widzi, że nadal działają, że precyzyjnie zwiększyły ogień pod patelnią i właśnie wyciskają sok z cytryny na krewetki. Sok pryska, kiedy Rex ścisną owoc, i pojedyncze krople lądują na brzegu miski. Tkwią tam jak sznur małych

szklanych perełek wypełnionych światłem.

– Okej – szepcze Rex, a jego mózg powtarza, że minister spraw zagranicznych zmarł po krótkiej chorobie.

Był chory i nic z tego, co zrobiłem, nie ma żadnego znaczenia, myśli Rex, biorąc do ręki miskę krewetek.

– Na końcu trzeba podsmażyć krewetki – mówi i widzi, jak oliwa się porusza, tworząc fantazyjne wzory. – Jesteście gotowi? *Um, dois, très...*

Kamera na wózku filmuje dużą miedzianą patelnię, kiedy Rex teatralnym gestem opróżnia miskę i krewetki z urywanym syczeniem spadają na oliwę.

– Duży ogień! Patrzcie na kolor i słuchajcie... Usłyszycie, jak płyn paruje – oznajmia i obraca krewetki.

Rozlegają się trzaski, kiedy wsypuje szczyptę soli. Druga kamera filmuje go z przodu.

– Dajcie kilka sekund, wasza kochana druga połówka może zostać w łóżku, bo potrawa jest już gotowa. – Uśmiecha się i wyjmuje z oliwy różowe krewetki.

– Fantastycznie pachnie, aż nogi się pode mną uginają. – Mia pochyla się nad półmiskiem.

Rex odsącza makaron, szybkim ruchem przekłada go do miski, miesza masło z czosnkiem i papryczkami, wrzuca tłuste krewetki, dodaje trochę białego wina, octu balsamicznego i mnóstwo siekanej natki pietruszki, majeranku i bazylii.

– Weźcie talerze do sypialni – mówi Rex do kamery. – Jeśli chcecie zostać pod kołdrą, otwórzcie wino, a jeśli nie, to doskonale nada się woda.

22

„Minister spraw zagranicznych nie żyje”, powtarza sam do siebie Rex, wychodząc ze studia, w którym goście jedzą jego danie z makaronu. Słyszy, jak je chwala, kiedy popycha dźwiękoszczelne drzwi.

Biegnie korytarzem do garderoby, zamyka za sobą drzwi na klucz, potyka się o własne buty. Chwiejąc się na nogach, idzie do toalety i wymiotuje do muszli.

Wykończony, przemywa wodą usta i twarz, kładzie się na wąskiej leżance i zamyka oczy.

– *Fuck me* – mówi szeptem i czuje, jak napływają niewyraźne wspomnienia z nocy sprzed trzech tygodni.

Był na imprezie w Matbaren, wypił trochę za dużo i wydawało mu się, że jest zakochany w kobiecie, która pracowała dla jakiejś firmy inwestycyjnej o śmiesznej nazwie.

Prawie za każdym razem kiedy się upił, noc kończyła się w towarzystwie jakiejś kobiety.

Jeśli miał szczęście, nie była asystentką w dziale produkcji TV4 ani byłą żoną kolegi, tylko kimś całkiem nieznanym, jak tym razem.

Pojechał z nią taksówką do willi w Djursholm. Była rozwiedziona, a jej jedyne dziecko przebywało na wymianie w Stanach Zjednoczonych. Pocałował ją w kark, a ona wyłączyła alarm i wpuściła go do środka. Zobaczył starego golden retrievera, przechodzącego z pokoju do pokoju.

Oboje wiedzieli, czego chcą, i nie rozmawiali zbyt dużo. Była późna noc i zdawali sobie sprawę, po co tam przyjechał. Wybrał wino z dużej lodówki. Pamiętał, że się zachwiał na nogach, kiedy je odkorkowywał.

Wyjęła ser i ciasteczka, których nawet nie tknęli.

Jakby to było nieuniknione, poszedł za nią wyłożonym chodnikami korytarzem do głównej sypialni.

Kiedy się w niej znaleźli, zapaliła kilka kinkietów rzucających przytłumione światło i zniknęła w łazience.

Wróciła ubrana w koszulę nocną i kimono z tego samego srebrzyście połyskującego materiału. Wysunęła szufladę z nocnego stolika i wręczyła mu prezerwatywę.

Pamiętał, że chciała, żeby wziął ją od tyłu, może dlatego, żeby nie widzieć jego twarzy.

Stała na czworakach. Jej biały tyłek był obnażony, koszula nocna podciągnięta i zebrana w talii, a średniej długości włosy opadały na policzki.

Zabytkowe łóżko trzeszczało, a haftowany aniołek w ramce poruszał się na ścianie.

Oboje byli zbyt zmęczeni, zbyt pijani, ona nie miała orgazmu i nawet nie udawała, wymamrotała tylko: „Muszę iść spać, kiedy skończysz”, opadła na brzuch i zasnęła z szeroko rozłożonymi nogami.

Wrócił do kuchni, wziął sobie koniak i zaczął przeglądać właśnie dostarczoną gazetę.

Minister spraw zagranicznych opowiadał bzdury o potężnych feministycznych siłach, które chcą zniszczyć utarte od wieków role kobiet i mężczyzn.

Rex rzucił gazetę na podłogę i wyszedł z willi.

Z jedną sprecyzowaną myślą w głowie ruszył przed siebie do zatoki Germania i szedł wzdłuż wody aż do willi ministra.

Był zbyt pijany, żeby się przejmować ewentualnym alarmem czy kamerami. Wiedziony absolutnym poczuciem sprawiedliwości, wspiał się na ogrodzenie, przeciął trawnik i wszedł na taras. Każdy mógł go tam zobaczyć. Żona ministra mogła stać w oknie, sąsiad mógł przejechać obok. Rex nic sobie z tego nie robił, a jedyna myśl nie dawała spokoju: musi nasikać do podświetlanego basenu ministra spraw zagranicznych. W tamtej chwili to się wydawało najzupełniej słuszne. Kiedy struga moczu wpływała do błękitnej wody, na twarzy Rexa widniał uśmiech zwycięzcy.

23

Rex ignoruje taksówkę pod drzwiami TV4 i rusza na piechotę. Musi odetchnąć, zebrać myśli.

Kilka miesięcy wcześniej uspokoiłaby go duża szklanka whisky, a potem jeszcze trzy.

Teraz idzie zatłoczoną Lidingövägen i próbuje zrozumieć, ile będzie go kosztowało jego zachowanie, kiedy dzwoni DJ.

– Widziałeś mnie?

– Tak, to było cholernie dobre – odpowiada DJ. – Wyglądałeś, prawie jakbyś sam miał kaca.

– Sylvia też odniosła takie wrażenie. Myślała, że piłem.

– Tak powiedziała? Mogę zaświadczyć, że wczoraj piłeś tylko wodę... właściwie cały ocean.

– Nie wiem... W głowie się nie mieści: muszę udawać alkoholika, żeby nie stracić pracy.

– To nie twoja wina, że trochę wrzuciłeś na luz z...

– Przestań, nie mam na to siły – przerywa Rex.

– Nie miałem nic złego na myśli – odpowiada cicho DJ.

Rex wzdycha i patrzy przez ogrodzenie na wejście na duży stadion, zbudowany z myślą o igrzyskach olimpijskich w 1912 roku.

– Słyszałeś, że nie żyje minister spraw zagranicznych?

– Jasne.

– Nasze wzajemne stosunki były skomplikowane – oznajmia Rex i mija czarne bramki.

– Jak to?

– Nie lubiłem go. – Wchodzi przez furtkę na czerwony tor biegowy, otaczający murawę boiska.

– Nie możesz o tym mówić teraz, kiedy umarł – odpowiada DJ spokojnym tonem.

– Chodzi o coś jeszcze...

David Jordan milczy, gdy Rex przyznaje się do tego, co zrobił: przed trzema tygodniami za dużo wypił i nasikał do basenu ministra.

Na koniec Rex wyznaje, że wziął wszystkie krasnale ogrodowe – wysokie na siedemdziesiąt centymetrów – i wrzucił do podświetlanego basenu.

Wchodzi na trawę i staje pośrodku boiska.

Puste trybuny otaczają go ze wszystkich stron. Przypomina sobie, że niektóre krasnale stały w wodzie na sztorc, zaś inne leżały na dnie, całe w maleńkich bąbelkach powietrza.

– Okej – mówi DJ po chwili ciszy. – Czy ktoś jeszcze wie, co zrobiłeś?

– Kamery.

– W razie skandalu wszyscy inwestorzy się wycofają. Wiesz o tym, musisz to sobie uświadomić.

– Co mam zrobić? – pyta Rex słabym głosem.

– Pójdiesz na pogrzeb – odpowiada powoli DJ. – Dopilnuję, żebyś dostał zaproszenie. Wypowiadaj się we wszystkich mediach społecznościowych, pisz, że odszedł twój najlepszy przyjaciel. Wspominaj o nim i o jego dorobku politycznym z najwyższym uznaniem.

– To się na mnie zemści, jeśli filmy z kamer zostaną upublicznione.

– Wiem, ale możesz temu zapobiec, opowiadając o używanym przez was ostrym języku i zakręconych kawałach, które sobie robiliście... Wspomnij, że czasem posuwaliście się za daleko, ale tacy już byliście, i nie przytaczaj niczego konkretnego. Miejmy nadzieję, że tego filmu już nie ma.

– Dzięki.

– A co właściwie miałeś przeciwko ministrowi spraw zagranicznych? – pyta DJ z zainteresowaniem.

– Zawsze był fałszywą świnią i tyranem... Moim ostatnim kawałem będzie naszczanie na jego grób.

– Tylko żeby nikt nie filmował – odpowiada ze śmiechem David Jordan i rozmowa się kończy.

Rex widzi, jak z latarni podrywa się grupka gołębi. Ptaki zataczają na niebie pół obrotu, rozciągają się w podłużną elipsę, skupiają i lądują z powrotem.

Kiedy Rex wchodzi do sali szpitalnej, Sammy siedzi na zaścielonym łóżku i suszy włosy ręcznikiem.

– Ładny makijaż, tato – mówi ochrypłym głosem.

– To prawda – zgadza się Rex. – Przyjechałem prosto ze studia.

Robi krok w stronę łóżka. Chaotyczne obrazy z płukania żołądka i niepokój wywołany śmiercią ministra nieprzerwanie wysuwają się na pierwszy plan. Przypomina sobie, że w takim momencie musi być spokojny, nie osądzać.

– Jak się czujesz? – pyta ostrożnie.

– Tak sobie – odpowiada Sammy. – Boli mnie gardło. Mniej więcej tak, jakby mi ktoś do niego wciska! rurkę.

– Kiedy wrócimy do domu, ugotuję zupę.

– Minąłeś się z lekarzem... Wygląda na to, że zanim mnie wypuszczą, będę musiał porozmawiać z pedagogiem.

– Umówili cię na konkretny termin?

– Przyjdzie o pierwszej.

– W takim razie do tego czasu zdążę się spotkać z DJ-em – mówi Rex, kiedy dociera do niego, że najpóźniej za pół godziny musi wyjść na spotkanie AA. – Ale zaraz potem wrócę... i pojedziemy taksówką do domu.

– Dzięki.

– Sammy, musimy porozmawiać.

– Okej. – Syn natychmiast zamyka się w sobie.

– Nie chcę więcej tego widzieć.

Sammy odwraca twarz.

– To było dla ciebie trudne – stwierdza.

– Tak – potwierdza Rex.

– Tata jest celebrytą. – Sammy uśmiecha się krzywo. – Tata jest gwiazdą telewizji i nie chce widzieć syna nieudacznika, pedała, który się

maluje i...

- Mam to gdzieś – przerywa mu Rex.
- Masz wytrzymać tylko te tygodnie.
- Nadal liczę na to, że możemy się fajnie bawić, ale musisz obiecać, że spróbujesz.

Sammy unosi brwi.

- Czego mam spróbować? Chodzi ci o Nica?
- To nie jest gadka umoralniająca – wyjaśnia Rex. – Nie mam wyrobionego poglądu, uważam, że miłość to coś, co się wydarza między ludźmi.

– A kto mówi o miłości? – mamrocze Sammy.

– No to seks.

– Byłeś zakochany w mamie?

– Nie wiem – odpowiada szczerze Rex. – Byłem niedojrzały. Ale z perspektywy czasu wiem, że powinienem był z nią zostać... Chciałbym żyć z nią i z tobą.

— Ale serio, mam dziewiętnaście lat, tato, i nie rozumiem, czego ty ode mnie chcesz.

– Żadnych więcej plukań żołądka, tak na początek.

Sammy powoli wstaje i idzie powiesić ręcznik.

– Myślałem, że Nico kontroluje tabletki, które we mnie wpycha – mówi po powrocie. – Ale było ich stanowczo za dużo.

– Na przyszłość sam to kontroluj.

– Jestem słaby... i wolno mi takim być – dodaje szybko.

– W takim razie nie dasz sobie rady. Nie ma miejsca na słabość.

– Okej, tato.

– Sammy, to nie moje słowa. Tak po prostu jest.

Syn Rixa stoi ze skrzyżowanymi rękami oparty o futrynę. Ma czerwone policzki i z trudem przełyka ślinę.

– Tylko nie rób niczego niebezpiecznego – mówi Rex.

– Dlaczego? – odpowiada szeptem Sammy.

24

Żadna organizacja terrorystyczna nie przyznała się jeszcze do zamachu, ale analitycy Säpo uważają, że to nic dziwnego, jeśli wziąć pod uwagę jego szczególny charakter. Ukrytą przyczyną zamachu na ministra spraw zagranicznych jest chęć wystraszenia małej grupki polityków wysokiego szczebla, a nie ogółu.

W niedzielę trwają analizy obszernych badań i ponad dziesięć tysięcy wyników z laboratorium. Wszystko przemawia na korzyść profilu sprawcy jako profesjonalisty. Nie zostawił żadnych odcisków palców ani śladów biologicznych, nie pozostawił po sobie kul ani łusek, nie widać go na filmach z kamer monitoringu.

Udało się zdjąć kilka śladów jego butów, ale tego rodzaju obuwie jest sprzedawane na całym świecie, a analiza naniesionej ziemi nic nie daje.

Saga Bauer siedzi z szefem dochodzenia Janusem Mickelsenem i grupą jego najbardziej zaufanych współpracowników w jednej z sal na najwyższym piętrze kwatery głównej Säpo w Solnie. Janus ma na sobie bladozieloną koszulkę z batikowym wzorem. Kiedy się emocjonuje, jego niemal białe brwi nabierają różowego odcienia.

Wprawdzie zwiększono ochronę ważnych budynków, a kluczowe osoby mają więcej ochroniarzy niż kiedykolwiek, ale wiadomo, że to nie wystarczy.

W sali daje się wyczuć silny stres.

Salim został natychmiast odizolowany w zakładzie Hall, przed transportem na oddział Joony. Nikt nie ma odwagi wierzyć, że izolacja zapobiegnie kolejnym morderstwom. Nawet jeśli nie może wydawać następnych rozkazów, jest całkiem możliwe, że pierwsze trzy zamachy zostały już przygotowane.

Wszystkie nadzieje wiązano z infiltracją, którą Joona ma przeprowadzić w więzieniu. Jeśli mu się nie uda, będą mogli tylko patrzeć, co się stanie w środę.

– Mamy tutaj ekstremalnie dobrze zorganizowanego sprawcę... Nie robi błędów, nie daje się ponieść emocjom, nie czuje strachu – mówi jeden z mężczyzn.

– W takim razie nie powinien był zostawić świadka – stwierdza Saga.

– O ile to nie był tylko alfons, który uznał, że minister tym razem posunął się za daleko – mówi z uśmiechem Janus i zdmuchuje z twarzy kilka rudych loków.

Jeanette i Saga jeszcze trzykrotnie przesłuchały świadka, ale nie pojawiło się nic nowego.

Kobieta obstaje przy swojej historii i nic nie wskazuje na to, że kłamie, choć z drugiej strony nie udało im się potwierdzić, że naprawdę jest prostytutką.

Nikt z branży nie zna Sofii, ale technicy w ciągu dnia wpadli na trop Tamary Jensen – prawdopodobnie jedynej osoby, która mogłaby zaświadczyć o jej profesji.

Sofia dodała jej numer do kontaktów w telefonie. Udało się namierzyć jej komórkę za pośrednictwem trzech stacji bazowych i w efekcie ustalić dokładną pozycję: Tamara poruszała się po małym obszarze na południowy zachód od Nyköpingu.

Nie ma męża i nie przeprowadziła się do Göteborga, jak twierdziła Sofia.

Jej ogłoszenie nadal widnieje na stronie, która określa się mianem pośrednika w ekskluzywnych usługach escortingowych w rejonie Sztokholmu. Na zdjęciach widać dwudziestopięcioletnią kobietę z żywymi oczami i elegancką fryzurą. W jej prezentacji obiecywane jest kulturalne towarzystwo na kolacjach lub w podróży, całe noce i pakiety weekendowe.

Saga Bauer czyta opis dojazdu, a Jeanette Fleming prowadzi ciemnoszare bmw z prędkością stu czterdziestu kilometrów na godzinę. Obie dobrze się ze sobą czują, choć są tak różne, zarówno z wyglądu, jak i z charakteru. Jeanette utrzymuje na miejscu skośną grzywkę spinką z matowego srebra i ma na sobie jasnoszarą spódnicę, biały żakiet,

cienkie rajstopy i szpilki na średnim obcasie.

Gawędzą i podjadają z torebki w schowku obok skrzyni biegów cukierki ze słonej lukrecji.

Saga mówi, że Stefan, jej były facet, wysłał jej wczoraj pijackiego SMS-a z Kopenhagi i chciał, żeby przyszła do niego do hotelu.

– Czemu nie – odpowiada Jeanette i zjada kolejny kawałek lukrecji.

Saga wybuchą śmiechem, a potem w zamyśleniu patrzy przez szybę na przelatujące obok budynki przemysłowe.

– To kretyn, nie rozumiem, jak to możliwe, że zgodziłam się pójść z nim do łóżka – mówi cicho.

– Ale poważnie – odzywa się Jeanette, bębniąc lekko dłonią o kierownicę. – Kogo obchodzą zasady. To jest życie, masz tylko jedno i jesteś sama.

– To twoja rada jako psycholożki? – pyta z uśmiechem Saga.

– Tak mi się wydaje – odpowiada Jeanette i na nią spogląda.

Jest już późny wieczór, kiedy docierają do Nyköpingsbro, nocnej restauracji wybudowanej jak most nad autostradą.

Jeanette robi kółko na parkingu, zanim znajdują starego saaba Tamary. Zatrzymują się tak, żeby go zablokować, i wchodzą do restauracji.

Mężczyzna z tacą płaci i odbiera kartę postojową. Kobieta przy kasie woła, żeby umieścił ją za przednią szybą.

Restauracja jest prawie pusta. Mimo to Saga i Jeanette obchodzą wszystkie stoliki, ale Tamary nie widać. Mijają basen z piłeczkami, w którym nie ma dzieci. Matowe kulki spoczywają za poplamioną szybą obok zielonej tabliczki z informacją turystyczną.

– Okej, wychodzimy – mówi cicho Jeanette.

Na parkingu panuje mrok. Powietrze jest zimne i Saga zapina skórzaną kurtkę, kiedy przechodzą obok ławek i stolików. W przepelnionych śmietnikach buszuje kilka srok.

Idą dalej w stronę miejsc dla zawodowych kierowców, kiedy nagle widzą przed sobą niebieskiego tira. Kiedy podjeżdża, pod jego ciężarem

drży ziemia. Tir zakręca i z sykiem parkuje obok najbardziej wysuniętego pojazdu.

Po tej stronie mostu jest zaparkowanych dziewiętnaście tirów, a za nimi widać rozmazaną czerń świerkowego lasu. Ryk silnika dobiega do nich falami, jak szum morza. Między ciężarówkami jest ciemno i dziwnie ciepło. Zapach benzyny miesza się z wonią moczu i dymu z papierosów. Słychać tykanie rozgrzanego metalu. Brudna woda skapuje z plandeki przed parą wielkich kół.

Ktoś wrzuca pod przyczepę worek ze śmieciami, wchodzi do kabiny, zamyka drzwi i włącza czujnik gazu.

Tu i ówdzie w ciemnościach widać żarzące się papierosy.

Saga i Jeanette wchodzi głębiej pomiędzy wielkie pojazdy. Na asfalcie jest pełno plam oleju i śmieci. Na ziemi leżą puste pudełka po snusie, torebki z Burger Kinga, niedopałki i rozdeptane pismo pornograficzne.

Saga kuca, zagląda pod wózek i kawałek dalej widzi mężczyzn poruszających się pomiędzy samochodami. Ktoś oddaje mocz na oponę. Słychać przytłumione odgłosy rozmów, a za zamkniętymi drzwiami szczeka pies.

Obok nich startuje tir z pasami brudu. Kierowca odpalił wóz, żeby zwiększyć ciśnienie i rozgrzać silnik. Czerwone tylne reflektory oświetlają stos śmieci i pustych butelek na skraju lasu.

Saga znów się pochyła, zagląda pod zardzewiałe podwozie i spostrzega kobietę wychodzącą z kabiny kierowcy. Widać wyraźnie jej chude nogi i glany na koturnie.

25

Saga i Jeanette biegną w kierunku kobiety w glanach, dokładnie w chwili, kiedy brudny tir z hukiem wyjeżdża z parkingu.

Podwozie trzeszczy przy zakręcie. Ciężko sunący tir mija je o włos, muszą się wcisnąć w sąsiedni pojazd, żeby tamten ich nie zgniótł.

Spod ogromnych kół dobywają się trzaski.

W powietrzu zawisa chmura spalin. Jeanette zanosi się zduszonym kaszlem.

Kawałek dalej słychać krzyki i żartobliwe gwizdy jakiegoś mężczyzny.

Okružają drugą ciężarówkę i widzą kobietę w glanach. Zapala papierosa, osłaniając go dłonią.

Płomień zapalniczki rozświetla jej twarz. To nie jest Tamara. Oczy tej kobiety mają czerwone obwódki, a od nosa do kącików ust biegną głębokie zmarszczki. Jej rzadkie włosy są wyblakłe, a odrosty zupełnie siwe. Ma na sobie top z głębokim dekoltem i zamszową spódniczkę.

Stoi przy tirze na polskich numerach i mówi coś do mężczyzny w kabinie kierowcy. Mocno zaciąga się dymem, nagle się chwieje i omal nie upada do tyłu, pomiędzy wózek a naczepę. Saga i Jeanette słyszą, jak mężczyźni z samochodu tłumaczą, że nie są zainteresowani kupnem usług seksualnych. Próbują być grzeczni i mówią, że ich jedyny plan to zadzwonić do dzieci, powiedzieć im „dobranoc” i pójść spać.

Kobieta macha ręką, idzie dalej i puka do kolejnych drzwi i, a wtedy Saga i Jeanette ją doganiają.

– Przepraszamy, czy wie pani, gdzie jest Tamara Jensen? – pyta Saga.

Kobieta sztywno się odwraca i odgarnia włosy z twarzy.

– Tamara? – powtarza ochryple.

– Jestem jej winna trochę pieniędzy – mówi Jeanette.

– Mogę jej oddać, słowo – zapewnia kobieta, powstrzymując uśmiech.

Saga się śmieje.

– Jest tutaj?

Kobieta wskazuje na tył restauracji.

– Sprawdzę – mówi Saga.

Jeanette nadal stoi pomiędzy pojazdami i patrzy, jak Saga odchodzi, cienki kontur na tle świateł restauracji.

– Mogę panią o coś zapytać? – odzywa się do prostytutki.

– Już jestem zbawiona – odpowiada kobieta automatycznie i znów się chwieje na nogach.

Nagie rozlega się ryk silnika tira, obok którego stoją. Wielki pojazd wydaje syk i kolebiąc się, rusza naprzód. Gorące spaliny rozpływają się w powietrzu. Ostatnia opona wjeżdża prosto na butelkę. Słychać brzęk i szklane odłamki z dużą siłą rozpryskują się po asfalcie. Jeanette czuje piekący ból poniżej łydki. Dotyka rozerwanych rajstop, patrzy na koniuszki palców i widzi, że są pokryte krwią. Kiedy z powrotem prostuje plecy, prostytutki już nie ma.

Saga mija restaurację i okrąża budynek z toaletami i prysznicem dla kierowców. Pomiedzy gałęziami widać świecącą żółtą muszlę stacji benzynowej. Na tyłach jest pełno śmieci, starych kartonów po mleku, pasków papieru toaletowego i resztek jedzenia, rozgrzebanych przez ptaki lub inne zwierzęta.

Tamara siedzi na ziemi oparta o ścianę i trzyma usta i nos w foliowym woreczku.

– Tamara?

Kobieta zamyka woreczek i powoli go opuszcza. Jej oczy uciekają do góry, a spomiędzy warg wy dobywa się głębokie westchnienie.

– Nazywam się Saga Bauer i chciałabym porozmawiać o pani najlepszej przyjaciółce Sofii Stefansson.

Tamara patrzy na Sagę, a po jej brodzie spływa a strużka śliny. Włosy są przetłuszczone, a twarz poszarzała i martwa, jak u nieprzytomnego człowieka.

– Jestem najlepszą przyjaciółką tego – oznajmia, lekko unosząc woreczek.

– Wiem, że zna pani Sofię.

Tamara kaszle prosto przed siebie. Prawie upada na bok. ale podpira się dłonią i znów bierze kilka głębokich wdechów z nosem w woreczku.

– Sofia – mamrocze i delikatnie kiwa głową.

– Jest prostytutką?

– Uważa się za lepszą od innych, ale to tępa dzida, która gównie rozumie.

Oczy kobiety się zamykają, a głowa opada na piersi.

– Czego nie rozumie?

– Korzyści z pracy – szepcze kobieta.

– Widziała ją pani kiedyś z klientami?

Tamara wzdycha i znów otwiera oczy. Zauważa, że do jednego z nadgarstków ma przyklejoną prezerwatywę. Chwyta ją dwoma palcami i rzuca na ziemię.

– Mam cholernie dziwny smak w ustach – oznajmia i podnosi wzrok na Sage. – Jeżeli ma pani ochotę zaprosić mnie na coś do picia, to możemy porozmawiać.

– Okej.

Tamara znów kaszle, z wysiłkiem wstaje i zerka na Sage.

Jest bardzo chuda, na rękach i policzkach ma pełno małych ranek, jej wargi są suche i spękane. Spinka do włosów, z której powypadały kamienie, jest zsunięta na pomarszczone czoło.

Nie ma w niej prawie nic, co przypominałoby uśmiechniętą kobietę z internetu.

Tamara zaczyna iść, pochylona do przodu, ze zwieszoną głową. Kiedy wchodzi do restauracji, przez chwilę stoi nieruchomo i się kołysze, jakby zapomniała, dokąd szła, ale w końcu podchodzi do lady.

– Chcę shake'a z czekoladą... i stripsy z keczupem... i dużą pepsi z... z samochodzikami – dodaje i kładzie przy kasie torebkę słodyczy w kształcie samochodów.

Jeanette Fleming, mocno przywierając do ogromnych tirów, idzie w kierunku, w którym zniknęła prostytutka. Bliżej skraju lasu pomiędzy pojazdami jest tak ciemno, że musi wyciągać ręce, żeby znaleźć drogę.

Powietrze paruje od spalin, a niektóre tiry wydzielają ciepło niczym spocone konie.

Jeanette mija kabinę kierowcy z zaciągniętymi kraciastymi zasłonkami.

Nagle zauważa kobietę. prostytutka stoi kawałek dalej, pluje na ziemię i stuka do kabiny, oparta dłonią o wielkie przednie koło.

– Gdzie pani wcześniej pracowała? – pyta Jeanette, kiedy się do niej zbliża.

– W eleganckich kręgach.

– Miała pani klientów w Djursholm?

– Wybieram tylko najlepszych – mamrocze kobieta.

Drzwi się otwierają i ze środka wygląda barczysty mężczyzna w okularach i z rzadką brodą.

Posyła buziaka Jeanette, a potem rzuca niecierpliwe spojrzenie prostytutce.

– Czego chcesz? – pyta.

– Zastanawiałam się tylko, czy nie potrzeba ci trochę towarzystwa – odpowiada prostytutka.

– Jesteś zbyt brzydka – mówi kierowca, ale nie zamyka drzwi.

– Wcale nie – zaprzecza ze spokojem prostytutka, choć jest jasne, że mężczyzna po prostu chce jej dokuczyć.

– Niby gdzie nie jesteś brzydka?

Kobieta podciąga top i pokazuje blade piersi.

– I za to mam ci zapłacić? – pyta kierowca, ale daje jej znak głową, żeby wsiadła.

26

Jeanette widzi, jak kobieta wsiada do kabiny kierowcy i zamyka za sobą drzwi. Czeka w ciemności i po chwili słyszy skrzypienie sprężyn fotela.

Na ziemi poruszają się światła samochodu, cienie szybko uciekają w bok. Śmiech i przytłumione dźwięki muzyki docierają do niej z drugiej strony placu.

Gdzieś słycać krzyk kobiety, jej głos jest gniewny i po pijacku zachrypnięty.

Jeanette zagląda pod naczepę tira. W oddali ktoś rzuca papierosa na ziemię. Żar rozszczepia się na asfalcie i niknie pod butem. Nagle po drugiej stronie coś zaczyna się poruszać. Wygląda to tak, jakby ktoś szedł na czworakach pod tirami i naczepami w jej kierunku. Jeanette czuje dreszcz przebiegający po plecach w kierunku szyi. Rusza w stronę restauracji.

Tir wjeżdża na miejsce parkingowe, ale hamuje z piskiem opon i ją przepuszcza. Ciężko syczy. Pod pojazdem dynda pobrzękujący łańcuch. Jeanette nie może nawiązać kontaktu wzrokowego z kierowcą, ale mimo to wychodzi na drogę i przecina snop ostrego światła.

Podchodzi do restauracji i się odwraca, ale nikt za nią nie idzie.

Jeanette rusza znacznie spokojniejszym krokiem. Myśli, że powinna zdjąć porwane rajstopy i przemyć ranę na nodze, zanim zadzwoni do Sagi.

Idzie dalej do toalet, ale wszystkie są zajęte. Krew zakrzepła już wokół rany i spłynęła po nodze.

Metalowe drzwi jednej z toalet się otwierają i ze środka wychodzi kobieta o tlenionych włosach. Trzyma telefon przy uchu, krzyczy, że miała klienta i że nie może robić wszystkiego naraz. Dziko gestykulując, rusza w stronę tirów i znika jej z oczu.

Na drzwiach kabiny jest przyklejona taśmą kartka z napisem *Nie działa*, ale mimo to Jeanette wchodzi i rygluje drzwi.

To toaleta dla niepełnosprawnych, ma cienkie ścianki działowe z metalu. Białe poręcze są podniesione, a przy podłodze świeci czerwony przycisk alarmowy.

Jeanette zdejmuje podarte rajstopy i je wyrzuca. Kosz jest wypełniony zużytymi prezerwatywami. Na podłodze leży mnóstwo rozmoczonego papieru toaletowego, a ściany są zagryzłone.

Przegląda się w lustrze, wyjmuje z torebki puderniczkę, pochyla się nad umywalką i słyszy, że w ciasnej sąsiedniej toalecie ktoś się porusza.

Pudruje twarz i dostrzega w lustrze, że metr nad podłogą jest okrągła dziura w ścianie, przez którą można zajrzeć do sąsiedniej toalety. Może wcześniej był tam duży uchwyt na papier toaletowy. Jeanette chowa puderniczkę z powrotem do torebki i się odwraca. Nagle zauważa, że ściana jest lekko wybrzuszona.

Ktoś się o nią opiera po drugiej stronie.

Słysząc szelest. Po chwili przez dziurę wpada zmięty banknot i ląduje na podłodze. Rozlega się słabe pukanie w ścianę. Jeanette już ma coś powiedzieć, kiedy w otworze przed nią pojawia się duży penis.

Sytuacja jest tak chora, że Jeanette mimo woli wykrzywia usta.

Przez głowę przelatuje jej wspomnienie, jak czytała o francuskim klubie dla swingersów, w którym są takie pomieszczenia.

Człowiek po drugiej stronie wziął ją za prostytutkę.

Czyste wariactwo.

Przez chwilę stoi nieruchomo, przełyka ślinę, wpatruje się w członek, czuje szybkie bicie serca, spogląda na drzwi toalety i widzi, że są zaryglowane.

Powoli wyciąga rękę i obejmuje palcami ciepły, gruby penis.

Delikatnie go ściska, czuje, jak sztywnieje i się unosi, ostrożnie porusza ręką tam i z powrotem, a potem go wypuszcza.

Nie wie, dlaczego to robi, ale się nachyla i bierze penis do ust, ostrożnie go ssie, czuje, jak rośnie i twardnieje. Przerzywa, żeby złapać oddech, wkłada rękę między nogi, zsuwa majtki i występuje z nich, nie puszczając sztywnego członka.

Próbuje cicho oddychać i myśli, że powinna przerwać to wszystko, że nie wolno jej się tak zachowywać, że oszalała. Czuje w głowie uderzenia pulsu. Obraca się i opiera ręką o rezerwuar. Jej nogi drżą, kiedy staje na palcach, kieruje członek ku dołowi i próbuje go sobie włożyć od tyłu.

Dyszy i znów spogląda na zamek. Słysząc trzask metalowej ścianki, kiedy zostaje popchnięta do przodu, trzyma się mocno rezerwuaru, wypina pośladki i czuje dotyk zimnego metalu.

Saga siedzi w jednym z restauracyjnych boksów i czeka, aż siedząca naprzeciwko naćpana Tamara zje frytki z talerza z keczupem na brzegu. Pod jej nosem dostrzega błyszczącą strużkę przezroczystych smarków. W dole widać ruchliwą autostradę – białe światła sunące w jednym kierunku i czerwone w drugim.

– Jak dobrze znasz Sofię Stefansson? – pyta Saga.

Tamara wzrusza ramionami i pije shake'a przez rurkę. Jej policzki robią się wklęsłe, a czoło bieleje.

– *Brain freeze* – dyszy, kiedy w końcu odrywa się od rurki. – Od zimnego boli mnie głowa.

Dokładnie zanurza każdą frytkę w keczupie, je i lekko się do siebie uśmiecha.

– Jeszcze raz: kim jesteś?

– Przyjaciółką Sofii – odpowiada Saga.

– No tak.

– Czy mogła udawać, że pracuje jako prostytutka?

– Udawać? Co ty gadasz? Raz pracowałyśmy razem w zsywie na śmieci... Brał ją od tyłu... Nie wiem, czy to jest udawanie.

Nagle twarz Tamary z powrotem się wydłuża, jakby pochłonęło ją jakieś absorbujące wspomnienie.

– Dlaczego przestałaś pracować w Sztokholmie?

– Ty też zaszłabyś daleko... Mam kontakty, byłam modelką bielizny... tyle że bez bielizny. – Tamara się trzęsie od bezgłośnego śmiechu.

– Miałaś kiedyś klienta z Djursholm. Duży dom z widokiem na wodę, mówił o sobie Wille – zaczyna Saga spokojnym głosem.

– Może i tak – mówi Tamara, z otwartymi ustami przeżuując frytki.

– Pamiętasz go?

– Nie – odpowiada Tamara, ziewa, wyciera ręce o spódniczkę i wysypuje zawartość torebki na stół.

Na obrus wypadają szczotka do włosów, rulon foliowych worków, szminka, stępiona kredka kajal, prezerwatywy i perfumy Victoria's Secret. A także trzy ciemnobrązowe szklane ampułki petydyny, wyjątkowo uzależniającego leku. Tamara wyciska valium z listka dziesięciu tabletek w pięknym jasnoniebieskim kolorze i popija je pepsii.

Saga cierpliwie czeka, aż tamta włoży przedmioty z powrotem do torebki, a potem pokazuje zdjęcie ministra spraw zagranicznych.

– Mam go w dupie. – Tamara zaciska usta.

– Czy rozmawiał z kimś przez telefon, kiedy tam byłaś?

– Poważnie... był zestresowany i mnóstwo wypił, cały czas gadał, że gliniarze powinni stać na baczność... Powiedział to jakieś sto razy – odpowiada Tamara i szczyrzy zęby.

– Że policja powinna stać na baczność?

– Tak... i że ściga go facet o dwóch twarzach.

Tamara pije jeszcze więcej pepsii i potrząsa kubkiem, tak że kostki lodu grzechoczą.

– W jaki sposób miałby go ścigać?

– Nie pytałam.

Tamara moczy frytki w keczupie i je.

– Co miał na myśli, kiedy mówił o dwóch twarzach?

– Nie wiem, był pijany, może chodziło mu o to, że ten facet ma dwie strony – podsuwa Tamara.

– Co jeszcze powiedział o tym człowieku?

– Nic, to nie było nic ważnego, tylko takie gadanie.

– Miał się z nim spotkać?

– Nie wiem. Nic więcej o tym nie mówił... Ja tylko chciałam, żeby mu było miło, więc zagadnęłam go o te wszystkie obrazy na ścianach.

– Był brutalny w stosunku do ciebie?

– Był dżentelmenem – odpowiada Tamara, jakby nie chciała o tym rozmawiać. Potem wstaje z krzesła i chwiejnym krokiem zmierza do drzwi. Saga rusza za nią, kiedy nagle zaczyna dzwonić jej komórka.

Patrzy na wyświetlacz, widzi, że to Janus Mickelsen, przesuwa palcem po zielonym symbolu i przykłada telefon do ucha.

– Bauer.

– Obejrzeliliśmy wszystkie filmy z kamer znalezione na dysku ministra spraw zagranicznych... Trzyście kamer w dwie godziny, prawie dwadzieścia tysięcy godzin filmu – mówi Janus.

– Widać sprawcę? Przychodził tam na rekonesans?

– Nie, ale na jednym z filmów wyraźnie widać kogoś innego. Po prostu musisz to zobaczyć, zadzwoń, jak będziesz przed biurem, to przyjdę otworzyć.

Saga wie, że Janus cierpi na chorobę dwubiegunową i wkroczył w fazę maniacką – a więc z jakichś powodów przestał brać leki.

– Wiesz, która jest godzina?

– Kij z tym – odpowiada szybko Janus.

– Muszę się przespać, do zobaczenia jutro – mówi spokojnym tonem Saga.

– Przespać – powtarza Janus i wybucha śmiechem, kiedy udaje mu się ją rozszyfrować. – Wszystko ze mną w porządku, Sago, po prostu jestem zaangażowany, tak jak ty.

Saga idzie na parking, widzi pod sobą ruchliwą ulicę, szeroką, szarą autostradę w ciemności.

Dzwoni do Jeanette.

Wygląda na to, że Sofia naprawdę jest prostytutką, przez cały czas mówiła prawdę i nie jest w żaden sposób zaangażowana w morderstwo.

Dlaczego w takim razie mogła przeżyć? – zastanawia się Saga i staje przy samochodzie z poczuciem, że nadal nie ma pojęcia, o co chodzi mordercy.

27

Przy Cedergatan pod Helsingborgiem mieści się duża prywatna posiadłość. Wczesny poranek spowił piękny park szarą mgłą, ale z okna na dole sączy się żółte światło.

Willa z białą otynkowaną fasadą i wyblakłą strzechą stoi wciśnięta jak bursztyn w srebrnej broszce.

Nils Gilbert gwałtownie się budzi. Najwyraźniej zasnął na wózku inwalidzkim. Pali go twarz, a serce mocno bije. Słońce nie dotarło jeszcze do czubków drzew, a dom i park są pogrążone w cieniu.

Ogród w dalszym ciągu przypomina ciemne królestwo śmierci.

Nils próbuje się zorientować, czy przyszedł Ali, czy ma ze sobą taczkę i łopatę z szopy.

W chwili, gdy podejżdża do drzwi kuchni, żeby wpuścić trochę powietrza, słyszy dziwne drapanie. Wydaje się, że dźwięk dochodzi z dużego salonu – prawdopodobnie kot chce wyjść.

– Lizzy?

Odgłos nagle się urywa. Nils przez chwilę nasłuchuje, a potem opada z powrotem na oparcie.

Ręce na podłokietnikach zaczynają się trząść. Nogi drgają i podskakują w bezsensownym tańcu, którego nikt nie chce oglądać.

Ukrywał objawy parkinsona tak długo, jak mógł. Sztywność ramienia, nogę, którą za sobą ciągnął, zmianę charakteru pisma, przez którą sam w końcu nie mógł odczytać zapisywanych przez siebie mikroskopijnych liter.

Nie chciał, żeby Eva coś zauważyła.

A trzy lata temu umarła. Nie domyślili się, że to atak serca, nie wiedzieli, że u kobiet objawy mogą być inne.

Eva od kilku tygodni mówiła, że jest zmęczona.

Była sobota i właśnie wróciła z centrum handlowego Vala z ciężkimi siatkami. Potem skarżyła się na lekkie trudności z oddychaniem i czuła

ucisk w piersi, powiedziała z uśmiechem, że rozkręca jej się gigantyczne przeziębienie.

Kiedy usiadła na kanapie, po jej bladych policzkach spływał pot.

Położyła się, a kiedy zapytał, czy włączyć telewizor, już nie żyła.

Zostali tylko on i gruba Lizzy.

Bywa, że przez całe tygodnie Nils nie ma z kim porozmawiać. Czasami się martwi, że już nie ma głosu.

Jedną z niewielu osób, które widuje, jest dziewczyna sprzątajaca basen. Chodzi w dzinsach i złotej górze od bikini, ale sprawia wrażenie niezadowolonej, kiedy on próbuje z nią porozmawiać.

Gdy po raz pierwszy spróbował coś powiedzieć, spojrzała na niego, jakby miał dziewięćdziesiąt lat albo był mocno opóźniony w rozwoju.

Ci, którzy dostarczają posiłki, zawsze się spieszą, chcą tylko podpisu i pędzą dalej. A rehabilitantka, gniewna kobieta z dużym biustem, wykonuje jedynie swoją pracę, wydaje mu krótkie polecenia i udaje, że nie słyszy jego prób nawiązania rozmowy.

Tylko Ali, Irakijczyk z firmy zajmującej się pielęgnacją ogrodów, czasami wstępuje na kawę.

To właściwie z jego powodu Nils ma otwarty basen, a mimo to nigdy nie miał odwagi zaproponować Alemu kąpeli.

Ali zwykle ciężko pracuje i ma spocone plecy.

Nils wie, że wzywa go o wiele za często i to dlatego ogród tak wygląda – krzewy mają wycięte kontury, żywopłoty są zadbane, a zielone portale i kamienne ścieżki prezentują się perfekcyjnie.

Jest cicho, tu zawsze jest tak cicho.

Nils się wzdyga, kładzie dłonie na obręczach, porusza w jedną i drugą stronę, odwraca wózek i podjeżdża do szafy grającej.

Kupił ją, kiedy miał dwadzieścia lat. To prawdziwy seeburg skonstruowany przez Szweda Sjöberga.

Dawniej czasami zmieniał single, pisał nowe etykiety na maszynie i umieszczał je pod szklaną płytą.

Teraz wyciąga monetę z komory, wkłada ją w szczelinę, słyszy, jak

grzechocze i uruchamia mechanizm, a potem znowu spada do komory.

Przez wszystkie lata używał tej samej jednokoronówki.

Drżącymi dłońmi wystukuje na klawiszach C7. Rozlega się brzęczenie, kiedy mechanizm wyjmuje singiel i kładzie go na talerzu.

Nils się odsuwa i słucha unikalnego początku Stargazer z szybką perkusją. Wraca do przeszłości – do końca lat siedemdziesiątych, kiedy to widział Rainbow na żywo w Konserthuset w Sztokholmie.

Zespół zaczął grać z ponadgodzinnym opóźnieniem, ale kiedy wszedł Dio i zaczął śpiewać Kill the King, fala tłumy przemieściła się pod scenę.

Nils podjeżdża do dużych okien. Każdego popołudnia opuszcza rolety w tych wychodzących na zachód, żeby ostre światło nie uszkodziło dzieł sztuki.

Za nylonowej tkaniny ogród wydaje się ciemniejszy i bardziej szary.

Dla Alego całe to miejsce musi być smutnym manifestem braku dzieci i wnuków.

Nils zdaje sobie sprawę, że dom jest paskudną pokazówką, ogród to przesada, a z basenu nikt nie korzysta.

Jego firma opracowywała zaawansowaną elektronikę do radarów układów sterowania. Nils miał bardzo dobry kontakt z rządem i przez prawie dwadzieścia lat mógł eksportować produkty o podwójnym zastosowaniu.

Nagle po ramionach przechodzi mu dreszcz.

Ma wrażenie, że wśród głośniejszej muzyki słyszy dziecko mówiące wierszyk.

Obraca wózek i wyjeżdża na korytarz.

Głos dobiega z zamkniętego górnego piętra. Nils podjeżdża do schodów, na które nie wchodził od tylu lat, i spostrzega, że drzwi do sypialni na górze są uchylone.

Muzyka ustaje. singiel wśród szumów i trzasków wraca na swoje miejsce. a potem zapada cisza.

Pół roku wcześniej, po tym, jak w koszmarnym śnie zobaczył swoją żonę, Nils zaczął się bać ciemności. Wróciła ze świata umarłych, ale

mogła tylko stać prosto, ponieważ była nabita na gruby drewniany pał. Biegł od nóg przez całe ciało, przez szyję aż do głowy.

Była zła, że nie zrobił nic, aby jej pomóc, że nie zadzwonił do szpitala.

Zakrwawiony pał sięgał aż do podłogi, więc Eva szła za nim w dziwny sposób, na szeroko rozstawionych nogach.

Nils kładzie dłonie na kolanach. Trzęsą się i drżą, oddają się pustej, przesadzonej gestykulacji, która nic nie znaczy.

Kiedy się uspokajają, ściska pasami uda, żeby nie spaść z wózka, gdyby drgawki znów się zaczęły.

Wjeżdża do salonu i się rozgląda. Wszystko jest takie jak zwykle, żyrandol, perskie dywany, marmurowy stół i gustawiańskie kanapy, przywiezione przez Evę z jej rodzinnego domu.

Telefon nie leży już na stole.

Czasami obecność Ewy w domu jest tak realna, że Nils ma wrażenie, iż jej starsza siostra ma dorobione klucze i czai się w domu, jak filmach o Scoobym-Doo, żeby go przestraszyć. Jedzie w stronę kuchni, kiedy nagle zauważa coś kątem oka. Szybko odwraca głowę i ma wrażenie, że w zabytkowym lustrze dostrzega twarz, ale po chwili, jak wiele razy wcześniej, orientuje się, że to tylko plama wilgoci na szkle.

Wydaje słaby okrzyk:

– Lizzy?

Rozlega się stuk szuflady w kuchni, słychać kroki na podłodze. Nils nieruchomieje z mocno bijącym sercem, obraca się z wózkiem i wyobraża sobie krew ściekającą po pału pomiędzy nogami Ewy.

Bezgłośnie popycha obręcz, podjeżdża do dużych drzwi werandy, słyszy lekki szmer kół na parkiecie.

Eva na szeroko rozstawionych nogach idzie przez kuchnię, pał szura o klinkierową podłogę, zostawia za sobą krwawy ślad i uderza o próg jadalni.

Znów słychać głupawy wierszyk.

Z pewnością dobiega z radia w kuchni.

Rozlega się ciche brzęknięcie, kiedy podpórki pod stopy uderzają

o szklane drzwi.

Nils patrzy na zamknięte drzwi jadalni, odbite w oknie wychodzącym na ogród.

Jego dłonie drżą, a sztywność karku sprawia, że trudno mu się pochylić i wcisnąć przycisk opuszczający żaluzje.

Szary nylonowy materiał podjeżdża z terkotem do góry niczym kurtyna, a stojące z przodu drzewa, kawałek po kawałku, ukazują się w świetle świtu.

Leżaki są wystawione, w zagłębieniach poduszek zebrały się igły świerkowe. Oświetlenie basenu jest wyłączone, ale ciepła woda paruje.

Gdy tylko roleta jest podniesiona, może otworzyć drzwi i wyjechać.

Zamierza poczekać na zewnątrz na Alego, poprosić, żeby obejrzał dom. przyznać się do strachu przed ciemnością i do tego, że co noc zapala wszystkie światła. Może mu dopłacić, żeby na chwilę został.

Drżącą dłonią przekręca klucz w zamku. Słychać kliknięcie. Naciska klamkę i lekko popycha drzwi.

Cofa się, patrzy na jadalnię i widzi, że powoli się otwierają od przeciagu.

Wjeżdża prosto w drzwi i werandy, z największą siłą, na jaką go stać. Otwierają się, a wtedy na skraju pola widzenia dostrzega postać zbliżającą się od tyłu.

Słuszy ciężkie kroki, kiedy wyjeżdża na kamienną ścieżkę i czuje na twarzy chłodne powietrze.

– Ali, to ty?! – krzyczy przestraszonym głosem, posuwając się naprzód.
– Ali?!

W ogrodzie panuje spokój, szopa na narzędzia jest zamknięta. Nad ziemią unosi się poranna mgła. Rosnące przy brzegu pałki drżą na lekkim wietrze.

Próbuje obrócić wózek, ale opona klinuje się w szczelinie pomiędzy dwoma kamieniami. Nils nie może złapać tchu. Próbuje powstrzymać drgawki, wciskając dłonie pod pachy.

Ktoś zbliża się do niego od strony domu, Nils rzuca okiem przez ramię.

W jego stronę idzie mężczyzna z czarną walizką. Jest zamaskowany. Jak kat.

Nils szarpie obręcz, ale nie może się uwolnić.

Już ma ponownie zawołać Alego, kiedy zimna ciecz zalewa mu głowę, spływa z włosów na kark, twarz i klatkę piersiową.

Po chwili dociera do niego, że to benzyna.

Czarna walizka to plastikowy kanister z benzyną do kosiarki.

– Poczekaj, proszę, mam mnóstwo pieniędzy... Obiecuję, mogę oddać wszystko. – Nils dyszy i kaszle od oparów.

Zamaskowany mężczyzna okrąży Nilsa, wylewa resztę benzyny na jego klatkę piersiową i upuszcza pusty kanister na ziemię przed wózkiem.

– Boże, proszę... zrobię wszystko...

Mężczyzna bierze do ręki pudełko zapalek, wypowiada kilka niezrozumiałych słów, które przenikają szalejącą w nim histerię, są jak błyszczące monety wpadające do studni życzeń.

– Nie rób tego, nie rób tego, nie rób tego...

Próbuje odczepić pas, który trzyma jego uda, ale materiał jest poskręcany i nie da się go poluzować.

Nils szarpie i ciągnie. Mężczyzna bez pośpiechu zapala zapalniczkę i rzuca ją na kolana.

Rozlega się syk i huk, jakby ktoś skoczył ze spadochronem.

Anioł śmierci zaciska na nim swoje straszliwe skrzydła.

Jego piżama i włosy stają w płomieniach.

Przez niebieską poświatę widzi, jak zamaskowany mężczyzna cofa się przed gorącym.

Kiedy wszystko wokół szaleje, w głowie znów wyświetla mu się dziecinny wierszyk. Nie może wciągnąć powietrza w płuca, czuje się, jakby tonął, a potem nagle dochodzi ból, absolutny i wszechogarniający.

Nigdy nie przypuszczał, że coś może być tak nieprzyjemne.

Nachyla się i skulony w pozycji embrionalnej słyszy odległy, metaliczny dźwięk topiącego się wózka.

Myśli jeszcze, że taki dźwięk wydaje szafa grająca, kiedy wyszukuje nową płytę. Potem traci przytomność.

28

Kiedy strażnicy z dyspozytorni odbierają komunikat, że więzień z Hall minął rozwidlenie i idzie tunelem do budynku D, natychmiast wstępuje w nich energia.

Przez pancerną szybę widzą, że Joon Linna, jak nigdy, siada przy tym samym stole co przywódca Bractwa Reiner Kronlid i je śniadanie. Obaj przez chwilę rozmawiają, a potem Joon wstaje z krzesła, bierze kubek z kawą i kanapkę i siada przy następnym stoliku.

– Co on wyrabia, do cholery? – pyta jeden ze strażników.

– Może dowiedział się czegoś o tym nowym chłopaku.

– Albo chodzi o przepustkę.

– Wczoraj dostał zgodę. – Trzeci strażnik kiwa głową. – To jego pierwszy raz.

Joon patrzy na strażników obserwujących go przez szybę, odwraca się do Sumo i zadaje to samo pytanie, które chwilę wcześniej zadał Reinerowi Kronlidowi:

– Co mogę dla ciebie jutro zrobić?

Sumo siedzi od ośmiu lat za podwójne morderstwo i wie, że motyw był nieporozumieniem.

Jego twarz jest zapadnięta ze smutku, zawsze wygląda na smutnego, jakby przed chwilą płakał, a teraz próbował się opanować i powstrzymać drżenie głosu.

– Kup różową różę... najładniejszą, jaką znajdziesz... Daj ją Outi i powiedz, że ona jest moją różą, i... I powiedz, że przepraszam... przepraszam, że zniszczyłem jej życie.

– Nie chcesz, żeby tu przysłała? – Joon spogląda mu w oczy

Sumo tylko kręci głową i przenosi wzrok na okno. Patrzy na szare ogrodzenie ze spiralami drutu kolczastego na szczycie i monotony brudnożółty mur w tle.

Joon odwraca się do następnego więźnia przy stole. To Luka

Bogdani, niski mężczyzna, którego niepowodzenia życiowe utrwaliły się w postaci wyniosłego wyrazu twarzy.

– A ty?

Luka się nachyla i mówi szeptem:

– Chcę, żebyś sprawdził, czy mój brat zaczął się pozbywać moich pieniędzy.

– Gdzie mam pytać?

– Nie, kurwa. Nie masz pytać, tylko przyjrzeć się tym pieniądzom, policzyć je. Ma być dokładnie sześćset tysięcy.

– Wiesz, że nie mogę – odpowiada Joon. – Chcę stąd wyjść, a to są pieniądze z napadu, więc gdybym...

– Jebany glina – syczy Luka i przewraca swój kubek z kawą.

Joon nadal chodzi między stolikami w jadalni. Pyta każdego z więźniów, co może dla niego zrobić w czasie przepustki. Zapamiętuje wszystkie pozdrowienia i zlecenia i czeka na przyście Salima Ratjena.

Joon wytłumaczył premierowi, że do prześwietlenia Ratjena potrzebuje trzydziestosześcigodzinnej przepustki zaczynającej się w poniedziałek.

– W takim razie będziesz miał niewiele godzin tu w środku na sprawdzenie, co on wie – odparł ostrzegawczym tonem premier.

Joon nie zdradził mu, że krótki czas nie jest ograniczeniem, lecz warunkiem.

Zanim wyszedł z sali widzeń, zapytał o swoje uprawnienia w razie ekstremalnych sytuacji.

Kącki wąskich ust premiera drgnęły.

– Jeżeli zatrzymasz terrorystów, są niemal nieograniczone.

Reiner Kronlid wstaje od swojego stolika, nerwowo pociera usta i spogląda w kierunku korytarza i drzwi służby. Stoi nieruchomo, ze sztywnym karkiem, w końcu oblizuje wargi i siada z powrotem. Kiedy mówi, wszyscy przy stoliku Bractwa nachylają się ku niemu.

Joon widzi przez pancerną szybę, jak światło w korytarzu się rozdziela, drżąca szara pozioma linia jest coraz szersza i po chwili widać

trzy postaci.

Zamek brzęczy i dwóch strażników przekazuje nowego więźnia – Salima Ratjena.

Dyżurny dowódca kiwa głową, a jeden ze strażników przyjmuje podpis.

Salim Ratjen ma okrągłą, inteligentną twarz. Jego rzadkie włosy są zaczesane do tyłu, a wąsy przyprószone siwizną.

Niesie swoje rzeczy w szarym worku ochrony więzienia i nie patrzy nikomu w oczy.

Strażnik wchodzi za nim do celi, a potem z powrotem do kuchni i jadalni.

Salim siada z miską i kubkiem kawy na wolnym krześle obok Magnusa Duuy.

Joona wstaje, podchodzi i zajmuje miejsce przy stole naprzeciwko Salima, odwraca się do Magnusa i pyta, co może dla niego zrobić w czasie przepustki.

– Idź do mojej siostry i obetnij jej nos – odpowiada Magnus.

– Co miesiąc przysyła ci pieniądze – mówi Joona.

– Nie zapomnij tego sfilmować. – Magnus się uśmiecha.

Salim słucha ze spuszczoną głową i je musli z kwaśnym mlekiem.

Reiner i dwaj jego ludzie stają przed szybą dyspozytorni i rozmawiają, żeby na kilka sekund zasłonić widok.

Dwaj pozostali mężczyźni z Bractwa przechodzą przez stołówkę. Ich potężne przedramiona zwisają sztywno wzdłuż tułowia. Jeden z nich ma tatuaż przedstawiający wilka otoczonego zawiniętym drutem kolczastym. Ręka drugiego jest obwiązana brudnym bandażem.

To złe miejsce na morderstwo, myśli Joona i odwraca się do Salima Ratjena.

– Mówisz po szwedzku? – pyta Joona.

– Tak – odpowiada Salim, nie podnosząc wzroku.

Za plecami Joony mężczyźni mijają ostatni stolik i idą dalej w kierunku toalet.

– Być może wiesz, że niedługo wychodzę na przepustkę i pytam tu wszystkich, czy mogę coś dla nich zrobić... Nie znamy się, ale ty pewnie posiedzisz tu dość długo, więc pytam też ciebie.

– Dzięki, ale poradzę sobie sam – odpowiada cicho Ratjen.

– Bo jestem niewiernym?

– Tak.

Srebrna plastikowa łyżka drży w piegowatej dłoni Ratjena.

Krzesa szurają po podłodze, a po drugiej stronie sali dwóch chłopaków z Malmö wstaje z miejsc.

Imre o złotych zębach mierzy prawie dwa metry wzrostu, a Darko wygląda jak sześćdziesięcioletni pracownik kopalni.

Ludzie z grupy Reiner'a zaczynają się głośno skarżyć, że kawa była lurowata. Stają przodem do szyby.

– Nie oszukacie nas, do cholery! – krzyczy jeden z nich. – Zanim Albańczycy tu się pojawili, kawa była dobra!

Dwaj strażnicy za szybą zaczynają się przygotowywać do wejścia, żeby ich uspokoić.

Członkowie Bractwa, którzy przeszli za plecami Joony, zawracają w korytarzu i ruszają w stronę Salima. Wkładają kaptury i odwracają się plecami do kamer CCTV.

Nie są uzbrojeni, chcą tylko nastraszyć.

Joona siedzi na miejscu. Wie, że wkrótce przystąpią do ataku. Salim w dużym stopniu kierował handlem narkotykami w Hall. Reiner Kronlid musi *go* nastraszyć albo od razu zabić, żeby nie stracić tej kontroli.

– Zacznie w pralni, ale jeśli będziesz chciał, możesz też się uczyć – mówi spokojnym tonem Joona. – Mamy tu kółko naukowe... Może cię to nie interesuje, ale w tym roku trzech zdobyło wykształcenie pozwalające zdawać do szkoły średniej i...

Pierwszy z mężczyzn popycha Salima. Krzesło się przewraca, Salim upada na bok i podpira się ręką, miska uderza o ziemię, mleko się rozlewa.

Salim próbuje wstać, ale drugi z napastników kopie go w klatkę piersiową, tak że Salim upada do tyłu, na krzesła.

Wyciąga prawą nogę, podeszwa jego buta rysuje ślad w mleku.

Joona siedzi i pije kawę.

Chłopaki z Malmö są już na miejscu i wchodzą pomiędzy nich z wysoko podniesionymi głowami. Odsuwają ludzi z Bractwa, z uśmiechem mówią po arabsku.

Strażnicy są już w jadalni i rozdzielają grupy.

Salim znów się podnosi. Próbuje wyglądać na niewzruszonego, stara się ukryć strach, masuje bolący łokieć i siada na swoim miejscu.

Joona podaje mu papierową serwetkę.

– Dziękuję.

– Chyba masz trochę mleka na koszuli.

Salim wyciera plamę i składa serwetkę. Joona myśli, że atak był pozorowany i został przeprowadzony tylko dla zmylenia.

Zerka na Reintera, aby wyczytać coś z jego twarzy, i domyśla się, że za chwilę czeka go druga fala.

Strażnicy rozmawiają z dwoma napastnikami, którzy mówią, że Salim Ratjen ich sprowokował.

Kiedy zjawia się ochrona z pałkami i gazem łzawiącym, sytuacja już dawno jest opanowana.

Joona wie, że jedynym sposobem na prześwietlenie Salima i jego organizacji przed środą jest wykorzystanie tego, że przeniesiono go z Hall bez zapowiedzi.

Zapewne zbudował tam organizację służącą do ochrony i komunikacji ze światem zewnętrznym.

Liczył się z tym, że może zostać zdemaskowany, ale nie z czymś takim.

Jeżeli rzeczywiście kierował z za krat ugrupowaniem terrorystycznym, to nagle został od tego całkowicie odcięty.

Jako szef operacyjny musi natychmiast znaleźć posłańca, stworzyć nowe połączenie.

Jeśli ustalenia wywiadu Säpo są zgodne z prawdą i Salim Ratjen ma

dać zielone światło do zamachu w środę, to jest w rozpaczliwej sytuacji.

Joona patrzy na Salima ściskającego w dłoni kubek i spostrzega, że na ciemnobrunatnej powierzchni kawy uformował się jaśniejszy krąg.

– Nie piłbym tej kawy – mówi.

– Słusznie – odpowiada Salim.

Szybko dziękuje Bogu za jedzenie i wstaje.

Joona mówi mu, żeby jeszcze raz przemyślał sprawę kółka naukowego.

Wszyscy mają dziesięć minut na doprowadzenie się do porządku, zanim wyruszą do pracy w pralni, na zajęcia albo do warsztatu.

Kiedy Joona wchodzi do swojej celi, widzi, że była przeszukiwana: łóżko jest wybebeszone, ubrania leżą porozrzucane po podłodze, ktoś chodził po jego listach, książkach i zdjęciach.

Wchodzi i z powrotem wiesza zdjęcia swojej córki Lumi, klepie ją po policzku i zaczyna sprzątać.

Podnosi zachowane listy i je rozprostowuje, nieruchomieje z pierwszym listem od Valerii w rękę i przypomina sobie, że dostarczono mu go tutaj w Boże Narodzenie. Jedli świąteczne potrawy, nie popijając wódką, a potem na oddział przyszedł Święty Mikołaj.

„Ho, ho, ho, czy są tu jacyś niegrzeczni chłopcy?” – zawołał.

Pierwszy list od Valerii był jak fantastyczny prezent świąteczny. Wieczorem usiadł w swojej celi i zaczął czytać:

Kochany Joono,

pewnie się zastanawiasz, dlaczego do Ciebie piszę po tylu latach. Odpowiedź jest prosta. Szczerze mówiąc, wcześniej nie miałam odwagi. Dopiero teraz, kiedy siedzisz w więzieniu, byłam w stanie się na to zdobyć.

Oboje wiemy, że poszliśmy w życiu zupełnie różnymi drogami. To, że Ty zostałeś policjantem, raczej nie było zaskoczeniem, ale nigdy w życiu bym nie pomyślała, że ja pójdę w przeciwnym kierunku – dobrze o tym wiesz. Nie sądziłam, że to we mnie siedzi, ale tak już bywa, człowiek wybiera krętą ścieżkę, która wiedzie naprzód i prowadzi go do miejsca,

w którym absolutnie nie chciałby się znaleźć.

Dziś jestem innym człowiekiem, mam zwykłe życie, jestem rozwiedziona, mam dwóch dorosłych synów i od wielu lat pracuję jako ogrodnik, ale nigdy nie zapomnę, jak to było siedzieć za kratkami.

Pewnie masz żonę i masę dzieci, które cały czas Cię odwiedzają, ale gdybyś czuł się samotny, chętnie do Ciebie wpadnę.

Wiem, że kiedy się poznaliśmy, byliśmy bardzo młodzi, że to była tylko ostatnia klasa liceum, ale nigdy nie przestałam o Tobie myśleć.

Najserdeczniejsze pozdrowienia Valeria

Joona składa list, kładzie go razem z innymi, podnosi z podłogi pościel i ją strzepuje. Nie ma odwagi myśleć, że zadanie od premiera może prowadzić do ułaskawienia.

Poczucie odizolowania i bezsilność byłyby zbyt silne, gdyby zaczął fantazjować o wolności.

Zacząłby tęsknić za wyjazdem do Paryża na spotkanie z Lumi, za Valerią, za odwiedzeniem grobu Disy w Hammarby, za wycieczką na północ, do miejsca spoczynku Summy.

Tłumi tęsknotę, ścieląc łóżko. Wyrównuje prześcieradło pod materacem, poprawia poduszkę i kładzie ją na miejscu.

29

Po trzech godzinach nauki Joono i Marko wychodzą przez służbę z biblioteki i wracają korytarzem na obiad.

System bezpieczeństwa w więzieniu Kumla ma za zadanie ograniczyć możliwość ruchu i kontaktu między ludźmi.

Tak długo jak to możliwe, więźniowie przemieszczają się sami, sekcja za sekcją, żeby ewentualne zamieszki nie przeniosły się z jednego oddziału na kolejne. Dzięki temu można je stłumić w jednym miejscu.

Joono i Marko dochodzą do rozwidlenia w kształcie litery T. Salim i chłopaki z Malmö już tam są i czekają na otwarcie drzwi. Imre znów naciska przycisk.

Salim patrzy na stare malowidło ściennie z lat osiemdziesiątych. Przedstawia wyblakłą plażę z młodą kobietą w bikini.

– Kiedy wy pierzecie dwadzieścia ton majtek i prześcieradeł, ja przerabiam materiał z liceum – mówi z uśmiechem Marko.

Zamiast odpowiedzi Salim pisze *fuck you* małym kawałkiem ołówka na plecach kobiety.

Po obiedzie więźniowie mają do dyspozycji godzinę na spacerunku. To jedyny czas, kiedy mogą poczuć wiatr na twarzy, latem podążyć wzrokiem za motylem, a zimą rozdeptać lód w kałuży.

Kiedy Joono wychodzi, spostrzega, że Salim jest sam. Stoi odwrócony plecami do srebrnego ogrodzenia.

Spacerunek nie jest zbyt duży, z dwóch stron otaczają go długie budynki, a z dwóch pozostałych – ogrodzenie. Za ogrodzeniem jest wysoki mur, a za murem elektryczna siatka.

Nad murem nie widać jednak wierzchołków drzew, a jedynie szare niebo.

Dwaj strażnicy obserwują więźniów na boisku do siatkówki i na wysypanej żwirem ścieżce spacerowej.

Większość pali, niektórzy stoją w grupach i rozmawiają. Joono zwykle

trenuje biegi, ale tego dnia spaceruje z Markiem i stara się trzymać blisko Salima, nie podchodząc do niego.

Od strony fabryki koncernu Procordia w dzielnicy przemysłowej dobiega głośny szum wentylatora.

Joona i Marko mijają pustą szklarnię z odrapanego pleksiglasu. Reiner staje na boisku przy siatce i odwraca się do jednej z kamer monitoringu. Reszta Bractwa stoi w ciasnym kręgu i rozmawia.

Joona wie, że może się rozpętać awantura. Powiedział już Markowi, żeby poszedł po strażników, gdyby coś się działo.

Mijają snop światła słonecznego, które dociera za mur. Ich długie cienie rozciągają się aż do Salima Ratjena, który nadal stoi nieruchomo, oparty plecami o ogrodzenie.

Marko przystaje i zapala papierosa. Joona idzie dalej w prawo i już ma minąć Ratjena, kiedy ten robi krok w jego stronę.

– Dlaczego miałbyś mi robić przysługę? – pyta Ratjen i patrzy uważnie na Jooneę żółtobrazowymi oczami.

– Żebyś miał wobec mnie dług, kiedy wrócę – odpowiada z powagą Joona.

– Dlaczego mam ci ufać?

– Wcale nie musisz. – Joona idzie dalej.

Rolf z Bractwa rusza w ich stronę. Reiner odbija piłkę od ziemi i coś krzyczy do dwóch mężczyzn, którzy zaatakowali Ratjena przy śniadaniu.

– Wiem, kim jesteś, Linna – mówi Salim Ratjen.

– To dobrze.

Joona zatrzymuje się z powrotem.

– Ostro cię potraktowali w sądzie.

– Muszę poprosić, żebyś zachował dystans – oznajmia Joona. – Nie wchodzę w skład żadnych grup, z tobą czy z kimkolwiek innym.

– Przepraszam – mówi Salim, ale się nie odsuwa.

Joona widzi, że dwaj mężczyźni z Bractwa zaczynają szurać nogami po żwirowej ścieżce, wzniecając chmurę pyłu.

Marko zestresowany patrzy w prawo i podchodzi do Joony.

Reiner podaje piłkę Rolfowi, który natychmiast ją oddaje.

Pył powoli szybuje w promieniach słońca. Reiner chwytą piłkę oburącz i idzie w stronę Salima.

– Reiner wkrótce przystąpi do ataku – mówi Jooną.

Obraca się, widzi, że dwaj pozostali mężczyźni podchodzą z drugiej strony. Obaj ukrywają przy ciele broń.

Wzbijają jeszcze więcej pyłu na ścieżce, żartują ze sobą, popychają się i podchodzą bliżej.

Marko zostaje zatrzymany przez kilku ludzi z Bractwa. Łapią go za ramiona, przytrzymują, udają żarty.

Albańczycy z Malmö palą ze strażnikami.

Chmura pyłu na spacerunku gęstnieje, do strażników zaczyna docierać, że coś się święci.

Jooną z wyciągniętymi rękami robi kilka kroków w stronę Rolfa, stara się go uspokoić.

– Odłóż broń – mówi.

Rolf trzyma w ręku zaostzony wkrętak, typową broń kłującą, która ogranicza możliwą liczbę ataków. Jooną przypuszcza, że tamten spróbuje uderzyć prosto w gardło albo zamachnąć się z prawej, pod jego lewe ramię.

Reiner nadal trzyma piłkę, jednocześnie zachodzi Salima od tyłu. W drugiej dłoni próbuje ukryć ostrze.

Jooną się cofa, chce zmusić Rolfa, żeby za nim poszedł.

Marko się wyrывa, woła do strażników i przyjmuje mocny cios w tułów.

Salim słyszy krzyk i się obraca. Piłka trafia go w twarz i zmusza do zrobienia kroku w tył, ale mimo to udaje mu się chwycić rękę Reinerą z nożem. Trzyma ostrze z dala od siebie, ale się potyka i upada do tyłu na ogrodzenie.

To znacznie bardziej agresywny i niebezpieczny atak, niż Jooną się spodziewał.

Rolf coś mamrocze i wykonuje pchnięcie śrubokrętem. Jooną robi

unik, zmienia tor ruchu ręki z wkrętakiem i chwyta rękaw kurtki Rolfa od tyłu. Z całej siły wbija lewy łokieć pod pachę przeciwnika. Cios jest tak silny, że kość ramienna się łamie, ale główka stawu pozostaje w panewce łopatki.

Rolf, jęcząc, upada do przodu, uderza o ziemię, a przedramię dynda bezwładnie na mięśniach i więzadłach.

Żwirową ścieżką nadbiega jeden z mężczyzn. Ma domowej roboty pałkę z ciężkimi nakrętkami.

Joona próbuje zablokować cios, ale jest już za późno. Pałka trafia go w plecy, a łopatka eksploduje palącym bólem. Joona upada na kolana, kaszląc, z powrotem staje na nogi, spostrzega zbliżający się cios, odsuwa głowę i czuje lekkie pchnięcie, kiedy broń muska jego ciemię.

Wykorzystując impet mężczyzny, chwyta jego ramię z pałką, przyciąga go do siebie, przerzuca przez biodro i kolanem przygniata mu klatkę piersiową do ziemi.

Rolf nadal chwiejnym krokiem idzie do przodu, oszołomiony chwyta się za ramię i wyje z bólu.

Salim opiera się zakrwawioną ręką o ziemię i wstaje.

Nadbiega Marko, staje zasapany przed Jooną i ociera krew z ust.

– Biorę to na siebie – mówi.

– Nie musisz – odpowiada szybko Joona.

– Jest okej – dyszy Marko. – Ty masz przepustkę, musisz się spotkać z Valerią.

Pył wciąż opada, kiedy Joona idzie w stronę Salima Ratjena.

Reiner rzuca nóż na ziemię i się wycofuje.

Chłopaki z Malmö podchodzą z drugiej strony. Zdenerwowani strażnicy rozmawiają przez urządzenia systemu TETRA.

Joona bierze Salima i rusza w stronę chłopaków z Malmö, ci się rozdzielają, przechodzą obok i na powrót zwierają szyki.

Marko podchodzi do mężczyzny, którego Joona rzucił na ziemię, znów przewraca go na plecy i bije po twarzy, podczas gdy strażnicy okładają go pałkami sprężynowymi.

Marko pada na ziemię i zwija się w kłębek. Strażnicy nie przestają bić. Próbuje chronić twarz i kark, ale biją, aż całkiem wiotczeje.

– Przepraszam – zwraca się Salim do Joony.

– Powiedz to Markowi.

– Powiem.

Salim krwawi z ramienia i dłoni, ale w ogóle nie zwraca na to uwagi.

– Reintera trudno rozgryźć – stwierdza Joona. – Nie wiem, czego od ciebie chce, ale najlepiej chyba trzymać się od niego z daleka.

Widzą, że strażnicy wchodzą na spaceriak z noszami.

– Co będziesz robił na przepustce? – pyta Salim.

– Szukał pracy.

– Gdzie?

– W Krajowej Policji Kryminalnej – odpowiada Joona.

Salim wybuchą śmiechem, ale poważnieje, kiedy jego spojrzenie pada na stojącego przy siatce Reintera.

– Chyba wierzysz, że stąd wyjdiesz – mówi nagle Salim.

– Marko weźmie winę na siebie.

– Mógłbyś wyświadczyć mi przysługę?

– Jeśli zdążę.

Salim gładzi się po nosie i zbliża się o krok do Joony.

– Naprawdę muszę przekazać pozdrowienia żonie – mówi cicho.

– Jakie pozdrowienia?

– Niech zadzwoni pod pewien numer i zapyta o Amirę.

– Tylko tyle?

– Zmieniła abonament, więc musisz do niej podjechać. Mieszka pod Sztokholmem, w Bandhagen przy Gnestavägen 10.

– Dlaczego miałyby mnie wpuścić?

– Powiesz, że przychodzisz z pozdrowieniami od *da gawand halak*, czyli ode mnie. To znaczy „chłopak z sąsiedztwa” – dodaje z nikłym uśmiechem. – Parisa jest nieśmiałą dziewczyną, ale jeśli powiesz, że masz pozdrowienia od *da gawand halak*, to cię wpuści... Kiedy będziesz w środku, zaproponuje ci herbatę, a ty się zgodzisz... ale poczekasz

z przekazaniem pozdrowień do czasu, aż postawi oliwki i chleb.

30

David Jordan zdejmuje buty, rozmawiając jednocześnie przez telefon z dyrektorem programowym wiadomości w TV4.

Dyrektor mówi, że właśnie montuje dłuższy materiał na temat ministra spraw zagranicznych do wydania o dziesiątej wieczorem.

DJ wchodzi do domu i dalej do jadalni. Przez okna wpada światło od wzburzonego morza.

– Wiedziałeś, że Rex Müller i minister przyjaźnili się w dawnych czasach? – pyta DJ.

– Nie. Naprawdę?

– A poza tym myślę... a raczej wiem, że Rex jest gotów współpracować, jeśli chcecie mieć osobisty punkt widzenia – odpowiada, wodząc wzrokiem po skalach, w kierunku pomostu.

– To byłoby naprawdę wspaniałe.

– W takim razie poproszę, żeby do ciebie zadzwonił.

– Najszybciej, jak się da – mówi dyrektor.

Spienione fale uderzają o pomost, łódź napręża liny, a odbijacze podskakują na wodzie.

Po zakończeniu rozmowy DJ wysyła SMS-a do Rexa. Pisze, że dyrektor programowy połknął przynętę, ale z telefonem lepiej poczekać czterdzieści minut, żeby nie przesadzić z gorliwością.

DJ napisał już kilka tekstów, które Rex może umieścić w mediach społecznościowych. Jest pewny, że wpisy razem z wywiadem w telewizji zapobiegą skandalowi. Jeśli ludzie się dowiedzą, że Rex nasikał do basenu ministra, zinterpretują jego zachowanie jako ostatni żart między przyjaciółmi. Rex powie, że minister na pewno zanosił się od śmiechu, kiedy przed poranną drzemką oglądał film z monitoringu.

DJ stoi przy oknie. Myśli krążą mu w głowie. Zajmował się problemami Rexa, a tymczasem najwyższy czas, aby przystąpił do rozwiązywania własnych. W ostatnim czasie w jego życiu wydarzyło się

wiele rzeczy, o których nie ma z kim porozmawiać.

Rex z pewnością by go wysłuchał, ale praca DJ-a polega na pomaganiu Rexowi, a nie obciążaniu go swoimi zmartwieniami.

Wraca do kuchni, staje przed czarną skórzaną teczką leżącą na marmurowym blacie biurka i myśli, że przed podjęciem decyzji powinien przynajmniej dokładnie przestudiować zawartość.

Światło przenika przez spienione fale fiordu jak przez płynne szkło. David Jordan wyciąga prawą rękę i próbuje otworzyć teczkę, ale zacisk tkwi zbyt mocno. Palce są bezsilne. Ogarnia go wielkie zmęczenie, szyja prawie nie ma siły utrzymać głowy.

Słabymi dłońmi DJ przeszukuje kieszenie, znajduje fiolkę modiodalu, wysypuje tabletki na blat, odrzuca puste opakowanie i słyszy, jak fiolka uderza o podłogę. Kładzie tabletkę na języku i połyka.

Nie może już zamknąć ust, ale czuje, jak tabletkę przesuwają się w dół. Ostrożnie próbuje się położyć, ląduje na boku, zamyka oczy i zza opuszczonych powiek dostrzega światło.

Kiedy pół godziny później budzi się na podłodze, ostre słońce sprawia, że ze strachu serce bije mu szybciej.

David Jordan od siedmiu lat cierpi na narkolepsję z katalepsją. To poważna, choć nie śmiertelna choroba. Kiedy człowiek jest zdenerwowany albo przestraszony, może nagle stracić kontrolę nad pewnymi grupami mięśni i doznać ataku snu.

Narkolepsja wynika z braku pewnego hormonu, który reguluje sen i czuwanie w mózgu.

Lekarz uznał za prawdopodobne, że to infekcja paciorkowcowa uaktywniła dziedziczną chorobę, choć sam DJ powtarzał, że to wynik tajnych eksperymentów wojskowych.

DJ siada, czuje, że ma zupełnie sucho w ustach, opiera się ręką o podłogę, wstaje, patrzy na morze. Huczy mu w głowie. Jeden z odbijaczy został wyrzucony na mokry pomost, fale się łamią, rozdzielając białą pianę.

DJ próbuje zebrać myśli. Znowu spogląda na skórzaną teczkę.

Drżącymi rękami odpina zacisk i wyjmuje zawartość.

Przegląda materiały na temat Carla-Erika Rittera. Serce wali mu tak szybko, że kiedy DJ spogląda na zdjęcie, czuje szum w uszach.

Próbuje znaleźć wewnętrzny spokój, koncentruje się i zaczyna czytać.

Po chwili musi odłożyć papiery, podejść do dużej szafki i nalać sobie szklaneczkę macallana.

Wypija i napełnia ponownie.

Myśli o swojej mamie i mocno zaciska powieki, żeby powstrzymać łzy.

Nie jest dobrym synem, za dużo pracuje i stanowczo za rzadko ją odwiedza.

Wie, że jest chora, ale mimo to trudno mu zaakceptować jej mroczne okresy.

Wstydzi się tego, że po wizycie zawsze ma złe samopoczucie.

Najczęściej matka nie mówi do niego ani słowa, nawet na niego nie patrzy, leży tylko nieruchomo w łóżku, ze wzrokiem wbitym w okno.

Przez cały czas, kiedy dorastał, przyjmowała leki na depresję jedno-biegunową, objawiającą się między innymi urojeniami i próbami samookaleczenia. Rok temu DJ przeniósł matkę do ekskluzywnego ośrodka specjalizującego się w terapii długotrwałej traumy psychicznej i zespołu stresu pourazowego.

Traktowano tu jej depresję jako współistniejącą z ZSP. Zupełnie zmieniono leki i całą terapię.

Kiedy ją ostatnio odwiedził, nie leżała już biernie w łóżku, lecz wzięła od niego kwiaty i trzęsącymi się dłońmi włożyła je do wazonu. Przez chorobę i leki jego mama wyglądała staro.

Siedzieli przy małym stoliku w jej pokoju, pili herbatę z porcelanowej zastawy i jedli coś w rodzaju cienkich pierniczków.

Kilka razy powtórzyła, że powinna była ugotować mu prawdziwy obiad, a on za każdym razem odpowiadał, że już jadł.

Warstwa drobnych kropel deszczu pokryła szybę.

Spojrzenie mamy było spłoszone i nieśmiałe, ręce błędziły

niespokojnie po guzikach swetra, kiedy zapytał, jak się czuje i czy nowe leki są lepsze.

– Wiem, że nie byłam dobrą matką – powiedziała.

– Oczywiście, że byłaś.

Wiedział, że to z powodu zmiany leków, ale po raz pierwszy od wielu lat mama zwracała się bezpośrednio do niego.

Popatrzyła na niego i w niemal wyćwiczony sposób oznajmiła, że próby samobójcze, które podejmowała, kiedy był mały, wynikały z traumy.

– Zaczęłaś rozmawiać z terapeutą o wypadku samochodowym? – zapytał.

– Wypadku samochodowym? – powtórzyła z uśmiechem.

– Mamo, wiesz, że jesteś chora, że czasami nie dawałaś rady się mną zajmować, że musiałem pomieszkiwać u babci.

Matka powoli odstawiła filiżankę na spodek, a potem zaczęła opowiadać o straszliwym gwałcie.

Opisywała wszystko po kolei stłumionym głosem.

Przywoływane fragmenty były niekiedy przerażająco dokładne, a czasami wręcz deliryczne.

Nagle jednak wszystko zaczęło mieć dla niego sens.

Mama nigdy nie pokazywała mu się nago, kiedy był mały, ale mimo to widział jej uda i zmasakrowaną pierś.

– Nie zgłosiłam tego – wyszeptała.

– Ale...

Po raz kolejny przypomina sobie, jak siedziała, zakrywając dłonią usta, płakała i wypowiadała nazwisko Carla-Erika Rittera.

Jego policzki płonęły, próbował coś powiedzieć, ale dostał największego ataku narkolepsji, jaki kiedykolwiek mu się przytrafił.

Kiedy się obudził na środku podłogi, a mama klepała go w policzek, wręcz nie mógł w to uwierzyć.

Przez całe dorosłe życie był rozczarowany, że mama nie walczy ze swoim lękiem.

Wypadek samochodowy może być straszny, ale przecież z tego wyszła, przeżyła.

Teraz dostrzegał jej kruchość, wiedział, że całym ciałem w dalszym ciągu czuła strach, że nadal instynktownie się kuliła, przygotowana na ból i przemoc. Czasami jej samopoczucie było dobre i poprawnie funkcjonowała w rodzinie, ale niekiedy wpadała w czarną dziurę i nie mogła się nim opiekować.

Tak bardzo jest mu jej żal.

Wie, że to bez znaczenia, ale namierzył Carla-Erika Rittera, żeby móc spojrzeć mu w oczy. Może to wystarczy. Może nie będzie musiał nawet go pytać, czy tamten myślał o tym, co zrobił. Czy w ogóle rozumie, jakie cierpienie spowodował.

Życie Carla-Erika Rittera toczyło się dalej, ale gwałt sprawił, że matka DJ-a stała się zalęknioną kobietą z nawracającą depresją i myślami samobójczymi.

Może wszystkiemu zaprzeczy. To wydarzyło się dawno temu, a przestępstwo jest przedawnione. Mimo wszystko usłyszy jednak, że DJ wie, co się stało.

Ponieważ w sensie czysto prawnym Carl-Erik Ritter nie musi czuć się zagrożony, może będzie gotów mówić i zdystansować się od tego, kim kiedyś był.

Wzbierała w nim myśl o tym spotkaniu.

Odwraca zdjęcie i znowu patrzy na widniejącą na nim twarz.

Wie, że spotkanie nie przyniesie mu żadnej ulgi, ale czuje, że musi położyć kres tym myślom.

31

Jest prawie jedenasta wieczorem, pod wieżowcami przy stacji metra Axelsberg wieje zimny wiatr. David Jordan przecina plac w drodze do małej osiedlowej knajpki El Bocado, w której Carl-Erik Ritter zwykle spędza wieczory.

Próbuje spokojnie oddychać. Wie, że burza uczuć może wywołać atak narkolepsji, ale tabletki, które zażył w domu, powinny mu pomóc zachować przytomność przez wystarczająco wiele godzin.

Kawałek dalej na placu pijany mężczyzna krzyczy na swojego psa.

Zabudowania są całkiem zdominowane przez zniszczone bloki z wielkiej płyty i kompleks z czerwonej cegły. Wybudowano całe przedmieście w ramach programu, który zakładał stworzenie miliona mieszkań w ciągu dziesięciu lat.

DJ ogarnia spojrzeniem kiosk z gazetami, salon fryzjerski i pralnię chemiczną, znajdujące się obok restauracji.

Za szybą knajpki widać czarną kratę z wyblakłą tabliczką informującą o większej wygranej w zdrańce Triss.

Dwie kobiety około czterdziestki dopalają papierosy przed salonem fryzjerskim, rozdeptują niedopałki i wchodzą z powrotem do restauracji.

Rozlega się ryk ciężkich pojazdów, przejeżdżających przez wiadukt nad placem, a śmieci z McDonalda zataczają kręgi na wietrze nad przepelnionym koszem.

David Jordan bierze wdech, otwiera drzwi restauracji i wchodzi do ciemnego, gwarne wnętrza. Czuje woń smażeniny i mokrych ubrań. Na pobielonych ścianach boksów ze stolikami wiszą stare łopaty i lampy naftowe. Nad niskim podwieszanym sufitem tkwi zielony znak wyjścia ewakuacyjnego, a wzdłuż belek stropowych biegną przyklejone taśmą kable zakurzonej aparatury muzycznej.

Przy stoliku tuż przy drzwiach siedzą dwie pary, kłójące się pijanymi głosami.

Pod małym daszkiem z dachówek przy odrapanym barze stoją ludzie w późnym wieku średnim. Piją i rozmawiają. Na pożółkłej tablicy widnieje całe menu, włącznie z kartą specjalną dla emerytów, którzy wykupili abonament.

David Jordan zamawia butelkę grolscha i płaci gotówką. Wypija pierwszy orzeźwiający łyk i patrzy na mężczyznę o włosach związanych w kitkę, który próbuje pokazać coś w telefonie starszej kobiecie.

Inny mężczyzna kawałek dalej ociera z ust piankę i buczy, kiedy jego towarzysz przymierza okulary przeciwsłoneczne.

DJ odwraca się w drugą stronę i w tej samej chwili zauważa człowieka, na spotkanie z którym przyszedł.

Od razu rozpoznaje postać ze zdjęcia.

Carl-Erik Ritter siedzi z tyłu lokalu, zaciskając dłoń na szklance z reklamą piwa Falcon. Ma na sobie znoszone dżinsy i dziergany sweter z dziurami na łokciach.

DJ bierze swoją szklankę, przeciska się do przodu, przeprosza, mija boks z grupką bardzo pijanych mężczyzn i staje przy stoliku w samym środku.

– Mogę usiąść? – pyta i zajmuje krzesło naprzeciwko Carla-Erika Rittera.

Ritter powoli podnosi oczy, patrzy na niego rozmytym wzrokiem, ale nie odpowiada. DJ czuje, że jego serce zaczyna bić o wiele za szybko, że zaczyna go ogarniać niebezpieczne zmęczenie i butelka zaraz wysunie mu się z ręki.

Spogląda na swoją dłoń, widzi białe palce, na chwilę zamyka oczy i stawia butelkę na stole.

– Carl-Erik Ritter? – pyta.

– Tak się przynajmniej nazywałem ostatnim razem, kiedy ktoś chciał pożyczyć ode mnie kasę na drinka – odburkuje Ritter.

– Chciałbym z tobą porozmawiać.

– Powodzenia. – Ritter wypija piwo i odstawia szklankę, ale nie wypuszcza jej z ręki.

Carl-Erik zamówił deskę grillowanych mięs. Obok jego szklanki leżą czarny kawałek chleba z paskami po zdrapanym puree ziemniaczanym i połówka pieczonego pomidora. Przy serwetniku stoi kieliszek do shotów z czarną resztką likieru Fernet Branca na dnie.

DJ wyjmuje zdjęcie matki i kładzie je przed Ritterem na stole. To stara fotografia, matka ma na niej osiemnaście lat, jest ubrana w jasną szmizjerkę i uśmiecha się swobodnie do obiektywu.

– Pamiętasz ją? – pyta DJ, kiedy już ma pewność, że nie załamie mu się głos.

– Słuchaj no. – Carl-Erik Ritter unosi brodę. – Chcę tu po prostu posiedzieć i zapić się na śmierć. Za dużo wymagam?

Po tych słowach dolewa sobie do piwa ostatnie krople z kieliszka.

– Popatrz na zdjęcie – prosi DJ.

– Odpieprz się ode mnie – odpowiada powoli Ritter. – Słyszysz?

– Pamiętasz, co zrobiłeś? – pyta DJ. Słyszy, że jego głos zrobił się trochę piskliwy. – Przyznaj się, że...

– Co ty gadasz, do cholery? – wybucha Carl-Erik Ritter i uderza pięścią w stół. – Nie możesz tu przychodzić i mnie oskarżać!

Barman zerka na nich znad sprzętu grającego i niechcący potrąca lampę, która zaczyna się huścić na kablu.

DJ wie, że musi się uspokoić, nie wolno mu dopuścić do kłótni, bo zaszkodziłoby to Rełowi. Nie może sobie pozwolić na złą prasę.

Dłoń Carla-Erika drży, kiedy znowu przechyla pusty kieliszek nad szklanką z piwem. Najwyraźniej jest samotnym człowiekiem. Ma brud pod paznokciami, a z tyłu jednego policzka zostawił nieogolone miejsce.

– Nie chcę wszczynać awantury – mówi cicho DJ i przesuwając swoją butelkę. – Ale mimo wszystko chcę spytać...

– Odpieprz się, powiedziałem!

Mężczyzna siedzący przy stoliku obok patrzy na nich, wyciąga z papierków dwie kostki cukru i wkłada je do ust.

– Chcę tylko wiedzieć, czy przyszło ci do głowy, że zniszczyłeś jej życie. – DJ próbuje połykać łyżę.

Carl-Erik odchyła się na krześle. Ma brudny kołnierzyk koszuli, jego twarz jest pomarszczona, czerwona i opuchnięta, a oczy wyglądają jak dwie szparki.

– Kurwa, nie masz prawa tu przychodzić i mnie oskarżać! – warczy jeszcze raz zachrypniętym głosem.

– Okej, teraz wiem, kim jesteś, widziałem cię. Dostałeś to, na co zasłużyłeś. – DJ wstaje.

– Coś ty powiedział, do cholery? – bełkocze Carl-Erik.

David Jordan odwraca się do niego plecami, przepycha się w kierunku drzwi, słyszy jego ochrypły krzyk nakazujący mu wracać. W oknie z widokiem na plac widać nazwę restauracji w lustrzanym odbiciu, po zielonych literach spływa skroplona para wodna.

DJ drży na całym ciele, kiedy z powrotem wychodzi na plac. Wokół niego panuje ciemność, na twarzy czuć chłodne powietrze.

Po drugiej stronie, pod sklepem ICA Nära, stoi kilka osób.

DJ kaszle i zatrzymuje się przy salonie fryzjerskim. Wspiera czoło o witrynę, próbuje spokojnie oddychać, wie, że powinien pojechać do domu, ale czuje, że chciałby na chwilę się położyć.

– Kazałem ci zostać! – wrzeszczy Carl-Erik i idzie za nim, chwiejąc się na nogach.

DJ bez słowa rusza przed siebie, ale przystaje obok pralni chemicznej i opiera się ręką o ścianę. Patrzy na stojący w oknie manekin w białej sukience i słyszy kroki za plecami.

– Powinieneś mnie przeprosić za swoje oskarżenia! – krzyczy Carl-Erik Ritter.

David Jordan traci całą wewnętrzną siłę, znów przykłada czoło do chłodnego szkła witryny i próbuje utrzymać się na nogach. Pot spływa mu po plecach, a szyja ma ochotę się zgąć pod ciężarem głowy.

Przez wiadukt nad placem przejeżdża autobus, śmieci suną po ziemi.

Carl-Erik jest pijany i się zatacza. Chwyta Davida Jordana za płaszcz i przyciąga go do siebie.

– Nie rób tak – mówi DJ i odrywa jego palce.

– Pocałujesz mnie w rękę i będziesz prosił o wybaczenie – cedzi Ritter.

DJ mimowolnie się uśmiecha i próbuje zakończyć sprzeczkę, ale jego słowa zostają zagłuszone przez huk metra i musi zacząć od początku.

– Nie czuję się dobrze – powtarza. – Muszę teraz pojechać do domu i...

Carl-Erik chwytając jego głowę i próbuje skierować ją w dół, wymusić pocałunek w rękę. Razem omal nie przewracają się do tyłu. Od Rittera czuć potem.

– Należą mi się jebane przeprosiny! – wrzeszczy Ritter i ciągnie DJ-a za włosy.

David go odpycha i próbuje odejść, ale Carl-Erik znowu łapie go za płaszcz i uderza od tyłu w policzek.

– Dosyć już tego! – DJ odwraca się i go popycha.

Carl-Erik cofa się o dwa kroki, traci równowagę, upada do tyłu, prosto na witrynę, rozbija szybę i ląduje w pralni.

Duże odłamki szkła spadają na ulicę, rozsypują się po asfalcie.

Po chwili David Jordan jest przy nim i próbuje postawić go na nogi. Carl-Erik Ritter niepewnie idzie do przodu i chwytając szkło jedną ręką. Spory kawałek odpada pod jego ciężarem, Ritter przewraca się na kolana i upada szyją na wystającą szklaną krawędź.

Krew chlusta na białą sukienkę na manekinie i pożółkły szyld z informacją o tanim praniu koszul.

Tętnica szyjna zostaje przecięta.

Carl-Erik osuwa się jeszcze trochę, podnosi się, charcząc, i upada na biodro. Szkło pęka pod jego ciężarem. Z rany mocno strzyka krew, która następnie spływa po ciele. Carl-Erik wrzeszczy, kaszle i wymachuje głową, jakby chciał uniknąć bólu i paniki.

David Jordan usiłuje zatamować krew i krzyczy na cały plac, że ktoś musi wezwać karetkę.

Carl-Erik opada na plecy i próbuje odepchnąć ręce Davida.

Krew zalewa asfalt i śmieci przy fasadzie budynku.

Ritter się trzęsie, przestraszony miota głową.

Wpatruje się w DJ-a, otwiera usta, a pomiędzy jego wargami rośnie

drżąca bańka krwi.

Nogi wierzgają, a kałuża pod Ritterem robi się coraz większa. Strugi krwi meandrują i spływają do zardzewiałej studzienki.

32

Rex słucha *Trzech fantazji na fortepian* Wilhelma Stenhammara, jednocześnie wyjmując naczynia ze zmywarki i wstawia je do szafek. Wcześniej tego samego wieczoru był w TV4 i nagrał rozmowę o swojej przyjaźni z ministrem spraw zagranicznych.

W całym swoim życiu nie wypowiadał się tak nieszczerze, ale po nadaniu materiału spotkał się z mnóstwem pozytywnych reakcji w mediach społecznościowych.

Sammy poszedł na koncert do klubu Debaser, ale obiecał, że będzie w domu najpóźniej o drugiej. Rex nie ma odwagi się położyć, dopóki syn nie wróci. Zmęczony, nastawia wodę na herbatę i próbuje wygnać z ciała niepokój, kiedy nagle dzwoni telefon. Rex widzi na wyświetlaczu, że to DJ, i od razu odbiera.

- Co sądzisz o wywiadzie? – pyta. – Czułem się jak...
- Sammy jest w domu? – przerywa mu nerwowo DJ.
- Nie, jest na...
- Mogę na chwilę wejść?
- Jesteś gdzieś w pobliżu?
- Siedzę w samochodzie pod twoim domem.

Dopiero w tym momencie Rex słyszy dziwny ton głosu przyjaciela i boi się, że za chwilę usłyszy złe wieści.

- Co się stało?
- Mogę na chwileczkę wejść?
- Jasne – odpowiada Rex.

Schodzi na dół, przekręca zamek w drzwiach antywłamaniowych i otwiera je, gdy tylko słyszy, że winda stanęła na piętrze.

Kiedy drzwi się rozsuwają, oddycha gwałtownie i robi krok do tyłu. W ostrym świetle widzi DJ-a.

David Jordan od piersi w górę jest zakrwawiony, jakby zanurzył dłonie, przedramiona, jasną brodę i twarz w beczce z krwią.

– Boże! – wykrzykuje Rex. – Co się stało?

DJ wchodzi do mieszkania i zamyka za sobą drzwi. Ma stężoną twarz, jego oczy są puste, jak ze szkła.

– To nie moja krew – mówi krótko. – Zdarzył się wypadek... Opowiem, muszę tylko...

– Śmiertelnie mnie przestraszyłeś.

– Przepraszam, nie powinienem był tu przychodzić... Chyba jestem w lekkim szoku.

DJ zdejmuje buty, opiera się o futrynę i zostawia wydłużony ślad krwi na białym drewnie.

– Co się stało?

– Nie wiem, jak do tego doszło... To skomplikowane, ale wdałem się w sprzeczkę z pijakiem w barze, on wyszedł za mną, upadł i się pociął. – David nieśmiało spogląda Rexowi w oczy. – Chyba jest poważnie ranny.

– Jak poważnie?

DJ zamyka oczy, a Rex spostrzega krew na jego powiekach i rzęsach.

– Przepraszam, że cię w to wciągam – mówi szeptem DJ. – Przecież chodzi o to, żebyś trzymał cię z daleka od wszystkiego, co... *Shit...*

– Po prostu powiedz, co się stało – odpowiada Rex.

DJ nie reaguje. Mija go, wchodzi do toalety dla gości i zaczyna myć ręce. Czerwona woda po jakimś czasie robi się różowa, a potem bardziej przejrzysta. Setki drobinek wody spadają na białe kafelki za kranem.

DJ rozwija papier toaletowy i wyciera twarz. Spuszcza go z wodą, przegląda się w lustrze, ciężko wzdycha i odwraca się do Rexa.

– Chyba spanikowałem, sam nie wiem. Wtedy to się wydawało właściwe, ale ledwie stamtąd poszedłem i wsiadłem do samochodu, gdy usłyszałem sygnał karetki.

– To nie było zbyt dobre – stwierdza Rex zduszonym głosem.

– Po prostu nie chciałem... żeby ta kłótnia ci zaszkodziła – próbuje tłumaczyć DJ. – To nie może się stać akurat teraz, kiedy mamy inwestorów, kiedy możemy ruszyć na poważnie.

– Wiem, ale...

– Lyra jest w domu – mówi dalej. – Nie wiedziałem, gdzie się podział, więc przyjechałem tutaj.

– Wymyślimy, co robić. – Rex pociera twarz.

– Sam nie wiem, może po prostu zadzwonię na policję i wszystko powiem. Nie sądzę, żeby coś nam groziło, nic przecież nie zrobiłem, to nie była moja wina. – DJ zaczyna szukać telefonu po kieszeniach.

– Czekaj – powstrzymuje go Rex. – Opowiedz po kolei... Wejdziemy na górę.

– Dlaczego wszystko tak cholernie się komplikuje? Chciałem tylko pójść do knajpy w Axelsbergu i...

– Co ty tam właściwie robiłeś?

Wchodzą do kuchni, DJ opada na jedno z krzeseł. Woda na herbatę już dawno się wygotowała, a rondel wydziela zapach palonego metalu.

– Czasami mam potrzebę posiedzieć gdzieś, gdzie nikogo nie znam – wyjaśnia DJ.

– Rozumiem to – odpowiada Rex, wlewając świeżą wodę do gorącego rondla.

– Ale potem rozpętała się całkiem niepotrzebna kłótnia i wyszedłem – kontynuuje DJ i wsparty na łokciach pochyła się do przodu. – Ten pijus za mną wyszedł, chciał się bić, aż w końcu wpadł w witrynę sklepową i się pociął.

DJ opada z powrotem na oparcie krzesła i próbuje uspokoić oddech. Rękawy jego płaszcza zostawiły na blacie długie ślady krwi.

– A teraz wszystko tu zakrwawiłem – mówi. – Musimy posprzątać, zanim wróci Sammy.

– Ma go nie być przez pół nocy.

– W samochodzie chyba też jest sporo krwi – szepcze DJ.

– Zejdę, kiedy będziesz brał prysznic – odpowiada Rex.

– Nie możesz tego zrobić. A jeśli ktoś cię zobaczy? Musisz się trzymać z dala od tego. Samochodem zajmę się jutro, kiedy Lyra będzie w Konstfack.

Rex siada naprzeciwko DJ-a.

– Mimo wszystko nie rozumiem. Biliście się? To była bójka?

Oczy DJ-a są błyszczące i przekrwione.

– Był pijany, słaniał się na nogach i chciał, żebym wrócił... Próbowałem go zatrzymać, nagle się potknął i wpadł w witrynę.

– Jak bardzo źle to wyglądało?

– Rozciął sobie szyję, nie jestem pewien, czy z tego wyjdzie, tam było...

– A jeśli karetka przyjechała od razu?

– Było bardzo dużo krwi – kończy DJ.

– No to co robimy? Sam musisz zdecydować – mówi Rex. – Będziemy po prostu mieć nadzieję, że nikt cię nie widział?

– W restauracji nikt mnie nie znał, a na placu było prawie zupełnie ciemno.

Rex kiwa głową i próbuje jasno myśleć.

– Musisz wziąć prysznic – stwierdza po chwili. – Przyniosę nowe ubrania. Włóż wszystko do pralki, doprowadź się do porządku, a ja sprawdzę, czy jest coś na ten temat w internecie.

– Okej, dzięki – mówi szeptem DJ, wstaje i znów schodzi po schodach.

Rex słyszy szum prysznic na dole, z szafki wyjmuje środek czyszczący z chlorem i rozpyla go na stole i krześle, na którym siedział DJ. Wyciera wszystko papierowym ręcznikiem, schodzi i czyści zakrwawioną futrynę, kłamkę toalety dla gości, kran, umywalkę i poplamione kafelki. Znów idzie na górę, przeciąga papierem po poręczu, a na koniec zostawia butelkę i rolkę papieru na stole, żeby nie zapomnieć o wyczyszczeniu kabiny prysznicowej i pokrywy pralki, kiedy DJ skończy.

Wyjmuje butelkę whisky Highland Park i niską szklanę dla DJ-a, szybko przegląda najświeższe lokalne wiadomości w telefonie, ale nie ma nic na temat bójek lub wypadków; co mogłoby się zgadzać z opowieścią DJ-a.

Może to nie było tak niebezpieczne, jak mu się wydawało.

Jeśli ten człowiek zmarł, pewnie już by o tym napisali.

33

Szef więzienia nadał decyzji o przepustce Joony Linny pierwszeństwo na kolegium i bezdyskusyjnie przyznano mu trzydzieści sześć godzin.

Joona dociera do końca podziemnego korytarza. Na szorstkiej betonowej ścianie są namalowane smerfy. Stojący przed nim strażnik chwilę zwleka, w końcu podnosi rękę i otwiera drzwi. Idą do rozwidlenia tunelu, czekają na zgrzyt zamka, dochodzą do kolejnych drzwi i jeszcze raz czekają, aż centrala zatwierdzi przejście do kolejnej sekcji.

Zgodnie z przewidywaniami Joony Salim Ratjen zrozumiał, że jego przepustka jest jedyną szansą na przekazanie wiadomości przed środą. Wyglądało na to, że pozdrowienie składa się tylko z numeru telefonu i imienia, ale mogło być szyfrem oznaczającym morderstwo.

Po pokwitowaniu odbioru rzeczy według listy – sporządzono ją, kiedy dotarł do tak zwanej bramy perłowej – ruszają do głównego stanowiska strażników.

Dwa lata wcześniej, na procesie, garnitur leżał idealnie, ale od tamtego czasu Joona poświęcał cztery godziny dziennie na ćwiczenia i teraz marynarka była za ciasna w ramionach.

Zamek w bramie wysokiego ogrodzenia brzęczy, Joona otwiera, idzie dalej i zostawia za sobą potężny mur.

Czuje ukłucie dobrze znanego bólu w lewym oku, kiedy kroczy po otwartej przestrzeni, wyłożonej wypłowiętym asfaltem. Ogrodzenie pod napięciem, z drutem kolczastym na szczycie, to ostatni etap na drodze do wolności. Przed nim wyrastają wysokie słupy z reflektorami. Biała kratownica świeci na tle stalowoszarego nieba.

Joona opiera się pokusie, aby przyspieszyć kroku, i przypomina sobie samego siebie z dzieciństwa, kiedy jako mały chłopiec szedł za tatą przez las, żeby łowić palie w Villmanstrand w Karelii Południowej.

Kiedy pomiędzy pniami widać było pierwsze błyski jeziora karowego

i roślinności, nabierał energii i chciał pokonywać ostatni odcinek biegiem, ale musiał się opanować. Tata tłumaczył, że do wody trzeba podchodzić ostrożnie.

Ogromna furta odsuwa się w bok – brzęcząca i metalicznie ciężka.

Za chmury wychodzi słońce i przyciąga jego wzrok. Po raz pierwszy od dwóch lat Joona widzi coś, co jest daleko – kilometry pól, ścieżki i lasu.

Kiedy opuszcza teren więzienia, wychodzi na parking i słyszy, jak brama się zamyka za jego plecami, czuje się tak, jakby wciągał powietrze w płuca, jakby pił wodę, jakby patrzył ojcu w oczy w pełnej komitywie.

Znów pojawia się przebłysk wędkarskiej wycieczki – wspomnienie tego, jak powoli schodzili na brzeg i widzieli, że w jeziorze pływa dużo palii. Lśniącą taflę wszędzie mąciły okręgi, jakby padał deszcz.

Poczucie wolności jest wszechogarniające. W piersi Joony coś wzbiera, mógłby się zatrzymać i płakać, ale po prostu idzie naprzód, bez oglądania się za siebie. Kiedy pokonuje siedmusetmetrowy odcinek do przystanku, jego mięśnie zaczynają się rozluźniać.

Dochodzi do siebie.

Daleko na ścieżce dostrzega pył wzbijany przez zbliżający się autobus. Według zatwierdzonego planu, który Joona sam ułożył, ma do niego wsiąść i pojechać do Örebro, a tam przesiąść się na pociąg do Sztokholmu.

Już kiedy wsiada do autobusu, wie, że nie pojedzie pociągiem. Zamiast tego zobaczy się z człowiekiem z Säpo. Mają się spotkać za czterdzieści pięć minut na podziemnym parkingu galerii Vågen.

Sprawdza czas i z uśmiechem opada na oparcie fotela.

Wreszcie dostał z powrotem prosty zegarek Omega, który odziedziczył po ojcu. Mama nigdy go nie sprzedała, choć przecież wielokrotnie potrzebowali pieniędzy.

Kiedy wysiada z autobusu i rusza w stronę galerii, wieje wiatr, a słońce schowało się już za chmurami. Choć ma tylko pięć minut, zatrzymuje się przed ulicznym stoiskiem z jedzeniem, wyposażonym

w czerwoną markizę i kilka brudnożółtych parasoli. Zamawia Pepper Cheese Bacon Meal z *future fries*.

– A do picia? – pyta sprzedawca i kładzie hamburgera na ruszcie.

– Fanta Exotic – odpowiada Jooną.

Bierze do ręki puszkę, wkłada ją do kieszeni, staje obok czerwonej flagi z reklamą lodów i powoli je hamburgera.

Na parkingu pod galerią przy czarnym bmw stoi mężczyzna w dżinsach i puchowej kurtce, wpatrując się w telefon komórkowy.

– Miałeś tu być dwadzieścia minut temu – mówi naburmuszony, kiedy Jooną podchodzi i podaje mu rękę.

– Chciałem kupić ci coś do picia. – Jooną podaje mu napój.

Mężczyzna zdziwiony dziękuje, odbiera puszkę i otwiera Joonie drzwi.

Na tylnym siedzeniu leży prosty telefon na kartę, a pod nim trzy grube koperty od Sagi Bauer. To cały raport techników z miejsca zbrodni po zamordowaniu ministra spraw zagranicznych. W tych kopertach znajduje się wszystko, o co prosił Jooną: protokół postępowania przygotowawczego, wnioski z wstępnej sekcji zwłok, wyniki laboratoryjne i wydruki wszystkich przesłuchań świadka.

Mijają stację kolejową i wyjeżdżają dalej na autostradę prowadzącą do Sztokholmu.

Jooną siedzi z tyłu i czyta historię Salima Ratjena. Ucieczka z Afganistanu, azyl w Szwecji, wciągnięcie do siatki przestępczej. Oprócz żony jedynym członkiem rodziny w całym kraju jest jego brat Absalon Ratjen. Säpo prześwietliła brata i nie ma wątpliwości, że nie kontaktowali się od ośmiu lat. Według znalezionej korespondencji Absalon zerwał kontakty z Salimem, kiedy go przyłapał na ukrywaniu dużej bryły haszyszu dla dilerów.

Jooną po raz kolejny bierze do ręki teczkę ze zdjęciami z domu ministra. Nagle dzwoni telefon.

– Możesz nawiązać kontakt z Ratjenem? – pyta Saga Bauer.

– Tak. Dostałem zlecenie, ale nie sposób przewidzieć, dokąd zaprowadzi. Mam pójść do jego żony i poprosić, żeby zadzwoniła pod

podany numer i zapytała o Amirę.

– Okej... dobra robota... Jak cholera – mówi Saga.

– Dziś wieczorem będzie duża akcja, prawda? – Jooną spogląda na błyszczące fotografie kałuży krwi, plam na szufladach w kuchni, przewróconej doniczki z kwiatkiem, ciała ministra pod różnymi kątami, zakrwawionego tułowia, dłoni i pokrzywionych, żółtawych palców u nóg.

– Porozmawiam z Janusem, który dowodzi operacją. Jest bardzo dobry, ale i tak uważam, że będzie trudno cię wymienić w pierwszej fazie.

– Nie chcę być wymieniony.

– Myślisz, że dasz sobie z tym radę? – pyta poważnie Saga.

– Czy dam radę? Znów mam w sobie ogień – odpowiada z uśmiechem Jooną.

Słyszysz, że Saga się śmieje.

– Masz świadomość, że nie było cię dwa lata, a sprawca jest ekstremalnie skuteczny?

– Tak.

– Czytałeś może rekonstrukcję?

– On wie, co robi, ale ma też drugą stronę... Czuję to... Coś perwersyjnego.

– Co masz na myśli? Co by to miało być?

34

Tuż przed Norrtull człowiek z Säpo dostaje nowy punkt docelowy. Skręca do restauracji Stallmästaregården i się zatrzymuje.

– Dowódcy operacji czekają na ciebie w pawilonie – oznajmia.

Joona wysiada z samochodu i rusza w kierunku żółtej altany nad zatoką Brunnsviken. Nie tak dawno temu Stallmästaregården była niebiańsko pięknie położona tuż za miastem, ale dziś otaczają ją autostrady, mosty i wiadukty.

Kiedy Joona otwiera drewniane drzwi, jeden z mężczyzn wstaje od stołu. Ma jasnorude włosy i prawie białe brwi.

– Nazywam się Janus Mickelsen, jestem szefem brygady specjalnej Säpo – mówi, kiedy podają sobie ręce.

Ruchy Janusa są dziwnie szarpane, jakby próbował wyhamować o wiele za szybkie wewnętrzne tempo.

Obok niego siedzi młody mężczyzna z krzywym uśmiechem i szczerymi oczami. Wpatruje się w Joonę.

– Gustav jest dowódcą operacyjnym tej akcji. Wejdzie jako pierwszy i wprowadzi w teren antyterrorystów z Nationella insatsstyrkan – opowiada Janus.

Joona ściska dłoń Gustava. Trzyma ją o kilka sekund za długo i patrzy mu w oczy.

– Widzę, że wyrosłeś ze stroju Batmana – mówi z uśmiechem.

– Pamiętasz mnie? – pyta młodzieniec sceptycznym tonem.

– Wy się znacie? – odzywa się Janus z uśmiechem, który sprawia, że wokół jego oczu powstaje siateczka zmarszczek.

– Pracowałem z ciotką Gustava w Krajowej Policji Kryminalnej – wyjaśnia Joona.

Joona myśli o imprezie w domku letniskowym Anji. Gustav miał wtedy zaledwie siedem lat, był przebrany za Batmana i biegał po trawniku opadającym do jeziora Mälaren. Rozłożyli koce, jedli łososia

wędzonego na zimno, sałatkę ziemniaczaną i pili niskoprocentowe piwo. Gustav usiadł mu na kolanach i chciał wiedzieć wszystko o pracy policjanta.

Joona wyjął magazynek i pozwolił mu potrzymać swój pistolet. Potem Anja próbowała przekonać Gustava, że to nie była prawdziwa broń, tylko atrapa używana do ćwiczeń.

– Anja zawsze była dla mnie jak dodatkowa mama. – Gustav się uśmiecha. – Uważa, że praca policjanta jest dla mnie zbyt niebezpieczna.

– Sytuacja dziś wieczorem może być trudna – potwierdza Joona i kiwa głową.

– I nikt ci nie podziękuje, jeśli zginiesz – dodaje Janus z nieoczekiwaną nutą gorzkości w głosie.

Joona pamięta, że wiele lat wcześniej Janus Mickelsen był kimś w rodzaju *whistleblowera*. Przez kilka tygodni sprawa była dość głośna. Był zawodowym żołnierzem i uczestniczył w programie współpracy europejskiej przeciwko piratom na szlakach wodnych w okolicach Somalii. Kiedy jego zwierzchnik go nie słuchał, Janus zgłosił się do mediów i poinformował, że zakupione karabiny automatyczne się przegrzewają. Twierdził, że tracą tak dużo procent precyzji, iż stanowią zagrożenie dla bezpieczeństwa. Jego postępek zaowocował jedynie utratą pracy.

– Przeprowadzimy akcję w domu żony Salima Ratjena dziś o siódmej wieczorem – wyjaśnia Janus i rozwija mapę.

Kładzie ją na stole i wskazuje położony naprzeciwko domu Parisy budynek w zagajniku, w którym ekipa będzie się przygotowywała.

– Dowiedzieliście się, kim jest Amira i do kogo należy numer? – pyta Joona.

– Wyszukiwanie imienia nie daje żadnych wyników, a numer prowadzi z Malmö do telefonu komórkowego, którego nie można namierzyć.

– Teraz koncentrujemy się na przygotowaniach do interwencji na miejscu – wyjaśnia Gustav. – Żona Ratjena pracuje jako higienistka

w przychodni dentystycznej w Bandhagen. Kończy o szóstej wieczorem i wróci do domu około szóstej czterdzieści pięć, jeśli jak zwykle będzie robiła zakupy w supermarkecie ICA w centrum Högdalen.

– Według planu Ratjena drugi zamach ma się odbyć w tę środę – mówi Janus. – Ta akcja to nasza wielka szansa, żeby go udaremnić.

– Nie wiemy, jaką rolę odgrywa żona? – pyta Joon.

– Pracujemy nad tym – odpowiada Janus, ocierając pot z piegowatego czoła.

– Może jest tylko kurierem.

– Zgadza się, nie wiemy prawie nic – mówi Gustav. – To tylko strzał w ciemno, ale mimo to... Nie potrzebujemy zbyt wiele, żeby te puzzle dało się ułożyć. Jeden mały szczegół: wystarczy, że uda ci się ustalić coś na temat ich planu. W kogo ma być wymierzony środowowy zamach albo w którym miejscu ma do niego dojść. Wtedy będzie z głowy, przynajmniej tym razem.

– Przed interwencją chcę się spotkać ze świadkiem – oznajmia Joon.

– Po co?

– Chcę wiedzieć, co zabójca robił pomiędzy pierwszymi strzałami a tym śmiertelnym.

– Mówił o Ratjenu i piekle, tak jak napisano w protokole, czytałem to wszystko sto razy – stwierdza Janus.

– Czas się nie zgadza – upiera się Joon. – Nadal trochę go zostaje.

– Zbierał łuski.

Wewnętrzne badania zakładu medycyny sądowej nie dobiegły jeszcze końca, ale podczas jazdy z Örebro Joon studiował układ plam, rozbryzgi krwi i punkty styczne. Jest pewien, że obdukcja wykaże, iż między dwoma pierwszymi strzałami w tułów a śmiertelnym w oczodół minęło więcej niż piętnaście minut.

Obecnie rekonstrukcja przeprowadzona przez techników obejmuje łącznie pięć minut.

Zebranie łusek, przemieszczenie się i rozmowa.

Joon jest przekonany, że jeżeli ma rację, w grę wchodzi dziesięć

minut, których nie da się wyjaśnić tym, co odkryli do tej pory.

Co się działo w tym czasie?

Ten człowiek zabija jak profesjonalista. Musi być jakiś powód tego, że nie dokończył egzekucji.

Joona nie wie, o co chodzi, ale ma silne poczucie, że w obrazie sytuacji brakuje czegoś decydującego, znacznie bardziej mrocznego niż to, co dotąd widzieli.

– Tak czy owak, chętnie bym się z nią spotkał, jeśli to możliwe – mówi.

– Załatwimy to. – Janus rozrywa kopertę bąbelkową. – Zdążysz, bo akcję przeprowadzimy najwcześniej o siódmej... O piątej odbędzie się zebranie i ostatni przegląd.

Podaje Joonie używany służbowy pistolet z dodatkowym magazynkiem, dwa pudełka amunicji 9x19 Parabellum i kluczyki do volva.

Joona wyjmuje pistolet z kabury. To czarny matowy sig sauer P226 tactical.

Od raila różni się tylko przystosowaniem do tłumika.

Ma taką samą szynę, która pozwala zamontować u góry lunetę celowniczą, celownik noktowizyjny albo latarkę.

– Wystarczy? – Janus się uśmiecha, jakby powiedział coś wyjątkowo zabawnego.

– Nie macie żadnych innych kabur? – pyta Joona.

– To jest standard – odpowiada ze zdziwieniem Gustav.

– Wiem i teraz to nie ma znaczenia, ale trochę za bardzo się rusza.

35

Joona zjeżdża za srebrnoszarym bmw człowieka z Säpo do najniżej położonego garażu w Katarinaberget i parkuje pod betonową ścianą.

Znajdują się za kolosalnymi przesuwanymi drzwiami schronu, głęboko pod granicą fali uderzeniowej.

Słyszał pogłoski o tajnym areszcie Säpo, ale nie wiedział, że znajduje się właśnie tutaj.

Człowiek z Säpo opuścił auto i czeka na niego przy drzwiach odpornych na falę detonacyjną. Przeciąga kartę przez czytnik i wystukuje długi kod.

Joona wchodzi za nim do służby, a kiedy drzwi do garażu się zamykają, mężczyzna przeciąga kartę przez następny czytnik i wystukuje kolejny kod. Zostają wpuszczeni do kontroli bezpieczeństwa. Joona podaje legitymację przez okienko, a strażnik za pancerną szybą znajduje jego sprawę w komputerze.

Joona musi się wpisać. Następnie jego tęczy i odciski palców zostają odczytane przez system biometryczny.

Kładzie marynarkę, pistolet i buty na taśmie, przechodzi przez skaner typu AIT, zostaje wypuszczony z drugiej strony służby i wita się z agentką Säpo o ciemnobrązowych włosach splecionych w gruby warkocz leżący na ramieniu.

– Wiem, kim jesteś – mówi agentka, lekko się czerwieniąc.

Wręcza mu pistolet i patrzy, jak Joona zapina kaburę. Potem podaje mu marynarkę.

– Dziękuję.

– Jesteś dużo młodszy, niż myślałam – dodaje agentka, a jej rumieniec dociera aż do szyi.

– Ty też. – Joona uśmiecha się i z powrotem wkłada buty.

– Nie można się bawić uczuciami dziewczyn – oznajmia kobieta ostrzegawczym tonem.

Ruszają przed siebie, a agentka wyjaśnia, że przenieśli Sofię Stefansson ze starych zbiorników lodowych do izolatki w maszynowni.

Joona czytał i porównał ze sobą wszystkie dotychczasowe przesłuchania Sofii Stefansson.

Zeznania są spójne.

Nieliczne odstępstwa można wytłumaczyć strachem świadka i chęcią zadowolenia przesłuchującego poprzez mówienie tego, co tamten chce usłyszeć.

Przesłuchanie poprowadzone przez Sagę Bauer bez wątpienia jest najbardziej przydatne, naprawdę wyjątkowe na tle reszty. Pokierowała świadka przez urywkowe szczegóły aż do wspomnienia krótkiej rozmowy, w której padło nazwisko Ratjena.

Bez tego przesłuchania nie mieliby na czym się oprzeć.

Jeżeli jednak Joona ma rację, twierdząc, że morderstwo trwało znacznie dłużej, niż zakładano, oznacza to, że świadek przemilczał duże fragmenty.

Sprawca oddał dwa strzały, poruszał się szybko i w skupieniu, podbiegł do ministra i złapał go za włosy, przytrzymał go na kolanach i przycisnął mu pistolet do oka.

Traktował ofiarę jak wroga, myśli Joona.

Jeśli pominąć brakujący czas, zamach wygląda bardziej jak sytuacja z pola walki niż jak egzekucja.

Sofia Stefansson się poślizgnęła i uderzyła tyłem głowy o podłogę. Leżała nieruchomo i słyszała krótką rozmowę dotyczącą Ratjena, zanim minister został zabity strzałem w oko.

– Myślę – odpowiada Joona, choć agentka o nic go nie pytała.

– Nie musisz wyjaśniać – mówi agentka i przystaje przed metalowymi drzwiami.

Puka, otwiera zamek, informuje Sofię, że ma gościa, wpuszcza Joonę i zamyka za nim drzwi.

Sofia siedzi na szaroniebieskiej sofie przed telewizorem i ogląda odcinek serialu BBC o Sherlocku Holmesie i doktorze Watsonie.

Telewizor nie jest podłączony do anteny ani kabla, tylko do odtwarzacza DVD. Na stole przed nią piętrzą się stosy filmów, a obok stoi duża plastikowa butelka coca-coli.

Twarz dziewczyny jest blada i nieumalowana, wątłe ciało i jasnobrązowe włosy związane w koński ogon przywodzą na myśl dziecko. Sofia ma na sobie szare spodnie do biegania i białą koszulkę z błyszczącym kotkiem. Jej dłoń jest zabandażowana, a wokół nadgarstków widnieją szare siniaki.

Joona przypuszcza, że dziewczyna jeszcze nie zaakceptowała swojej nowej sytuacji, ale zaczęła rozumieć, że jej nie zabiją ani przez długi czas nie wypuszczą. Poza tym ciągle się boi, że wznowią tortury.

– Nazywam się Joona Linna – zaczyna. – Jestem byłym komisarzem i czytałem wszystkie protokoły pani przesłuchań. Wszystko mi mówi, że jest pani niewinna. Rozumiem, że się pani boi, skoro tak panią tu potraktowano.

– Tak – odpowiada szeptem Sofia i wyłącza telewizor.

Joona daje jej trochę czasu, a potem siada obok. Ma świadomość, że nagłe ruchy albo ostre dźwięki mogą wywołać lęk pourazowy i sprawić, że dziewczyna zamknie się w sobie. Widział, że zadrżała, kiedy agentka zamknęła drzwi – metaliczny zgrzyt mógł jej przypomnieć dźwięk poruszającego się zamka broni i wypychanej łuski.

– Nie mam uprawnień, żeby panią wypuścić – wyjaśnia szczerze. – Ale i tak mi pani pomoże, wysili się pani bardziej niż kiedykolwiek, żeby sobie przypomnieć to, o co pytam.

Czuje, że Sofia próbuje go rozszyfrować, czuje jej chęć przeżycia, przebijającą przez stłumiony ciężar szoku.

Powoli wyjmuje dwie podobizny, wykonane na podstawie podanego przez nią rysopisu.

Na jednej wersji twarz mordercy jest zasłonięta kominiarką, widać tylko oczy i usta.

Na drugiej spróbowano zrekonstruować twarz bez maski, ale brak konkretnego rysopisu sprawia, że jest po prostu pokryta niewidzialną

kominiarką.

Żadna z cech zabójcy nie rzuca się w oczy – spojrzenie jest niespodziewanie spokojne, nos dodatkowo zaznaczony, usta prawie białe, szczęka dość szeroka, ale broda wątła.

Nie ma wąsów ani brody, ale na podstawie koloru brwi zdecydowano się na zwykły blond i nadano mu neutralną fryzurę.

– Próbują z dłuższym nosem, a ja mówię: „nie wiem” – tłumaczy Sofia. – Skracają go, a ja mówię: „być może, nie wiem”, zwężają, a ja: „nie wiem”, poszerzają, a ja: „no może”, a w końcu mamy dość i nazywamy to coś rezultatem.

– Wygląda dobrze – stwierdza Jooną.

– Czuję się niepewna, bo cały czas sprawdzali moją pamięć. Przez chwilę był czarny, jakby pochodził z Afryki, choć nic takiego nie powiedziałam, ale może zrobili to po to, żeby wydobyć inne rzeczy, jak kolor oczu i brwi.

– Oni wiedzą, jak działa pamięć do twarzy. – Jooną kiwa głową.

– Przez jakiś czas był długowłosy i miał mnóstwo kosmyków opadających na policzki, o, takich – mówi kobieta i marszczy brwi. – Nagle zaczęło mi się wydawać, że coś takiego widziałam, choć przecież zdawałam sobie sprawę, że przez cały czas miał na głowie kominiarkę. A więc to się nie zgadzało, nie mogłam widzieć jego włosów.

– Co w takim razie pani widziała? – pyta spokojnie Jooną.

– Słucham?

– Jeśli to nie były włosy.

– Nie wiem, przecież leżałam na podłodze... A to było coś, co zwisało wzdłuż policzków jak paski materiału.

– Ale mimo to nie sądzi pani, że to włosy?

– Nie, to było raczej coś w rodzaju grubego materiału, może skóry.

– Jak długie były te pasy?

– O, takie. – Sofia sięga dłonią do ramion.

– Może je pani narysować na tym wizerunku?

Dziewczyna bierze obrazek, na którym sprawca jest zamaskowany,

i trzęsącą się ręką rysuje to, co widziała przy jego głowie.

W pierwszej chwili wygląda to jak duże pióra, ale w końcu zaczyna przypominać skołtunione włosy, a w kartce robi się dziura.

- Nie, nie wiem – mówi Sofia i odsuwa kartkę.
- Czy minister mówił o człowieku o dwóch twarzach?
- Słucham?
- Można to rozumieć symbolicznie. – Jooną patrzy na obrazek.
- Czy w takim razie nie każdy ma dwie twarze?

36

Sofia siedzi nieruchomo z opuszczonym wzrokiem i drżącymi rzęsami. Jooną myśli o tym, że kobieta zdaje się pamiętać wszystko z dystansu, jakby stała obok i obserwowała samą siebie.

– Myśli pani, że sprawca był terrorystą? – odzywa się po chwili.

– Dlaczego mnie pan o to pyta? Nie wiem.

– Ale jak pani myśli?

– Wydawało się osobiste... ale chyba zawsze tak jest z terrorystami.

Najpierw była świadkiem dwóch strzałów z dystansu, potem sprawca się przemieścił, ona próbowała uciec i poślizgnęła się na krwi.

– Upada pani i leży na podłodze. – Jooną pokazuje zdjęcie zakrwawionej kuchni, zrobione z jej perspektywy.

– Tak – odpowiada Sofia cicho i odwraca wzrok.

– Minister klęczy, krwawi z dwóch ran w tułowiu, zabójca trzyma go za włosy i przyciska mu lufę do oka.

– Do prawego – dodaje szeptem Sofia z nieruchomą twarzą.

– Mówiła pani o ich rozmowie, ale co się stało potem?

– Nie wiem, nic. Zastrzelił go.

– Ale nie od razu, prawda?

– Nie? – pyta Sofia niepewnie.

– Nie – odpowiada Jooną i widzi, że włoski na jej rękach stają dęba.

– Uderzyłam głową o podłogę i wszystko po prostu zwolniło. – Sofia wstaje z kanapy.

– Co się stało?

– Było tak, jakby czas się zatrzymał i tylko... Nie, nie wiem.

– Co pani chciała powiedzieć?

– Nic.

– Nic? Rozmawiamy o dziesięciminutowym odcinku – naciska Jooną.

– Dziesięć minut...

– Co się wtedy działo? – Jooną nie daje za wygraną.

- Nie wiem – odpowiada Sofia, drapiąc się w ramię.
 - Filmował ministra?
 - Nie, nie filmował, o co panu chodzi? – jęczy Sofia, odchodzi nieco dalej, staje przy drzwiach i puka.
 - Porozumiewał się z kimś?
 - Już nie mam siły – mówi Sofia.
 - Ma pani.
- Odwraca się z powrotem do niego, na jej twarzy widać rezygnację i rozpacz.
- Naprawdę?
 - Porozumiewał się z kimś?
 - Nie.
 - Wyglądał, jakby się modlił? – dopytuje się Joon.
 - Nie – odpowiada Sofia z uśmiechem i ociera łzy z policzków.
 - Może zmuszał ministra do powiedzenia czegoś?
 - Po prostu milczeli.
 - Cały czas?
 - Tak.
 - Leżała tam pani i ich widziała. Morderca naprawdę nic nie robił? – pyta Joon. – Było widać, że się boi? Drżał?
 - Wydawał się spokojny. – Sofia znów ociera łzy.
 - Może toczył walkę wewnętrzną... Może nie wiedział, czy go zabić, czy nie?
 - Nie wahał się, to nie było to... Myślę, że po prostu był zadowolony, że tam stoi... Minister przez cały czas oddychał bardzo szybko, wydawało się, że zaraz straci przytomność... Ale morderca złapał go za włosy i na niego spojrzał.
 - Co sprawiło, że strzelił?
 - Nie wiem... Po chwili po prostu puścił jego włosy, ale dalej trzymał pistolet przy oku... Nagle rozległ się trzask, ale nie z pistoletu, on po prostu zazgrzytał... To trzasnął tył głowy, prawda? Kiedy pękła czaszka.
 - Proszę posłuchać – mówi Joon spokojnym tonem. – Zaraz wyjmę

pistolet. Jest nienaładowany i zupełnie nieszkodliwy, ale musimy na niego spojrzeć, żeby ustalić ostatnie szczegóły.

– Okej – zgadza się Sofia, a jej wargi bieleją.

– Proszę się nie bać.

Joona ostrożnie wyjmuje sig sauera z kabury i kładzie go na stole.

Zauważa, że Sofia ma trudności z patrzeniem na pistolet, a żyły na jej szyi nabrzmiały.

– Wiem, że to trudne – mówi cicho. – Ale chcę, żebyśmy porozmawiali o tym, w jaki sposób trzymał broń. Wiem, że pani to pamięta... Mówiła pani, że trzymał ją oburącz.

– Tak.

– Która ręka była wspomagająca?

– To znaczy?

– Jedna dłoń trzyma pistolet, z palcem na spuście, a druga ją wspomaga.

– To była... lewa była wspomagająca – odpowiada Sofia, próbuje się uśmiechnąć, a potem opuszcza wzrok.

– Czyli celował prawym okiem?

– Tak.

– A zamykał lewe.

– Jedno i drugie oko było otwarte.

– Rozumiem – mówi Joona. Bardzo nietypowa technika, myśli.

On sam strzela z otwartymi oczami. To pozwala na dużo lepszy ogląd sytuacji, ale wymaga treningu.

Joona kontynuuje zadawanie pytań o ruchy sprawcy, chce wiedzieć, jakie było ułożenie barków, kiedy strzelał z dystansu, i w jaki sposób przełożył pistolet do drugiej dłoni, żeby nie zgubić linii strzału, kiedy zbierał łuski z podłogi.

Sofia jeszcze raz mówi o powolności, o strzale w oko, o tym, jak ciało upadło ukośnie do tyłu, z jedną nogą wyciągniętą, a drugą podwiniętą, jak morderca stanął nad ministrem i oddał strzał w drugie oko.

Joona zostawia pistolet na stole, wstaje, wyjmuje dwie szklanki

z szafki w aneksie kuchennym i myśli o tym, że zabójca ministra nie musiał zmieniać magazynka.

– Gdybym to ja był na jego miejscu, zrobiłbym to zaraz po czwartym strzale, żeby mieć pełny magazynek, kiedy będę opuszczał miejsce zbrodni – oznajmia i nalewa coca-coli.

Piją i ostrożnie odstawiają szklanki na stół. Jooną bierze do ręki pistolet i czeka, a Sofia wyciera usta dłonią.

– A po ostatnim strzale zmienił magazynek?

– Nie wiem – odpowiada Sofia zmęczonym głosem.

– Trzeba zwolnić zatrzask i wypuścić magazynek na rękę, o tak – demonstruje Jooną. – A potem włożyć nowy.

Sofia się wzdryga, słysząc dźwięk, głośno przełyka ślinę i kiwa głową.

– Tak zrobił – potwierdza.

37

Joona spokojnie sunie po wyboistej żwirowej ścieżce w kierunku szkoły ogrodniczej Valerii i myśli o opisie sprawcy przedstawionym przez Sofię: strzela z otwartymi oczami, jest oburęczny, zabiera pociski i łuski i przed opuszczeniem miejsca zbrodni wkłada do pistoletu pełny magazynek.

Żeby oddać strzał w trybie *single action*, trzeba odciągnąć zamek – tak aby pierwszy pocisk znalazł się w komorze.

Można to robić na różne sposoby. Szwedzcy policjanci kładą całą lewą dłoń na zamku, celują w podłogę i ciągną do tyłu, ku górze.

Jednak ten człowiek chwycił zamek kciukiem i palcem wskazującym i zamiast odciągnąć go do tyłu, tym samym ruchem pchnął pistolet do przodu, żeby móc od razu wystrzelić. Ta technika nie przychodzi naturalnie, ale jeśli się ją wyćwiczy, pozwala zaoszczędzić decydujące sekundy w sytuacji bojowej.

Joona przypomina sobie, jak któregoś razu oglądał starą sekwencję filmową z Interpolu. Kamera monitoringu nagrała zabójców Fathiego Szikakiego pod hotelem Diplomat na Malcie.

Byli to dwaj agenci Mossadu ze specjalnej jednostki o nazwie Kidon.

Na czarno-białym ziarnistym obrazie widać było człowieka z zakrytą twarzą, który wprowadził pocisk do komory właśnie w taki sposób, strzelił trzy razy, usiadł za drugim mężczyzną na motocyklu i odjechał.

Wszystko, co opisała Sofia, potwierdza militarne wykszolenie wysokiej klasy.

Pistolet przez cały czas był na wysokości twarzy, wylot lufy bez przerwy skierowany prosto.

Joona wyobraża sobie tego mężczyznę, widzi, jak tamten strzela, podbiega i zmienia magazynek, nie gubiąc linii strzału.

Jego myśli wędrują w kierunku polskiego GROM-u i amerykańskiego Navy SEALs. Nagle mężczyzna zostaje na miejscu zbrodni znacznie dłużej, niż to konieczne.

Nie boi się, nie ma wątpliwości, po prostu czeka, obserwując walkę ofiary ze śmiercią.

Joona patrzy na zegarek. Już za trzy godziny ma przekazać pozdrowienia żonie Salima Ratjena.

Parkuje przed małym domkiem Valerii z zielonym ogrodem i bierze do ręki jeden z dwóch bukietów leżących na fotelu pasażera. Duże brzozy muskają gałęziami trawę. Powietrze późnego lata jest ciepłe i wilgotne. Kiedy Joona puka do drzwi, nikt nie otwiera, ale światło się pali. Okrąża dom w poszukiwaniu Valerii.

Znajduje ją w jednej ze szklarni na tyłach. Szyby są zaparowane, ale wyraźnie widać, że Valeria jest w środku. Jej włosy są związane w luźny węzeł, ma na sobie spłowiałe džinsy, gumowce i obcisłą czerwoną pikowaną kurtkę poplamioną ziemią. Przenosi kilka ciężkich donic z drzewkami pomarańczowymi, odwraca się i go dostrzega.

Joona widzi jej ciemne oczy, niesforne kręcone włosy, szczupłą sylwetkę.

Ma wrażenie, że czas się cofnął.

Valeria chodziła do równoległej klasy w jego liceum, nie potrafił oderwać od niej wzroku. Była jedną z pierwszych osób, którym powiedział o śmierci swojego ojca.

Spotkali się na imprezie, a potem odprowadził ją do drzwi. Pocałował ją z otwartymi oczami i nadal pamiętał, co wtedy pomyślał: cokolwiek się zdarzy w przyszłości, przynajmniej pocałowałem najpiękniejszą dziewczynę w szkole.

– Valerio – mówi i otwiera drzwi szklarni.

Valeria zaciska usta, tak że jej broda marszczy się od powstrzymanego śmiechu, ale w jej oczach widać radość. Joona podaje jej bukiet konwalii, a ona wyciera brudne od ziemi ręce w spodnie i przyjmuje kwiaty.

– Czy to pan dostał przepustkę, żeby poszukać miejsca na praktyki? – pyta Valeria, żartobliwie lustrując go wzrokiem.

– Tak, właśnie...

– I myśli pan, że po wyjściu na wolność da pan sobie radę z normalnym życiem? Praca ogrodnika potrafi być ciężka.

– Jestem silny – odpowiada Jooną.

– No, ja myślę – mówi Valeria z uśmiechem.

– Daję słowo, nie pożałuje pani.

– Dobrze – szepcze Valeria.

Przez krótką chwilę stoją i patrzą sobie w oczy. W końcu Valeria spuszcza wzrok.

– Przepraszam za mój wygląd. Ale muszę załadować piętnaście drzewek orzecha włoskiego... Za godzinę Micke i Jack przyjadą po przyczepkę.

– Jesteś piękniejsza niż kiedykolwiek – mówi Jooną i wchodzi za nią do szklarni.

Drzewka stoją w dużych czarnych plastikowych donicach. Mierzą dwa i pół metra i mają bujne korony.

– Można je chwytać za pnie?

– Załadujemy je na to – odpowiada Valeria i podjeżdża żółtym wózkiem transportowym.

Jooną stawia na wózku pierwsze drzewko, a Valeria wyprowadza go tyłem przez drzwi i wjeżdża ścieżką pod górę na plac manewrowy. Wzburzone jasnozielone liście drżą wokół głowy Joonę, kiedy przenosi drzewko na przyczepkę z kratowymi ściankami.

– Miło ze strony chłopaków, że pomagają – stwierdza, stawiając donicę z głośnym hukiem.

Przenoszą kolejne drzewka, stawiają je na przyczepce. Liście szumią, a ziemia sypie się na trawę przez szczeliny w donicach.

Valeria wchodzi na przyczepkę i przesuwa drzewka do przodu, żeby zrobić miejsce na następne.

Schodzi z powrotem, zdmuchuje włosy z twarzy, otrzepuje ręce z ziemi i siada na dyszlu przyczepki.

– To wręcz niepojęte, że są już dorośli – mówi i patrzy na Joonę. – Przez moje błędy dzieci dorastały beze mnie.

Bursztynowe oczy Valerii ciemnieją i stają się poważne.

– Liczy się to, że masz ich z powrotem – zauważa Joonas.

– Ale to nic oczywistego... Jeśli wziąć pod uwagę, na co ich naraziłam, kiedy siedziałam w Hinsebergu... Zdradziłam ich, a tak się po prostu nie robi.

– Tak czy owak, powinni być dumni z tego, kim się stałaś – mówi Joonas.

– Nigdy tak naprawdę mi nie wybaczą. To znaczy... ty wcześniej wybaczyłeś swojemu ojcu, ale on był bohaterem. Mimo wszystko to musiało mieć duże znaczenie, może nie wtedy, ale później.

– Tak, ale wróciłaś i mogłaś wyjaśnić, co się stało, opowiedzieć o tych błędach.

– Oni nie chcą o nich rozmawiać.

Patrzy w dół, pomiędzy jej gęstymi brwiami tworzy się zmarszczka.

– Przynajmniej nie umarłaś – stwierdza Joonas.

– Choć mówili tak kolegom, bo się wstydzili.

– A ja się wstydziłem, że mama i ja mieliśmy trudną sytuację finansową... To dlatego nigdy nie poszliśmy do mnie do domu.

Valeria odwraca głowę i patrzy Joonie w oczy.

– Zawsze myślałam, że twoja mama chciała, żebyś się umawiał z fińskimi dziewczynami.

– Nie – odpowiada ze śmiechem Joonas. – Kochała cię, uwielbiała twoje kręcone włosy.

– Czego się wstydziłeś?

– Mama i ja mieszkaliśmy w kawalerce w Tensta. Spałem w kuchni na materacu, który każdego ranka zwijałem i wciskałem do szafy... Nie mieliśmy telewizora ani sprzętu stereo, meble były zniszczone...

– I dorabiałeś w magazynie, dobrze pamiętam?

– W tartaku Ekesiöö w Brommie... Inaczej nie byłoby nas stać na czynsz.

– Na pewno uważałeś mnie za rozpieszczoną – mamrocze Valeria, spuszczać wzrok na dłonie.

– Człowiek szybko się uczy, że życie nie jest sprawiedliwe.

38

Valeria bierze wózek i idzie z powrotem do szklarni. W milczeniu ładują drzewka orzechowe na wózek. Oboje czują w środku niespokojne poruszenia przeszłości. Myśli z wolna kołują w morzu wspomnień, a wiry wciągają kolejne.

Kiedy Jooną miał jedenaście lat, jego tata Yrjö – policjant – został zamordowany na służbie przez człowieka ze strzelbą w czasie awantury domowej w upplandzkim Vasby. Ritva, mama Joony, była gospodynią domową i nie miała dochodów. Pieniądze się skończyły, więc musiała wyprowadzić się razem z synem z domu w Marsta.

Jooną szybko nauczył się mówić kolegom, że nie chce iść z nimi do kina, nauczył się mówić, że nie jest głodny, kiedy siedzieli w bufecie.

Stawia ostatnie drzewko na przyczepce, wpycha do środka gałąź i ostrożnie zamyka kratkę.

– Opowiadałeś o swojej mamie – odzywa się Valeria.

– Wiem, że zdawała sobie sprawę z mojego wstydu. – Jooną otrzepuje dłonie. – To musiało być dla niej trudne, bo tak naprawdę było nam dobrze, przyjmowała każdą pracę sprzątaczką, jaką tylko mogła zdobyć, wypożyczała książki z biblioteki, czytaliśmy je, a wieczorami o nich rozmawialiśmy.

Po wprowadzeniu wózka do szopy wchodzi do małego domku. Valeria otwiera drzwi piwnicy, które prowadzą do pralni.

– Umyj tu ręce – mówi i odkręca kran nad dużym stalowym zlewem.

Jooną staje obok niej i wkłada brudne ręce pod ciepły strumień wody. Valeria pieni mydło, które po chwili robi się czarne. Zaczyna myć mu ręce.

Słychać tylko wodę, która połyskując, spływa po pochyłej, ryflowanej powierzchni zlewu.

Uśmiech znika z twarzy Valerii, kiedy opłukują dłonie, jeszcze raz spieniają mydło i myją sobie nawzajem ręce.

Nieruchomieją pod ciepłym strumieniem, jakby nagle uświadomili sobie ten dotyk. Ona delikatnie ściska w dłoni jego dwa palce i z powagą spogląda mu w oczy.

Joona jest od niej dużo wyższy i chociaż się pochyła, żeby ją pocałować, Valeria musi stawać na palcach.

Nie całowali się od czasu liceum. Po wszystkim patrzą na siebie wręcz z zawstydzeniem. Valeria zdejmuje z półki czysty ręcznik i wyciera dłonie i przedramiona Joony.

– I pomyśleć, że jesteś tu u mnie, Joono Linna – mówi z czułością i gładzi go po policzku, od szczęki do ucha i jasnych włosów.

Ściąga koszulkę i myje się pod pachami, nie zdejmując białego stanika z odbarwionymi ramiączkami. Jej skóra ma jednolity odcień – jakby oliwy w misce z porcelany. Na obu ramionach widnieją tatuaże, a ręce są zaskakująco muskularne.

– Nie patrz – mówi z uśmiechem.

– To trudne – odpowiada Joona i się odwraca.

Valeria przebiera się w czarne spodnie dresowe z białymi lamпасami i żółty podkoszulek.

– Wejdziemy?

Jej dom jest mały i urządzony z prostotą. Sufit, podłoga i ściany są pomalowane na biało. Po wejściu do kuchni Joona uderza głową o lampę.

– Uważaj na głowę. – Valeria wkłada kwiaty do szklanki z wodą.

Przy stole nie ma żadnych krzeseł, a na blacie kuchennym stoją trzy formy z chlebem, przykryte ręcznikami.

Valeria dokłada trochę więcej drewna do starego pieca, dmucha na żar i wyjmuje kociołek.

– Jesteś głodny? – pyta i wyciąga ze spiżarni chleb i ser.

– Zawsze jestem głodny – odpowiada Joona.

– Dobrze.

– Są krzesła?

– Tylko jedno... żebyś musiał siedzieć mi na kolanach. Nie, po prostu

zwykle wynoszę krzesła, kiedy coś piekę – wyjaśnia Valeria i wskazuje duży pokój.

Joona wchodzi do sąsiedniego pomieszczenia z telewizorem, kanapą i starą, ręcznie malowaną szafą. Przy jednej ze ścian stoi rząd sześciu krzesel. Joona bierze dwa z nich i wraca do kuchni, znów uderza głową o lampę, zatrzymuje ją ręką i siada.

Światło jeszcze przez chwilę się trzęsie, przesuwa się po ścianach.

– Valerio... właściwie to nie jestem na przepustce – zaczyna Joona.

– Chyba nie uciekłeś? – Valeria się uśmiecha.

– Nie tym razem.

Jej jasnobrązowe oczy umykają w bok, a twarz szarzeje, jakby była za ścianą z lodu.

– Wiedziałam, że to się stanie, wiedziałam, że znów będziesz policjantem – mówi Valeria i głośno przełyka ślinę.

– Nie jestem policjantem, ale zostałem zmuszony do przeprowadzenia ostatniej akcji. Nie było innej możliwości.

Valeria ostrożnie opiera się ręką o ścianę. Unika patrzenia mu w oczy. Żyły na jej szyi mocno pulsują, wargi są zbielełe.

– Czy ty w ogóle siedziałeś w więzieniu?

– Zaakceptowałem to zadanie przedwczoraj.

– Rozumiem.

– Przestałem być policjantem.

– Nie – odpowiada z uśmiechem Valeria. – Albo może tak myślisz, ale ja wiedziałam, że po prostu chciałeś wrócić.

– To nieprawda – zaprzecza Joona, choć w tej samej chwili dociera do niego, że tak właśnie jest.

– W nikim nie byłem zakochana tak jak w tobie – mówi powoli Valeria i wyłącza piec. – Wiem, że większość rzeczy w życiu mi się nie udała, a ogrodnictwo to nie jest zbyt wielki powód do dumy. Kiedy się dowiedziałam, że siedzisz w Kumli... Nie wiem, poczułam, że już nie muszę się przed tobą wstydzić, że zrozumiesz. Ale teraz... Nie chcesz tu pracować, dlaczego miałbyś chcieć? Zawsze będziesz policjantem, tak już

jest i przecież o tym wiem.

– Czułbym się tu dobrze.

– To się nie uda – odpowiada Valeria niewyraźnie.

– Tak.

– Nic nie szkodzi, Joono, jest, jak jest – dodaje i spogląda na niego pustym wzrokiem.

– Jestem policjantem, to część mnie. Mój tata zginął w mundurze... Nie spodobałbym mu się w garniturze, ale lepsze to niż strój więzienny.

Valeria stoi ze spuszczonego wzrokiem i rękami skrzyżowanymi na piersi.

– Może przesadzam z reakcją, ale chcę, żebyś sobie poszedł – oznajmia cicho.

Joono wolno kiwa głową, gładzi dłonią blat i wstaje od stołu.

– Zrobimy tak – mówi, starając się pochwycić jej spojrzenie. – Zamelduję się w małym hotelu na Vasastan, nazywa się Hansson. Jutro muszę znowu stawić się w Kumli, ale do tego czasu liczę na odwiedzinę, bez względu na to, czy jestem policjantem, czy nie.

Kiedy Joono wychodzi z kuchni, Valeria szybko odwraca oczy, żeby nie widział, że ona zaraz się rozpłacze. Słyszy jego ciężkie kroki w sieni, odgłos otwieranych i zamykanych drzwi.

Staje przy oknie. Widzi, jak Joono wsiada do samochodu i odjeżdża. Kiedy już go nie widać, osuwa się na podłogę i pozwala sobie na płacz – stary płacz, który czekał w niej aż do chwili, kiedy ich drogi się przecięły, a między nimi rozwarła się przepaść.

39

Saga przypina motocykl i rusza ulicą Luntmakargatan, pogrążona w myślach o szybkim prześwieteniu Salima Ratjena przez Joonę. Duża akcja ma się rozpocząć za dwie godziny.

Mija wschodnioazjatycką restaurację wegetariańską i spostrzega parę pięćdziesięciolatków jedzących posiłek. Trzymają się za ręce na stole pomiędzy talerzami i szklankami, są uśmiechnięci i rozmawiają.

Dochodzi do wniosku, że od czasu zabójstwa ministra spraw zagranicznych zapomniała o jedzeniu.

Zagrożenie bezpieczeństwa państwa odcisnęło piętno na wszystkim.

Po przesłuchaniu Tamary w Nyköpingsbro Jeanette wzięła urlop zdrowotny. Saga jechała z powrotem do Sztokholmu, a Jeanette leżała skulona na tylnym siedzeniu i miała zamknięte oczy.

Kiedy rano w biurze spotkała się z Janusem, miał przekrwione oczy i pił ogromne ilości wody.

Był nieogolony i przyznał, że nie wrócił do domu, do rodziny, tylko spędził noc w samochodzie na parkingu. Saga myśli, że musi z nim porozmawiać i powiedzieć mu, żeby brał leki. Wie, że po odejściu z wojska przez kilka tygodni leżał w szpitalu, ale później doskonale sobie poradził z chorobą.

Współpracownicy Janusa obejrżeli filmy z kamer monitoringu, znajdujące się na twardym dysku komputera ministra. Sprawcy nie było widać, choć musiał tam przyjść przynajmniej raz na rekonesans.

Jednak przed trzema tygodniami kamery zarejestrowały innego nieproszonego gościa.

W środku nocy słynny kucharz Rex Müller przeszedł przez ogrodzenie, wszedł na trawnik i zataczając się, spacerował po tarasie.

Na filmie widać, jak się ustawia i oddaje mocz prosto do podświetlonego basenu, a potem chodzi po ogrodzie, zbiera krasnale, jakby były dużymi grzybami, i wrzuca je do basenu, jednego po drugim.

Trudno się w tym dopatrzeć związku z morderstwem, ale to bez wątplenia agresywne i niezrównoważone zachowanie.

Janus otarł pot z górnej wargi i kilka razy podkreślił, że nie wolno traktować lekko jakiegokolwiek wyrazu nienawiści. Kilka wrogich słów w internetowym komentarzu bądź post na Facebooku czy Instagramie mogą czasem stać się przyczyną paskudnych zbrodni popełnionych z nienawiści.

Rex zabiera popielniczkę zostawioną przez Sammy'ego na tarasie, opłukuje ją i wstawia do zmywarki, kiedy nagle słyszy dzwonek. Nie zakręca kranu, od razu pędzi do drzwi.

Na progu stoi najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widział. Wygląda, jakby wyszła z fantastycznego snu – jednego z tych, które się trafiają, kiedy człowiek długo śpi, kiedy alkohol już wyparuje z ciała i wszystkie nocne marzenia robią się słodkie jak cukier.

– Nazywam się Saga Bauer i pracuję w Säpo – mówi i patrzy wprost na niego jasnoniebieskimi oczami.

– Säpo? – pyta Rex.

– Policja bezpieczeństwa – wyjaśnia i okazuje legitymację.

– Okej – mówi Rex, nawet nie patrząc na dokument.

– Mogę wejść?

Rex się cofa, słyszy wodę płynącą z kranu w kuchni i przypomina sobie o zmywaniu.

Agentka Säpo zrzuca zniszczone sportowe buty i odsuwa je nogą.

– Możemy wejść do kuchni? – pyta Rex słabym głosem. – Właśnie napełniałem zmywarkę i...

Agentka kiwa głową i wchodzi za nim po schodach do kuchni. Rex zakręca kran i się do niej odwraca.

– Ma... ma pani ochotę na filiżankę kawy?

– Nie, dziękuję – odpowiada Saga Bauer i patrzy na miasto. – Znał pan ministra spraw zagranicznych, prawda?

Ponownie zwraca się w jego stronę, a wtedy Rex zauważa, że jej duży palec u nogi wystaje przez dziurę w rajstopach.

– Nie mieści mi się w głowie, że już go nie ma – mówi i kręci głową. – Nie wiedziałem, że to aż tak poważne, on prawie nie wspominał o swojej chorobie... To dość typowe dla mężczyzn z pewnego pokolenia, uważają, że wszystko należy zachowywać dla siebie...

Jego głos zamiera.

Saga Bauer podchodzi do stołu, przez chwilę patrzy na dużą miskę z limonkami, a potem znów podnosi wzrok.

– Ale go pan lubił?

Rex wzrusza ramionami.

– W ciągu ostatnich lat nie utrzymywaliśmy za bardzo kontaktu, żaden z nas nie miał czasu... Tak to jest, jeśli się pragnie kariery. Ona ma swoją cenę.

– Znał go pan długo – stwierdza Saga Bauer, kładąc rękę na oparciu jednego z krzeseł.

– Od czasów liceum... Chodziliśmy do tej samej szkoły z internatem – Ludviksberg... Byliśmy ekipą rozpieszczonych dzieciaków, którzy... .. Mieliśmy swój własny ostry język, żaden żart nie był dla nas zbyt brutalny czy wulgarny, żaden kawał zbyt zwariowany – kłamie Rex.

– Brzmi zabawnie – kwituje sucho Bauer.

– To był dla mnie najlepszy okres w życiu – zapewnia Rex z uśmiechem i odwraca się do zmywarki, bo nie wytrzymuje tego fałszu.

Kiedy znów spogląda na kobietę, czuje w piersi coś w rodzaju skurczu. Krew, którą pozostawił DJ, jest wyraźnie widoczna na jednym z krzeseł przy stole. Jak mógł tego nie zauważyć, kiedy sprzątał? Jakimś cudem krew dostała się pod podłokietnik. Spod krawędzi wystają ciemnoczerwone zakrzepłe krople.

– Dlaczego mam wrażenie, że nie mówi pan prawdy?

– Może przez moją facjatę – podsuwa Rex. – Tak po prostu wyglądam, nie ma sensu się tym denerwować.

Saga się nie uśmiecha, opuszcza tylko na moment wzrok, a potem znowu na niego spogląda.

– Kiedy ostatnio spotkał się pan z ministrem?

– Nie pamiętam... Kilka tygodni temu piliśmy razem kawę – kłamię Rex, nerwowo przeczesując ręką włosy.

Jej jasne oczy są poważne, badawcze.

– Rozmawiał pan z jego żoną?

– Nie, to znaczy... Nie znam jej, chyba tylko ze dwa razy się przywitaliśmy.

Jest w stanie myśleć tylko o krwi, czuje się tak, jakby każde jego słowo było puste i fałszywe.

Nie spuszczać go z oczu, agentka odrywa dłonie od krzesła i okrąża stół.

– Co pan przede mną ukrywa?

– Muszę mieć jakieś tajemnice, żeby pani wróciła.

– Proszę mi wierzyć, nie chce pan, żebym wracała.

– Chcę. – Rex żarliwie kiwa głową.

– Strzelę panu w kolano – mówi Saga Bauer.

Widząc jego niepoważny szeroki uśmiech, nie potrafi zachować powagi.

– Usiądźmy w oranżerii – proponuje Rex z niepewnym gestem. – Tam jest trochę chłodniej i...

Policjantka wychodzi z nim do oszklonej części zadaszonego tarasu i siada na jednym z mechatych foteli z jagnięcej skóry przy starym marmurowym stole.

Rex myśli o tym, że musi sobie znaleźć zajęcie w środku, nalać środka z chlorem na kawałek papierowego ręcznika, wytrzeć krzesło i spuścić papier razem z wodą, zanim ona zdąży zareagować.

– Może szklankę wody? – pyta.

– Zaraz będę się zbierać – mówi agentka i gładzi dłonią liście dużej melisy lekarskiej.

– Szampana?

Saga Bauer posyła mu zmęczony uśmiech, a wtedy Rex zauważa na jej twarzy sporą bliznę, biegnącą przez środek brwi. W jakiś sposób dodaje jej to życia.

– Czy minister kiedykolwiek wspominał, że czuje się zagrożony? – pyta Bauer.

– Zagrożony? Nie... nie sądzę – odpowiada Rex i czuje gęsią skórę na ramionach, kiedy dociera do niego, że minister spraw zagranicznych został zamordowany.

Z jakiego innego powodu angażowałiby w to Säpo?

Minister nie chorował, to była tylko wersja oficjalna.

Rex czuje, że nad górną wargą występuje mu pot na myśl o tym, co przed chwilą powiedział – że minister nie chciał rozmawiać o swoich problemach zdrowotnych. Rex dał do zrozumienia, że wiedział o chorobie, ale nie zdawał sobie sprawy z jej powagi.

– Pójdę już. – Policjantka wstaje.

Rex znów wychodzi z nią do kuchni. Bauer staje przy stole i się odwraca.

– Czy jest coś, co chciałby mi pan powiedzieć? – pyta z powagą.

– Nie, tylko to, co już mówiłem... że czasem przesadzaliśmy z żartami, które sobie nawzajem robiliśmy.

Zamiast sobie pójść, agentka wysuwa krzesło z krwią, siada i podnosi na niego oczy z taką miną, jakby oczekiwała, że teraz usłyszy prawdę.

– Ale odwiedzał go pan czasem w Djursholm?

– Nie – odpowiada Rex i zerka na szafkę, w której stoi butelka ze środkiem czyszczącym.

Jeżeli minister rzeczywiście został zamordowany, to Rex swoim wtargnięciem na teren jego posiadłości nie tylko wywołał skandal, ale wręcz może być podejrzany.

W panice myśli, że może powinien wyznać, co tak naprawdę myślał o ministrze, ale utrzymywać, że nie chciał nikogo skrzywdzić.

Nigdy nie zrobił nic brutalnego, ale po chwili dochodzi do wniosku, że jego próba pomocy DJ-owi tego wieczoru może mieć poważne konsekwencje.

W lokalnych wiadomościach nie pisano nic na temat pobicia albo śmierci, ale było dużo krwi, a DJ twierdził, że facet został poważnie

ranny.

Może właśnie leży na stole operacyjnym, a jeśli umrze, mogą oskarżyć Rexa o współudział w morderstwie albo ukrywanie sprawcy.

Jeśli agentka Säpo przesunie dłoń na krzesło kawałek do przodu, poczuje lepka krew.

– Kiedy w ogóle był pan ostatnio w Djursholm?

Rex patrzy na jej rękę na podłokietniku.

– Chętnie przytoczyłbym mnóstwo starych wspomnień, ale niedługo będę musiał lecieć... Mam zmienić menu w mojej restauracji i...

Policjantka bębni palcami o podłokietniki, odchyła się na oparcie i patrzy na niego badawczo. Jej palce leżą tuż przy krwi pod krawędzią.

– Rozmawiał z panem na temat człowieka o podwójnej twarzy?

– Nie – odpowiada szybko Rex.

– Nie chce pan wiedzieć, o czym mówię? – pyta agentka. – Czy nie powinno to pana zastanowić, gdyby nie wiedział pan, kogo mam na myśli?

– Tak, ale...

W roztargnieniu dotyka palcem kleistych kropel.

– Co ale?

Rex już ma po raz kolejny przeczesać dłońią włosy, ale udaje mu się powstrzymać ten gest.

– Po prostu zaczyna mi się trochę spieszyć i... szczerze mówiąc, nie sądzę, żebym mógł jakoś pomóc.

– Proszę się nie zdziwić, jeśli wrócę – mówi policjantka i się podnosi.

Okrąża krzesło, chwytając je za oparcie, powoli przysuwa do stołu i przez chwilę patrzy Rexowi w oczy. Potem rusza w stronę schodów.

40

Joona parkuje obok białej zniszczonej przyczepy kempingowej przy Almnavägen 16, patrzy na zegarek i po raz kolejny myśli o przesłuchaniu Sofii Stefansson.

Mają do czynienia ze sprawcą, który mimo wyjątkowo zaawansowanego wykształcenia wojskowego wychodzi poza ramy swojego zadania.

Szczególnie mocno pilnuje, żeby nie zostawiać żadnych śladów, a mimo to zostawia przy życiu świadka.

Jest nieprawdopodobnie skuteczny i szybki, a jednak się zatrzymuje i przez dziesięć minut nic nie robi. Jest zupełnie spokojny, nie drży, nie waha się, nie modli się do Boga, nie zadaje żadnych pytań i niczego nie żąda.

Ta pusta kapsuła czasu z jakiegoś powodu musi być dla niego ważna, na poziomie rytuału, myśli Joona.

Ale w takim wypadku łańcuch przyczynowo-skutkowy kryjący się za zabójstwem jest dużo bardziej pokręcony, niż sądzą, więc myśl o konwencjonalnym terroryzmie należy uznać za zbyt prostą.

Drzwi przyczepy się otwierają, ze środka wychodzi kobieta w zielonym płaszczu przeciwdeszczowym i zakłada kaptur na blond włosy. Joona wysiada z samochodu, naciska przycisk na pilocie i do niej podchodzi.

– Joona Linna – oznajmia kobieta.

– Ja też się tak nazywam – odpowiada Joona i wyciąga rękę.

Kobieta tłumy uśmiech.

– Jestem Ingrid Holm, mam cię zaprowadzić do szefa operacji.

– Dziękuję, to miłe.

Ingrid Holm prowadzi go przez furtkę w niepomalowanym ogrodzeniu pomiędzy domem a garażem. Wchodzą do zagajnika. Czuć tam zapach wrzosu i ciepłego mchu. Kiedy korony drzew przenika wiatr,

na ziemię spada deszcz igieł.

– Musisz się mnie trzymać, żeby nie było cię widać z ulicy – mówi Ingrid i zatrzymuje go w najwyższym punkcie.

Porozumiewa się z kimś przez urządzenie systemu TETRA, słucha i chwilę czeka. Prosi Joonę, żeby się pochylił, prowadzi go pomiędzy dwiema sosnami za kamienny blok porośnięty białym mchem i dopiero wtedy pokazuje, że znów mogą się wyprostować. Zmieniają kierunek i ruszają dalej, wydeptaną ścieżką wzdłuż wysokich bżów. Wiedzie ona wprost na trawnik za żółtym drewnianym domem z białymi narożami. W wysokich chwastach obok starej jabłonki stoją czerwony grill kulisty i mała trampolina.

Ingrid prowadzi Joonę do białych drzwi werandy. Widać, że wokół łamliwych szczeblin odpada kit. W przedpokoju, kuchni i salonie stoją policjanci w kamizelkach z tworzyw ceramicznych. Powietrze wypełnia pełna niepokoju woń potu i smaru do broni. Karabiny automatyczne huśtają się na skórzanych paskach, a na podłodze leżą czarne kaski. Wszystkie okna na parterze są zakryte ekranami, które mają zamaskować to, co się dzieje w środku.

– Pierwsza grupa jest w kuchni – oznajmia kobieta i wskazuje na schody.

Jooną przeciska się pomiędzy ubranymi na czarno mężczyznami, którzy niespokojnie czekają przy schodach na piętro.

Nikt nie wie, że kilku z nich zginie w przeciągu paru godzin.

W małej kuchni jest Ekipa 1 – ludzie Gustava, którzy wejdą do środka za Jooną – pierwsza grupa, która wyważa drzwi i okna w razie walki albo wzięcia zakładników.

– Jooną? – pyta mężczyzna o ciemnobrązowych oczach.

– Tak.

– To jest Jooną Linna, który wejdzie do środka jako pierwszy – wyjaśnia pozostałym.

– A to jesteśmy my, którzy wejdziemy później – odzywa się inny mężczyzna o potężnym karku i ogolonej głowie.

– Już czuję się bezpieczniej – odpowiada z uśmiechem Jooną i ściska dłoń czterech członków zespołu, którzy przedstawiają się po kolei.

– Właściwie miałem mieć dzisiaj wolne – mówi ten o imieniu Sonny.
– Ale coś takiego szkoda przegapić.

Adam chodzi w kółko, aż trzeszczy podłoga, poprawia kamizelkę kuloodporną i strój i popija red bulla z małej puszki.

– Mam zadzwonić do twojego brata i powiedzieć, że dziś możesz lecieć sam? – pyta August, siedzący na podłodze plecami do ściany.

– Jego starszy brat jest mechanikiem pokładowym jednego z naszych śmigłowców – wyjaśnia Jamal.

Sonny zagląda do lodówki, odsuwa słoik marmolady i wacha opakowanie jogurtu waniliowego.

– Nie sądzę, żebyś tam znalazł jakichś terrorystów. – August ziewa.

– Jeśli znajdę, to ich zabiję – mruczy Sonny i wyjada wędzoną szynkę kanapkową z plastikowego opakowania.

– Gustav jest na górze? – pyta Jooną.

– Tak, mają z Janusem przejrzeć ostatnie szczegóły – odpowiada Jamal.

Jeden z członków ekipy specjalnej siedzi na najniższym stopniu schodów i wpatruje się pustym wzrokiem w przestrzeń. Kiedy Jooną do niego podchodzi, szybko wstaje i nerwowo się odsuwa.

Jooną wchodzi po skrzypiących drewnianych schodach i trafia do przestronnego pokoju sąsiadującego z dwiema sypialniami. Również tutaj okna są zasłonięte. Wszyscy zdążyli już zająć pozycje. Rozmowy są przytłumione i zwięzłe, jak te prowadzone w samolocie, który podchodzi do lądowania przy złej pogodzie.

Szef ekipy Janus Mickelsen stoi z oryginalnym planem sąsiedniego budynku i rozmawia o czymś z dowódcą operacyjnym Gustavem Larssonem.

– *Back in black* – mówi Janus, ściskając dłoń Jooną.

– Co sądzisz o tej akcji? – pyta Gustav.

– Prawdopodobnie wszystko przebiegnie bezproblemowo – mówi Jooną. – Ale jeśli sytuacja miałaby się okazać trudna, muszę ostrzec, że

sprawca jest bardziej niebezpieczny, niż przypuszczaliśmy.

– Kontrolujemy sytuację – odpowiada Janus niecierpliwym tonem.

– Wiecie, tuż po naszym spotkaniu rozmawiałem ze świadkiem... i według mojej oceny ten przestępca ma za sobą szkolenie wojskowe na poziomie Navy SEALs.

– Okej, dobrze wiedzieć – oznajmia z powagą Gustaw

– Cholera, mamy tu sześciu snajperów, włącznie ze mną – mówi Janus.

– Dwudziestu ośmiu antyterrorystów z Nationella insatsstyrkan, karabiny automatyczne, granaty hukowe, M46.

– Chcę tylko, żebyście byli przygotowani na to, że ten człowiek nawet nie musi myśleć, aby rozgryźć waszą taktykę – tłumaczy Joonas. – Będzie wykorzystywał to, czego się nauczyliście. Wie, w jaki sposób czyścicie pomieszczenia i jak trzymacie broń, żeby jej nie stracić.

– W tym momencie powinieneś zacząć się bać. – Janus klepie Gustava po ramieniu.

Od nasady włosów na jego piegowate czoło spływa pot.

– Rzecz po prostu w tym, że się na to nie przygotowaliśmy – oznajmia Gustav i ociera usta dłonią.

– Jeżeli zaczniecie tracić ludzi, będziecie musieli przełamać wasze standardowe schematy – mówi Joonas i w tej samej chwili żałuje, że chłopak nie jest odsunięty od akcji.

– Zejdę i omówię z ekipą alternatywną taktykę – postanawia Gustav. Jego policzki czerwienieją. – Nie chcę, żebyś potem mówił ciotce Anji, że się wygłupiłem.

– Tylko uważaj – upomina Joonas.

– Wszyscy jesteśmy gotowi zginąć ku chwale naszego ministra spraw zagranicznych – mówi szeptem Janus i szczyrzy zęby.

Gustav z hełmem w ręku znika na schodach.

Joonas wchodzi do sypialni z widokiem na las i zaczyna obserwować na ekranie komputera, co się dzieje na zewnątrz. Rozmazane gałęzie nagich drzew poruszają się na wietrze przed domem Parisy.

Gnestavägen 10 to żółty szeregowiec z lat pięćdziesiątych. Przy

popękanych schodach piętrzy się stos suchych liści, a miotła z wyblakłym trzonkiem stoi oparta o ścianę.

Do spodziewanego pojawienia się Parisy zostało dwadzieścia pięć minut.

Janus przychodzi ze starymi projektami domu z urzędu planowania przestrzennego. Miedziane kręcone włosy i zarost dodają jego zestresowanej twarzy kruchości.

– Od wyjścia Parisy dzisiejszego ranka nie odnotowaliśmy żadnej aktywności w pobliżu domu – mówi, kładąc plan na stole. – Jest jednak kilka miejsc, do których nie da się zajrzeć z zewnątrz.

– Przedpokój i toaleta. – Joona wskazuje pomieszczenia na mapie.

– Poza tym na piętrze ktoś może leżeć na podłodze albo w wannie... Ale najwięcej przestrzeni jest w kotłowni i w pralni.

– Budynek został wzniesiony w latach pięćdziesiątych, mogą tam być duże schowki i...

– Poczekaj – przerywa Janus i odpowiada na wezwanie przez radio. Nasłuchuje, a potem odwraca się z powrotem do Joony.

– Parisa wraca wcześniej, niż się spodziewaliśmy. Już idzie do domu i dotrze tu za niecałe pięć minut.

41

Janus zmienia kanał w systemie TETRA i z napięciem w głosie informuje wszystkie grupy, że Parisa nadchodzi.

– Joona, przyszedłeś tu z mnóstwem ostrzeżeń – odzywa się Janus, wpatrzony w niego szeroko otwartymi oczami. – Chcę tylko powiedzieć, że jeśli wszystko pójdzie nie tak, jeżeli będziemy musieli się tam włamać, to idź na górę. W garderobie jest drabina, która prowadzi na poddasze i na dach.

Na ekranie widać, jak Parisa z torbami ze sklepu spożywczego ICA zbliża się do domu. Ma na sobie cienki czarny płaszcz, różowy hidżab i czarne skórzane buty na obcasie.

Wyjmuje kilka ulotek ze skrzynki na listy, podchodzi do drzwi, stawia torby na ziemi i wkłada klucz do zamka.

– Musimy założyć ci mikrofon – mówi Janus. – Idź do pokoju po prawej. Siv do ciebie przyjdzie, jak tylko ją znajdzie.

Joona wraca do przedpokoju i dalej do sypialni. Na krześle przy oknie z widokiem na ulicę siedzi młoda kobieta w czarnej koszulce polo. Na dźwięk jego kroków wstaje i się wita.

– Mam na imię Jennifer – przedstawia się i ściska mu dłoń.

– Nie chciałem przeszkadzać, ale...

– Nie przeszkadzasz – odpowiada szybko kobieta i odgarnia włosy z policzka.

– Potrzebuję tylko pomocy z mikrofonem.

Włosy Jennifer są związane w koński ogon. Ma na sobie czarne spodnie cargo i ciężkie buty, ale hełm, okulary ochronne i ceramiczna kamizelka kuloodporna leżą na podłodze obok krzesła.

Joona dostrzega karabin snajperski PSG-90, zamontowany na solidnym statywie. Jennifer jednym ruchem może miękko przesunąć lufę z jednej krawędzi okna na drugą.

Na małym stoliku, obok kartonu z amunicją kaliber 7.62, są trzy

dodatkowe magazynki i zielona butelka pellegrino.

Na podłodze leży tabela balistyczna, która wypadła z jednej z szuflad. Joono myśli, że to nie szkodzi, bo przecież Jennifer i tak nie będzie jej potrzebowała. Prędkość wylotowa pocisku z tej broni to prawie tysiąc trzysta metrów na sekundę, a w tym wypadku dystans wynosi nie więcej niż sześćdziesiąt metrów.

Joono zdejmuje marynarkę i kładzie ją na łóżku, rozluźnia kaburę i zaczyna rozpinać koszulę.

– Parisa jest teraz w sypialni na górze – mówi Jennifer. – Chcesz rzucić okiem?

Joono podchodzi, patrzy przez lunetę celowniczą, ustawia powiększenie na osiem i widzi, jak Parisa zdejmuje hidżab. Jej włosy są splecione w gruby czarny warkocz opadający na plecy. Pośrodku krzyża wyraźnie widzi jej twarz: małe pory na nosie, znamię nad brwią i cienką linię kajalu, pociągniętego odrobinę za daleko, ku sklepieniu kości policzkowej.

Kiedy Parisa wchodzi do łazienki, Joono zauważa, że drzwi do garderoby z żółtobrazową tapetą w medalionowy wzór są otwarte.

To tam musi być wejście na poddasze.

Joono prostuje plecy i zerka na dom. W szczelinie pomiędzy zasłonami widać Parisę w łazience – jak cień na tle chropowatego szkła w oknie na poddaszu.

Joono zdejmuje koszulę, a zaraz potem do pokoju wchodzi techniczka dźwięku z grupy zajmującej się zwiadem. Siv jest kobietą w średnim wieku, ma piękne niebieskie oczy i jasne włosy do ramion. Przystaje, a jej biała bluzka napina się na piersiach z każdym oddechem.

Z poważną miną patrzy na półnagiego Joonę. Trening w więzieniu zapewnił mu dobrą muskulaturę. Na jego tułowiu widać rany od kul i od noża.

Siv powoli go okręży, dotyka opuszkami palców miejsca pod prawą łopatką i lekko unosi jego ramię. Jennifer patrzy na nich i nie potrafi powstrzymać uśmiechu.

– Chyba umieszczę mikrofon tuż pod lewym mięśniem piersiowym – stwierdza w końcu Siv i otwiera plastikowe etui z czarnym dnem z gumy piankowej.

– Okej.

Siv drżącymi dłońmi przykleja mikrofon i próbuje wyrównać taśmę.

– Mam trochę zimne ręce – mówi ochrypłym głosem.

– Nic nie szkodzi.

– Ja mogę to zrobić – proponuje Jennifer. – Mam ciepłe ręce.

Siv udaje, że tego nie słyszy. Siada na kolejnym kawałku taśmy i sprawdza, czy połączenie działa. Ich głosy rozbrzmiewają w głośniku odbiornika, ale bliskość nadajnika sprawia, że odbijają się głośnym echem.

– Mam się ubrać? – pyta Jooną.

Siv nie odpowiada, a Jennifer tłumi chichot. Jooną dziękuje za pomoc, wkłada koszulę, zapina kaburę i znów wkłada marynarkę.

– Tego mikrofonu prawie nie da się wykryć – oznajmia Siv. – A zasięg jest zupełnie wystarczający do tego domu, ale niewiele większy. Mówię ci to, żebyś wiedział.

Kiedy sprawdzają połączenie po raz drugi, wchodzi Janus i podstawia Joonie laptopa, żeby zobaczył, jak Parisa schodzi do kuchni, spaceruje w staniku i połyskujących spodniach dresowych i wyjada chipsy ze srebrnej paczki.

Jooną sprawdza pistolet, pożycza taśmę od Siv i okręca dolną część rękojeści, jak to ma w zwyczaju. Wypuszcza magazynek, odciąga zamek, szybko wypróbówuje mechanizm, sprawdza sprężynę dociskową i iglicę, zabezpiecza broń, wkłada z powrotem magazynek i wprowadza pocisk do komory.

– Idę – mówi krótko.

Schodzi po schodach i widzi Gustava, który skrywa twarz w dłoniach. Jego karabin automatyczny wisi przy biodrze.

– Co z tobą? – pyta Jooną.

Gustav się wzdryga i opuszcza ręce. Wygląda na zawstydzonego. Jego

zazwyczaj radosna twarz jest napięta i błyszczący od potu.

– Po prostu mam cholernie dziwne uczucie – mówi z zaciętą miną. – Coś nie daje mi spokoju, może cały ten dom to pułapka.

– Po prostu uważaj – radzi Joonas.

Agentka Säpo Ingrid Holm, która prowadziła go przez las do domu, stoi już za szklanymi drzwiami i czeka, żeby pójść z nim z powrotem do samochodu – tak aby nikt nie zobaczył ich z ulicy.

42

Joona postanawia rozgrzać silnik. Przejeżdża pod torami metra, okrąża całe Bandhagen i wraca na małe osiedle domków szeregowych.

Parkuje nieopodal domu Parisy i kiedy rusza do wejścia, słyszy za sobą szumy i stuki gorącego auta.

Nad ceglanym dachem widać bujne zielone korony wysokich brzoź.

Okolica jest spokojna, niemal jak pogrążona w drzemce.

Joona nie widzi ani śladu antyterrorystów, ale wie, że tam są, czekają na ostateczny rozkaz, zdenerwowani i niecierpliwi, pełni sprzecznych uczuć – jednocześnie tęsknoty za beczasową teraźniejszością, w której wszystko się wydarza, oraz strachu przed kalectwem i śmiercią.

Gdyby nagle zaczęli strzelać, mogliby podziurawić cały długi budynek w niecałą minutę. Antyterrorysty z Nationella insatsstyrkan są wyposażeni w karabinki automatyczne Heckler & Koch G36C. To broń o dość dużej mocy, opróżnienie całego magazynka z pocisków pełnopłaszczowych zajmuje niecałe trzy sekundy.

Joona zbliża się do białych drzwi i myśli o wiszącej na ścianie szczegółowej mapie terenu. Po obu stronach domu rozciągały się pióropusze oznaczające strefy ryzyka. Poza tym rozrysowano pozycje wszystkich jednostek operacyjnych i ich trasy.

Drzewo szumi na wietrze. Słychać odległy dźwięk silnika samochodu.

Joona wyciąga rękę i przyciska dzwonek.

Wie, że jeden ze snajperów zabezpiecza drzwi. Prawdopodobnie celuje w małe okienko w drzwiach, ale w tej chwili Joona zasłania je tyłem głowy.

Z domu przy placu manewrowym wychodzi kobieta z wózkiem. Jej jasne włosy związane w koński ogon falują, kiedy idzie. Podchodzi, ale nagle przystaje i odbiera telefon.

Joona dzwoni do drzwi po raz drugi.

Włącza się wentylator na dachu, ale prawie od razu cichnie. Kobieta

z wózkiem stoi nieruchomo i rozmawia przez telefon.

Rozlega się warkot, a zaraz potem w Gnestavägen skręca śmieciarka i z sykiem hamuje przy wjeździe na samym końcu ulicy.

Dwaj mężczyźni wyskakują ze środka i zabierają kontenery na śmieci.

Joona słyszy kroki w domu i odsuwa się od okienka. Parisa Ratjen zakłada łańcuch w drzwiach i otwiera. Znow ubrana – w ten sam różowy hidżab i gruby sweter sięgający do uda. Jest niska, drobnej postury, delikatnie umalowana szminką i cieniem do powiek.

– Mam pozdrowienia od *da gawand halak* – oznajmia Joona.

Jej nieruchome spojrzenie przez pół sekundy drży. Parisa spogląda na punkt za jego plecami, potem znow przenosi wzrok na niego, bierze wdech i zamyka drzwi.

Kobieta z wózkiem kończy rozmowę i rusza przed siebie. Zbliża się do domu Parisy, a w tym samym czasie śmieciarze wracają do pojazdu.

Joona przesuwają się w bok, żeby snajper mógł trafić w szczelinę, która powstanie, kiedy drzwi znow zostaną otwarte.

Rozlega się huk śmieciarki, która przejeżdża obok i zawraca na placu manewrowym.

Parisa zdejmują łańcuch, ponownie otwiera drzwi i zaprasza go do środka. Kiedy Joona wchodzi do przedpokoju, zamyka za nim drzwi, przekręca zamek i wygląda przez wizjer.

Dom wygląda dokładnie tak jak na planie. Po lewej bieżną wąskie kręcone schody na piętro, na którym mieści się sypialnia z garderobą.

Parisa prowadzi go na półpiętro i do dużego pokoju z widokiem na tył domu.

Idąc za nią, Joona obserwuje załamania materiału na jej ciele.

Dochodzi do wniosku, że kobieta nie ma broni ani pasa zamachowca samobójcy.

Na podniszczonym parkiecie leży piękny dywan. W oknie i w oszklonych do połowy drzwiach werandy wiszą firanki.

– Proszę siadać – mówi cicho gospodyni. – Mogę poczęstować herbatą?

– Chętnie się napiję – odpowiada Jooną i siada na brązowej skórzanej sofie.

Parisa mija murowany kominek bez popiołu i drewna i wchodzi do kuchni. Jooną widzi, że kobieta wygląda przez okno na ulicę i wyjmując rondel z szuflady w kuchni.

Jooną przypomina sobie wszystko, czego się dowiedział o sprawcy – to, w jaki sposób zbliżał się do ministra, jak zmieniał magazynek w pistolecie i ładował pocisk do komory, nie tracąc linii strzału.

Parisa wraca z herbatą w małych szklaneczkach, cukierniczką i dwiema ozdobnymi łyżeczkami na srebrnej tacy. Stawia tacę na okrągłym mosiężnym stole i siada naprzeciwko. Jej wąskie stopy są gołe i zadbane, a paznokcie u nóg pomalowane na ciemnozłoty kolor.

– Salim został przeniesiony z Hall do więzienia Kumla – zaczyna Jooną.

– Do Kumli? – Parisa lekko szarpie sweter. – Dlaczego?

Jej twarz jest żywa i inteligentna, a oczy lekko sceptyczne, jakby nie mogła powstrzymać pełnego znużenia uczucia absurdalności wszystkiego, co ją spotyka.

– Nie wiem, nie podał powodu, ale chciał, żeby pani wiedziała, że już nie może stamtąd dzwonić i nikt nie może się z nim teraz kontaktować.

Jooną podnosi do ust naczynie z cienkiego szkła i myśli o tym, co powiedział Salim Ratjen – że z właściwym pozdrowieniem ma poczekać na chleb i oliwki.

– A więc znasz Salima? – pyta Parisa, ostrożnie przechylając głowę.

– Nie – odpowiada szczerze Jooną. – Ale umieszczono go w moim korytarzu... a ludzie z jednego korytarza chcą się trzymać razem.

– Rozumiem.

– Dostałem przepustkę i próbuję zrobić coś dla innych.

Szurnięcie sprawia, że Parisa szybko rzuca okiem na ogród. Snajperzy na tyłach prawdopodobnie w tej chwili celują w nią przez firanki.

– Jakie pozdrowienia miał pan przekazać?

– Chciał, żebym powiedział, że został przeniesiony.

Parisa rozlewa odrobinę herbaty. Kiedy Joona się pochyla i podaje jej serwetkę, czuje, że kabura z pistoletem lekko się wysuwa.

– Dziękuję – mówi kobieta.

Joona się domyśla, że zobaczyła broń. Jej ciemne oczy bardziej błyszczą, na chwilę opuszcza wzrok, udaje, że dmucha na herbatę, ale on widzi, że Parisa ze wszystkich sił próbuje zapanować nad nerwami.

Pistolet go nie demaskuje, bo przecież w jej oczach Joona jest przestępcą, ale zdaje sobie sprawę, że sytuacja nagle zrobiła się groźna.

– Przyniosę coś do jedzenia – mówi Parisa i znów znika w kuchni.

Joona widzi drobinki popiołu opadające z komina do kominka i słyszy lekki stuk nad głową.

Antyterrorysty przemieszczają się na dachu.

Śmieciarka z wizgiem staje przed domem i ciężko syczy.

Parisa wraca z dwoma małymi widelczykami i miską oliwek, którą stawia na stole.

– Byłam bardzo młoda, kiedy się pobraliśmy – oznajmia cicho i patrzy Joonie w oczy. – Przyjechałam tu z Afganistanu po wyborach w dwa tysiące piątym roku.

Joona się waha, nie wie, czy przekazać pozdrowienia. Parisa przyniosła oliwki, ale nie przyniosła chleba. Teraz zaś patrzy niespokojnie w stronę kuchni. Rozlega się zgrzyt, kiedy mechanizm śmieciarki zgniata odpady. Szklane naczynie pęka z brzękiem. Parisa drży i próbuje się uśmiechnąć do Joony.

Jego pistolet jest ustawiony na *double action* – gdyby Joona go wyciągnął, mógłby wystrzelić bez odciągania zamka. Po prostu przy pierwszym strzale opór spustu byłby większy.

43

Parisa sama częstuje się oliwkami i na niego patrzy. Ma rozszerzone źrenice. Jej dłonie opadają na kolana.

– Może chce pani coś przekazać Salimowi? – pyta Joona.

– Tak – odpowiada Parisa z ociąganiem. – Proszę mu przekazać, że wszystko u mnie dobrze i że nie mogę się doczekać, aż wyjdzie na wolność.

Joona bierze oliwkę i jednocześnie zauważa, że cienie gałęzi na ścianie nad telewizorem wypadły z rytmu. Coś się dzieje. Joona ma wrażenie, że czuje, jak od strony lasu nadchodzą antyterrorysty. Nie patrzy w okno z widokiem na werandę – i tak by ich nie zobaczył.

– Afganistan jest zupełnie inny... Wczoraj czytałam artykuł, który sobie zostawiłam – z „Daily Telegraph”, na temat „międzynarodowego dnia szaleństwa”. – Parisa lekko wygina usta w uśmiechu. – W Londynie wszyscy nagle jechali metrem bez spodni. W Sztokholmie też tak się robi?

– Nie wiem, nie sądzę. – Joona patrzy na duże oliwki w misce.

Nagle przestraszona sroka wydaje terkoczący dźwięk. Pod podłogą słychać trzaski, jakby ktoś był w piwnicy.

– Któregoś razu widziałam, jak kilka dziewczyn zostało wyrzuconych z basenu, bo nie chciały wkładać góry od bikini.

– Tak, jest taki ruch – odpowiada spokojnie Joona.

Po ścianie za plecami Parisy powoli pełza świetlny zajęczek. Parisa bierze do ręki telefon, pisze wiadomość i wysyła.

– Rozumiem, że chodzi o równość – mówi i odkłada telefon. – Ale mimo wszystko... Dlaczego chcą pokazywać piersi każdemu?

– Szwedzi mają chyba dość swobodny stosunek do nagości. – Joona się pochyla, żeby móc łatwiej wyciągnąć pistolet.

– Nawet jeśli nie jeżdżą metrem bez spodni – dodaje Parisa z uśmiechem i nerwowo pociera nogi.

– Zaczna – odpowiada Jooną.

– Nie. – Parisa wybuchą śmiechem, a po jej policzku od nasady włosów spływa strużka potu.

– Tak czy inaczej, Szwedzi lubią się kąpać nago na łonie przyrody.

– Może też się tego nauczę – mówi Parisa i patrzy przez okno na las.

Przez chwilę zastyga z rozmarzonym spojrzeniem. Potem powoli odwraca się w stronę pokoju, z dziwnie sztywnym karkiem.

Kiedy upuszcza łyżeczkę, można pomyśleć, że zrobiła to celowo. Łyżeczka z brzękiem uderza o parkiet.

Parisa ostrożnie ją podnosi i kładzie na stole. Kiedy znów patrzy na Joonę, jej oczy są przerażone, a wargi blade.

Janus kazał mu się dostać z garderoby na poddasze, a potem pobiec po dachach na plac manewrowy, na którym miał wylądować śmigłowiec.

– Kiedy się pobieraliśmy, Salim był innym człowiekiem – mówi Parisa i wstaje. – W przedpokoju mam naszą fotografię ślubną.

Jooną wstaje i idzie za nią do przedpokoju – jednego z nielicznych miejsc w domu, w którym nie może jej zobaczyć żaden snajper.

Zdjęcie wisi na ścianie przy schodach. Salim wygląda na bardzo szczęśliwego, ma na sobie biały garnitur i czerwoną różę w klapie. Parisa jest bardzo młoda, ubrana w białą suknię ślubną i biały hidżab. Otaczają ich przyjaciele albo krewni w długich spódnicach i garniturach.

– Teraz nie ma już tyłu włosów – mówi Jooną.

– Nie, postarzał się – wzdycha Parisa.

– W odróżnieniu od pani.

– Prawda?

– Kto to jest? – Jooną wskazuje na drugiego mężczyznę w białym garniturze.

– To Absalon, brat Salima. Kompletnie się załamał, kiedy wyszło na jaw, że Salim jest zamieszany w handel narkotykami.

Zapada cisza. Jej słowa padają wolno, jak jesienne liście w chmurze pyłu.

– To jest drużyna Salima, FOC Farsta – mówi po chwili Parisa, wskazując na zdjęcie ustawionych w rzędzie młodych piłkarzy w ciemnoczerwonych bluzach treningowych.

– Byli dobrzy?

– Nie – odpowiada Parisa ze śmiechem.

Za oknem przemyka jakiś cień i pada na drzwi.

– W piwnicy mam więcej zdjęć – dodaje Parisa i z drzeniem bierze wdech. – Proszę usiąść na kanapie, a ja zaraz wrócę.

Odwraca się, opiera się dłonią o ścianę, otwiera wąskie drzwi i zaczyna iść w dół po stromych schodach.

– Mogę z panią pójść – mówi Jooną i rusza jej śladem.

Schodzi do ciasnej pralni, na podłodze w szachownicy widzi pralkę i stertę majtek. Na blacie stoi prosta maglownica.

– Składzik jest tutaj – oznajmia Parisa napiętym głosem i wkłada buty.
– Może pan tu poczekać.

Idzie dalej wąskim korytarzem, mija półki z zimowymi butami i kartonami, dociera do stalowych drzwi.

Jeżeli ukrywa coś w domu, to właśnie tutaj, w piwnicy, myśli Jooną, kiedy podąża jej śladem.

Parisa podchodzi do drzwi, a w tej samej chwili Jooną wsuwa dłoń pod marynarkę, rozluźnia zapięcie i chwyta pistolet. Włoski na karku stają mu dęba, kiedy Parisa, stękając, otwiera ciężkie stalowe drzwi i włącza światło.

Kiedy światło jarzeniówki się stabilizuje, ukazuje tunel o długości kilkuset metrów.

– Czy to wspólny składzik dla wszystkich domów? – pyta Jooną, choć wątpi, że odbiornik nadal wyłapuje sygnał mikrofonu.

Idzie z nią chłodnym korytarzem, mija około dwadzieścioro zamkniętych stalowych drzwi, skręca w lewo i wkracza do jeszcze dłuższego korytarza.

Parisa idzie najszybciej, jak potrafi, przytrzymując hidżab prawą ręką.

Mijają zamknięte pancerne drzwi do schronu i wentylatory za srebrną

folią.

W końcu Parisa otwiera solidne drzwi do piwnicy i razem wchodzi po schodach, mijają zsyp na śmieci i docierają do wyjścia.

Przechodzą przez bramę.

Długi tunel zaprowadził ich pod główną drogą na osiedle bloków.

Na skraju lasu widać małą zjeżdżalnię i huśtawkę z uciętymi łańcuchami. Krzaki bzu chwieją się na mocnym wietrze, a śmieci suną po ziemi.

Parisa podchodzi do brudnego opla, zaparkowanego razem z kilkunastoma innymi samochodami. Otwiera drzwi, a Jooną siada obok niej na fotelu pasażera.

– Wie pani... Kiedy powiedziałem, że chętnie zobaczę więcej zdjęć, po prostu chciałem być miły – żartuje Jooną, ale Parisa nie odpowiada mu choćby najmniejszym uśmiechem.

44

Parisa Ratjen zwalnia i skręca w drogę 229. W milczeniu mijają niskie budynki przemysłowe i zaśmiecone zagajniki.

Jej twarz jest napięta, a usta blade. Siedzi wyprostowana i trzyma oburącz kierownicę.

Joona już nie pyta, dokąd jadą. Zasięg jego mikrofonu dawno został przekroczony.

Jedyne, co mu zostało, to wykonywać robotę wywiadowcy tak długo, jak się da. Może jej zadanie polega na zawiezieniu go do kryjówki terrorystów.

Parisa zwalnia za tirem o woskowożółtej naczepie. O przednią szybę stukają kamyki.

– Nie wiem, po której stronie stoisz, ale Salim nie prosiłby cię o przekazywanie pozdrowień od chłopaka z sąsiedztwa, gdyby to nie było ważne – odzywa się nagle Parisa i zmienia pas. – Możesz powiedzieć, dlaczego nie przekazałeś prawdziwych pozdrowień?

– Nie dostałem chleba.

– Dobrze – odpowiada szeptem Parisa.

Jadą równo z tirem, za szybą po lewej stronie przelatuje stalowa barierka. Naczepa się trzęsie w nagłym podmuchu wiatru.

– Salim podał mi numer telefonu – oznajmia Joona. – Masz zadzwonić pod 040 6893040 i zapytać o Amirę.

Parisa lekko szarpie kierownicą, kiedy słyszy to imię. Przednie koło tira wypełnia szybę obok Joony, a w samochodzie dudni ryk silnika.

– To było wszystko – mówi cicho Joona.

Parisa ścisza mocno kierownicę, dodaje gazu i wyprzedza wielki pojazd.

– Powtórz numer – prosi i głośno przełyka ślinę.

– 040 6893040.

Parisa znów zjeżdża na prawy pas, ostro skręca z głównej drogi

i hamuje tak gwałtownie, że leżący na tylnym siedzeniu atlas spada na podłogę.

Mijają ogromny jasnożółty budynek przemysłowy i wjeżdżają na dużą asfaltową przestrzeń pomiędzy stacją benzynową a McDonaldem. Parisa zakręca, wjeżdża na trawiastą równinę i się zatrzymuje.

Światła mijania padają na asfalt i pomiędzy dystrybutory z paliwem, stojące pod płaskim dachem.

Z restauracji szybkiej obsługi po lewej wychodzi rodzina z chorągiewkami w rękach.

Parisa zostawia silnik na jałowym biegu i opuszcza szyby po obu stronach. Bez słowa otwiera drzwi kierowcy i wysiada. Sięga pod fotel, wyciąga glocka, cofa się i celuje w Joonę przez otwartą szybę.

– Powoli wysiądź z samochodu – poleca.

– Nie jestem w to zamieszany, ja tylko przekazuję...

– Ręce do góry – przerywa mu Parisa ostrym tonem. – Wiem, że jesteś uzbrojony.

– To tylko do obrony.

Pistolet drży w jej dłoni, ale palec spoczywa na spuście – Jooną wie, że gdyby w tym momencie oddała strzał, najprawdopodobniej by go trafiła.

– Nie mam pojęcia, co tu jest grane – mówi kobieta. – Ale dorastałam w Afganistanie i widziałam snajpera w oknie po drugiej stronie ulicy.

– Nie wiem, co widziałaś, ale...

– Wyłaź z samochodu, bo będę strzelać – mówi podniesionym głosem.

– Nie chcę tego robić, ale strzelę, jeśli nie będę miała wyboru.

– Już idę. – Jooną ostrożnie otwiera drzwi.

– Ręce na widoku – komenderuje Parisa i oblizuje wargi.

– Kim jesteś? – pyta Jooną i stawia nogę na ziemi.

– Odejdź od samochodu, nie odwracając się.

Jooną staje plecami do niej i zauważa trzy auta zaparkowane pod restauracją szybkiej obsługi. Wiatr mocno szarpie trzema proporcami, maszty dygoczą.

– Kawałek dalej. – Parisa podchodzi do samochodu od swojej strony, trzymając Joonę na muszce.

Jooną rusza w stronę zaparkowanych pojazdów.

Parisa zajmuje miejsce na fotelu kierowcy, w dalszym ciągu celując w Joonę przez opuszczoną szybę.

– Może mógłbym ci pomóc – mówi Jooną i przystaje.

– Nie zatrzymuj się! – rozlega się ostrzegawczy krzyk Parisy za jego plecami.

Jooną robi jeszcze kilka kroków i widzi barczystego mężczyznę, który wychodzi z McDonalda z papierową torebką. Mężczyzna opada na siedzenie kierowcy w samochodzie na parking, wkłada kluczyk do stacyjki i zaczyna jeść hamburgera z papierowej torebki.

– Posłuchaj mnie – ciągnie Parisa z nutą hysterii w głosie. – Jeżeli chcecie szantażować Salima za moim pośrednictwem, to wam się nie uda, zapomnijcie o tym. Już wniosłam o rozwód. Salim nie będzie się przejmował moim losem.

– Nie jestem w to zamieszany – powtarza Jooną i słyszy, że Parisa kładzie pistolet na siedzeniu pasażera.

– Idź przed siebie. Daję słowo, że wystrzelę, jeśli znowu się zatrzymasz.

Słyszysz, jak Parisa wrzuca bieg i rusza pełnym gazem. W tej samej chwili Jooną zaczyna biec. Przeskakuje niski żywopłot sąsiadujący z parkingiem, otwiera drzwi auta mężczyzny z hamburgerem i wyrzuca go na zewnątrz. Duży kubek uderza o asfalt, coca-cola się rozlewa, rozsypują się kostki lodu. Mężczyzna robi jeden obrót i wspiera się na łokciu.

Jooną widzi, że Parisa ostro zakręca przy żółtym budynku przemysłowym i traci kontrolę nad samochodem.

Szybko wrzuca bieg, dodaje gazu i przejeżdża prosto przez starannie przycięty żywopłot.

Kiedy tylne koła uderzają o asfalt po drugiej stronie, rozlega się grzechot leżących na tylnym siedzeniu kijów golfowych.

Barczysty mężczyzna się podnosi i stoi pośród resztek hamburgera, pasm sałatki, frytek i opakowań keczupu, podczas gdy jego samochód wjeżdża na strome trawiaste zbocze i dalej, w kierunku drogi.

Joona przecina deptak, jedzie porośniętym trawą poboczem, skręca ostro w prawo i z hukiem opada na główną drogę. Volvo meandruje po trzech pasach. Tylna część samochodu nadal ucieka w bok, kiedy Joona dodaje gazu.

Lewe tylne koło z hukiem uderza o krawężnik.

We wstecznym lusterku błyska kołpak, kiedy zarzuca go na przeciwny pas.

Joona widzi, że Parisa skręca w Huddingevägen. W tej samej chwili na desce rozdzielczej zapala się ostrzegawcza kontrolka.

Wyprzedza białą furgonetkę, przyspiesza do stu czterdziestu kilometrów na godzinę, ale zwalnia, gdy kilkaset metrów przed sobą dostrzega brudnego opla Parisy.

Kiedy dzielą ich dwa pojazdy, zjeżdża z powrotem na prawy pas, wyjmując telefon, dzwoni do Janusa Mickelsena i podaje mu wszystkie informacje na temat samochodu Parisy, ich aktualnej pozycji i kierunku jazdy.

– Dobrze, rozumiem, jaka jest sytuacja – odpowiada Janus. – Informuj nas. Ja zdobędę zgodę sztabu głównego na przekierowanie akcji.

– Nie wiem, o co chodzi ani dokąd jedziemy – oznajmia Joona. – Ale za mniej więcej pięćdziesiąt kilometrów skończy mi się paliwo i do tego czasu potrzebuję wsparcia.

Kiedy zapala się kontrolka informująca, że bak wkrótce będzie pusty, jest w nim jeszcze osiem litrów benzyny. Przy normalnym zużyciu pozwoliłoby to na przejechanie pięćdziesięciu czterech kilometrów, ale przy prędkości, którą Joona rozwija, odcinek będzie nieco krótszy.

Joona nie ma pojęcia, dokąd jedzie Parisa, ale nie widzi innej możliwości, jak tylko ją śledzić najdłużej, jak się da.

Kieruje się na północ, na zachód od Sztokholmu, i myśli o jej dziwnym zdenerwowaniu, o próbach rozmowy, które podejmowała,

zanim zauważyła jednego ze snajperów i po prostu chciała wydostać się z domu.

Trzydzieści minut później Jooną zjeżdża po długim zboczu, równoległe do pola golfowego. Wieje silny wiatr, gwałtowne podmuchy szarpią samochodem.

Mija centrum Åkersbergi równoległe do torów. Przypomina sobie, że wiele lat temu był tu ze swoim przyjacielem Erikiem i dokonał przerażającego odkrycia w mieszkaniu naprzeciwko świątyni świadków Jehowy.

Dostrzega stację benzynową z samochodami do wynajęcia i krytymi przyczepami. Gdyby się zatrzymał, żeby zatankować, straciłby z oczu Parisę.

Przepadłaby mu.

Dochodzi do wniosku, że musi zaryzykować, mimo że benzyna się skończy za cztery kilometry.

Dzwoni do Janusa i zwięźle wyjaśnia, że minął centrum Åkersbergi i jedzie dalej Roslagsvägen.

Lasy i pola powoli znikają w zmierzchu, jakby ktoś zdmuchnął świat, którego tak naprawdę nie było.

Daleko przed sobą Jooną widzi czerwone światła samochodu. Czasem na krótką chwilę znikają i pojawiają się znowu, kiedy wyjeżdża zza zakrętu.

Droga wiedzie przez ciemny las – w świetle reflektorów pnie są płaskie jak papier.

Jooną przypomina sobie, jaki wyraz twarzy miała Parisa, kiedy przekazał pozdrowienia od Salima Ratjena. Uczuciami, które zobaczył, były strach i zaskoczenie.

Mija pojedynczy zjazd z zardzewiałym szlabanem, kiedy nagłe rozlega się brzęczenie.

Silnik brzmi, jakby wszedł na wysokie obroty, a potem kompletnie cichnie. Jooną zjeżdża na pobocze, zatrzymuje się i włącza światła awaryjne.

Daleko przed sobą widzi tylne światła auta Parisy. Mrugają i znikają. Bierze do ręki telefon, wysiada i zaczyna biec szosą. Odgłos silnika samochodu Parisy nie jest już słyszalny.

Dookoła panuje cisza, słychać tylko kroki na asfalcie i szelest ubrań.

Na krętej drodze, takiej jak ta, Parisa jedzie mniej więcej trzy razy szybciej, niż on biegnie. Z każdą minutą dystans między nimi znacząco się zwiększa.

Po obu stronach rośnie gęsty świerkowy las.

Joona mija pusty przystanek autobusowy i zbiega ze wzgórza. Las się otwiera w miejscu, w którym mgliste pastwiska są oddzielone od ciemności.

Joona biegnie szybko, wie, że jest w stanie utrzymać to tempo przez ponad dziesięć kilometrów.

Daleko na polu stoją dwie sarny. Kiedy Joona przebiega obok, tylko unoszą głowy.

45

Choć niebo nadal świeci stłumionym światłem, las dookoła jest zupełnie czarny, kiedy Parisa zwalnia na długim, opadającym w dół zboczu. Ostrożnie skręca w prawo i zaczyna zjeżdżać po żwirowej ścieżce wzdłuż krawędzi zaśmieconego zbocza, u stóp którego stoi wrak samochodu.

Myśli o wysokim mężczyźnie, który przyszedł do niej z pozdrowieniami od *da gawand halak*. Powiedział, że Salim właśnie został przeniesiony do jego korytarza w więzieniu Kumla, że tak naprawdę go nie zna. Prawdopodobnie Salim był zmuszony przesłać pozdrowienia przez pierwszego więźnia, który wychodził na przepustkę.

Podał mu kod, który oznaczał, że nie może ręczyć za jego lojalność, ale powinna posłuchać tego, co jej powie.

Widziała, że jasnowłosy posłaniec jest uzbrojony, ale panika ogarnęła ją dopiero wówczas, gdy z kuchni dostrzegła snajpera.

Na piętrze domu po drugiej stronie ulicy.

Uchylone okno, jeden czarny okrąg i drugi świecący – wylot lufy i celownik.

Nie dało się stwierdzić, czy ten człowiek znał strzelca i czy współpracowali.

Może wręcz było tak, że snajper chciał trafić posłańca.

Myśli szaleją w jej głowie, Parisa nie rozumie, jak poszczególne elementy się ze sobą łączą, ale wie, że teraz liczy się tylko jej siostra.

Po zmuszeniu blondyna do opuszczenia samochodu zadzwoniła pod numer, który jej podał, i automatycznie została przełączona dalej.

W słuchawce rozległy się kolejne sygnały, a po długiej chwili odebrał mężczyzna mówiący w jakimś słowiańskim języku. Zapytała go, czy mówi po angielsku, a on odparł, że oczywiście tak.

Żwir chrzęści pod kołami, a drzewa dookoła tworzą huśtającą się ciemność. Pomiędzy pniami po lewej, w świetle reflektorów

samochodowych, połyskuje czernią niewielkie wzgórze.

Parisa zaczerpnęła tchu i spytała mężczyznę, gdzie jest jej młodsza siostra Amira. Wyjaśniła, że Amira należy do grupy z Szeberghanu, która ma przybyć do Szwecji w najbliższą środę.

Mężczyzna rozmówił się z kimś, kto stał obok, po czym wyjaśnił, że podróż przez Białoruś i Finlandię trwała krócej niż zwykle i grupa przybyła na miejsce o pięć dni za wcześnie. Amira czeka na nią od trzech dni, a ona nic o tym nie wiedziała.

Las otwiera się na jaśniejsze niebo i morze w dole. Parisa jedzie prosto przez skrzyżowanie i zjeżdża do warsztatu skutniczego dla jachtów.

Duży magazyn z ryflowanej blachy piętrzy się ponad setką łodzi stojących na podwyższeniu – wysokich żaglówek z wielkimi stępkami i podłużnych motorówek, smukłych jak groty strzał.

W oknie niskiego baraku pali się światło. Parisa dociera do ściany z desek i tabliczki z napisem *Warsztat skutniczy Nyboda*.

Zakręca, podjeżdża tyłem do ściany i parkuje.

Kiedy wysiada z samochodu, jej dziergany sweter przeszywa zimny wiatr od morza. Parisa ma na sobie granatowe połyskujące spodnie od dresu, w których chodzi po domu, i sportowe buty, bez skarpetek.

Plandeki uderzają o kadłuby łodzi, folia szeleści, a linka masztu rytmicznie stuka, jakby ktoś w butach na obcasie biegł po drewnianej podłodze.

Parisa spostrzega, że za brudną zasłonką w baraku ktoś się porusza.

Wąska żwirowa ścieżka prowadzi do wody i pomostu z pontonami, pomiędzy wysoką blaszaną ścianą magazynu a łodziami ustawionymi w ciasnych rzędach.

Parisa przewiesza torebkę z pistoletem przez ramię i wspina się po stromych schodach do baraku. Puka do drzwi, czeka kilka sekund i wchodzi do biura ze sfatygowanym biurkiem i mapą morską przypiętą zszywaczem do ściany. Mężczyzna wyglądający, jakby miał ponad siedemdziesiąt lat, siedzi przy biurku i przegląda paragony. Plecione krzesło w rogu zajmuje kobieta w podobnym wieku robiąca na drutach.

Starzec ma na sobie koszulę z krótkimi rękawami i opiera na stole owłosione przedramiona. Na jego nadgarstku tkwi porysowany złoty zegarek. Kobieta opuszcza robótkę na kolana i patrzy pytająco na Parisę.

– Przyszłam tu po moją siostrę – oznajmia spokojnie Parisa. – Ma na imię Amira.

Mężczyzna gładzi się po łysym ciemieniu i prosi, żeby usiadła na krześle dla gości.

Parisa siada i słyszy za plecami delikatne klikanie, kiedy kobieta wraca do robótki.

– Zaczęliśmy już myśleć, że nikt nie przyjdzie po tych ostatnich – mówi starzec dziwnym tonem i sięga po segregator.

– Właściwie miała tu być dopiero w środę – wyjaśnia krótko Parisa.

– No tak, to będzie trochę kosztowało – kontynuuje mężczyzna nieobecny tonem. Oblizuje palec i zaczyna przeglądać listy przewozowe w segregatorze.

– Wszystko jest już opłacone – mówi Parisa.

– Byłoby, gdybyś ją zabrała zaraz po przyjeździe – odpowiada mężczyzna i posyła jej szybkie spojrzenie.

– Nie zamierza płacić? – pyta niespokojnie kobieta.

– No tak. – Starzec wskazuje na różową kartkę w segregatorze. – Trzydniowe zakwaterowanie, wyżywienie, wydatki na środki czystości, opłaty administracyjne.

Kobieta znów zaczyna robić na drutach, a mężczyzna wystukuje cyfry na minikalkulatorze obok zakurzonego telefonu.

Przez ściany od strony magazynu dobiegają ostre dźwięki szlifierki. Mężczyzna oblizuje pomarszczone wargi i opada z powrotem na oparcie.

– Trzydzieści dwa tysiące trzysta koron – oznajmia i odwraca w jej stronę minikalkulator.

– Trzydzieści dwa tysiące?

– Prowadzimy tę marinę z naszymi trzema synami, nie stać nas na działalność dobroczynną, niestety nie mamy na to marginesu.

– Można płacić kartą? – pyta Parisa, choć wie, że nie ma tyłu

pieniędzy na koncie.

– Nie – odpowiada z uśmiechem mężczyzna.

– Nie mam gotówki.

– W takim razie niech szanowna pani pojedzie do Åkersbergi i podejmie pieniądze, ale niech pani pamięta, że im dłuższy pobyt, tym większy dług.

– Najpierw muszę z nią porozmawiać. – Parisa wstaje.

– Jeżeli zaczniemy robić wyjątki, to...

– To moja siostra – oznajmia Parisa podniesionym głosem. – Zrozumcie państwo, przyjechała aż tutaj, nie zna ani słowa po szwedzku, muszę z nią porozmawiać.

– Rozumiemy, że jest pani zdenerwowana, ale to nie nasza wina, że pani po nią nie przyjechała i...

– Proszę po prostu powiedzieć, gdzie ona jest – przerywa Parisa, czeka kilka chwil, mija kobietę i wychodzi za drzwi.

– Chwila, szanowna pani, jakoś to załatwimy! – krzyczy za nią starzec.

Parisa schodzi po schodach, a potem biegnie wąską żwirową ścieżką pomiędzy łodziami i dużym warsztatem. Dalej w dole widzi chybotający się na wietrze żuraw masztowy na tle pędzących chmur. Nad klifami i rampą przyczepy pienia się fale.

Parisa idzie tak szybko, jak potrafi, a jednocześnie widzi, że przez folię na niektórych z wystawionych łodzi przenika światło.

Zapach ciepłego oleju przywodzi jej na myśl Afganistan. Znów jest w warsztacie, w którym pracowali jej ojciec i dziadek – koło rzeki Safid na obrzeżach Szeberhanu.

– Amira?! – krzyczy na całą marinę. – Amira!

46

Parisa znów woła siostrę. Nagle ma wrażenie, że dostrzega cienie poruszające się za oświetloną folią na dużej motorówce blisko wody.

Rusza w kierunku łodzi, stawiając długie kroki, ale potyka się o zardzewiały silnik zaburtowy. Wszędzie leżą części silników, wyciągnięte kraty, boje, mokre kartony z rzędami rolek taśmy, dryfkotwy i pęki jarzeniówek, opartych o duży wózek widłowy.

– Proszę pani! – krzyczy za nią mężczyzna. – Nie wolno tam...

– Amira?! – wrzeszczy Parisa najgłośniej, jak potrafi.

Para staruszków wyszła przez drzwi. Parisa widzi przez ramię, jak mężczyzna pomaga kobiecie zejść po stromych schodach, powoli i ostrożnie.

W warsztacie gwałtownie cichnie dźwięk szlifierki.

Parisa się zatrzymuje, dostrzega ruch trochę dalej i znów rusza przed siebie. Ktoś schodzi po aluminiowej drabinie z jednej z łodzi, stojącej najbliżej morza.

To Amira.

Parisa jest tego pewna.

Jej młodsza siostra jest ubrana w niebieską pikowaną kurtkę, włosy i usta ma zakryte chustą.

– Amira! – woła Parisa i zaczyna biec wąską żwirową ścieżką.

Starszy mężczyzna znów coś krzyczy. Parisa kiwa na siostrę, wpada na koziółek do cięcia drewna i go omija.

Siostra mruży oczy i próbuje ją dojrzeć w ciemności na dużym parkingu.

Nagle zza rogu warsztatu wychodzi rosy mężczyzna w kombinezonie. Utykając, wsparty na kuli, kieruje się w stronę Parisy. Z jego ręki zwisa ciężka szlifierka. Kabel ciągnie się za nim, a z obluzowanej końcówki ssawki wydobywa się biały pył.

– Amira! – krzyczy znowu Parisa, dokładnie w chwili, kiedy na

fasadzie zapalają się trzy reflektory.

Mężczyzna ze szlifierką idzie żwirową ścieżką prosto na nią, a za nim nadchodzi jej siostra. Ma przerażone oczy.

– Nie krzycz – mruczy mężczyzna i wchodzi w krąg światła najdalszego reflektora.

Parisa się zatrzymuje i widzi, jak miękki pył włókna szklanego jest zdmuchiwany z jego potężnej twarzy.

– Anders, chodź do domu! – woła starzec daleko za jej plecami.

– Chcę moją żonę – mamrocze tęgi mężczyzna i przystaje.

Gapi się na Parisę zza brudnych okularów ochronnych. Amira stoi za nim jak sparaliżowana i nie ma odwagi go wyminąć.

– Cześć – mówi Parisa.

– Cześć – odpowiada cicho Amira.

– Nie chciałam panu przeszkodzić – oznajmia Parisa. – Krzyczałam, żeby moja siostra mnie usłyszała.

– Parisa, to szaleńcy, musisz iść po pomoc – mówi Amira w języku paszto.

Na dźwięk jej głosu mężczyzna odwraca się do niej, robi krok w stronę ostrego światła padającego z fasady i uderza ją mocno kulą w policzek. Amira traci równowagę i przewraca się na bok. Mężczyzna, rycząc, rusza za nią i chce ją zdzielić w twarz ciężką szlifierką. Nie trafia i wypuszcza narzędzie z ręki. Szlifierka robi obrót, odłupuje futrynę starego okna i z hukiem upada na żwir.

– Przestań! – krzyczy Parisa, próbując otworzyć torebkę, w której ma broń.

Amira leży na biodrze i stara się odczołgać. Mężczyzna usiłuje ją kopnąć i uderzyć kulą.

– Moja żona! – wrzeszczy.

– Przestań! – woła Parisa i drżącymi dłońmi wyjmuje pistolet z torebki.

Mężczyzna się do niej obraca, a Parisa odciąga zamek i w niego celuje.

– Tata powiedział, że teraz ona jest moją żoną – oznajmia mężczyzna

niskim głosem.

Parisa podąża za jego spojrzeniem biegnącym w kierunku biura i widzi, że starzec nadal podpira kobietę ramieniem, kiedy wolnym krokiem idą żwirową ścieżką.

– Ja ją dostałem. – Osilek wyciera przedramieniem smarki spod nosa.

– Przesuń się! – rozkazuje ostro Parisa.

– Nie – protestuje mężczyzna i krnąbrnie kręci głową.

Parisa podchodzi i uderza go pistoletem w twarz, nad okularami. Mężczyzna traci równowagę i ciężko siada w chwastach przy fasadzie.

Parisa trzyma broń oburącz, celuje w niego i krzyczy do siostry, żeby się zbliżyła. Amira zaczyna się czołgać w jej stronę. Krzyczy ze strachu, kiedy mężczyzna turla się w bok i chwytą ją za nogę.

– Zostaw, puść ją, bo strzelę! – wrzeszczy Parisa.

Podnosi pistolet i oddaje strzał w powietrze, a potem znów celuje w jego klatkę piersiową. Huk wystrzału odbija się echem pomiędzy fasadami.

– Puść ją! – krzyczy ponownie, aż łamie jej się głos.

– Anders nie rozumie, jest tylko dzieckiem! – woła starzec za jego plecami.

Parisa dyszy i kieruje pistolet na zbliżającego się staruszka. Starsza kobieta usiadła na stosie akumulatorów rozruchowych nieco wyżej na wzgórzu.

– Tato, mówiłeś, że będę miał żonę – skarży się mężczyzna leżący na ziemi.

– Anders – dyszy jego tata. – Powiedziałem, że... jeśli nikt jej nie zechce, to możesz ją sobie wziąć.

Parisa czuje, jak histeria wzbiera jej w piersi niczym ogień, do którego dostał się tlen. Starszy mężczyzna unosi ręce i robi krok w jej stronę.

– Stój, bo strzelam! – krzyczy do niego Parisa. – Amira idzie ze mną, później zapłacę, dostaniecie pieniądze, ale...

Słyszy w głowie trzask i ciemnieje jej przed oczami, kiedy coś twardego trafia ją ukośnie w kark. Leci do przodu, jej kolana się uginają,

uderza czołem o fundament, wypuszcza z ręki broń, upada na bok i czuje, jak krew zaczyna jej cieknąć po twarzy.

Jęczy i z wysiłkiem próbuje wstać, ale po ciosie ma wrażenie, jakby ktoś przycisnął jej do karku gorącą gąbkę.

Grunt obraca się pod jej stopami. Parisa usiłuje znaleźć podparcie i słyszy, jak Amira krzyczy ze strachu. Próbuje wstać, przytrzymując się zimnej fasady, pluje krwią i widzi, że inni uchodźcy zeszli z łodzi i ostrożnie podchodzą.

– Was nie ma! – wrzeszczy brodaty mężczyzna koło pięćdziesiątki, trzymający śrutówkę.

Ledwie zdąża go zobaczyć, kiedy brodacz uderza ją kolbą po raz drugi. Parisa pada bezwładnie, przewraca wózek dziecięcy pełen starych filtrów olejowych i drapie barkiem o żwir na ścieżce.

Podnosi głowę i próbuje zobaczyć, gdzie się podziała jej broń, ale uderzenie w kark wpłynęło na jej wzrok. Cały świat migocze i drży. Parisa widzi tylko niewyraźnie, jak postawny mężczyzna w okularach ochronnych przyciąga do siebie Amirę.

Parisa dyszy i znowu usiłuje wstać, klęka na kolanach, podpira się rękami o ziemię, pluje krwią i słyszy, jak brodacz mówi, że ich powyrzyna.

Kopie ją z boku w żebra, sprawiając, że Parisa się obraca. Kobieta próbuje wciągnąć powietrze w płuca, ale on pochyla się nad nią i szarpie za chustę tak mocno, że szyja piecze od otarcia.

– Przecież masz twarz, przecież wy macie twarze, do cholery! – krzyczy mężczyzna z brodą.

– Linus, już wystarczy – mów i podstarzały tatusiek.

Parisa wyciera usta i szuka wzrokiem pistoletu. Nad mężczyzną ze śrutówką widzi maszt drgający na wietrze i powiewający niebieskożółty wimpel z węzłami na wierzchołku.

Brodaty mężczyzna zwany Linusem zbliża się do Parisy, mocno przyciska lufę śrutówki pomiędzy jej piersiami, opuszcza, przesuwa nią po jej brzuchu, wciska pomiędzy jej uda, a potem po prostu stoi

nieruchomo i oddycha.

– Proszę – odzywa się do niego Parisa cichym głosem.

– Linus, uspokój się – próbuje apelować tatusiek.

Brodacz wzdryga się, szybko kieruje lufę na twarz Parisy i kładzie palec na spuście.

– Nie chcesz mieć twarzy? Nie chcesz, prawda? – pyta.

– Przestań natychmiast! – wrzeszczy tatusiek ze strachem w głosie.

– Ona nie chce mieć twarzy.

Parisa próbuje odsunąć głowę, ale on podąża lufą za jej ruchami.

Anders płacze i zakrywa dłońią usta i nos Amiry. Jej nogi lekko wierzgają, a białka oczu są wywrócone.

– Proszę, Linus, nie posuwaj się za daleko, nie chcemy mieć tu gliniarzy – prosi tatusiek.

Pot spływa z brody po szyi mężczyzny, który mamrocząc, przyciska zimną lufę do czoła Parisy.

47

Joona biegnie w ciemności ulicą Roslagsvägen. Odkąd zostawił samochód na skraju drogi, minęło prawie dwadzieścia minut. Przez cały ten czas nie widział żadnego człowieka. Słyszał tylko nagłe podmuchy wiatru w wierzchołkach drzew i własny oddech.

Zbiega po długim zboczu, wydłuża krok i przyspiesza jeszcze bardziej. Spomiędzy drzew daleko przed nim wyzierają fragmenty domu.

Pistolet obija się o jego żebra.

Joona wbiega na niewielki wiadukt z brudnymi barierkami. Nagle słyszy za sobą trzask i przystaje.

Rozpoznaje huk wystrzału.

Odwraca się i nasłuchuje.

Dźwięk niesie się nad powierzchnią wody i rezonuje pomiędzy wyspami.

Joona zaczyna pędzić najszybciej, jak potrafi, z powrotem w stronę wysypanego żwirem zjazdu, który niedawno mijał. W jego stronę z dużą prędkością jedzie samochód. Oślepiony reflektorami Joona biegnie przed siebie przez wysoką trawę do rowu. Kiedy samochód przejeżdża obok, ziemia się trzęsie. Robi się ciemno, Joona wychodzi z powrotem na asfalt, podbiega jeszcze kawałek, znajduje żwirową ścieżkę wiodącą do morza i na nią wkracza.

Ścieżka prowadzi go wzdłuż krawędzi do zagłębienia z wrakiem samochodu i do portalu z czarnych drzew.

Kiedy Joona wychodzi z zagajnika po drugiej stronie, widzi samochód Parisy. Zaparkowała przed biurem należącym do małego warsztatu. Joona schodzi do wystawionych łódek i jednocześnie składa raport Janusowi. Podaje swoje współrzędne według systemu RT 90 i prosi o wsparcie ekipy antyterrorystycznej.

– Ale poczekajcie – powtarza. – Poczekajcie, dopóki nie ocenię sytuacji. Odezwę się najszybciej, jak będę mógł.

Wyłącza dźwięk w telefonie, słyszy podniesione głosy i przemyka pod wielką motorówką.

Schyła się i idzie naprzód w wąskim przejściu pomiędzy łodziami.

Dostrzega starszą kobietę siedzącą na stosie akumulatorów rozruchowych, a zaraz potem zauważa pozostałych.

Na żwirowej ścieżce stoi starszy mężczyzna, skrywający w dłoni nóż introligatorski. Kolejny mężczyzna siedzi na ziemi, trzymając na rękach dziewczynę.

Joona szybkim krokiem podchodzi bliżej. Wyschnięta trawa szeleści pod jego stopami.

Plandeka na łodzi unosi się jak żagiel i pozwala mu sięgnąć wzrokiem kawałek dalej. Brodaty mężczyzna uderza Parisę kolbą strzelby w kark, a potem odwraca w jej kierunku lufę.

Kiedy plandeka znów się zapada, na ziemię ścieka woda.

Brodacz stoi nieruchomo i celuje pomiędzy nogi Parisy. Ma dubeltówkę, z której można wystrzelić dwa razy bez przeładowywania.

Joona wpełza pod żaglówkę. Kiedy czołga się naprzód tuż przy zardzewiałej stępce, dźwięk w jego lewym uchu jest zniekształcony.

Brodaty mężczyzna coś wykrzykuje i celuje z dubeltówki w twarz Parisy.

Joona kilkoma szybkimi krokami opuszcza kryjówkę, prostuje plecy, podchodzi z boku do brodacza i siłą podnosi dubeltówkę ku górze.

Wykańcza ruch, drugą ręką kieruje kolbę broni ku ziemi, wytrąca ją z uścisku mężczyzny, obraca w pionie i kładzie palec na spuście.

Wbija mu wylot lufy w twarz. Brodacz zatacza się do tyłu, zakrywa dłońmi usta. Joona utrzymuje linię strzału, robi krok do przodu, robi skręt biodrem i z wielką siłą uderza mężczyznę kolbą w policzek. Kaskada krwi tryska z jego ust i brody w kierunku uderzenia.

Joona szybko odwraca dubeltówkę w stronę starego tatuśka.

Brodacz uderza o ziemię, przewraca kartonowe pudło z butelkami sprayu i leży na brzuchu.

Starzec przystaje i upuszcza nóż introligatorski na ziemię.

– Kopnij nóż i uklęknij – nakazuje Joona.

Starzec wykonuje polecenie. Klękając, opiera się o budynek.

Zapada cisza, słychać tylko wiatr i szelest folii. Parisa podnosi głowę i widzi, że blondyn przyszedł za nią. Przycisnął lufę do klatki piersiowej Andersa i wyjął Amirę z jego objęć.

– Nie bawcie się bronią, chłopcy – mówi z fińskim akcentem.

Anders patrzy na niego ze zdziwieniem i zlizuje smarki z górnej wargi.

Parisa przekręca się na bok i ma wrażenie, że jej głowa zaraz eksploduje. Dyszy, zmusza się, by otworzyć oczy, i widzi, że Amira chwiejnym krokiem nadchodzi w jej stronę, a potem upada na kolana.

– Amiro – szepcze.

– Trzeba stąd uciekać – mówi jej siostra. – Musisz wstać!

Parisa nie może się ruszyć, kładzie policzek na żwirze i spostrzega, że ścieżką nadchodzi trójka innych uchodźców. Jako pierwszy idzie szczupły chłopiec o poważnych oczach, a towarzyszy mu starsza kobieta w tradycyjnym stroju.

Parisa myśli, że mogliby to być jej mama i młodszy brat. Gdyby nie zabito ich przy szlabanie w roku, w którym uciekła.

Za nimi podąża mężczyzna w połyskującym czarnym dresie.

Parisa wie, że już go kiedyś widziała. Dopiero po kilku sekundach dociera do niej, że to znany piłkarz. Salim zwykle pokazywał go na meczach, bo pochodził z ich rodzinnego miasta.

48

Joona próbuje wykonać szybki ogląd sytuacji. Kiedy brodaty mężczyzna znów zaczyna się poruszać, bierze go na celownik.

Najwyraźniej wybuchł konflikt między przemytnikami ludzi, uchodźcami i Parisą.

Stara kobieta nadal siedzi na stosie akumulatorów, zajęta robótką. Tatusiek klęczy z rękami nad głową.

– Musimy się stąd wydostać – oznajmia Joona. Troje uchodźców idzie w ich stronę wąską ścieżką pomiędzy warsztatem a łodziami.

Joona czuje w uszach rytmiczne uderzenia. Szybko zerka na wodę, a potem odwraca się do Parisy.

– Czy to wszyscy? – pyta i widzi, że światło w budynku mieszkalnym kawałek dalej jest zgaszone.

– Została tylko moja siostra i jeszcze trzy osoby – odpowiada Parisa.

– Krzyknij, żeby z nami poszli.

Parisa dyszy coś w odpowiedzi, a jej siostra krzyczy do pozostałej trójki. Podchodzą zdziwieni. Starsza kobieta nie chce iść z nimi, ale chłopiec próbuje ją uspokoić klepięciami w dłoń.

– No już. – Joona bierze na celownik tatuśka.

Chłopiec wskazuje kierunek, coś mówi i wczołguje się pod białą żaglówkę. Po kilku sekundach wraca z pistoletem Parisy. Kiedy otrzepuje kolana i podaje jej broń, wygląda na szczęśliwego.

Parisa obejmuje ramieniem siostrę i wyciąga drugą rękę.

Chłopiec wchodzi z uśmiechem w białe światło ściennej lampki, odwraca głowę w bok i prawa połowa jego twarzy znika.

Sekundę przed hukiem wystrzału wszyscy słyszą, jak krew, tkanki i odłamki czaszki plaskają o zgrabną stępkę żaglówki.

– Za mną, za mną! – krzyczy Joona i próbuje prowadzić Parisę i jej siostrę w stronę dużego wózka widłowego.

Natężenie dźwięku wzrasta lawinowo, ostre trzaski głównego śmigła

helikoptera otaczają ich ze wszystkich stron, uderzają ich w piersi i gardła.

– Na ziemię! – Jooną próbuje przekrzyć hałas.

Helikopter służb antyterrorystycznych zatacza koło, jego ciemny kształt odcina się na tle czarnego nieba. Z kabiny zwisa przypięty snajper, oparty stopami o podwozie.

Stara kobieta z Afganistanu wpełza pod łodzie, skulony piłkarz biegnie wzdłuż fasady w stronę skrzyżowania. Człowiek, którego Jooną powalił na ziemię, turla się w stronę fasady i znika w wysokich chwastach.

Jooną wciąga Parisę i jej siostrę za duży wózek widłowy, kładzie broń na trawie przy ścianie warsztatu i próbuje zadzwonić do Säpo.

Słyszy tylko wibrujący dźwięk, ale powtarza kilka razy, że muszą przerwać akcję, że w porcie nie ma żadnych terrorystów.

Anders wstaje, podpierając się kulą, z uśmiechem wskazuje na śmigłowiec i rusza w kierunku wody. Korony drzew szumią, a warkot silnika przybiera na sile, kiedy helikopter robi za nimi ostry zakręt i z osobliwą powolnością nadlatuje z drugiej strony.

Cztery reflektory poszukiwawcze u dołu śmigłowca świecą jak białe pochodnie.

Jooną dostrzega, że pięciu antyterrorystów jest zawieszonych pod śmigłowcem metodą Special Patrol Insertion/Extraction. Wszyscy mają hełmy, ceramiczne kamizelki kuloodporne i broń.

Jak czarne lalki nanizane na sznurek, dziwnie bezwładne, zbliżają się do lądu. Mokre drewno pomostów dla pontonów błyszczą w świetle reflektorów, kiedy śmigłowiec przelatuje nad wodą.

Anders stoi nieruchomo na skraju wody i śmieje się do helikoptera.

Niebo jest ciemne, ale trzy lampy fasadowe oświetlają fragmenty żwirowej ścieżki.

Przerywany huk jest coraz głośniejszy. Jooną próbuje znowu zadzwonić, widzi na wyświetlaczu, że ktoś odebrał, i krzyczy, żeby przerwać akcję, że w porcie nie ma żadnych terrorystów.

– Natychmiast przerwać akcję! – powtarza.

Wszyscy oprócz Andersa i starej kobiety, która nadal siedzi na stosie akumulatorów, już się pochowali.

Z wózka widłowego Joono dostrzega, że śmigłowiec zbliża się do lądu, a następnie zawisa nieruchomo nad małym pasem wybrzeża.

Woda się rozstępuje, tworząc spieniony okrąg. Grzebień fali opadają na huśtające się pomosty. Światło reflektorów sprawia, że cień żurawia masztowego pełznie po żwirowej ścieżce i ścianie warsztatu.

Nagły podmuch wiatru wprawia helikopter w ruch, mechanik pokładowy próbuje odepchnąć linę stopą, żeby się nie obijała o kabinę.

Dźwięk śmigła się zmienia, pogłębia, kiedy wiszący w powietrzu helikopter zaczyna chwiejnie zniżać lot. Pięciu antyterrorystów wisi na linach. Folia na jednej z wystawionych łodzi się zrywa i odlatuje w ciemność.

Mężczyźni dotykają ziemi, szybko odpinają paski, odbiegają w bok i się kryją. Śmigłowiec znów wznosi się i powoli zakręca.

Bardzo blisko nich słysząć huk wystrzału, echo odbija się od wyspy naprzeciwko mariny. Odgłos wystrzału dobiega z tyłu. Joono ledwie zdążyła pomyśleć, że Säpo włączyła do akcji więcej snajperów, kiedy dostrzega, że helikopter traci wysokość, i orientuje się, co się stało.

W marinie jest jeszcze jeden przemytnik ludzi – zgasił lampę w budynku mieszkalnym, wybiegł, wystrzelił ze sztucera w kierunku śmigłowca i trafił pilota.

Joono widzi, jak śmigło wpada na żuraw masztowy. Rozlega się głośny szczęk, a zaraz potem spada deszcz iskier. Śmigłowiec zostaje odrzucony w bok, jak ćma oparzona lampą.

Pilot towarzyszący nie zdąży nawet się przełączyć na swoją dźwignię skoku ogólnego.

Spadają na ziemię, wbijają się prosto w rząd przykrytych folią motorówek. Powietrze przeszywa dźwięk obracającego się śmigła i rozcinanej blachy.

Kolejne trzy szybkie trzaski słysząć, kiedy pół śmigła przelatuje tuż

nad głową Andersa, który nadal stoi na brzegu.

Śmigło z hukiem uderza o blaszaną ścianę warsztatu i rozpada się na drobne kawałki.

Na kilka sekund niebo wypełnia kula ognia. Trawa, zagajnik i pokrowce leżących naokoło łodzi stają w płomieniach.

49

Gustav Larsson, dowódca pierwszej grupy antyterrorystów, skrył się wraz z dwiema grupami ogniowymi za betonowym fundamentem przepompowni ścieków. Słyszy przerywany dźwięk i widzi, jak śmigłowiec traci wysokość. Adam coś krzyczy i wstaje.

– Padnij! – wrzeszczy Gustaw

Adam robi krok w kierunku morza i zaraz potem zostaje przewrócony przez ogromną falę wybuchu.

Upada do tyłu i uderza hełmem o twardą ziemię.

Wysoka temperatura sprawia, że okoliczne drzewa stają w płomieniach.

Odłamki i części śmigła spadają na marinę jak deszcz, ale Gustav w pierwszej chwili słyszy tylko cichy szum, jakby powolny wiatr w liściach.

Kiedy krzyczy do wszystkich, żeby leżeli w miejscu, słyszy swój głos tylko w środku.

Panel przepompowni płonie.

Gustav patrzy na płomienie, słyszy delikatne trzaski. Nagle wraca mu słuch, wraca cały chaos i zrozpaczony krzyk Adama tuż obok:

– Markus, Markus!

Adam stracił brata. Kiedy z powrotem wstaje, lamie mu się głos. Zanim Gustav zdąży zareagować, Adam oddaje serię strzałów ze swojego karabinu automatycznego. Opróżnia cały magazynek prosto w wystawione luksusowe jachty, potem po prostu wypuszcza broń z ręki i pozwala jej dyndać na pasku.

– Padnij! Oni mają snajpera! – krzyczy Gustav.

Adam zdejmuje gogle i patrzy w ogień. Łodzie się przewracają i płoną, słychać pomniejszych eksplozje. Jamal opuszcza swoją pozycję, szybko ściąga Adama na ziemię i go przytrzymuje.

Drżącymi dłońmi Gustav wyciąga urządzenie systemu TETRA

i nawiązuje kontakt z dowódcą operacji Janusem Mickelsenem.

Odłamki szkła i wióry wirują w powietrzu.

Stracili śmigłowiec z czterema ludźmi.

Gustav przypomina sobie iskry w ciemności, kiedy łopata śmigła uderzyła w żuraw.

Było to jak wielkie, trzeszczące uderzenie czarodziejskiej różdżki.

W myślach powtarza imiona kolegów, którzy prawdopodobnie zginęli, i próbuje powstrzymać łzy.

– Grupy trzecia i czwarta są w drodze, ale musicie wejść tam od razu i schwytać albo unieszkodliwić terrorystów – oznajmia Janus.

– A Jooną? – pyta Gustaw – Co się stało z Jooną Linną?

– Nie odzywał się, odkąd przybył na miejsce – odpowiada Janus. – Musimy założyć, że nie żyje.

– Nie jestem w stanie stwierdzić, czy przetrzymują zakładników, czy też...

– Straty w cywilach są do przyjęcia – przerywa Janus. – Posiłki już jadą, ale macie zrobić wszystko, żeby zatrzymać terrorystów tu i teraz. To ostateczny rozkaz.

Gustav przerywa połączenie radiowe, próbuje oddychać spokojnie i patrzy na mężczyzn dookoła. Jamal przygryza dolną wargę, August jak zwykle ziewa, a Sonny ma puste spojrzenie boksera.

Adam klęczy i z płaczem próbuje załadować nowy magazynek do karabinu maszynowego. Jego starszy brat Markus był mechanikiem pokładowym, kierował liną z góry i tuż przed katastrofą śmigłowca pilnował, żeby wszyscy zeszli na brzeg.

– Posłuchaj – zaczyna Gustav i rozkłada kolbę karabinu. — Otrzymaliśmy ostateczny rozkaz: schwytać albo unieszkodliwić wszystkich terrorystów.

– Kiedy nadciągną posiłki? – pyta Jamal.

– Już są w drodze, ale mamy natychmiast wejść – odpowiada Gustaw

– Adamie, ty zostaniesz tutaj.

Adam pociera dłonią twarz, patrzy na niego i kręci głową.

– Idę z wami – oznajmia ochryple. – Nic mi nie jest.
– Mimo wszystko myślę, że lepiej będzie, jeśli zostaniesz.
– Potrzebujecie mnie – upiera się Adam.
– No to pójdiesz jako czwarty, a ja na końcu – zgadza się Gustav i czuje, jak w środku pulsuje mu złe przeczucie. – Jamal, ty przejmujesz dowodzenie, prowadzisz.

– Okej – odpowiada Jamal.

– Nie ryzykuj, myśl w trzystu sześćdziesięciu stopniach, potraficie to. No dalej.

Jamal wskazuje kierunek, wstaje pochylony i biegnie przez płonącą trawę do łodzi, kiwa na pozostałych, żeby ruszyli za nim, i wchodzi w ciasne przejście pomiędzy dwoma rzędami luksusowych żaglówek.

Posuwają się naprzód niczym jeden plastyczny organizm i próbują mieć na oku wszystkie podejrzane miejsca. Marinę trudno ogarnąć wzrokiem, a nie mieli czasu na przestudiowanie mapy terenu. Za ich plecami wzbija się ogień z helikoptera i płonących łodzi. Płomienie dają im mnóstwo dodatkowego światła, ale jednocześnie wszystko jest w ruchu. Języki ognia odbijają się w rozmaitych metalowych częściach, a duże cienie drżą nad kadłubami łodzi i nagle uskakują w bok.

Gdzieś naprzeciwko nich jest snajper, ale bardzo trudno stwierdzić, jak dobrze ich widzi. Może ich sylwetki są wyraźne na tle ognia, a może się zlewają z czernią łodzi i ziemi.

Gustav ze wszystkich sił stara się nie myśleć o kolegach, którzy zginęli. Wie, że musi teraz być całkowicie skoncentrowany i precyzyjny.

Grupa skulonych postaci sunie naprzód w wąskim pasażu. Rutynowo zabezpieczają wszystkie zakamarki i każdą linię strzału.

Gustav się obraca i szybko przeszukuje teren za ich plecami. Ziemia pod łodziami jest sucha, śmieci przyciągnięte przez wiatr utknęły wokół lin i podpór.

Zapach dymu jest coraz silniejszy.

Wysokie płomienie błyszczą, odbijając się w hełmach.

Nagle Jamal daje znak oznaczający stop, lekko kuca i kładzie lewą

dłoń na prawym przedramieniu – ten gest to ostrzeżenie przed wrogami.

Jamal nie jest pewien, ale wydaje mu się, że kątem oka widział twarz. Serce bije mu tak szybko, że czuje ból w piersi.

Ostrożnie opada na kolana i zagląda pod kadłub. Dochodzi do wniosku, że może był to tylko ogień odbity w białym sterze.

Jamal kładzie palec na spuście, ostrożnie rusza naprzód, próbuje wyrzeć za porysowaną przednią krawędź stępki.

W gmatwaninie lin i podpór dostrzega ścianę blaszanego budynku przypominającego hangar i żółty wózek widłowy.

Tuż obok, pod kolejną łodzią, ktoś się porusza.

Nagle Jamal widzi uciekającego czarnego kota i jego palec drży na spuście.

Pomiędzy ustawionymi łodziami pada deszcz rozżarzonych drobinek sadzy.

Gustav utrzymuje pozycję ostatniego i patrzy, jak Jamal idzie prosto. Chciałby do niego krzyknąć i kazać mu zabezpieczyć prawą stronę.

Jamal patrzy w lewo. Niebieska foliowa płachta porusza się na wietrze, a krople deszczu z cichym odgłosem spadają na ziemię.

Nagle nieco dalej, nieopodal budynku, mruga para oczu. Jamal błyskawicznie odwraca broń i na celowniku ma twarz.

Za jego plecami rozbrzmiewa jęk. To Adam potyka się o wystającą belkę. Lufa uderza z metalicznym brzękiem o podporę.

Jamal nie wie, jak to możliwe, że jego palec zwalczył impuls nakazujący nacisnąć spust. Adrenalina mrozi mu krew w żyłach, kiedy dociera do niego, że równie dobrze mógł zabić starą kobietę z robótką.

Opiera się ręką o biały kadłub i robi wydech.

Gustav się odwraca i ponownie przeszukuje teren za ich plecami. Ogień jest jeszcze większy, trzaskające, płonące płaty folii wpadają do wody. Mocny podmuch wiatru ciągnie za sobą płomienie, które zapalają kilka łodzi naraz.

Jamal daje pozostałym znak, żeby ruszali dalej, a Gustav spogląda przed siebie, w kierunku parkingu, omijając wzrokiem dwie pary

żołnierzy. Po lewej, wśród chwastów, stoi wrak samochodu. Z silnika wystają osty i chaszczce.

Adam szepcze do siebie, wyjmując magazynkę, patrzy na niego i z trzaskiem wciska go ponownie.

Mężczyzna w czarnym dresie wybiega z kryjówki za wrakiem.

Sonny reaguje szybko i oddaje sześć strzałów.

Tułów mężczyzny zostaje poszatkowany, w powietrze tryska krew, lewe ramię, odcięte od tułowia, wisi już tylko na materiale dresu, a kiedy ciało mężczyzny robi obrót przy upadku, ramię owija mu szyję jak szal.

W tym samym czasie pada Jamal. Kładzie się na boku, jakby chciał odpocząć.

Gustav nie widzi, co się stało. Sonny przygięty podbiega do niego. Nagle rozbłyska przed nimi ogień z lufy.

Odgłos strzału jest krótki, ale ogłuszający.

Pocisk wlatuje prosto w twarz Sonny'ego i wylatuje tyłem głowy. Gustav patrzy, jak krew bryzga na Adama. Sonny gubi hełm. Echo wystrzału wciąż jeszcze brzmi, kiedy Sonny przewraca się do tyłu.

Gustav pada na ziemię i wpełza pod wielką żaglówkę. Nozdrza wypełnia mu zapach suchej ziemi i siana. Czołga się szybko w stronę betonowego podestu, na którym stoi ster. Wyjmuje broń.

Od strony zwłok Sonny'ego dochodzi syczący, lekko piszczący dźwięk.

Gustav patrzy przez celownik w stronę domniemanego ognia z lufy. Widzi szarą ziemię, mniejsze łodzie, kontener na śmieci. Wszystko wygląda jak odlane z ołowiu, pociągnięte pędzlem z sadzą. Wzrok Gustava pada na niskie krzaki, zawiązany worek ze śmieciami, pustą puszkę po farbie.

Adam siedzi z Sonnym w ramionach. Ma jego krew na całej klatce piersiowej.

– Boże kochany... Sonny – jęczy.

Gustav oddycha z drzeniem i dalej przeszukuje teren przez celownik. Zarośla szeleszczą na wietrze, a płatki sadzy krążą wokół niego i opadają

na ziemię. Zapach dymu jest duszący. Za jego plecami przewracają się płonące łodzie. Kadłuby uderzają o siebie, a plastikowe kanistry z wodą, zwisające z plandeki na żaglówce nad jego głową, zaczynają się huścić.

Czuje mocniejsze, przyspieszone bicie serca, kiedy za zardzewiałą paletą z dachówkami spostrzega lufę. Rozłożysty krzew chwieje się na wietrze tuż za snajperem.

Gustav ociera pot z brwi, żeby lepiej widzieć i poprawia gogle. Jest dobrym strzelcem, ale czuje, że stanowczo zbyt mocno się trzęsie.

Ostrożnie ustawia celownik w miejscu, w którym spodziewa się zobaczyć głowę snajpera, kiedy następnym razem się wychyli, żeby strzelić.

– Wszyscy nie żyją – mówi Adam w przestrzeń. – Wydaje mi się, że wszyscy nie żyją.

Celownik drży i osuwa się na dachówki. Gustav nie może odpowiedzieć, musi zachować skupienie.

Adam i on są widoczni.

Gustav wie, że nie będzie miał zbyt wielu sekund, zanim snajper odda strzał.

Gdzieś rozlega się krzyk kobiety.

Jeden z kanistrów dynda na sznurku przed celownikiem.

Gustav widzi, że lufa snajpera przesuwają się lekko w lewo i przez kilka sekund widać jego głowę. Potem znowu znika. Lufa wędruje w dół i nieruchomieje. Po chwili głowa znów się pojawia, z okiem przy lunecie celowniczej, szuka nowego celu.

Gustav płynnie przesuwają cienki krzyż celownika na twarz i naciska spust.

G36 uderza o jego bark i po chwili snajpera już nie ma. Gustav mruga kilka razy i próbuje wstrzymać oddech. Broń znika. Zdąży pomyśleć, że chybił, ale zaraz potem widzi ciemne krople skapujące z krzaków za kryjówką.

50

Joona stoi przy ciężarówce. Widzi wysokie płomienie i dym, czarny jak węgiel, który z dziwną niecierpliwością zakręca ku niebu.

Parisa przytula siostrę. Dziewczyna, skulona ze strachu, trzyma się za uszy i płacze bezradnie jak dziecko.

– Zapytaj siostrę, czy może biec. Powinniśmy się dostać na górę, do zagajnika – mówi szybko Joona.

– Muszę tylko znaleźć Fatimę, kobietę, która była tu przed chwilą – odpowiada Parisa. – Nie możemy jej zostawić, uratowała moją siostrę, mówiła wszystkim, że to jej córka, żeby dali jej spokój.

– Gdzie ona jest? Wiesz?

– Miała tylko zabrać swoje rzeczy. Widzisz tę dużą łódź bez folii? – Parisa wskazuje kierunek.

– To zbyt niebezpieczne...

Nagle słychać serię strzałów z broni automatycznej. Na brzegu zostaje opróżniony cały magazynek. Pociski uderzają o miękki materiał i odbijają się rykoszetem od metalowych belek stelaży pod łodziami.

Joona próbuje dojrzeć, gdzie są antyterrorysty.

Słychać eksplozje, rozpryskuje się szkło, łodzie się wywracają.

Wyjmuje telefon, ponownie dzwoni do Janusa i nagle zauważa, że Parisa zostawiła płaczącą siostrę i wymknęła się z dubeltówką. Przygarbiona, biegnie żwirową ścieżką wzdłuż wysokiej fasady w stronę łodzi, na którą wskazała.

Joona wyjmuje pistolet i odciąga zamek.

Ogień z płonącego śmigłowca ciągnie się ukośnie ku górze, a dym wydaje się splatać z czarnym niebem.

Joona widzi, że Parisa zwalnia, kiedy dociera do węgła warsztatu. Jej cień na tle zardzewiałej blaszanej ściany wygląda jak pocięty na paski.

Jej siostra ucichła. Już tylko siedzi, trzymając się za uszy.

Parisa zerka w stronę wody, wsparta ręką o fasadę, i przygotowuje się

do przebiegnięcia ostatniego kawałka po żwirze w kierunku łodzi.

Joona widzi, że kobieta robi krok, wychodzi z rowu i wygląda za róg. Drży na całym ciele, opada na pupę i siedzi nieruchomo, patrząc przed siebie pustym wzrokiem.

Nagle upada do tyłu, uderza głową o ziemię i coś ją odciąga.

Wygląda to tak, jakby jakieś dzikie zwierzę ciągnęło ją za nogi do swojej siedziby.

Joona biegnie z pistoletem przy ciele żwirową ścieżką blisko ściany. Kiedy dociera do rogu, za którym zniknęła Parisa, zatrzymuje się i podnosi broń.

Nasłuchuje i czuje na twarzy nasycone dymem ciepło ognia.

Rozżarzone kawałki plastiku opadają na ziemię.

Błyskawicznie wchodzi za narożnik i przeszukuje teren. Widzi betonową rampę i wysokie na pięć metrów harmonijkowe drzwi do warsztatu.

Pnie sosen na skraju lasu wyłapują żółtą poświatę ognia.

Głębiej w lesie, za drucianym ogrodzeniem, widać białą przyczepę.

Joona podbiega do mniejszych drzwi, naciska klamkę i zagląda do warsztatu.

Maszyny lśnią ponuro w ciemności, a kawałek dalej można dostrzec granatową motorówkę z uszkodzonym dziobem.

Joona szybko wchodzi do środka, zabezpiecza najbliższe kąty i skulony podbiega do dużej tokarki.

Powietrze wypełnia woń metalu, smaru i rozpuszczalników.

Za jego plecami rozlega się trzask zamykanych drzwi.

Przez fugi i otwory na nity w blaszanych ścianach widać ogień.

Joona idzie dalej w kierunku łodzi i ogląda potencjalnie niebezpieczne kąty.

Nagle jakiś mężczyzna wydaje ryk, a potem wrzeszczy: „Jesteś tylko zwierzęciem, niczym, tylko cholernym zwierzęciem”.

Joona podbiega, przykuca i dostrzega dwie postaci na drugim końcu warsztatu.

Parisa wisi do góry nogami, jej nogi są przymocowane do wciągnika łańcuchowego. Gruby sweter opada jej na głowę. Na nagich plecach widać napięty pasek stanika.

Brodacz w dalszym ciągu krwawi z ust. Parisa próbuje przytrzymać sweter i zaczyna się huścić, kiedy mężczyzna wyrywa jej go z rąk.

– Odetnę ci głowę! – krzyczy i unosi siekierę.

Joona biegnie, ale duża łódź zasłania linię strzału.

Może tylko się domyślać, że są tam – w ciemności pod kadłubem.

Parisa próbuje krzyczeć, choć jej usta są zaklejone taśmą. Mężczyzna nadaża za jej ruchami i się odsuwa.

– To jest Guantanamo! – Z całej siły robi zamach siekierą.

Ciężkie ostrze trafia ją od tyłu w ramię i przechodzi przez mięsień. Ciało Parisy wykonuje obrót, krew bryzga na podłogę. Joona przebiega obok niebieskich puszek z olejem odpadowym, wtacza się pod łódź i znów ma ich w zasięgu wzroku.

– Cofnij się! – krzyczy.

Mężczyzna staje za plecami Parisy i ociera krew z brody. Jedna z nogawek jej spodni jest zsunięta do kolana. Ciało wykonuje obrót w drugą stronę. Parisa oddycha szybko przez nos i próbuje się osłonić rękami.

– Będę strzelał, jeśli nie rzucisz siekiery! – woła Joona, idzie dalej bokiem i próbuje znaleźć powierzchnię, w którą mógłby trafić.

Mężczyzna się cofa o kilka kroków i patrzy na Parisę, rzucającą się tak mocno, że słychać szczękanie łańcucha.

– Patrz na mnie, nie na nią... Patrz na mnie i się cofnij – nakazuje Joona i ostrożnie podchodzi z palcem na spuście.

– To przecież tylko cholerne zwierzęta – mamrocze mężczyzna.

– Odłóż siekierę na podłogę.

Mężczyzna już ma odłożyć siekierę, kiedy rozlega się głośny huk i deszcz śrutu trafia w blaszany sufit. Małe ołowiane kulki odbijają się rykoszetem od sufitu i ścian, tracą prędkość i spadają jak deszcz na podłogę warsztatu.

– Ani drgnij! – za plecami Joony rozlega się głos starego tatuśka.

Joona unosi pistolet i drugą rękę nad głowę. Po tylu latach i tylu szkoleniach powtórzył błąd, który doprowadził do śmierci jego ojca. Dał się ponieść sytuacji, zawładnęła nim chęć uratowania człowieka i przez kilka sekund nie zwracał uwagi na to, co się dzieje za jego plecami.

Brzuch Parisy porusza się w rytm jej przerażonego oddechu. Biały stanik jest zakrwawiony, a ciemna kałuża pod ciałem rośnie. Brodac z sapnięciem zarzuca siekierę na ramię.

– Rzuć pistolet! – rozkazuje tatusiek.

– Mam go położyć na podłodze?

Joona zaczyna się odwracać w stronę staruszka, dostrzega jego cień na puszkach z farbą do malowania dna łodzi.

– Masz go odrzucić – odpowiada tatusiek.

Joona powoli się obraca i widzi go cztery metry dalej. Starzec stoi z bronią obok silnika Diesla wiszącego na suwnicy. Joona ostrożnie opuszcza pistolet, jakby się poddawał, ale tak naprawdę czeka na właściwy moment do oddania strzału. Zamierza celować tuż poniżej nosa, żeby natychmiastowo wybić most mózgu i dużą część rdzenia przedłużonego.

– Nie próbuj żadnych sztuczek!

– W którą stronę mam rzucić pistolet?

– Teraz, powoli... To jest śrutówka, nie spudłuję.

– Zrobię, co każesz – odpowiada Joona.

Twarz starego człowieka tężeje, a lufa wędruje odrobinę w prawo. Na podwieszonym silniku rośnie ciemne odbicie.

Joona słyszy za sobą kroki synalka. Stoi nieruchomo, a kiedy nadchodzi cios, robi ukośny krok w przód. Siekiera chybia, ale krawędź ostrza rozcina mu kurtkę z tyłu ramienia.

Joona się odwraca w kierunku ruchu i zadaje cios łokciem w dół, przy szyi synalka, aż słyszc trzask obojczyka.

Siekiera robi obrót w powietrzu, uderza w podnośnik i z brzękiem upada na betonową podłogę. Joona obejmuje kark synalka, przerzuca go

przez biodro na podłogę przed sobą jak pustą skorupę i jednocześnie bierze na celownik tatuśka.

Starzec zdążył już oprzeć kolbę o ziemię i włożyć lufę do ust.

– Nie rób tego! – krzyczy Joona.

Staruszek wyciąga się w dół i dosięga spustu. Jego policzki się rozświetlają w chwili, kiedy słyszc huk. Głowa podskakuje do góry, kości czaszki i substancja mózgowa bryzgają na sufit i opadają deszczem na betonową podłogę za jego plecami.

Ciało leci do przodu, a broń upada na bok.

– Co się stało, do cholery? – dyszy synalek.

Joona szybko pęta mu nogi i ręce grubą stalową linką, podnosi go na nogi i popycha do tyłu, w stronę podwieszonoego silnika.

– Zabiję cię! – krzyczy histerycznie synalek.

Joona dwukrotnie owija linkę wokół jego owłosionej szyi i solidnej osi generatora, zabiera zabezpieczonego gumą pilota ze stołu z kluczami nasadowymi i podnosi silnik tak wysoko, że mężczyzna musi stanąć na palcach.

Z dworu dobiegają strzały, a potem seria z broni automatycznej.

Joona podbiega do Parisy i opuszcza ją na ziemię. Powtarza, że wszystko będzie dobrze, przewraca ją na brzuch, szybko wyciera dłonią krew z jej pleców i ramienia i zamyka głęboką ranę srebrną taśmą.

– Wyjdiesz z tego – mówi uspokajającym głosem.

Ostrożnie nakleja kolejne warstwy taśmy. Zdaje sobie sprawę, że opatrunek nie wytrzyma zbyt długo, ale wie, że Parisa nie umrze, jeśli wkrótce zostanie zabrana do szpitala.

Parisa próbuje wstać, ale Joona prosi, żeby się nie ruszała.

– Chciałam tylko przyjść po Fatimę – mówi Parisa i próbuje uspokoić przyspieszony oddech.

Kłęka i przez chwilę odpoczywa.

Joona ją podtrzymuje. Parisa się trzęsie i chwieje od utraty krwi. Kiedy idą przez warsztat, kilka razy uginają się pod nią kolana.

Wychodzą na zimne powietrze, cała marina płonie, a porywisty wiatr

szarpie płomieniami.

Joona trzyma jedną ręką pistolet. Idą pod górę żwirową ścieżką przy długiej ścianie warsztatu.

Kiedy zauważyła ich siedząca przy wózku widłowym Amira, wstaje i rusza w ich stronę. Jej twarz jest poszarzała, nieruchoma, oczy nieobecne, a źrenice rozszerzone. Joona pomaga Parisie usiąść na ziemi i otula ją swoją marynarką.

Gustav Larsson stoi wyżej na żwirowej ścieżce. Ciężka kamizelka kuloodporna i karabin automatyczny leżą na ziemi.

Akcja zostaje przerwana. Gustav drżącym głosem przekazuje dowódcy, że sytuacja jest pod kontrolą. Potem wzywa karetki i straż pożarną. Kiwa głową, coś mamrocze i opuszcza dłoń z urządzeniem systemu TETRA na wysokość biodra.

– Karetki już jadą? – pyta Joona.

– Pierwsza będzie tu za dziesięć minut – odpowiada Gustav, patrząc na niego pustym wzrokiem.

– Dobrze.

– Boże... przykro mi... tak mi przykro. Joona, wszystko zrobiłem nie tak.

– Ułóż się.

– Nieprawda, nic się nie ułóż.

Kilka metrów za nim, na stosie akumulatorów rozruchowych, siedzi leciwa mamuśka, ze smutną miną robiąc na drutach. Jej najmłodszy syn leży na ziemi z rękami spiętymi taśmą.

– Rozkazano nam wejść od razu. – Gustav ociera łzy z policzków.

– Kto rozkazał?

Rozlega się głośny trzask, Gustav robi mały krok do przodu.

Trzask rozbrzmiewa echem pomiędzy domami, gazy prochowe się rozpraszają.

Stara kobieta trzyma oburącz pistolet Parisy. Robótka leży na ziemi u jej stóp.

Staruszka znów oddaje strzał. Gustav jedną ręką próbuje wymacać

ścianę. Krew spływa mu z brzucha i z rany na przedramieniu. Stojący obok kobiety Adam chwytając broń, powala kobietę na żwir, wyłamuje jej rękę przy barku i przydusza ją butem.

Joonah chwytając zgiętego wpół Gustava i ostrożnie pomaga mu zejść niżej. Gustav wydaje się zdezorientowany, porusza ustami, jakby chciał coś powiedzieć.

Przed jego oczami drży elektryczna poświata, gazowy płomień, roziskrzona pchełka, które wystrzeliwują i znikają.

51

Joona czekał dwie godziny na korytarzu przed salą, w której był operowany Gustav Larsson, a kiedy godziny odwiedzin dobiegły końca, wciąż nie wiedział, czy Gustav przeżyje.

Zostawia samochód na górze Tulegatan, czuje chłód ciągnący od parku i przypomina sobie, że w tym miejscu, w mieszkaniu z widokiem na park Vanadislunden, rozgrywało się kilka scen z książki duetu Sjöwall i Wahlöö.

Kiedy schodzi ze wzgórza w kierunku hotelu, znieczulenie miejscowe po uderzeniu siekierą zaczyna odpuszczać. Miał założonych jedenaście szwów, a teraz ból znowu przybiera na sile.

Marynarka jest sklejona na rękawie taśmą, wymięta i poplamiona krwią. Joona śmierdzi dymem, ma ranę u nasady nosa, kostki dłoni też są pokaleczone.

Kobieta z recepcji wytrzeszcza oczy i gapi się na niego z otwartymi ustami. Joona orientuje się, że w jego wyglądzie zaszła spora zmiana od czasu, kiedy się meldował.

– Ciężki dzień – oznajmia.

– Rozumiem – odpowiada kobieta i szeroko się uśmiecha.

Joona nie może nie zapytać o wiadomości, choć wątpi, że Valeria go odszuka.

Recepcjonistka najpierw patrzy na monitor, a potem do jego przegródki z kluczem, ale oczywiście nic tam nie ma.

– Zapytam Sandrę – obiecuje.

– Nie ma potrzeby – odpowiada szybko Joona.

Mimo wszystko musi poczekać, bo recepcjonistka odchodzi porozmawiać z koleżanką. Joona patrzy na pusty kontuar, wypełnione światłem wzory na odrapanym lakierze i myśli, że jego część zadania dobiegła końca.

Wszyscy wiedzieli, że infiltracja i akcja to strzał w ciemno, ale nie

było żadnej innej możliwości i mieli o wiele za mało czasu.

Joona robił, co mógł, żeby pomóc Säpo, i chciałby powiedzieć Valerii, że od teraz jest tylko zwykłym więźniem na przepustce.

– Niestety – mówi z uśmiechem kobieta, kiedy wraca. – Nikt o pana nie pytał.

Joona dziękuje i idzie do swojego pokoju. Stawia ubłocone buty na gazecie, przygotowuje sobie gorącą kąpiel i wchodzi do wody. Ranną rękę trzyma poza wanną.

Komórka leży na wykafelkowanej wbudowanej półce obok niego. Prosił lekarza, żeby zadzwonił, jak tylko będzie coś wiadomo na temat Gustava.

Krople spokojnie skapują z kranu, kręgi na wodzie się rozszerzają i znikają. Jego ciało się rozluźnia w gorącej wodzie, a ból ustępuje.

Z wiadomości od Salima Ratjena wynikało jedynie, że przemyt siostry Parisy poszedł szybciej, niż się spodziewano. Zanim Salim zdążył o tym powiedzieć żonie, został przeniesiony z Hall i odizolowany od świata.

Para starszków i ich trzech dorośli synowie przekształcili małą stocznię w centrum przemytu i handlu ludźmi.

Kiedy Joona Linna złożył raport, dowódca operacji Janus Mickelsen zaczął się bać utraty kontaktu z komórką terrorystyczną.

Kraj był zagrożony. Zwalczenie tego zagrożenia stało się absolutnym priorytetem.

Dlatego postanowił zorganizować przelot antyterrorystów do mariny.

Janus widział, że Joona próbował się z nim połączyć, ale, jak wyjaśnił, słyszał tylko trzaski.

Ze śmigłowca antyterrorystów zobaczyli kilkoro ludzi obok dużego blaszanego budynku. Dwa ciała leżały na ziemi, a jedna z postaci klęczała. W sekundę trzeba było podjąć właściwą decyzję. Kiedy snajper dostrzegł przez lunetę celowniczą, że młody mężczyzna mierzy z pistoletu do kobiety, oddał skuteczny strzał.

Antyterrorystów nie mogli wiedzieć, że dwoje leżących było przemytnikami ludzi, a młodzieniec z pistoletem jednym z tych, którzy

uciekli z Afganistanu przed talibami.

Trzeci syn tych ludzi został obudzony przez odgłosy kłótni przed warszatem, wyjął sztucer z celownikiem laserowym, wymknął się z budynku mieszkalnego i przycupnął za paletą z dachówkami.

Kiedy ze śmigłowca desantowali się antyterrorysty, chłopak strzelił i trafił pilota prosto w klatkę piersiową.

Pozostali członkowie załogi śmigłowca zginęli w katastrofie, dwóch antyterrorystów straciło życie w czasie wymiany ognia, a dwóch uchodźców zostało zastrzelonych przez przypadek.

Na terenie stoczni nie było żadnych terrorystów.

Akcja stała się katastrofą.

Ojciec popełnił samobójstwo, średniego syna zabili antyterrorysty, matka i dwaj pozostali synowie zostali schwytani.

Dowódca operacji Gustav Larsson został postrzelony i odniósł poważne obrażenia, jego stan w dalszym ciągu jest krytyczny. Parisa Ratjen przeżyje i nie dozna trwałego uszczerbku na zdrowiu. Jej siostra Amira i stara kobieta będą szukały azylu w Szwecji.

Joona wychodzi z ciepłej kąpieli, wyciera się i dzwoni do Valerii. Kiedy w słuchawce rozbrzmiewają sygnały, wygląda na ulicę. Na chodniku przed sklepem spożywczym grupka Romów przygotowuje sobie nocne legowiska.

– Rozumiem, że nie zamierzasz tu przychodzić – mówi, kiedy Valeria wreszcie odbiera.

– Nie, to...

Valeria milknie, ciężko oddycha.

– W każdym razie skończyłem już swoje zadanie dla policji – wyjaśnia Joona.

– Udało się?

– Nie mogę powiedzieć, że tak.

– No to nie skończyłeś – mówi Valeria zduszonym głosem.

– Nie ma na to prostej odpowiedzi.

– Rozumiem, ale czuję, że muszę teraz zrobić krok do tyłu. Mam udane

życie – chłopców, ogród... Nie chcę wyjść na nudziarę, ale jestem dorosła i wystarczy mi to, co mam, nie potrzebuję miłości jak grom z jasnego nieba.

W słuchawce zalega cisza. Jooną się domyśla, że Valeria płacze. W sąsiednim pokoju ktoś włącza telewizor.

– Przepraszam, Jooną – odzywa się Valeria i z drżeniem bierze wdech. – Tylko oszukiwałam sama siebie. To między nami nigdy by się nie udało.

– Mam nadzieję, że kiedy już będę inżynierem ogrodnikiem, wciąż znajdę u ciebie miejsce jako praktykant.

Valeria cicho się śmieje, ale w jej głosie słychać płacz. Wydmuchuje nos, a dopiero potem odpowiada:

– Wyślij podanie, to zobaczymy.

– Wyślę.

Po raz kolejny kończą im się słowa.

– Powinnaś się przespać – mówi Jooną stłumionym głosem.

– Tak.

Życzą sobie dobrej nocy, przez chwilę milczą, znów mówią „dobranoc” i kończą rozmowę.

Na ulicy grupka młodych ludzi wychodzi z baru. Ruszają w kierunku Sveavägen.

Kiedy Jooną się ubiera i wychodzi na chłodne miejskie powietrze, myśli, jakie to nierzeczywiste uczucie nie przebywać w zamknięciu. Ludzie nadal siedzą przy stolikach wzdłuż Odengatan. Jooną idzie spacerem do Brasserie Balzac, dostaje stolik z widokiem na ulicę i przed zamknięciem kuchni zdąża zamówić szkarłaticę na maśle.

Postępowanie przygotowawcze policji będzie się toczyło dalej bez niego.

Nic nie dobiegło końca.

Sprawca prawdopodobnie nie ma żadnych powiązań z organizacjami terrorystycznymi.

Motywy, który przyświecał zabiciu ministra spraw zagranicznych, był innego rodzaju.

Coś sprawia, że ten człowiek dziwnie się zachowuje: mimo specjalistycznego wykształcenia wojskowego siedzi przed krwawiącą ofiarą przez ponad piętnaście minut i pozostawia świadka.

Wie, gdzie są kamery, i wkłada kominiarkę, ale z jakiegoś powodu przyczepia sobie do głowy kawałki materiału.

Jeśli wcześniej nie zabijał, to przekroczył tę granicę w nocy z piątku na sobotę. Napięcie przerodziło się w poczucie kontroli nad sytuacją i nie ma już niczego, co powstrzymałoby go przed kontynuowaniem.

52

Na krańcu cmentarza Hammarby na północ od Sztokholmu jest miejsce z bardzo dobrym widokiem na pola i jezioro z żółtymi trzcinami.

Chociaż miasto znajduje się tak blisko, wszystko tu wygląda tak samo jak przed tysiącem lat.

Disa spoczywa w wewnętrznym rzędzie, przy niskim kamiennym murku, obok dziecięcego grobu z odciskiem dłoni na płycie. Joona był z nią przez wiele lat od czasu separacji z Summą i nie ma minuty, żeby za nią nie tęsknił.

Zabiera zwiędłe kwiaty, przynosi wodę i wstawia świeży bukiet do wazonu.

– Przykro mi, że tak długo cię nie odwiedzałem. – Podnosi kilka suchych liści, które spadły na grób. – Pamiętasz, jak opowiadałem o Valerii, w której się kochałem w liceum? W ciągu ostatniego roku korespondowaliśmy ze sobą i kilka razy się spotkaliśmy, ale już sam nie wiem, jak to między nami będzie.

Jakaś dziewczynka przejeżdża konno ścieżką za murem. Dwa ptaki wzbijają się w powietrze i zataczają szeroki luk nad ogromnym głazem na skraju lasu.

– Wyobraź sobie, że Lumi mieszka w Paryżu – mówi z uśmiechem Joona. – Wygląda na to, że dobrze się tam czuje, realizuje projekt filmowy do szkoły, na temat uchodźców w Calais...

Na żwirowej ścieżce rozlega się chrzęst – od strony kościoła nadchodzi smukła postać z kolorowymi plecionkami w jasnych włosach. Staje koło Joony i przez chwilę milczy, ale w końcu się odzywa.

– Właśnie rozmawiałam z lekarzem – odzywa się Saga Bauer. – Gustav nadal jest w śpiączce farmakologicznej. Przeżyje, ale czeka go kilka operacji, poza tym musieli mu amputować rękę.

– Najważniejsze, że będzie żył.

– Tak – wzdycha Saga, grzebiąc trampkiem w żwirze.

– O co chodzi? – pyta Jooną.

– Verner już wszystko wyciszył. Całej sprawie nadano klauzulę tajności, nikt nie ma dostępu do informacji, nie mogę nawet oglądać własnych pieprzonych raportów... Gdyby ci z dowództwa wiedzieli, co zachowałam w swoim prywatnym komputerze, straciłabym pracę...

Verner wprowadził tak wysoką klauzulę tajności, że sam już nie ma do tego dostępu.

– Kto w takim razie go ma? – Jooną się uśmiecha.

– Nikt – odpowiada wesoło Saga, ale po chwili poważnieje.

Ruszają wolno w drogę powrotną, mijają kamień runiczny z wijącymi się gadami i posępnego anioła przy bramie cmentarza.

– Jedyne, co wiemy po największej akcji antyterrorystycznej w historii Szwecji, to fakt, że zupełnie nic nie wskazuje tu na działanie terrorystów – stwierdza Saga, przystając na parkingu.

– Gdzie został popełniony błąd? – pyta Jooną.

– Sprawca wspomniał o Ratjenie, a my powiązaliśmy to z rozmową nagraną przez służby bezpieczeństwa więzienia Hall... Czytałam całość tłumaczenia. Salim Ratjen mówił o trzech dużych imprezach, a data pierwszej z nich zbiegła się z datą zamordowania ministra spraw zagranicznych Williama Focka.

– Wiem.

Saga siada na swoim brudnym motocyklu.

– Ale imprezy oznaczały tylko krewnych Ratjena, którzy mieli przyjechać do Szwecji – kontynuuje. – Nic nie wskazuje na to, żeby radykalizował się w więzieniu, nie znaleźliśmy żadnych powiązań z islamistami czy ugrupowaniami terrorystycznymi.

– A szejka Ajad al-Dżahiz? – podsuwa Jooną.

– Ano tak. – Saga wybucha gorzkim śmiechem. – Mamy nagranie, na którym mówi, że znajdzie przywódców wspierających bombardowania w Syrii i odstrzeli im twarze.

– Minister spraw zagranicznych został dwukrotnie postrzelony w twarz – przypomina Jooną.

– Zgadza się – potwierdza Saga. – Ale jest mały problem ze znalezieniem związku... Jeszcze przed akcją kierownictwo Säpo wiedziało, że szejk Ajad al-Dżahiz nie żyje od czterech lat – nie mógł być w kontakcie z Ratjenem.

– Ale dlaczego?

– Budżet Säpo właśnie został podwyższony o czterdzieści procent, żeby zabezpieczyć tak samo wysoki poziom w przyszłości.

– Rozumiem.

– Witaj w moim świecie – mówi z westchnieniem Saga i odpala motocykl. – Pojedź ze mną do klubu bokserskiego.

53

W klubie bokserskim Narva jest prawie zupełnie pusto, ale łańcuch worka treningowego szczerka rytmicznie, kiedy mężczyzna wagi ciężkiej z nieobecny wyrazem twarzy zadaje ciosy. Drobiny kurzu tańczą nad ringiem. Dwaj młodszy mężczyźni, stękając, robią brzuszki na gumowych matach pod sfatygowaną gruszką.

Saga wychodzi z szatni w burgundowej koszulce bez rękawów, czarnych spodniach dresowych i zniszczonych butach bokserskich. Staje naprzeciwko Joony i prosi go o pomoc w owinięciu dłoni.

– Głównym zadaniem służb bezpieczeństwa w każdym kraju jest straszenie polityków – mówi cicho i podaje mu rolkę bandażu.

Joona zakłada jej pętlę na palec i kilka razy okręca elastyczną warstwą nadgarstek, owija ukośnie grzbiet i kostki dłoni. Po każdej kolejnej warstwie Saga próbuje zacisnąć pięść.

– Dla Säpo to bez znaczenia, że nie było tam żadnych terrorystów. Tak czy inaczej, zagrożenie zostało usunięte – kontynuuje, kiedy Joona przeciąga paski materiału pomiędzy jej palcami. – A ponieważ politycy nie mogą się przyznać do marnotrawstwa pieniędzy z podatków na takim poziomie, akcja jest traktowana jak triumf.

Zawodnik wagi ciężkiej zadaje szybsze ciosy, a dwaj młodzi mężczyźni zaczynają skakać na skakankach.

Joona wkłada Sadze rękawice i je sznurowuje, a na krawędziach owija jej nadgarstki sportową taśmą.

Saga wchodzi na ring, a Joona bierze ze sobą dwie łapy – coś w rodzaju twardych poduszek ze skóry, które wkłada na ręce, żeby pomóc jej przeciwstawić kombinacje ciosów i pracy nóg.

– Szwecji się upiekło. – Saga zadaje kilka ciosów na próbę. – Ale to nie nasza zasługa... Ludzie naprawdę by się przestraszyli, gdyby zdawali sobie sprawę, jak niewielka jest wiedza Säpo.

Joona zaczyna krążyć po ringu, zmieniać wysokość i pozycję łapek.

Saga podąża jego śladem i bije skomplikowanymi seriami sierpowych i podbródkowych.

Joona kontruje bardziej wysuniętą poduszką, ale Saga robi unik i zadaje nową serię ciosów, które odbijają się echem w pomieszczeniu.

Opuszcza ramiona, przechyla głowę i wyprowadza kilka ciosów lewą ręką.

– Janus i ja będziemy nadal prowadzili postępowanie przygotowawcze, żeby się upewnić, że nic nie doprowadzi z powrotem do ministra – oznajmia, dysząc.

Joona zmienia ułożenie rąk, żeby mogła ćwiczyć ciosy na wprost, robi zamach prawą i trafia ją w policzek, cofa się i pozwala jej odpowiedzieć dwoma mocnymi prawymi.

– Opuść lekko brodę – radzi.

– Jestem na to zbyt dumna – odpowiada Saga z uśmiechem.

– Ale co będzie, jeśli znajdziemy zabójcę? – pyta Joona i idzie za nią w stronę niebieskiego narożnika.

Rozlega się odgłos czterech błyskawicznych ciosów w obie poduszki.

– Moim głównym zadaniem jest dopilnowanie, żeby się przyznał do morderstwa – stwierdza Saga. – To, że w żaden sposób nie można go z nim powiązać, pociągnąć do odpowiedzialności czy...

– Jest wyjątkowo niebezpieczny – przerywa Joona. – Nie wiemy, czy znowu zabije, nie mamy pojęcia, jakie są jego motywy.

– Dlatego rozmawiam z tobą.

Zawodnik wagi ciężkiej przestał zadawać ciosy, stoi, obejmując worek treningowy, i patrzy rozmarzonym wzrokiem na Sagę. Młodzieńcy podeszli do ringu i filmują ją telefonami.

– Musisz opuścić brodę.

– Nie muszę – odpowiada ze śmiechem Saga.

Wyślizguje się z narożnika, wyprowadza mocny prawy sierpowy, zatacza koło ramionami i zadaje tak silny cios w tułów, że Joona musi zrobić kilka kroków w tył.

– Gdybym był policjantem, wypróbowałbym inną drogę – mówi.

– Jaką? – pyta Saga i ociera przedramieniem pot z twarzy.
– Drugiego Ratjena.
– Robimy przerwę – zarządza Saga i wyciąga przed siebie obie ręce.
– Salim Ratjen ma przecież brata w Szwecji – mówi Joona, odwijając taśmę.

– Od czasu zabójstwa ministra Absalon Ratjen pozostaje pod ekstremalnie zaawansowaną obserwacją.

– Co ustaliliście? – Joona poluźnia sznurki.

– Mieszka w Skövde, jest nauczycielem w starszych klasach szkoły podstawowej i nie utrzymuje żadnego kontaktu z Salimem – odpowiada Saga i schodzi z ringu.

Strząsa rękawice z rąk na podłogę i idzie do szatni. Kiedy wraca, ma na szyi szalik, a jej dłonie są wolne od bandaży.

Wchodzą do małego pomieszczenia, Saga kładzie na biurku swojego laptopa w kolorze wojskowej zieleni. Przy ścianach stoją gabloty z medalami i pucharami, pożółkłymi wycinkami z gazet i zdjęciami w ramkach.

– Nie wiem, co by było, gdyby Verner się dowiedział, że nadal wszystko mam – mamrocze Saga, patrząc na monitor. – Absalon Ratjen mieszka przy Länsmansgatan 38 A, jest nauczycielem matematyki i nauk przyrodniczych w Helenaskolan...

Odgarnia włosy przyklejone do twarzy i czyta dalej:

– Jest żonaty z Kerstin Ronell, nauczycielką wuefu z tej samej szkoły... Mają dwoje dzieci w młodszych klasach.

Saga wstaje i zasłania żaluzje w drzwiach.

– Oczywiście podsłuchujemy telefony ich obojga – oznajmia. – Monitorujemy ich aktywność w sieci i tak dalej, przeglądamy skrzynki mailowe, zarówno prywatne, jak i szkolne... Jediną osobą, która trochę surfuje po sieci w poszukiwaniu pornosów, jest jego żona.

– Nie ma absolutnie żadnych powiązań z ministrem spraw zagranicznych?

– Nie.

– Z kim się kontaktował w ciągu ostatnich tygodni?

Saga ociera czoło i skrupulatnie przegląda materiały.

– Poza zwyczajnymi sprawami... mówił o spotkaniu z mechanikiem samochodowym, które nie doszło do skutku...

– Sprawdź to.

– Mamy też dziwnego maila z komputera bez adresu IP.

– W jakim sensie dziwnego?

Saga odwraca komputer do Joony i otwiera czarny list z białym tekstem: *I'll eat your dead heart on the razorback battlefield.*

Światło stojącej na biurku lampki drży na poplamionym ekranie, kiedy przejeżdża pod nimi metro.

– To wygląda groźnie – mówi Saga. – Ale uważamy, że chodzi o żargon związany z konkursem. Absalon Ratjen prowadzi w szkole kółko matematyczne, jego uczniowie pogłębiają wiedzę, biorąc udział w FIRST LEGO League – międzynarodowych zawodach programowanych robotów z klocków Lego.

– Mimo wszystko potraktuj to poważnie – radzi Joona.

– Janus wszystko traktuje poważnie... Pracuje na cały etat nad tym mailem i nagraniem rozmowy, która... Nie wiemy, czy to telefon dla żartu, czy pomyłka... Słysząc tylko oddech Ratjena i dziecko, które mówi wierszyk.

Saga klika na komputerze plik dźwiękowy i sekundę później z głośnika płynie niepewny dziecięcy głos:

Ten little rabbits, all dressed in white

Tried to go to Heaven on the end of a kite

Kite string got broken, down they all fell

Instead of going to Heaven, they went to...

Nine little rabbits, all dressed in white

Tried to go to Heaven on...

Rozmowa nagle się urywa i zapada cisza. Saga zamyka plik i przeszukuje raport, mrużąc, że wierszyk też może mieć związek z konkursem.

- Absalon jest kolejną ofiarą. - Jooną wstaje z krzesła.
- To się nie zgadza - protestuje Saga i mimo woli się uśmiecha. -

Wywróciliśmy na lewą stronę...

- Saga, musicie natychmiast wysłać tam ludzi.

- Nie my... Zadzwoń do Carlosa, ale może powiedz, dlaczego uważasz...

- Najpierw zadzwoń - przerywa Jooną.

Saga bierze do ręki telefon, wybiera numer i prosi o połączenie z Carlosem Eliassonem, szefem Krajowego Wydziału Kryminalnego i byłym przełożonym Joony.

- Ratjen, króliki i piekło - powtarza pod nosem Jooną.

Myśli o wysokim, lekko zdziwionym dziecięcym głosie i wierszyku o królikach, które jeden po drugim trafiają do piekła.

W czasie przesłuchania Sofii próbował analizować poskładane rysopisy sprawcy.

Sofia powiedziała, że według niej morderca był długowłosa, bo wzdłuż jego policzków zwisały długie pasma.

Szukała w pamięci, a potem opisała je jako paski grubego materiału, być może skóry.

Kiedy próbowała je narysować na podobiznie, wyglądały jak duże pióra, które potem zmieniły się w skołtunione włosy.

- To nie pióra widziała, myśli Jooną.

Jest prawie pewien, że przy policzku zabójcy widziała odcięte uszy królików.

- Ratjen, króliki i piekło.

Morderca wspomniał o Ratjenie i powiedział, że piekło ich pochłonie. W wierszyku zamierza zabić wszystkie króliki.

Saga próbuje wytłumaczyć szefowi, że natychmiast muszą wysłać ekipę do Skövde, gdzie mieszka brat Salima Ratjena.

- Najpierw muszą wiedzieć dlaczego - oznajmia Carlos.
- Bo Jooną tak mówi - odpowiada Saga.
- Jooną Linna? - pyta zdumiony.

- Tak.
- Ale... ale on siedzi w więzieniu.
- Nie w tej chwili – mówi po prostu Saga.
- Nie w tej chwili? – powtarza Carlos.
- Po prostu postaraj się od razu wysłać tam oddział.

Joona wyjmuje telefon z rąk Sagi i słyszy głos szefa:

- Tylko dlatego, że Joona jest najbardziej upartym człowiekiem, jaki...
- Jestem uparty, bo prawdopodobnie mam rację – przerywa. – A w takim razie musicie się pośpieszyć, jeżeli macie zamiar uratować mu życie.

54

Na stole w kuchni stoi robot, zbudowany z czerwonych i szarych klocków Lego. Jest duży jak pudełko na wino i przypomina starego typu czołg z chwytakiem.

– Powiedz „cześć” naszemu nowemu przyjacielowi.

– Cześć – mówi Elsa.

– Zaraz będzie spał – odzywa się Kerstin.

Rozdaje kawałki papierowego ręcznika jako serwetki, patrzy na zadowoloną twarz męża i myśli, że najwyraźniej przybrał na wadze i jej o tym nie powiedział.

Dzieci są w piżamach. Piżama Petera ma już za krótkie nogawki. Elsa założyła na przegub wszystkie gumki do włosów.

Absalon odsuwa karton mleka bez laktozy, lepką butelkę keczupu i miskę z tartą marchewką i jabłkiem.

Robot, brzęcząc, zaczyna jechać po kwiciastej ceracie. Gumowe przednie kółka wjeżdżają w rondel z makaronem i aktywują kolejną fazę. Peter chichocze, kiedy ruchoma górna część robota wysuwa się na dwóch szynach. Z plastikowym szmerem drewniana łyżka zanurza się w makaronie, a potem, stanowczo zbyt gwałtownie, podrywa się w górę.

Dzieci wybuchają śmiechem, kiedy makaron zostaje rozrzucony po całym stole.

– Czekaście. – Absalon pochyla się, reguluje sprężynę na wysięgniku i ponownie celuje w robota pilotem.

Robot bardziej płynnymi ruchami zaczyna nabierać nową porcję makaronu, robi pół obrotu i jedzie w stronę talerza Elsy. Kiedy nakłada makaron, jej oczy aż lśnią.

– Jaki słodki! – wola.

Słychać odległe syreny pojazdów na sygnale.

– Nie ma imienia? – pyta Kerstin z krzywym uśmiechem.

– Boris! – krzyczy Peter.

Elsa klaszcze w ręce i powtarza to imię kilka razy.

Absalon kieruje robota w stronę talerza syna, ale zahacza o pojemnik z pieczoną cebulką i zawartość łyżki ląduje w szklance mleka. Peter wybucha śmiechem, zakrywając twarz.

– Boris, jesteś bardzo mądry – zapewnia Elsa.

– Ale teraz powinien iść spać – mówi raz jeszcze Kerstin i próbuje uchwycić spojrzenie męża.

– A może też zjeść kiełbasę? – pyta Peter.

Absalon przeczesuje dłonią kręcone włosy, wymienia łyżkę w chwytaku na widelec i wciska guzik na pilocie. Robot rusza w stronę patelni, trochę za szybko. Absalon nie zdąża go zastopować, kiedy Boris wpada na żeliwną krawędź i przewraca się do przodu.

– Mamo! Możemy go zatrzymać? – krzyczą dzieci.

– Możemy? – pyta z uśmiechem Absalon.

– Mamo!

– Może zostać, jeśli pozbędziemy się tego, który jest w łazience.

– Nie Jamesa! – obrusza się Elsa.

James to żółty robot, który przynosi papier toaletowy. Kerstin uważa, że jest nieprzyjemny, trochę za bardzo zainteresowany wizytami w łazience.

– Możemy wypożyczyć Jamesa dziadkowi – decyduje, zabiera Borisowi widelec i zaczyna nakładać dzieciom kiełbasę.

– Przyjedzie tu w weekend? – pyta Absalon.

– A damy sobie radę?

– Mogę ugotować dobry...

Rozlega się huk drzwi do kuchni, zatrzaśniętych przez przeciąg, i kalendarz ze zdjęciami dzieci spada na podłogę.

– To okno w sypialni – mówi Kerstin i wstaje.

Drzwi stawiają opór, jakby ktoś je przytrzymał z drugiej strony. Kiedy ustępują, słychać szum przeciągu. Kerstin wychodzi do przedpokoju, odrobinę za mocno zamyka za sobą drzwi kuchni, mija

schody i wchodzi do sypialni.

Zasłonki powiewają, a kółka suną po drewnianym karniszu. Okazuje się, że otwarte jest nie okno, tylko drzwi na werandę. Żaluzje z szelestem huśtają się na wietrze.

W pokoju panuje chłód, a jej koszula nocna została zdmuchnięta na podłogę. Kiedy Absalon ścieli łóżko, zwykle na koniec układa tę koszulę po jej stronie.

Stąpając po zimnej podłodze, Kerstin podchodzi do okna, zamyka drzwi werandy, przekręca klamkę w dół i słyszy kliknięcie małej blokady.

Układa koszulę na łóżku, zapala lampkę na nocnym stoliku i spostrzega, że wykładzina jest brudna. Wiatr naniósł ziemi i trawy z ogrodu. Kerstin postanawia, że odkurzy po jedzeniu, i rusza z powrotem.

Jakieś ponure przeczucie sprawia, że przystaje w ciemnym przedpokoju.

Za drzwiami kuchni panuje cisza.

Kerstin spogląda na formację utworzoną ze zbyt wielu kurtek i torebek wiszących na jednym haczyku.

Ostrożnie idzie dalej w stronę kuchni, widzi światło padające przez dziurkę od klucza i nagle słyszy nieznamy dziecięcy głos:

– *Seven little rabbits, all dressed in white, tried to go to Heaven on the end of a kite. Kite string got broken, down they all fell. Instead of going to Heaven, they went to...*

Myśli, że podczas jej nieobecności Absalon skorzystał z okazji, żeby zademonstrować nowego robota. Otwiera drzwi, wchodzi do kuchni i gwałtownie się zatrzymuje.

Przy stole w ich kuchni stoi zamaskowany mężczyzna. Ma na sobie dżinsy, czarną kurtkę wiatrówkę i trzyma w ręku nóż z ząbkowanym ostrzem.

Z telefonu leżącego na stole dobiega ostrożny chłopięcy głos:

– *Six little rabbits, all dressed in white, tried to go to Heaven...* Absalon

wstaje, makaron spada z jego brzucha na podłogę. Elsa i Peter z przerażeniem patrzą na mężczyznę.

– Nie wiem, czego chcesz, ale straszysz dzieci, rozumiesz? – mówi Absalon drżącym głosem.

Wzdłuż policzka mężczyzny zwisa pięć długich króliczych uszu. Połyskują ciemną czerwienią w miejscach, w których zostały odcięte przed nanizaniem na nitkę i okręceniem jej wokół kominiarki.

Serce Kerstin bije tak mocno, że trudno jej się oddycha. Drżącymi dłońmi podnosi torebkę z blatu i wyciąga ją w stronę nieznanego.

– Może mam trochę pieniędzy... – Głos niemal odmawia jej posłuszeństwa.

Mężczyzna bierze torebkę i stawia ją na stole, a potem unosi nóż i wskazuje ostrzem twarz Absalona.

Kerstin widzi, jak jej mąż słabo próbuje odepchnąć narzędzie dłonią.

– Przestań – mówi.

Ręka z nożem opada, wykonuje pchnięcie do przodu i nieruchomieje. Absalon nabiera powietrza, spogląda w dół i widzi, że całe ostrze zniknęło w jego brzuchu.

Na koszuli poszerza się plama krwi.

Kiedy nieznanomy wyciąga ostrze, krew tryska na podłogę u stóp Absalona.

– Tatusiu – odzywa się Elsa wystraszonym głosem i odkłada łyżkę na stół.

Absalon stoi w kompletnym bezruchu, a krew wypełnia dolną część jego wpuszczonej do spodni koszuli, ścieka po nogach, wypływa nogawkami i ochlapuje stopy.

– Zadzwoń po karetkę, Kerstin. – Zdezorientowany Absalon robi krok do tyłu.

Elsa podbiega i obejmuje ramieniem jego nogi, tak że Absalon traci równowagę.

– Tatusiu – mówi z płaczem. – Proszę, tatusiu...

Zdejmuje jego serwetkę ze stołu i nakrywa mu nią brzuch.

– Jesteś głupi! – krzyczy do zamaskowanego mężczyzny. – To mój tatuś!

Jak we śnie Kerstin podchodzi i odciąga córkę od męża, bierze ją na rękę i trzyma mocno, czuje, jak jej małe ciało drży.

Peter wpełza pod stół z rękami za głową.

Mężczyzna patrzy z zainteresowaniem na Absalona, odgarnia z policzka królicze uszy, powoli przekrzywia nóż w powietrzu i wbija mu go w bok.

Absalon wrzeszczy, rażony eksplozją bólu.

Mężczyzna wypuszcza nóż, zostawia go w ciele ofiary, zaklinowany pomiędzy dolnymi żebrami.

Absalon upada na bok, ale ląduje na stole, przesuwa zakrwawioną ręką po blacie i przewraca szklankę mleka.

Zamaskowany mężczyzna uwalnia maczetę z zaczepu pod kurtką i znów podchodzi do Absalona.

– Przestań! – krzyczy Kerstin.

Absalon opada na krzesło, podnosi rękę w obronnym geście i kręci głową.

– Proszę, przestań – mówi z płaczem Kerstin.

Lampa nad stołem powoli się obraca. Światło obu żarówek wędruje po ceracie. Na podłogę skapują krople mleka.

– Co ja takiego zrobiłem? – dyszy Absalon.

Poci się i ma przyspieszony oddech, jest na skraju wstrząsu. Zamaskowany mężczyzna stoi nieruchomo i na niego patrzy.

– Na pewno pomyliłeś domy – mówi Kerstin słabym głosem.

Elsa się odwraca, chce zobaczyć, co się dzieje, i próbuje się uwolnić z uścisku matki.

Struga krwi ścieka z krzesła na podłogę.

Wskazówka sekundowa zegara na ścianie sunie naprzód.

Z zewnątrz dobiegają odgłosy bawiących się dzieci i dzwonka rowerowego.

– Jesteśmy tylko zwykłymi ludźmi, nie mamy pieniędzy – kontynuuje

Kerstin.

Peter siedzi pod stołem, wpatrzony w tatę.

Absalon próbuje coś powiedzieć, ale odbija mu się krwią. Przełyka, kaszle i znów przełyka.

Sąsiad zajeżdża przed swój dom i parkuje obok ich samochodu. Drzwi się otwierają i zamykają. Słychać odgłos wyjmowanych z bagażnika toreb z zakupami.

Koszula Absalona przybiera ciemnoczerwony, prawie czarny kolor. Krew skapuje z krzesła równym strumieniem, kałuża sięga do Petera.

– Tatusiu, tatusiu, tatusiu – piszczy chłopiec.

Zamaskowany mężczyzna patrzy na zegar i chwytą Absalona za włosy.

– Mogę wyprowadzić dzieci? – pyta Kerstin i ociera łzy z policzków. Elsa pochlipuje, a pole widzenia Kerstin się wykrzywia. W jej głowie rozbrzmiewa głośny dźwięk, kiedy widzi, jak wargi jej męża bieleją.

Widać, że bardzo cierpi.

Nieznajomy pochyla się i coś do niego szepcze. Odcięte królicze uszy dyndają mu nad policzkiem. Jeszcze raz prostuje plecy, Absalon patrzy mu w oczy i kiwa głową.

Mężczyzna bez pośpiechu odchyła głowę Absalona w bok i unosi maczetę.

Lampa nad stołem zaczyna się obracać w drugą stronę.

Peter kręci głową. Kerstin chce krzyknąć do niego, żeby zamknął oczy, ale z jej ust nie wydobywa się żaden głos.

Mężczyzna z dużą siłą dźga Absalona od tyłu, ostrze przechodzi pod kątem przez kręgi szyjne.

Krew bryzga na palniki kuchenki i drzwi piekarnika.

Martwe ciało upada na podłogę, nogi nadal wierzgają, pięty biją o wykładzinę PCV.

Peter patrzy z otwartymi ustami na tatę.

Głowa Absalona luźno opada, a z gardła mocnymi strumieniami tryska jasna krew.

Kapie z uchwytu piekarnika.

Mężczyzna się nachyla, wyciąga nóż z tułowia Absalona, strzepuje krew z ostrza i wychodzi z kuchni.

55

Kiedy Saga bierze prysznic w klubie bokserskim, Jooną dzwoni do swojego byłego szefa Carlosa, aby się upewnić, że policja jest w domu Ratjena. Próbuje pięć razy, aż w końcu się poddaje. Nagrywa wiadomość głosową, że obiecano mu uwolnienie i że chce jak najszybciej przesłuchać Absalona Ratjena.

– Może uda się nam zatrzymać sprawcę, zanim zginą kolejne osoby – kończy.

Jooną i Saga wychodzą z klubu i razem idą w stronę parkingu przed szkołą muzyczną po drugiej stronie ulicy.

– Verner obiecał, że osobiście zajmie się twoim uwolnieniem – oznajmia Saga.

– Jeśli nie dostanę informacji, za trzy godziny muszę się stawić w więzieniu.

Przecinają ulicę, idą dalej przez czarną furtkę, wchodzą pomiędzy samochody. Naraz Saga przystaje.

– Mój telefon właśnie zgasł – mówi i go pokazuje. – Zobacz, jest zablokowany. Muszę pojechać do biura i sprawdzić, co się dzieje.

Idą dalej wzdłuż czerwonego ceglanego muru do volva Joony. Nagle podchodzi do nich dwóch mężczyzn w ciemnych garniturach i ze słuchawkami w uszach.

– Odsuń się od samochodu, Bauer! – krzyczy młodszy z nich.

Saga wyjmuje laptopa z torby treningowej i wykonuje polecenie.

– To pomysł Venera? – pyta.

– Daj nam komputer – mówi starszy, o krótko przyciętych siwych włosach.

– Ten? – pyta Saga z mimowolnym szerokim uśmiechem.

– Tak – odpowiada agent i wyciąga rękę.

Saga przerzuca komputer nad dachem samochodu. Laptop, połykując, robi obrót w powietrzu, Jooną łapie go bez mrugnięcia okiem.

Obaj agenci się odwracają i zaczynają iść w jego stronę. Przez otwarte okno szkoły sączy się rytmiczna muzyka skrzypcowa. Jooną stoi nieruchomo z laptopem w ręku. Od dużego dębu odrywa się liść i opada ku nim, wirując w powietrzu. Mężczyźni okrążają samochód i podchodzą ze stanowczymi minami.

– Komputer zostaje skonfiskowany zgodnie z przepisem o...

Tuż przed tym Jooną znów przerzuca komputer nad samochodem. Laptop odbija się w czarnym lakierze samochodu. Saga łapie go jedną ręką i lekko się odsuwa.

– Tacy dziecinni. – Starszy agent powstrzymuje mimowolny uśmiech.

Znów się odwracają i idą w stronę Sagi. Młodszy poprawia mankiety koszuli.

– Rozumiesz, że musisz nam dać ten komputer – mówi cierpliwie.

– Nie – odpowiada Saga.

Zanim zdążą do niej podejść, wsuwa cienkie urządzenie pomiędzy kraty studzienki ściekowej. Daleko w dole rozlega się plusk. Obaj agenci się zatrzymują i na nią patrzą.

– Czy to nie lekka przesada? – pyta starszy, marszcząc czoło.

– Musisz iść z nami, Bauer – mówi drugi.

– Szkoda, że nie widzieliście swoich min – odpowiada Saga z uśmiechem i rusza z agentami wzdłuż fasady z czerwonej cegły.

Jest dużo niższa od nich, jej skórzana kurtka błyszczy od mokrych włosów.

– Chcesz, żebym coś dla ciebie zrobił? – woła za nią Jooną.

– Musisz zadzwonić do Venera. – Saga się obraca. – Obiecał, że nie będziesz musiał wracać do więzienia.

Saga wsiada do samochodu i znika. Jooną bierze do ręki telefon, ponownie próbuje się dodzwonić do Carlosa, a później do centrali Säpo.

– Policja bezpieczeństwa.

– Chcę rozmawiać z Vernerem Sandenem – mówi Jooną.

– Jest teraz na spotkaniu.

– Ze mną musi porozmawiać.

– Co mam przekazać? Kto dzwoni? – pyta kobieta.

– Joon Linna. On wie, kim jestem.

W słuchawce rozlega się szum, a potem Joon słyszy nagraną wiadomość zachęcającą do śledzenia Säpo na Twitterze i Facebooku. Głos nagle się urywa, kiedy kobieta wraca.

– Mówi, że pana nie zna – oznajmia z rezerwą.

– Proszę mu powiedzieć, że...

– Jest teraz na spotkaniu i nie może odbierać telefonów – przerywa kobieta i się rozłącza, zanim Joon zdąży powiedzieć coś więcej.

Wie, że to nie ma sensu, ale mimo to dzwoni do kancelarii rządu i mówi, że premier czeka na telefon od niego. Sekretarka prosi go przyjaznym tonem o wysłanie maila do odpowiedniego wydziału.

– Adres jest na naszej stronie internetowej – dodaje i się rozłącza.

Joon siedzi w samochodzie. Postanawia zadzwonić do Janusa Mickelsena, zanim jednak rozbrzmiewa pierwszy sygnał, automatyczny głos oznajmia, że nie ma takiego numeru. Joon próbuje pozostałych kontaktów zaprogramowanych w wypożyczonym telefonie, ale żaden z numerów nie jest w użyciu.

Patrzy na zegarek.

Dochodzi do wniosku, że jeśli wyjedzie teraz, powinien zdążyć na czas do zakładu w Kumli. Nie ma wyboru, nie może ryzykować przedłużenia wyroku.

Odpala silnik i cofa, zatrzymuje się i przepuszcza idącą chodnikiem kobietę z psem przewodnikiem, a potem skręca w prawo w kierunku Norrtull.

W wiadomościach podano, że szwedzkie służby bezpieczeństwa udaremniły poważny zamach zagrażający państwu. Jak zwykle szczegóły operacji i sposób, w jaki schwytano podejrzanych o terroryzm, nie są komentowane. Rzecznik prasowy Säpo opisuje zakrojoną na szeroką skalę akcję wywiadowczą i bardzo udaną operację.

56

Jooną idzie po dużej asfaltowej powierzchni i słyszy za plecami trzask zamykającej się elektrycznej bramy.

Wchodzi dalej, w cień brudnożółtego muru otaczającego więzienie, zatrzymuje się dziesięć metrów od głównego stanowiska strażników i po raz ostatni próbuje się dodzwonić do Carlosa. Nagrany głos oznajmia, że szef policji jest zajęty i tego dnia nie będzie można się z nim połączyć.

Kiedy go przyjmują, czuje się tak, jakby czas stawiał mu opór. Ręce poruszają się wolno, kiedy wkładają zegarek, portfel, kluczyki do samochodu i telefon do niebieskiej plastikowej skrzynki.

Strażnik z plamami nikotyny na palcach liczy jego pieniądze i wypisuje kwit na całą sumę.

Jooną się rozbiera i nago przechodzi przez bramkę bezpieczeństwa. Ogromne siniaki nad żebrami zlewają się ze sobą jak burzowe chmury, a rana po uderzeniu siekierą jest tak nabrzmiała, że czarne nici chirurgiczne wystają.

– Widzę, że dobrze się bawiłeś na przepustce – mówi strażnik.

Jooną siada na wysłużonej drewnianej ławce, wkłada bezbarwny więzienny strój i sportowe buty.

– Tu jest napisane, że masz zostać umieszczony na osobnym oddziale – oznajmia strażnik.

– Dlaczego? Nie wnioskowałem o izolację – odpowiada Jooną i odbiera szary worek z prześcieradłem i artykułami higienicznymi.

Inny strażnik ze spoconą twarzą idzie z Jooną na jego nowy oddział. Kiedy docierają do rozwidlenia, skręcają w prawo, czekają, aż zamek w drzwiach zabrzęczy, i wchodzi w korytarz prowadzący na oddział izolacyjny. Jest pusty i unosi się w nim zapach wilgotnego betonu, a ciszę przerywa tylko głos strażnika, który kontaktuje się przez radio z budynkiem G.

Jooną mówi sobie, że powinien przestać się głowić nad zabójcą. Wie,

że od teraz będzie odizolowany od świata zewnętrznego.

Nie jest zaangażowany w postępowanie przygotowawcze.

Nie jest już policjantem.

Na oddziale zostaje zapisany, pracownicy więzienia czytają mu regulamin i prowadzą przez cichy korytarz do jego nowej celi – malutkiej przestrzeni, w której ma spędzać całe doby bez żadnego kontaktu z innymi więźniami.

Kiedy drzwi do izolatki zatraskują się za jego plecami, podchodzi do okna wyposażonego w grube kraty i patrzy prosto na żółty mur.

– *Olen väsynyt tähän hotelliin* – mówi do siebie.

Kładzie worek z rzeczami na łóżku i rozmyśla o tym, że zabójca zawiązał sobie wokół głowy odcięte królicze uszy, jak swego rodzaju trofea albo fetyszystyczne symbole.

Może polowanie na króliki i ich rzeź były rytualnym przygotowaniem do zabijania.

Zabił Williama Focka i planował zabić Absalona Ratjena, myśli Joono, podnosi z podłogi dwa ziarenka żwiru i kładzie je na wąskim parapecie.

Dwie ofiary.

Nachyla się i patrzy z bliska: jedno ziarenko ma szpiczasty czubek z bladeżółtego kwarcu, a drugie błyszczącą powierzchnię jak mała rybia łuska.

Joono przychodzi na myśl nagrane dziecięce głosy i wierszyk o królikach, które jeden po drugim spadają do piekła.

– Dziesięć małych królików – powtarza.

Zagląda pod łóżko, podnosi osiem kolejnych ziarenek żwiru i kładzie je na parapecie w równej linii z pozostałymi.

Ten człowiek poluje na dziesięć królików, zamierza zabić je wszystkie.

Czas nie dociera do izolatki, nie odciska piętna na wąskim łóżku, umywalce, sedesie, półce, małym biurku i zamkniętych na klucz drzwiach.

Ten, kto siedzi w więzieniu, umiera niepostrzeżenie.

Joono stoi nieruchomo i obserwuje grę światła na szeregu maleńkich

kamyczków. Cienie są coraz dłuższe, przesuwają się jak wskazówki zegara.

Każde małe ziarenko to zegar słoneczny.

Säpo myślała, że poluje na terrorystów.

Z terrorystą byłoby dużo łatwiej niż z żołnierzem elitarnej jednostki, który pękł.

Spree killer. Szalony morderca.

To, że wyszkolony terrorysta zostawił świadka, było dla Joony zagadką, ale pomyślał, że dla szalonego mordercy ważne jest to, aby nie zabić niewłaściwych osób.

Może mieć motywację religijną albo polityczną, tak samo jak terrorysta. Zasadnicza różnica polega na tym, że podlega tylko sobie.

Dlatego trudno przewidzieć jego ruchy.

Joona przesuwa ręką po włosach.

Na chromowanej stalowej krawędzi wokół otworu drzwiowego jest pełno odcisków palców. Włącznik światła jest ciemny od brudu, a do sufitu są przyklejone stare woreczki po snusie.

Czy policja ściga seryjnego, masowego, czy szalonego mordercę, tak naprawdę nie ma znaczenia, myśli Joona. Najważniejsze są specjalne motywy i sposób działania, które mieszczą się w tej samej sieci.

Konkretna historia popycha danego człowieka w określonym kierunku, który determinuje sposób działania.

Pojęcie szalonego mordercy zostało poddane dyskusji i zredukowane przez FBI do „człowieka, który popełnia dwa morderstwa lub więcej bez okresu wyciszenia”.

Za tymi definicjami kryją się jednak znacznie obszerniejsze i bardziej skomplikowane schematy.

Żaden sprawca nie będzie pasował do wszystkiego, ale z odpowiednią wiedzą ułożenie kilku kawałków puzzli może być łatwiejsze.

Masowy morderca wykonuje swoją robotę na miejscu, a szalony się przemieszcza.

Seryjny morderca często seksualizuje swoje zbrodnie, a szalony je

racjonalizuje.

Nie robi żadnych pauz pod wpływem emocji, a czas pomiędzy zabójstwami nigdy nie przekracza siedmiu dni.

Joona patrzy na ziarenka żwiru na oknie.

Dziesięć małych króliczków.

Policja ma do czynienia ze sprawcą ogarniętym gniewem, który w określonej sytuacji powoduje, że ów człowiek przebija skuwającą go warstwę lodu i zabija tych, których uważa za winnych.

Dokładnie wybiera ofiary albo uderza w konkretną grupę i stara się zabić jak największą liczbę jej przedstawicieli.

To, co policja uznaje za przypadkowe, zwykle okazuje się czymś dokładnie przeciwnym.

Joona spogląda na ziarenka żwiru na parapecie i zatacza niespokojny krąg po pokoju – podchodzi do drzwi i wraca do okna, w sumie robi osiem kroków.

Jeżeli ten człowiek ma cel, jeżeli zalicza się do kategorii szalonych morderców, to jedna rzecz absolutnie się nie zgadza, myśli Joona.

W tym, co się wydarzyło, jest pewna luka logiczna.

Niewątpliwie mają do czynienia z inteligentnym zabójcą – z człowiekiem, który przecina szklane drzwi ministra spraw zagranicznych diamentową piłą, żeby nie dopuścić do uruchomienia alarmu, wie, gdzie są kamery, i nie zostawia śladów.

Wyliczanka w wierszyku o królikach świadczy zaś o tym, że już postanowił, kto ma umrzeć.

Zaplanował dziesięć morderstw. I zaczął od ministra spraw zagranicznych.

Dlaczego?

To w tym punkcie jest luka.

Coś się nie zgadza.

Przecież zabójca musiał rozumieć, że kiedy to zrobi, policja zaangażuje gigantyczne środki do polowania na niego. Musiał zdawać sobie sprawę, że przy takim preludium jego plan będzie bez porównania

trudniejszy do przeprowadzenia.

Szalony morderca zaczął od ministra spraw zagranicznych, myśli Joona. A potem się zasadził na nauczyciela ze Skövde.

Minister spraw zagranicznych i nauczyciel.

Joona dotyka ostrożnie dwóch pierwszych ziarenek żwiru, kładzie palec na trzecim – i nagle przychodzi mu do głowy rozwiązanie zagadki.

– Pogrzeb – szepcze, podchodzi do drzwi i zaczyna w nie łomotać.

To dlatego sprawca morduje ministra jako pierwszego. Pogrzeb jest pułapką. Jeden z ludzi, których ten człowiek ma na liście, jest trudniejszym celem niż William Fock.

Morderca wie, że potrzeba pogrzebu tego kalibru, żeby wywabić następną ofiarę.

– Halo! Chodźcie tutaj! – krzyczy Joona i wali w stalowe drzwi. – Halo!

Wizjer ciemnieje, Joona się odsuwa. Prostokątna luka zostaje otwarta, przez grubą szybę zagląda brodaty strażnik.

– Co się dzieje? – pyta.

– Muszę zadzwonić – odpowiada Joona.

– Jesteś na oddziale izolacyjnym, a to znaczy...

– Wiem – przerywa Joona. – Ale nie chcę tu być, chcę wrócić do budynku D, nie wnioskowałem o izolację.

– Tak, ale władze więzienia uznały, że potrzebujesz ochrony.

– Ochrony? Co się stało?

– To nie moja sprawa. – Strażnik zniża głos. – Ale Marko nie żyje... Przykro mi, wiem, że byliście przyjaciółmi.

– Jak on...

Joona milknie i myśli o tym, że Marko chciał wziąć na siebie winę za bójkę na dziedzińcu, żeby on nie stracił przepustki. Po raz ostatni widział swojego fińskiego przyjaciela w chwili, kiedy strażnicy bili go do nieprzytomności i zakuwali w kajdanki.

– Bractwo? – pyta Joona.

– Dochodzenie trwa.

Joona robi krok do przodu, ale się zatrzymuje i podnosi ręce, kiedy na

twarży strażnika dostrzega strach.

– Posłuchaj mnie. To bardzo ważne, żebym zadzwonił – oznajmia Jooną z opanowaniem w głosie.

– Konieczność izolacji jest rozważana na nowo co dziesięć dni.

– Wiesz, że mam prawo zadzwonić do mojego adwokata w każdej... Strażnik zatrzaskuje lukę i ją zamyka. Jooną idzie prosto do drzwi i uderza dłonią w wizjer, dokładnie w chwili, kiedy otwór ciemnieje. Słyszcy huk po drugiej stronie i orientuje się, że brodacze się cofnął i wpadł plecami na ścianę.

– Więcej ludzi umrze! – krzyczy Jooną, bijąc w drzwi. – Nie możesz tego robić! Muszę zadzwonić!

Jooną bierze rozpęd i kopie w drzwi, aż ściany huczą. Kopie znowu i widzi, jak drobny betonowy pył spada na podłogę z miejsca umocowania zawiasów.

Chwyta oburącz krzesło za oparcie i z całej siły rzuca nim w okno. Jedna noga łamie się o kratę i z hukiem opada na biurko. Jooną uderza jeszcze raz, pozwala krzesłu upaść na podłogę, siada na łóżku i zakrywa twarz rękami.

57

Wieczne światło wpada ukośnie przez okno oranżerii i kładzie się migotliwymi smugami na podłodze w kuchni.

Słupki ziemniaków zaczynają skwierczeć i wibrować, kiedy Rex opuszcza frytkownicę do gorącej oliwy z oliwek.

DJ stoi przy wyspie kuchennej i sieka koperek na dużej desce do krojenia.

– Jestem podejrzany – oznajmia Rex i obserwuje, jak frytki nabierają coraz bardziej złotobrązowej barwy.

– No to powinieneś leżeć przypięty do ławki z mokrym ręcznikiem na twarzy – odpowiada żartem DJ.

– Ale poważnie – mówi Rex. – Po co ludzie z Säpo mieliby tu przychodzić, jeśli nie rozpoznali mnie na filmie?

– Bo jesteś przyjacielem ministra.

– Myślę, że został zamordowany.

– No to mogę ci zapewnić alibi – stwierdza z uśmiechem DJ i wsypuje koperek do marynaty z krewetkami.

– Ale mimo wszystko... Będzie skandal.

– Niemożliwe – zaprzecza DJ. – Nawet jeśli filmy zostaną upublicznione... Nie masz pojęcia, z jakim odzewem spotkał się materiał telewizyjny. Wszyscy kochają wasze chore poczucie humoru.

– Jestem fatalnym kłamcą – mruczy Rex, wyciągając ziemniaki z oleju.

– Jutro pójdziemy na pogrzeb i na tym się skończy. – DJ opłukuje szeroki nóż.

– Tak – wzdycha Rex i zauważa, że DJ ma w swojej jasnej brodzie mnóstwo koperku.

– Kontrolujemy sytuację, jest spokojnie, niepokoi mnie tylko ta moja przeklęta bójka – oznajmia DJ.

– Wiem.

– Rex, przepraszam, że tu przyszedłem. Spanikowałem.

- Nic się nie stało – odpowiada Rex.
 - Ale przecież gdyby ten człowiek zmarł, powinni coś o tym napisać, nie?
 - Nie ma pewności, czy...
 - Przejrzałem wszystkie wiadomości, wszystko.
 - Czego on właściwie od ciebie chciał?
 - Nie jestem w stanie o tym mówić – odpowiada DJ, kręcąc głową.
 - Co takiego?
 - Nie, nic – mówi szeptem DJ i się odwraca.
 - Musisz ze mną rozmawiać – odzywa się Rex do pleców DJ-a.
 - Będę – zapewnia DJ i robi powolny wydech, żeby dojść do siebie, a w tym samym czasie półnagi Sammy wchodzi do kuchni.
 - DJ?
 - Później o tym pogadamy.
 - O czym tak szepczecie? – pyta Sammy z uśmiechem.
 - O mnóstwie tajnych spraw – odpowiada Rex i puszcza do niego oko. Sammy podchodzi do balkonu francuskiego, uchyla drzwi i bierze do ręki papierosa.
 - Chcesz jechać na imprezę do Nykvarn? – pyta Rex.
 - Tak – potwierdza Sammy i pstryka zapalniczką. Ukazuje się przezroczysty płomień.
 - Tylko żebyś zdążył wrócić na pogrzeb.
- Sammy zaciąga się tak mocno, że słycać trzaskanie żaru, wydmuchuje dym przez szczelinę w drzwiach i patrzy na Rexa.
- Najchętniej pojechałbym dziś do domu, ale po dziewiątej nie jeżdżą żadne autobusy.
 - No to weź taksówkę – proponuje Rex. – Ja zapłacę.
- Sammy raz jeszcze głęboko się zaciąga i drapie się kciukiem w policzek.
- Nie można tu zamówić taksówki w środku nocy... To nie jest Café Opera.
 - Mam cię odebrać?

- Jak to?
 - Nie zapominaj, że dziś wieczorem masz rozdanie nagród – mówi DJ i zaczyna nakrywać do stołu.
 - Nie będziesz nocował u Lyry?
 - Będę – odpowiada DJ.
 - Czy w takim razie mógłbym pożyczyć twój samochód?
 - Jasne – zgadza się DJ i rozkłada sztućce.
 - No to przyjadę po ciebie do Nykvarn, Sammy.
 - Na pewno? – pyta Sammy z uśmiechem i zgniata papierosa o balustradę.
 - Podaj mi adres i godzinę. Byle nie za późno, jestem zramolały...
 - Czy o pierwszej będzie za późno? Możemy się umówić na wcześniejszą godzinę albo...
 - Pierwsza jest w porządku – odpowiada Rex. – Zdążę odebrać tę nagrodę i wyrzucić ją do śmieci.
 - Dzięki, tato.
 - Mogę z tobą porozmawiać? – DJ prowadzi Rexa do oranżerii.
 - O co chodzi?
- Na twarzy DJ-a zaczyna się malować dystans, a w jego ruchach widać powściągany stres.
- Pożyczanie samochodu nie jest dobrym pomysłem – zaczyna. – Siedziałem w nim w zakrwawionych ubraniach i...
 - Ale przecież go wyczyściłeś – przerywa Rex.
 - Jasne... To z pewnością najczystszy samochód w Szwecji, ale mimo to nigdy nie wiadomo... Ci z CSI przychodzą ze specjalnymi lampami i znajdują mnóstwo śladów DNA.
 - Nie sądzę, żeby szwedzka policja angażowała CSI – mówi Rex ze śmiechem.
 - Ale pomyśl, co by było, gdyby umarł – szepcze DJ. – Nie mogę się uwolnić od tej myśli, nie rozumiem, jak to się mogło stać.
- Nagle w drzwiach staje Sammy i na nich patrzy.
- Znowu szepczecie – mówi z powagą.

58

Do oszklonego wejścia Café Opera wiedzie czerwony dywan, obramowany płonącymi pochodniami. Rex zostaje powitany przez kobietę z jasnym warkoczem, która prowadzi go do ścianki z reklamami głównych sponsorów.

Eventem wieczoru jest rozdanie nagród. Rex uważa, że już dawno powinien być taką dostać. Minęło tyle czasu, że zaczął utrzymywać, iż wcale jej nie chce, że nie przyjąłby tej nagrody, nawet gdyby była zapieczona w cieście truskawkowym.

Tym razem, kiedy odmówił przyjęcia zaproszenia, zadzwonił do niego organizator i powiedział, że mały ptaszek wyćwierkał mu do ucha, kto dostanie nagrodę.

W tłumie pomiędzy stołami bufetowymi a stolikami z szampanem poziom hałasu był ogłuszająco wysoki.

Rex przeprosza, przeciska się do baru i zamawia butelkę wody mineralnej. W tej samej chwili muzyka cichnie, a oświetlenie się zmienia.

Wysoka kobieta z branżowego pisma „Restaurangvärlden” wchodzi na scenę i dalej, w krąg światła reflektorów.

Choć Rex wie, że dostanie nagrodę, czuje szybsze bicie serca i nie może się powstrzymać przed przeczesaniem włosów dłonią.

Kiedy kobieta podnosi do ust mikrofon, w całym lokalu zapada cisza, sięgająca prawie do foyer. Kobieta zaczyna mówić.

– Po raz dwudziesty czwarty spotykamy się na dorocznej gali Kucharz Kucharzy – przemawia, a jej oddech dudni w głośnikach. – Stu dziewiętnastu najwybitniejszych szwedzkich szefów kuchni wyłoniło zwycięzcę...

Podczas tego wystąpienia Rex przypomina sobie urodziny, w czasie których Sammy schował się pod stołem w kuchni i nie chciał wyjść, żeby otworzyć prezent. Veronica opowiadała później, że bardzo się

podekscytował odwiedzinami taty i to wszystko go przytłoczyło.

Publiczność z grzeczności reaguje śmiechem na żart kobiety na scenie.

Kilkukrotny zwycięzca Mathias Dahlgren siedzi w fotelu przy jednym ze stolików z przodu. Ma napięte mięśnie twarzy i zamknięte oczy.

Rex czuje, że kiedy dopija wodę mineralną i odstawia szklankę na ladę, jego dłoń się trzęsie.

Rozlega się trzask, kiedy kobieta łamie pieczęć. Na podłogę opadają czerwone drobinki, kobieta rozkłada kartkę, przechyla ją pod światło i podnosi wzrok na publiczność.

– Od tej chwili Kucharzem Kucharzy jest... Rex Müller!

Rozlegają się oklaski i radosne okrzyki. Ludzie się odwracają i szukają go wzrokiem. Rex rusza w kierunku sceny, przystaje i pospiesznie ściska dłoń Mathiasowi, potyka się na schodach, ale wchodzi na estradę.

Wysoka kobieta z „Restauranguärlden” mocno go ściska, a potem podaje mu mikrofon i dyplom w ramce.

Rex naciąga T-shirt pod marynarką, żeby nie wystawał mu brzuch. Flesze aparatów przecinają ciemność niczym macki meduz.

– Słyszać mnie? Okej, to dobrze... To dla mnie ogromne zaskoczenie – mówi Rex. – Bo tak naprawdę nie wiem prawie nic o jedzeniu, po prostu strzelam. Tak przynajmniej twierdził mój profesor ze szkoły restauracyjnej w Umeå...

– Miał rację! – krzyczy jego przyjaciel z Operakällaren.

– Kiedy zaś pracowałem w Les Cios des Cimes, szef Régis Marcon wpadł do kuchni i powiedział: „*Your services might be asked for at McDonald's... somewhere outside the borders of France*” – ciągnie ze śmiechem Rex, starając się naśladować francuski akcent.

Publiczność bije brawo.

– Kocham go – dodaje roześmiany. – Rozumieją więc państwo, że byłem zdziwiony tą nagrodą... Dziękuję wszystkim kochanym kolegom i obiecuję, że następnym razem będę głosował na was – a nie tylko na siebie.

Unosi dyplom i zaczyna schodzić po schodach, ale nagle przystaje

pośród oklasków i jeszcze raz zbliża mikrofon do ust:

– Pragnę tylko powiedzieć, że... chciałbym, żeby był tu dziś mój syn Sammy. Mógłbym wtedy powiedzieć przed wszystkimi, jak bardzo jestem dumny z tego, jakim jest człowiekiem.

Słysząc pojedyncze oklaski. Rex oddaje mikrofon kobiecie i schodzi ze sceny. Ludzie robią mu miejsce i klepią go po plecach, kiedy ich mija.

Przeciska się do wyjścia, przeprasza, dziękuje za gratulacje, ściska dłonie osobom, których nie zna, i idzie dalej.

Na zewnątrz jest chłodno, lekki deszcz pluska w kałużach. Rex spogląda na rząd limuzyn, myśli, że powinien iść do domu, ale zamiast tego rusza w kierunku Gamla stan.

Na moście Strömbron przerzuca dyplom przez barierkę, patrzy, jak płynie z prądem, i zdąża jeszcze się przestraszyć, że uderzy w łabędzia. Nagle jednak ramka przecina powierzchnię wody i znika w ciemnych odmętach.

Rex nie wie, jak długo spacerował w deszczu błyszczącymi od wody uliczkami, zanim dotarł do baru z rzędami kulistych latarni. Bar przypomina karuzelę pośród czarnych fasad. Rex przystaje na zewnątrz, kładzie dłoń na klamce, przez chwilę się waha, a potem wchodzi.

W barze jest ciepło i ciemno. Rex siada na krześle przy kontuarze, wita się z barmanem i sięga po kartę win.

– Gratulacje, Rex – mówi sam do siebie na widok swojego odbicia w lustrze za butelkami.

– Gratulacje – powtarza kobieta siedząca nieco dalej i unosi swoją szklankę z piwem na znak toastu.

– Dziękuję – odpowiada Rex i wkłada okulary do czytania.

– Siedzę pana na Instagramie – wyjaśnia kobieta, przesiadając się na krzesło obok niego.

Rex kiwa głową i się domyśla, że DJ zamieścił już informację na temat nagrody. Pochyla się do barmana i słyszy własny głos, zamawiający butelkę cios saint-jacques z 2013 roku.

– Poproszę dwa kieliszki.

Chowa okulary do kieszeni i przygląda się kobiecie, która rozpina sztuczne futro, sięgające jej do talii. Jest dużo młodsza od Rexa, jej ciemne włosy kręcą się od deszczu, a oczy są roześmiane.

Rex próbuje wina, nalewa i podaje jej jeden z kieliszków. Kobieta kładzie telefon obok szklanki i patrzy mu w oczy.

– Zdrowie – mówi Rex i pije.

Czuje smak w ustach i ciepło alkoholu, rozchodzące się od żołądka. Bierze kolejny łyk. To przyjemne, nie ma żadnego niebezpieczeństwa, myśli, kiedy ponownie napełnia kieliszek. Dostał tę przeklętą nagrodę i nigdy nie chce przestać pić.

– Jesteś dla mnie za szybki – śmieje się kobieta, która zdążyła tylko zamoczyć usta.

– Życie to impreza – mruczy Rex i wypija duży łyk.

Kobieta spuszcza wzrok, a on patrzy na jej słodką twarz, drżące rzęsy, usta i czubek brody.

Kiedy butelka jest już opróżniona, Rex wie, że kobieta ma na imię i Edith, ponad dwadzieścia lat mniej od niego i pracuje jako dziennikarka – wolny strzelec w dużej agencji prasowej.

Edith się śmieje, słysząc opowieści Rexa o jego wymuszonych spotkaniach AA. Oboje są jak żywe trupy przy stole, wyznające swoje grzechy, a jednocześnie myślące tylko o jednym.

– Naprawdę będziesz tu siedział? – pyta z powagą Edith.

– Jestem buntownikiem.

Kiedy druga butelka jest już pusta, mają za sobą opowieść Rexa o tym, że jego dorosły syn robi wszystko, żeby go unikać, i każdy wieczór spędza poza domem.

– Może on też jest buntownikiem? – podsuwa Edith.

– Jest po prostu bystry – odpowiada Rex i bierze do ręki jej kieliszek.

– To znaczy?

– Muszę iść do domu i się przespać – mamrocze Rex.

– Jest dopiero jedenasta. – Edith zlizuje drobne ślady czerwonego wina, które zostały w kącikach ust.

Leje deszcz, więc Rex dzwoni po taksówkę, staje w oknie i wygląda na uliczkę.

– Zostaniesz? – pyta, kiedy auto widać już na zewnątrz.

– Pojadę autobusem – odpowiada Edith.

– Możesz pojechać ze mną, jeśli wybierasz się w tę samą stronę.

– Mieszkam w Solnie, więc...

– W takim razie jeśli ze mną pojedziesz, będziesz prawie w domu – postanawia Rex.

– Okej, dzięki – mówi Edith i wychodzi razem z nim z baru.

Z głośników w taksówce dobiega coś w rodzaju powolnej muzyki kabaretowej, a wilgotne powietrze osadza się na szybach. Edith siedzi z rękami na kolanach, uśmiecha się lekko i wygląda przez przednią szybę, nad ramieniem kierowcy.

Rex opada na oparcie i myśli, jakie to żalosne z jego strony – wmawiał sobie, że Sammy zaczął go lubić, próbował to wyczytać z jego twarzy i tonu głosu.

Nigdy nie będą dobrze razem funkcjonowali, stanowczo na to za późno.

Samochód skręca w ciasną Luntmakargatan, zmniejsza prędkość i miękko hamuje.

– Dziękuję za dzisiejszy wieczór – mówi Rex i odpina pas bezpieczeństwa. – Teraz zafunduję sobie trochę snu dla urody.

– Obiecujesz? – pyta Edith.

– Jak najbardziej – odpowiada Rex i wyjmuje portfel z wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Myślałam tylko o tym, co powiedziałaś: że jesteś buntownikiem – dodaje Edith z uśmiechem.

– Starym buntownikiem – poprawia ją Rex zmęczonym głosem.

Rex przechyla się w bok i bierze do ręki czytnik pomiędzy przednimi fotelami. Edith odrobinę się odsuwa, ale dociera do niego jej ciepły zapach.

– Mam wejść z tobą na górę i dopilnować, żebyś się położył do łóżka?

59

Rex prowadzi Edith do oranżerii przed tarasem. Białe liście drzew oliwnych przyciskają się do okna w dachu, a łodygi groszku cukrowego oplątują mały marmurowy stolik.

Edith przez chwilę patrzy na miasto, a potem siada pośród roślinności w jednym z foteli z jagnięcej skóry. Rex nalewa jej czerwonego wina, a sobie whisky *single malt*. Rozsiada się w drugim fotelu, rozkoszuje odprężeniem po alkoholu i myśli, że może dłużej pospać. Pogrzeb ministra spraw zagranicznych zaplanowano na późniejszą godzinę, więc bez wątpienia można wypić jeszcze trochę.

– W tym kraju człowiek słyszy diagnozę, jeśli tylko jest choćby odrobinę męski. Wiesz... nie jestem ani anonimowy, ani uzależniony od alkoholu. Na spotkania chodzę tylko dlatego, że mój szef tego chce.

– Obiecuję, że nie wygadam. – Edith się uśmiecha.

– Kto jest twoim szefem? – pyta Rex.

– Asa Schartau... Pracuję dla niej od trzech lat, ale wywaliłaby mnie w sekundę, gdybym zakłęła.

– Gdybyś zakłęła? Dlaczego?

– Uważa, że to brzmi niegodnie. A właściwie sama nie wiem.

– Teraz możesz przeklinać – oznajmia Rex, ponownie napełniając swój kieliszek.

– Nie...

– Tak, kluj – upiera się Rex.

– No dobra. Straszna z niej pizda – mówi Edith i czerwieni się mocno.

– Nie, przepraszam, jestem niesprawiedliwa.

– Ale to było piękne, prawda? – pyta Rex.

– Niesprawiedliwe.

– Skoro tak mówisz, to na pewno tak jest – zgadza się Rex cicho.

– Lubię Asę. Może i nie ma zbyt wielkiego poczucia humoru, ale jest niewiarygodnie profesjonalna.

Przez głowę Rexa z hukiem przetaczają się myśli o Sammym. Już nie słyszy Edith. Zatrzymuje wzrok na szczycie starego obserwatorium, wznoszącego się na wydłużonym pagórku, który biegnie przez Sztokholm.

– Powinnam już chyba jechać do domu. – Edith patrzy na zegarek w telefonie.

– Zdasz spróbować przed odjazdem mojego musu czekoladowego? – pyta Rex i znowu napełnia sobie kieliszek.

– To brzmi groźnie. – Na twarzy Edith pojawia się krzywy uśmiech.

Rex wstaje, chwieje się na nogach i prowadzi ją do dużej kuchni. Wyjmuje mus z lodówki, stawia formę na białym stole i podaje jej łyżkę. Edith się pochyla, a on nie może się powstrzymać i patrzy na jej dekolt. Krawędź stanika jest przybrudzona od pudru, a ciężkie piersi napierają na siebie, kiedy ich właścicielka wkłada łyżkę do musu.

Założywszy okulary do czytania, Rex szuka *Concerto grosso* Corellego w telefonie połączonym z systemem wbudowanych głośników.

W chwili, kiedy muzyka barokowa wypełnia pokój swym równym pulsem, Rex czuje przeszywający zawrót głowy, wywołany alkoholem. Postanawia, że na imprezę Sammy'ego pojedzie taksówką i tak samo wróci.

– Jesteś dziennikarką. Czy słyszałaś coś na temat bójki w Axelsbergu? – pyta nagle.

– Nie – odpowiada Edith z pytającym wyrazem twarzy.

– Jakiś pijak wdał się tam w awanturę – dodaje Rex i dochodzi do wniosku, że za dużo gada.

– Dlaczego się tym interesujesz?

– Sam nie wiem... Mój kolega to widział, ale... nieważne.

Rex wyciąga butelkę pol rogera z chłodziarki do szampana i spostrzega, że to ekskluzywna edycja Winstona Churchilla.

– Powinnam już iść – mamrocze Edith.

– Zadzwoń po taksówkę?

Rex próbuje wsunąć okulary do kieszeni na piersi, ale nie trafia

i słyszy, jak się roztrzaskują o podłogę.

– Wsiądę do autobusu na Odenplan, nie ma problemu.

Rex otwiera butelkę, amortyzuje uderzenie, podstawia dwa kieliszki, zaczyna nalewać, czeka, aż sycząca piana opadnie, napełnia kieliszek do połowy i dostrzega jej pytające spojrzenie.

– Dziś wygrałem – oznajmia.

– Chcesz, żebym została?

Edith gładzi go po policzku, pomiędzy jej jasnymi brwiami pojawia się niewielka zmarszczka.

– Mam chłopaka – mówi szeptem i bierze do ręki kieliszek.

– Rozumiem.

Pija, Edith się nachyla, bardzo delikatnie całuje go w zamknięte usta i spogląda na niego z powagą.

– Nie musisz tego robić – odzywa się Rex i dolewa im do kieliszków.

Próbuje zobaczyć, która jest godzina, ale trudno mu skupić wzrok na zegarku.

– Lubię się całować – mówi cicho Edith.

– Ja też.

Rex dotyka jej policzka, zakłada jeden z loków za ucho, odwzajemnia uśmiech, nachyla się i dotyka ustami jej ust. Edith rozchyła wargi, a on czuje jej ciepły język. Gładzi jej pupę i plecy, kiedy się całują. Ona zaczyna go ciągnąć za pasek, ale nagle oboje nieruchomieją.

– Wcale nie poluję na sławnych ludzi, żeby ich zaciągnąć do łóżka.

– Ja też nie – odpowiada z uśmiechem Rex.

– Ale ciebie lubię.

– Na tym podobieństwa się kończą. Ja nie mogę powiedzieć, żebym lubił siebie. – Rex odwraca wzrok i dolewa szampana.

Kiedy piją, Edith poprawia ubranie, wyjmuje z torebki telefon, wybiera numer i przykłada aparat do prawego ucha.

– Cześć, Morris, to ja... Wiem, przepraszam, nie mogłam zadzwonić... Tak, a jak myślisz? Asa uważa, że nie mam życia... Właśnie zamierzałam to powiedzieć: jutro wcześniej rano muszę podskoczyć do redakcji, więc

przenocuję w jej pokoju gościnnym... Nie musisz się dąsać... Rozumiem, ale... Okej, cześć... Buziaki.

Nie patrzę na siebie, kiedy Edith kończy rozmowę. Ze spuszczoną głową wrzuca telefon z powrotem do torebki i ociągając się, podnosi kieliszek do ust.

Rex bierze butelkę, idzie do sypialni, zatacza się i uderza barkiem o futrynę. Z szyjki butelki wydobywa się piana, która wygląda jak mała chmura – opada mu na dłoń, a potem na podłogę.

Edith ma poważny wyraz twarzy, kiedy idzie za nim do sypialni. Nad ich głowami przez okno w dachu widać czarne niebo, a z nóg łóżka można mieć widok na cały Sztokholm, aż do białej okrągłości Globen.

Edith staje tuż przy Rexie, gładzi go po twarzy, przesuwa koniuszkiem palca w górę prostego nosa, do głębokiej blizny u jego nasady.

– Jesteś pijany? – pyta.

– To nic groźnego – odpowiada Rex.

Edith słyszy, że płacze mu się język.

Zaczyna rozpinąć sukienkę, a Rex odrzuca narzutę. Ruch sprawia, że alkohol nieoczekiwanie uderza mu do głowy, sprawia, że traci równowagę, jakby chodził po pokładzie płynącego statku.

Edith zarzuca sukienkę na fotel, odwraca się do Rexa plecami i ostrożnie zdejmuje rajstopy.

Rex z westchnieniem siada na brzegu łóżka, ściąga T-shirt i pije szampana prosto z butelki. Wie, że jest dość muskularny, ale za szeroki w pasie. Pasma włosów biegnie od piersi do pępka.

Edith zsuwa różowe majtki i składa je tak, żeby zakryć wkładkę higieniczną, kładzie je na krześle i przewiesza przez nie stanik. Na ramionach ma czerwone ślady po ramiączkach i jest pulchniejsza, niż mu się zdawało, kiedy była ubrana. Jej włosy łonowe mają kolor blond z tytoniowym odcieniem, na ciele prawie zupełnie brak znamion.

Rex wstaje, opuszcza spodnie i slipki, występuje z nich i próbuje rozciągnąć sflaczały penis, żeby nie wydawał się mały.

– Ci, którzy mnie zostawiają, zwykle potem żałują.

– Wierzę ci.

– To dobrze – mruczy Edith, a nad jej ustami pojawia się pełna srogości zmarszczka.

– Zimno mi w ręce. – Rex kładzie dłonie na jej biodrach.

Edith żartobliwie popycha go w stronę łóżka. Rex kładzie się na plecach, odsuwa przeszkadzającą mu poduszkę i na krótką chwilę zamyka zmęczone oczy. Pokój wiruje, jakby ktoś co jakiś czas szarpał prześcieradło, na którym się położył.

Z torebki Edith w kuchni dobiega przytłumiony dzwonek telefonu. Rex patrzy na oba kieliszki do szampana stojące na stoliku przy łóżku. Na jednym z nich widnieje różowy odcisk ust, a małe, ruchliwe bąbelki wyskakują ponad krawędź. Znów odchyła głowę do tyłu i przypomina sobie, że podczas rozdania nagród mówił o Sammym. Na suficie zauważa dwa jaśniejsze okręgi, które jakimś sposobem muszą być odbiciami kieliszków.

Orientuje się, że musiał przysnąć, kiedy czuje, jak jej niewiarygodnie miękkie wargi zaciskają się na jego penisie. Edith podnosi głowę, patrzy na niego niespokojnym wzrokiem, a potem kontynuuje.

W oknie dachowym Rex widzi odbicie łóżka i swojej postaci. Wygląda jak Jezus przed zawinięciem w całun. Nie wie, dlaczego za każdym razem, kiedy pije, znajduje się w tej samej sytuacji. Inscenizuje ją, a jednocześnie jest wobec niej bezbronny.

Edith siada na nim okrakiem, wkłada w siebie jego półtwardy członek i go całuje. On wykonuje ostrożne pchnięcia, żeby się z niej nie wysunąć. Edith patrzy mu w oczy i unosi jego prawą rękę do swojej piersi. On sztywnieje w środku, ona pochyla się do jego ust i dyszy.

– Twój telefon dzwonił – mówi ochryple Rex.

– Wiem.

– Nie chcesz zobaczyć, kto to?

– Nie mów tyle – odpowiada Edith z uśmiechem.

Jej drobne loki kleją się do czoła, szminka jest starta, a tusz spłynął pod oczy jak czarny cień.

Szybciej oddycha i opiera dłonie o jego klatkę piersiową, tak że spoczywa na nim prawie cały ciężar jej ciała. Wygina się do tyłu i wzdycha.

Rex ściska jej piersi i się w nie wpatruje. Ona sapie i porusza się coraz szybciej, jej uda zaczynają drżeć, zamyka oczy.

– Nie przestawaj – jęczy.

Rex czuje, że ma orgazm, nie zdąża z reakcją, wytryskuje do środka. Wie, że nie ma sensu wyciągać, już za późno, po prostu się temu poddaje. Czuje skurcze i powolne echo.

Edith ma zaczerwienione policzki, szyję i piersi. Otwiera oczy, posyła mu szeroki uśmiech i ostrożnie zaczyna znowu poruszać biodrami. Widać połyskującą strużkę potu, która spłynęła spod jej pachy w kierunku biodra.

60

Rex budzi się nagi w łóżku i wciąga powietrze w płuca, jakby leżał pod wodą. Serce wali mu z niepokoju, kiedy patrzy na zegarek i widzi, że jest wpół do trzeciej.

Edith nie ma.

Najwyraźniej się wymknęła, a on tego nie zauważył.

Pojękując, siada i próbuje znaleźć telefon, ale pokój wiruje tak mocno, że Rex nie może wyostrzyć wzroku. Wstaje, czuje ból rozsadzający mu głowę i natychmiast omal się nie przewraca. Musi się oprzeć o ścianę i zamknąć oczy, dopiero potem może szukać dalej. Komórka leży pod łóżkiem. Dziwne obrazy zaczynają krążyć mu w głowie, kiedy sięga po nią na czworakach. Wyobraża sobie kawałki mięsa powiązane nicią i krew sączącą się z nadziewanych jagnięcych łopatek. Wyświetlacz pokazuje dziewięć nieodebranych połączeń od Sammy'ego.

Rex czuje, że ogarnia go chłód niepokoju.

Próbuje zadzwonić, ale nie może się połączyć. Telefon syna jest wyłączony albo wyczerpała mu się bateria.

Zauważa, że Sammy nagrał trzy wiadomości. Kiedy próbuje je odtworzyć, trzęsą mu się ręce.

– Tato, możesz przyjechać wcześniej.

Słychać kliknięcie i rozmowa się urywa. Następna wiadomość została nagrana kilka godzin później, a Sammy ma o wiele bardziej zmęczony głos.

– Jest już wpół do drugiej. Jedziesz?

W słuchawce zapada cisza, a potem syn dodaje cicho:

– Nico się obraził, ignorował mnie cały wieczór, urwał się z dziewczyną, a ja zostałem z bandą debili.

Rex słyszy, jak syn wzdycha.

– Czekam na górce za domem.

Rex wstaje i słucha ostatniej wiadomości. Gdy tylko próbuje skupić

wzrok na ścianach, błyskawicznie się rozjeżdżają.

– Idę, tato. Mam nadzieję, że nic się nie stało.

Naciąga na siebie ubrania, które leżą na podłodze, obija się o ścianę i próbuje powstrzymać mdłości. Chwiejnym krokiem wychodzi do przedpokoju, znajduje na komodzie kluczyki DJ-a, wkłada buty i zbiega po schodach.

Wychodzi na zimne powietrze, rusza prosto w kierunku pojemników do segregacji śmieci i wymiotuje na zasypaną odpadkami ziemię, pomiędzy zielone kontenery. Dygocze, jakby miał dreszcze, znów wymiotuje, czując, jak przez gardło przechodzą mu bryły jedzenia z Operabaren.

Na niepewnych nogach idzie dalej do samochodu DJ-a, wsiada i zamyka drzwi. Wyjmuje karteczkę od Sammy'ego i wpisuje adres do nawigacji.

Jedzie w stronę Nykvarn, a resztki upojenia alkoholowego sprawiają, że świat wygina się elastycznie w różnych kierunkach. Ręce na kierownicy drżą, a pot spływa mu po plecach. Rex odmawia cichą modlitwę, żeby nic złego się nie stało.

Jeszcze raz próbuje zadzwonić do Sammy'ego, ale zjeżdża z pasa i słyszy klakson ciężarówki.

Fragmenty poprzedniego wieczoru wracają do niego jeden po drugim: jego picie i cierpliwość Edith do słabnącej erekcji.

Wieczór jest jak miasto wyłaniające się z morza: wieże kościelne i ratusz przecinają spienioną powierzchnię, woda spływa z dachów, wylewa się przez okna i drzwi, płynie po placach i uliczkach.

Rozstępuje się i oddziela błyszczące elementy nocy.

Szampan, który poplamił podłogę i pościel, dłoń Edith na jego głowie, kiedy ją wylizywał, westchnienia i spocone uda na policzkach, lampa, która się przewróciła i zgasła.

W którymś momencie tego wszystkiego zaczął się ubierać, żeby pojechać taksówką do Djursholm, i wtedy przypomniał sobie, że minister spraw zagranicznych nie żyje.

Potknął się o jej torebkę, postawił ją na miejscu i zobaczył, że pomiędzy portfelem a etui na szminkę leży nóż.

Znów zjeżdża z pasa, kiedy nagle mija go bezgłośnie karetka z obracającymi się niebieskimi światłami.

Wybiera most Saltsjö, bo most Södertälje jest wykrzywiony po czerwcowym wypadku ciężarówki. Sammy twierdzi jednak, że to UFO uszkodziło go tak poważnie, iż grozi zawaleniem.

Rex wzdryga się i zwalnia.

Za Södertälje ruch uliczny się zmniejsza, a autostrada jest prawie pusta.

Rex znów przyspiesza i mija spokojne jezioro, za którym jest tylko świerkowy las.

Spogląda na wyświetlacz nawigacji i widzi, że za pięć kilometrów czeka go zjazd na Nykvarn, a potem ma się kierować na leżące na uboczu Tubergslund.

Wyprzedza białego vana z przyczepioną taśmą płytą z kartonu zamiast tylnej szyby, włącza migacz i już ma wrócić na prawy pas, kiedy po drugiej stronie autostrady dostrzega szczupłą postać, próbującą złapać stopa.

Domyśla się, że to Sammy, reaguje odruchowo, skręca w prawo na pas awaryjny i hamuje tak ostro, że opony suną jeszcze kawałek po żwirowej nawierzchni.

Kierowca vana daje przeciągły sygnał klaksonem, kiedy go mija.

Rex wysiada z samochodu, nie zamykając drzwi, biegnie z powrotem wzdłuż drogi, czeka, aż minie go biały autobus i przecina dwa pasy. Idzie przez wysoką trawę oddzielającą dwie drogi i widzi szereg samochodów osobowych, mijających go z dużą prędkością. Szybko przebiega przez jezdnię i biegnie pasem awaryjnym w stronę Sammy'ego.

Ziemia się trzęsie pod wielkim tirem. Podmuch wiatru sprawia, że śmieci i pył z rowu wirują dookoła niego.

Rex próbuje biec szybciej, kiedy nieco dalej w świetle reflektorów

przejeżdżającego z hukiem pojazdu dostrzega Sammy'ego. Na kilka sekund oświetlona przez tira sylwetka chłopaka zyskuje czerwone kontury.

– Sammy! – krzyczy Rex, zatrzymuje się i dyszy. – Sammy!

Syn się odwraca, spostrzega go, ale mimo to wystawia kciuk do następnego nadjeżdżającego samochodu.

Rex, sapiąc, rusza naprzód, pot spływa mu po plecach, ale przystaje dopiero, kiedy jest już na miejscu.

– Bardzo cię przepraszam, zasnąłem...

– Liczyłem na ciebie. – Syn cały czas idzie naprzód.

– Sammy! – Rex próbuje go zatrzymać. – Nie wiem, co powiedzieć... Trudno mi się do tego przyznać, ale prawda jest taka, że jestem alkoholikiem... To choroba i wczoraj miałem nawrót.

Sammy w końcu się odwraca i na niego patrzy. Ma bladą twarz i wygląda na ogromnie zmęczonego.

– Jest mi wstyd – oznajmia Rex. – Okropnie wstyd, ale próbuję się uporać z tym problemem.

– Wiem, tato. To bardzo dobrze – odpowiada z powagą syn.

– Mama ci mówiła, że chodzę na spotkania AA?

– Tak.

– No pewnie – mamrocze Rex.

– Nie sądziłem, że chcesz o tym rozmawiać – mówi Sammy.

– Chcę tylko powiedzieć... że nie traktowałem tego poważnie, ale teraz zacznę. Wszyscy wiedzą, że to choroba...

– Tak.

– Z pewnością będę miał kolejne napady, ale teraz przynajmniej przyznałem, że mam problem i że wiem, że to dotknęło ciebie...

Jego głos się załamuje, a do oczu napływają mu gorące łzy. Przejeżdżające samochody co chwilę na krótko oświetlają twarz Sammy'ego.

– Pojedziemy do domu? – pyta Rex i zauważa niepewne spojrzenie syna. – Ja nie będę prowadził. Pojedziemy do Södertälje i stamtąd

weźmiemy taksówkę.

Ruszają razem, kiedy nagle po drugiej stronie przejeżdża radiowóz. Rex się obraca i widzi, że stanął na pasie awaryjnym, tuż za samochodem DJ-a.

61

Verner Sanden opada na oparcie krzesła i obserwuje Sagę Bauer stojącą przed jego wielkim biurkiem.

– Wiem, jak działa Säpo – oznajmia Saga i kładzie na stole broń i kartę dostępu.

– Ale przecież wcale nie zostałam zwolniona, po prostu jesteś na urlopie – mówi Verner.

– Nigdy nie pozwolę...

– Nie złość się teraz – przerywa Verner. – Nie mam na to siły. Wiesz, że nie mam siły.

– Nigdy nie pozwolę, żeby ten cholerny zabójca działał dalej, tylko dlatego że Säpo na tym zyska – kończy Saga.

– Właśnie dlatego płacimy za twoją podróż na Wyspy Kanaryjskie.

– Wolę już strzał w kark.

– Zachowujesz się dziecinnie.

– Mogę zaakceptować, że trzymamy się wersji o śmierci ministra z przyczyn naturalnych, ale nie pozwolę mordercy działać dalej, tak się nie da.

– Janus prowadzi postępowanie przygotowawcze.

– Mówił mi, że kazano mu się zająć logistyką związaną z pogrzebem.

– Ale potem będzie kontynuował od miejsca, w którym skończyliście.

– Nie brzmi mi to tak, jakbyście nadali tej sprawie cholernie wysoki priorytet.

Verner Sanden wysuwa kilka papierów przed sobą i splata ręce, żeby je uspokoić.

– Nie musisz się denerwować – oznajmia ostrożnie. – Myślę, że to będzie dla ciebie dobre, jeśli wyjedziesz. Nabierzesz trochę dystansu do...

– Nie denerwuję się. – Saga robi krok w jego stronę.

– Wiem, że jesteś rozczarowana akcją w marinie. Ale plus jest taki, że dzięki tej operacji zwiększono nam środki i teraz dużo lepiej możemy

zwalczać terrorystów.

– To miło.

– Już spływają do nas zlecenia: mamy opowiadać służbom innych krajów o naszych doświadczeniach.

– Teraz należycie do grupy dużych chłopców – mówi Saga z uśmiechem, a na czole ze zdenerwowania zaczynają jej występować czerwone kropki.

– Nie... a raczej tak, mieścimy się w ich planach – potwierdza Verner.

– Okej, ale ja muszę kontynuować pracę.

– W swoim komputerze miałaś informacje, które zagrażały tajemnicy służbowej dotyczącej operacji... To oznacza poważne przestępstwo przeciwko państwu demokratycznemu.

– Wiem, co to jest tajemnica służbowa – odpowiada Saga. – Minister spraw zagranicznych naprawdę nie żyje, prawda?

– Zmarł z przyczyn naturalnych – podkreśla Verner.

– Kto ma znaleźć zabójcę?

– Jakiego zabójcę? – pyta Verner, patrząc Sadze prosto w oczy.

– Absalon został rozpruty na oczach żony i dzieci przez tego samego...

– Przykro to słyszeć.

– Przez tego samego człowieka.

– Janus nie sądzi, żeby istniał związek między tymi sprawami. Dlatego zmniejszamy priorytet postępowania przygotowawczego.

– Muszę kontynuować – powtarza Saga podniesionym głosem.

– Okej, no to kontynuuj.

– Żadnego cholernego urlopu.

– Obejdzie się bez niego... ale będziesz pracowała z Janusem.

– I Jooną – dodaje Saga.

– Co?

– Obiecałaś Joonie warunkowe zwolnienie.

– Nie – odpowiada Verner, a przez jego twarz przebiega mimowolny uśmiech.

– Nie okłamuj mnie, do cholery – mówi Saga groźnym tonem.

– Jeśli nawiądziesz do materiału objętego tajemnicą służbową, muszę przypomnieć, że...

Saga przesuwa rękę po blacie biurka, tak że telefon i pliki raportów spadają na podłogę.

– Kontynuuję śledztwo z Jooną – cedzi.

– Dlaczego w ogóle o nim rozmawiamy?

– Nie wiem, jak Jooną to robi, ale zna się na mordercach. A wy wysłaliście go z powrotem do Kumli.

– Jesteśmy Säpo. Nie wolno ci nawiązywać żadnego kontaktu z Jooną Linną. To rozkaz, który...

Saga zrzuca na podłogę kubek kawy i gruby segregator.

– Dlaczego tak się zachowujesz? – pyta spokojnie Verner.

– Obiecałeś to Joonie. Obiecałeś mu, do cholery! – krzyczy Saga. Przewraca krzesło dla gości, zrywa kalendarz organizacji pomocy dzieciom Radda Barnen.

– Nie licz na żadną podróż – mówi Verner urażonym tonem.

– Pieprzyć pieprzone Kanary – odpowiada Saga i idzie do drzwi.

62

Kiedy DJ pomaga Sammy'emu z czarnym garniturem, Rex wchodzi do swojej sypialni i zamyka drzwi. Siada na łóżku, wyciąga telefon i dzwoni do matki Sammy'ego. Wzdycha i słuchając sygnałów, myśli o poranku. Obudził się koło dziesiątej – Sammy jeszcze spał. Ból rozsadzał mu czaszkę, kiedy szedł do kuchni, otwierał drzwi chłodziarki na wina i zaglądał do środka. Wybrał najdroższą butelkę – romanee-conti rocznik 1996, odkorkował, podszedł do zlewu i wylał zawartość. Patrzył, jak wirujący czerwony płyn znika w odpływie, a potem wyjął z chłodziarki kolejną butelkę.

– Halo?

W głosie Veroniki pobrzmiwa stres. W tle słuchać huk i pobrzękiwania, jakaś kobieta płacze i krzyczy zmęczonym głosem.

– Mówi Rex – odpowiada i odchrząkuje. – Przepraszam, jeśli ci przeszkadzam...

– O co chodzi? – pyta po prostu Veronica. – Co się stało?

– Wczoraj... – Rex czuje, jak oczy szczypią go od łez – ...wypiłem i...

– Sammy już dzwonił. Mówił, że jest dobrze. Że wczoraj trochę wypiłeś, ale nie było żadnego niebezpieczeństwa, wszystko w porządku.

– Co? – pyta szeptem Rex.

– Tak się cieszę, że Sammy jest zadowolony. Mówię ci, przechodzi teraz trudny okres.

– Veronico, to było... – zaczyna Rex i próbuje przełknąć gulę w gardle.

– Dobrze mi zrobiło spotkanie z Sammym. Chcę... mam nadzieję, że będę mógł to kontynuować.

– Później porozmawiamy – odpowiada krótko Veronica. – Teraz muszę tu pomóc.

Po wszystkim Rex siedzi z telefonem w dłoni i myśli, że Sammy jest znacznie dojrzały, niż mu się wydawało. Dzwoni do mamy i ją uspokaja, kłamie, że dobrze się czuje, bo nie chce, żeby rezygnowała

z marzeń, rzucała wszystko i wracała.

Piętnaście minut później Rex siedzi z Sammym na tylnym siedzeniu czarnego ubera i słyszy, jak DJ mówi kierowcy, że mogą się zatrzymać przy Regeringsgatan, bo ostatni odcinek do kościoła pokonają pieszo.

Kierowca chce skręcić, ale boczna ulica jest zablokowana przez betonowe słupki, a policjant z drogówki daje im znaki, żeby jechali dalej.

Ze względów bezpieczeństwa cały obszar wokół kościoła Świętego Jana został odgradzony.

Wśród gości na pogrzebie są członkowie szwedzkiego rządu, ministrowie spraw zagranicznych krajów nordyckich oraz ambasadorzy Niemiec, Francji, Hiszpanii i Wielkiej Brytanii. Głównym powodem dużej frekwencji jest jednak wicesekretarz obrony Stanów Zjednoczonych Teddy Johnson, przyjaciel ministra. Z powodu aktywnej roli, jaką Teddy Johnson odegrał w podjęciu przez administrację decyzji o inwazji na Irak, zagrażało mu znacznie większe niebezpieczeństwo niż zwykle.

– Sammy, nie wiem, czy zdążyłeś to zobaczyć, kiedy byłeś w domu, ale wylałem całe wino i resztę alkoholu.

– Słyszałem cię przez cały ranek – odpowiada syn cicho.

– To dziwne, ale wiem, że nie mogę sobie ufać – ciągnie Rex. – Wiesz, na spotkaniach gardzę alkoholikami, ale jestem po prostu jednym z nich... Trudno się do tego przyznać, ale jestem najgorszym ojcem na świecie i zasługuję na to, żebyś mnie nienawidził.

Atmosfera nadal jest ciężka, kiedy wysiadają z samochodu i zaczynają iść pod górę David Bagares gata. Każdy z nich ma na sobie czarny garnitur, białą koszulę i czarny krawat. Sammy włożył jednak do kieszonki na piersi czerwoną chusteczkę.

Pięciuset policjantów i funkcjonariuszy służb specjalnych zajmuje strategiczne pozycje wokół kościoła. Trasy autobusów zostały zmienione. Wszystkie kosze na śmieci zabrano, a pokrywy studzienek ściekowych zaspawano. Ruch powietrzny nad kościołem został

ograniczony do śmigłowców pogotowia ratunkowego i policji. Samochody i inne pojazdy usunięto, pobliskie budynki przeszukano, a cały ogrodzony obszar został sprawdzony przez psy wykrywające ładunki wybuchowe.

Kiedy Rex, DJ i Sammy docierają do kolejnej blokady, ściany są omiatane przez niebieskie światła. Przed barierkami stoi policyjna furgonetka, a funkcjonariusze z pistoletami maszynowymi wiszącymi przy biodrach zatrzymują ich, żeby porównać zaproszenia i dokumenty z listą gości.

– Wiem, że nie wszyscy mnie lubią, ale służby specjalne to już lekka przesada – żartuje Rex.

– Po prostu o pana dbamy – odpowiada z uśmiechem policjant i ich przepuszcza.

Długa kolejka żałobników otacza groby, zajmuje szerokie schody kościoła i ciągnie się do stanowiska kontroli bezpieczeństwa w kruchcie.

Rex idzie przez tłum razem z Sammym i DJ-em, kiedy nagle zatrzymuje go dziennikarz z popołudniowej gazety i prosi o krótki wywiad.

– Ile dla pana znaczył minister spraw zagranicznych? – pyta i kieruje w jego stronę duży mikrofon.

– Przyjaźniliśmy się od dawna – odpowiada Rex, odruchowo przeczesując ręką włosy. – Był fantastycznym człowiekiem... Był...

Jawne kłamstwo sprawia, że traci wątek. Nagle nie ma pojęcia, co powiedzieć, jak zakończyć zdanie. Dziennikarz patrzy na niego nic niemówiącym wzrokiem. Mikrofon drży, Rex zaczyna mówić, że zabrał na pogrzeb syna, ale w końcu urywa.

– Przepraszam – mówi. – Jestem trochę wytrącony z równowagi... To była wielka strata... Myślami jestem z jego rodziną.

Z obronnym gestem odwraca się, odczekuje kilka sekund i idzie dalej w kierunku kościoła, próbując odnaleźć DJ-a i Sammy'ego.

Dwóch ochroniarzy wchodzi po schodach za premierem i jego małżonką.

Szczeka pies, funkcjonariusze służb bezpieczeństwa odciągają na bok jednego z gości. Jest zdenerwowany, mówi po angielsku z wyraźnym akcentem i gestykuluje w kierunku czekającego towarzystwa.

Terkot śmigłowca odbija się echem pomiędzy fasadami. Ktoś pomaga starszemu mężczyźnie z chodzikiem wejść do kościoła.

– Tutaj! – woła DJ.

Sammy i DJ stoją w kolejce u podnóża schodów i do niego machają. Czarny kajał wokół oczu syna podkreśla bladość jego wrażliwej twarzy. Rex przeciska się w ich stronę i myśli, że Sammy wytrzymuje wszystko ze względu na mamę. Musi mu powiedzieć, że o tym wie.

– Gdzie ty byłeś? – pyta DJ.

– Rozmawiałem z dziennikarzem o moim starym przyjacielu – odpowiada Rex.

– To dlatego tu jesteśmy – mówi DJ z zadowoleniem.

– Wiem, ale...

Kobiecie stojącej wyżej wypada torebka i stacza się po stopniach. Szminki i pudełeczka z kosmetykami wpadają pomiędzy ludzi. Małe kieszonkowe lusterko się tłucze, odłamki się rozsypują.

Zbliżają się dwaj ochroniarze z nerwowymi spojrzeniami. Stado gołębi zatacza luk nad stojącymi w kolejce ludźmi.

Na stopniu schodów, tuż przed tym, jak podchodzą do kontroli, Rex zostaje odciągnięty na bok przez reportera telewizyjnych wiadomości. Stoi oświetlony na tle czerwonej cegły, przybiera poważną minę i mówi o przyjaźni z młodzieńczych lat, pełnej psot i żartów.

Wkracza do kruchty, kierowany gestami przechodzi przez bramkę bezpieczeństwa i mija rząd uzbrojonych po zęby ochroniarzy. Po wejściu do kościoła nie może znaleźć Sammy'ego i DJ-a.

Wszyscy zajmują miejsca – uderzenia o drewniane ławki odbijają się echem od wysokich ścian.

Rex wchodzi w nawę główną, ale nigdzie ich nie widzi. Najwyraźniej weszli wraz z tłumem na chór. Mężczyzna w czarnych rękawiczkach przepycha się koło niego i idzie dalej prosto.

Biała trumna z udrapowaną szwedzką flagą jest wystawiona przy ołtarzu.

Dzwony zaczynają bić. Rex musi szybko się wcisnąć do jednej z ławek, obok staruszki, która w pierwszej chwili wygląda na zdenerwowaną, ale potem go rozpoznaje i wręcza mu kartkę z programem.

Jasnowłosa kobieta o dziwnie czarnych oczach spotyka się z nim spojrzeniem i odwraca twarz. Przez chwilę siedzi z rękami wciśniętymi pomiędzy uda, a w końcu wstaje i wychodzi z kościoła.

Organy grają pierwszy psalm. Ludzie, szurając, wstają w ławkach. Rex się odwraca i próbuje wypatrzeć Sammy'ego. Procesja kroczy nawą główną, dziecięcy chór zajmuje miejsca na schodach chóru, a pastor podchodzi do mikrofonu.

Robi się hałas, kiedy wszyscy znów siadają, a potem pastor zaczyna mówić, że zgromadzili się tu, aby pożegnać ministra spraw zagranicznych i oddać go w ręce Boga.

Z przodu po prawej siedzi rodzina ministra, a rząd za nimi zajmują premier i Teddy Johnson.

Parę ławek przed sobą Rex dostrzega mężczyznę, który ma spocone policzki i wpycha torbę nogą pod siedzisko.

Chór zaczyna śpiewać, a Rex się odchyła, podnosi wzrok na sklepienie, zamyka oczy i słucha wysokich głosów.

Przytomnieje i ociera usta, kiedy pastor sypie ziemię na wieko trumny i wypowiada nieprzyjemne słowa: „Prochem jesteś i w proch się obrócisz”.

63

Łowca Królików stoi z opuszczonym wzrokiem, w zupełnym bezruchu, a winda wiezie go w górę. Znajduje się w północnym Kungstornet, daleko poza obszarem ogrodzonym przez policję.

Okreca skórzany pasek z podłużnymi uszami wokół głowy, zawiązuje go na karku i słucha szumu lin i rytmicznych zgrzytów, rozlegających się z każdym kolejnym piętrzem.

Na czternastym piętrze wysiada, mija mlecznobiałe szklane wejście do East Capital i idzie dalej po schodach, które okrążają szyb windy.

Nowy klucz nadal stawia lekki opór, kiedy otwiera drzwi Scope Capital Advisory AB, wyłącza alarm i rusza po żółtym dywanie przykrywającym granitową podłogę.

Na ladzie recepcji stoi wazon z tulipanami, kilka zwiniętych liści opadło na czarną płytę.

Łowca Królików pochyla się, chwytając róg żółtego dywanu i ciągnie go za sobą, mijając puste biura o szklanych ścianach.

Na każdą z czterech stron świata wychodzą duże lunetowe okna – półokręgi w kształcie zachodzącego słońca. Łowca ma u stóp cały Sztokholm.

Musi się spieszyć.

Wchodzi do sali spotkań z widokiem na północ, puszcza dywan i idzie dalej w kierunku zaokrąglonych okien.

Wybija dolną szybę ręką, nożem i szybko usuwa tylną część ostrza wszystkie odłamki z łukowatej ramy.

Wiatr zwiewa papiery z kredensu.

Łowca szybkim krokiem obchodzi stół konferencyjny i przesuwając go pod okno. Kiedy uderza o ścianę, białe płatki farby opadają na listwę.

Podnosi dywan i kładzie go na stole, wyrównuje i składa na pół, a następnie wyjmując z szafy swoją materiałową torbę. Szybkimi ruchami wyciąga z niej winchestera magnum kaliber 300 i rozkłada

kolbę.

Używa accuracy international – powtarzalnej broni snajperskiej z zamkiem czterotaktowym. Jest to karabin nowego typu z wygiętym magazynkiem, ulepszonym futerałem i krótszą lufą.

Montuje broń, kładzie się na brzuchu na złożonym dywanie i umieszcza wylot lufy przed otworem w szkłe – a to wszystko zajmuje mu nie więcej niż dwadzieścia sekund.

Nad dachami domów przy Malmskillnadsgatan widać jasnozielony miedziany dach kościoła Świętego Jana, wieżę wbitą w niebo jak sztylet i pasy kamiennych schodów.

Kiedy był tu wcześniej tego samego dnia, dalmierz wskazywał, że odległość do drzwi kościoła wynosi zaledwie trzysta dziewięćdziesiąt metrów.

Z gumy piankowej łowca zrobił sobie poduszkę pod policzek, dzięki której jego oczy są w idealnej pozycji względem lunety celowniczej. Zawsze używa nightforce, bo ma niewiarygodnie przejrzyste szkło. Nie trzeba jej ciągle kalibrować, a ostrość wystarczy ustawić z dokładnością do czterystu metrów.

Lufa jest wyposażona w tłumik redukujący huk i błysk. Nikt nie usłyszy, z którego miejsca padł strzał, ani nie zobaczy mrugnięcia światła.

Łowca Królików odgarnia z twarzy królicze uszy, przykłada prawe oko do lunety, mija kilka gałęzi i przygląda się złoconej literze omega nad drzwiami kościoła. Powoli zjeżdża w dół, widzi brązowoczną metalową klamkę i przypomina sobie bezdeszczowe lato, kiedy miał dziewięć lat.

Pamięta zdenerwowanie, jakie czuł, przemykając pomiędzy opuszczonymi szklarniami. Blade światło padało przez zakurzone i popękane szkło. Ostrożnie wyszedł na pożółkły trawnik, uniósł swojego małego remingtona long rifle, przycisnął kolbę do ramienia i położył palec na kabłąku.

Królik w kolorze ziemi wyprysnął i zniknął w cieniu pod krzakiem.

Łowca zrobił krok nad brudnym kartonem, ostrożnie okrążył zepsuty fotel wiklinowy, przystanął i odczekał trzydzieści sekund. Kiedy po raz kolejny się poruszył, królik zaczął biec. Łowca podążył za nim lufą, przeniósł palec na spust, wycelował w punkt tuż za głową i wystrzelił. Królik zadygotał, przewrócił się do przodu w kierunku, w którym biegł, i znieruchomiał. Szklane odłamki lśniły w trawie i odbijały białe niebo wokół podrygującej zwierzyny.

Drzwi do kościoła Świętego Jana zostały już otwarte. Uczestnicy pogrzebu wychodzą na zewnątrz razem z ochroniarzami.

Zawsze ma ogniskową trzydzieści dwa. Przez lunetę obserwuje dziewczynkę, która przystanęła na drugim stopniu schodów. Z pewnością ma nie więcej niż dwanaście lat. Powoli zjeżdża po jej szyi, widzi żyłą pulsującą pod cienką skórą i naszyjnik przyjaźni, który trochę się przekrzywił.

Tuż za drzwiami stoi pastor, gotowy zamienić kilka słów z tymi, którzy mają na to ochotę. Premier pojawia się w drzwiach w towarzystwie małżonki i ochroniarzy. Łowca Królików przesuwając lunetę, tak że prawe oko premiera znajduje się pośrodku celownika.

Stado gołębi wzbija się w powietrze, kiedy czterech ubranych na czarno policjantów podchodzi do kościoła. Cień ptaków pędzi po ziemi w kierunku schodów.

Teddy Johnson wychodzi pomiędzy dwoma amerykańskimi agentami ochrony, przystaje i wita się z wdową i jej dziećmi.

Przez lunetę Łowca Królików dostrzega ślady egzemy pod rzadkimi włosami Johnsona i kroplę potu, która spływa mu wzdłuż linii brody. Polityk podsuwa okulary na nosie, wypowiada jakieś słowa pocieszenia i schodzi po schodach.

Nie tracąc linii strzału, Łowca Królików bierze do ręki telefon na kartę, wysyła wiadomość tekstową, a potem kładzie palec z powrotem na kabłąku.

Obserwuje Teddy'ego Johnsona. Ten wyczuwa wibracje, wyjmując swojego prywatnego iPhone'a z wewnętrznej kieszeni, podnosi okulary

i patrzy na wyświetlacz.

Ten little rabbits, all dressed in white

Tried to go to Heaven on the end of a kite

Kite string got broken, down they all fell

Instead of going to Heaven, they went to...

Łowca Królików wie, że do pewnego stopnia musi brać pod uwagę wzniesienie, ale wiatr jest tak słaby, że nie będzie miał żadnego wpływu na pocisk. Dystans jest zaś stanowczo za krótki, aby trzeba było się przejmować efektem Coriolisa, wynikającym z ruchu obrotowego Ziemi.

64

Łowca Królików wie, że opór języka spustowego w jego broni wynosi nieco ponad kilogram. Przeszkoda jest tak słaba, że prawie nie istnieje.

W jednej chwili nic się nie dzieje, a zaraz potem jest już po wszystkim.

To nie jest zaskoczenie, ale w tym, co robi, brakuje konkretnej granicy. Patrzy, jak ubrani na czarno policjanci z bronią rozmawiają przez urządzenia systemu TETRA. Wilczur dyszy i kładzie się na żwirowej ścieżce pomiędzy nagrobkami.

Teddy Johnson się rozgląda, wkłada telefon z powrotem do wewnętrznej kieszeni i zapina najwyższy guzik marynarki.

Skrzyżowanie cienkich linii celownika spoczywa nieruchomo na jego opalonym karku i ostrożnie opada do krzyża. Łowca ma zamiar w kilka sekund przestrzelić kręgosłup Teddy'ego Johnsona tuż nad miednicą.

Jedna z gałęzi się porusza i przecina linię strzału. Łowca odczekuje trzy uderzenia serca i kładzie palec na spuście.

Ostrożnie przyciska do wewnątrz, czuje uderzenie w ramię i widzi, jak Teddy Johnson upada na ziemię.

Krew bryzga na schody.

Ochroniarze wyciągają broń i próbują zrozumieć, z której strony padł strzał i czy w pobliżu jest jakieś bezpieczne miejsce, gdzie można się schować.

Łowca Królików oddycha spokojnie, na chwilę miga mu twarz postrzelonego, jego przerażone rysy. Zupełnie stracił panowanie nad dolną połową ciała, oddycha ciężko.

Ochroniarze próbują go osłonić, stanąć na drodze kolejnych pocisków, ale nie wiedzą, gdzie jest snajper.

Celownik zjeżdża po prawym ramieniu Johnsona. Łowca naciska spust, ręka zostaje rozerwana i zmienia się w postrzępioną krwawą miazgę.

Ochroniarze ciągną Teddy'ego Johnsona na drugi koniec schodów. Na

kamieniu pozostaje ciemnoczerwony ślad.

Ludzie potykają się spanikowani i uciekają z krzykiem. Schody pustoszeją, widok przywodzi na myśl falę, która obmywa wybrzeże, a następnie się cofa.

Amerykański polityk leży, wijąc się z bólu i strachu przed śmiercią. Łowca Królików pozwoli mu żyć dziewiętnaście minut.

Czeka i gładzi palcami królicze ucho. Czuje, jak delikatna tkanka się ugina, przyciska miękkie futro do policzka.

Cały czas trzymając ofiarę na celowniku, zmienia magazynek, ładuje cięższą amunicję z miękkim wierzchołkiem i nadal obserwuje cierpienie Teddy'ego Johnsona, jego przedłużający się lęk przed śmiercią.

Pierwsza karetka już wjeżdża w Döbelnsgatan.

Policjanci próbują zorganizować polowanie na snajpera, ale nadal nie mają pojęcia, skąd padły strzały. Ktoś obserwuje wygląd plamy po pierwszym strzale i wskazuje w jego kierunku – na dach pobliskiej remizy strażackiej.

Trzy policyjne śmigłowce krążą nad kościołem i okolicą.

Sanitariusze są przy Teddym Johnsonie, próbują z nim rozmawiać, potem układają go na noszach, zapinają pasy czteropunktowe i wysuwają podstawę.

Łowca Królików znów patrzy na zegarek. Zostały jeszcze cztery minuty. Musi opóźnić odjazd ekipy ratunkowej.

Spokojnie odwraca broń w kierunku schodów liceum francuskiego, przenosi celownik z przerażonego mężczyzny o pulchnych policzkach na kobietę w średnim wieku z deprymującą fryzurą i legitymacją prasową na szyi.

Strzela jej tylko w kostkę, ale ciężka amunicja ma taką siłę rażenia, że urywa stopę, która zsuwa się po schodach na chodnik. Kobieta upada do przodu i się przewraca na bok.

Karetki cofają, a ludzie w panice uciekają od niej skuleni pomiędzy nagrobkami. Stary mężczyzna zwała się na pylistą żwirową ścieżkę i uderza się w twarz, ale nikt nie przystaje, żeby mu pomóc.

Agenci Säpo usilnie próbują zrozumieć, co się stało. Próbują uratować amerykańskiego polityka i wskazują lekarzom drugi kierunek. Kolejna karetka skręca w Johannesgatan i zatrzymuje się przed dawną szkołą dla dziewcząt.

Łowca Królików oddycha głęboko i spogląda na zegarek.

Jeszcze czterdzieści sekund.

Twarz Teddy'ego Johnsona jest spocona i blada. Na ustach i nosie polityk ma maskę tlenową, mruga szybko, spanikowany.

Sanitariusze wiozą go żwirową ścieżką w stronę Johannesgatan. Celownik podąża jego śladem, drży mu nad uchem.

Łowca Królików kładzie palec na spuście, a w tym samym czasie koło noszy wjeżdża w dziurę i twarz ucieka w dół.

Wyprowadzają nosze na chodnik, a Łowca Królików znów bierze na celownik ucho Teddy'ego Johnsona. Naciska spust i czuje uderzenie w ramię, kiedy działa siła odrzutu.

Głowa eksploduje, a resztki chlapią na ulicę. Sanitariusze idą jeszcze kawałek z noszami, a potem się zatrzymują i patrzą na jednego z najważniejszych amerykańskich polityków. Maskę tlenową wisi na rurce przy noszach, a zamiast twarzy widać tylko małą wklęsłą część tyłu głowy.

65

Opuszczenie cmentarza zajęło Rexowi aż trzy godziny. Policja wypuszczała ludzi pojedynczo na Döbelnsgatan przez ogrodzenie utworzone z barier. Przeprowadzano dokładną identyfikację każdego, zbierano krótkie zeznania i przekazywano informacje o grupach wsparcia.

Wśród dziennikarzy zebranych przy ogrodzeniu dostrzegł Edith i bezskutecznie próbował pochwycić jej spojrzenie.

Nikt najwyraźniej nie wie, co się stało, a policjanci nie udzielają odpowiedzi.

Wysoko postawieni politycy opuścili cmentarz razem z krewnymi zmarłego, przed całą resztą. Rex nadal tłoczył się w nawie głównej, kiedy usłyszał podniecone krzyki i zobaczył w ciemnej kruchcie ruch wstecz. Ludzie napływali z powrotem do kościoła.

Po czterdziestu minutach do środka weszli policjanci i oznajmili, że mają wszystko pod kontrolą.

Strażacy zmyli krew z szerokich schodów kościoła. Wszędzie chodzili ludzie z policzkami mokrymi od łez, szukając krewnych.

Rexowi udało się połączyć z Sammym i DJ-em. Postanowili, że spotkają się u niego w domu i spróbują zrozumieć całe wydarzenie. Krążyła pogłoska o akcji terrorystów, a w wiadomościach mówiono o wielkim zamachu z niewiadomą liczbą ofiar.

Rex wyjmuje blachę z bułeczkami *scones* i nalewa parującą herbatę. Dwaj towarzysze siedzą przy stole w kuchni i szukają informacji w internecie.

– Tak, wygląda na to, że zabili tego amerykańskiego polityka – oznajmia Sammy.

– Co za chaos – wzdycha DJ i stawia maselnickę obok talerzyków i filiżanek.

– To jakieś cholerne szaleństwo – stwierdza Rex.

– Próbowałem się wydostać tą samą drogą, którą przybyliśmy – mówi Sammy. – David Bagares gata, ale była zamknięta.

– Wiem – odpowiada DJ. – Chciałem pójść schodami przy Drottninghuset.

– Gdzie siedzieliście? – pyta Rex, podchodząc do nich z ciepłymi wypiekami.

– Obaj wylądowaliśmy na chórze.

– Ja siedziałem tuż przy nawie głównej.

– Widzieliśmy cię, tato, cały czas siedziałeś tak. – Sammy zamyka oczy i otwiera usta.

– Rozkoszowałem się muzyką – próbuje oponować Rex.

– W takim razie na pewno zauważyłeś nasze małe papierowe kuleczki... Siedzieliśmy po obu stronach i urządziliśmy zawody, który z nas trafi ci do ust.

– Naprawdę?

– Myślę, że wygrałem – mówi z uśmiechem Sammy i przeczesuje włosy dokładnie tak samo jak Rex.

Plaster na ramieniu Sammy'ego luźno zwisa. Rex dostrzega rząd śladów po papierosach.

DJ podaje telefon, a Rex ogląda opaloną na solarium twarz Teddy'ego Johnsona, jego nieco zbyt pulchne ciało i arogancki błysk w jasnoniebieskich oczach.

– Już ustalono, że nic nie wskazuje na powiązania z organizacjami terrorystycznymi – stwierdza Sammy.

– Ale ujęli sprawcę? – pyta DJ.

– Nie wiem, nie podali...

– Co to się dzieje tego lata – sapie ciężko Rex. – Jest tak, jakby cały świat miał ulec zagładzie. Orlando, Monachium, Nicea...

Milknie, kiedy rozlega się dzwonek do drzwi. Rex mruczy, że nie ma już siły na żadnych dziennikarzy, i opuszcza kuchnię. Schodzi po schodach, znów słyszy uderzenia zegara, idzie dalej do drzwi i otwiera.

Na klatce schodowej stoi mężczyzna o rudych włosach średniej

długości i spoconej twarzy. Ma na sobie przyciasną skórzaną kurtkę z epoletami i szeroki pasek.

– Cześć – mówi z szerokim uśmiechem. Zmarszczki mimiczne w kącikach jego oczu się pogłębiają.

– Cześć – odpowiada Rex z pytaniem w głosie.

– Janus Mickelsen, Säpo. – Mężczyzna podaje legitymację. – Masz chwilę?

– O co chodzi?

– Dobre pytanie – odpowiada z uśmiechem tamten i patrzy ponad ramieniem Rexa.

– Już mnie wcześniej odwiedziliście.

– Tak, zgadza się, to była komisarz Bauer... Współpracuję z nią – wyjaśnia i odgarnia z twarzy kosmyki włosów.

– Okej.

– Naprawdę lubiłeś ministra spraw zagranicznych – mówi mężczyzna z taką poufałością w głosie, że Rexowi przechodzi dreszcz po plecach.

– W sensie politycznym?

– Nie.

– Byliśmy starymi przyjaciółmi – mówi Rex z rezerwą.

– Jego żona twierdzi, że nigdy cię nie spotkała.

– Najwyraźniej nie wywarłem na niej zbyt wielkiego wrażenia – odpowiada Rex, uśmiechając się sztywno.

Janus nie odwzajemnia uśmiechu. Wchodzi do przedpokoju i zamyka za sobą drzwi, rozgląda się po ścianach na dole i potem znów patrzy z zaciekawieniem na Rexa.

– Znasz kogoś, kto lubiłby ministra mniej niż ty?

– Pytasz, czy miał wrogów?

Janus kiwa głową i ociera pot z piegowatego czoła.

– Podczas naszych spotkań najczęściej wymienialiśmy wspomnienia z dawnych lat – odpowiada Rex.

– Radosne wspomnienia – mruczy Janus i zapina guzik rozporka. – Tak... Mogę ci zaproponować ochronę świadków... Mogę osobiście

zapewnić najwyższy możliwy poziom.

– Dlaczego miałbym dostać ochronę?

– Chodzi mi jedynie o sytuację, w której bałbyś się coś powiedzieć ze strachu przed nieprzyjemnościami – wyjaśnia Janus ściszym głosem.

– Czy grozi mi jakieś niebezpieczeństwo? – pyta Rex.

– Mam nadzieję, że nie. Uwielbiam to, co robisz w telewizji – odpowiada Janus. – Mówię tylko, że pomagam tym, którzy pomagają mnie.

– Niestety nie mam nic do powiedzenia.

Janus się cofa, trochę ironicznie, jakby wątpił w jego słowa albo był ogromnie zdziwiony.

– Czuję od ciebie energię, podoba mi się, ale jest w niej lekka blokada

– oznajmia i rzuca Rexowi spojrzenie spod przymrużonych powiek.

– Może i tak.

– Żartowałem... Nie mogę się powstrzymać, wszyscy i tak uważają, że wyglądam jak hipis.

– *Peace* – mówi Rex z krzywym uśmiechem.

– Czy to Chagall? – pyta Janus i wskazuje litografię. – Fantastyczne... Anioł, który spada na ziemię.

– Tak.

– Mówiłeś mojej koleżance, że kilka tygodni temu piliście z ministrem kawę.

– Tak.

– Jaki to był dokładnie dzień?

– Nie pamiętam – odpowiada Rex.

– Ale pamiętasz, w której kawiarni byliście?

– W Vetekatten.

– Na kawie i ciastku?

– Tak.

– Cholera, to świetnie! To znaczy... powinni was pamiętać. Rex i minister spraw zagranicznych wcinający u nich ciastka – stwierdza z uśmiechem Janus.

– Przepraszam, ale może pomówilibyśmy o tym później... Dopiero wróciliśmy z pogrzebu i...

– Właśnie miałem o to pytać.

– Tak, ale muszę się zająć synem, jesteśmy wstrząśnięci...

– Rozumiem, oczywiście. – Janus podnosi dłoń do ust. – Jednak chętnie bym porozmawiał również z nim w jakiejś dogodnej chwili.

– Zadzwoń, to konkretnie się umówimy – odpowiada Rex, otwierając drzwi.

– Masz samochód?

– Nie.

– Bez samochodu – powtarza Janus z namysłem, a następnie opuszcza przedpokój i schodzi po schodach.

66

Joona spędza godziny w ciasnej celi bez kontaktu ze światem. Przez resztę wieczoru ćwiczy i przypomina sobie słowa holenderskiego podporucznika o tym, że odwaga i strach to kwestia strategicznego podziału sił oraz że najlepszą broń trzeba zawsze chować najgłębiej.

Joona śpi niespokojnie i wczesnie się budzi. Przemywa twarz i zaczyna analizować sprawę w myślach. Przygląda się każdemu zapamiętanemu szczegółowi; przesuwając po kawałeczku perspektywę i zataczając pełny krąg jak kółko zębate zegarka, rozważa wszystko i jest coraz pewniejszy swojej teorii.

Deszcz spada na szybę z szarego, zamkniętego nieba. Czas nieubłagane przenika ściany i ciała.

Jest już popołudnie, kiedy dwaj strażnicy pukają do drzwi Joony, otwierają i proszą, żeby z nimi poszedł.

– Muszę skorzystać z telefonu, choć pewnie jest za późno – oznajmia Joona.

Nie odpowiadają, po prostu idą z nim tunelem. Jak odbicie samego siebie sprzed kilku dni jest prowadzony na spotkanie, choć wcale się o to nie ubiegał. Tym razem idzie ze strażnikami do tak zwanego pokoju adwokackiego, za zwykłymi pokojami widzeń.

Strażnicy wprowadzają go i zamykają za nim drzwi.

Mężczyzna z twarzą ukrytą w dłoniach siedzi przy biurku przedzielonym na środku przez wysoki na trzydzieści centymetrów ekran. Za kratą w oknie widać drzewo na tle wysokiego muru. Na jednej ze ścian wisi czarno-białe zdjęcie Paryża. Wieża Eiffla jest pociągnięta złotożółtym kolorem.

– Absalon Ratjen nie żyje? – pyta Joona.

Carlos Eliasson odchyła się na oparcie i bierze głęboki wdech. Jego twarz pozostaje w cieniu, a w przyjaznych zwykle oczach lśni pełen niepokoju mrok.

– Chcę tylko powiedzieć, że potraktowałem twoje słowa poważnie i wysłałem tam dwie jednostki.

– Został zastrzelony? – Jooną siada na krześle naprzeciwko szefa.

– Pchnięty nożem – odpowiada Carlos stłumionym głosem.

– Najpierw w tułów... Potwornie krwawił, ale mimo silnego bólu zachował przytomność... A w końcu, piętnaście minut później, został stracony poprzez... cięcie w szyję – kończy szeptem z widocznym zdumieniem.

– Nie rozumiem, jak się tego dowiedziałeś, będąc w izolacji, ale...

– A ponieważ nie przejrzeście planu zabójcy – wchodzi mu w słowo Jooną – nie mogliście przewidzieć, że minister spraw zagranicznych był pierwszą ofiarą, bo zabójca potrzebował dużego pogrzebu do zwabienia kolejnej.

Carlos robi się czerwony na twarzy, wstaje i poluźnia muszkę.

– Wicesekretarz obrony Stanów Zjednoczonych – mamrocze.

– I kto miał rację? – pyta Jooną.

Carlos wyjmując chusteczkę z kieszeni spodni i wyciera głowę.

– Miałeś rację – oznajmia z rezygnacją.

– A kto się mylił?

– Ja... Zrobiłem, co kazałeś, ale nie sądziłem, że masz rację – przyznaje Carlos i siada z powrotem.

– Mamy do czynienia z inteligentnym szalonym mordercą, pierwszorzędnym wyszkolonym w wojsku... On zaś ma na liście jeszcze siedem ofiar.

– Siedem... – szepcze Carlos, patrząc na Joonę.

– Do zabijania pcha go silna osobista motywacja. Motyw, który w jakiś sposób wypacza jego rozumienie rzeczywistości.

– Mam propozycję – mówi ostrożnie Carlos i wyciąga skórzaną teczkę.

– Słucham – odpowiada miękko Jooną, tak samo jak kilka dni wcześniej, kiedy odwiedził go premier.

– To postanowienie z podpisem – oznajmia Carlos, pokazując mu kartkę. – Reszta twojej kary zostaje zamieniona na prace społeczne na

policii... ze skutkiem natychmiastowym, jeśli się zgadzasz na warunki.

Joona wpatruje się w niego spokojnie i nie odpowiada.

– I gwarantuję... że po tej pracy społecznej zostaniesz przywrócony na wcześniejsze stanowisko. – Carlos stuka w teczkę.

Joona zachowuje kamienną twarz.

– To samo wynagrodzenie co poprzednio... Możesz dostać wyższe, jeśli to dla ciebie ważne.

– Mogę dostać z powrotem swój pokój? – pyta w końcu Joona.

– Wiele się zmieniło, odkąd tu trafiłeś. – Carlos zaczyna wiercić się na krześle. – Jak wiesz, nie jesteśmy już Krajową Policją Kryminalną...

Teraz nazywamy się NWO – Narodowy Wydział Operacyjny. Krajowe Laboratorium Techniki Kryminalistycznej to teraz Narodowe Centrum Kryminalistyczne, a...

– Chcę dostać z powrotem swój pokój – przerywa Joona. – Chcę mieć swój dawny pokój obok Anji.

– Wiem, ale to niemożliwe, przynajmniej na razie. Jest za wcześnie, współpraca w korytarzu nie będzie się układała. Przecież masz wyrok.

– Rozumiem.

– Nie smuć się – mówi Carlos. – Dysponujemy ładnym lokalem przy Torsgatan jedenaście... Wiem, że to nie to samo, ale obok znajduje się mieszkanie, w którym będziesz mógł nocować, i... Masz tu wszystko na piśmie, zapoznaj się z umową i...

– Ufam ludziom – mówi Joona, nie dotykając kartki.

– To oznacza zgodę? Przecież chcesz wrócić, prawda?

– Dla mnie to nie zabawa – odpowiada z powagą Joona. – Każdego dnia wzrasta prawdopodobieństwo, że zginą kolejne osoby.

– Jedziemy od razu – oznajmia Carlos i wstaje z krzesła.

– Potrzebuję mojego colta combata – mówi Joona.

– Jest w samochodzie.

67

Joona Linna ma do dyspozycji biuro o powierzchni czterystu metrów kwadratowych, mieszczące się w wąskim budynku ze szkła i stali. Budynek stoi jak klin pomiędzy Torsgatan a torowiskiem dworca Sztokholm Główny.

Pomieszczenia, które wcześniej należały do Collector Banku, wyglądają na opróżnione w pośpiechu. Zostały dwa ergonomiczne fotele, na wpół rozmontowane biurko, zakurzone kable i podeptane broszury.

Pierwszego wieczoru w małej kuchni dla personelu Joona przygotowuje prostą potrawę z makaronu, bierze sobie kieliszek wina, siada na biurowym krześle w ciemnej sali konferencyjnej i zaczyna jeść. Przez duże brudne okna widzi plątaninę zardzewiałych torów i pociągi dojeżdżające do stacji.

Informacje w mediach dotyczą wyłącznie morderstwa wicesekretarza obrony Stanów Zjednoczonych. Żaden sprawca nie został zatrzymany. Mówi się, że dla policji to większy skandal niż morderstwo Olofa Palmego. FBI wysyła własnych ekspertów, a relacje pomiędzy krajami stały się bardziej napięte.

Rzecznik prasowy Sjöpo powtarza, że zwracano baczną uwagę na wszystkie znane zagrożenia, że na każdym poziomie dochowywano surowych międzynarodowych standardów.

Joona czyta raport z sekcji zwłok Absalona Ratjena, zamordowanego na oczach żony i dzieci, odstawia talerz na komodę i zaczyna myśleć o szynach i nieubłaganych rozjazdach.

Kiedyś był żonaty i miał małe dziecko, a potem zaczęła się samotność.

Wspomnienia przelatują mu przez głowę: tata, mama, Summa, Lumi, Disa i Valeria.

Wieczorem kładzie się w recepcji, na sofie z pokryciem wyblakłym od słońca. Śniąc, w pewnym momencie słyszy tuż przy uchu śmiech

Summy. Odwraca się i ją widzi – jest boso, niebo za jej plecami płonie, ma na głowie wianek spleciony z czerwonych korzeni.

Już o ósmej rano dociera przesyłka z NWO – komputery, drukarki, kserokopiarka i cały materiał z postępowania przygotowawczego, popakowany w kartony.

Teraz Joona może zacząć pracować na poważnie.

Wie, że żadne z trzech zabójstw nie zostało popełnione przez terrorystów, lecz przez jednego i tego samego szalonego mordercę. Zdaje sobie sprawę, że ściga zabójcę, który opracował plan i z całą pewnością wkrótce zabije znowu.

Na dużej ścianie Joona przypina fotografie trzech ofiar, a następnie rysuje skomplikowaną sieć powiązań rodzinnych, przyjacielskich i koleżeńskich. Na przeciwległej ścianie wytycza linie czasu, które obejmują dorastanie, wykształcenie i karierę.

W dużej sali, w której Collector Bank zapewne urządzał spotkania zarządu, pokrywa ściany fotografiami z miejsc zbrodni: są tam zdjęcia ogólne, zbliżenia na szczegóły, szkice i obszerna dokumentacja dotycząca sekcji zwłok Absalona Ratjena.

Na podłodze w przedpokoju tworzy ścieżkę prowadzącą do kuchni, złożoną z protokołów spisanych przez koronerów i techników kryminalistyki, a potem układa w rzędzie protokoły przesłuchań krewnych, przyjaciół i kolegów.

W biurze układa na podłodze stos wydruków ze wskazówkami od obywateli i trzy maile od dziennikarki proszącej o profil psychologiczny mordercy Absalona Ratjena i snajpera z Kungstornet.

Joona wyjmuje z kieszeni brzęczący telefon i widzi, że dzwoni ktoś z Wydziału Medycyny Sądowej Instytutu Karolinska.

– Czy to legalne? – pyta nosowym głosem Nälen.

– Ale co? – odpowiada z uśmiechem Joona.

– To znaczy... Czy znów jesteś zatrudniony jako policjant, czy prowadzisz postępowanie przygotowawcze, czy masz uprawnienia do...

– Tak myślę – przerywa Joona.

– Tak myślisz?

– W tej chwili na to wygląda.

– W każdym razie chcę odpowiedzieć na twoje pytanie anonimowo – oznajmia Nälen i odchrząkuje. – Absalon Ratjen krwawił dziewiętnaście minut, zanim umarł... Dokładnie tyle samo żył Teddy Johnson pomiędzy pierwszym strzałem a tym końcowym... Może uznałbym to za zbieg okoliczności, gdyby ktoś inny zadał takie pytanie, a nie ty.

– Dzięki za pomoc, Nälen.

– Jestem anonimem – poprawia i kończy rozmowę.

Joona patrzy na ścianę ze zdjęciami i przypomina sobie, że na podstawie ilości krwi i wyglądu plam w kuchni ministra obstawiał, że pomiędzy pierwszym a śmiertelnym strzałem minęło więcej niż piętnaście minut.

Teraz wie, że było to dokładnie dziewiętnaście minut.

Jest pewien, że istnieje coś, co łączy trzy ofiary.

To połączenie będzie jak klucz otwierający zamek.

Nie są wybrani losowo.

Między Williamem Fockiem a Teddym Johnsonem jest wręcz za dużo powiązań, sięgają aż do wieku nastoletniego w szkole Ludviksberg. Ratjen z kolei wydaje się całkiem od nich odizolowany.

Wiódł zupełnie inne życie.

Gdzieś pośród obszernego materiału jest wielki punkt, który przecinają wszyscy trzej.

Wycinek z „Orlando Sentinel” ukazuje zdjęcie ministra spraw zagranicznych i Teddy’ego Johnsona, kiedy był gubernatorem Florydy. Za nimi widać skaczącą orkę.

Życie Ratjena potoczyło się inną drogą.

Joona nie potrafi powiązać go z pozostałymi, a mimo to jest pewien, że istnieje coś, co łączy ich wszystkich.

Drzwi windy przy recepcji się otwierają i słychać lekkie stukanie w szkło dyspozytorni.

Saga Bauer wchodzi i z uśmiechem podaje mu chich i sól.

– Ładnie ci tu urządzili – mówi żartem.

– Jest trochę przestronniej niż w pokoju w Kumli.

Saga ostrożnie chodzi pomiędzy plikami papierów leżącymi na podłodze, wygląda przez duże okno i znów zwraca się do Joony:

– Nie wolno nam się kontaktować. Ale w każdym razie Verner pozwolił mi na kontynuowanie postępowania przygotowawczego. Tak się ucieszyłam, że przypadkiem zrzuciłam z jego biurka plik papierów... i jeden raport wpadł mi do torby... Zauważyłam to dopiero po powrocie do domu.

– Co to za raport?

– Prześwietlenie rodziny Salima Ratjena wykonane przez Säpo – wyjaśnia i wyjmuje dokument.

– Oj.

– Rozumiesz, że nie wolno mi o tym zapomnieć... i pod żadnym pozorem nie wolno mówić, że to może ci się przydać, jeśli nadal szukasz związku pomiędzy Absalonem Ratjenem a ministrem spraw zagranicznych.

Joona bierze do ręki papiery i przegląda, dopóki nie znajduje stron na temat Absalona Ratjena. Słyszy odległy głos Sagi, która oznajmia, że ma zamiar zejść do kawiarni przy Lilia Bantorget i kupić kawę.

– Masz ochotę? – pyta.

Joona czyta o tym, jak Absalon Ratjen uciekł z wojska, i mruczy tylko, że cały płonie, że musi pomyśleć.

Absalon przybył do Szwecji jako siedemnastolatek, prawie trzy lata przed Salimem. Z wyciągu z Biura Pośrednictwa Pracy Joona wie, że uczęszczał na kursy językowe i starał się o każdą pracę, jaką tylko znalazł z ogłoszenia, ale Säpo ma znacznie więcej informacji. Znaleźli jego nazwisko w zamkniętej sprawie przeciwko firmie sprzątającej. Sprawa dotyczyła przestępstw podatkowych. Absalon należał do grupy starających się o azyl robotników placowych, których podejrzewano o pracę na czarno, ale ponieważ oszukano ich z wynagrodzeniem, wszelkie próby podania pracodawcy do sądu spełzały na niczym.

Joona wchodzi do ciasnego biura z widokiem na muzeum Bonniers Konsthall. To tutaj zgromadził fragmenty faktów związanych ze sprawcą i ewentualne parametry. Sporządził też listę specjalistycznych szkół wojskowych z całego świata, które uczą technik prezentowanych przez zabójcę.

Obserwuje fotografie z sekcji zwłok, ukazujące rany na ciele Ratjena. Narzędzie nie zostało jeszcze zidentyfikowane, ale szeroka klinga ma ząbkowany grzbiet i bardzo dobrze naostrzoną krawędź.

Śmiertelny cios przez kręgi szyjne został zadany zardzewiałą maczetą. Joona siada na podłodze i kontynuuje lekturę raportu Säpo.

Groźnie brzmiący mail o wyjadaniu serca pochodził od kolegi z Kanady i dotyczył zbliżającej się walki robotów z klocków Lego.

Wiadomość głosowa z wierszykiem o królikach została wysłana z telefonu na kartę, już nieużywanego.

Saga wraca, siada i stawia kubek z kawą na podłodze obok niego.

– Masz coś ciekawego?

Joona wertuje listę numerów telefonu, adresów IP i dokładnych godzin. Wypija trochę kawy i czyta dalej o tym, jak Absalon starał się o stypendium.

– Wygląda to tak, jakby jedno z dzieci rysowało palcem we krwi. – Saga wskazuje zdjęcia z kuchni Absalona.

– Tak – odpowiada Joona, nie podnosząc wzroku.

Sprawdza kwatery dla poszukujących azylu i wspólne mieszkania grupowe, w których mieszkał Absalon. Zestawia lokalizacje z adresem ministra spraw zagranicznych i amerykańskiego polityka. Obaj pochodzili z majątnych rodzin i wyprowadzili się z domów dopiero wówczas, kiedy zaczęli naukę w szkole z internatem.

Mniej więcej w tym czasie, kiedy Absalon opuścił wspólne mieszkanie w Huddinge.

Rok później jego nazwisko pojawia się we wniosku do Urzędu ds. Bezpieczeństwa i Higieny Pracy.

Joona czuje lekkie dreszcze biegnące po kręgosłupie.

Absalon miał dziewiętnaście lat, kiedy pracownik z Biura Pośrednictwa Pracy dał mu szansę. Jego syn pracował jako konserwator w szkole z internatem na południe od Sztokholmu, ale miał problem z narkotykami. Urzędnik w tajemnicy zaproponował Absalonowi połowę jego pensji, jeśli będzie wykonywał pracę konserwatora, dopóki syn nie wróci z odwyku.

Zanim sprawa wyszła na jaw, Absalon prawie rok mieszkał w kwaterze konserwatora, jeździł samochodem bez prawa jazdy i obsługiwał maszyny, choć nie miał odpowiednich uprawnień.

Joona wstaje i podchodzi do okna, bierze telefon i dzwoni do Anji.

Jest pewien, że właśnie znalazł powiązanie między trzema ofiarami.

– Muszę wiedzieć, kto dwadzieścia dwa lata temu napisał wniosek do Urzędu ds. Bezpieczeństwa i Higieny Pracy.

– Porozmawiamy o tym przy kolacji? – pyta Anja, stanowczo zbyt blisko mikrofonu.

– Chętnie.

Trzy minuty później słyhać, jak nuci *Let's Talk About Sex, Baby*, a jej paznokcie stukają w klawisze komputera.

– Co chcesz wiedzieć?

– Jak nazywała się szkoła i kto dokonał zgłoszenia.

– Simon Lee Olsson, dyrektor szkoły Ludviksberg.

Kiedy Joona kończy rozmowę, Saga wrzuca kubek do kosza na śmieci i patrzy mu w oczy.

– Już znalazłeś powiązanie – oznajmia.

– Absalon zastępował konserwatora w szkole Ludviksberg, kiedy William i Teddy chodzili tam do ostatniej klasy.

– Czyli chodzi o szkołę?

– W taki czy inny sposób.

Joona podchodzi do zdjęcia szkolnego sprzed trzydziestu lat i zauważa, że obaj przyszli politycy i koledzy z klasy należeli do tej samej drużyny wioślarskiej – na fotografii widać ośmiu ubranych na biało chłopaków z wydatnymi mięśniami przedramion i barków.

– W materiałach jest jeszcze jeden uczeń tej szkoły – zwraca uwagę Saga.

– Kto taki?

– Rex Müller.

– Kojarzę to nazwisko.

– Gotuje w telewizji... Wiem, że coś ukrywa, ale jednocześnie ma alibi na każde morderstwo. Rozmawialiśmy z nim, bo kamera go uchwyciła, kiedy był pijany i sikał do basenu ministra spraw zagranicznych.

– Nie ma tu nic na ten temat.

– Janus przejął tę część.

– Prawda zawsze się uwypukla na tle szczegółów – mówi Joon.

– Wiem.

– Dlaczego sikał do basenu?

– Głupia prowokacja po pijaku.

– Z początku to wygląda na głupią prowokację... ale potem dochodzi jeszcze jeden kawałek układanki i nagle Rex Müller znajduje się w centrum – mówi Joon.

68

Rex z synem są sami w dużej kuchni restauracji Smak. Szerokie blaty ze stali nierdzewnej zostały umyte i wysuszone. Rondle, patelnie do *sauté*, łyżki, trzepaczki i noże wiszą nieruchomo na hakach.

Sammy jest ubrany w za dużą bluzę. Pomalował brwi na czarno i obrysował oczy mocnym eyelinerem. Rex ma w klapie różową różę zabraną z bukietu, który poprzedniego dnia przysłała mu słodka dziennikarka.

Za dwa tygodnie restauracja zmieni menu. Rex przyjdzie i w samotności będzie próbował każdego dania, zanim lokal zostanie otwarty i rozpocznie się gorączkowa robota w kuchni.

Absolutna precyzja w połączeniu z ekstremalnie szybkim tempem działa tylko wtedy, kiedy kuchcikowie, kucharze liniowi i szef kuchni perfekcyjnie wykonują swoje zadania. Dopiero kiedy kuchnia zostaje zamknięta na noc, wszyscy zauważają siniaki, drobne oparzenia i rany, których się nabawili podczas intensywnej pracy.

Tego dnia Rex planował przygotować grzybowe consommé z podsmażonym razowcem karving, marynowanymi kurkami i oliwą ziołową, szparagi, sos bearneseński i medaliony z antrykotu z gospodarstwa Saby. Kiedy wychodził z mieszkania, Sammy wszedł do przedpokoju i ku zaskoczeniu Rexa zapytał, czy może z nim pójść.

W trakcie przygotowania mięsa *sous vide* Rex pokazuje Sammy'emu, w jaki sposób siekać listki estragonu, a potem mieszać trzepaczką żółtka, bulion wołowy, musztardę i ocet estragonowy.

Chłopak w skupieniu przelewa żółtko ze skorupki do skorupki.

– Nie wiedziałem, że interesujesz się gotowaniem – odzywa się Rex słabym głosem. – Gdybym wiedział, zawsze bym cię zabierał.

– Spoko, tato.

Sammy podnosi wzrok i zerka ukradkiem na ojca spod długiej, farbowanej na blond grzywki. W kąciku oka narysował sobie kredką

kajal łąę.

– W każdym razie jesteś bardzo zdolny – mówi Rex. – Szkoda, że...

Milknie, bo jego słowa toną w wyrzutach sumienia, w świadomości, że z własnej winy nie wie nic o swoim jedynym dziecku.

Kiedy Sammy sieka szalotkę, Rex przyrządza consommé z kurkami, grzybami shiitake, selerem i tymiankiem.

– Niektórzy po prostu przesączają bulion przez wiele warstw gazy – wyjaśnia, patrząc na syna. – Ale ja do związania zanieczyszczeń i resztek używam zawsze białka jaja.

– Nie miałaś niedługo wyjeżdżać? – pyta Sammy i odkłada nóż.

– W weekend spotykam się z inwestorami w Norrlandii... Muszę się trochę podlizać, żeby byli osobiście zaangażowani.

– I dlatego nie możesz pokazywać syna pedała?

– Myślałem po prostu... Skoro nawet ja mam dreszcze na myśl o grupie facetów, którzy rozmawiają o interesach, polując na dzikie reny, to ty...

Rex symuluje serię wymiotów nad piekarnikiem, zlewem i za koszulę.

– Okej, zaczynam rozumieć. – Sammy się uśmiecha.

– Ale jeśli chodzi o mnie...

Rex przerywa, słysząc zgrzyt obrotowych drzwi do pomieszczenia porządkowego. Przez głowę przebiega mu myśl, że *sous chef* przyszedł wcześniej, kiedy drzwi do kuchni się otwierają i do środka wchodzi piękna agentka Sāpo Saga Bauer w towarzystwie Janusa Mickelsena.

Sammy spogląda na Sageę, jakby miał się rozpłakać. Mimo blizny na twarzy policjantka wygląda olśniewająco.

– Cześć – mówi i wskazuje gestem mężczyznę u swojego boku. – To mój kolega Janus Mickelsen.

– Już się spotkaliśmy – odpowiada Rex.

– Stary rozkaz Venera – wyjaśnia Janus, zwracając się do Sagi.

– To mój syn, Sammy – przedstawia Rex.

– Witam – odpowiada Sammy i z niespodziewaną uprzejmością podaje rękę.

– Też jesteś kucharzem? – pyta przyjaźnie Saga.
– Nie, ja... jestem nikim – mówi Sammy i się czerwieni.
– Będziemy musieli porozmawiać przez kilka minut z twoim tatą. – Janus dotyka połyskujących limonek.

- Mam wyjść do sali? – pyta Sammy.
- Jeśli chodzi o mnie, możesz zostać – odpowiada Rex.
- Twoja decyzja – oznajmia Saga.
- Próbuję skończyć z tajemnicami – wyjaśnia Rex.

Ostrożnie wyławia skoagulowane białko z bulionu i odrobinę zmniejsza temperaturę.

– Widziałam cię w telewizji, kiedy mówiłeś o ministrze spraw zagranicznych – zaczyna Saga, nachylając się w kierunku blatu. – Twoje słowa były piękne i poruszające...

- Dziękuję...
- Mimo że to tylko kłamstwa – dodaje na koniec Saga.
- Jak to? – pyta Rex, usiłując sprawić wrażenie, że nagle nabrał czujności.
- Obsikałeś jego meble ogrodowe i...
- Wiem. – Rex chichocze. – To była przesada, ale mieliśmy...
- Przestań już... – mówi Saga zmęczonym głosem.
- Nasz żargon był...
- Zamknij się.

Rex milknie i na nią patrzy. Mięsień pod okiem zaczyna drgać. Sammy nie może powstrzymać uśmiechu, wpatruje się w podłogę.

– Chciałeś tylko powiedzieć, że to była wielka przyjaźń – mówi spokojnie Saga. – Że mieliście pokręcone poczucie humoru, robiliście mnóstwo psikusów... Ale to nieprawda, bo nie byliście przyjaciółmi.

– To mój najstarszy przyjaciel – próbuje Rex, choć wie, że to nie ma najmniejszego sensu.

- Wiem, że nie utrzymywaliście kontaktu od trzydziestu lat.
- Może nieregularny – mówi Rex słabym głosem.
- Żadnego. Nie mieliście żadnego kontaktu.

Rex ucieka wzrokiem i widzi, że Janus zdejmuje biały koci włos ze ściągacza skórzanej kurtki.

– Ale chodziliście do tej samej szkoły z internatem – kontynuuje spokojnie Saga.

– Mój ojciec był dyrektorem Handelsbanken, mieszkaliśmy przy Strandvägen, powinienem był pójść do szkoły Ludviksberg.

– Nie zrobiłeś tego? – pyta Saga.

– Zostałem kucharzem, a nie dyrektorem – odpowiada Rex i wyjmuje rondel z kąpieli wodnej.

– Co za rozczarowanie – mówi Saga z uśmiechem.

– Ale ja właśnie jestem rozczarowaniem, pod każdym względem.

– Tak uważasz?

– Czasami... a kiedy indziej nie – odpowiada szczerze Rex i spogląda na Sammy'ego. – Jestem niepijącym alkoholikiem, ale miałem kilka nawrotów... A kiedy jestem pijany, po prostu nie mogę znieść naszego kochanego ministra spraw zagranicznych, bo... ach, do diabła z tym, on nie żyje, ale... za życia był świnią.

Janus Mickelsen odgarnia rude loki z twarzy i się uśmiecha, a w kącikach jego oczu pojawiają się zmarszczki.

69

Ulga po tym, jak powiedział prawdę, trwa tylko kilka sekund. Potem ogarnia go niepokój, wrażenie, że utknął w sieci. Kroci wilgotny, świeży razowiec, czuje, że ręce nie są całkiem spokojne, ostrożnie odkłada nóż na deskę. Nie rozumie, o co chodzi agentom Säpo.

Może przez cały czas wiedzieli o filmie?

Może zobaczyła krew na krześle, kiedy była u niego w domu.

Rozważa w duchu, czy powinien być ostrożny, czy powinien się skontaktować z adwokatem, czy tylko powiedzieć o bójce DJ-a z pijaczkiem.

– Myślałem, że chcecie rozmawiać o morderstwie Teddy'ego Johnsona – mówi po chwili.

– Wiesz coś na ten temat? – pyta rudy mężczyzna i wlepia w niego wzrok.

– Nie, ale byłem tam, kiedy to się wydarzyło.

– Mamy już wielu świadków – oznajmia Janus i przez chwilę trzyma się za ucho.

– Oczywiście... No to o co chcecie pytać? – Rex odchrząkuje.

– Chcę zapytać, dlaczego nazywasz ministra spraw zagranicznych świnią i sikasz do jego basenu – mówi łagodnie Saga Bauer.

– Okej – odpowiada Rex szeptem.

– Sammy, uprzedzę tylko, że twój tata nie jest podejrzany o żadne przestępstwo – oznajmia Saga.

– Jest moim tatą tylko na papierze – stwierdza Sammy.

Rex myje ręce i wyciera je w lniany ręcznik.

– Wille w młodym wieku został naszym ministrem spraw zagranicznych. Jak to ująć... Nie mógł znieść, że ja miałem lepsze wyniki we wszystkich testach. To znaczy... zawsze oczywiście dostawał najwyższe oceny, bo ktoś z jego rodziny przez sto lat finansował szkołę, ale to nie wystarczyło... Kiedy dowiedział się, że chodzę ze świetną

dziewczyną z równoległej klasy, bardzo chciał się z nią przespać... Tylko po to, żeby wszystko zepsuć, pokazać władzę w szkole. Tak właśnie postępował.

– Może chciała pójść z nim do łóżka – podsuwa Saga.

– Oczywiście, na pewno tego chciała, ale... Nie mówię, że miałem szlachetniejsze pobudki niż on, ale naprawdę byłem w niej zakochany... a dla niego była niczym.

– Skąd możesz wiedzieć, że nie był do szaleństwa zakochany w twojej dziewczynie? – pyta Saga.

– Sam to mówił... Obrzucał ją wieloma epitetami: klubowa dziwka, *groupie*...

– Brzmi jak świnia – potwierdza Saga.

– Mam świadomość, że wszyscy uczniowie szkoły Ludviksberg są uprzywilejowani – ciągnie Rex. – Ale za murami szkoła jest ekstremalnie podzielona między nas, nowobogackich, a tych, którzy z pokolenia na pokolenie mieli zagwarantowaną szczególną pozycję... Wszyscy wiedzieli, że istnieją specjalne reguły, stypendia i spotkania tylko dla nich.

– Biedny tatuś – rzuca sarkastycznie Sammy.

– Sammy, miałem siedemnaście lat, w tym wieku człowiek jest dość wrażliwy.

– Żartowałem.

– Wiem, chciałem tylko to powiedzieć – oznajmia Rex. – Tak czy inaczej – zwraca się ponownie do Sagi – nasz przysły minister spraw zagranicznych był przewodniczącym ekstremalnie ekskluzywnego męskiego klubu mieszczącego się w kampusie... Nawet nie wiem, jak ten klub naprawdę się nazywał, ale on mówił na niego Królicza Nora. Kiedy Grace dołączyła do grona bywalców, stałem się dla niej gównem wart. Rozumiem to, w końcu nie wiedziała, co mówili za jej plecami, traktowała ich jak gwiazdy, jak celebrytów.

Zauważa, że mięśnie twarzy Sagi się napinają, jakby coś w jego słowach ją zaalarmowało.

– Kto jeszcze należał do tego króliczego klubu?
– Odpowiedź znają tylko oni, utrzymywali skład w tajemnicy, a mnie to nie interesuje.

– Czyli nie znasz żadnych innych jego członków?
– Nie.

– To ważne – mówi Saga podniesionym głosem.

– Spokojnie – upomina ją szeptem Janus i zdejmuje z półki kieliszek do wina.

– Nie trzymałem z tą ekipą – odpowiada Rex. – Nie mam pojęcia, po prostu próbuję wyjaśnić, dlaczego nie znosiłem ministra, kiedy byłem pijany.

– Ale Grace musiała wiedzieć, kto należy do klubu – stwierdza Saga.

– Oczywiście.

Janus Mickelsen upuszcza kieliszek na podłogę. Rozlega się brzęk, odłamki szkła pryskają pomiędzy szafki.

– Najmocniej przepraszam – mówi Janus, a jego jasne brwi robią się białe ze zdenerwowania. – Masz miotłę?

– Zostaw to – rzuca Rex.

– Przepraszam – mamrocze Janus i zaczyna zbierać największe odłamki.

– Wiesz, jak mogę się skontaktować z Grace? – pyta Saga.

– Grace jest w Chicago.

Po wyjściu agentów Rex smaży na maśle kurki i dwa kawałki ciemnego chleba karving, układa je na miseczkach i zalewa consommé.

On i Sammy stoją obok siebie przy blacie i jedzą.

– Dobrze – oznajmia syn.

– Wczuj się. I bądź zupełnie szczery.

– Nie wiem... po prostu dobre.

– Mnie chyba brakuje trochę kwaskowatości – stwierdza Rex. – Jutro może spróbuję dodać limonki.

– Na mnie nie patrz – mówi z uśmiechem Sammy.

Rex nie potrafi się otrząsnąć z niesmaku po rozmowie. Wspomnienie Grace sprawia, że robi mu się ciężko na sercu. Pamięta tylko, że nie

chciała się z nim spotykać i w końcu przestała odbierać telefon.

– Ona była nieprawdopodobna – mówi Sammy, dojadając resztę z talerzyka.

– Kto?

– No a kto? – odpowiada syn ze śmiechem.

– Ta policjantka to z pewnością najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widziałem... Oczywiście z wyjątkiem twojej mamy.

– Tato, trudno mi uwierzyć, że przelazłeś przez plot ministra spraw zagranicznych i nasikałeś mu do basenu. – Sammy lekko się uśmiecha.

– Nie cierpiałem go.

– To ewidentne.

Rex stawia talerz na blacie.

– Nie powiedziałem policji wszystkiego, teraz nie mogę zostać w nic wplątany.

– Co się stało?

– Nie, nic... Po prostu nie chcę, żeby pomyśleli, że miałem coś wspólnego ze śmiercią ministra.

Sammy unosi brwi.

– Dlaczego mieliby tak pomyśleć?

– Bo prawda o tej ekipie jest taka, że któregoś razu zaciągnęli mnie do stodoły i porządnie pobili. Złamali mi kilka żeber i zostawili ten prezent.

– Rex wskazuje na głęboką bliznę na grzbiecie nosa. – Może nie było to aż tak groźne, ale chodziło o uczucie, moją dumę... Wiedziałem, że nie będę umiał spotykać ich każdego dnia, udawać, że to się nie wydarzyło, może zostać chłopcem do bicia. Dlatego natychmiast odszedłem ze szkoły.

– To oni powinni byli odejść.

– Nie było szans. – Rex wzrusza ramionami. – Cała władza należała do nich, a ja nie miałem do kogo się zwrócić... Dyrektor, nauczyciele, wszyscy ich chronili.

– Powinieneś opowiedzieć o tym policji — mówi z powagą Sammy.

– To niemożliwe – odpowiada Rex.

– Tato, spokojnie. Jesteś kucharzem, sympatycznym człowiekiem, przez całe życie nie zrobiłeś nic brutalnego.

– To nie takie proste – stwierdza Rex.

Sammy dotyka leżących w kąpielii wodnej woreczków z próżniowo zapakowanym mięsem, a potem sprawdza temperaturę i czas na cyrkulatorze.

– Mięso leżało już dwie godziny – mówi.

– No to weź masło, kilka gałązek tymianku, ząbek czosnku i...

Słońce znika za chmurami, a szary deszcz stuka ospale o szybę okna z widokiem na dziedziniec. Elektryczne światło staje się nagie, otoczone płynącymi cieniami. Nagle Rex ma wrażenie, że w restauracji coś trzeszczy. Jakby postać ubrana w foliowy skafander, przeciskająca się między stolikami.

Bez pośpiechu idzie do pomieszczenia porządkowego, które pełni funkcję bufora pomiędzy kuchnią a jadalnią. Przystaje, ostrożnie uchyla drzwi i nadstawia uszu.

– Co się dzieje? – dobiega głos Sammy’ego zza jego pleców.

– Nie wiem.

Rex mija skrzypiące obrotowe drzwi i wchodzi dalej do pustej jadalni. Nakryte stoły i deszcz skapujący po szybie mają w sobie coś ze snu. Nakrapiane światło na białych obrusach, srebrnych sztucach i kieliszkach do wina.

Rex się wzdyga, kiedy w jego tylnej kieszeni dzwoni telefon. Zastrzeżony numer, ale on i tak odbiera. Zasięg jest słaby, słysząc trzaski. Przez duże okna Rex widzi ludzi z parasolami i przejeżdżające samochody. Powtarza swoje imię, czeka kilka sekund i już ma zakończyć rozmowę, kiedy rozlega się odległy dziecięcy głos:

– *Ten little rabbits, all dressed in white, tried to go to Heaven on the end of a kite...*

– *I think you’ve dialled the wrong number* – odpowiada Rex, ale dziecko najwyraźniej go nie słyszy, bo dalej deklamuje wierszyk:

– *Nine little rabbits, all dressed in white, tried to go to Heaven on the*

end of a kite. Kite string got broken, down they all fell. Instead of going to Heaven, they went to...

Rex słucha wyliczanki, dopóki połączenie nie zostaje przerwane.

Przez jedno z okien widzi dziecko stojące pod wiaduktem pięćdziesiąt metrów dalej. Twarz ukryta w szarym cieniu znika zupełnie, kiedy dziecko się odwraca i wchodzi na ciemny podziemny parking.

70

Powietrze jest stęchłe, a oleiste światło zalega na polach wzdłuż Nynäsvägen. Jooną wyprzedza ciężarówkę z mnóstwem gruzu na pace.

Wicedyrektor szkoły Ludviksberg nie chciał udostępnić list uczniów, dopóki Jooną nie przedstawi formalnego wniosku od prokuratora albo prowadzącego postępowanie przygotowawcze.

– To prywatny państwowy internat – wyjaśnił przez telefon. – Nie obowiązuje nas zasada jawności ani wolność udzielania informacji.

Trzy pierwsze ofiary można powiązać z tym, co się działo w internacie trzydzieści lat temu, myśli Jooną, kiedy jedzie do szkoły Ludviksberg.

Możliwe, że przyszłe ofiary też mają z tym związek.

A nawet sprawca.

Szkoła to miejsce, rozmyśla Jooną, ale jakimś sposobem wszystko jest dużo głębsze. Jooną wie, że musi odkryć tę konkretną konstelację, znaleźć algorytm, rozwiązać zagadkę.

W czasie jazdy słucha playlisty, którą tak naprawdę ułożył dla swojej córki Lumi. To stare nagrania szwedzkiej muzyki ludowej, marszowych melodii i tradycyjnych tańców hambo. Skrzypce, które przywołują letnią melancholię, młodzieńczą tęsknotę i metamorfozy jasnych nocy.

Myśli o ślubnej koronie Summy z plecionych korzeni i o tym, jak Summa się uśmiechała, kiedy stawała na stołku, żeby go pocałować.

Za Ösmo zjeżdża z autostrady i odbija na wschód w kierunku morskiego pasa. Pokonuje szerokie zakręty wąskiej drogi, przejeżdża przez dwa mosty i tunel pomiędzy czterema wyspami.

Jest na Muskö, kiedy dzwoni Saga Bauer. Muzyka staje się przytłumiona. Jooną przeciąga palcem po wyświetlaczu samochodowym i odbiera.

– Muszę z tobą porozmawiać – oznajmia Saga bez ogródek.

Jooną słyszy, że odpala motocykl.

– Wolno ci?

- Nie.
- Mnie też nie wolno z tobą rozmawiać.

Joona uświadamia sobie ironię sytuacji: on i Saga Bauer próbują wspólnie rozwiązać zagadkę morderstwa, choć ich zadania są jak dzień i noc – ona ma wszystko ukryć, a on ujawnić.

Woda jest spokojna i ma srebrnawy kolor. Joona patrzy na kaczki – wzlatają i każda z nich się odrywa od swojego odbicia. Saga opowiada, że Rex miał dziewczynę, Grace Lindstrom, która zostawiła go dla Williama Focka.

- Teraz będzie najciekawsze – mówi.
- Słucham – odpowiada Joona.

Przejeżdża obok poligonu wojskowego.

– W szkole Williama działało coś w rodzaju klubu dla wybranych uczniów. Nie wiem, na czym to polegało, ale ten lokal był znany jako Królicza Nora.

– Królicza Nora – powtarza Joona i zdaje sobie sprawę, że są coraz bliżej odpowiedzi.

- To tego szukamy, prawda?
- Masz nazwiska członków klubu?
- Tylko Grace i Willego.
- Nikogo więcej?
- Rex nie wiedział nic na ten temat.
- Ale Grace musi wiedzieć – stwierdza Joona.
- Jasne, ale wygląda na to, że mieszka w Chicago...
- Lecę tam.
- Nie. Rozmawiałam z Vernerem, ja polecę, jak tylko pozna adres.
- Dobrze.

Joona miękko hamuje i wjeżdża w alejkę prowadzącą prosto do szkoły Ludviksberg. Główny budynek z otynkowanymi białymi ścianami i dachem mansardowym przypomina dużą posiadłość.

Zostawia samochód na parkingu dla gości, przecina trawnik i idzie w stronę dużych schodów. Wszędzie jest pełno niebieskich kwiatów, ale

sarny albo króliki powyjadały liście i łodygi.

Joona się pochyła i podnosi jeden z pozostawionych złamanych kwiatów.

Mija grupę uczniów w granatowych szkolnych mundurkach, niosących stosy podręczników.

Przy wejściu wisi duża kolorowa fotografia terenu szkoły, ze strzałkami i podpisami. Są cztery domy dla dziewcząt i cztery dla chłopców, do tego mieszkanie woźnego, mieszkania nauczycieli, stajnie, magazyny, pompownia, obiekty sportowe i domek nad morzem.

Joona wchodzi przez szklane drzwi do gabinetu dyrektora, okazuje legitymację sekretarce i zostaje wprowadzony do dużego pokoju z boazerią z lakierowanego dębu i wielkimi oknami z widokiem na park. Za biurkiem wiszą oprawione zdjęcia członków rodziny królewskiej, którzy byli uczniami szkoły.

Dyrektor stoi z plikiem papierów w ręku przy ciemnobrązowej skórzanej kanapie. Jest szczupłym mężczyzną koło pięćdziesiątki, ma gładko ogoloną twarz, zaczesane na bok ciemnoblonde włosy i wyprostowane plecy.

Joona podchodzi do niego, wręcza mu mały niebieski kwiatek, a potem wyciąga dokument w foliowej koszulce.

– To decyzja prokuratora.

– Nie trzeba – odpowiada dyrektor. Nawet nie patrzy na papier. – Cieszę się, jeżeli mogę jakoś pomóc.

– Gdzie jest spis uczniów?

– Proszę korzystać do woli – odpowiada z uśmiechem dyrektor i omiata gestem ręki wbudowany regał, który zasłania całą ścianę.

Joona podchodzi do zbioru dokumentów. Są tam wszystkie roczniki od czasu założenia szkoły, oprawione w półskórek. Podążając wzrokiem za okładkami, cofa się w czasie o trzydzieści lat.

– Mogę wiedzieć, czego dotyczy sprawa? – pyta dyrektor, kładzie kwiatek obok klawiatury i siada.

– Postępowania przygotowawczego. – Joona wyciąga jeden z tomów.

– To rozumiem, ale... Chciałbym wiedzieć, czy ma to związek z czymś, co mogłoby negatywnie wpłynąć na szkołę.

– Próbuję zatrzymać *spree killera*, szalonego mordercę.

– O tym nie mam zielonego pojęcia. – Dyrektor parska śmiechem. Jooną wyciąga jeszcze cztery roczniki i kładzie je na biurku.

Zaczyna przeglądać liczące trzydzieści lat zdjęcia. Widzi gościnny wykład siwobrodego Williama Goldinga w auli, pochód w Dniu Świętej Łucji, zawody tenisowe, krykietowe, ujeżdżanie i skoki przez przeszkody.

Przesuwa wzrokiem po uczniach najstarszych klas w studenckich czapkach, po szkolnych balach z big-bandami, po niedzielnych obiadach w stołówce – z białymi obrusami, kryształowymi żyrandolami i kelnerami.

Według spisu na samym końcu każdy rocznik liczy około pięciuset trzydziestu uczniów. Razem z gronem nauczycielskim, personelem sekretariatu, opiekunami i opiekunkami mieszkającymi w każdym z domów oraz pozostałymi pracownikami daje to sześćset pięćdziesiąt nazwisk w każdej z ksiąg.

Na jednym ze zdjęć widać młodego Williama Focka – człowieka, który znacznie później zostanie ministrem spraw zagranicznych Szwecji – odbierającego stypendium z rąk ówczesnego dyrektora.

Jooną bez pośpiechu pakuje pięć roczników do torby w kolorze wojskowej zieleni.

– To biblioteka referencyjna – protestuje dyrektor. – Nie może pan tego zabierać...

– Proszę opowiedzieć o Króliczej Norze. – Jooną zasuwa zamek torby.

Zaskoczony dyrektor na sekundę ucieka wzrokiem. Po chwili na jego brodzie pojawia się surowa zmarszczka.

– Muszę się zgodzić z prasą międzynarodową, że być może szwedzka policja powinna się zająć szukaniem mordercy Teddy’ego Johnsona... To tylko podpowiedź, bo wygląda na to, że pan i pańscy koledzy macie problem ze znalezieniem sobie zajęcia.

– W tej szkole działało stowarzyszenie.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Może było tajne?

– Niestety, nie sądzę, żebyśmy tu mieli jakieś Stowarzyszenie Umarłych Poetów – odpowiada dyrektor z lodowatym uśmiechem.

– Czyli nie macie żadnych klubów ani łóż?

– Zezwalam panu na wgląd w naszą działalność, choć nie sądzę, żeby znalazł pan u nas swojego zabójcę, ale... nie będę odpowiadał na prywatne pytania o uczniów czy stowarzyszenia, do których ewentualnie mogliby należeć.

– Czy ktoś z personelu pracuje tu dłużej niż trzydzieści lat?

Dyrektor milczy, więc Joona okrąża biurko i zaczyna korzystać z komputera – otwiera sprawozdanie finansowe, a stamtąd przechodzi do pensji pracowników.

– Stajenny – mówi dyrektor słabym głosem.

– Jak się nazywa?

– Emil... jakiś tam.

71

Na dole przy stajniach stoi grupka uczniów palących papierosy. Jedna z dziewczyn jeździ samotnie po padoku. Na pastwisku za budynkiem widać kilka koni.

Na czas semestru uczniowie mogą umieszczać w szkole swoje konie, które mają zapewniony *full service*.

Dokładnie w chwili, kiedy Joona wchodzi do stajni jeździeckiej, brzęczy jego telefon. To wiadomość tekstowa od Sagi. Agentka oznajmia, że wsiądzie w najbliższy bezpośredni samolot do Chicago, żeby porozmawiać z jedynym znanym członkiem Króliczej Nory.

Z Grace Lindstrom.

Powietrze wokół boksów jest ciężkie od zapachu koni, skóry i siana. Stajnia składa się z dwudziestu sześciu boksów i ogrzewanej siodłami.

Chudy mężczyzna koło sześćdziesiątki, ubrany w zieloną pikowaną kurtkę i gumowce, szczotkuje wałacha w kolorze kawy.

– Emil? – pyta Joona.

Mężczyzna przerywa szczotkowanie, koń prychnie, a jego uszy niespokojnie się poruszają na dźwięk obcego głosu.

– Wysoki w kłębie i lędźwiach – dodaje Joona.

– Tak, to prawda – odpowiada mężczyzna, nie odwracając się. Drżącymi dłońmi odkłada szczotkę i drapaczkę.

Joona podchodzi do wałacha i poklepuje go po łopatce. Koń jest wrażliwy, skóra reaguje od razu, kurczy się pod jego dłoń.

– Tylko trochę nerwowo – mówi Emil i odwraca się do Joony.

– Może bardzo chce.

– Powinieneś go zobaczyć w galopie, płynie jak rzeka.

– Właśnie rozmawiałem z dyrektorem. Mówił, że może będziesz mógł mi pomóc – wyjaśnia Joona i pokazuje legitymację policyjną.

– Co się stało?

– Układam właśnie całkiem duże puzzle i potrzebuję pomocy

z elementem przedstawiającym kogoś, kto długo pracował w tej szkole.

– Pracuję tu jako stajenny od trzydziestu pięciu lat – odpowiada Emil ostrożnie.

– W takim razie znasz Króliczą Norę.

– Nie – odpowiada oschle mężczyzna i odwraca wzrok w kierunku niskiego okna.

– To coś w rodzaju pomieszczenia klubowego – podsuwa Jooną.

– Muszę pracować. – Emil chwytą rękojęść szufli.

– Rozumiem, ale widzę, że wiesz, o czym mówię.

– Nie wiem.

– Jacy ludzie się spotykali w Króliczej Norze?

– Skąd mam to wiedzieć? Byłem parobkiem stajennym... i nadal jestem tylko parobkiem.

– Ale widzisz różne rzeczy. I widywałeś. Prawda?

– Trzymam się na uboczu. – Emil wypuszcza rękojęść, jakby stracił wszystkie siły.

– Opowiedz o Króliczej Norze.

– Przez kilka pierwszych lat słyszałem tę nazwę, ale...

– Kto do niej należał?

– Nie mam pojęcia – odpowiada szeptem Emil.

– Co ci ludzie tam robili? – Jooną nie daje za wygraną.

– Imprezowali, palili, pili... To, co zawsze.

– Skąd wiesz?

– Bo tak to wygląda.

– Uczestniczyłeś w tych imprezach?

– Czy uczestniczyłem? – powtarza Emil, a Jooną zauważa, że drży mu broda. – Wypierdalaj.

Koń wyczuwa jego zdenerwowanie i staje się niespokojny, stąpa i napiera na ściankę boksu, aż wisząca na ścianie uzda zaczyna się huścić.

– Kiedy pierwszy raz zapytałem o Króliczą Norę, spojrzełeś na pompownię. Czy to tam się mieści?

– Już jej nie ma. – Emil głośno wypuszcza powietrze.

– Ale tam była?

– Tak.

– Pokaż mi.

Wychodzą razem, idą po żwirowej ścieżce, mijają mieszkanie woźnego, schodzą z drogi i wkraczają w zagajnik w drodze do pompowni.

Emil prowadzi Joonę do fundamentu budynku, porośniętego chwastami i młodymi brzoźami. Zatrzymuje się niepewnie przed niewielką dziurą w ziemi, chwytając w dłoń kilka źdźbeł wysokiej trawy i odrywa kłosa.

– Czy to jest Królicza Nora?

– Tak – odpowiada Emil i wyciera łzy z kącików oczu.

Kilka kamieni fundamentowych jest połamanych przez wielkie korzenie, a pomiędzy poskręcanych zarośli wyzierają wąskie schody do piwnicy, całkowicie pokryte ziemią i kamieniami.

– Co to właściwie za miejsce?

– Nie wiem, nie jestem tu mile widziany – szepcze Emil.

– Dlaczego zostałeś w tej szkole tyle lat?

– A gdzie indziej spotkałbym takie piękne konie? – mówi mężczyzna i rusza z powrotem w kierunku stajni.

Zarośnięty fundament znajduje się pięćdziesiąt metrów za dawnym *corps de logis*, głównym budynkiem posiadłości, jasnym i dwupoziomowym, w którym się mieści dom Haga.

Joonę stawia torbę w trawie, wyjmując najwcześniejsze roczniki, ponownie przegląda zdjęcia i uważnie patrzy na każde, na którym widnieje dom Haga.

Zatrzymuje się przy zimowym zdjęciu, na którym jasnowłosi młodzieńcy o rumianych policzkach toczą bitwę na śnieżki.

Za nimi widać piękny niebieski pawilon.

Klub znajdował się dokładnie w tym miejscu.

Królicza Nora nie była żadnym podziemnym korytarzem, żadną piwniczną dziurą pod starymi fundamentami domu.

Przed trzydziestu laty w tym miejscu stał piękny budynek.

Na fotografii okiennice pawilonu są zamknięte. Nad drzwiami widnieje żółty napis *Bellando vincere*, przypominający motto.

Joona mocno kopie ziemię na skraju zarośniętego fundamentu, obchodzi go, wrywa trochę zarośli z korzeniami, przesuwa piętą kilka cegieł, pochyła się, podnosi kawałek zwęglonego drewna, odwraca je i widzi, że to część ramy okiennej.

Wraca do dużego budynku szkoły, znów idzie prosto do dyrektora, a krok w krok za nim podąża sekretarka.

– Ann-Marie – mówi dyrektor zmęczonym głosem – czy możesz wyjaśnić komisarzowi, na czym polegają godziny wizyt i...

– Jeżeli jeszcze raz skłamiesz, złapię cię za fraki, zaciągnę do samochodu i zawiozę do aresztu w Kronobergu – przerywa mu Joona.

– Dzwonię do naszych adwokatów – sapie dyrektor i sięga po telefon.

Joona kładzie na biurku poczerniały kawałek deski. Ziemia i małe zwęglone wiórki odcinają się od połyskującego blatu.

– Opowiedz o niebieskim budynku, który spłonął.

– Pawilon Crusebjörnów – mówi cicho dyrektor.

– Jak był nazywany przez uczniów?

Dyrektor wypuszcza telefon, przesuwa dłonią po czole i mówi coś do siebie szeptem.

– Co takiego? – pyta Joona ostrym tonem.

– Królicza Nora.

– Pawilonem z pewnością zarządzała szkolna fundacja.

– Tak, oczywiście – przyznaje dyrektor.

Na jego białej koszuli pod pachami rozrastają się duże plamy potu.

– Ale fundacja pozwoliła przekształcić pawilon w wewnętrzny klub.

– Władza nie jest całkowicie widoczna – tłumaczy dyrektor głuchym głosem. – Nie jest powiedziane, że to dyrektor i zarząd będą o wszystkim decydować.

– Kto należał do klubu?

– Nie wiem, to znacznie powyżej mojego poziomu, sam nigdy nie

miałbym tam wstępu.

– Dlaczego spłonął?

– Budynek... ogień był podłożony... Nie zgłoszono tego na policję, ale jeden z uczniów został relegowany.

– Podaj mi jego nazwisko – mówi Joon, a spojrzenie jego szarych oczu jest zimne jak lód.

– Nie mogę – stęka dyrektor. – Nie rozumiesz... Wyleją mnie z pracy.

– To jest tego warte – oznajmia Joon.

Dyrektor siedzi ze spuszczonego wzrokiem, jego ręce drżą na blacie.

W końcu mówi cicho:

– Oscar von Creutz... To on spalił pawilon.

72

Joona wbiega dużymi drzwiami do szpitala Danderyd. Myśli o Króliczej Norze jak o martwej gwiazdzie, która przyciąga do siebie wszystko inne.

W tej chwili miał tylko dwa tory, którymi mógł podążać.

Dwa nazwiska.

Pierwszy człowiek był członkiem grupy, a drugi spalił lokal.

Sadze udało się wytropić Grace, a on zaangażował Anję do poszukiwań Oscara.

Szkoła Ludviksberg nie dysponowała spisem uczniów, którzy mieli wstęp do Króliczej Nory.

Kierownictwo szkoły było przyzwyczajone do dyskrecji w kwestii przywilejów pewnych rodów.

Jedynie sami członkowie wiedzieli, kto należy do Króliczej Nory.

William Fock pochwalił się ekskluzywnym klubem tylko Rexowi – był to element gry sił, jak u dziecka, które jednych częstuje cukierkami, a innych nie.

Kawałek dalej w korytarzu stoi Anja Larsson i czeka na windę. Ma na sobie pomarańczowy kostium, który przylega do jej pełnego ciała.

Silne ramiona zdradzają, że kiedyś była medalistką olimpijską w pływaniu. Teraz pracuje w NWO. Do czasu skazania Joona Linna był jej najbliższym współpracownikiem.

Zrównuje się z nią dokładnie w momencie, kiedy winda staje na ich piętrze i rozbrzmiewa sygnał. Wchodzą jednocześnie, patrzą na siebie i na ich twarzach pojawiają się uśmiechy.

– Piąte piętro? – pyta Joona i naciska guzik.

– Powinieneś odsiedzieć w Kumli jeszcze kilka lat – mruczy Anja, zerka na niego spod półprzymkniętych powiek.

– Może i tak.

– Bo wygląda na to, że dobrze ci to zrobiło. Jesteś przystojniejszy niż kiedykolwiek – dodaje i mocno go przytula.

– Tęskniłem za tobą – szepcze Jooną blisko jej twarzy.

– Kłamiesz – mówi Anja z uśmiechem.

Stoją przytuleni, aż na piątym piętrze otwierają się drzwi. Anja niechętnie zwalnia uścisk i grzebie w kąciku oka, kiedy idą korytarzem.

– Jak tam Gustav?

– Daje sobie radę – odpowiada Anja, siląc się na swobodny ton.

Mijają szklaną ścianę recepcji bez personelu i poczekalnię z wiszącym na ścianie stojakiem, na którym tkwi zaczytany egzemplarz magazynu lifestyle'owego.

Sala Gustava jest trochę dalej, ale zanim dochodzą do korytarza, Anja się zatrzymuje.

– Pójdę po kawę, bo wydaje mi się, że on chce porozmawiać z tobą na osobności – mówi zduszonym głosem.

– Okej – odpowiada Jooną.

– Bądź dla niego miły – dodaje Anja i znika.

Jooną puka do drzwi i wchodzi. Pokój jest mały, o kremowych ścianach, z wąską szafą z jasnego drewna.

W oknie, na tle zasłoniętych żaluzji, stoi wazon z dużym bukietem kwiatów.

Gustav leży w szpitalnym łóżku, nogi ma przykryte żółtym kocem. Płyn infuzyjny skapuje w równym tempie przez regulator. Bandaż z opatrunku po amputacji owija całą klatkę piersiową Gustava, a plastikowa rurka biegnie do wypełnionego w połowie worka drenażowego.

– Jak się czujesz? – pyta Jooną, siadając na krześle przy łóżku.

– Dobrze – odpowiada Gustav i się do niego odwraca. Wskazuje na kikut przy barku. – Trochę na haju przez cały czas, faszerują mnie tu narkotykami po uszy... Tylko śpię – dodaje bez uśmiechu.

– Czy to Anja przynosi kwiaty?

– Te są od Janusa... Mam nadzieję, że nie będzie miał problemów przez to, co się stało, bo jest dobry... To dobry przywódca, dobry snajper i tak samo jak ty nie potrafi skończyć, dopóki nie jest po wszystkim.

Przyjazna twarz Gustava jest zacięta i bardzo blada, wargi są niemal zupełnie białe.

– Joonaa... Długo myślałem o tym, co ci powiem, jeśli będę miał szansę... Jedyne, co wciąż do mnie wraca, to wstyd... Jest mi tak strasznie smutno. Wiem, że nie mogę o tym mówić... Ale tobie muszę powiedzieć, że ta akcja była katastrofą... Nie pojmuję tego, straciłem Sonny'ego i Jamala... straciłem śmigłowiec, straciłem Markusa i...

Oczy zaczynają mu błyszczeć. Milknie, kręci głową i szepcze: „przepraszam”.

– Nie można przewidzieć biegu wydarzeń, nikt tego nie potrafi – mówi cicho Joonaa. – Człowiek robi, co w jego mocy, ale czasami i tak wychodzi źle... A ty zapłaciłeś wysoką cenę.

– Miałem szczęście. Ale reszta...

Jego głos zamiera. Gustav zamyka oczy i wygląda na pochłoniętego jakąś myślą. Głowa opada mu na pierś. Joonaa się domyśla, że zasnął.

Kiedy wychodzi na korytarz, za drzwiami stoi Anja, podjadając z torebki cytrynowe bułeczki. Joonaa podaje jej materiałową torbę z rocznikami, które zabrał ze szkoły Ludviksberg, i prosi, żeby zestawiała wszystkie nazwiska z rejestrami karanych, zaginionych lub zmarłych.

– Tylko się przywitam z Gustavem – mówi Anja.

– Znalazłaś coś związanego z Oscarem von Creutzem?

– Lada chwila powinienam dostać odpowiedź – odpowiada i podsuwa mu torebkę z bułeczkami. Joonaa wkłada do niej rękę, Anja ją chwytając i zaczyna się śmiać, odrobinę zbyt dziko, kiedy Joonaa próbuje się uwolnić. Z uśmiechem patrzy, jak Joonaa je bułeczkę. Oznajmia, że kawa się skończyła, ale może mu przynieść szklankę soku truskawkowego, kiedy nagle rozlega się dźwięk jej telefonu.

– Okej. Oscar von Creutz jest zameldowany pod Ósterlanggatan 10. Oprócz tego ma dom na francuskiej Riwierze... Jest wolny, ale zaczął się spotykać z kobietą, Caroline Hamilton – moim zdaniem jest dla niego o wiele za młoda. Żadne z nich nie odbiera telefonu.

Piękny dziewiętnastowieczny dom jest wyjątkowo nowy jak na

budynek na Gamla stan i sięga wysoko ponad okoliczne zabudowania.

Oscar von Creutz od rana nie był widziany w miejscu pracy, a jego dziewczyna Caroline nie uczestniczyła w zajęciach w liceum Enskilda.

Joona dzwoni do drzwi na samej górze, czeka przez kilka sekund, a potem mocno puka, zagląda przez otwór listowy w drzwiach i dostrzega pocztę na podłodze w przedpokoju.

Szarpie za klamkę i czuje, że łańcuch nie jest zaczepiony.

Przez kolorową szybkę na cichą klatkę schodową wpada słońce.

Joona używa wytrychu do zamków rurowych – wkłada go do dziurki od klucza, przesuwając przez środek, podnosi zapadki jedną po drugiej, ostrożnie obraca, wyciąga, próbuje znowu i słyszy kliknięcie mechanizmu.

Drzwi do mieszkania Oscara von Creutza stają otworem. Listy i druki reklamowe wypadają na klatkę schodową.

– Policja! – krzyczy Joona. – Wchodzę!

Unosi pistolet i wchodzi do dużego przedpokoju z czarnymi drewnianymi szafami w zabudowie. Ubrania pospadały z wieszaków i leżą na wyciągniętych butach. Reklamówka z szamponem, balsamem i mydłem przewróciła się i na chropowatej podłodze z wapienia powstała kałuża różowego płynu.

Joona ostrożnie wchodzi do salonu. Na górnym poziomie jest loft ze szklanymi ścianami. Nieruchome powietrze jest ciężkie od stęchlizny, a żółte światło pada przez okna na mieniącą się podłogę.

Błat szklanego stołu pomiędzy kanapami jest stłuczony, a małe kawałki szkła są rozrzucone po całym pokoju.

Piętro wyżej pali się światło. Blask wypełnia zasłonę na tle szklanej ściany.

Joona stoi nieruchomo przez kilka chwil, a potem rusza korytarzem w stronę kuchni. Na ścianie w długim rzędzie wiszą ciemne olejne portrety członków rodu.

Podłogę pokrywa rozdeptany biały proszek, a ślady stóp prowadzą do zamkniętych drzwi.

– Policja! – krzyczy znów Joono.

Ostrożnie wyciąga rękę i popycha drzwi. Wszędzie panuje cisza. Joono dostrzega kawałek łazienki, ze ścianami i z podłogą w kolorze grafitowej szarości.

Szybko wychodzi z za rogu, kieruje pistolet w ciemność, omiata lufą ściany, celuje w kąty.

Szminki, kremy i cienie do powiek leżą porozrzucane na podłodze i w umywalce.

Podchodzi do miedzianej wanny i spostrzega, że była wypełniona wodą, ale poziom się obniżył o dwadzieścia centymetrów, pozostawiając brudny pasek.

Pod szafką ścienną z otwartymi lustrzanymi drzwiczkami leży kilka opakowań leków i paczka plastrów. W lustrze widać korytarz za jego plecami. Kiedy Joono przesuwa się w bok, zauważa odcisk dłoni ciągnący się po ścianie w kierunku kuchni.

Myśli o królikach próbujących wzlecieć latawcem do nieba, kiedy sznurek nagle się urywa.

Joono wchodzi do kuchni połączonej z jadalnią, robi krok nad rozdeptanym kartonem mleka, idzie szybko wzdłuż prawej ściany, zwraca pistolet w kierunku jadalni, a potem go opuszcza.

W plamie słońca na wyspie kuchennej stoi słoiczek kawioru z sielawy, leżą ekologiczny bekon i worek warzyw do woka.

Woda z rozmrożonego lodu skapnęła na podłogę.

Na blacie widać szereg złożony z konserw w puszkach, opakowań proszku do pieczenia i pudełek płatków śniadaniowych. Drzwiczki wszystkich górnych szafek są otwarte.

Joono idzie dalej w stronę ciężkich kuchennych mebli – ciemnego drewnianego stołu i osiemnastu krzesel.

Obok wypełnionej w połowie filiżanki kawy i talerzyka z nietkniętym tostem leży poranna gazeta. Pierwszą stronę zajmuje informacja o zamordowaniu Teddy’ego Johnsona przed kościołem Świętego Jana.

Joono wchodzi na piętro, przeszukuje łazienkę i obie sypialnie.

W jednej na niepościelonym podwójnym łóżku leży wypełniona do połowy walizka. W drugim pokoju szuflady komody z bielizną i skarpetkami są wysunięte.

Joono chowa broń do kabury i wychodzi z mieszkania, przesuwając pocztę za próg, zatrząskuje drzwiami i zbiega po schodach.

Oscar zobaczył wiadomość o śmierci Teddy'ego Johnsona dopiero, kiedy usiadł z gazetą przy stole.

Zupełnie spanikował, zaczął się pakować, wywalać ubrania z szaf, pokłócił się z dziewczyną.

Był przerażony.

Czuł, że musi się spieszyć.

Może on i dziewczyna zostawili wszystko, a może wzięli ze sobą kilka toreb.

Przygotowane produkty spożywcze i rozpoczęty projekt zabrania ze sobą prowiantu wskazują, że nie zamierzali jechać do domu we Francji, lecz chcieli się schronić stosunkowo blisko.

73

Saga Bauer się budzi, kiedy przelatują nad jeziorem Michigan. Z wysokości trzech tysięcy metrów woda sprawia wrażenie zupełnie gładkiej i połyskującej metalicznie odcieniami szarości i bieli.

Ociera dłonią usta i myśli o krótkiej wiadomości tekstowej, w której Joono pisał, że Królicza Nora to budynek, który doszczętnie spłonął, kiedy Rex był w ostatniej klasie.

Nie zgłoszono tego na policję, ale wydarzenie doprowadziło do bardzo nietypowego kroku – jeden ze szlachetnie urodzonych uczniów, Oscar von Creutz, został relegowany.

Joono napisał też, że Oscar najwyraźniej uciekł w panice z domu na Gamla stan.

Personel pokładowy powtarza, że należy wyłączyć sprzęt elektroniczny.

Saga wyjmuje z kieszeni w fotelu z przodu małą książkę w miękkiej oprawie, chowa ją do torebki, opada na oparcie i czeka, aż wylądują na międzynarodowym lotnisku O'Hare.

Jej podróż jest możliwa dzięki porozumieniu między Säpo a FBI, zawartym po zabójstwie w Szwecji wicesekretarza obrony Stanów Zjednoczonych. Odbywa się w ramach Counter Terrorism Group i wniosku o międzynarodową pomoc prawną.

Mimo że Saga nie przypuszcza, by morderstwa dokonał terrorysta, wsiadła w pierwszy samolot do Chicago.

Nie ma dla niej znaczenia, czy zostanie to nazwane wymianą informacji, współpracą w terenie, czy pomocą eksperta.

Działa w pośpiechu, bo Joono przekonał ją, że ścigają *spree killera*.

Mordercę w fazie aktywności.

Nie ma tu żadnych spokojniejszych okresów, żadnego odpoczynku. Tempo będzie podkręcanie coraz bardziej.

Zabił trzy osoby i zamierza zabić siedem następnych.

Ten little rabbits.

Saga myśli o wierszyku, odciętych uszach i Króliczej Norze.

Królicza Nora jest teraz jedynym tropem, którym mogą podążać.

Wiliam, chłopiec, który w przyszłości zostanie ministrem spraw zagranicznych, był przewodniczącym. Odbił Rexowi dziewczynę, kiedy przystąpiła do klubu.

Może Oscar von Creutz też do niego należał. Albo spalił pawilon, bo odmówiono mu wstępu.

Grace jest jedyną znaną im żyjącą osobą, która należała do klubu. Była tam, spotkała pozostałych.

Być może za jej pośrednictwem uda im się wysledzić zarówno sprawcę, jak i przyszłe ofiary.

Wiem, że Grace jest w posiadaniu najważniejszego klucza, myśli Saga w chwili, kiedy koła samolotu dotykają ziemi i gwałtowne hamowanie przesuwają ją na fotelu.

Saga odpina pas, wstaje i mijają pasażerów klasy biznes. Steward już ma ją poprosić, żeby usiadła, ale nagle zmienia zamiar i pozwala jej wyjść z samolotu przed wszystkimi.

Po kontroli paszportowej Saga mijając truchtem punkt odbioru bagażu, pokonuje tunel i wchodzi do hali przylotów. Udaje, że nie widzi kierowcy FBI trzymającego w ręku tabliczkę z napisem *Miss Bauer*.

Nie ma czasu jechać na Roosevelt Road w Chicago, pić kawę i udawać, że bada sprawę zamachu terrorystycznego.

Zatrzymuje się przy butik dla turystów, kupuje małe blaszane pudełko z ciasteczkami Swedish Dream Cookies i biegnie do wyjścia.

Grace chodziła do szkoły Ludviksberg, kiedy jej ojciec Gus Lindstrom był attache obrony w ambasadzie Stanów Zjednoczonych w Sztokholmie.

Potem wróciła do Chicago i ostatnią klasę liceum zaliczyła w dawnej szkole ojca.

Teraz jest tuż po pięćdziesiątce, nigdy nie wyszła za mąż, nie ma zarejestrowanego telefonu i nie jest aktywna w mediach

społecznościowych. Od dziesięciu lat mieszka w ekskluzywnym domu opieki Timberline Knolls Residential Treatment Center. Saga zadzwoniła tam i o nią pytała, rozmawiała z recepcjonistką i dyrektorem, poprosiła też, żeby pozdrowić Grace, ale nikt do niej nie oddzwonił.

Joona wysłał jej zdjęcie, na którym Grace jako młodzianka jasnowłosa dziewczyna z pięknymi zębami pokazuje maciupęńki puchar. Na szyi ma podwójny rząd pereł, sprzączka odbija flesz aparatu. Jasny sweter jest pofałdowany pod piersiami, a dekolot odsłania ramiączko stanika.

Saga wybiega przez szklane drzwi do hali przylotów, mija postój lotniskowych taksówek, idzie prawą stroną chodnika, przechodzi obok zakurzonych tablic z reklamami Microsoft Cloud.

Ciepłe powietrze jest przesycone wonią smażeniny i spalin. Śmieci wirują w powietrzu obok wyjścia ewakuacyjnego.

Saga przecina drogę, widzi rząd firm wypożyczających samochody, wchodzi do lodowatego biura i wynajmuje wściekle żółtego forda mustanga.

Wyjeżdża z lotniska, mija dużą dzielnicę przemysłową, potem skręca w drogę 294 i jedzie przez ciągnące się przedmieścia z willami i domkami szeregowymi.

Czy Grace jest tylko dziewczyną z bogatej rodziny, która zostawiła Rexa dla snobów z klubu dla panów, rozpieszczoną córką amerykańskiego dyplomaty, która nigdy nie czuła się dobrze w Szwecji i chciała jedynie wrócić do przyjaciół z Chicago?

Podczas czwartego semestru w szkole Ludviksberg miała najwyraźniej wystarczająco wysoką pozycję, żeby nie będąc szlachetnie urodzoną, mieć dostęp do Króliczej Nory.

Saga jedzie nad kanałami przez Waterfall Glen County Forest Preserve i widzi na wodzie uciekającą rodzinę przestraszonych kaczek.

Zwalnia i skręca w zazielenioną Timberline Drive, mija wysokie furtki i parkuje za głównym budynkiem.

W powietrzu unosi się zapach mokrego lasu i świeżo skoszonej trawy. Odkąd opuściła lotnisko, nie minęło nawet pół godziny.

Kobieta w recepcji patrzy na nią przyjaźnie zza lady z wiśniowego drzewa, na której ustawiono stojak z broszurami.

Saga przedstawia swoją sprawę po angielsku, dodaje, że przyjechała aż ze Szwecji, że jest dawną przyjaciółką rodziny Lindstromów i chciałaby odwiedzić Grace.

– Tylko spojrzę na jej grafik – mówi z uśmiechem kobieta. – Za godzinę ma arteterapię... a potem jogę.

– Nie zamierzam zająć wiele czasu – zapewnia Saga, wpisuje się w komputerze i dostaje wydrukowany identyfikator gościa.

– Proszę usiąść, zaraz przyjdzie po panią ktoś z ochrony – informuje kobieta.

Saga siada, zaczyna przeglądać broszury i dowiaduje się, że Timberline Knolls to holistyczne i duchowe centrum rehabilitacji dla kobiet od dwunastego roku życia.

– Proszę pani? – odzywa się schrypnięty głos.

Bardzo postawny mężczyzna w przyciasnym uniformie ochroniarza wlepia w nią wzrok. Sapie przez nos, a na jego czole perli się pot. Na pasku pod wielkim brzuchem wiszą pałka, paralizator i rewolwer dużego kalibru.

– Mam na imię Mark i to mnie przypadł zaszczyt zabrania panią na szkolny bal – oznajmia.

– To miło – odpowiada Saga Bauer, nie odwzajemniając uśmiechu. Wychodzą na promenadę, która prowadzi do wolno stojących domów. Krewni spacerują razem z pensjonariuszami albo siedzą na ławkach w zielonym parku.

– Macie agresywnych pacjentów? – pyta Saga.

– Przy mnie może się pani czuć bezpiecznie – odpowiada ochroniarz.

– Zauważyłam rewolwer.

– Niektórzy z naszych gości są znani i ekstremalnie bogaci... Proszę, żeby się pani nie gapiła – oznajmia mężczyzna. Oddycha z wysiłkiem.

– Nie gapię się.

– Jeżeli pani podbiegnie i będzie próbowała zrobić sobie selfie

z Keshą, poślę sześć milionów woltów w pani słodki mały tyłeczek...
A jeśli jest pani uzbrojona, to skończy się na sześciu kulkach pomiędzy
cycuszki.

Ochroniarz chodzi chwiejnym krokiem i wyciera pot z twarzy
papierowym ręcznikiem, któremu trochę brakuje do bieli.

– Twarde zasady – mruczy Saga.

– Tak, ale jeśli pani będzie dla mnie milutka, to ja też będę milutki.
Mijają większy budynek z białymi filarami i tablicą, na której widnieje
napis *Timberline Academy*, a także kamienny dom, pełniący funkcję
malarskiego atelier.

Mark jest zdyszany, kiedy otwiera drzwi i wprowadza ją do
nowoczesnego budynku. Przechodzą obok pokoju dziennego z oknami
szczeblinowymi wychodzącymi na zielen i docierają do korytarza
o jasnoniebieskich ścianach.

– Proszę zadzwonić do recepcji, kiedy będzie pani chciała, żeby po nią
przyjść – oznajmia Mark, puka cicho do drzwi i kiwa głową, dając Sadze
znak, żeby weszła.

74

Saga wchodzi do małego pokoju z łóżkiem, komodą i fotelem do czytania. Na podłodze obok dużej doniczki z palmą leży kilka kulek keramzytowych. W oknie z widokiem na promenadę stoi szczupła kobieta i dłubie w wąskiej gumowej listwie, wystającej pomiędzy ramą a framugą. Na zewnątrz widać trawę i parkową ławkę obok wielkiego rododendronu.

– Grace? – mówi łagodnie Saga i czeka, aż kobieta się odwróci. – Nazywam się Saga Bauer, przyjechałam ze Szwecji.

– Nie czuję się dobrze – odzywa się kobieta słabym głosem.

– Lubi pani ciasteczka? Na lotnisku kupiłam drömmar.

Grace odwraca się do Sagi i nerwowo pociera policzek. Czas potraktował ją z wyjątkową surowością – wyrwał z niej młodą dziewczynę i pozostawił postarzałą kobietę.

Szare włosy są splecione na delikatnym karku w cienki warkocz, twarz jest wychudzona i pomarszczona, a jedno oko zastąpione pozbawioną życia protezą z porcelany.

– W pokoju dziennym mamy ekspres do kawy – oznajmia.

Na niedużym stoliku przy kanapach stawiają talerzyki i filiżanki i siadają naprzeciwko siebie. Saga podaje jej paterę, Grace dziękuje i przekłada jedno ciasteczko na swój talerzyk.

– Wielu mieszkańców Chicago pochodzi ze Szwecji. – Grace skubie swój szary sweter. – Większość znalazła się w Andersonville. Czytałam, że przez pewien czas było tutaj więcej Szwedów niż w Göteborgu. Selma, babcia mojego taty, pochodzi z Halland... Przyjechała tu w maju tysiąc dziewięćset dwunastego roku i została służącą.

– Zachowaliście język – podchwytuje Saga, chcąc sprawić, żeby Grace mówiła dalej.

– Tata często jeździł do Szwecji i... i w końcu został attaché obrony w Sztokholmie – opowiada Grace z nutą dumy w głosie.

– Attaché obrony – powtarza Saga.

– Mamy bogate tradycje... Rozumie pani, związki dyplomatyczne zaczęły się wraz z Benjaminem Franklinem i szwedzkim ministrem spraw zagranicznych.

– Nie wiedziałam o tym.

– Tata był bardzo lojalny wobec ambasadora – mówi Grace i odstawia filiżankę na spodeczek.

– Mieszkała pani w Szwecji?

– Kochałam te jasne noce...

Kiedy Grace wykonuje gest w kierunku sufitu, dekolt jej swetra się zsuwa. Saga spostrzega, że jej kościste ramię jest poznaczone bliznami, które wyglądają jak pęki białych ości.

– Chodziła pani do szkoły nieopodal Sztokholmu.

– Do najlepszej.

Grace milknie i pozwala chudym dłoniom opaść na kolana. Saga myśli o tym, że ojciec w czasie kadencji ambasadora Lyndona White'a Hollanda był przez cały czas w Szwecji, a córka po dwóch latach powróciła do Chicago.

– Ale pani wróciła tutaj po zaledwie czterech semestrach – oznajmia Saga ze zdziwieniem w głosie.

Grace się wzdryga i posyła jej krótkie spojrzenie.

– Naprawdę? Może tęskniłam za domem...

– Mimo że pani rodzice zostali w Szwecji?

– Tata dopiero zaczął piastować urząd.

– Zanim jednak wróciła pani do domu, należała do klubu w szkole Ludviksberg – ciągnie spokojnie Saga. – Spotykaliście się zwykle w pawilonie zwanym Króliczą Norą.

Na pobrużdżonej twarzy Grace widać drgnięcie.

– Taka tam głupiotka nazwa – mamrocze.

– Ale klub był elegancki... dla najlepszych rodzin – próbuje Saga.

– Już rozumiem, o co pani chodzi... Miałam wtedy nowego chłopaka i to on mnie wciągnął do Zakonu Rycerskiego Crusebjörnów. Tak

brzmiała prawdziwa nazwa. Miałam tylko osiemnaście lat, byłam kretynką... pilną dziewczynką z Chicago, która w każdą niedzielę chodziła do szwedzkiego kościoła luterańskiego. Nigdy nie sądziłam, że odważę się z kimś spotykać, dopóki nie przyjechałam do Szwecji...

Grace zaczyna dziwnie ciężko oddychać, szuka po kieszeniach lekarstwa, wyjmuje biały słoiczek z czerwoną zakrętką, ale tabletki wypadają na podłogę.

– Czyli wie pani, kto należał do klubu?

– Oni byli jak gwiazdy filmowe... Wystarczyło, że tam weszłam, wystarczyło, że mnie zobaczyli, a już czułam się jak Kopciuszek.

Grace bierze do ręki tabletki, które pozbierała Saga, cicho dziękuje i przełyka, nie popijając wodą.

– Jak miał na imię pani chłopak?

– Chłopak to nie jest właściwe słowo... ale to stare dzieje.

– Nie wygląda pani na szczęśliwą.

– Nie – odpowiada szeptem Grace i znowu milknie.

– Wszyscy chłopcy są niedobrzy. – Saga próbuje zajrzeć jej w oczy.

– Kiedy się zorientowałam, że dodał mi coś do drinka, było już za późno. Poczułam mdłości, próbowałam iść do drzwi... Pamiętam, że patrzyły na mnie ich pozbawione wyrazu twarze... Pokój wirował, musiałam opaść na kolana, żeby się nie wyrócić... Usiłowałam powiedzieć, że chcę do domu...

Grace zakrywa dłonią usta i patrzy przed siebie.

– Skrzywdzili panią – mówi cicho Saga, starając się, żeby jej głos brzmiał łagodnie.

Grace opuszcza drżące dłonie.

– Nie wiem, leżałam na podłodze – kontynuuje bezdźwięcznym głosem. – Nie mogłam się poruszyć, ciągnęli mnie za ręce i nogi, kiedy Wille mnie gwałcił... Myślałam o mamie i tacie, zastanawiałam się, co im powiem.

– Tak mi przykro. – Saga ściska jej dłoń.

– Nigdy nie pisnęłam ani słowa, nie mogłam powiedzieć, że robili to

ze mną wszyscy w klubie... Stali w kolejce, przepychali się... Nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego są na mnie tak wściekli, krzyczeli i bili mnie po twarzy.

Grace milknie i zaczyna rozgrzebywać okruszki ciasteczek na stole.

– Proszę opowiedzieć, co pani pamięta.

– Pamiętam... pamiętam, że zaczęło mnie potwornie boleć, nie wiem, po prostu czułam, że to jest złe, że jestem poważnie ranna... Ale to trwało i trwało, dyszeli, chrząkali, całowali mnie w szyję, szarpali...

Jej głos zamiera, słysząc gwałtowny oddech.

– Zmieniali się, a ja widziałam ich zakrwawione dłonie... Prosiłam, prosiłam, żeby zadzwonili po karetkę... Kiedy nie mogłam przestać płakać, bili mnie w twarz popielniczką, stłukli butelkę...

Grace się kuli i ciężko dyszy.

– Ostatnie, co pamiętam, to że Teddy wcisnął mi kciuk do oka... Myślałam, że umrę, powinnam była umrzeć, ale tylko zemdlałam...

Jej płacz jest niepohamowany, ramiona gwałtownie drżą. Saga nic nie mówi, tylko trzyma ją w uścisku i pozwala opowiedzieć do końca.

– Obudziłam się na kupie nawozu pod stajniami, rzucili mnie tam. Znalazł mnie człowiek, który zajmował się końmi. To on odwiózł mnie do szpitala.

Saga wciąż mocno ją trzyma, dopóki Grace się nie uspokaja.

– Pamięta pani ich imiona?

Grace ociera łzy z twarzy i patrzy na swoje dłonie.

– Był Teddy Johnson... i ten, jak mu tam było... Kent... i Lawrence. Chwila... – szepcze i kręci głową. – Znam imiona ich wszystkich.

– Wcześniej wspominała pani o Willem – przypomina Saga. – Później został ministrem spraw zagranicznych Szwecji.

– Tak...

– To on był pani chłopakiem, prawda?

– Słucham? Nie, mój chłopak nazywał się Rex... Byłam w nim tak strasznie zakochana.

– Rex Müller? – pyta Saga i czuje, jak na plecach występuje jej pot.

– To on wszystko zaaranżował – mówi Grace, a jej drżące wargi rozciągają się w próbie uśmiechu. – Był najgorszy, winny wszystkiemu... Boże... Zwabił mnie do Króliczej Nory i...

Milknie, jakby jej głos się wyczerpał. Saga patrzy na kruchą kobietę i myśli, że jak najszybciej musi zadzwonić do Joony.

– Czy Rex uczestniczył w gwałcie? – pyta.

– Jasne – odpowiada Grace i zamyka oczy.

– Pamięta pani więcej nazwisk?

– Zaraz – szepcze Grace.

– Mówiła pani o Willem... czyli Williamie Focku, poza tym byli Teddy Johnson i Kent...

Drzwi do sali się otwierają i do środka wchodzi dwaj mężczyźni w ciemnoszarych garniturach.

– *Special agent Bauer?* – pyta jeden z nich i pokazuje legitymację ze złotym emblematem policji federalnej.

75

Granatowy kadłub mocno uderza o fale, a spieniona woda ochlapuje szybę kajuty. Jeden z wciągniętych odbijaczy odrywa się od liny i toczy po mokrym pokładzie.

– Trzymaj ster – mówi kapitan do Joony i wychodzi z kabiny.

Dziób jednostki ochrony wybrzeża 311 unosi się jeszcze bardziej, ale po chwili łódź opada na wodę i przyspiesza.

Przez poprzecinaną strugami szybę Joona widzi, jak kapitan wychodzi na pokład dziobowy, bierze do ręki odbijacz i mocuje go węzłem ratowniczym. Chwieje się na nogach, kiedy dziób wpada na większą falę, a woda przelewa się przez reling, ale utrzymuje równowagę, przeciąga się, wchodzi do kabiny i z powrotem przejmuje ster. Długie włosy kapitana są zaplecione w warkocz, tatuaże sięgają aż do palców, a oczy ma pociągnięte kredką kajał. Pozostali członkowie załogi najwyraźniej uwielbiają to, że bawi się w kapitana Sparrowa i mówią na niego Jack.

– Rozpędza się do trzydziestu pięciu węzłów? – pyta Joona.

– Jeśli kłuję ją w bok ostrogami – odpowiada Jack i uśmiecha się tak, że widać jego krzywe kły.

Poważnieje na twarzy i jeszcze bardziej zwiększa prędkość. Jeden z mężczyzn klaszcze w dłonie i gwizdże na palcach.

– Jack! – krzyczy mięśniak, który siedzi i czyści pistolet. – Przy tej prędkości musisz uważać na straż ochrony wybrzeża.

– Słyszałem, że to twardzi chłopcy – odpowiada kapitan.

– Nie tak twardzi jak my! – odkrzykują chórem pozostali.

Joona się uśmiecha i spogląda na wzburzone morze. Silny wiatr goni po niebie czarne chmury.

Oba telefony – Oscara i Caroline – nie są już używane, ale Anja znalazła na Instagramie ostatni post dziewczyny. Zrobiła zdjęcie samej siebie z naburmuszoną miną i podpisała: *quality time*.

Na zdjęciu stoi oparta o stos szarych europalet. Za jej plecami widać czerwoną metalową tablicę Administracji Transportowej z informacją o pomocy Stavsñäs.

Anja od razu ustaliła, że przyrodni brat Oscara jest właścicielem małego domku na wyspie na zewnętrznych szkierach, w linii prostej od Stavsñäs.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, to zaszczyt, że mogę cię zabrać. – Kapitan posyła Joonie krótkie spojrzenie.

Pokład pod ich stopami wibruje od pracujących na wysokich obrotach silników Diesla. Ostro skręcają przy grupie szpiczastych wysepek i nagle znajdują się w jednej linii z grzebieniami wysokich fal, unoszą się na nich, woda wlewa się na pokład i znika w otworach odpływowych.

Kapitan wskazuje przez szybę szaroczną wyspę, która w ciemności wygląda jak pole jeszcze głębszej czerni.

– Bullerö nie jest po prostu jedną z tysięcy tutejszych wysp... Kiedy Bruno Liljefors sprzedał ją Kreugerowi, zaczęli tu przyjeżdżać tacy goście jak Zarah Leander, Errol Flynn i Charlie Chaplin... Na tę właśnie małą wysepkę. Prawie same skały, można ją obejść w godzinę. Jak myślisz, co tu robili? – Jack chytrze kiwa głową.

Szybko zbliżają się do wyspy, a kapitan zwalnia. Jeden z członków załogi wychodzi, staje na szeroko rozstawionych nogach, żeby się nie przewrócić, i wywiesza odbijacze za sterburtę.

Na wyspie nie widać żadnych świateł. Spienione fale biją o strome skały, rachityczne drzewa zginają się na wietrze.

– Czy wolno zapytać, co nas tu właściwie czeka? – odzywa się kapitan.

– Szukam człowieka, którego muszę przesłuchać – odpowiada Joonie.

Wpływają do portu, na betonowe nabrzeże, do którego zwykle zawija prom. Kapitan wrzuca wsteczny, ale i tak o nie zahacza i rozlega się zgrzyt drapanego kadłuba. Po chwili, huśtając się na wodzie, dobijają sterburtą do brzegu.

– Ten człowiek... Czy jest niebezpieczny? – pyta Jack, próbując skontrolować fale, które zostawili za sobą.

– Pewnie się boi – oznajmia Jooną i wychodzi na pokład, kiedy członkowie załogi cumują.

– Mam pójść z tobą? – Jack wychodzi z kabiny.

– Weź pistolet.

Zeskakują na ląd, a kiedy idą po nagich skałach, Jack zapina na biodrach kaburę. Na wyspie jest bardzo ciemno, noc sięgnęła tu głębiej. Fale uderzają o skały z rytmicznym szumem, słychać skrzekliwe skargi mew.

Dom, który od początku był zwykłą chatą rybacką, leży nad południową zatoką, w pewnej odległości od reszty zabudowań.

Na tle wieczornego nieba fasada początkowo wygląda na czarną, jak zakrzepła krew, ale im bardziej się zbliżają, tym wyraźniej widzą tradycyjny czerwony dom z drewna, połączony z hangarem na łodzie, stojącym na palach nad wzburzoną wodą.

Ubrania Joony łopoczą na wietrze, kiedy przystaje i sprawdza broń.

Dom jest zabezpieczony jak przed orkanem. Drzwi i okna zabito deskami z zewnątrz.

Jooną i kapitan schodzą do budynku. Rynny są zarośnięte trawą, a krzewy agrestu poruszają się na silnym wietrze.

Przy domu leżą ciemnożółte boje i dryfkotwy. Na tyłach stoi stara rama, która wygląda jak bramka futbolowa z zardzewiałymi gwoźdźmi wzdłuż poprzeczki.

– Nikogo tu nie ma – stwierdza Jack.

– Zobaczymy – mówi cicho Jooną.

Przez głowę przechodzi mu myśl, że Oscar i jego dziewczyna przypłynęli w to miejsce własną łodzią i wjechali do hangaru jak do garażu.

Może dojazd od strony wody jako jedyny nie jest zablokowany.

Jooną powoli schodzi po śliskim zboczu koło hangaru na łodzie, przykłada twarz do desek nisko na ścianie i próbuje coś dostrzec przez szczelinę.

Powoli pojawia się rozkołysana powierzchnia wody. Odbicie nieba

porusza się pomiędzy poszarzałymi deskami.

– W środku nie ma żadnej łodzi – oznajmia Jooną i wspina się z powrotem pod górę.

Mija drewnutnię ze stosami brzożowego drewna, widzi siekiere tkwiącą głęboko w pieńku i duże wióry na ziemi dookoła.

Przystaje obok szopy na narzędzia i drewno. W szczelinach zalegają trociny. Jooną daje Jackowi znaki, żeby się zatrzymał. Ostrożnie zbliża się do szopy, otwiera drzwi i wchodzi do środka.

Narzędzia wiszą uporządkowane na ścianie. Warsztat stolarski z piłką ręczną stoi obok koziołków do cięcia drewna, ułożonych jeden na drugim.

– Chyba tu są – mówi Jooną i zdejmuje ze ściany łom.

– Gdzie? – pyta Jack.

– W domu.

– Nie sądzę.

– Drzwi i okna zostały zabite deskami całkiem niedawno.

– Dlaczego tak myślisz?

– Bo od dwóch dni wieje wiatr z zachodu. Oscar ciął tu drewniane belki i zanosił je do domu. Większość wiórów wywiało, ale nie te, które leżały ochronione przed wiatrem, tu w szczelinach.

– No tak, okej – zgadza się Jack. – Masz rację, że to by tu nie leżało, gdyby wiatr zmienił kierunek... Ale wszystkie wejścia są zabite od dworu. Nikt nie może tu przebywać bez pomocy kogoś z zewnątrz.

Wracają do domu i patrzą raz jeszcze. Na pajęczynie pod zabitym deskami oknem wisi odrobina trocin. Jooną szarpie deski, podchodzi do następnego okna, idzie dalej za róg, przystaje przed drzwiami kuchni i zauważa, że otwierają się do środka.

Nie ma znaczenia, że są na nich deski.

Naciska klamkę i próbuje pchnąć drzwi.

Najwyraźniej są zabite od środka.

Oscar i Caroline przybili deski na zewnątrz, żeby dom wyglądał na zamknięty, a potem weszli do domu i zapieczętowali drzwi od środka.

76

Czterocalowe gwoździe zgrzytają, kiedy Jooną odrywa deski przybite na drzwiach. Przykłada ciężki wierzchołek łomu tuż przy zamku i naciska. Rozlega się trzask rozdieranej futryny i cała blacha zaczepowa zamka się odrywa.

Jooną otwiera drzwi i zagląda do ciemnego przedpokoju. Oprócz drzwi do kuchni wszystkie wejścia są zabezpieczone od zewnątrz.

– Policja! – krzyczy głośno. – Wchodzimy!

Jego słowa zostają pochłonięte przez mrok i ciszę. Porywisty wiatr dmie nad dachem i wprawia wiatrowskaz w zgrzytliwy ruch.

Jack oddycha szybciej, rzuca nerwowe spojrzenia i coś do siebie szepcze. Jooną wyciąga pistolet i czujnie wchodzi do przedpokoju. Na dywanie leży mała lalka z dziwnie rozszerzonymi nogami. Ktoś zamazał jej twarz tuszem.

Płaszcz przeciwdeszczowe i stare pikowane kurtki wiszą na hakach nad półką z kaloszami i drewnianymi chodakami.

Jooną otwiera szafkę elektryczną za drzwiami i widzi, że główny włącznik prądu jest wyłamany.

– Nikogo tu nie ma – szepcze znowu Jack.

Wchodzą dalej do pokoju telewizyjnego ze zniszczoną skórzaną sofą. Powietrze jest kompletnie nieruchome, czuć suchym drewnem i kurzem. Czarny ekran telewizora odbija zasłony i skrzyżowane deski za szybą.

– Policja! – krzyczy znów Jooną. – Musimy z tobą porozmawiać, Oscar!

Otwiera drzwi i wchodzi do sypialni z zaścielonym piętrowym łóżkiem. Szerokie klepki podłogi skrzypią pod jego ciężarem. Moskitiera okienna stoi oparta o ścianę, a kabel lampki jest wyciągnięty z gniazdka. Na dolnym posłaniu leży wilgotny dziecięcy rysunek przedstawiający zadowoloną dziewczynkę, trzymającą za rękę szkielet.

Jack wchodzi do drugiej sypialni i słyszy trzask, który po chwili ucicha. W miejscu, w którym się znajduje, prawie nie ma światła.

Zasłony są zasunięte, a szczelinę pomiędzy nimi zamykają trzy spinacze do ubrań.

W podwójnym łóżku ktoś leżał – narzuta jest ściągnięta, a na jednej z poduszek widać plamy zakrzepłej krwi. Niebieska torba z Ikei jest wypełniona ubraniami i butami.

Kiedy Jack otwiera szafę, mebel chwieje się na nierównym podłożu. Na półkach leżą tylko dwie wyblakłe koszulki i niebieskie bikini.

Za jego plecami ponownie rozlega się trzask. Jack się odwraca i próbuje wyjąć pistolet z kabury.

Przesuwa się w bok, ale nie dostrzega niczego w ciemnym kącie przy łóżku. Drżąc, wyjmuje pistolet, podchodzi ostrożnie i pod łóżkiem zauważa kształt, duży jak dziecięca głowa.

Znów słychać stukot. Jack dochodzi do wniosku, że to musi być mewa schodząca po dachówkach.

Idzie dalej w kierunku ciemnego kąta, pochyla się tak, że warkocz zwisa mu przez ramię, i spostrzega, że to tylko wgnieciona plastikowa piłka z żółtym pokemonem.

Joona zagląda do łazienki z jasnoniebieską wykładziną, toaletą spalającą na gaz, umywalką i zamkniętą kabiną prysznicową. Na pralce stoją zawilgocone opakowanie proszku do prania i koszyk ze spinaczami. Joona wchodzi i otwiera drzwi do kabiny, na których widnieją wapienne smugi. W środku widzi tylko wiadro z mopem o plastikowym trzonku.

Wychodzi z łazienki i spotyka Jacka w przejściu do kuchni – ostatniego pomieszczenia w domu.

Patrzą na siebie i kiwają głowami.

Jack wyciąga rękę, naciska klamkę zamkniętych drzwi, popycha je i robi krok do tyłu, a Joona wchodzi z wyciągniętym pistoletem.

W środku nie ma nikogo.

Joona szybko obchodzi wysoki stół z trzema krzesłami barowymi, kieruje pistolet w stronę lodówki, potem go opuszcza.

Okno od wewnątrz jest zasłonięte kartonem, ale w słabym świetle z zewnątrz, które mimo wszystko wpada do środka, widać rzędy puszek z konserwami ustawione na blacie.

Joona idzie po skrzypiącej podłodze i przystaje przed drzwiami.

Są zabite deskami od wewnątrz.

To tędy weszli, dokładnie tak, jak przypuszczał.

Tuż przed nim są drzwi łamane, wykonane z drewna, które prowadzą do połączonego z domem hangaru na łodzie.

Joona kładzie dłoń na starym kominku na drewno, który stoi obok nowoczesnego kominka elektrycznego.

Jest zimny.

Na szufelce w rogu leżą odłamki miski i kilka cukierków.

Joona się pochyla, dotyka plamy krwi na nodze stołu, a potem dostrzega krople na podłodze – ślad prowadzi do hangaru.

Unosi pistolet, podchodzi do łamanych drzwi, próbuje je otworzyć, ale już po dziesięciu centymetrach nie chcą drgnąć.

Nagle wydaje mu się, że w mroku za drzwiami mignęło światło. Nachyla się do szczeliny pomiędzy grubymi skrzydłami i zagląda. Widzi tylko, że hangar jest używany jako jadalnia. Ma wrażenie, że po jednej stronie dostrzega podłużny stół i oparcia krzesel. Znowu próbuje otworzyć drzwi, ale nieruchomieje, kiedy słyszy lekkie uderzenia dobiegające z hangaru.

Znów zapada cisza.

Czeka kilka sekund, a potem wciska w szczelinę ramię, aż po bark.

Teraz nie może już zajrzeć do środka, ale stara się obmacać drzwi od tamtej strony, żeby się zorientować, w jaki sposób są zablokowane.

Z hangaru znów dobiegają przerywane odgłosy uderzeń.

Joona zastyga, nasłuchuje i drugą ręką przykładą lufę pistoletu do szczeliny w drzwiach. Pierwszą nadal przeszukuje wnętrze.

– Co się dzieje? – pyta szeptem Jack.

Joona opada na kolana i przy podłodze wyczuwa solidny rygielek. Ostrożnie podnosi go czubkami palców.

Rygielek ustępuje z lekkim zgrzytem i szczelina odrobinę się powiększa.

Joona szybko wycofuje rękę, wstaje, odsuwa się i celuje w szczelinę na wysokości klatki piersiowej.

Dźwięków uderzeń już nie słychać.

Otwiera drzwi i zagląda w ciemność. Otwierane drzwi terkoczą i składają się stopniowo ku ścianie.

Joona przemieszcza się bezgłośnie bokiem, trzymając uniesiony pistolet, i usiłuje rozpoznać kształty w ciemności.

Nagle na środku pokoju dostrzega człowieka.

Jego twarz znajduje się nieco ponad metr nad podłogą.

Joona odruchowo opada na kolana, natychmiast znajduje linię strzału i kładzie palec na spuście.

W słabym świetle padającym z okna po stronie zachodniej widzi młodą kobietę, która siedzi związana na krześle.

Jej jasne włosy są skołtunione, a usta zaklejone taśmą.

Wpatruje się w Joonę i szarpie tułowiem tak gwałtownie, że nogi krzesła stukają o podłogę.

– Caroline? – pyta Joona.

77

Związana kobieta patrzy na Joonę szeroko otwartymi oczami. Pod nosem ma czarną zakrzepłą krew, a jej ramiona i kostki są skrępowane grubą taśmą tekstylną.

– Caroline? – powtarza Joon. – Nie bój się, jestem policjantem i przyszedłem ci pomóc.

Za jej plecami jest stół, a na nim otwarte puszki konserw z łyżkami w środku, pieczywo chrupkie i wielki plastikowy kanister z wodą.

– Co to jest, do cholery? – pyta szeptem Jack.

Hangar nie jest ocieplony i przez szpary w podłodze ciągnie zimno. Ponure światło wpadające przez okno z brudną firanką odbija się w zawieszonym u sufitu łańcuchu, na którego końcu jest hak podnośnika. Z belki zwisają mosiężne lampy, liny i blok starego drewna. Przy jednej ze ścian stoi kufer, a w głębi można dostrzec lakierowane drzwi starej szafy na sieci rybackie.

Młoda kobieta nerwowo potrząsa głową, a po jej policzkach zaczynają spływać łzy.

– Nie bój się – powtarza Joon. – Jestem policjantem.

Wkłada pistolet do kabury i ostrożnie stawia kroki na skrzypiącej podłodze. Wiatr napiera na jednoszybowe okno. Joon się odwraca i zagląda do kuchni, zatrzymuje spojrzenie na nieruchomych cieniach i podchodzi do kobiety.

Ostrożnie odrywa taśmę sklejącą jej usta. Caroline kaszle i kilka razy zwilża usta, a potem podnosi wzrok i patrzy mu w oczy.

– Zaraz cię zabiję – mówi cicho.

Pod nimi słychać chlupot morza. Nogi krzesła stukają o podłogę, kiedy kobieta próbuje się oswobodzić.

– Oscar uważa, że mnie zgwałcis, ale ja jestem innego zdania.

– Nikt cię nie zgwałci, jesteśmy policjantami.

– Nie wyglądacie na policjantów.

– Gdzie jest Oscar?

– Nie mam z tym nic wspólnego – szepcze kobieta z desperacją w oczach. – Nawet nie znam Oscara, chcę tylko pojechać do domu, nie obchodzi mnie, co z nim zrobicie, stał się paranoikiem, nie można nawiązać z nim kontaktu.

Podłoga dziwnie pod nimi trzeszczy, a łyżka w puszcze z ravioli brzęczy od wibracji.

– Po prostu powiedz, gdzie on jest – powtarza cicho Jooną.

– W szafie na włóczkę – odpowiada Caroline i kiwa głową przez ramię.

Rozlega się dziwne tykanie. Jooną widzi, że w zbudowanej na wymiar szafie mruga małe białe światełko – jak z telefonu, tylko szybsze.

– Jest uzbrojony? – pyta.

– Nie wiem, nie sądzę – odpowiada kobieta.

Jack idzie w kierunku zamkniętych drzwi szafy, podnosi przewrócone krzesło i popycha je w stronę stołu.

W całym pokoju rozlegają się trzaski, jakby napinanej liny.

Jooną mierzy z pistoletu w szafę, ponownie rzuca szybkie spojrzenie w kierunku kuchni, cofa się o kilka kroków w kierunku łamanych drzwi, żeby mieć na oku cały ciemny hangar.

Podłoga trzeszczy.

Jooną celuje prosto w drzwi szafy, rzuca szybkie spojrzenie w kierunku związanej kobiety, pustych szpul przy suficie i Jacka idącego wzdłuż stołu.

Spod hangaru dochodzi przeciągły dźwięk, jakby suchego drewna ciągniętego po drewnie. Podmuch wiatru podrywa z podłogi kłęb jasnych włosów.

Jack robi krok do przodu i odsuwa zwisający gruby łańcuch z hakiem, żeby utorować sobie drogę.

– Zbliżam się – mówi w stronę szafy. – I proszę cię...

Rozlega się huk i pod Jackiem otwierają się dwie wielkie luki w podłodze. Opadają, uderzają mocno o ścianę pod nimi i lekko

odskakują.

Spadając, Jack wciąż trzyma łańcuch, który z grzechotem przelatuje przez bloczek.

Hak podjeżdża do góry i blokuje się w szpuli, belka stropowa trzeszczy.

Upadek Jacka zostaje nagle zahamowany. Jack wrzeszczy wniebogłosy, kiedy kość ramienna zostaje wyrwana ze stawu.

Stół i krzesła z pluskiem wpadają do czarnej wody w dole.

Jack dynda na krawędzi, ale udaje mu się utrzymać.

Drzwi do szafy na sprzęt rybacki się otwierają i wybiega z niej Oscar. W ręku trzyma koktajl Mołotowa – szklaną butelkę z benzyną i płonącym paskiem materiału.

Rzuca w Joonę butelką, ale trafia w jedną ze szpul zwisających z sufitu. Rozlega się trzask, na przywiązaną do krzesła kobietę sypią się odłamki szkła i chlapie płonąca benzyna.

Kobieta natychmiast staje w płomieniach. Jooną pędzi do niej, kopie ją w klatkę piersiową, aż krzesło z wielką siłą opada do tyłu, uderza oparciem o krawędź wielkiego otworu, robi woltę w powietrzu i wpada do wody.

Oscar coś krzyczy i próbuje zapalić kolejny koktajl Mołotowa. Z zapalniczki wydobywają się iskry, ale nie ma płomienia.

Jooną odlicza sekundy i zaczyna biec wąską krawędzią w stronę zawiasów, na których tkwi lewa połowa klapy podłogowej.

Kobieta jest w wodzie. Jej włosy są skołtunione.

Jooną zaczepia kurtkę o okno, wrywa się, traci równowagę, wyciąga rękę i szarpie zastłonę.

– Odwalcie się ode mnie! – krzyczy Oscar.

Zapalniczka iskrzy znowu, dokładnie w chwili, kiedy Jooną przechodzi na drugą stronę i podbiega do niego, obraca tułów i wyprowadza cios przedramieniem w bok szyi. Siła ataku sprawia, że głowa Oscara odskakuje, a okulary lecą kawałek dalej.

Obaj uderzają o ścianę, Jooną wbija mu kolano w żebra, przekręca go

na bok, odwraca się w przeciwnym kierunku i przerzuca go przez biodro.

Oscar stęka i wali się bezwładnie na podłogę, otwiera oczy, patrzy na sufit i mruga, oszołomiony.

Tocząca się butelka mija kant i wpada do wody.

Joona odciąga mężczyznę od szafy i wie, że sekundy, którymi dysponuje, zaczynają się kończyć.

– Nie, nie, nie – skamle Oscar i próbuje się trzymać podłogi.

Lampa się przewraca, szklany klosz pęka na kawałki. Joona ciągnie za sobą Oscara, jedną obręcz kajdanek zaciska mu szybko na nadgarstku, a drugą na słupku w ścianie.

– Nie zabijaj mnie – dyszy Oscar. – Proszę, posłuchaj, zapłacę...

Nie oglądając się za siebie, Joona podbiega do krawędzi i skacze. Przecina powierzchnię wody i wpada prosto w zimną toń. Huczy mu w głowie, a bąbelki otaczają go jak pył kometę.

Uderza stopami o jedno z krzesel. To go zatrzymuje.

Odwraca się w wodzie, pracuje nogami i płynie w dół w ciemności.

Nic nie widzi, ale musi omijać zatopione graty.

Jedną ręką próbuje odepchnąć ciężki stół, powoli płynie wzdłuż blatu i dociera do dna.

Ciężkie ubrania hamują jego ruchy, kiedy szuka kobiety przy chropowatych formacjach skalnych. Szuka głębiej, wyczuwa pod palcami zbutwiałe resztki starej łódki, wręg i śluzowate wiosło.

Mruga w czarnej wodzie i czuje w oczach zimno.

Płynie w dół.

Jego dłonie błędzą po koloniach ślimaków na jednym z palów hangaru. Nagle w wodę wpada rozhuśtana wiązka światła.

Jack trzyma nad taflą zapaloną lampę.

Przez wirujący pył i bąbelki Joona dostrzega kształt kobiety. Zsunęła się po pochyłym zboczu do głębszej wody i leży na boku, nadal przymocowana do krzesła.

Joona odpycha się nogami i do niej podpływa.

Kobieta patrzy mu w oczy, wciąż wstrzymuje oddech. Jej zbielełe

wargi są zaciśnięte.

Joona szarpie krzesło, próbuje się zaprzeć stopą o skałę, żeby mieć więcej siły, ale zaklinowało się w innych krzesłach, spiętrzonych przy najbardziej wysuniętym palu.

Szybko uwalnia nóż, rozcina taśmę wokół jej nóg i odrywa. Kobieta dostaje ataku paniki, zaczyna kopać i nie jest w stanie dłużej walczyć z odruchem oddychania.

Ból pojawia się natychmiast, jak tylko kobieta robi wdech. Jej ciało odbija do tyłu, jakby pod wpływem silnego ciosu. Kobieta próbuje wszystko wykaszleć, ale nabiera tylko więcej wody do płuc i zaczyna się wić w konwulsjach.

Joona odcina taśmę owijającą ramiona i tułów, szybko pracuje nożem. Kobieta wstrząsają drgawki, z jej ust i nosa leje się krew. Joona wypuszcza z ręki nóż, zdejmuje jej miotające się ciało z krzesła, odpycha się nogami i płynie ku górze.

Odsuwa krzesła, wprawiane w ruch przez prądy, robi ostatni wykop nogą i wystawia twarz kobiety nad wodę.

Kobieta kaszle i wymiotuje wodą, wciąga powietrze do płuc i kaszle ponownie.

Jack stoi nad luką w podłodze, w ręku trzyma bosak z zawieszoną na nim lampą naftową. Na ściany szybu pada ciepłe światło.

– Śmigłowiec pogotowia ratunkowego jest już w drodze! – krzyczy.

Joona wchodzi po drabinie, obejmując kobietę jedną ręką. Kładzie ją na brzegu. Kobieta klęka, kaszle, ciężko dyszy, zaczyna płakać, znowu kaszle i pluje krwią. Nagle dociera do nich odgłos śmigieł.

– Weźcie ją, już ją macie – jęczy Oscar. – Jesteśmy kwita. Zostanę tutaj, nic nie powiem, obiecuję, nie widziałem was.

Joona pomaga młodej kobiecie przejść przez ciemny dom i wyjść na pagórek na tyłach budynku. Śmigłowiec zniża lot. Jack wsiada za nią, trzymając się za ranną rękę. Jego oczy mają czarne obwódki od rozmazanego kajalu, a ubranie powiewa.

78

Gdy tylko helikopter z Jackiem i Caroline na pokładzie znika nad wodą, Joona wraca do domku, zabiera z łazienki ręcznik i idzie do hangaru.

Oscar von Creutz siedzi oparty plecami o ścianę. Na widok Joony przestaje obgryzać paznokiec kciuka i próbuje się odsunąć.

Joona podchodzi do niego, patrzy na luki w podłodze i puste szpule na suficie.

Chodzi o to, żeby liny przechodziły przez szpule – pozwala to swobodnie zwolnić blokady pod podłogą, opuścić klapy i tym samym uzyskać dostęp do łodzi.

– Proszę, nie rób tego, nie musisz tego robić – błaga Oscar, daremnie próbując wyszarpnąć dłoń z obręczy kajdanek.

– Nazywam się Joona Linna, jestem komisarzem Narodowego Wydziału Operacyjnego.

– Naprawdę? – mamrocze skołowany Oscar.

– Tak.

– Nie rozumiem. – Znow zaczyna obgryzać paznokiec. – To chore. Czego chcecie? Co tu robicie?

Joona rusza wzdłuż krawędzi luki w podłodze, przystaje przed trzęsącym się mężczyzną i czeka, aż ich spojrzenia się spotkają.

– Jesteś podejrzany o uprowadzenie, próbę zabójstwa i pobicie – mówi spokojnie.

– Co za gówno. Mam prawo do obrony – cedzi przez zęby Oscar i znow patrzy w podłogę. – Czego wy, do cholery, ode mnie chcecie? Nie rozumiem...

Milknie, zakrywa twarz dłonią i oddycha z drzeniem.

– Opowiedz o Króliczej Norze – prosi Joona.

– Najpierw chcę porozmawiać z adwokatem.

– Wszystko, co się wtedy wydarzyło, i tak jest już przedawnione.

– Przedawnione? Nie wygląda na to – odpowiada Oscar.

– Może i nie – stwierdza Jooną ponuro.
– Muszę dostać ochronę. Pewien człowiek nas ściga, zabija, jednego po drugim, jak króliki.

– Słyszałeś wierszyk?

– Wspominałem już o tym?

– Nie.

– Nie mam paranoi, mogę wszystko powiedzieć. Wiem, kto to jest... Mówię ci, to uczeń z Ludviksbergu, który nas nienawidzi. On jest jak demon. Przypatrywał nam się przez trzydzieści lat, a potem zaczął działać, zaczął nas zabijać jak króliki.

– Kto?

– Jeśli jesteś policjantem, musisz go powstrzymać.

– Czy mogę usłyszeć nazwisko? – pyta Jooną i wręcza mu okulary.

– Nie wierzysz mi, prawda?

– Nie.

– Mogę wszystko udowodnić – zapewnia Oscar i zakłada okulary. – To logiczne, o ile zrozumiesz, kim byliśmy... Małą ekipą, która władała szkołą, byliśmy jak bogowie... Pytałeś o Króliczą Norę... To był pawilon należący do zakonu rycerskiego rodu Crusebjörnów z korzeniami sięgającymi dworu Fryderyka Pierwszego, bla, bla, bla... Wszystko to wiedzieliśmy, ale mieliśmy kompletnie gdzieś jako jedną z tysiąca rzeczy, które niósł za sobą nasz status... Chodziliśmy do Króliczej Nory chlać i sypiać z najładniejszymi dziewczynami w szkole.

Oscar uśmiecha się do siebie sarkastycznie i ociera pot z górnej wargi. Potem mówi dalej:

– Tam był inny świat... Oglądaliśmy filmy porno i wymieniliśmy portret księcia Eugena na planszę z amerykańskim myśliwcem bojowym... Podobał nam się natowski Evaluator Squadron, bo na płetwach ogonowych samolotów mieli symbol króliczka Playboya.

– Ale spaliłeś ten pawilon – mówi Jooną łagodnie.

Oscar obgryza paznokcie kciuka i patrzy przed siebie.

– Mówisz, że ktoś was ściga i zabija – kontynuuje Jooną. – Czy to ma

coś wspólnego z pożarem?

– Z pożarem? – pyta Oscar, jakby się ocknął z drzemki.

– Tak.

– To wszystko prawda, do cholery... – mówi i pociera twarz wolną ręką. – Ludzie giną, to nie są żadne moje fantazje...

– Idę sobie – oznajmia Joona.

– Poczekaj, proszę... Próbuję tylko wszystko wyjaśnić, żebyś mi uwierzył, kiedy podam to nazwisko – wyjaśnia nerwowo Oscar. – W równoległej klasie był taki Rex, uważaliśmy go za kompletnego nieudacznika, ale stale za nami łąził, chciał być w naszej paczce, załatwiał nam piwo i odrabiał za nas prace domowe... Dokładnie pamiętam pewne deszczowe popołudnie, kiedy paliliśmy papierosy za szkołą... Tam były takie nieczynne schody... Rex siedział na krawędzi i zaczął opowiadać, że się umawia z dziewczyną o imieniu Grace... Zauważyłem, że Wille skojarzył, o kogo chodzi, i się nią zainteresował. Chciał wiedzieć więcej i skłonił Ręxa do przechwałek, że spał z nią na łące za szkołą... To było żałosne, ale Wille uwielbiał tę grę... Zaledwie kilka godzin później w rozmowie z Grace skłamał, że Rex dołączył do naszej paczki i ona też może do niej wstąpić, bo są razem... Nie wiem, co dokładnie powiedział, ale mniej więcej chodziło o to, że tego samego wieczoru Rex zorganizował dla niej imprezę... Zwykli uczniowie nie mogli wychodzić po ósmej, ale chłopak, który pracował jako stróż i zwykle nam pomagał, otworzył dom i zaprowadził ją do Króliczej Nory.

Zimny nocny wiatr od wody ciągnie przez szyb. Kłapy podłogowe uderzają o krawędzie, po chwili zapada cisza.

– Myślę o tym każdego dnia – mówi szeptem Oscar. – Że... zrobiła się na bóstwo i była taka szczęśliwa, zarumieniona, opowiadała o Rexie i przez cały czas wierzyła, że on przyjdzie, ale był zamknięty w stajni.

Wąskie usta Oscara wykrzywiają się w czymś, co ma przypominać uśmiech, a oczy są zupełnie ciemne.

– Wille zamknął Ręxa i powiedział mu, że przejął Grace. Tak to się

odbywało, to było normalne.

Zapada cisza. Oscar powoli kręci głową. Wiatr wieje nad dachami, wprawiając szyby w drżenie.

– Mów dalej.

– Chyba nie mam ochoty mówić więcej – odpowiada szeptem.

– Ile miałeś lat, kiedy to się działo?

– Dziewiętnaście.

– No to nie możesz obwiniać innych – oznajmia Joon.

– Nie robię tego. Tylko że Wille lubił poniżać ludzi – kontynuuje Oscar ciszej. – Lubiał ich skłaniać do tego, żeby się czołgali, wstydzili. Ale to... to, co się stało, kiedy Grace zrozumiała, że czymś ją odurzyli, jest tak... Piekło, które jej zgotował, i to wszystko, co kazał nam robić... Byliśmy pijani. Nie chcę myśleć o tym, kto co robił. Niektórzy krzydzeli, inni byli jak zwierzęta... Ja nie chciałem, ale wszyscy musieli... wszyscy musieli brać w tym udział. Włożyli mi na głowę opaskę z króliczymi uszami i to zrobiłem. Nie wiedziałem nawet, że jestem do tego zdolny, ale byłem. To siedziało we mnie... Byłem tak cholernie przerażony, ale to zrobiłem... Namówili nawet tego cholernego ciecica, żeby to z nią zrobił, zanim ją wypuścił.

– Absalona Ratjena?

Oscar kiwa głową, przez chwilę patrzy przed siebie, a potem opowiada dalej:

– Po wszystkim, kiedy wypuściliśmy Rexa ze stajni, Wille powiedział mu, że spał z Grace. Wymyślił mnóstwo bzdur, które niby robili, opowiadał, jak bardzo jej się podobało... Ja po prostu byłem jak ogłuszony, czułem się pusty w środku, jakby coś wysssało mi duszę, i myślałem tylko o tym, żeby zostawić szkołę za sobą. Zacząłem iść, ale kiedy dotarłem do kąpieliska, tuż przed mostem, postanowiłem, że wrócę i spalę ten pawilon.

– Zostałeś wydalony ze szkoły.

– Nie opowiadam tego w oczekiwaniu na przebaczenie. Wiem, że źle zrobiłem, ale, kurwa, nie chcę umierać – mówi Oscar. – Chcę tylko, żebyś

mi uwierzył, kiedy powiem, że to Rex Müller nas ściga.

– Wydajesz się przekonany.

– Tak.

– Ale przecież jeszcze niedawno myślałeś, że to ja jestem mordercą – stwierdza Jooną.

– Rex ma pieniądze, nie musi brudzić sobie rąk, jeśli nie chce.

– Jesteś pewien, że podczas gwałtu przebywał w zamknięciu?

– Sam go zamknąłem... i sam po wszystkim wypuściłem – odpowiada ponuro Oscar.

Jooną wyjmując przemoczony telefon z wewnętrznej kieszeni, patrzy na czarny wyświetlacz i orientuje się, że aparat jest zniszczony.

Wszystko się kręci wokół gwałtu sprzed trzydziestu lat.

Dziewiętnaście minut cierpienia ofiar z pewnością jest równe czasowi trwania gwałtu.

Rex był zamknięty w stajni, wszystkie chłopaki brały w tym udział, ale w Króliczej Norze był jeszcze ktoś oprócz Grace.

– Mówiłeś, że wszyscy tam byli – mówi Jooną.

– Tak.

– Ale to nie do końca prawda, mam rację?

– Nie do końca? – mamrocze Oscar.

– Czy był tam jakiś świadek?

– Nie.

– Kto was widział?

– Nikt.

– Muszę poznać nazwiska wszystkich, którzy przebywali w Króliczej Norze – mówi Jooną.

– Nie ode mnie.

– Trzeba im załatwić ochronę.

– Ale ja nie chcę, żeby mieli ochronę – odpowiada Oscar i patrzy na niego pustym wzrokiem.

79

Valeria schodzi do szklarni. Jest chłodno, więc owija się szczelnie swetrem. Ma zamiar poprosić Mickego o pomoc ze szkieletem nowej szklarni łukowej. Kocha swoje gospodarstwo, powietrze pełne tlenu, półki w szklarni, rzędy roślin i drzew.

Ale tego dnia czuje w piersi brzęczącą pustkę.

Wie, że powinna przesadzić rośliny do doniczek, ale nie potrafi.

Zamyka za sobą szklane drzwi, odsuwa kilka wiader, siada na prostym metalowym stołku i patrzy w przestrzeń.

Kiedy Micke otwiera drzwi, podrywa się zaskoczona i wstaje.

– Cześć, mamó – mówi Micke i podnosi butelkę szampana w torbie na prezent.

– Nie udało się – odpowiada Valeria z zaciętym wyrazem twarzy.

– Co się stało?

Valeria się odwraca i zaczyna obrywać uschnięte liście świdośliwki kłosowej, żeby zająć czymś ręce.

– On żyje teraz innym życiem.

– Myślałem...

Micke urywa, a ona z powrotem się do niego odwraca i wzdycha. Nadal jest zdziwiona, że dorósł. Czas zamarzał w pamięci, kiedy trafiła do więzienia, a dzieci w jej myślach jakimś sposobem nadal miały po pięć i siedem lat. Synowie na zawsze pozostali dwoma malutkimi chłopczykami w piżamach, którzy uwielbiali, jak ich goniła i łaskotała.

– Mamó, chodzi po prostu o to. że on cię chyba uszczęśliwia.

– Nigdy nie przestanie być policjantem.

– Nie szkodzi – stwierdza Micke. – To znaczy... akurat ty nie powinnaś mówić ludziom, jak powinni żyć.

– Nie rozumiesz... Kiedy siedział w więzieniu, nie musiałam już wstydić się tego, kim się stałam.

– Przez niego się wstydziłaś?

Valeria kiwa głową, ale nagle nie wie, czy to prawda. W jej piersi prędko nabrzmiwa nieprzyjemny chłód.

– Mamo, co się właściwie stało? – pyta Micke i ostrożnie stawia butelkę szampana na betonowej podłodze.

Valeria odpowiada szeptem, że może powinna zadzwonić i z nim porozmawiać. Wychodzi ze szklarni, ociera łzy z policzków, próbuje zachować spokój, ale i tak ostatni kawałek pokonuje przyspieszonym krokiem. W przedpokoju ściąga buty, biegnie do sypialni, bierze telefon z nocnego stolika, wyciąga z niego kabel ładowarki i dzwoni.

Po kilku sygnałach zostaje połączona z pocztą głosową krótki sygnał i nabiera powietrza.

– Potrzebuję policjanta, który tu przyjedzie i mnie zgarnie za to, że byłam taka głupia – oznajmia i odkłada telefon.

Płacz w zbiera w jej gardle, a oczy napełniają się łzami. Siada na łóżku i chowa twarz w dłoniach.

80

Łowca Królików zostawia samochód na leśnej drodze, wiesza torbę na ramieniu i pokonuje na piechotę ostatni odcinek do portu Malma Kvarn. Idzie prosto na jeden z pomostów dla pontonów, rozgląda się dookoła i wybiera starszego silver foxa z mocnym silnikiem. Wchodzi na pokład, zdejmuje pokrywę stacyjki, łączy kabel rozrusznika z tym, który biegnie do akumulatora, i natychmiast słyszy głuchy pomruk.

Trzydzieści metrów dalej jakaś rodzina rozładowuje żaglówkę. Najmłodsze dzieci, ze zmęczeniem wypisanym na twarzach, w pomarańczowych kamizelkach ratunkowych stoją na pomoście.

Chmury pędzą nerwowo po niebie i spiętrzone tworzą złowieszcze kształty.

Łowca Królików odcumowuje łódkę, zawraca i wypływa przez cieśninę.

Na otwartym morzu wieje silny wiatr, trzeba celować prosto w największe fale. W radiu słychać trzaski, Łowca szuka odpowiedniej częstotliwości i trafia na komunikat służb ochrony wybrzeża o rozpoczętym holowaniu.

W oddali widać duży kliper z brązowym żaglem, pędzący po czarnym morzu.

Łowca Królików obiera kurs na wyspę Munkö, żeby przepłynąć przez zewnętrzny archipelag i dotrzeć do zatoki Bullerö.

Fala ochlapuje przednią szybę. Woda spływa po szkle dokładnie w chwili, kiedy udaje mu się przechwycić fragmenty radiowej rozmowy służb ochrony wybrzeża.

Wygląda na to, że zdarzył się wypadek.

Śmigłowiec pogotowia ratunkowego dotarł do szpitala Söder.

Aluminiowy kadłub łomocze, kiedy dziób uderza o fale. Po chwili Łowca Królików słyszy, że policja zatrzymała człowieka na wyspie Bullerö i że straż transportuje go teraz jednostką 311.

Żeby lepiej słyszeć, Łowca rozdziela kable. Silnik milknie.

Zatrzymany mężczyzna, podejrzany o porwanie i usiłowanie zabójstwa, zostanie przetransportowany do aresztu Kronoberg w Sztokholmie.

To Oscar, zgarnęli go.

Łowca Królików próbuje wymazać z mózgu obraz szarego królika, który szybko biegnie, zmienia kierunek, ślizga się na łapach i wznieca chmurę pyłu.

Opada na mokry pokład i zasłania rękami uszy.

Oscar zbił majątek na funduszach hedgingowych i cudzych emeryturach, a przed wielu laty wraz z kolegami zgwałcił młodą dziewczynę. Kopał ją, włożył królicze uszy i muszkę i po raz drugi zgwałcił ją butelką.

Łódź płynie szybko na falach i Łowca Królików musi się przytrzymać pokładu, żeby nie wypaść.

Nie rozumie, jakim cudem policja tak szybko namierzyła Oscara, to przecież niemożliwe.

Oscar jest jak płochliwy królik ukrywający się w norze.

Miał pewność, że mu się powiedzie.

To było jak śledzenie królika chorego na myksomatozę. Takie króliki mają mnóstwo pęcherzy wokół pyska i oczu, tracą wzrok i robią się tak słabe, że w końcu można do nich podejść i je rozdeptać.

Nie chce o tym myśleć, ale umysł i tak przywołuje obrazy z dzieciństwa – kiedy opłukiwał węzem stół masarski i podłogę z wapienia. Krew i ochłapy wypełniały fugi pomiędzy płytkami i znikwały w kratce odpływowej.

Coś uderza o łódź i Łowca upada na bok. Wstaje i zauważa, że wpłynął na skalistą wysepkę. Wielka spieniona fala uderza o reling, a on wpada twarzą na białą stalową ramę przedniej szyby.

Odzyskuje równowagę i znów zaczyna majstrować przy kablach. Sypią się iskry. Próbuje jeszcze raz i uruchamia silnik.

Buja nim na boki, pod nogami pluska woda, kadłub się wgniata,

pryskają granatowe łuski farby.

Wrzuca wsteczny – spod wody dobiega pulsujące buczenie śruby i łódź ociężale się cofa. Na kadłubie zostaje srebrnawy ślad. Nagle łódka się klinuje.

Łowca krzyczy ile sił w płucach, aż łamie mu się głos.

Nadciąga następna fala, łodzią szarpie w przód, rozlega się huk o metal, piana wystrzeliwuje w górę. Kiedy woda wraca, łowca mocniej dodaje gazu i unosi łódź z mielizny. Sunie do tyłu, ku dolinie fali, kontruje wysoką wodę, zawraca i znów może płynąć z powrotem w kierunku Varmdö.

Jutro będzie czekał przed komisariatem na decyzję. Jeśli Oscar zostanie zwolniony w oczekiwaniu na akt oskarżenia, spróbuje uciec z kraju samochodem albo łodzią. Wszystko oczywiście znacznie bardziej się skomplikuje, jeśli do czasu procesu będzie osadzony w areszcie w Kronobergu.

81

Biuro FBI w Chicago to połyskujący na niebiesko szklany kompleks, położony w nudnej dzielnicy nieopodal torów kolejowych i uniwersytetu.

Na ósmym piętrze, w sali konferencyjnej z granatowo-żółtą wykładziną, siedzą Saga Bauer i komisarz Lowe.

Saga przeprosiła i powiedziała, że nie widziała na lotnisku żadnej tabliczki ze swoim nazwiskiem, więc założyła, że mają się spotkać po jej wizycie w domu opieki.

Do sali wszedł siwowąsy dyrektor administracyjny. Szybko się z nią przywitał i oznajmił, że są zaszrani robotą, odkąd zatrzymali trzydziestu czterech członków gangu przestępczego o nazwie Latin Kings.

Od czasu wizyty w domu opieki Saga dzwoniła do Joony więcej niż dziesięć razy, ale jego telefon wciąż był wyłączony.

Wieczorem, kiedy biuro jest już prawie puste, do środka wchodzi nadkomisarz z kwatery głównej w Waszyngtonie i stawia na stole torebkę od Prądy. Kobieta jest niskiego wzrostu, ma głęboką bruzdę na czole, czarne oczy i wyprostowane włosy.

– *Supervisory special agent* López – przedstawia się po angielsku bez uśmiechu.

– Saga Bauer.

Podają sobie ręce. López siada przy stole i rozpina żakiet.

– Nasz wicesekretarz obrony został zamordowany w Szwecji, bo ty i twoi koledzy fatalnie się spisaliście.

– Przykro mi – odpowiada Saga.

– Co możesz mi powiedzieć o tych terrorystach? – pyta López, odchylając się na oparcie.

– Osobiście nie uważam, że chodzi o terrorizm... ale oczywiście będziemy podążali każdym tropem.

López z ironią unosi brwi.

– Twój przyjazd tutaj jest tego przykładem?

– Tak.

– Co ustaliłaś?

– To znacznie przekracza moje kompetencje. Nie mogę decydować o formie wymiany informacji pomiędzy...

– Mam to w dupie – przerywa López.

– Muszę porozmawiać z szefem – mówi Saga.

– A więc to zrób.

Saga wyjmuje telefon i ponownie próbuje zadzwonić do Joony. Tym razem w słuchawce rozbrzmiewają sygnały.

– Joona.

– Wreszcie – odpowiada Saga po szwedzku.

– Próbowalaś dzwonić? – pyta Joona.

– Zostawiałam wiadomości.

– Mój telefon wpadł do wody.

Saga patrzy na białą tablicę z rozmazanymi resztkami czerwonego, zielonego i niebieskiego tuszu. Jednocześnie oznajmia, że jako agentka Säpo absolutnie nie ma prawa mu mówić, że Grace padła ofiarą brutalnego gwałtu zbiorowego w Króliczej Norze.

– Pamięta sprawców. Byli to między innymi William, Teddy Johnson, Kent, Lawrence i Rex Müller.

– Rex Müller? – upewnia się Joona. – Tak powiedziała?

– Tak. – Saga posyła uśmiech López. Agentka FBI patrzy na nią bez wyrazu.

– W takim razie Rex został wskazany zarówno jako gwałciciel, jak i ten, który mści się za gwałt.

– Co takiego? – pyta Saga. – O czym ty mówisz?

– Zatrzymałem Oscara von Creutza. Mam zamiar go ponownie przesłuchać, ale opisał wydarzenia i z jego słów jasno wynika, że Rex nie brał w tym udziału – mówi Joona. – Zamknęli go w stajni, a potem zgwałcili jego dziewczynę... Oscar jest przekonany, że to Rex zaczął się na wszystkich mścić.

– Czyli Rex nie brał udziału w gwałcie?

– Nie.

López grzebie w torebce i wyciąga ciemną szminkę.

– A ty nie sądzisz, że to on jest zabójcą – dodaje Saga.

– Ma wystarczająco dużo pieniędzy, żeby zatrudnić kogoś, kto wykona robotę za niego, ale...

– Nic tu się nie zgadza – wtrąca Saga.

– Zabójstwa muszą mieć związek z tym, co się działo w Króliczej Norze – stwierdza Joonas. – Mamy szalonego mordercę, który zabija gwałcicieli, jednego po drugim.

– Ale dlaczego?

– Musiał tam być.

– W charakterze świadka?

– W jakimś innym – zaprzecza Joonas. – Musiało się wydarzyć coś więcej, coś, o czym nie wiemy. Występuje tu niewiadomy czynnik, osoba trzecia.

– Kto by to mógł być?

– Mamy ofiarę i przestępcę... ale czegoś brakuje.

– Mianowicie?

– Tego właśnie musimy się dowiedzieć.

– Ja porozmawiam z Grace, a ty pogadaj z Rexem i Oscarem – mówi Saga.

– Chyba mamy mało czasu.

Saga kończy rozmowę, chowa telefon do kieszeni i odwraca się z uśmiechem do López.

– Szef mówi, że jutro się z tobą skontaktuje.

– Rozumiem szwedzki – oznajmia oschle López po angielsku.

– No to sama wiesz. – Saga wstaje z krzesła.

López wygina usta w lekkim uśmiechu na myśl o swoim blefie i kiwa głową.

– Twój szef każe ci opowiedzieć wszystko, co wiesz.

– Mam taką nadzieję – odpowiada Saga.

- Odbiorę cię z hotelu po śniadaniu.
- Dzięki – mówi Saga i wychodzi z sali.

Oddaje kartę dla gości przy wejściu, za bramką bezpieczeństwa, wychodzi na parking i wsiada do żółtego samochodu. Bez pośpiechu podjeżdża do szlabanów, czeka, aż się podniosą, skręca w prawo w Roosevelt Road i rusza z powrotem w kierunku ekskluzywnego ośrodka opieki.

Na przedmieściach ruch jest mniej gęsty, a kiedy parkuje przy Timberline Drive, deszczowe niebo w Chicago ma kolor ciemnoszary jak glina.

Pięćset metrów dalej stróżówka i zamknięte bramy świecą w ostrym blasku latarni jak roziskrzony śnieg.

Pora odwiedzin już dawno dobiegła końca, pacjenci prawdopodobnie śpią.

Saga rusza szybkim krokiem wzdłuż ściany, ale zanim dociera do światła, przestępuje rów i wchodzi do lasu.

Wszystko jest ciche, jeśli nie liczyć deszczu stukającego w listowiu i jej własnych kroków w trawie i martwych liściach.

Idzie w kierunku furtki, odsuwa gałęzie i próbuje dostrzec światła budynku pomiędzy pniami i roślinami.

Nie ma czasu, żeby czekać do jutra, musi wejść do środka i natychmiast porozmawiać z Grace. Bez względu na to, czy morderca jest wynajęty, czy działa na własną rękę, zamierza jak najskuteczniej uśmiercić wszystkich z listy. Jest zwyrodniały, zarówno jeśli chodzi o motyw, jak i sposób działania, i nawet jeśli jego zbrodnie nie mają charakteru seksualnego, to najprawdopodobniej ma pokręcone, pełne chaosu wnętrze.

Saga wędruje przesmykiem w skupisku mokrych paproci. Nagle ma wrażenie, że za jej plecami ktoś się skrada. Odwraca się i podnosi wzrok na czarne korony drzew. Jakiś ciężki ptak porusza się wśród górnych gałęzi. Odgłos brzmi tak, jakby ktoś zgniatał kilka metrów bieżących jedwabiu.

Saga szybkim krokiem idzie dalej, znów wkracza w gęstszy mrok pomiędzy pniami i ma wrażenie, że dostrzega podskakującą wiązkę światła.

Czuje, że musi się spieszyć, bo sprawca przejawia wszystkie typowe cechy szalonego mordercy: motyw jest mocno osobisty, ale pojedyncze zabójstwo nie jest spełnieniem fantazji, sprawca nie musi potem dochodzić do siebie.

Każda zbrodnia jest tylko krokiem na drodze, małą częścią ostatecznego rozwiązania.

Saga wypada na porębę i przystaje przed wysoką na cztery metry furtką z pomalowanej na czarno stali. Pomiędzy solidnymi słupami stoją rzędy węższych palików o zaostrzonych wierzchołkach, połączone poziomymi żerdziami.

Co kilka metrów widać tabliczkę z informacją o zakazie wstępu i danymi firmy ochroniarskiej, która odpowiada za bezpieczeństwo.

Saga podbiega, chwytając jeden z węższych palików, stawia stopę na żółtej tablicy z napisem *CCTV in Operation* i się podciąga. Dosięga dłońmi szpiczastych wierzchołków, przechodzi na drugą stronę i zeskakuje.

Przez duży park, złożony z zadbanych partii lasu i trawników, wije się sieć oświetlonych deptaków.

Saga biegnie między drzewami i wchodzi na deptak poza kręgiem światła.

Myśli, że jeśli Grace nie wzięła większej dawki leków, być może uda się z nią porozmawiać o tym, co zaszło w Króliczej Norze.

Zbliża się do kampusu i zwalnia kroku.

Latarnie rzucają ponure światła na mokre od deszczu ścieżki i ławki. Na oddziałach jest ciemno, szyby są tylko ślepyimi odbiciami tego, co na zewnątrz.

Liście spadają i szeleszczą za jej plecami.

Pomiędzy budynkami widać czyjś ruch. Saga się chowa za krzakami.

To pracownik firmy ochroniarskiej sprawdza, czy w jednym z domów

są zamknięte drzwi. Zgłasza coś przez radio i idzie dalej.

82

Wokół panuje cisza, a w półmroku ulicznych latarni wszystko lśni przytłumionym blaskiem. Saga podchodzi do Oak Lodge – domu dla młodszych dziewcząt. Przystaje i nasłuchuje.

Już ma znów ruszyć naprzód, kiedy w jednym z okien zapala się lampka. Światło, które pada na świeżo skoszoną trawę, wygląda jak obalona wieża.

Saga ostrożnie wchodzi pod rozłożyste drzewo. Pod jej stopą rozlega się trzask łamanej gałązki.

Nagle w oknie staje naga kobieta.

Ma nie więcej niż dwadzieścia lat.

Saga widzi jej bladą twarz i badawcze spojrzenie skierowane w mrok. Po chwili kobieta się odwraca i chwiejnym krokiem wraca do pokoju.

Saga czeka przez chwilę, a potem rusza trawą na deptak wiodący do domu Grace.

Dopiero w tym momencie zauważa, że jej dżinsy są przemoczone aż do kolan.

Szybkim krokiem idzie do atelier i słyszy własne kroki, odbijające się delikatnym echem od fasady.

Myśli o tym, że opowie Grace, iż Rex nie brał udziału w gwałcie, tylko przez całą noc był zamknięty.

Wykorzysta to, żeby odświeżyć pamięć Grace i skłonić ją do przedstawienia wszystkiego dokładnie takim, jakie było.

Może Grace będzie w stanie wskazać nieznanego członka Króliczej Nory, o którym mówił Joona.

Saga zatrzymuje się przy drodze, patrzy na wodę spływającą z rynny do studzienki i ostrożnie idzie na róg. Nagle słyszy za plecami czyjś chichot.

Odwraca się.

Kobieta w cienkiej koszuli nocnej stoi za nią i trzyma w ręku blond

perukę.

– Moja mała laleczka – mówi zdumiona, a na jej twarzy pojawia się szeroki uśmiech.

Jej twarz jest jak otwarta książka – w dziwny sposób są na niej wypisane wszystkie najdrobniejsze emocje. Saga ostrożnie się odsuwa, ale kobieta podąża za nią.

– Musiałam, Megan – oznajmia ze smutną miną. – Dziadek powiedział, że nie wolno mi cię mieć.

– Wydaje ci się, że...

– Daję słowo – przerywa ostro kobieta. – Sama go zapytaj. Stoi tam, pod drzewem.

Wzburzona, wskazuje w kierunku parkowych cieni.

– Okej. – Saga odwraca głowę, żeby spojrzeć.

– Teraz się schował – wzdycha kobieta.

– Muszę już iść – mówi Saga łagodnym tonem.

– No chodź – syczy kobieta i rusza w kierunku parku. – Polecimy razem... zakrwawione głowy, pędzimy przez las...

Saga wciąż idzie szybkim krokiem w przeciwną stronę, wzdłuż fasady. Nagle się odwraca i widzi, że kobieta przystanęła na deptaku.

Przebiega przez otwarty teren, zostawia za sobą atelier i zbliża się do domu, w którym wcześniej spotkała Grace.

Wejście jest oświetlone, ale we wszystkich oknach panuje mrok. Saga podchodzi do drzwi i sprawdza. Są zamknięte. Patrzy przez szybkę, dostrzega pograżony w ciemności pokój dzienny i świecący automat ze słodyczami.

Wzdryga się, kiedy słyszy za sobą dziwny dźwięk – jakby bosych stóp stąpających po mokrej podłodze. Szybko się odwraca.

Nikogo tam nie ma. Wszystko – wyasfaltowane powierzchnie w statycznym świetle, powolne migotanie wokół studzienki ściekowej i park z opadającymi liśćmi – jest spowite ciszą.

Saga prędko okrąża dom, wychodzi na trawnik na tyłach, zbliża się do ławki obok dużego rododendronu, przystaje i liczy, za którym oknem

jest pokój Grace.

Nagle słyszy czyjś nerwowy śmiech. Przechodzi w cień i widzi, że kobieta z peruką chowa się za drzewem i na nią kiwa.

Saga ani drgnie. Patrzy tylko, jak uśmiechnięta kobieta odwraca się w drugą stronę, mocno pociera nos i znika w parku.

Saga pospiesznie ciągnie ławkę w stronę domu, podsuwa ją pod okno, wchodzi i próbuje zajrzeć w okno Grace.

Między zasłonami dostrzega nocny stolik, a na nim porcelanową pozytywkę.

Ledwie zdąża dostrzec postać, która zachodzi ją od tyłu, kiedy nagle czuje ból w plecach – jakby od ugryzienia psa bojowego. Uginają się pod nią nogi, przewraca się na bok, uderza żebrami o oparcie ławki i wydaje jęk.

W plecach czuje pulsujące palenie, ciałem wstrząsają niekontrolowane skurcze, tak że nawet nie zauważa, jak upada na ziemię.

Kiedy otwiera oczy i patrzy w górę, w deszczowe niebo, przebiega jej przez głowę, że musiała zemdleć.

Padają kolejne ciosy – błyskawiczne kopnięcia w bok. Wzrok przestaje działać, ale Saga czuje, że ktoś ciągnie ją za nogi po asfalcie, a potem na mokrą trawę.

Saga próbuje zaczerpnąć powietrza, otwiera oczy i widzi, jak ochroniarz o imieniu Mark nachyla się nad nią z paralizatorem w ręku.

Ciężko oddycha i patrzy na nią gorączkowym wzrokiem.

Saga próbuje podnieść rękę, aby go odepchnąć, ale nie ma siły.

– Jestem dużym i miłym chłopcem, ale przepisy mówią, że muszę sprawdzić, czy jest pani uzbrojona.

Kiedy ochroniarz rozpina zamek błyskawiczny jej kurtki, Saga czuje przyspieszone bicie serca. Ochroniarz znajduje jej telefon i rzuca nim o pobliski pień. Słysząc trzask, części rozsypują się po trawie.

Znów się nad nią nachyla, wkłada pod jej bluzę zimną dłoń, wciska ją pod fiszbin stanika i mocno szczypie brodawkę sutkową.

– Nic tu nie ma – mamrocze i cofa dłoń.

Oddycha przez otwarte usta, przykładając Sadze paralizator do szyi i rozpina jej dżinsy. Udaje jej się unieść prawą dłoń, złapać rękaw jego munduru i słabo pociągnąć.

– Przestań – syczy.

– Muszę poszukać ukrytej broni – oznajmia Mark i głośno przełyka ślinę.

Zaczyna ściągać jej dżinsy i majtki, kiedy nagle odzywa się jego radio. Mark opiera się dłonią o jej klatkę piersiową i przyciska tak mocno, że kiedy wstaje, słychać świst wydychanego przez Sagę powietrza.

– Mamy intruza, przyślijcie tu policję – mówi i wchodzi w krąg światła latarni.

Saga próbuje z powrotem podciągnąć spodnie. Wtedy dostrzega dwóch ochroniarzy biegnących pomiędzy budynkami. Z drugiej strony nadchodzą dwie zaniepokojone pielęgniarki z nocnej zmiany.

83

Dzień po tym, jak Jooną zatrzymał na Bullerö Oscara von Creutza, na komisariacie w Kungsholmen odbywa się krótka narada w sprawie aresztu.

Oscar siedzi w milczeniu pomiędzy swoimi obrońcami i kieruje wzrok na wysokie okna. Słońce wychodzi zza chmur i sprawia, że cząsteczki stojące nieruchomo w powietrzu zaczynają migotać.

Jakby z oddali dociera do niego, że prokurator domaga się aresztu. Podejrzenia, że stoi za uprowadzeniem, usiłowaniami zabójstwa i pobiciem, są bowiem oparte na solidnych przesłankach.

To poważne oskarżenia, ale wie, że może trafić do aresztu tylko w przypadku, gdy sąd uzna, że istnieje prawdopodobieństwo recydywy, zniszczenia dowodów lub uchylania się od wyroku.

Sąd podejmuje decyzję, że w oczekiwaniu na akt oskarżenia będzie przebywał na wolności, a on zasłania dłońią uśmiech. Myśli, że może powinien podziękować, ale nie potrafi się na to zdobyć i po prostu idzie z adwokatami do wyjścia.

– Nie musisz już dłużej się nad tym zastanawiać – mówi z uśmiechem jeden z adwokatów, kiedy zatrzymują się w drzwiach.

– Dzięki, Jacob – odpowiada beznamiętnie Oscar i ściska im dłońie.

Kancelaria adwokacka ułożyła już plan oczyszczenia go ze wszystkich zarzutów, jeśli nie da się przekonać prokuratora do rezygnacji z postępowania przygotowawczego.

Na pierwszym spotkaniu z Oscarem adwokatowi towarzyszył lekarz, który pobrał od niego osiem próbek krwi. Nie po to, żeby je wysłać do laboratorium, tylko żeby później na sali sądowej wykazać skrupulatność obrony.

Ponieważ wiedzą dokładnie, jakie substancje są możliwe do wykrycia za pomocą skromnych środków, którymi dysponuje prokuratura, zbudują obronę wokół substancji, które tamci na pewno by przeoczyli.

To, że Oscar nigdy nie miał ich we krwi, nie ma żadnego znaczenia.

Plan polega na sfabrykowaniu złożonego obrazu choroby, w której różni lekarze przepisywali leki, nie kontrolując interakcji. Adwokaci wiedzą, że będą potrafili udowodnić, iż tymczasowa niepoczytalność Oscara wynikała z poważnych błędów w doborze leków.

Oscar nie przejmuje się procesem. Zapłacił za uwolnienie, bo nie może siedzieć w klatce i czekać, aż go zastrzelą.

Areszt nie zapewni mu ochrony.

Dlatego zamierza wyjechać z kraju i trzymać się z daleka tak długo, jak to będzie konieczne, żeby morderca został ujęty przez policję.

Oscar nie wie jednak, że Łowca Królików czeka przed komisariatem i widzi go żegnającego się z adwokatami.

Nie zauważa, że ktoś go śledzi, zrównuje się z nim w parku i słyszy, jak dzwoni po taksówkę do terminalu promowego Silja Line w Värtahamnen.

W drodze na prom Oscar rezerwuje bilet na M/S Silja Symphony. Po przyjeździe płaci gotówką za taksówkę, odprawia się i wchodzi na pokład.

Jego kabina znajduje się na samej rufie, to apartament z pochyłą szklaną ścianą, za którą widać niebo i morze.

Dokładnie zamyka drzwi i jeszcze raz sprawdza klamkę. Gdy tylko dopłynie do Helsinek, zamierza się przesiąść na prom do Tallina, potem wynająć samochód, wziąć sobie kurwę i pojechać na południe przez Łotwę, Litwę, Polskę, Słowację, Węgry, Rumunię, Bułgarię do południowej Turcji. Tam wynajmie mieszkanie i pozostanie w ukryciu, dopóki nie będzie miał pewności, że może wrócić do Szwecji.

Wstaje, podchodzi do minibaru, otwiera skrzypiące drzwiczki, wyciąga dwie małe brązowe plastikowe butelki whisky Ballantines, odkręca kapsle, napełnia szklankę, staje w oknie i patrzy na długi sznur samochodów powoli wjeżdżających na pokład.

Króliki to nerwowe zwierzęta – kulą się, siedzą w zupełnym bezruchu z nadzieją, że są niewidzialne, ale to myśliwy jest górą, jeśli nagle się

zatrzymuje, żeby je przeczekać.

To cisza napawa je paniką i sprawia, że zaczynają biec, bo myślą, że zostały dostrzeżone.

Łowca Królików schodzi do garażu pod Rådhusparken, otwiera bagażnik samochodu. Stara się pozostawać poza zasięgiem kamer, kiedy do czarnej walizki na kółkach pakuje broń, ubrania na zmianę, winylowe rękawiczki, nawilżane chusteczki, worki na śmieci, taśmę, narzędzia do fazowania i specjalny łom do drzwi antywłamamowych.

Wychodzi z garażu z walizką, dociera do Fleminggatan, zatrzymuje taksówkę, jedzie do terminalu promowego i kupuje tani bilet pod fałszywym nazwiskiem.

Dostał kolejną szansę na zatrzymanie Oscara, ale wie, że nadal dużo spraw może pójść niezgodnie z planem. Zawsze dochodzą parametry, których nie sposób przewidzieć. Plan jest taki, żeby opuścić prom, zanim odpłynie, ale może się okazać, że Oscar będzie siedział w tłumie w jednej z restauracji i będzie na to za późno. W takim wypadku popłynie z nim do Finlandii, żeby zrobić to, co musi.

Łowca Królików wyobraża sobie, że rozpląta Oscarowi brzuch i wyciągnie wnętrzności na podłogę.

Cel jest taki, żeby wszystkich dziesięciu spotkało swój los z otwartymi oczami.

Wierszyk pozwala im się przygotować.

Zależy mu na tym, żeby w pierwszej fazie mimo całego bólu i strachu zachowali nadzieję na przeżycie. Żeby walcząc desperacko, byli coraz bardziej świadomi, że nawet jeśli się uda, to przyszłe życie nie będzie przypominało dotychczasowego.

Że będą oślepieni, pozbawieni kończyn albo sparaliżowani.

Mimo to powinni walczyć o życie aż do drugiej fazy – wtedy rozumieją, że łaska nie nadejdzie, a ból i strach będą tym, na czym ich życie się zakończy.

Łowca Królików nie napawa się cierpieniem ofiar, ale wypełnia go wzniosłe poczucie sprawiedliwości – kiedy wreszcie umierają, świat staje

się zupełnie spokojny, jest jak zimowy krajobraz, pogrążony w absolutnej ciszy.

W terminalu odprawia się w jednym z automatów, drukuje kartę pokładową i idzie za sznurem ludzi zdążających na pokład. M/S Silja Symphony to prom o długości ponad dwustu metrów z trzynastoma pokładami. Ma prawie tysiąc kabin i może pomieścić więcej pasażerów niż Titanic.

Łowca Królików pokazuje sfabrykowany dowód na fałszywe nazwisko von Creutschen, dzięki któremu ma wylądować na liście pasażerów koło Oscara. Odczytuje na ekranie numer kabiny Oscara, podchodzi do planu na ścianie obok wind i zbiega po schodach do pokoju personelu sprzątającego na najniższym poziomie nad samochodami. Czeka przed pomieszczeniem, z którego już po minucie wychodzi kobieta. Łapie drzwi, przytrzymuje, żeby mogła wyjść, i pyta o Marię, chcąc dać do zrozumienia, że ma jakąś sprawę do załatwienia w środku. Mija dwóch mężczyzn, którzy wieszają swoje okrycia, i wita się z kobietą piszącą SMS-a.

– Ma pani główną kartę do drzwi? – pyta.

– Moja jest mi teraz potrzebna – odpowiada kobieta, nie przerywając pisania.

– Zaraz dostanie ją pani z powrotem – przekonuje łowca z uśmiechem.

– Proszę zapytać Ramonę. – Kobieta kiwa głową w kierunku toalety.

Na ławce pod drzwiami toalety stoi szaro-różowa sportowa torba ze sztucznej skóry. Łowca podchodzi do niej, rozsuwa zamek, wystawia pudełko z jedzeniem na ławkę i przeszukuje dno, kiedy rozlega się szum spuszczonej wody.

Szybko przetrząsa obie wewnętrzne kieszenie i słyszy, jak kobieta myje ręce i odrywa papierowe ręczniki. Otwiera obie kieszenie po bokach, znajduje identyfikator Ramony i główną kartę do drzwi. Słychać dźwięk przekręcanego zamka toalety.

W chwili, kiedy drzwi się otwierają, łowca odwraca się z kluczem w dłoni i bez pośpiechu odchodzi.

Zgodnie z rozkładem mógł poświęcić na próby znalezienia klucza piętnaście minut, ale zajęło mu to tylko pięć.

Dzięki temu, że obejdzie się bez łomu, będzie mógł spędzić znacznie więcej czasu z Oscarem w kabinie.

Niesie torbę po wyłożonych dywanem schodach, mija piętro z barami i restauracjami, alejkę handlową ze sklepami wolnołowymi, korytarze z salami konferencyjnymi, automatami do gry i kasynem.

Najwyższy pokład pod pokładem spacerowym nosi imię Mozarta. To tutaj mieszczą się najbardziej ekskluzywne apartamenty.

Pijana kobieta wychodzi z kabiny i potykając się, idzie w jego stronę. Żartobliwie zagradza mu drogę, stając z rozłożonymi ramionami, jakby się bawili.

– Wydajesz się miły – mówi, chichocząc. – Chcesz pójść ze mną do kabiny i pomóc z...

Nagle łowca czuje się tak, jakby w jego głowie coś pękło – w uchu rozlega się trzask. Błądzi ręką w poszukiwaniu ściany, o którą mógłby się oprzeć. Pamięta, jak płakał, kiedy przybijał gwoźdźmi kolejne ochłapy przy drzwiach, obok rozkładających się królików.

Teraz trzymają się z dala, teraz trzymają się z dala – szeptał.

Uśmiecha się do kobiety i ją wymija. Pot spływa mu po plecach i nagle myśli o temperaturze przegrzanego wózka inwalidzkiego.

Kanister benzyny wyjął z szopy na narzędzia, pudełko zapalek znalazł w kuchni, zostawił otwartą szufladę, a potem zaktualizował facebookowy status Nilsa Gilberta listem pożegnalnym.

Wyszedł, oblał go benzyną, wytłumaczył mu, dlaczego tego ranka umrze, i rzucił mu zapalniczkę na kolana.

Cofnął się pod wpływem temperatury, usłyszał ryk Gilberta i przez płomienie dostrzegł podrygujące ciało, skręcające się i czerniejące.

Wszyscy wiedzieli, że Gilbert jest samotny i cierpi na depresję. Policja nie połączy samobójstwa z pozostałymi zgonami.

Łowca przystaje na rufie, przed drzwiami apartamentu o dziwnej nazwie Nannerl. Słyszcy za sobą głosy, kiedy wkłada winylowe

rękawiczki, wsuwa główną kartę w czytnik, wchodzi do kabiny i cicho zamyka za sobą drzwi.

Kładzie torbę na podłodze w przedpokoju, otwiera, wyjmuje zakrwawioną reklamówkę, zdejmuje z niej plastikowy spinacz i wyciąga skórzany pasek z dziesięciorgiem króliczych uszu.

84

Łowca Królików odwraca się do lustra w przedpokoju, obwiązuje opaską głowę i mocno zawiązuje na karku. Wprawnym ruchem odgarnia kilkoro uszu z twarzy, napotyka swoje spojrzenie i czuje, jak wypełnia go lodowata siła.

Teraz znów jest myśliwym.

Wyciąga jeden z telefonów na kartę, wysyła Oscarowi plik dźwiękowy, słyszy dzwonek smartfona w sypialni, a potem echo odtwarzanego wierszyka.

Oscar wreszcie jest sam, ale Łowca dla pewności sprawdza łazienkę, wchodzi do salonu i szybko go przeszukuje.

Przez poprzecinaną strugami szybę widać portową wodę, czarną jak nafta.

Idzie do sypialni, otwiera drzwi i wchodzi.

Telewizor odtwarza mecz piłki nożnej, bez dźwięku. Słychać tylko ciche pstrykanie, kiedy obrazy się zmieniają. Na ściany pokoju pada martwa szaroniebieska poświata.

Natychmiast dociera do niego, że Oscar schował się w szafie z przesuwanymi drzwiami z białego szkła i że prawdopodobnie w tej chwili drżącymi dłońmi próbuje wezwać policję.

Wszystko jest tak przyziemne, tak obce, kiedy śmierć przychodzi z wizytą.

Na nocnym stoliku stoi szklanka whisky.

Widzi zniszczone krawędzie nóg stołowych, narzutę, która zaczęła się strzępić, ciemne plamy na dywanie i smugi po szmacie, którą przetarto lustro.

Słyszy, jak ukryty w szafie Oscar upuszcza telefon. Dociera do niego, że drżenie dłoni jest wywołane nierzeczywistym uczuciem, że wszystko to, czego bał się Oscar, właśnie następuje. Oscar wie, że dźwięk go zdradził, ale i tak się chowa – jego umysł próbuje mu wmówić, że

morderca może nic nie słyszał, że może go nie znajdzie.

Kilka wieszaków grzechocze o siebie w szafie.

Pokład zaczyna wibrować od rozgrzewających się czterech silników Diesla, w które wyposażony jest statek.

Łowca Królików odczekuje kilka sekund, a w końcu podchodzi i kopniakami tłucze szkło w przesuwanych drzwiach. Odruchowo się cofa, kiedy odłamki spadają na dywan i pod nogi Oscara von Creutza.

Mężczyzna w średnim wieku ze strachu opada na podłogę, jak dziecko, kuli się w szafie i podnosi na niego szeroko otwarte oczy.

Nagle Łowca ma przebłysk. Przypomina sobie przerażenie w oczach królików, kiedy opróżniał pułapki, odwracał klatki do góry nogami, wkładał do nich rękę i chwycił za tylne nogi.

– Proszę. Zapłacę. Mam pieniądze, obiecuję...

Łowca Królików robi krok do przodu i łapie Oscara za nogę, ale on próbuje się uwolnić i wierzga tak, że Łowca wypuszcza ją z ręki. Zadaje Oscarowi dwa ciosy w twarz, jedną dłoń przytrzymuje mu rękę, a drugą znów chwycił za nogi.

Oscar krzyczy, kiedy Łowca wyciąga go na podłogę i przywiązuje mu nadgarstek do nogi łóżka.

– Nie chcę! – wrzeszczy.

Łowca Królików zostaje kopnięty w przedramię, obraca Oscara, leżącego na boku przydusza do ziemi i krępuje mu ręce za plecami.

– Posłuchaj, nie musisz nas zabijać – dyszy Oscar. – Byliśmy młodzi, nie rozumieliśmy, nie...

Łowca Królików zakleja mu usta taśmą, odchodzi kawałek, przez chwilę mu się przygląda, widzi, jak Oscar desperacko próbuje się uwolnić, widzi, jak się obraca, chociaż więzy wbijają mu się w skórę.

Łowca dwa razy był w Iraku i wie, jak to jest mordować w majestacie prawa, zna wolę, która mimo wszystko jest do tego potrzebna, i wyczerpanie, które potem następuje.

Dawniej, podczas szkolenia BUD/S, uważał ich za całkiem normalnych chłopaków.

Jednak zabijanie w południowej An-Nasirii dodało im brawury.

Cele nie były dla nich istotami ludzkimi, tylko częścią destrukcyjnej siły, dla której zwalczania ryzykowali życie.

Było w tym poczucie wspólnoty, porozumienie.

Ale zabicie człowieka, kiedy się weszło do domu, bez munduru, to co innego.

Łowca robi to w samotności, wszystko jest dużo bardziej intensywne, a decyzja i odpowiedzialność spoczywają tylko na jego barkach.

Patrzy na zegarek i wyciąga nóż, którego zamierza użyć – socp w kształcie chińskiego sztyletu, z ostrzem i rękojeścią z jednego kawałka czarnej stali.

To ostra, bardzo dobrze wyważona broń z ostrzem sztyletu i pętlą na końcu rękojeści.

Łowca Królików szybkim krokiem wraca, blokuje kolanem wolną nogę Oscara, przytrzymuje ręką jego tułów i rozcina koszulę. Patrzy na owłosiony brzuch, poruszający się szybko w rytm oddechu, i wbija nóż dziesięć centymetrów pod pępkiem. Ostrze miękko przechodzi przez tkanki i błony, kiedy rozcina brzuch prawie do samego mostka.

Łowca z uśmiechem patrzy w wytrzeszczone oczy Oscara, wciska całą rękę do środka i przez rękawiczkę czuje ciepło. Oscar drży. Krew spływa mu po bokach. Łowca Królików chwytą jelita i wyciąga tak, że wiszą pomiędzy nogami Oscara. W tej samej chwili rozlega się pukanie do drzwi apartamentu.

Głośne pukanie.

Łowca wstaje, bierze do ręki pilota, pogłasnia telewizor, wychodzi do przedpokoju, zamyka za sobą drzwi sypialni, podchodzi do drzwi kabiny i wygląda przez wizjer.

Za drzwiami czeka ubrany na biało starszy mężczyzna z wózkem. Oscar zdążył zamówić jedzenie do pokoju, a teraz on musi je odebrać.

Znów słyhać pukanie. Łowca Królików ściąga rękawiczki i zamyka torbę. Szybko zdejmuje trofea, owija je wokół wieszaka, przegląda się w lustrze, wyciera z twarzy plamę krwi, gasi światło i otwiera drzwi.

– Szybko poszło – mówi, nie odsuwając się.

Z sypialni dobiega głośny łomot – to Oscar w coś kopie, próbując przyciągnąć uwagę.

– Mam nakryć do stołu w salonie? – pyta starszy mężczyzna.

– Dziękuję, poradzę sobie sam.

– Chętnie to zrobię, wystarczy powiedzieć. – Mężczyzna zagląda do przedpokoju.

– Rzecz w tym, że nie powinienem jeszcze jeść – oznajmia Łowca. W tej samej chwili słychać dźwięk tłuczonej szklanki do whisky.

– W takim razie wystarczy mi podpis – mówi mężczyzna z uśmiechem.

Łowca Królików nadal stoi w ciemności. Bierze do ręki rachunek i długopis. Kiedy zaczyna się podpisywać, dostrzega, że prawe przedramię ma zakrwawione aż do łokcia.

– Wszystko jest jak trzeba? – pyta kelner.

Łowca kiwa głową, patrzy mu w oczy i próbuje rozstrzygnąć, czy będzie musiał zaciągnąć go do łazienki i przeciąć tętnicę szyjną nad jacuzzi.

– Dlaczego miałoby nie być?

– Nie chciałem, żeby to zabrzmiało natarczywie – zapewnia starszy mężczyzna przeproszającym tonem i odwraca się do wózka.

Kiedy kelner podaje mu tacę, z sypialni znów dobiega łomot. Łowca Królików dziękuje, robi krok w tył do przedpokoju i zamyka drzwi.

Stawia tacę na podłodze i patrzy przez wizjer. Jest gotów wybiec i złapać kelnera. Dzięki panoramie widzi, jak staruszek bez pośpiechu zwalnia hamulec wózka i znika w korytarzu.

Szybko wkłada nowe rękawiczki, z powrotem zawiązuje królicze uszy na głowie i wraca do sypialni.

Powietrze jest przesycone zapachem krwi, whisky i wymiocin.

Oscar jest na skraju utraty przytomności, bezwładnie uderza piętami o podłogę. Ma bladą i spoconą twarz, błądzi wzrokiem.

Łowca Królików wyłącza telewizor, idzie prosto do Oscara, chwytając cały komplet wnętrza, wyciąga je na metr, mocno szarpie, a potem

po prostu upuszcza je na dywan.

Ból sprawia, że Oscar znowu się rozbudza. Szybko oddycha przez nos i odruchowo próbuje się odsunąć.

Oscar umrze za trzy minuty. Łowca czuje, że hałas, który szaleje w jego wnętrzu, przybiera na sile, kiedy patrzy w jego przerażone oczy. W pokoju panuje cisza, ale w środku Łowcy Królików huczy, jakby ktoś bębnił o rondle i wrzucał zastawę do wanny. Oscar to jeden z mężczyzn, którzy zgwałcili młodą kobietę, zostawili ją nieprzytomną i krwawiącą na górze nawozu i liczyli na to, że unikną kary.

Podłoga trzeszczy mu pod stopami jak wówczas, kiedy pociąg zmienia tor na rozjeździe.

Opiera się o ścianę, próbuje się skoncentrować i oddychać spokojnie, spostrzega krwawy odcisk na tapecie i myśli, że przed wyjściem powinien go zetrzeć, nawet jeśli ślad nie mógłby do niego doprowadzić.

– Widzę, że wiesz, dlaczego to się dzieje – oznajmia i znów wyciąga nóż. Dobrze, to zdanie jest dobre.

Oscar jęczy, odwraca się, walczy, żeby się uwolnić. Krew z jamy brzusznej wypływa na podłogę i wsiąka w dywan, który czernieje i robi się błyszczący.

Głośniki krzyczą, że statek odpływa za trzydzieści minut. Łowca Królików jest pewien, że do tego czasu zdąży zejść na ląd.

Oscar zostanie znaleziony dopiero następnego ranka w Helsinkach, myśli Łowca Królików i patrzy na nóż trzymany w dłoni.

Wygląda jak czarny język demona, szpiczasty i ząbkowany.

Wkrótce Łowca wbije ostrze w serce Oscara, prosto przez mostek, może nawet kilkakrotnie.

Cały świat się trzęsie z myślą o tej chwili, słuchać stukot i dzwonienie jak w kasynie.

Potem jednak czuje w środku podmuch, który zostawia po sobie ciszę.

To jak w chwili, gdy królik leży na ziemi i wierzga jedną nogą. Kiedy zwierzę nieruchomieje, całe jego wnętrze ogarnia spokój.

Tam, gdzie kończy się czas, jest zamrożony pokój.

Zawsze do niego zmierzał.

Nawet w niedziele po nabożeństwie, kiedy mieszkał u babci i dziadka.

85

Rex wysiada z metra na stacji Mariatorget i rusza Sankt Paulsgatan, kiedy nagle rozlega się dźwięk telefonu sygnalizujący, że w skrzynce jest nowa wiadomość głosowa. To Janus Mickelsen, który mówi, że załatwił jemu i Sammy'emu bezpieczne mieszkanie z pancernym szkłem, stalowymi drzwiami, alarmem i bezpośrednim połączeniem z koordynatorem.

– Rozumiem, że nie możesz rozmawiać swobodnie, jeśli coś ci zagraża, dobrze to wiem, daję słowo... To dobre rozwiązanie, tymczasowe... Mój szef dał mi zielone światło. Chcę, żebyś się ze mną spotkał dziś o siódmej wieczorem, w bezpiecznym domu pod Knivstą, należącym do Säpo. Tam omówimy warunki – oznajmia Janus i dwukrotnie powtarza dokładny adres domu. Potem wiadomość dobiega końca.

Rex postanawia tam pojechać i się dowiedzieć, jakie zagrożenie jest aż tak poważnie traktowane przez Säpo.

Wchodzi szklanymi drzwiami do budynku przy Krukmakargatan 34, z klubem snookerowym w zniszczonym lokalu w piwnicy, i myśli, że najwyraźniej między Säpo a Narodowym Wydziałem Operacyjnym trwa przeciąganie liny.

Mija bar, schodzi po schodach i wchodzi dalej, pomiędzy stoliki.

Słychać tylko twarde drewniane kule, które uderzają o siebie, toczą się po suknie i głucho stukają o kanty.

W głębi pokoju stoi stół bilardowy większy od pozostałych. Czeką tam wysoki mężczyzna o jasnych włosach i oczach szarych jak drewno wyrzucone przez morze.

– Żółta bila nazywa się *kaisa* – oznajmia Joon.

Fiński bilard – *kaisa* – przypomina rosyjską piramidę. Wymaga większego stołu, większych bil i cięższych kijów; Można grać drużynowo, ale najczęściej jest to pojedynek dwóch graczy.

Rex stoi nieruchomo i słucha, a wysoki mężczyzna omawia reguły

i wręcza mu długi kij.

- Trochę przypomina snookera – mówi Rex.
- Kto pierwszy zdobędzie sześćdziesiąt punktów, ten wygrywa.
- Ale to nie dlatego tu jestem?

Joona nie odpowiada, tylko ustawia bile na miejscach. Jeżeli Rex nie jest zamieszany w morderstwa, to prawdopodobnie należy do przyszłych ofiar. Morderstwa zdają się krążyć wokół gwałtu, ale jest w tym coś więcej, kolejne warstwy, może kolejne osoby, jakiś nieznaną uczestnik, myśli Joona.

– Jeżeli ze mną wygrasz, pozwolę ci odejść, ale jeśli przegrasz, zabieram cię do aresztu – mówi i posyła Rexowi ostre spojrzenie.

– Ma się rozumieć. – Rex z uśmiechem przeczesuje ręką sterczące włosy.

– Nie żartuję – stwierdza z powagą Joona. – To ty mogłeś go zamordować, masz dobry motyw.

– Naprawdę?

Joona uderza białą bilę, ta z hukiem trafia żółtą. Żółta bila toczy się po zielonym suknie, uderza o kant, zmienia kierunek i znika w jednej z łuz.

– Sześć punktów dla mnie – oznajmia Joona.

Rex patrzy na niego, nie rozumiejąc.

– Mam motyw, bo nasikałem do basenu ministra spraw zagranicznych?

– Mówiłeś, że był świnią i w liceum ukradł ci dziewczynę.

– Tak – odpowiada Rex.

– Ale nie wspomniałeś, że na całą noc zamknięto cię w stajni.

– Zaatakowało mnie trzech – mruczy niechętnie Rex. – Pobili mnie i zamknęli, beznadziejna sprawa, ale to za mało, żebym...

– Dlaczego to zrobiłeś? – pyta Joona.

– Co zrobiłem?

– Dlaczego się tam zamknąłeś?

– Pewnie dlatego, żeby Wille mógł bez przeszkód randkować z Grace.

– Tak się stało?

– Zawsze dostawał to, czego chciał – mamrocze Rex, pocierając swój kij kredą.

– Celuj w *kaisę* – mówi Jooną i wskazuje żółtą bilę. – Wiesz, że ma wpaść w tym rogu.

Rex pochyla się do przodu, uderza i trafia w jedną z czerwonych bil, która uderza w kolejną czerwoną.

– To tak zwany pocałunek – wyjaśnia Jooną. – Nie daje żadnych punktów.

Podchodzi i wbija *kaisę* prosto w róg. Rex z uśmiechem kręci głową.

– Co mówi Grace? – pyta Jooną, nie przerywając gry.

– O czym?

– O wieczorze, kiedy zostałeś zamknięty – odpowiada, znów uderza i wbija białą bilę Rexa w ten sam róg.

– Nie wiem, nigdy więcej jej nie spotkałem – tłumaczy Rex. – Skończyłem szkołę, a ona nie odpowiadała na żadne moje listy czy telefony.

– Mówię o tym, co jest teraz – oznajmia Jooną.

– Słyszałem, że przeprowadziła się z powrotem do Chicago, ale nie widziałem jej od trzydziestu lat.

– Zostałeś wskazany jako morderca ministra spraw zagranicznych.

– Niby kto mnie wskazał?

– Naprawdę jesteś w opałach. – Jooną odsuwa się od stołu.

– Robiłem mnóstwo głupich rzeczy – wyjaśnia Rex, próbując odpowiednio ułożyć kij – ale nikogo nie zabiłem.

Nie trafia, biała bila mija *kaisę*, uderza o kant i wraca.

– Jeśli nie jesteś zamieszany w morderstwo, to możesz być na liście przyszłych ofiar.

– Dostanę ochronę?

– Jeśli wytłumaczysz dlaczego.

– Nie mam pojęcia – odpowiada Rex, ocierając czoło.

– Zemsta – podsuwa Jooną i uderza w bilę.

– Nie da się tego zrozumieć.

Joona obrzuca go spojrzeniem z ukosa i uderza ponownie.

– Zależy, co zrobiłeś – oznajmia.

– Nic! – wykrzykuje Rex. – Co jest, do cholery? Drażnię ludzi, być może sypiam nie z tymi dziewczynami, co trzeba, gadam mnóstwo głupot i niektórzy na pewno chcą mi dokopać, ale...

– Czterdzieści jeden. – Joona prostuje plecy i patrzy na niego z powagą.

– Nie wiem, co miałbym powiedzieć – zaczyna Rex.

– Robiłeś mnóstwo głupich rzeczy – podsuwa Joona.

– Naszczałem do basenu ministra, ale...

– To już mówiłeś – przerywa Joona.

– Zrobiłem to więcej niż raz – wyznaje Rex i nagie robi się czerwony na twarzy.

– Nie obchodzi mnie twoje szczanie.

– Może zrobiłem to i sto razy – mówi Rex z dziwną intensywnością w głosie.

– Znajdź sobie inne hobby.

– Znajdę, jak najbardziej... ale chcę powiedzieć, że któregoś razu coś tam widziałem.

Joona się nachyla i wykonuje kolejne uderzenie, żeby Rex nie widział jego zadowolonego uśmiechu. Rozlega się stuk, bila odskakuje od kantu i znika w luzie.

– Czterdzieści dziewięć – mówi Joona i spokojnie naciera czubek kija kredą.

– Posłuchaj – ciągnie Rex. – Obecnie jestem niepijącym alkoholikiem, ale zanim się nim stałem, zanim potraktowałem to poważnie, często tam chodziłem... Czasami wrzucałem do wody jego brzydkie krasnale ogrodowe, kiedy indziej donice z terakoty albo meble... Sam nie wiem, musiał przecież się zorientować, ale nic sobie z tego nie robił... albo czuł, że tak jest sprawiedliwie.

– Wydaje ci się, że coś widziałeś – przypomina Joona, chodząc wokół stołu i oceniając kąty.

– Wiem, że coś widziałem, choć byłem pijany... Nie pamiętam, za którym razem to było, ale i tak jestem pewien, że widziałem...

Milknie i z rezygnacją kręci głową.

– Myśl sobie, co chcesz – mówi cicho – ale widziałem zamaskowanego człowieka o kostropatej twarzy, dziwnych policzkach... Był w domu ministra.

– Jak dawno temu go widziałeś?

– Ze cztery miesiące temu... naprawdę nie wiem.

– Co robiłeś wcześniej tego dnia?

– Nie mam pojęcia.

– Gdzie się upiłeś?

– Tak jak Jack Kerouac staram się chlać tylko w domu, żeby ograniczyć szkody, ale to nie zawsze się udaje.

Joona uderza znowu, słychać stuknięcie i *kaisa* znika w rogu.

– Który to mógł być miesiąc?

Wbija białą bilę Rexa do tej samej luzy, a jednocześnie trafia czerwona. Bila toczy się ukośnie po stole i wpada do luzy w przeciwległym rogu.

– Nie wiem – odpowiada Rex.

– Pięćdziesiąt punktów – oznajmia Joona. – Co robiłeś potem?

– Potem? No tak – przypomina sobie Rex. – Pojechałem do Sylvii, bo ona nigdy nie śpi, próbowałem jej powiedzieć, co widziałem, w tamtej chwili uważałem to za znakomity pomysł, ale...

– Co ona o tym sądziła? – Joona czeka z ostatnim uderzeniem.

– Nic nie powiedziałem – odpowiada zakłopotany Rex.

– Pojechałeś do Sylvii, zadzwoniłeś do drzwi... i nic nie powiedziałeś?

– Spaliśmy ze sobą – mamrocze.

– Czy zwykle jeździsz do Sylvii, kiedy jesteś pijany? – pyta Joona.

– Mam nadzieję, że nie – odpowiada Rex i opiera kij o ścianę.

– Możemy zakończyć grę, a nawet uznać ją za nierozstrzygniętą – oznajmia Joona – jeśli zadzwonisz do Sylvii i zapytasz o datę.

– Nigdy w życiu. – Rex się uśmiecha.

– Okej.

Joona z kijem w ręku nachyla się nad stołem.

– Czekaj – mówi szybko Rex. – Z tym aresztem to był żart, prawda?

Joona prostuje się, odwraca do niego i patrzy mu w oczy z całkowicie neutralnym wyrazem twarzy.

Rex spuszcza wzrok, przeczesuje rękami włosy, wyjmuje iPhone'a, zakłada okulary do czytania i szuka Sylvii na liście kontaktów. Kiedy słyhać sygnały, przechodzi między stołami w kierunku baru.

– Sylvia Lund.

– Cześć, to ja, Rex.

– Cześć, Rex – odpowiada Sylvia chłodnym tonem.

Rex się stara, żeby jego głos był przyjazny i wolny od oznak stresu. – Jak tam?

– Jesteś pijany?

Rex patrzy na zmęczonego człowieka za barem.

– Nie, nie jestem pijany, ale...

– Masz dziwny głos – przerywa Sylvia.

Rex robi kilka kroków po rampie wychodzącej na ulicę, żeby móc spokojnie porozmawiać.

– Muszę cię o coś zapytać.

– Możemy to omówić jutro? Jestem trochę zajęta – wyjaśnia Sylvia niecierpliwym tonem.

Jej głos zanika, kiedy odwraca twarz i coś do kogoś mówi.

– Ale ja muszę...

– Rex, moja córka ma zaproszenie na...

– Posłuchaj, muszę wiedzieć, którego dnia przyszedłem do ciebie w nocy i...

Sylvia się rozłącza.

Rex wygląda na ulicę i widzi balonik latający pomiędzy samochodami. Dzwoni znowu i czuje, jak drżą mu ręce.

– Co ty sobie myślisz, do cholery? – pyta Sylvia nerwowym tonem.

– Po prostu muszę to wiedzieć – Rex nie daje za wygraną.

- To już koniec. Idź precz z...
- Zamknij się.
- Jesteś pijany, wiedziałam, że...
- Sylvio, jeśli mi nie odpowiesz, to zadzwonię do twojego męża i zapytam, kiedy po raz ostatni zdarzyło się tak, że wrócił z podróży, a ty wyjątkowo byłaś bardziej namiętna niż zwykle.

W słuchawce zapada kompletna cisza. Rex czuje, jak pot spływa mu po plecach.

- Ostatni dzień kwietnia – odpowiada Sylvia i przerywa połączenie.

86

Student z rozczochranymi włosami wysiada z windy na szesnastym piętrze. Joon Linna jedzie na samą górę. W ręku ma torbę chłodzącą. Czuje się jak ktoś, kto ostrożnie dmucha na żar i wie, że już za chwilę wystrzelą płomienie. Przyjechał na spotkanie z Johanem Jönsonem, informatykiem z NWO i jednym z najwybitniejszych ekspertów komputerowych w Europie. Johan przez wiele lat był nazywany po prostu nerdem – dopóki nie stworzył programu deszyfrującego Transvector, który zaczął być używany przez MI6.

Johan Jönson z kanapką w ręku otwiera drzwi i zaprasza Joonę do dużego pokoju.

Za odrzucenie wszystkich ofert z sektora prywatnego Johan zażyczył sobie całego najwyższego piętra domu studenckiego Nyponet przy Körsbarsvägen. Odpowiada to dwudziestu pięciu pokojom w rodzaju tego, który wynajmował jako student Królewskiego Instytutu Technologicznego w Sztokholmie.

Wszystkie ściany na piętrze są wyburzone i zastąpione pojedynczymi stalowymi filarami. Pokój jest zavalony elektroniką – współczesną i przestarzałą.

Johan Jönson jest niskim mężczyzną z czarnymi wąsami i małą bródką. Jego głowa jest ogolona, ciemne brwi gęste i zrosnięte nad nasadą nosa. Ma na sobie ciasny dres, przypominający strój zawodników Paris Saint-Germain, ale koszulka jest podwinięta do góry i ukazuje pękaty brzuch.

Jooną wyjmując z torby chłodzącej twardego dysku zabranego z domu ministra spraw zagranicznych, rozwija folię bąbelkową i podaje go Johanowi Jönsonowi.

Zgodnie z prawem obraz z kamer monitoringu nie może być przechowywany dłużej niż dwa miesiące, dlatego nagrania są automatycznie usuwane z twardego dysku, zanim ten czas minie.

– Możesz odzyskać skasowany materiał – stwierdza Joono.

– Skasowany może oczywiście naprawdę oznaczać skasowany – odpowiada informatyk. – Ale zazwyczaj materiał określany tym mianem nadal istnieje. To jak z Tetrisem – stary materiał opada coraz niżej.

– Ten film ma tylko cztery miesiące.

Johan Jönson odkłada resztkę kanapki na zakurzony monitor i waży dysk w dłoni.

– Zamierzam wypróbować program o nazwie Under Work Schedule, który wyciąga wszystko naraz... trochę jak girlandę wycinaną z papieru – taką z aniołkami albo piernikowymi ludzikami.

– To będzie długa girlanda.

Każdy wie, że w pewnych okolicznościach można odzyskać usunięty materiał cyfrowy, ale ponieważ trzynaście kamer ministra zostało zainstalowanych przed siedmiu laty, łączny czas nagrania wynosi dziewięćdziesiąt jeden lat.

Nawet Joono Linna nie byłby wystarczająco uparty, żeby przekonać Carlosa do zainwestowania środków potrzebnych do przejrzania całości ogromnego materiału. Teraz jednak ma dokładną datę i nic go nie powstrzyma.

– Szukaj nocy Walpurgi – mówi.

Johan Jönson siada na poplamionym krześle biurowym i bierze garść mieszanki Bridge z plastikowej miski.

– Jestem uzależniony od cukru – rzuca przez ramię.

Na biurkach, szafkach i stołach stoi ponad czterdzieści komputerów stacjonarnych. Po podłodze, pomiędzy kartonami pełnymi starych twardej dysków, wije się kłębowisko kabli. W jednym z rogów ogromnego pomieszczenia leży zniszczony sprzęt: rozmaite układy scalone, karty dźwiękowe, karty graficzne, monitory, klawiatury, routery, konsole i procesory.

W rogu za pulpitem z zapasowymi częściami, lampą powiększającą i lutownicą Joono dostrzega niepościelone łóżko bez nóg. Na odwróconym do góry dnem plastikowym wiadrze obok budzika leży

kilka ciemnożółtych zatyczek do uszu. Prawdopodobnie Johan ma teraz mniej miejsca, niż kiedy był studentem.

– Zdejmij drukarkę z krzesła, żebyś mógł usiąść – mówi do Joony i podłącza twardy dysk do głównego komputera w kolekcji.

– Na filmie widać ostatni raz, kiedy Rex sika do basenu, ale my szukamy trzydziestego kwietnia. Na ten materiał wielokrotnie było nagrywane coś innego – wyjaśnia Joona i zdejmuje z krzesła drukarkę oraz książkę Thomasa Pynchona.

– Przepraszam za bałagan, ale właśnie połączyłem ze sobą trzydzieści komputerów z pomocą nowej wersji MPI... Powstało coś w rodzaju superkomputera, odpowiedniego do moich potrzeb.

W dolnym rogu ekranu widać datę i godzinę. Światło świtu pada na fasadę budynku i zamknięte drzwi.

– Dobre kamery, dobre obiektywy, Ultra HD. – Jönson kiwa głową. Joona kładzie przed nim plan domu ministra. Kamery są zaznaczone i opatrzone numerami od jednego do trzynastu.

– No to jedziemy z tym koksem – mamrocze Johan Jönson i zaczyna wpisywać komendy, stukając w klawisze.

Stojące w rzędzie komputery pstrykają, wentylatory idą w ruch, diody mrugają na zielono, a powietrze wypełnia zapach starodawnej kolejki elektrycznej, prądu stałego i przegrzanych transformatorów.

– Teraz wszystko wychodzi spod ziemi... powoli i elegancko – oznajmia informatyk, skubiąc bródkę.

Na dużym ekranie pojawia się szary obraz – wygląda jak opiłki żelaza, przybierające różne kształty pod wpływem zmian pola magnetycznego.

– To jest zbyt stare – mówi szeptem Jönson.

Pojawia się kilka warstw migoczących cieni. Można rozpoznać fragmenty ogrodu. Joona widzi dwie widmowe sylwetki idące w dół podjazdu. Jedna z nich należy do ministra, a druga do Janusa Mickelsena z Säpo.

– Janus – wskazuje Joona.

– Kiedy zaczął pracę w Säpo, otrzymał zadanie ochrony ministra –

mruczy Johan i wprowadza kolejne komendy do głównego komputera.

Obraz znika, zza szarej mgły co jakiś czas wyzieraają dom i zaśnieżony ogród.

– Girlanda nadal jest pozwijana, ale możemy zacząć rozprostowywać piernikowe ludziki, jednego po drugim... czwarty czerwca, trzeci czerwca, drugi czerwca...

Blade sylwetki suną tam i z powrotem po ekranie w szybkim tempie, przechodzą jedna przez drugą. Przypomina to zdjęcie rentgenowskie, na którym kontury ludzi ruszają się w swoich wnętrzach, przenikają przez samochody, cofając się i znikające w garażu.

– Piętnasty maja, czternasty... A tu mamy trzynaście ładnych wersji ostatniego dnia kwietnia – mówi Johan Jönson zduszonym głosem.

W ośmiokrotnym przyspieszeniu obserwują, jak minister i jego żona odjeżdżają swoimi samochodami o siódmej trzydzieści, a dwie godziny później przyjeżdża samochód firmy ogrodniczej. Jeden mężczyzna przycina żywopłot, a drugi zdmuchuje liście. Przejeżdża listonosz, a koło drugiej chłopiec na rowerze staje nieruchomo i zagląda na posesję, drapiąc się w nogę. O dziewiętnastej czterdzieści do podwójnego garażu wraca pierwszy samochód, a w domu zostaje zapalone światło. Pół godziny później przyjeżdża drugi samochód i drzwi garażu się zamykają. Koło jedenastej światła zaczynają gasnąć, a o dwunastej jest już zupełnie ciemno. Coś zaczyna się dziać dopiero po trzeciej w nocy, kiedy to Rex Müller przechodzi przez ogrodzenie i chwiejnym krokiem idzie po trawniku.

– Teraz obejrzymy obraz w czasie rzeczywistym, z każdej z kamer po kolei – mówi Joona i przysuwa się bliżej.

– Okej – odpowiada Jönson i wpisuje komendę. – Zaczynamy od pierwszej.

Na dużym ekranie ukazuje się idealny, absolutnie ostry obraz drzwi i oświetlonego ogrodu w okolicy furtki. Od czasu do czasu z kwitnącej wiśni spadają różowe płatki i spotykają swoje cienie na wybrukowanej ścieżce.

87

Po trzech godzinach mają za sobą trzynaście nocnych filmów. Trzynaście ujęć śpiącego domu z dnia pierwszego maja, od trzeciej czterdzieści sześć do trzeciej pięćdziesiąt pięć. W ciągu tych dziewięciu minut – od momentu, kiedy postawił butelkę na środku jezdni i przeszedł przez czarne żelazne ogrodzenie, aż do chwili, gdy opuścił posesję i ucieszył się na widok butelki wina na jezdni – Rex znalazł się w zasięgu czterech kamer.

– Nic – mówi z westchnieniem Johan Jönson.

Rex przebywa na posesji dziewięć minut. Przez ten czas na żadnym z filmów nie widać innych ludzi, żadnego pojazdu na ulicy czy jakiegokolwiek ruchu za firanką.

– A jednak widział zabójcę – stwierdza Joon. – Musiał go widzieć, bo jego opis jest zgodny z innymi zeznaniami.

– Może zobaczył go przy innej okazji – podsuwa Johan.

– Nie. To się dzieje tej nocy... Widzi zabójcę, nawet jeśli my go nie widzimy.

– Ale my nie możemy zobaczyć tego, co on. Mamy tylko nasze kamery.

– Wystarczy, że ustalimy, kiedy dokładnie go spostrzegł... Zaczniij od kamery numer siedem, tej skierowanej prosto na basen.

Ponownie w rogu ekranu widzą Rxa. Na skraju obiektywu jego sylwetka jest wygięta. Potyka się na werandzie, uderza się w kolano i ponownie staje na nogi.

Podchodzi do krawędzi basenu, chwilę się chybcze, rozpina rozporek i zaczyna oddawać mocz do wody. Potem chwiejnym krokiem podchodzi do granatowych mebli ogrodowych i obsikuje poduszki, fotele i okrągły stolik.

Zapina rozporek, odwraca głowę w stronę ogrodu i na coś patrzy, na moment traci równowagę, a potem wraca do domu, staje pod drzwiami

werandy, zagląda do salonu, opiera się o drewnianą ścianę i znika z kadru.

– Na co on patrzy zaraz po zapięciu rozporka? Tam w ogrodzie coś jest – mówi Joona.

– Chcesz, żebym powiększył jego twarz?

Rex idzie do tyłu w kierunku basenu, krąży wokół mebli i odwraca się plecami do kamery.

Obraz znów rusza do przodu. Johan robi zbliżenie na twarz i podąża za nią, kiedy Rex oddaje mocz na stół. Przyciska brodę do piersi, zamyka oczy, wydycha powietrze i zasuwuje rozporek.

Odwraca się w stronę ogrodu, coś zauważa, wykrzywia usta w mimowolnym uśmiechu, traci równowagę i jego twarz znika z ekranu.

– Nie, to nie tutaj... jedź dalej – mówi Joona.

Rex się odwraca w kierunku domu i idzie z powrotem. Johan Jönson jeszcze bardziej powiększa obraz. Twarz człowieka pod wyraźnym wpływem alkoholu wypełnia cały ekran. Jest idealnie ostra – widać przekrwione oczy, dolną wargę czerwoną od wina i ślad zarostu.

Widzą, jak Rex staje przed drzwiami werandy i zagląda do salonu. Lekko otwiera usta, jakby we wstępie do niepewnego uśmiechu, jakby zrozumiał, że został przyłapany. Zaraz potem jego oczy poważnieją, widać w nich przerażenie. Rex się odwraca i odchodzi.

– Tutaj! To w tym momencie go widzi! – stwierdza Joona z naciskiem.
– Odtwórz to jeszcze raz, musimy spojrzeć ponownie.

Johan Jönson robi dwudziestosekundową pętlę z fragmentu przy szybie: Rex coś dostrzega, zaczyna się pytająco uśmiechać, a potem bać.

– Co ty tam widzisz? – szepcze Joona.

Rozszerzają obraz i próbują podążyć za jego spojrzeniem. Rex zdaje się zaglądać prosto do salonu.

Nie przerywając pętli, przełączają się na kamerę numer sześć i widzą plecy Rexa. Jego twarz jest odbita w szybie, jakby patrzył w lustro.

– Widzi go tam w środku? – zastanawia się Joona.

Przejście wyrazu twarzy ze zdziwienia w strach jest widoczne również

w szybie. Za szkłem można dostrzec blade cienie mebli stojących w pokoju.

– Ktoś tam stoi? – pyta Johan Jönson i nachyla się do ekranu.

– Sprawdź kamerę numer pięć.

Piąta kamera jest umieszczona za dużą jadalnią w części willi leżącej pod kątem prostym do reszty budynku. Filmuje salon z zewnątrz aż do rogu, w którym jest szósta kamera – całe okno i fragmenty wnętrza.

Johan robi zoom przez szybę.

Dwudziestosekundowy fragment filmu powtarza się raz za razem, w zapętleniu, ale w ciemnej jadalni wszystko jest kompletnie nieruchome: szklany żyrandol nad stołem, odbicie w blacie, starannie dosunięte krzesła, para czarnych męskich skarpetek na podłodze.

– Nikogo tam nie ma. Na co on patrzy, do cholery?

– Powiększ fragment pod sofą – mówi Joona.

Johan Jönson rozszerza obraz, zjeżdża na podstawę lampy podłogowej i podąża za kablem pod kanapę.

Coś tam leży. Johan Jönson przełyka ślinę i rozjaśnia obraz, jednocześnie tracąc kontrast. Mleczna ciemność jest prawie tak samo nieprzenikniona jak czerń. Jasny kłęb kurzu na podłodze drży w przeciągu. Obraz powoli sunie w prawo, do skupiska bladych frędzli przy nogach kanapy.

– To tylko zwinięty dywan – stwierdza Joona.

– Aż się przestraszyłem – odpowiada z uśmiechem Johan Jönson.

– Została już tylko jedna możliwość – mówi Joona. – Jeśli sprawcy nie ma w pokoju, to Rex widzi jego odbicie w oknie.

– Jest porządnie napruty, może to nic takiego – próbuje Johan Jönson.

– Wróć do kamery numer sześć.

Na ekranie znów widać Rexa od tyłu, na tle szyby salonu. Raz za razem jego odbita w szkłe twarz przechodzi od zdziwienia do strachu.

– Co go tak przeraża?

– Widzi tylko siebie.

– Nie, to efekt Wenus z lustrem – oznajmia Joona, nachylając się do

ekranu.

– Co?

– Jeżeli jest filmowany z boku, a my widzimy jego twarz od przodu, to nie patrzy na siebie.

– Bo patrzy prosto w naszą kamerę – dodaje Johan i znów szarpie bródkę.

– A więc to, na co reaguje, musi się znajdować pod kamerą numer sześć.

Johan zmienia kamerę i sunie wzdłuż wielkiego okna na sam skraj kadru, sąsiadujący z kamerą szóstą na zewnętrznym krańcu, ukazującą zagajnik i czarne drzewa liściaste.

– Bliżej, pod wierzbę płaczącą – mówi Joon.

Długie gałęzie sięgają aż do trawy i huśtają się na delikatnym wietrze jak srebrno-czarna draperia.

Joon czuje dreszcz na plecach, kiedy dostrzega pierwszy ślad mordercy.

Cienie listowia pełzną po zamaskowanej twarzy, która po chwili znów znika.

88

Drżącymi dłońmi Johan Jönson cofa film i zmniejsza prędkość o połowę. Na ekranie widać, jak gałęzie odsłaniają twarz i znów ją zakrywają.

– Jeszcze trochę – szepcze Joona.

Liście pomału się huśtają. Po chwili morderca jest widoczny po raz drugi – dokładnie w chwili, kiedy się odwraca i znika w cieniu.

– Od początku, od początku – mówi Joona.

Teraz widzi wyraźnie pomiędzy gałęziami, że przed zamaskowaną twarzą huśtają się odcięte królicze uszy.

– Stój... Cofnij trochę.

Ekran jest prawie zupełnie czarny, ale przez głowę mordercy przechodzi nieco bardziej szary płat, a w oknie obok widać błysk.

– Co on robi, do cholery?

– Wejdz głębiej w mrok – mówi Joona.

– Co to jest? – Johan Jönson wskazuje punkt na monitorze.

– To musi być tył jego ucha.

– Zdjął maskę?

– Na odwrót... To tutaj, w cieniu, ją zakłada.

Zabójca musiał się domyślić, że na linii zagajnika kamera zarejestruje cień. Wszedł na posesję, korzystając z martwego pola, stanął pod wierzbą i naciągnął na głowę kominiarkę.

– Pieprzony zawodowiec – mówi Johan z napięciem w głosie.

– Spróbuj jeszcze raz z ósemką... W oknie coś zaśniło.

Obraz robi się czarny, ekran przecinają szare pasma oznaczające ruchy mordercy, który stoi odwrócony plecami do kamery i wkłada kominiarkę. Zanim się odwraca i przed jego twarzą dyndają królicze uszy, w oknie widać błysk.

– Co tam połyskuje w oknie kuchni?

– To wazon, widziałem go już wcześniej w kamerze numer siedem – mówi Joona. – Stoi w oknie obok miski cytryn.

- Wazon.
- Powiększ go – mówi Joona.

Johan Jönson rozciąga wazon na cały ekran, tak samo jak wcześniej twarz Rexa. Wybrzuszony, błyszczący metal odbija okno i ogród na zewnątrz. Przy jednej z krawędzi widać ruch – nagłą zmianę światła, nic więcej.

- Z powrotem – odzywa się Joona.
- Nic nie widziałem – mamrocze Johan Jönson, ale znów wraca.

Słaby ruch przy krawędzi wazonu ma postać wygiętej linii w kolorze pożółkłego papieru.

– To może być jego twarz przed włożeniem maski – stwierdza Joona z napięciem w głosie.

– *Shit me sideways* – odpowiada Johan Jönson i wyświetla na ekranie rozmazany obraz mocno wybrzuszonego odbicia.

Wygląda jak blady łuk biegnący pionowo przez ekran.

- Co robimy? Musimy zobaczyć jego twarz.

Johan Jönson bębni palcami o udo i mruczy coś sam do siebie.

- Co powiedziałaś? – pyta Joona.

– W prawie kulistym zwierciadle ognisko znajduje się przed środkiem, ale daleko za powierzchnią... A obraz jest tak dziwny, bo promienie boczne i centralne nie spotykają się w jednym punkcie.

- Da się to skorygować?

– Muszę tylko znaleźć wklęsłe zniekształcenie odpowiadające dokładnemu lustrzanemu odbiciu tego zwierciadła i umieścić je na osi głównej...

- Brzmi, jakby miało długo potrwać.

– Miesiące... Gdyby nie istniał Photoshop – odpowiada z uśmiechem Jönson.

Otwiera program i zaczyna poprawiać obraz kawałek po kawałku. Słychać tylko stukanie klawiszy.

Obraz wygląda jak dziwne zjawisko na niebie – poświata zostaje wessana w białą szczelinę i otoczenie robi się ciemniejsze.

– Mam dreszcze – szepcze Johan Jönson.

Ma wrażenie, że patrzy na anioła rodzącego się z samego siebie, kiedy widzi, jak blada twarz powoli się rozszerza i w końcu krystalizuje w pierwotnej formie.

Joona nabiera powietrza i wstaje z krzesła. Po raz pierwszy widzi wyraźnie twarz mordercy.

89

Rex stawia walizkę w przedpokoju i słyszy, że Sammy gra na gitarze. Rozpoznaje akordy, próbuje sobie przypomnieć, jaka to piosenka, i podchodzi coraz bliżej do salonu.

Rex dał Sammy'emu gitarę Taylor z metalowymi strunami w prezencie na konfirmację, ale nie wiedział, że chłopak nadal gra. Kiedy wchodzi do pokoju, rozpoznaje melodię – to *Babe I'm Gonna Leave You* Led Zeppelin.

Sammy ma brud pod paznokciami i narysował sobie coś na dłoni. Tleniona grzywka opada na jego skupioną twarz.

Biegłe szarpie struny i bardzo cicho podśpiewuje, tylko po to, żeby słyszeć w głowie melodię.

Rex siada na wzmacniaczu i słucha. Sammy gra do początku długiej instrumentalnej kody, potem tłumi struny i podnosi wzrok.

– Jesteś niewiarygodnie zdolny! – woła Rex.

– Nie – odpowiada Sammy z zawstydzeniem.

Rex bierze na kolana swojego półakustycznego gibsona i włącza wzmacniacz. Słysząc brzęczenie, kiedy lampy się rozgrzewają.

– Nie znasz żadnych piosenek Bowiego?

– *Ziggy Stardust* to pierwszy utwór, jakiego się nauczyłem... Czułem się niesamowicie *cool*, mama z pewnością słyszała to milion razy – mówi z uśmiechem Sammy i zaczyna grać.

– *Ziggy played guitar* – śpiewa Rex, próbując dotrzymać synowi kroku na gitarze. – *Jamming good*, ale może... *Gilly and the spiders from Mars*.

Za dużymi oknami po niebie szybko suną chmury i wygląda na to, że zbiera się na deszcz.

– *So where were the spiders* – śpiewają razem.

Rex patrzy na wrażliwą twarz Sammy'ego i przypomina sobie, jak to było, kiedy Veronica oznajmiła, że chce zachować dziecko. On sam

mówił wcześniej, że nie jest dojrzały, i na tę wieść nie potrafił ukryć wzburzenia, poczucia bezsilności i frustracji. Po prostu wstał od stołu, wsunął krzesło i ją zostawił.

- *So we bitched about his fans* – śpiewa Rex. – I coś tam *sweet hands*.
- Solo, tato, solo! – krzyczy Sammy.

Z przerażoną miną Rex zaczyna grać dźwięki ze skali bluesowej, którą zna, ale to brzmi dziwnie i zupełnie nie tak.

- Przepraszam – jęczy.
- Spróbuj e-moll – podsuwa Sammy.

Rex zmienia pozycję, próbując znowu i teraz jego gra rzeczywiście brzmi nieco lepiej, niemal jak prawdziwe solo gitarowe.

– Brawo. – Sammy się uśmiecha i kiedy Rex na niego patrzy, syn naprawdę wygląda na szczęśliwego.

Rex wybuchając śmiechem i zaczyna grać *Det komnier aldrig va över for mig* Håkana Hellströma, kiedy rozbrzmiewa dzwonek do drzwi.

– Ja otworzę – mówi Rex i odkłada gitarę na podłogę. Ze wzmacniacza dobywa się gruchnięcie.

Biegnie do przedpokoju, odsuwa walizkę i otwiera drzwi.

Młoda kobieta z ufarbowanymi na czarno włosami i przekłutymi policzkami patrzy na niego ospałym wzrokiem. Ma na sobie czarne dżinsy i koszulkę Pussy Riot, a jej szczupła lewa ręka jest zagipsowana od łokcia aż po czubki palców. W drugiej, wyciągniętej ręce trzyma wymiętą foliową reklamówkę z H&M.

Za jej plecami stoi mężczyzna koło trzydziestki. Jego oczy są ciepłe, a twarz przystojna jak u ładnego chłopca, ale zniszczona jak u gwiazdy rocka. Rex go rozpoznaje. To człowiek, z którym Sammy był na imprezie, kiedy przedawkował.

- Wchodźcie – rozlega się głos Sammy'ego za plecami Rexa.

Młoda kobieta rusza chwiejnym krokiem po chodniku w przedpokoju i podaje torbę Sammy'emu.

- Twoje rzeczy – oznajmia Nico i robi krok do przedpokoju.
- Okej – mówi Sammy.

Kobieta obejmuje Nica ramionami i uśmiecha się do jego szyi.

– Czy to ten pedał, który zapłacił za twój samochód? – pyta.

– To mój Salai, kocham go – odpowiada Nico i gładzi ją po plecach.

– Myślałam, że kochasz mnie – mówi kobieta tonem skargi. Sammy zagląda do torby.

– Gdzie jest aparat?

– Kurwa, zapomniałem. – Nico stuka się w czoło.

– A co tam poza tym? – pyta Sammy zduszonym głosem.

– W listopadzie będzie rozprawa... ale wynająłem dom w Marsylii, będę tam przez całą jesień.

– Narysuje komiks ze mną – oznajmia młoda kobieta. Potykając się, staje na butach Rexa.

– Filippa też się pojawi, szykuje się mała ekipa, będzie super.

– Na pewno – odpowiada Sammy.

– Ona nie ma twoich oczu – mówi Nico ściszym głosem.

Sammy patrzy mu w oczy.

– Kurde, ale z ciebie przystojniak – wzdycha Nico. Sammy nie może powstrzymać uśmiechu.

– Kiedy przyjdiesz z aparatem? – pyta.

– Co robisz dziś wieczorem?

– Dlaczego pytasz? – szepcze Filippa Nicowi do ucha.

– Bo chciałem iść na imprezę do Jonny'ego – wyjaśnia Nico.

– Ja nie dam rady, oni są pojebani – jęczy Filippa i opiera się o ubrania na wieszaku.

– Ciebie nie pytałem – odpowiada Nico i patrzy na Sammy'ego. – Pójdiesz z nami? Może być nieźle, no i wezmę aparat.

– Do Jonny'ego? – pyta Sammy niepewnie.

– Sammy zostaje w domu – oznajmia stanowczo Rex.

– Dobra, ojczulku – mówi z uśmiechem Nico i salutuje.

– Pomyślę – odpowiada Sammy.

– Powiedz „tak”, to będę...

– Wielkie dzięki za zaproszenie – przerywa Rex.

– Przestań, tato – szepcze Sammy z zakłopotaniem.

Filippa chichocze i zaczyna obmacywać kieszenie kurtek wiszących w przedpokoju. Nico chwytą ją za przedramię i tyłem wychodzi z mieszkania.

– Zadzwoń do ciebie! – woła za nim Sammy.

Rex zamyka drzwi, a potem stoi z ręką na klamce, wpatrzony w podłogę.

– Tato – odzywa się Sammy zmęczonym głosem. – Nie możesz się tak zachowywać, to było wyjątkowo niemiłe.

– Zgoda, przepraszam – zaczyna Rex. – Ale... myślałem, że z tym już koniec.

– Nie wiem, jak to będzie.

– Musisz żyć po swojemu, ale nie będę udawał, że go lubię.

– Nico jest artystą, uczył się w szkole sztuk pięknych w Göteborgu.

– Dobrze wygląda i rozumiem, że jest ciekawy, ale naraził cię na niebezpieczeństwo, a to...

– Cholera, sam też nie jestem bez winy – przerywa Sammy z irytacją.

Rex unosi ręce w obronnym geście.

– Nie możemy po prostu przetrwać tych tygodni, tak jak mówiliśmy na początku?

90

Łowca Królików wychodzi na wąski chodnik równoległy do Luntmakargatan. To ciemna tylna uliczka pomiędzy wysokimi tyłami domów w centrum Sztokholmu. Czuje się, jakby szedł po dnie fosy, otoczonej chińskimi, koreańskimi i wietnamskimi restauracjami. Niewielka siekiera zawieszona na pętli pod płaszczem i marynarką obija mu się o bok.

Przed jedną z restauracji poustawiano palety ze zgrzewkami konserw w puszkach. Blokują cały chodnik, więc Łowca musi zejść na jezdnię.

Dotyka się pod nosem, jakby nagle zaczęła mu z niego lecieć krew. Patrzy na palce, ale nic na nich nie ma. Myśli o tym, jak wiązał martwe króliki z żywymi w długie rzędy i wypuszczał. Żywe i ranne ciągnęły za sobą martwe ciała, szarpały się w różnych kierunkach i miotały się w panice.

Rysowały osobliwe krwawe ślady na brudnej cementowej posadzce.

Pamięta wierzganie tylnych nóg i drapanie pazurów, kiedy zwierzęta próbowały się uwolnić od ciężaru martwych.

Bez pośpiechu idzie dalej ulicą i dociera do garażu z uchylonymi drzwiami. Elektryczna brama wygląda na zepsutą – koziołek do cięcia drewna przytrzymuje ją metr nad ziemią. Z garażu dobiega wściekły kobiecy płacz. Kobieta pociąga nosem i krzyczy coś zdenerwowanym tonem.

Łowca Królików mija drzwi dokładnie w chwili, kiedy kobieta milknie.

Łowca przystaje, odwraca się i nasłuchuje.

Kobieta płacze, a jakiś mężczyzna na nią krzyczy.

Łowca Królików wraca, kuca i zagląda do środka. Widzi stromy zjazd ze słabym światłem wzdłuż betonowej ściany. Kobieta mówi spokojniej, ale nagle milknie, jakby pod wpływem wymierzonego policzka. Łowca wślizguje się pod bramę i zaczyna schodzić po stromej

rampie.

W powietrzu unosi się zapach stęchlizny i benzyny.

Idzie dalej w dół i trafia do małego garażu. Mężczyzna koło sześćdziesiątki, w czarnej skórzanej kurtce i workowatych dżinsach, popycha młodą kobietę w cienkim ubraniu. Kobieta traci równowagę i wpada pomiędzy czerwoną furgonetkę z zaparowanymi szybami a sportowy samochód przykryty srebrnym materiałem.

– Dobrze się bawicie? – pyta łowca.

– Co? A kim ty, kurwa, jesteś?! – krzyczy mężczyzna. – Nie możesz tu przebywać!

Łowca Królików opiera się o ścianę i patrzy na kobietę, mężczyznę oraz bujającą się rytmicznie furgonetkę. Wyobraża sobie, jak ich rozplata, utnie im ręce i będzie patrzył, jak biegają, bryzgając krwią.

– Wynoś się stąd – mówi mężczyzna.

Kobieta patrzy na łowcę pustym wzrokiem.

Za mężczyznę stoją na folii duże aluminiowe części systemu wentylacyjnego, a bardziej w głębi, przy ścianie, leży stos rulonów sztucznej trawy.

Łowca Królików nigdy nie gardził walką wręcz. Kiedy oczyszczał teren w strefie wojny w Ar-Ramadi, zawsze szedł jako pierwszy.

Wysadzili drzwi i wrzucili do środka kilka polskich granatów hukowych. Dowódca oddziału odsunął się na bok i kierował pozostałymi.

Łowca zawsze był pierwszy w środku, bo za każdy razem szedł prosto na cel, z karabinkiem M4, pistoletem lub nożem. Był szybki i mógł własnoręcznie zabić czterech lub pięciu ludzi.

– Spadaj – mów i mężczyzna i podchodzi.

Łowca Królików się prostuje, ociera pot z nad górnej wargi i patrzy na mrugającą jarzeniówkę na suficie, tykający zapłonnik i zimne światło odbijające się w bębnie wentylatora.

– To prywatny garaż – oznajmia mężczyzna groźnie.

– Przechodząc, usłyszałem krzyk i...

– To ciebie nie dotyczy – przerywa mężczyzna i nabiera tchu.

Łowca Królików ponownie zerka na młodą kobietę. Dziewczyna ma nadąsaną minę i jeden policzek czerwony od uderzenia. Jest ubrana w krótki płaszcz przeciwdeszczowy, białą portfelową spódnicę, czarne rajstopy w małe czaszki i buty na koturnie.

– Chce pani tu być? – pyta Łowca Królików łagodnym tonem.

– Nie – odpowiada krótko kobieta i wyciera nos.

– Źle pan zrozumiał całą sytuację – mówi z uśmiechem mężczyzna.

Łowca Królików wie, że nie powinien przebywać w tym miejscu, ale nie może sobie odmówić pozostania na chwilę. Kobieta go nie obchodzi. I tak utknie w prostytucji. To mężczyzna stanowi pokusę.

– Pozwól jej odejść – zwraca się do niego.

– Ona nie chce iść. – Mężczyzna wyciąga pistolet półautomatyczny.

– Zapytaj ją – proponuje Łowca Królików. Czuje gorące dreszcze, wychodzące z dolnych partii brzucha.

– Czego ty, do cholery, chcesz? – pyta mężczyzna. – Masz się za jakiegoś bohatera?

Mierzy z pistoletu w kierunku Łowcy Królików, ale kiedy nie dostrzega jakichkolwiek oznak strachu, traci pewność siebie i cofa się o kilka kroków.

– Nic jej się nie stanie – mówi z nutą nerwowości w głosie. – Ona po prostu uważa się za lepszą.

Łowca Królików idzie za nim. Nie potrafi powstrzymać uśmiechu. Idący tyłem mężczyzna opuszcza broń. Wylot lufy jest skierowany w podłogę, a sama lufa drży.

W końcu mężczyzna wpada na duży bęben wentylatora, jego ruch nie ma żadnego konkretnego kierunku, próbuje uciec niczym chory królik.

– Odwal się ode mnie.

Znów unosi pistolet, ale Łowca Królików spokojnie unieruchamia mu rękę, odwraca broń w jego stronę i wtyka mu lufę do ust.

– Bum – szepcze. Potem wyciąga lufę, wypuszcza magazynek na ziemię i wybija kulę z komory. Pocisk toczy się z brzękiem po betonowej

podłozie aż do stóp dziewczyny. Ona stoi nieruchomo, z opuszczonym wzrokiem, jakby nie miała odwagi patrzeć.

Łowca Królików wchodzi z powrotem na rampę, wyciera odciski palców z pistoletu i wrzuca go do wiadra z piaskiem i niedopałkami papierosów. Pochylony, przechodzi pod bramą garażu i idzie dalej ocienionym chodnikiem wzdłuż Luntmakargatan.

Na Rehmsgatan skręca w prawo i podchodzi do wejścia, dokładnie w chwili, kiedy kobieta z ufarbowanymi na czarno włosami i ręką w gipsie przytrzymuje drewniane drzwi mężczyźnie o pięknej twarzy.

Łowca Królików łapie drzwi i dziękuje, wchodzi prosto do windy, zamyka kratę i naciska guzik najwyższego piętra.

Przypomina sobie, jak razem z mamą przygotowywali pułapki, jak opryskiwali klatki cydrem jabłkowym, żeby króliki nie wyczuły zapachu człowieka.

Winda dociera na górę dokładnie w chwili, kiedy światło na klatce schodowej gaśnie. Na tym piętrze są tylko jedne drzwi – solidne, antywłamaniowe, z zewnętrzną warstwą lakierowanego dębu.

Kiedy Rex umrze, on odetnie mu uszy, nawlecze je na skórzany pasek i będzie nosił na szyi pod koszulą.

Na samą myśl słyszy w głowie trzask, który przechodzi w ogłuszający grzechot, jakby ktoś ciągnął wózek sklepowy wypełniony butelkami po nierównym asfalcie na parkingu.

Łowca Królików zamyka oczy i próbuje się opanować. Wie, że musi wtłoczyć w chaos zewnętrzną ciszę.

Przyciska dzwonek i słyszy za drzwiami zbliżające się kroki. Opuszcza wzrok na marmurową posadzkę i widzi, jak wiruje mu pod stopami – jak obrotowa płyta w przegubie autobusu.

Drzwi się otwierają i staje przed nim Rex w koszuli wyjętej ze spodni. Zaprasza go do środka, robi mu miejsce i o mały włos nie potyka się o walizkę.

– Wejdz – mówi ochryple.

Łowca Królików wchodzi i zamyka za sobą drzwi, wieszka płaszcz

i rozwiązuje buty. Rex znika na krętych schodach.

Łowca poprawia siekierę wiszącą pod marynarką i rusza za nim na jasne piętro.

– Jestem głodny – oznajmia, kiedy wchodzi do kuchni.

– *Sorry*. – Rex z uśmiechem rozkłada ręce. – Zamiast obierać szparagi, grałem na gitarze.

– Ja obiorę. – Łowca Królików bierze do ręki białą plastikową deskę.

– No to ja zrobię bulion – zgadza się Rex i wyjmuje z lodówki cztery pęczki zielonych szparagów.

Łowca głośno przełyka ślinę. Wie, że jak najszybciej musi wziąć lek. W jego mózgu rozbrzmiewa głośny dźwięk, jakby rozrywanego prześcieradła. Rex jest jednym z tych, którzy zgwałcili jego mamę, którzy zostawili ją zszmaconą na kupie nawozu.

Opiera się ręką o blat i wyciąga z bloku nóż do obierania.

Do kuchni wchodzi Sammy z jabłkiem w ręku, obrzuca go szybkim spojrzeniem, a potem odwraca się w kierunku taty.

– Możemy kontynuować rozmowę? – pyta, rumieniąc się.

Łowca Królików przykładła ostrze noża do swojego kciuka, lekko przyciska i na chwilę zamyka oczy.

– Sammy – mówi Rex. – Zupełnie mi nie przeszkadza, że tu mieszkasz. Nie to powiedziałem.

– To niezbyt fajne, przez cały czas czuć się niechcianym. Wiem, że tak było.

– I tak wszyscy umrą – odzywa się cicho Łowca Królików.

Patrzy na nóż, który trzyma w dłoni. Po raz kolejny myśli o mamie i o straszliwym gwałcie, który ją zdruzgotał.

Teraz wie, że mama cierpiała na nawracającą depresyjną psychozę reaktywną i że jej mroczne urojenia odbijały się na nich obojgu.

Agresywny lęk przed królikami, przed ohydnyimi króliczymi norami w ziemi.

Dawniej wspomnienia z dzieciństwa były czymś, czego nie dopuszczał do głosu. Polowanie na króliki i strach mamy to elementy tajnej

przeszłości. Ale w ostatnim czasie zapamiętane obrazy napływają obfitym strumieniem, forsując wszystkie bariery ochronne.

Dostaje nimi prosto w twarz, jakby wszystko działo się w tej chwili.

Jest pewien, że sam nie ma psychozy, ale przeszłość pokazała, że ta choroba nigdy się nie poddaje.

91

Kiedy Rex kroi szalotkę, czuje, że opuszki palców lewej dłoni są obolałe od gry na gitarze.

– Dlaczego mówisz, że jesteś niechciany? – pyta ostrożnie, zrzucając kawałki cebuli do rondla.

– Bo ciągle powtarzasz, że musimy spróbować wytrzymać razem trzy tygodnie – odpowiada Sammy. Rex zdrapuje resztki z noża o kant deski, patrzy na szerokie ostrze i splukuje je pod kranem.

– Nie chodzi mi o mnie. Raczej... apeluję do ciebie, żebyś ze mną wytrzymał.

– Mam inne wrażenie – mówi syn niewyraźnym głosem.

– Nigdy nie widziałem Rexa tak szczęśliwego jak teraz – stwierdza DJ, nie przestając obierać szparagów.

– Tato, pamiętasz, jak było, kiedy miałem u ciebie mieszkać poprzednim razem? – pyta Sammy. – Pamiętasz?

Rex patrzy na syna, na jego błyszczące oczy, wrażliwą twarz i wąskie ramiona. Domyśla się, że to, co Sammy powie, nie będzie przyjemne, ale mimo to chce, żeby mówił dalej.

– Nie, nie pamiętam – odpowiada szczerze.

– Miałem wtedy dziesięć lat, byłem tak niesamowicie szczęśliwy, opowiadałem kolegom o moim tacie, o tym, że będę z tobą mieszkał w centrum i że co wieczór będziemy jedli w restauracji.

Sammy'emu łamie się głos. Opuszcza głowę i próbuje się uspokoić. Rex chce go przytulić, ale nie ma odwagi.

– Sammy... Nie wiem, co powiedzieć, nie pamiętam tego – mówi cicho.

– Nie pamiętasz – odpowiada Sammy. – Bo tego pożałowałeś, kiedy zobaczyłeś, że nie obciąłem włosów.

– To nieprawda.

– Miałem długie włosy i się na to skarżyłem, mówiłem, że pójdę do

fryzjera, ale tego nie zrobiłem, i... kiedy przyjechałem do twojego domu...

Oczy Sammy'ego napełniają się łzami, jego twarz robi się czerwona, a wargi puchną. Rex zdejmuje rondel z płyty i wyciera dłonie o fartuch.

– Sammy, już wiem, o czym mówisz... To nie miało nic wspólnego z twoimi włosami... To było tak... Kiedy twoja mama cię przywiozła, byłem tak pijany, że nie potrafiłem stać prosto... Nie mogła cię u mnie zostawić.

– Nie. – Sammy pociąga nosem i odwraca twarz.

– To było wtedy, kiedy mieszkałem przy Drottninggatan – ciągnie Rex. – Pamiętam, że leżałem na podłodze w kuchni, pamiętam cię, miałeś te swoje czerwone trampki i małą walizkę z kartonu, która...

Milknie, kiedy dociera do niego sens słów syna.

– Ale ty myślałeś, że chodzi o twoje włosy – mamrocze prawie do siebie. – No jasne, że tak.

Okrąża blat i próbuje przytulić Sammy'ego, ale chłopak się wyrzywa.

– Wybacz mi. – Rex ostrożnie odgarnia długą grzywkę z jego twarzy. – Wybacz, Sammy.

DJ wkłada do ust tabletkę modiodalu i połyka. Nie wie, jak podziałają na niego te wydarzenia. Nie byłoby dobrze, gdyby nagle stracił wszystkie siły i zasnął na podłodze.

Kroi obrane łodygi na kawałki, odkłada wierzchołki i wrzuca resztę do rondla z wodą.

Myśli o tym, że nie wolno mu teraz być myśliwym, że jeszcze przez chwilę musi być przyjacielem DJ-em.

Wszystko odbywa się bez pośpiechu, w idealnym tempie, w idealnym porządku.

Pamięta, jak mama pokazywała mu szkolne zdjęcie, na którym wszyscy uczniowie stali zebrani przed wielkim głównym budynkiem. Dziewięciu miało wykłute oczy, dziesiąty nie widniał na zdjęciu, bo był konserwatorem. Dokładnie pamięta drżącą dłoń mamy i światło biurkowej lampki, padające przez dziurki w papierze fotograficznym

i przypominające nieznaną gwiazdozbiór.

– Sam sobie radzę – mówi Sammy zduszonym głosem. – Nie zorientowałeś się?

– Odpowiadam za ciebie, kiedy tu mieszkasz... I w tej chwili czuję, że nie chcę jechać z DJ-em do Norrlandii.

– Możemy przełożyć spotkanie – oznajmia DJ i odkłada nóż na deskę.
– Zadzwoń do inwestorów.

Rex posyła mu pełne wdzięczności spojrzenie.

DJ się uśmiecha i myśli, w jaki sposób go zabić. Rex powinien się czołgać korytarzami hotelu, z rozciętymi plecami, dopóki jego syn nie strzeli mu w kark.

Rex wyciska do duszącej się potrawy kilka kropel soku z limonki, a Sammy wyjmuje z lodówki bitą śmietanę i zdejmuje nakrętkę.

– Nie potrzebuję niańczenia – oznajmia Sammy. – Wiem, że tak to wygląda, ale daję sobie radę.

– Po prostu nie chcę, żebyś był sam. – Rex zaczyna obierać krewetki.

– Przecież marzysz o tym, żeby tam pojechać i zapolować – mówi z uśmiechem Sammy i udaje, że mierzy z broni. – Bum, bum... i Bambi nie żyje.

– To tylko interesy – odpowiada Rex.

– Które ja psuję – dopowiada Sammy.

– Możesz też pojechać z nami do dziczy – proponuje DJ i wyobraża sobie zakrwawionego królika, który pełźnie po podłodze, podczas gdy odcięte łapy leżą na ławce.

– Tata tego nie chce – mówi cicho Sammy.

– Oczywiście, że chcę! – protestuje Rex i opłukuje ręce.

– Nie – odpowiada z uśmiechem Sammy.

Rex miesza zupę z kawałkami szparagów, szybko podsmaża wierzchołki i bierze talerz z obranymi krewetkami.

– To byłoby fantastyczne – mówi ciepło. – Możemy razem coś upichcić dla tych inwestorów. Sammy, zachwycisz się tamtejszą przyrodą, obiecuję.

- Ale ja nie potrafię zabijać zwierząt.
- Ja też nie – odpowiada Rex.
- Może odnajdziecie to w sobie, kiedy przyjdzie czas – stwierdza DJ i próbuje uciszyć krzyk mamy, który słyszy w głowie.

Tylko dwóch spośród gwałcicieli było trudno zabić. Jednego dlatego, że wywołałoby to zamieszanie i zaangażowałoby znaczne siły policji, a drugiego, ponieważ mieszkał w Waszyngtonie i od wielu lat był bardzo dobrze chroniony przez Blackwater.

Jego plan był tak genialny, że nikt nie mógłby go odkryć, dopóki nie będzie za późno.

Wiedział, że Teddy Johnson przyjedzie na pogrzeb ministra spraw zagranicznych.

Musiał go jednak zwabić dokładnie w odpowiednim momencie, zanim dotrze do niego informacja, że zginęło więcej jego przyjaciół z Króliczej Nory. W przeciwnym razie z pewnością by się domyślił, że to pułapka.

Wówczas nie miałoby znaczenia, jaką przynętę w głębi klatki położył myśliwy.

Ale Johnson wpadł w pułapkę, a on zadbał o to, żeby kościelny tłum rozdzielił go z Rexem. Usiadł na chórze blisko schodów i pomachał do Sammy'ego, który znalazł się na samym skraju po prawej. W czasie grzącego psalmu rzucał w Rexa kulkami z papieru.

W odpowiedniej chwili DJ wymknął się z ceremonii i zdążył dotrzeć do północnej Wieży Królewskiej dziesięć minut przed końcowym słowem pastora. Wiedział, że chaos, jaki powstanie, kiedy Teddy Johnson zostanie trafiony pierwszym pociskiem, zatuszuje jego zniknięcie. Ludzie będą się tłoczyli i wrzeszczeć. Miną godziny, zanim wszyscy trzej znów będą razem w domu Rexa.

300 Win Mag był oczywistym wyborem.

Do zabicia ministra spraw zagranicznych wybrał pistolet z tłumikiem, bo wiedział, że niezależnie od tego, jak dokładnie się przygotuje, przeprowadzi rekonesans i przeanalizuje zwyczaje oraz harmonogram

ofiary, zawsze mogą zaistnieć okoliczności, których nie da się przewidzieć.

Był tam dwukrotnie i przed wejściem sprawdził alarm, kamery i procedury bezpieczeństwa. Wiedział jednak, że w odróżnieniu od większości ludzi człowiek o pozycji ministra spraw zagranicznych może z takich czy innych względów zażyczyć sobie do domu uzbrojonych ochroniarzy.

Łowca Królików najchętniej przeciąłby mu nadgarstki w wannie, ale kiedy się okazało, że prostytutce udało się uwolnić i wszcząć alarm, nie chciał podejmować ryzyka. Wybierając broń, zazwyczaj kieruje się przecuciem.

Miał trzy powody, aby zabić ministra spraw zagranicznych, kiedy w jego łóżku była związana prostytutka. Po pierwsze, wiedział, że minister aranżuje takie spotkania tylko wtedy, kiedy jego rodzina wyjeżdża.

Drugi powód był taki, że przed wizytami prostitutek minister zawsze odsyłał ochroniarzy.

Po trzecie, prostytutka zwiększała szanse, że okoliczności jego śmierci zostaną wyciszone.

DJ posyła Rełowi uśmiech, kiedy siadają przy stole, ale w środku słyszy, jak matka krzyczy ze strachu, kiedy króliki wymykają się z pułapki i w panice próbują uciec przed łopatą, którą on je uderza.

92

Joona Linna stawia długie kroki, idąc korytarzem na siódmym piętrze komisariatu w sztokholmskim Kungsholmen. Jego jasne włosy są potargane, a oczy przybrały intensywny odcień szarości. Ma na sobie nowy czarny garnitur i jasnoszarą koszulę. Marynarka jest rozpięta, a w wyblakłej skórzanej kaburze pod jego lewym ramieniem można dostrzec kolbę colta combata.

Młoda kobieta ze zmarszczkami mimicznymi posyła mu szeroki uśmiech. Srebrzystobrody mężczyzna stojący w aneksie kuchennym kładzie rękę na sercu, kiedy Joona przechodzi obok.

Za drzwiami pokoju szefa wisi plansza przedstawiająca siedem regionów policyjnych w Szwecji. Region sztokholmski jest najmniejszy, a ten leżący na północy obejmuje połowę kraju.

Carlos stoi pochylony nad swoim akwariem. Kiedy Joona wchodzi do pokoju, szef podskakuje, jakby został przyłapany na czymś niedozwolonym.

– Rozpieszczasz je – mówi Joona, patrząc na rybki.

– Wiem, ale one to kochają – odpowiada Carlos.

Zmienił dekoracje w akwariem. Zamiast wraku statku i plastikowego nurka ryby pływają pomiędzy białymi statkami kosmicznymi, szturmowcami, leżącym Darthem Vaderem i Hanem Solo w blasku bąbelków z napowietrzacza.

– Teraz widzimy już twarz mordercy – oznajmia Joona. – Ale zdjęcie nie pasuje do nikogo w rejestrze skazanych i w rejestrze wykroczeń.

Carlos otwiera zdjęcie w swoim komputerze i patrzy na lekko odwróconą twarz, którą Johan Jönson wydobył z odbicia w srebrnym wazonie.

Morderca jest białym mężczyzną około trzydziestki, o jasnych włosach, ze starannie przystrzyżoną brodą, z prostym nosem i ze zmarszczkami na czole.

Jego solidny kark jest przekręcony, a z cienia występują układające się ukośnie mięśnie szyi. Usta są lekko otwarte, twarz czerwienieje pod jasnymi brwiami, a niebieskie oczy ma wilgotne, prawie nieobecne.

– Trzeba wysłać to zdjęcie do terminali TETRA we wszystkich okręgach; to musi wyjść bezpośrednio od ciebie – stwierdza Joon. – Najwyższy priorytet... Damy piętnaście minut, a jeśli nikt nie zareaguje, wyślemy je do wieczornych wydań gazet i poprosimy ludzi o pomoc.

– Dlaczego zawsze jest taki pośpiech, kiedy ty...

Przerywa, bo do pokoju, bez pukania, wchodzi Anja. Okrąża duże biurko i przesuwa fotel na kółkach razem z Carlosem, jakby był zawadzającym jej grillem ogrodowym.

Szybko rozpowszechnia zdjęcie za pomocą wewnętrznej sieci obejmującej całą policję, nadając mu najwyższy priorytet, a następnie otwiera załącznik w mailu, który wysłała sama do siebie. Jest w nim propozycja tekstu do wszystkich redakcji w kraju. Fotografie przestępcy widać teraz na należącym do Carlosa terminalu użytkownika, leżącym obok klawiatury.

– Teraz pozostaje tylko czekać – oznajmia Anja i krzyżuje ręce.

– Co właściwie się zmieniło w tym budynku oprócz nazwy? – pyta Joon, wyglądając przez niskie okno na park.

– Działamy dokładnie tak jak przedtem, tylko trochę gorzej – odpowiada Carlos.

– Ma to dużą wartość – mówi Joon, spogląda na zegarek i zastanawia się, dlaczego Saga wciąż nie daje znaku życia.

– Zasadniczo chodzi o to, że żaden region nie chce być sterowany odgórnie... Dlatego nie możemy już inicjować działalności operacyjnej. Możemy tylko wspierać regiony.

– Nie brzmi to najlepiej.

– Ale działa, bo jednocześnie możemy decydować, kiedy regiony potrzebują naszego wsparcia.

Carlos milknie, kiedy otrzymuje zgłoszenie z innego terminalu.

Wie, że nie może nie odebrać. Zaczyna majstrować przy przyciskach, aż

w końcu udaje mu się włączyć tryb głośnomówiący.

– Rikard Sjögren, sztokholmska policja porządkowa – przedstawia się kolega. – Nie wiem, czy ta informacja jest coś warta, ale uczestniczyłem pod przykrywką w pogrzebie ministra spraw zagranicznych w kościele Świętego Jana i jestem pewien, że widziałem tego człowieka wśród gości.

– Ale nie wiesz, kim on jest? – pyta Carlos z twarzą przy nadajniku.

– Nie.

– Czy przebywał w większym towarzystwie albo z kimś, kogo rozpoznałeś? – pyta Joonas.

– Nie wiem... ale widziałem, jak rozmawiał z tym kucharzem, którego ciągle pokazują w telewizji.

– Z Rexem Müllerem?

– Tak jest. Z Rexem Müllerem.

Anja zaczęła już przeglądać archiwa dzienników i tygodników w poszukiwaniu zdjęć ludzi obecnych na pogrzebie przed zamachem. Na ekranie widać kolejne twarze – przeważnie polityków i biznesmenów – przed kościołem, w ostrym słońcu.

– Tu jest – mówi nagle. – Prawda?

– Tak – potwierdza Joonas.

Widać go na zdjęciu z prezydentem Estonii, wśród ludzi stojących w kolejce na schodach kościoła. Osłania oczy dłonią, a światło słońca pada na jego jasną brodę.

– Ale brak nazwiska – mruczy do siebie Anja i szuka dalej.

Parę chwil później znajduje nowe zdjęcie, przedstawiające go w towarzystwie Rexa Müllera i jego syna. Rex obejmuje syna ramieniem i patrzy w obiektyw z przygnębieniem wypisanym na twarzy, a morderca zaczyna się odwracać. Ma spocone czoło, a w jego oczach widać osobliwe napięcie.

– Według podpisu nazywa się David Jordan Andersen – oznajmia Anja.

Zabójca został zidentyfikowany, myśli Joonas. To David Jordan

Andersen jest szalonym mordercą, który zabija gwałcicieli jednego po drugim.

Anja szybko sprawdza nazwisko w wyszukiwarce i ustala, że David Jordan jest założycielem firmy produkującej program kulinarny REXA i że praktycznie pełni funkcję jego menedżera.

– Gdzie mieszka? – pyta Joonas.

– Mieszka na... na wyspie Ingarö, a jego firma ma biuro przy Observatoriegatan.

– Wyślij jedną ekipę na Ingarö, jedną do biura i jedną do domu REXA Müllera – mówi Joonas do Carlosa. – Ale nie zapominaj, że on jest wyjątkowo niebezpieczny... Prawdopodobnie będzie próbował zabić tego, kto pierwszy wejdzie do środka.

– Nie musisz mi mówić takich rzeczy – mamrocze Carlos.

Joonas i Anja czekają, a Carlos skutecznie organizuje centrum koordynacji; zadanie wejścia do domu na Ingarö powierza antyterrorystom, a dwa pozostałe – policji porządkowej.

Przed zakończeniem rozmowy z szefem operacyjnym podkreśla, jak ważne są dodatkowa broń i kamizelki kuloodporne.

– On przestrzelił nasze kamizelki – oznajmia Joonas i wychodzi z pokoju.

93

Kiedy deszcz przechodzi, niebo staje się białe. Liście rozkwitłej dzikiej róży leżą mokre na kratce studzienki ściekowej. Woda skapuje z dachu Wydziału Medycyny Sądowej na terenie Instytutu Karolinska.

Nälen mija parking swoim białym jaguarem, wjeżdża na chodnik i parkuje tuż przed wejściem, z jednym tylnym kołem na rabatce.

Uśmiechnięty profesor wysiada z samochodu i zauważa, że przedni zderzak jest tak blisko drzwi, iż nie da się ich otworzyć. Pogwizdując, wraca do jaguara, siada na fotelu kierowcy, cofa, wjeżdża w krzewy róż i znowu wysiada.

Jego szczupła twarz jest gładko ogolona, a na kostropatym nosie tkwią okulary pilotki w białych oprawkach. Jest znany jako niezwykle dokładny i zacięty koroner, ale tego dnia ma wyjątkowo dobry humor.

Wesoło macha do recepcjonistki i idzie dalej do swojego biura. Zdejmuje kurtkę i wkłada lekarski fartuch na koszulkę polo.

– *Tell me I'm a bad man, kick me...* tralalaa – śpiewa i przechodzi do sali obdukcyjnej. – *Tell me I'm an angel, take this to my grave...*

Frippe, asystent Nälena, już przywiózł ciało z przechowalni i położył w zamkniętym worku transportowym na stole obdukcyjnym.

– Rozmawiałem z Carlosem. Mówił, że Joon Linna wrócił – oznajmia Nälen. – Wszystko znów jest w porządku.

Nagle urywa, chrząka kilka razy, zdejmuje okulary i przeciera je krawędzią fartucha.

– Zaczynam podejrzewać, dlaczego musiałem znów wyjąć *mister Rittera* – odzywa się Frippe i związuje gumką długie włosy.

– Joon sądzi, że Ritter został zamordowany – oznajmia Nälen, a kącki jego wąskich ust drgają.

– Ja tak nie uważam – mówi Frippe.

– Trzy osoby, które trzydzieści lat temu chodziły do szkoły Ludviksberg, zostały w tym tygodniu pozbawione życia. Ale ponieważ

Joona mówi, że może być ich więcej, Anja przesiała wszystkie nazwiska z roczników przez rejestr... i jedyny pasujący przypadek śmierci to ten – kończy Nälen.

– Czyli nieszczęśliwy wypadek – stwierdza Frippe.

– Joona uważa, że przegapiliśmy zabójstwo.

– Przecież on, do cholery, nawet nie spojrzał na ciało – obrusza się Frippe i drapie się kciukiem w brew.

– Nie spojrzał. – Na twarzy Nälena pojawia się pełen zadowolenia uśmiech.

– Carl-Erik Ritter miał dwa i trzy dziesiąte promila alkoholu we krwi, był kompletnie pijany, wpadł w witrynę sklepową, kiedy wracał z pubu El Bocado w Axelsbergu, i przeciął sobie tętnicę szyjną – ciągnie Frippe, otwierając torbę do transportu zwłok.

Po sali rozchodzi się słodkawa, bagnista woń.

Nagie ciało Carla-Erika Ritтера ma kolor brązowego marmuru, a szerniały brzuch jest wydęty.

Zwłoki są przechowywane w temperaturze ośmiu stopni, żeby ich psucie się przebiegało wolniej, ale walka z procesem rozkładu i tak jest skazana na porażkę.

Frippe pochyla się nad szarą twarzą i spostrzega, że w jednej z dziurek nosa coś zaczyna połyskiwać na czerwono.

– Co do cholery...

Nagle z nosa wypływa brunatnoczerwony płyn, oblewa wargi nieboszczyka i spływa po policzku.

– Kuźwa – sapie Frippe i odchyła głowę.

Nälen maskuje uśmiech, ale się nie odzywa. Sam kiedyś tak reagował. W procesie rozkładu pod skórą i w nosie często powstają pęcherze. Kiedy nagle pękają i wypływa z nich płyn, łatwo to pomylić z krwawieniem z nosa.

Frippe podchodzi do komputera i stoi tam krótką chwilę, a potem wraca z iPadem i zaczyna porównywać zdjęcia z miejsca wypadku z obrazami zmarłego.

– Obstawiam przy swojej opinii – mówi po chwili. – To był czysty wypadek. .. Ale Joonas i tak może mieć rację. Jest przecież więcej okręgów, może przegapiono morderstwo w Göteborgu albo w Ystad.

– Może tak być – mruczy Nälén i wkłada winylowe rękawiczki.

– Witryna się rozbiła, Ritter upadł prosto na szkło, wszystko się zgadza. Obejrzyj szkice techników – mówi znów Frippe i wyciąga do Näléna iPad.

Nälén go nie bierze, lecz zaczyna się przyglądać wielu powierzchownym skaleczeniom, które świecą jak czarne kreski na całym ciele, tworzą skupisko na dłoniach, kolanach, tułowi i twarzy. Jedyną raną z prawdziwego zdarzenia jest ukośne cięcie na szyi, sięgające aż do ucha.

– Otwarta rana cięta – czyta Frippe, podczas gdy Nälén grzebie w głębokiej ranie. – Wewnętrzne krawędzie cięcia są gładkie, niezbyt mocno przesiąknięte krwią... Żadnych zgrubień czy uszkodzeń tkanek, skóra wokół rany jest nienaruszona...

– Dobrze. – Nälén przesuwając palcem po krawędzi rany.

– Bezpośrednia przyczyna śmierci to połączenie wykrwawienia i zachłyśnięcia się krwią – kontynuuje Frippe.

– Tak, to była bardzo głęboka rana – mruczy Nälén.

– Był pijany, stracił równowagę, wybił szybę wystawy, poleciał bezwładnie do przodu całym ciężarem, nadział się szyją na ostry kant, który zadziałał jak ostrze gilotyny.

Nälén rzuca mu z ukosa rozbawione spojrzenie.

– A nie sądzisz, że te tragiczne okoliczności są zbyt doskonałe? – pyta. – A jeśli pomógł mu ktoś, kto nieco mocniej przycisnął głowę, kto dopilnował, żeby szyja przejechała po krawędzi... żeby szkło przecięło tętnicę szyjną aż do tchawicy?

– To jest wypadek – upiera się Frippe.

– Utopił się powoli we własnej krwi – stwierdza Nälén i podsuwa okulary na swoim długim nosie.

– Teraz to wygląda tak, jakby Joonas Linna czekał, aż będzie mógł

zapytać, kto ma rację – jęczy Frippe.

– Ale ty jesteś pewny swego – odpowiada Nälen swobodnym tonem.

– To był wypadek... Wyciągnąłem z jego ciała dwieście dziesięć odłamków i fragmentów szkła... przede wszystkim z kolan, dłoni, tułowia i twarzy.

Nälen gmera w ustach zmarłego, otwiera zasklepioną ranę w górnej wardze, tak że widać przez nią zęby.

– To zostało zrobione nożem – mówi krótko.

– Nożem – powtarza Frippe i głośno przełyka ślinę.

– Tak.

– A więc to jednak morderstwo – wzdycha Frippe, spoglądając na zmarłego.

– Niewątpliwie – szepcze Nälen i patrzy mu w oczy.

– Jedna, jedyna rana... Jedna rana z pieprzonych dwustu została zadana nożem.

– Żeby ofiara przypominała zająca... królika.

94

Czterysta metrów od domu Davida Jordana na Ingarö czarny minibus ekipy antyterrorystów blokuje wąską ulicę. Ciężko uzbrojeni policjanci szybko odgradzają teren plastikową taśmą i rozkładają czarne maty z kolcami, sięgające aż do rowu na poboczu.

W porozumieniu z Janusem Mickelsenem z Säpo działaniami terenowymi kieruje Magnus Mollander. To jasnowłosy mężczyzna o niepewnym spojrzeniu, który zaledwie kilka godzin wcześniej rozstał się z dziewczyną. Pewnego ranka stwierdziła nagle, że nie może żyć z kimś, kto codziennie w pracy ryzykuje życie. Nie dało się z nią dyskutować, po prostu spakowała swoją walizkę w kwiaty i zniknęła.

Kiedy jechali do domu, Magnus uważnie oglądał zdjęcia satelitarne posiadłości, która w większości składała się z lasu i stromych skał opadających do wody.

Brygada specjalna antyterrorystów składa się z ośmiu funkcjonariuszy z pełnym oprzyrządowaniem – w hełmach, ceramicznych kamizelkach ochronnych, z pistoletami maszynowymi i półautomatycznymi oraz bronią snajperską Heckler & Koch.

Ich ciężkie buty stukają, kiedy brygada idzie po pustej asfaltowej szosie. Trzciny w rowie huśtają się na wietrze.

Na znak Magnusa Janus Mickelsen i dwaj inni snajperzy schodzą z drogi i ruszają w teren. Reszta grupy zbliża się do ogrodzenia i w milczeniu idzie wzdłuż niego. Z wysokich koron drzew dobiega śpiew ptaków. Nad dzikimi kwiatami unoszą się pojedyncze motyle.

Grupa antyterrorystów jest już na zadbanym podejździe Davida Jordana. Magnus Mollander patrzy na starannie wygrabiony żwir i pusty parking. Resztę posesji zasłaniają dwa ciemne budynki pod zadaszeniem, połączone w coś w rodzaju wiaty garażowej.

Otwiera furtkę, kiwnięciem dłoni przywołuje kolegów i jednocześnie otrzymuje raport od Janusa, że snajperzy minęli ogrodzenie i właśnie się

wspinają po skale za kortem tenisowym.

Daje znak swoim ludziom, żeby się rozproszyli parami, a sam idzie z Rajmem pomiędzy budynkami. Czuje się tak, jakby byli w głębokiej bramie w zamkowym murze.

Ostrożnie podchodzą do wyjścia i spoglądają w dół na opadającą plażę z nagimi skałami.

Dom Davida Jordana jest duży, brunatnoczarny, z ogromnymi oknami i piękną werandą w kształcie litery L, z którego widać zatokę. Przed domem jest kryty basen i kamienny taras, na którym stoją białe leżaki.

Wszystko jest wysprzątane, zadbane i ciche.

Wygląda na to, że nikogo nie ma w domu.

Magnus i Rajmo stoją nieruchomo i patrzą na budynek. Dokładnie obserwują okna, ale nie dostrzegają żadnego ruchu.

Przy pomoście, obok dwóch skuterów wodnych wiszących na platformach, jest przycumowana sportowa łódka.

Snajperzy zgłaszają, że są już gotowi.

Magnus się poci w ciężkiej kamizelce kuloodpornej. Słyszy w hełmie swój własny oddech, kiedy podnosi rękę i daje swoim ludziom znak, żeby szli naprzód.

Grupa numer jeden rusza do domku dla gości i wyważa drzwi, a w tym samym czasie grupa numer dwa idzie z Magnusem i Rajmem do głównego budynku.

Pochyleni, przemykają po otwartym terenie w kierunku domu. Wchodzą z dwóch stron – Magnus wysadza drzwi, a jednocześnie grupa numer dwa wybija szybę i wrzuca granaty hukowe.

Rajmo odciąga skrzydło drzwi, lufą pistoletu maszynowego odgarnia drzazgi ze zniszczonej futryny, podbiega do drzwi pierwszej futryny, przykuca i je otwiera. Magnus idzie tuż za nim. Przy akompaniamencie pulsującego wycia alarmu przeszukują sypialnie, otwierają szafy i przewracają łóżka.

Kiedy wychodzą z części sypialnej, dostają raport od drugiej ekipy przebywającej w budynku głównym. Okazuje się, że przeszukali całą

jego wewnętrzną część, ale nic nie znaleźli.

Magnus gestem przywołuje Rajma i zaczyna biec przez salon. Zabezpieczają ciemne kąty i biegną dalej do ogromnej kuchni, którą wypełnia oślepiające światło padające od strony morza. Magnus przesuwa się naprzód i słyszy, jak ekipa w drugiej części domu coś krzyczy. Przekrzywiły mu się gogle, zrywa je, a jednocześnie dostrzega kątem oka, jak ktoś wybiega z kryjówki za szkłem. Magnus dyszy i celuje w szybę. Trzyma palec na spuście, ale nie widzi już człowieka, tylko rzędy białych leżaków.

Pochyla się, żeby zmniejszyć pole trafienia. Serce wali mu w piersi. Za oknem gałęzie drzew poruszają się na słabym wietrze. Magnus ociera pot z oczu i znów widzi tego człowieka.

To Rajmo, który dziwnym sposobem odbija się w różnych oknach, przez co można odnieść wrażenie, że jest na tarasie, choć tak naprawdę obiega stół dziesięć metrów od niego.

Magnus znów wstaje, wygląda na zewnątrz, cofa się o krok i po raz kolejny widzi na tarasie odbicie swojego partnera.

Odwraca się do Rajma i słyszy swój własny głos. Oznajmia, że jeszcze raz przejdzie przez cały dom.

Na marmurowym blacie w kuchni stoi do połowy pełna szklanka whisky, a obok otwarta paczka chrupek serowych. Magnus zdejmuje jedną rękawiczkę i dotyka szkła. Nie jest zimne, kawałki lodu się nie roztopiły.

Ale w domu ktoś przebywał i opuścił go w pośpiechu.

Podchodzi do okna. Grupa numer jeden jest przy pomoście. Dwaj funkcjonariusze weszli na pokład sportowej łodzi, zagląдают do kabiny i przeszukują schowki pokładowe.

Magnus otwiera drzwi na werandę, wychodzi i na jednym z drzew spostrzega nadmuchiwanego lisa.

To wiatr rozwiązał zabawki z basenu.

W końcu alarm cichnie, a Magnus składa raport kierownictwu NWO: nikogo nie ma, ale jeszcze raz obejdą cały dom – powoli

i systematycznie.

– Joon Linna będzie tam za piętnaście minut – mówi szef sztabu.

– Dobrze.

Magnus okrąży dom i kiwa do snajperów, choć mają rozkaz dalej leżeć w gotowości. Gumowa nawierzchnia kortu jest pokryta brązowymi sosnowymi igłami.

Magnus rusza wzdłuż tylnej ściany głównego budynku. Myśli, że powinni jeszcze raz przeszukać domek dla gości i że gdzieś musi być też miejsce na pompę i dmuchawę do basenu – tam też ktoś może się ukrywać.

Zalegające letnie ciepło sączy się z ciemnobrązowych paneli listwowych na fasadzie. Tylko kilka okien wychodzi na las.

Magnus dostrzega coś w rodzaju dużych siatek na raki, wiszących pod okapem na tyłach budynku, i już ma zdjąć jedną z nich, kiedy otrzymuje instrukcje z centrali, nakazujące wejść do domu, spróbować włączyć komputer stacjonarny i szukać kalendarzy i paszportów.

Z oddali dobiega stukanie dziecięcia. Magnus przypomina sobie, że jego dziewczyna zawsze zatykała uszy, kiedy słyszała ten dźwięk – nie mogła go znieść, była przekonana, że od takiego stukania dziecięć musi mieć potworny ból głowy.

Rusza z powrotem, kiwa na Rajma, który przyszedł za nim, ale przystaje na widok luki w fasadzie, wysokiej na jakieś półtora metra. Hak wisi luźno na zewnątrz.

Może to jakaś drewniana szopa, myśli i wyciąga nóż. Rajmo się cofa, a on podważa drzwi ostrzem.

Nie sądzi, żeby w domu były jakieś pułapki, mimo ostrzeżeń, które mu przekazano.

Nic się nie dzieje.

Magnus posyła Rajmowi uśmiech, chowa nóż, otwiera drzwi do końca i widzi strome schody prowadzące w dół.

– Zejdę i popatrzę! – krzyczy Magnus, wsuwa rękę i przekręca włącznik światła.

Rozlega się kliknięcie, ale lampy nie działają. Montuje latarkę na broni i zaczyna schodzić po schodach.

– Co to za zapach, do cholery? – pyta Rajmo i pochyła się do niskiego otworu.

Słodkawa woń rozkładu jest coraz silniejsza. Wąskie betonowe schody zdają się prowadzić głęboko pod dom. Wszędzie wiszą pajęczyny z dużymi pajakami huśtającymi się pod własnym ciężarem.

Tuż pod schodami jest krótki korytarz z dwójgiem metalowych drzwi. Magnus daje Rajmowi znak, żeby był gotowy, i szybko otwiera najbliższe drzwi. Zagląda do pomieszczenia technicznego z filtrem radonu i systemem oczyszczania wody. Rajmo otwiera drugie drzwi i kręci głową, patrząc na Magnusa.

– Geotermalna pompa ciepła – mówi i nasuwa kołnierz kurtki na nos, żeby nie czuć duszącego smrodu.

Magnus walczy z mdłościami, omiata korytarz wiązką światła i na samym końcu dostrzega wąskie drewniane drzwi.

Drżący, wysoki dźwięk przybiera na sile – brzmi jak maszyna do szycia, w której się zablokowała igła.

Magnus próbuje otworzyć drzwi, ale są zamknięte na klucz. Rajmo robi krok do tyłu i kopie w klamkę tak mocno, że obluzowuje cały mechanizm zamka i drzwi się otwierają.

Odór gnijącego mięsa uderza w nich jak fala.

Wysoki dźwięk przechodzi w ogłuszające bzyczenie, kiedy dziesiątki tysięcy much nagle się rozdzielają.

– Boże – jęczy Magnus i zakrywa dłonią usta.

Powietrze jest tak gęste od latających w panice much, że w świetle latarki nie widać reszty pokoju.

– Co to jest, do cholery? – wykrztusza Rajmo.

Muchy się rozpraszają, słysząc odgłos, jakby ktoś przesuwiał patykiem po ogrodzeniu, a potem znów zapada cisza.

Magnus czuje, że trzęsą się pod nim nogi, kiedy wchodzi głębiej do cuchnącego pokoju.

Światło latarki drga na lepkiej ścianie. Brzęczenie much, które z powrotem usiadły, staje się znów bardziej niespokojne.

Rajmo świeci na stół warsztatowy pokryty czarną krwią. Widać, że skapywała po nogach na podłogę. Krew zaplamiła ściany, a nawet sufit. Wąski snop światła z latarki Magnusa przesuwają się po rozplątanych, rozpiętych ciałach królików, połyskujących od czarnych much.

W słoiku tkwi kilka noży o pociemniałych drewnianych rękojeściach i zużytych ostrzach.

– To, do jasnej cholery, najbardziej chore...

Grzechot rozlega się znowu. Magnus celuje w podłogę i świeci na klatkę. Masa zwierzęcych wnętrzności leży rzucona przy ścianie, przy studziencie ściekowej. W żółtej plastikowej balii leżą zakrwawiona deska do obdzierania ze skóry i drapaczka.

Grzechotanie dobiega z małej klatki stojącej na podłodze. Królik dostaje ataku paniki i zaczyna biegać w kółko. Pazury grzechoczą o metalową siatkę.

95

Jooną wkłada maseczkę i winylowe rękawiczki i schodzi do ciasnej rzeźni, żeby zbadać martwe zwierzęta. Szybko przeszukuje cuchnące wnętrzności na podłodze i wiszące, przybite gwoźdźmi ciała, ale nie znajduje żadnych ludzkich szczątków. Wygląda to na niekontrolowaną mieszankę szlachtowania królików i znęcania się nad zwierzętami. Widzi rozpoczęte próby przygotowywania króliczych futer, resztki porozrywanej skóry na zaplamionym stole roboczym i nieprzyjemne ślady agresywnego szlachtowania, zbierania trofeów i rytuałów.

Na zaplamionej ścianie za stołem tkwi stary wycinek z gazety ze zdjęciem Rexa trzymającego w podniesionej ręce srebrną statuetkę kucharza.

Jooną zabiera klatkę z żywym królikiem na światło dzienne, idzie kawałek w las i wypuszcza zwierzę.

Janus oparł broń snajperską o ogrodzenie kortu i rozpiął kamizelkę. Wkłada tabletkę do ust, odgarnia rude loki i pije wodę mineralną prosto z butelki. Odchyła głowę i przełyka.

– Widziałem cię na jednym ze starszych nagrań monitoringu u ministra spraw zagranicznych – oznajmia Jooną.

– Moje pierwsze zadanie w Säpo polegało na sprzątaniu w jego domu. Dobrze wydane pieniądze z podatków... Niektóre dziewczyny były tak zmasakrowane, że musiałem je zawozić na pogotowie... a potem to ja miałem dopilnować, żeby siedziały cicho i zniknęły.

– Rozumiem, że zmieniłeś wydział.

– Na żądanie ministra. Po prostu przycisnąłem go do ściany, złapałem jego malutkiego siurka i powiedziałem, że muszę go chronić, ale mam dwie twarze... a jedna z nich nie jest zbyt miła.

Kiedy Jooną wraca z pustą klatką, Magnus Mollander czeka na niego. Jest szary na twarzy, jakby miał gorączkę, i drży z zimna, choć u nasady jego włosów perli się pot.

– W komputerze nic nie ma – melduje. – Informatyk zrobił pierwszy przegląd i nie znalazł żadnych informacji o tym, dokąd mógł pojechać David Jordan.

Milknie, kiedy podchodzi do nich Rajmo i mówi, że jakaś kobieta wysiadła z autobusu i idzie w stronę domu.

– Zabierzcie wszystkie blokady, zanim je zobaczy – mówi Joon. – Trzymajcie się z boku, zobaczymy, czy tu przyjdzie.

Wszyscy się zbierają za domkiem dla gości. Tam nie widać ich z drogi. W sumie jest dziewięciu uzbrojonych po zęby policjantów, Joon Linna i technik z NWO.

Furtka otwiera się z lekkim zgrzytem.

Kiedy Joon słyszy zbliżające się kroki kobiety na żwirowej ścieżce, wyciąga broń i trzyma ją ukrytą przy ciele.

Odgłos się zmienia, kiedy kobieta przechodzi między budynkami. Jest teraz bardziej głuchy i niższy.

Rozbrzmiewa tuż obok.

Joon robi krok do przodu.

Kobieta krzyczy ze strachu.

– Przepraszam, że przeszkadzam – mówi Joon z bronią ukrytą przy nodze.

Kobieta wpatruje się w niego szeroko otwartymi oczami. Jej włosy są proste i jasne, ma na sobie džinsy w bladym kolorze, proste sandały i sprany T-shirt z napisem *Feel the Burn*.

– Jestem z policji i potrzebuję szybkich odpowiedzi na kilka pytań – kontynuuje Joon.

Kobieta próbuje wziąć się w garść, wyjmując telefon z materiałowej torby i robi krok w jego kierunku.

– Tylko zadzwonię na policję i sprawdzę, czy...

Nagle milknie, kiedy zauważa ekipę ciężko uzbrojonych antyterrorystów, czekających przy ścianie domu. Na widok kamizelek ochronnych, hełmów, pistoletów automatycznych i broni snajperskiej kolor powoli odpływa z jej twarzy.

– Gdzie jest David Jordan? – pyta Joona i chowa broń z powrotem do kabury.

– Słucham?

Młoda kobieta patrzy zdziwiona na dom i widzi leżące na ziemi drzwi.

– David Jordan – powtarza Joona. – Nie ma go w domu.

– Nie – odpowiada kobieta wysokim głosem. – Jest w Norrlandii.

– Co tam robi?

Kobieta mruga oczami jak oślepiąca.

– Nie wiem – mówi. – Chyba jest w pracy.

– Gdzie dokładnie?

– Co się stało?

– Proszę do niego zadzwonić. – Joona wskazuje na telefon, który kobieta nadal trzyma w dłoni. – Proszę zapytać, gdzie jest, ale nie wspominać o nas.

– Nie rozumiem – oznajmia szeptem kobieta, przykładając telefon do ucha, ale niemal natychmiast opuszcza go z powrotem. – Wyłączony... Jego telefon jest wyłączony.

– Są państwo parą? – pyta Joona, patrząc na nią oczami szarymi jak kamienie.

– Parą? Nie myślałam o tym... ale dosyć często się spotykamy... Lubię tu przebywać, kiedy tu jestem, mogę malować... ale to nie tak, że jesteśmy blisko. Nie mam pojęcia, co robi, poza tym, że jest producentem programu Reka od mniej więcej...

Urywa i grzebie stopą w żwirze.

– Ale wiedziała pani, że wyjedzie.

– Powiedział tylko, że jedzie do Norrlandii. Wie, że mnie to nie obchodzi.

– Norrlandia ma powierzchnię równą Wielkiej Brytanii – zauważa Joona.

– Możliwe, że wspomniał o Kirunie. Chyba tak powiedział: Kiruna.

– Jak pani myśli, co miał tam robić?

– Nie mam pojęcia.

Joona bez słowa rusza w kierunku swojego samochodu. Jednocześnie dzwoni do Anji z nowego telefonu, żeby ją poprosić o zarezerwowanie biletu na samolot.

– Skontaktowaliście się z Rexem Müllerem? – pyta, siadając za kierownicą.

– W domu nie ma ani jego, ani Sammy’ego, jego syna. Nikt nie wie, gdzie są. Rozmawialiśmy z TV4 i z matką chłopaka, która jest w podróży, ale...

– W każdym razie wygląda to tak, jakby David Jordan pojechał do Kiruny dziś rano – stwierdza Joona i wyjeżdża na większą szosę.

– Nie ma go na listach pasażerów.

– Sprawdźcie, czy na lotnisku albo w jakiejś prywatnej bazie lotniczej lądowały prywatne samoloty.

– Okej.

– Bo teraz jadę na Arlandę – dodaje.

– Jasne – odpowiada spokojnie Anja.

– Liczę na to, że tymczasem namierzycie telefony.

– Spróbujemy, ale operatorzy są, delikatnie mówiąc, niechętni, gdy trzeba przekazać informacje.

– Ważne, żebyście to załatwili, zanim odlecę.

– Mogę porozmawiać z prokuratorem o...

– Olej to, nie oglądaj się na nich, złam prawo – przerywa. – Przepraszam, ale jeśli nie znajdziemy Rexa i jego syna, to obaj wkrótce będą martwi.

– Olej to – powtarza Anja ze spokojem. – Nie oglądaj się na nich i złam prawo.

Wijąca się leśna droga jest pusta. Joona mija zgrupowanie domków letniskowych wokół jeziora, którego tafla jest jak lustro. Pośrodku wznosi się drewniana wieża do skoków. Za ogrodzeniem stoi mężczyzna z automatyczną kosiarką w rękach.

Joona przyspiesza i wyjeżdża na większą drogę przy stacji benzynowej, kiedy ponownie dzwoni Anja.

– Joono, to niemożliwe – oznajmia.

Zaczyna opowiadać, że technicy z NWO próbowali znaleźć Davida Jordana i Rexa za pomocą lokalizatorów GPS i GSM. Nie udało się zdalnie uaktywnić ich telefonów, żeby przesiały dane o swoich pozycjach, a ponieważ operatorzy komórkowi również nie byli w stanie namierzyć sygnałów z lokalnych masztów w Kirunie, technicy są pewni, że komórki Davida Jordana i Rexa są nie tylko wyłączone, ale i zniszczone.

– A telefon Sammy'ego? – pyta Joono.

– Pracujemy nad tym – odburkuje Anja. – Przestań mnie stresować, nie wytrzymuję tego. Wszyscy są naburmuszeni, żadnego *glamouru*, żadnego flirtu...

– Przepraszam – odpowiada Joono i dodaje gazu na wjeździe na autostradę.

– Ale możesz mieć rację... Cessna coś tam ze Sztokholmu wylądowała dziś wczesnym rankiem na lotnisku bazy lotnictwa morskiego w Kurravaarze.

– Nie było tam żadnych list pasażerów?

– Poczekaj sekundę.

Joono słyszy, jak Anja rozmawia i dziękuje za pomoc.

– Joono?

– Tak.

– Namierzyliśmy telefon Sammy'ego, znajduje się w okolicach Hallundy. Mamy dokładny adres – to dom szeregowy przy Tomtbergavägen.

– Miło słyszeć, że Sammy został w domu – oznajmia Joono. – Wyślij tam wóz. Niech Jeanette Fleming porozmawia z chłopakiem... Muszę wiedzieć, dokąd pojechali Rex i David Jordan.

96

Rex stoi w swoim pokoju hotelowym i ogląda sprzęt myśliwski wyłożony na gładkiej narzucie. Łamie papierową pieczęć, otwiera drewnianą skrzynkę, wyjmuje nóż myśliwski z szerokim ostrzem i odcina metki od nowych ubrań.

Rankiem wylecieli z Hagernasviken pod Sztokholmem dwusilnikową cessedną z pontonami. Mimo kabiny ciśnieniowej panował w niej taki hałas, że nie można było rozmawiać. W czasie lotu na odległość tysiąca dwustu kilometrów czuł się jak Nils Paluszek. Krajobraz pod nimi się zmieniał: pola uprawne i zabudowania przechodziły w czarnozielone lasy sosnowe, a potem w torfowiska i tundrę.

Samolot wylądował w bazie lotnictwa morskiego w Kurravaarze. Kierowca czekał, żeby ich zawieźć do ośrodka łowieckiego.

Trasa E10 do Narviku przebiegała równolegle do torów kolejowych, wzdłuż granatowych wód jeziora Torneträsk.

Kiedy minęli stację turystyczną Abisko, w oddali zamajaczyła im półksiężycowata przerwa pomiędzy dwoma szczytami gór – Tjuonatjåkka.

Na wysokości ośrodka sportów zimowych Björkliden samochód zjechał z głównej drogi i ruszył krętą zwirową ścieżką w stronę Tornehamn.

Świeżo wybudowany hotel znajdował się tam, gdzie niegdyś była baza robotników, którzy przed stu laty budowali linię kolejową Malmbanan.

Kierowca skręcił na skrzyżowanie w kształcie litery T, przejechał ostatni odcinek po podjeździe obramowanym dużymi otoczkami i wysadził ich przy schodach do budynku.

Są tu zupełnie sami, dwieście kilometrów na północ od koła podbiegunowego.

DJ otworzył drzwi i wyłączył alarm, wszedł do holu, minął pustą

recepcję i zaczął oprowadzać jego i Sammy'ego po wyludnionym hotelu.

Minęli ogromną jadalnię i poszli dalej do dużej restauracyjnej kuchni. Otwierali lodówki z zapakowanym próżniowo mięsem, setkami pizz, trzydziestoma kartonami hamburgerów, chlebem, bulkami, turbotami, pstrągami alpejskimi i kawiozem.

Przechodzili przez długie korytarze z grubymi wykładzinami, schodzili po krętych schodach do zamkniętego spa i szli wzdłuż pustego basenu sportowego.

W części jadalnianej układano nową podłogę. Przejście blokowała góra ustawiona z mebli.

Rex stoi przed swoim łóżkiem i wygląda przez okno – za skrzyżowaniem i jeziorem Pakktajåkaluobbalah widać góry, doliny i niezliczone jeziora karowe wyglądające jak krople roztopionego ołowiu.

Zdejmuje z łóżka skarpetki i zaczyna się ubierać na polowanie.

DJ osobiście dobrał sprzęt, dopasował rozmiary i znalazł specjalne tkaniny z barierami zapachowymi, żeby zwierzęta nie zwietrzyły człowieka – materiały, które tłumią dźwięki oraz są odporne na wodę i wiatr.

Rex, ogarnięty nieprzyjemnym uczuciem, odwraca się do drzwi. Ma wrażenie, jakby za jego plecami nagle zrobiło się ciemniej.

Kończy się ubierać, chowa do torby lornetkę, manierkę i nóż, kładzie dłoń na klamce i po raz kolejny ma nieprzyjemne odczucie. Wychodzi na korytarz.

Staje przed drzwiami pokoju numer dwadzieścia dwa i puka. Wszystkie elektroniczne zamki są odłączone, ale drzwi nadal można zamykać od środka.

– Otwarte – słychać przytłumiony głos.

Rex wchodzi do przedpokoju, robi krok nad butami i idzie dalej do przestronnej sypialni. Sammy już się przebrał. Siedzi na łóżku i ogląda telewizję. Jego myśliwska kurtka jest rozpięta. Pomalował oczy maszczą i złotym cieniem do powiek.

- Fajnie, że z nami jedziesz – mówi Rex.
- Nie mogę zostać sam – odpowiada syn.
- Dlaczego?

– Już mnie nosi, żeby zacząć jeździć korytarzami na rowerku i rozmawiać ze swoim palcem.

Rex wybucha śmiechem i mówi, że zdaniem DJ-a to ważne, żeby i on uczestniczył w polowaniu.

– Tylko mówię, że fajniej byłoby zostać tutaj i gotować – oznajmia Sammy i wyłącza telewizor.

– Zgadzam się. – Rex kiwa głową.

– Zobaczmy, jakich to bogatych facetów zwabił tu DJ? – wzdycha Sammy i bierze torbę.

Idą w milczeniu zimnym korytarzem, słyszą głośny śmiech i brzęk szkła. W holu, przy ogniu trzaskającym w kominku, siedzi DJ w towarzystwie trzech mężczyzn w myśliwskich strojach. Piją whisky.

– A oto i Rex – przerywa głośno DJ.

Mężczyźni milkną i z uśmiechem odwracają się na fotelach. Rex zatacza się w bok. Czuje się tak, jakby wpadał do dziury. Jeden z mężczyzn to James Gyllenborg. Rex nie widział go od czasu pobicia sprzed trzydziestu lat. James był w stajni i bił go deską po karku i po plecach, a kiedy Rex leżał na ziemi, James kopał go między nogami i na niego pluł.

Rex opiera się o skórzany fotel i spostrzega, że upuścił torbę na ziemię, a nóż myśliwski wypadł na dywan.

– Tato, co jest?

– Zgubiłem...

Rex podnosi torbę i nóż, powstrzymuje mdłości, podchodzi do towarzystwa i wita się ze wszystkimi. Rozpoznaje dwóch uczniów ze szkoły Ludviksberg, ale nie może sobie przypomnieć ich imion.

– To mój syn Sammy – przedstawia i głośno przełyka ślinę.

– Zdrowie, Sammy – mówi James.

Ściskają dłoń Rexa, nie wstając z foteli, i przedstawiają się jako James,

Kent i Lawrence.

Wszyscy się postarzeni.

James Gyllenborg cały nabrał siwego odcienia, jakby upływ lat wyprał go z życia i z kolorów. Rex pamięta go jako jasnowłosego, czerwieniącego się młodzieńca o wąskich wargach i zestresowanych niebieskich oczach.

Kent Wrangel jest postawny, ma czerwoną twarz, nosi okulary i złoty łańcuch na szyi. Lawrence von Thurn też jest dobrze zbudowany, ma siwą brodę i przekrwione oczy.

– Bardzo się cieszymy, że to właśnie wy wierzyacie w ten projekt – oznajmia DJ. – Bo to będzie coś cholernie dobrego... Poza tym chyba wiecie, że Rex właśnie dostał prestiżową nagrodę Kucharza Kucharzy!

– Co prawda zupełnie niezasłużenie – mówi z uśmiechem Rex.

– Zdrowie – odpowiada James i pije.

Dwaj pozostali z zadowoleniem biją brawo. Rex bez powodzenia próbuje uchwycić spojrzenie DJ-a.

– Chcę tylko wyjaśnić... że powodem, dla którego pozbierałem wszystkie telefony, włącznie z moim, jest to, że ten interes uderzy w naszą branżę jak bomba. – DJ dolewa mężczyznom whisky. – A po wybuchu wszystko robi się trudniejsze i znacznie droższe. Więc to jest coś w rodzaju *dark pool*... Bez względu na to, czy postanowicie podpisać umowy, czy z nich zrezygnować, wymagam opóźnienia przepływu informacji na zewnątrz, żebyśmy my, nadal uczestniczący w transakcji, mogli swobodnie pertraktować z najważniejszymi dostawcami.

– To będzie coś wielkiego. – Kent prostuje nogi.

– DJ, czy możesz podejść na chwilkę? – Rex odciąga DJ-a na bok.

– Naprawdę ekscytujące – mówi DJ zduszonym głosem, kiedy wchodzi do jadalni.

– Co to ma być? Co ty, do cholery, wyprawiasz? – warczy Rex. – Nie zamierzam robić interesów ze świniami z mojej dawnej szkoły.

– Myślałem... Przecież się znacie, do diabła, już nie może być lepiej. Kogo to obchodzi, że wtedy byli świniami, jeśli teraz mają pieniądze?

Rex kręci głową i próbuje robić wrażenie bardziej opanowanego, niż jest w rzeczywistości.

– Powinieneś być powiedzieć to wcześniej, powinieneś być mnie poinformować.

– Mówiąc poważnie, to prawie niemożliwe, aby ubijać interes w Szwecji i nie spotkać przy tym ludzi, którzy chodzili do szkoły Ludviksberg – oznajmia DJ i spostrzega Kenta idącego w ich stronę z dwiema szklaneczkami whisky.

DJ wychodzi mu na spotkanie, bierze jedną szklankę i prowadzi go do foteli.

Rex nadal stoi w jadalni i na nich patrzy. Z oburzenia szumi mu w głowie, przechodzi mu przez myśl, że musi jakoś przetrwać noc. Wytrzyma jeszcze kilka godzin, a potem znajdzie wymówkę, żeby razem z Sammym pojechać do domu już jutro rano.

Próbuje sobie wmówić, że to ważne. W ten sposób zabezpieczy swoją sytuację finansową, jeśli Sylvia się nim znudzi raz na zawsze.

Rex patrzy na Jamesa Gyllenborga, który ogląda sobie dłoń przez celownik optyczny, i zastanawia się, czy on w ogóle pamięta, co zrobił.

Zapewne w swoim czasie wykorzystał niejedną dziewczynę, to stanowiło przywilej. Rex z pewnością był jednym z nielicznych, którzy nie zaakceptowali tego, co się stało. Natychmiast rzucił szkołę – wyszedł z niej przed śniadaniem następnego dnia i już nie wrócił.

– Posłuchaj – zaczyna DJ i klaszcze w dłonie, żeby przyciągnąć jego uwagę. – Wielu uważa, że polowanie na ogrodzonym terenie jest dla arystokratów... Prawda jest taka, że dzikie reny żyjące u nas są znacznie bardziej płochliwe niż te na wolności.

Rex idzie kilka kroków do drzwi i dalej w stronę mężczyzn w holu, a DJ przegląda zasady.

– Polowałem na renifery w Norwegii – oznajmia Lawrence swoim basowym głosem. – Siedzieliśmy osiem godzin na zwyżce. Ani jednego czystego strzału.

– Ale tutaj będziemy polowali z podchodu – przypomina DJ. –

W małych grupach, ze skradaniem się, z odczytywaniem terenu, śladów.
.. To cholernie ekscytujące... Żeby się zbliżyć, trzeba się poruszać
bezszelestnie i brać pod uwagę kierunek wiatru.

– A my nie mamy żadnego planu rezerwowego – mówi Reę
z szerokim uśmiechem. – Jeżeli żaden z nas nie upoluje renifera, nie będę
miał z czego zrobić kolacji... i będą same ziemniaki.

97

Pół godziny później DJ rozdziela broń i amunicję pod szerokimi schodami na werandę.

– Wybrałem remingtona 700 z syntetyczną kolbą – wyjaśnia i pokazuje niebiesko-zielony sztucer z czarną lufą bez celownika.

– Dobra broń – mamrocze Lawrence.

– James, dla ciebie mam taką dla leworęcznych – dodaje DJ.

– Dzięki.

– Waży dwa i dziewięć dziesiątych kilograma, poradzicie sobie – mówi z uśmiechem i napełnia brązowe kartonowe pudło. – Używamy amunicji .375 Holland & Holland i dostaniecie tylko dwadzieścia pocisków.

Rzuca karton Rexowi.

– A więc celujcie dokładnie.

Biorą sprzęt i rozchodzą się po hotelu. Niebo jest szare i niespokojne, w powietrzu czuć zapach deszczu, a porywisty wiatr szarpie niskimi krzakami.

DJ prowadzi ich ścieżką pod górę i wyjaśnia, że czeka ich czterdziestominutowa wędrówka do bramy i paśnika.

– Powierzchnia całego obszaru wynosi sześćset dziesięć akrów. Obejmuje on zalesione doliny, ale także góry, kilka jezior karowych – między innymi Kratersjön i fragmenty stromych stoków opadających na południe – tam musicie być ostrożni.

Teren jest spadzisty, a powietrze rześkie i nasycone wilgocią. Pachnie leśną ziemią, wrzosem i mokrymi liśćmi.

– Dobrze się bawisz? – pyta Sammy z drobną, ale ewidentną nutą pogardy.

– To tylko praca – odpowiada Rex. – Ale cieszę się, że tu jesteś.

Syn rzuca mu spojrzenie z ukosa.

– Nie wyglądasz na ucieszonego, tato.

– Później ci opowiem.

– O czym?

Rex już ma się przyznać, że nie daje rady, że chce jak najszybciej wyjechać, kiedy dołącza do nich DJ. Pokazuje im, jak naładować broń, demonstruje spust bezpośredni i zabezpieczenie z boku.

– Jak tam, Sammy? – pyta z uśmiechem.

– Przepraszam, ale po prostu nie rozumiem, jaki sens ma strzelanie do reniferów w klatce... Przecież nigdzie nie uciekną... To jak Igrzyska Śmierci bez prawa do obrony.

– Rozumiem, co chcesz powiedzieć – odpowiada DJ. – Ale jednocześnie... jeśli to porównać z przemysłem mięsnym, to nie da się być bardziej ekologicznym. Teren ma ponad trzy miliony metrów kwadratowych.

Rex patrzy na szerokie plecy Jamesa i Kenta, na broń na ich ramionach. James się odwraca, jakby wyczuł to spojrzenie, i wyciąga w jego stronę srebrną piersiówkę. Rex ją odbiera i podaje dalej, nie pijąc.

– A jak tam Anna? Kiedy się widzieliśmy na zakończeniu, wyglądała lepiej – mówi Kent.

– Odrosły jej włosy, ale nie sądzą, żeby przeżyła jesień – odpowiada James. – Moja żona choruje na raka – wyjaśnia Rexowi.

– Macie dzieci?

– Tak... Dwudziestoletniego chłopaka, który studiuje prawo na Harvardzie, i malucha, dziewięcioletnią Elbę... Chce tylko być z mamą, przez cały czas, nic poza tym.

Idą po krawędzi stoku. Mają przed sobą głęboką dolinę, widoczność sięga dziesięciu kilometrów.

– Jutro wszyscy włożymy szkolne mundurki, prawda? – żartuje Lawrence.

– Tak, cholera – wzdycha Kent.

– Kościół i te niedzielne obiady były tak cholernie nudne... Boże, nie przeżylibyśmy bez pizzy z mikrofal i grogu.

– Albo bez Willego, który dzwonił do szofera rodziny, żeby przyjechał aż ze Sztokholmu ze skrzynką szampana – rehocze Kent, ale potem poważnieje.

– Nie mieści mi się w głowie, że on i Teddy nie żyją – mówi cicho James.

98

Jeanette Fleming stoi na deptaku obok krzaka bzu i patrzy na matowo-brązowe szeregowy domy po drugiej stronie parkingu. Srebrna klamra w jej krótkich włosach połyskuje w słońcu. Jeanette ma na sobie spódnicę ze skosu i glocka 26 w kaburze wewnętrznej pod żakietem.

Obserwuje z daleka, jak ubrani po cywilnemu koledzy ze sztokholmskiej policji dzwonią do drzwi budynku z odpadającą farbą, stojącego na samym końcu ulicy.

To tutaj NWO namierzył telefon Sammy'ego.

Sammy może się okazać jedynym, który wie, gdzie przebywają Rex i *spreet* killer David Jordan Andersen.

Koledzy czekają chwilę, a potem powtórnie dzwonią do drzwi.

Kilkoro dzieci przejeżdża na rowerach, a kobieta w burce przechodzi z torbą na kółkach.

Drzwi się otwierają. Jeanette widzi, że policjanci mówią coś do postaci w holu. Wchodzą, a drzwi za nimi się zamykają.

Żaluzje w kuchni poruszają się na wietrze.

Jedynym zadaniem kolegów jest wejście i sprawdzenie, czy psycholożka może bezpiecznie przeprowadzić krótkie przesłuchanie Sammy'ego.

Jeanette przypomina sobie, jak blada była twarz jej przełożonego z Säpo, gdy wszedł do jej gabinetu. Kiedy Anja Larsson zadzwoniła do niego i poleciła surowym głosem, żeby w ramach współpracy pomiędzy jednostkami wypożyczył im Jeanette Fleming, pomyślał, że rozmawia z samą szefową NWO.

Jeanette spotkała się z kolegami ze sztokholmskiej policji pod Ljusets kyrka niedaleko centrum Hallundy, sprawdziła wewnętrzną łączność radiową, potem wjechała na osiedle domków szeregowych i zaparkowała na placu manewrowym przy niskich garażach.

Okrąża szereg budynków i staje na tyłach. W odróżnieniu od innych

posesji ta jest zarośnięta. W wysokiej trawie da się dostrzec stary ogrodowy grill, a na popękanych płytach chodnikowych leżą zardzewiałe części rowerowe.

Za zaciągniętymi żaluzjami nie widać żadnego ruchu.

Jeanette wyjmuje z torebki szminkę, poprawia makijaż i myśli, że jest najlepszą krajową specjalistką od przesłuchań, a mimo to nie potrafi dojść do ładu sama ze sobą.

Przeprowadzała akcję z Sagą Bauer w przydrożnym barze na południowy zachód od Nyköpingu.

Wciąż nie wie, jak potraktować to, co się stało.

Były w miejscu, w którym prostytutki spotykają się z klientami. Znalazła się sama w toalecie dla niepełnosprawnych z dziurą w ścianie.

Nie wiedziała, że ludzie naprawdę robią takie rzeczy.

To mogło być smutne, mogło być komiczne, ale jej zdziwienie i zawstydzenie przeszły w powagę, nieoczekiwane pożądanie, trudne do pojęcia podniecenie.

Anonimowy stosunek trwał maksymalnie dwie minuty, nie zdążyła pożałować, kiedy poczuła jego wytrysk. Tak ją to zaskoczyło, że wysapała; „przestań” i się cofnęła. Straciła równowagę i uderzyła kolanem o podłogę. Umyła usta i krocze, usiadła na sedesie i czekała, aż nasienie spłynie.

Przez wiele kolejnych godzin była psychicznie znieczulona, a potem na przemian było jej głupio i czuła się dziwnie wolna.

Czasami, kiedy na co dzień widzi mężczyzn, często starszych, może nawet brzydkich i wulgarnych, czuje, jak wypełnia ją wstyd, i odwraca się z palącymi policzkami.

Z moralnego punktu widzenia to nie gorsze, niż spotkać kogoś w barze i wylądować z nim w łóżku, nie gorsze niż śmieszna fantazja seksualna, szybki numerek w kiblu.

Zadawała sobie pytanie, czy podświadomie nie zrobiła tego, żeby ukarać swojego świętoszkowatego byłego, który bał się nawet, że będzie się masturbowała, albo siostrę, która w wieku nastoletnim była

rozwiązła, ale teraz jest prawdziwym ideałem żony.

Jednak tak naprawdę myśli, że musiała to zrobić dla siebie, żeby w tajemnicy określić się na nowo, bo miała taką możliwość, bo takie przekroczenie norm w tamtej chwili ją podniecało.

To było prawie na niby, takie miała wrażenie.

Od tamtego czasu czekała na to, że będzie się źle czuła psychicznie, że zostanie w jakiś sposób ukarana, ale dopiero wczoraj strach ją dopadł i obezwładnił.

Przedwczoraj, jak co roku, miała okresowe badania lekarskie. Ciśnienie, krew, EKG, TSH. Już dobę później mogła się zalogować i sprawdzić wyniki.

Lekarz miał je skomentować tylko wówczas, gdyby coś odbiegało od normy.

Wcześniej o tym nie myślała, ale teraz ogarnęła ją kompletna panika. Siedząc przed komputerem z danymi logowania, czuła paraliżujący strach, że jest zarażona wirusem HIV.

Ze strachu huczało jej w uszach, choć wiedziała, że na wykrycie go jest jeszcze za wcześnie.

Kolumny z wynikami na ekranie były niezrozumiałe.

Kiedy zobaczyła, że lekarz napisał komentarz, ze strachu widziała tylko zamglony obraz na ekranie.

Musiała pójść do łazienki, przemyć twarz zimną wodą i dopiero potem mogła wrócić do monitora.

Nie było tam nic na temat HIV.

Jedynym komentarzem od lekarza była informacja, że poziom hCG w jej krwi wskazuje na to, że jest w ciąży.

Wciąż jeszcze nie do końca to do niej dotarło.

Czekała osiem lat, aż jej mąż zdecyduje się na dziecko, a potem ją zostawił. Po długiej serii nieudanych randek postanowiła złożyć podanie o sztuczne zapłodnienie. Przed dwoma tygodniami władze regionu zdecydowanie jej odmówiły, a teraz jest w ciąży.

Kiedy odpowiada na wezwanie jednego z kolegów przebywających

w mieszkaniu, nadal się uśmiecha.

99

Jeanette poprawia pistolet przy krzyżu i podchodzi do zniszczonych drzwi szeregowca. Najmłodszy z policjantów otwiera, zanim psycholożka zdąży zadzwonić do drzwi, i wpuszcza ją do przedpokoju.

– Sammy’ego tu nie ma, jest tylko jego telefon – informuje.

Jeanette przekracza parę pękniętych kaloszy i idzie za kolegą przez korytarz. Stoją tam oparte o ścianę blejtramy, a na podłodze leży rulon płótna.

W kuchni unosi się zapach kociego jedzenia i moczu. Zlewozmywak jest pełny brudnych talerzy, a na pokrytej wykładziną PCV podłodze stoją torby z butelkami wina.

Z haka na lampę na suficie zwisa swoiste dzieło sztuki: kilkanaście dziecięcych bucików leżących w klatce z czerwonej sieci.

Na krześle siedzi młoda dziewczyna ubrana jedynie we fioletowe sportowe buty. Jej obie brodawki sutkowe są przekłute, a nad pępkiem widnieje tatuaż przedstawiający szaroczarne słońce.

Dziewczyna ma ciemne kręgi pod oczami i czerwoną wysypkę na czole, a jedno z przedramion jest w gipsie.

Na podłodze u jej stóp jest mężczyzna. Leży na brzuchu, a ręce ma skute za plecami.

– Da się zdjąć kajdanki? – pyta Jeanette.

Jej kolega policjant pochyla się nad leżącym.

– Będziesz już spokojny?

– Tak, kurwa – stęka mężczyzna. – Przecież mówię.

Policjant kuca koło niego, przyciska mu kolano do krzyża i rozpina kajdanki.

– Siadaj – mówi Jeanette.

Mężczyzna wstaje z podłogi i masuje nadgarstki. Jest rozebrany do pasa, chudy, ubrany w obcięte dżinsy. Nad ich paskiem widać ciemne włosy łonowe. Jego twarz jest piękna, ale wyjątkowo zniszczona. Patrzy

na nią błyszczącymi oczami, jakby miał ciężkiego kaca.

– Siadaj – powtarza Jeanette.

– W czym problem, do cholery? – Siada naprzeciwno niej.

Na składanym stoliku leży czarny smartfon.

– To telefon Sammy’ego? – pyta Jeanette.

Mężczyzna patrzy w tamtą stronę, jakby dopiero teraz go zauważył.

– Nie wiem – odpowiada.

– Co on tu robi?

– Sammy pewnie go zostawił.

– Kiedy?

Mężczyzna wzrusza ramionami i udaje namysł.

– Wczoraj.

Nicolas Barowski – bo tak brzmi jego nazwisko – uśmiecha się pod nosem i drapie się po brzuchu.

– Jaki jest kod? – pyta w końcu Jeanette.

– Nie wiem – odpowiada ochryple Nico.

Jeanette patrzy na klatkę z dziecięcymi butami zwisającą z haka.

– Jesteś artystą plastykiem?

– Tak – odpowiada po prostu mężczyzna.

– Dobry jest? – zwraca się żartobliwie do dziewczyny Jeanette.

– Jest prawdziwy. – Dziewczyna zadziera brodę.

– Chuj z tym... Nie widzę żadnej różnicy pomiędzy moją sztuką a czeskimi filmami z seksem grupowym – stwierdza z powagą Nico.

– Rozumiem, co masz na myśli – odpowiada Jeanette.

– Wolałbym występować w filmach porno, niż malować farbą olejną – mówi Nico i się do niej nachyla.

– Jest pani teraz w szoku? – Dziewczyna chichocze.

– Dlaczego miałabym być?

– Sztuka nie jest ładna – ciągnie Nico. – Jest brudna, perwersyjna...

– Teraz posuwacie się za daleko – przerywa Jeanette z żartobliwym oburzeniem.

Nico szeroko się uśmiecha, kiwa głową i zalotnie przytrzymuje jej

spojrzenie.

– Gdzie jest teraz Sammy? – pyta Jeanette.

– Nie wiem, nie obchodzi mnie to – odpowiada Nico, nie spuszczać jej z oczu.

– On jest bardziej zakochany w Sammym niż we mnie – mówi dziewczyna i strzepuje coś z jednej piersi.

Jeanette wstaje i podchodzi do iPhone'a, który leży na podłodze, podłączony do kontaktu białą ładowarką. Wyciąga kabel, widzi zdjęcie Andy'ego Warhola na obudowie i pyta Nica:

– Jaki masz kod?

– To prywatne – stwierdza Nico i drapie się w kroku.

– No to poproszę o pomoc Apple'a – rzuca Jeanette.

– Ziggy – odpowiada Nico, nie rozumiawszy żartu.

Siedzi, trzymając luźno rękę pomiędzy nogami, i patrzy, jak Jeanette włącza jego telefon i patrzy na listę połączeń. Ostatnie połączenie przychodzące jest z komórki Rexa.

– Rex Müller wysłał ci dziś rano czternaście serduszek?

– Nie. – Nico szczyrzy zęby.

– Dzwonił do ciebie wczoraj?

– Nie – odpowiada Nico, przyglądając się swoim paznokciom.

– Czyli Sammy dzwonił z komórki ojca. Co mówił? Rozmawialiście sześć minut.

Nico wzdycha ciężko.

– Był obrażony o... o mnóstwo rzeczy i powiedział, że jedzie ze swoim tatą w podróż.

– Dokąd?

– Nie wiem.

– Na pewno ci mówił – upiera się Jeanette i zaczyna przeglądać szafki w kuchni w poszukiwaniu czystej szklanki, z której mogłaby się napić wody.

– Nie.

– Czy był obrażony, bo ukradłeś mu telefon?

Nico zaczyna się wiercić i drapać po czole.

– O to też... ale mówił, że jego tata próbuje go zmienić w hetero, zmuszając do polowania na renifery w klatce.

– Mieli polować razem?

– Nie wiem – wzdycha Nico ze zmęczeniem.

– A zwykle tak robią? Polują razem?

– Nie znają się. Jego ojciec to idiota, zawsze miał go w dupie.

Jeanette wytrząsa ze szklanki niedopałek papierosa, bierze trochę płynu do mycia naczyń i zaczyna myć naczynie, trzymając palce pod kranem.

– Co jeszcze mówił? – pyta.

Nico opada na oparcie krzesła, zaciska usta i na nią patrzy.

– Nic. To, co zwykle – odpowiada. – Że za mną tęsknił, że przez cały czas o mnie myślał.

Jeanette trzyma palec pod strumieniem wody, napełnia szklankę, wypija, napełnia ją znowu i zakręca kran.

– Możesz tu zostać i patrzeć, jak będę to robił z Filippą – mówi Nico łagodnym tonem i dotyka lewej piersi dziewczyny.

– Tym razem nie zdążę – oznajmia z uśmiechem Jeanette, zabiera ze stołu telefon Sammy'ego i wychodzi.

100

Towarzystwo zatrzymuje się przy kamiennej ławce, przed dwumetrowym ogrodzeniem otaczającym teren łowiecki. DJ nalewa kawy z termosu, rozdaje parujące kubki i patrzy z uśmiechem na mężczyzn.

Wsadził do klatki ostatnią czwórkę, oczekującą na rzeź.

Będzie musiał się wykazać pewną dozą ostrożności przy zabijaniu pierwszego, żeby pozostali nie uciekli.

Na koniec nie będzie miało znaczenia, czy pozostali rozumieją, co się święci, i spanikują.

Wszyscy będą krwawili, krzyczeli i czuli, jak śmierć nadchodzi i na nich patrzy, dopóki nie przyjdzie czas na pójście razem z nią.

– Mamy dwie ekipy w dwóch strefach – wyjaśnia. – Ja, James i Kent to drużyna numer jeden. Poruszamy się w strefie pierwszej. Lawrence, Rex i Sammy to drużyna numer dwa w strefie drugiej... Wszyscy się zgadzają?

Rozdaje obu drużynom mapy, omawia podziały geograficzne, dozwolone kąty strzału i środki bezpieczeństwa.

– Przerwywamy polowanie dokładnie o siedemnastej, wtedy wszyscy rozładują broń. Po tej godzinie nie mogą paść żadne strzały, choćbyście zobaczyli renifera po raz pierwszy. Czekamy dziesięć minut, potem się tu zbieramy i wracamy razem do hotelu... I nie martwcie się dzisiejszą kolacją – dodaje. – Rex obiecał, że zrobi najlepsze hamburgery na świecie.

– Mamy ze sobą mielony antrykot – oznajmia Rex.

DJ na nich patrzy, wypija łyk kawy i myśli o tym, jak poprowadzi Kenta i Jamesa po nagim zboczu i pozwoli im się rozdzielić pomiędzy dużymi skalnymi formacjami. Zamierza iść tą samą stroną co Kent. Ruszą zarośniętą ścieżką do wąwozu – tam odpoczną i pójdą dalej w kierunku doliny.

Najsłabszą kondycję ma Kent, z nadwagą i nadciśnieniem. Kiedy będą odpoczywali, pogratuluje mu nowej posady Kanclerza Sprawiedliwości, wyciągnie nóż myśliwski, rozetnie dolną część jego grubego brzucha, przytrzyma go stojącego nad krawędzią i powie, że za dziewiętnaście minut go zepchnie. Dopilnuje, żeby wiedział, że nadal będzie przytomny i zarejestruje upadek.

Mężczyźni studiują mapy, pokazują sobie teren i szczyty gór. Rex kładzie broń na kamiennej ławce i odchodzi na bok, przestępuje rów, staje w krzakach przy ogrodzeniu i zaczyna sikać.

– Jeśli złapiecie zwierzę w pułapkę, upewnijcie się, że nie żyje. Zakończcie i zaznaczcie miejsce na mapie – przypomina DJ. – Największe tutejsze samce ważą sto sześćdziesiąt kilo i mają olbrzymie poroże.

– Jestem taki nakręcony – cieszy się Kent.

Sammy dmucha na kawę w kubku, wypija trochę i kciukiem ściera z krawędzi ślad szminki.

– Nie dostałeś strzelby? – pyta Lawrence i na niego patrzy.

– Nie chcę. Nie rozumiem, jak można myśleć, że zabijanie zwierząt to zabawa – odpowiada Sammy i spuszcza wzrok.

– To się nazywa polowanie – oznajmia Kent. – Ludzie robią to od dawna i...

– I prawdziwi mężczyźni to lubią – kończy Sammy i odwraca się do DJ-a. – Lubią gasić życie, lubią broń i krwiste mięso. W czym problem?

– Czy ktoś może spoliczkować tego pedzia? – Kent się uśmiecha.

DJ patrzy na Rexa, który zapiął rozporek, wraca przez chwasty, robi krok nad rowem i podchodzi do kamiennego stołu.

Rex jest zupełnie nieświadomy, że zalicza się do zwierzyny.

Jak dotąd tylko Carl-Erik Ritter sprawiał problemy – jak postrzelony królik, który znika w norze.

Kiedy DJ się dowiedział, że Ritter ma raka wątroby i jest umierający, musiał zmienić zaplanowaną kolejność.

Musiał nadać Ritterowi wyższy priorytet, żeby nie umarł śmiercią naturalną.

Wymuszony pośpiechem plan polegał na tym, żeby znaleźć go w barze i zwabić na tory metra w Axelsbergu. DJ wczesnym rankiem przyjechał ze Skanii, był może trochę rozkojarzony i się nie spodziewał, że zostanie zaatakowany na rynku. Musiał improwizować, żeby to wyglądało na nieszczęśliwy wypadek. Pchnął go w witrynę, stłukł szkło tyłem jego głowy, obrócił go, przycisnął szyję do ostrej krawędzi i przeciął tętnicę.

Chociaż przyciskał mu kciuki do rany, Ritter tracił krew szybciej, niż DJ oczekiwał. Umierał piętnaście minut. Może dlatego, zanim Ritter stracił przytomność, DJ rozciął mu wargę nożem.

– Okej, no to jazda – mówi DJ, wytrząsając resztki kawy z kubka. – Niebo ciemnieje na wschodzie i istnieje ryzyko, że dziś wieczorem będziemy mieli złą pogodę. Kent i James pójda ze mną – mamy trochę większy odcinek do przejścia niż wy.

101

Po wejściu na większą wysokość grupa Rexa wyraźnie widzi zieleni w dole i to, jak las rzednie na zboczach, a potem zupełnie znika.

Niecka wygląda jak mokra szczelina pomiędzy Rakkaslahku a Lulip Guokkil. Cała dolina od Riksgransen przypomina pokład olbrzymiej płaskodennej łodzi z dziobem skierowanym w stronę jeziora Torneträsk.

Sammy bierze lornetkę, zdejmuje cienki plastik ze szkieleł, przystaje i się rozgląda.

Lawrence trzyma mapę i prowadzi ekipę w dolinę, do strefy drugiej. Obszar polowania obejmuje tylko część doliny – wschodnie zbocza, potem biegnie wzdłuż granicy drzew do wrzosowisk subalpejskich i do kanionu.

Nagle w lesie zapada kompletna cisza.

Słychać tylko cichy szelest ich sprzętu, dudnienie kroków i wiatr wiejący w listowiu.

Gliniasta ścieżka jest pełna śladów poprzednich myśliwych. Krzewy borówek ocierają się o buty.

– Jak tam? – pyta Rex.

Sammy w odpowiedzi wzrusza ramionami.

Światło w porcelanowym kolorze powstaje pomiędzy wyjątkowo białymi pniami górskich brzoź. Dolina jest jak osobny pokój, ogromna sala z kolumnami i dachem z wybrzuszonego się materiału.

– Wiesz, jak głęboki śnieg jest tu zwykle zimą?

– Nie – odpowiada cicho Sammy.

– Dwa i pół metra – oznajmia Rex. – Spójrz na drzewa... Wszystkie pnie są znacznie bielsze do wysokości dwóch i pół metra...

Kiedy Sammy nie reaguje, Rex mówi przesadnie pedagogicznym tonem:

– To dlatego, że czarne porosty rosnące na korze nie są w stanie żyć zimą pod pokrywą śnieżną.

– Proszę, możecie spróbować być cicho? – Lawrence się do nich odwraca.

– Przepraszam – odpowiada z uśmiechem Rex.

– Ja w każdym razie chcę polować i dlatego tu jestem.

Idą dalej przez zielone krzewiny bażyny czarnej i wychodzą na jaśniejszą polanę.

– Sam ledwo się orientuję, jak działa sztucer na losie – mówi Rex do Sammy’ego. – Zrobiłem licencję, kiedy miałem trzydzieści lat... Trzeba jakoś odciągnąć zamek, kiedy się ładuje nowe pociski.

Lawrence przystaje i unosi rękę.

– Rozdzielimy się – oznajmia i pokazuje na mapę. – Ja pójdę dalej doliną, a wy ścieżką... albo tędy, górą.

– Dobrze – zgadza się Rex i patrzy na ścieżkę prowadzącą do zbocza góry.

– Możecie strzelać tylko w tę stronę... a ja w tę – podkreśla Lawrence.

– Oczywiście.

Lawrence kiwa im głową, schodzi ze ścieżki i idzie pomiędzy drzewami, w dół zbocza.

– Znalazłem się w klatce pełnej naburmuszonych małp – mamrocze Rex i przymocowuje nóż do pasa.

Idą kawałek ścieżką, ale po chwili ruszają pod górę. Po pięciuset metrach przystają przy dużym głazie. Jest jak wieżowiec z ogromnego łupka, który znalazł się w tym miejscu wraz ze stopieniem lądolodu.

Stoją odwrócenymi plecami do skalnej ściany i piją wodę z manierki.

Na suchej ziemi pomiędzy kilkoma okrągłymi kamieniami leży puszkę po piwie, rozdeptana tak, że wygląda jak krążek.

Rex zakłada okulary do czytania, rozwija mapę i przez chwilę ją studiuje, zanim udaje mu się zorientować w terenie.

– Jesteśmy tutaj – oznajmia i wskazuje na punkt na mapie.

– To dobrze – odpowiada Sammy, nie patrząc.

Rex wyjmuje lornetkę i próbuje zrozumieć podział stref. Nagle w dole dostrzega Lawrence’a. Ustawia ostrość i obserwuje go przez lornetkę.

Brodąta twarz Lawrence'a jest czujna, a oczy zwężone. Mężczyzna przemyka przez zarośla w dolinie, podnosi broń, stoi w zupełnym bezruchu, patrzy przez celownik, opuszcza broń, nie oddawszy strzału, i idzie dalej w kierunku tej części ogrodzenia, za którą widać Malmbanan. Rex śledzi go, dopóki tamten przycajony nie znika pomiędzy pniami.

– Idziemy wyżej – zarządza.

Wspinają się po skale. Ziemia jest sucha, niskie brzozy rosną coraz rzadziej.

– Pomożesz mi później przy hamburgerach? – pyta.

Sammy patrzy tylko przed siebie z naburmuszoną miną i nie odpowiada. Idą dalej, ale przystają, kiedy w oddali widzą dwa renifery. Zwierzęta przemykają pomiędzy zagajnikiem złożonym z niskich drzew a kilkoma dużymi głazami.

Podkradają się bliżej i czują wiatr na twarzy, kiedy okrążają prawie czarne wzgórze.

Rex kuca, unosi broń i patrzy przez celownik na samca.

Renifer podnosi głowę z okazałym porożem, spogląda na tundrę, węszy i strzyże uszami, kilka sekund stoi w absolutnym bezruchu, a potem wraca do jedzenia. Skubiąc trawę, powoli posuwa się naprzód.

Nagle Rex ma doskonałą linię strzału. To cudowny renifer z futrem w kolorze brązu i mlecznobiałą piersią.

Celownik drży tuż nad jego sercem, ale Rex nie zamierza kłaść palca na spuście.

– Mam nadzieję, że znajdziesz dziurę w ogrodzeniu – mówi szeptem i widzi, jak renifer znów podnosi głowę.

Jego uszy niespokojnie się poruszają.

Rozlega się trzask – to Sammy nadeptuje na gałąź za plecami Rexa. Zwierzę reaguje błyskawicznie i odbiega na skraj lasu.

Rex opuszcza broń i napotyka krnąbrne spojrzenie Sammy'ego. Jednak zamiast czuć zdenerwowanie, uśmiecha się.

– Nie miałem zamiaru strzelić – wyjaśnia.

Sammy wzrusza ramionami i idą dalej trawą pod górę. Parujące odchody reniferów leżą pomiędzy dębikami ośmiopłatkowymi a niezapominajkami. Niebo nad Lulip Guokkil pociemniało, a wiatr stał się wyraźnie chłodniejszy.

– Pogoda się psuje – mówi Rex.

Wędrują pod górę, dopóki teren nie robi się płaski i nie trafiają na coś w rodzaju wrzosowiska, które sięga aż do ciemnych, stromych górskich stoków.

– Możesz przez chwilę nieść broń? Bo ja...

– Nie chcę – mówi stanowczo Sammy.

– Nie musisz się na mnie dąsać.

– Co, zamęczam cię? Za bardzo mendzę jak na twój gust?

Rex nie odpowiada, tylko wskazuje przed siebie i idzie dalej zarośniętą ścieżką, wiodącą przez chaszczę.

Myśli o swoim alkoholizmie, o wszystkim, co zniszczył, i jest coraz bardziej przekonany, że nie da rady odzyskać zaufania syna, ale być może od czasu do czasu będą mogli się spotkać w jakiejś restauracji, tylko po to, żeby mógł zobaczyć, jak Sammy sobie radzi, albo zapytać, czy może mu w czymś pomóc.

Wieje coraz zimniejszy wiatr. Suche liście odrywają się od krzewów i odlatują. Nad ziemią wiruje pył.

– Grillujemy burgery o wadze trzystu gramów – oznajmia. – Odcinamy kanty pieczywa na zakwasie, dodajemy kilka plasterków sera Vesterhaus, keczup Stokes, musztardę Dijon... dużo młodej rukoli, dwa plasterki bekonu... do tego ogórek kiszony i dressing obok...

Kiedy mijają duży występ skalny, Rex czuje pierwsze krople deszczu. Porywisty wiatr sprawia, że trawa się trzęsie, jakby biegło w niej jakieś duże zwierzę.

– A potem smażyjemy cienkie patyczki z ziemniaków w czystej oliwie z oliwek – ciągnie. – Z czarnym pieprzem i solą w płatkach...

Rex milknie, kiedy spostrzega spieniony biały strumyk spływający po zboczu góry w oddali. Nie pamięta, żeby był zaznaczony na mapie,

i odwraca się, żeby zapytać Sammy'ego, ale syna nie ma.

– Sammy? – odzywa się podniesionym głosem.

Zaczyna wracać ścieżką wokół wzniesienia i widzi, że jest pusta. Niskie drzewa i krzewy drżą na wietrze.

– Sammy! – wykrzykuje. – Sammy!

Zaczyna iść szybciej i się rozgląda. Na południu, w kierunku Lulip Guokkil, szaleje ulewa. Deszcz wygląda jak kurtyna ze stalowych linek. Wiatr się wzmacnia, deszcz wkrótce tu będzie. Rex biegnie w dół po zboczu. Drobne kamienie odpadają nad jego głową i się na niego staczają.

– Sammy?

Rex przesuwa wzrokiem po stoku góry, schodzi ze ścieżki i wspina się stromym zboczem. Idzie najszybciej, jak potrafi, traci oddech i czuje zakwasę w udzie. Poci się i ociera twarz, podąża za wyschniętym korytem strumyka i ślizga się na kamieniu.

Koryto kończy się chaszczami. Rex idzie dalej w bok, kiedy nagle ma wrażenie, że za wzgórzem trochę wyżej coś znika.

Przeciska się przez szczelinę w zaroślach, pochyla twarz, ale i tak zadrapuje sobie policzek. Broń na ramieniu blokuje się w plątaniu gałęzi. Zostawia ją za sobą, wiszącą w krzakach, a on się potyka, upada do przodu, podpira się ręką i podnosi wzrok.

Wtedy w oddali, pomiędzy dwoma skalnymi blokami, dostrzega Jamesa. Nagle James odwraca broń w jego stronę i celuje.

Rex wstaje, prostuje plecy, zerka na niego spod przymrużonych powiek, ale z tej odległości trudno mu zobaczyć, co tamten robi. Dostrzega błysk szkła lornetki i podnosi rękę, żeby pomachać.

Płomień z lufy mruga na żółto, a potem słychać huk.

Rex się chwieje na nogach i słyszy echo dobiegające od strony gór. Krzaki szeleszczą mu za plecami, kilka gałęzi się łamie, a zaraz potem słychać mocne uderzenie o ziemię.

Na górze biegnie skulony James. Opada na kolana i znów celuje.

Rex się odwraca i widzi, jak duży renifer próbuje wejść pod górę.

Krew wypływa mu z piersi, zwierzę traci siły, przewraca się na bok i zapada się w rozległe zarośla. Wierzga nogami i wbija poroże w najgrubsze gałęzie. Kiedy próbuje je wyjąć, jego kark się wygina pod dziwnym kątem.

Renifer ryczy i prycha. Walczy, żeby się podnieść, i napina kark. Słychać kolejny huk, wielka głowa odskakuje do tyłu, a dygoczące ciało się zapada.

James zbiega po zboczu w stronę Rexa i renifera. Kamienie pod jego stopami odpadają i zaczynają się toczyć.

– Co ty robisz, do cholery?! – wrzeszczy Rex. – Kompletnie ci, kurwa, odbiło?!

Słyszysz wściekłość we własnym głosie, ale nie potrafi się opanować. James staje i dyszy, jego oczy są rozszerzone, a nad górną wargą błyszczą pot.

– Odbiło ci? – powtarza Rex.

– Zastrzeliłem renifera – oznajmia James zaciętym tonem.

– Tam mógł stać mój syn! – krzyczy Rex, pokazując kierunek wyciągniętą ręką.

– Jesteście w mojej strefie – odpowiada niezrażony James.

Nagle czują mocny podmuch wiatru. Zaraz za nim nadciąga rześisty deszcz. Szumi nad brzozowym lasem, a krople zaczynają uderzać o górski stok.

Dokładnie w chwili, kiedy deszcz spada im na głowy, słychać ostry huk z nieba.

Obaj się odwracają.

Wysoko nad ziemią, pośród ulewy, świeci czerwona raca. Odlatuje w bok, powoli opada i znika, jakby się zapadła w mętne morze.

102

Deszcz jest tuż nad nimi, a ostre porywy wiatru sprawiają, że pada im prosto w oczy.

Kiedy docierają na miejsce, z którego wystrzeliła raca, Rex spostrzega syna. Chłopak siedzi skulony przy pniu, w towarzystwie DJ-a. Ich zielone stroje myśliwskie są przemoczone, a deszczówka spływa im po twarzach.

– Sammy?! – krzyczy Rex i do niego podbiega. – Co się stało? Zniknąłeś, a ja...

– Posłuchaj. – DJ wstaje. Woda spływa z jego jasnej brody na kurtkę, a oczy są przekrwione. – Mieliśmy wypadek... Kent nie żyje. Spadł do kanionu...

– Co ty gadasz, do cholery? – James przekrzykuje huczący deszcz.

– On nie żyje! – wrzeszczy DJ. – Nic się nie da zrobić.

Ulewa i ostre podmuchy wiatru zmieniają kierunek. Wichura szarpie na nich ubrania.

– Co się stało? – dyszy Rex.

– Tu przy krawędzi jest dużo zarośli – oznajmia DJ z błyszczącymi oczami. – Pewnie nie zauważył spadku... Może nie wiedział, w którym miejscu mapy się znajduje.

– Sammy – mówi Rex. – Po prostu zniknąłeś...

Syn na niego patrzy, a potem z powrotem odwraca twarz.

– On spadł – mówi słabym głosem.

– Widziałeś to?

– Leży tam w dole. – Sammy wskazuje kierunek.

Rex i James ostrożnie podchodzą do krawędzi, żeby spojrzeć.

Deszcz spływa im po karkach, plecach i do spodni.

– Bądźcie ostrożni – dobiega z tyłu głos DJ-a.

W rześystym deszczu trudno rozpoznać, gdzie się kończy ziemia. Powoli podchodzą do krawędzi i widzą otwierający się przed nimi

głęboki wąwóz. Ubrania łopoczą na wietrze. James się chwieje na nogach, robi dwa kroki do przodu i odzyskuje równowagę.

Rex ostrożnie podchodzi bliżej, czuje, że ma dobre oparcie pod stopami, i kiedy wygląda za krawędź, mocno trzyma się zarośli.

Początkowo nic nie widzi. Mruży oczy i ociera z twarzy krople deszczu. Jego spojrzenie przelatuje nad drzewami, kamieniami, wykrotami, krzewami. Wreszcie zauważa Kenta. Ciało leży jakies czterdzieści pięć metrów w dole, przy krawędzi wąwozu.

– On się rusza! – krzyczy stojący obok niego James. – Schodzę, na pewno się uda!

Rex wyjmuje lornetkę, ale musi przestać trzymać się krzaka, żeby cokolwiek zobaczyć.

Przechodzi w bok po skale i unosi lornetkę do oczu.

Ostra krawędź urwiska nadal zasłania widok. Rex podchodzi bliżej, wychyla się i widzi zielony kłębek. Nagle ziemia pod jego stopami zaczyna się poruszać. Rex chwytą kilka gałęzi, które ma pod ręką, i upada do tyłu. Kawał mchu i sprasowanej ziemi zsuwa się i spada w przepaść.

– Boże – mamrocze Rex.

Przeszywa go fala strachu przed śmiercią. Czuje przyspieszone bicie serca, kiedy ponownie podnosi lornetkę, wychyla się i ustawia ostrość. Teraz wyraźnie widzi ciało, choć po szklach spływa woda.

Deszcz zmywa krew po upadku.

Kent leży zaklinowany w szczelinie. Z pewnością skręcił kark, bo twarz jest odwrócona do tyłu, a jedna noga sterczy pod nienaturalnym kątem.

Nie ma wątpliwości, że Kent nie żyje.

– Musimy tu sprowadzić śmigłowiec ratunkowy! – krzyczy James, a jego wąskie oczy pociemniały od paniki.

– Nie żyje – oznajmia Rex i opuszcza lornetkę.

– Zejdę tam – upiera się James.

– To zbyt niebezpieczne! – krzyczy za nimi DJ.

– Kurwa – jęczy James i zsuwa się przy krawędzi.

Lawrence przybiega zdyszany na miejsce. Jego okulary są mokre, musiał się też zadrapać, bo przez grube spodnie na udzie przecieka krew. Gęsta szara broda jest pełna igliwia i gałązek.

– Co się dzieje? – sapie, wycierając wodę z oczu.

– Kent spadł do wąwozu – odpowiada James.

– Coś poważnego?

– Nie żyje – odpowiada DJ.

– Tego nie wiemy! – krzyczy ze złością James.

– Na pewno nie przeżył takiego upadku – mówi DJ do Lawrence’a i wskazuje na wąwóz.

– Nie żyje – potwierdza Rex.

– Zamknij ryj! – wrzeszczy histerycznie James.

– Posłuchaj mnie – mówi DJ podniesionym głosem. – Wracamy do hotelu i dzwoniemy po służby ratunkowe.

Lawrence się odsuwa, kręci głową, siada na kamieniu z bronią na kolanach i patrzy przed siebie. James stoi nieruchomo, a jego usta są białe z wściekłości i od szoku.

– Wiedziałem – mówi cicho do siebie.

– Teraz nic nie możemy dla niego zrobić – oznajmia DJ. – Musimy mieć telefon...

Rex podchodzi, kuca naprzeciwko syna i wreszcie patrzy mu w oczy.

– Wracamy do hotelu – mówi łagodnym tonem.

– Chętnie – odpowiada Sammy.

DJ próbuje przekonać dwóch pozostałych, ale mu nie odpowiadają.

– Rozumiem, że trudno go tam zostawić – kontynuuje. – Ale musimy jak najszybciej wezwać ekipę ratunkową.

Kiedy Sammy staje na nogi, Rex pozwala mu się na sobie wesprzeć. DJ wskazuje kierunek i ruszają.

– No chodźcie! – krzyczy DJ. – Nie chcemy kolejnych wypadków.

Obaj mężczyźni na niego patrzą, a potem powoli ruszają. Grupa idzie z boczem w kierunku doliny, hotelu i Torneträsk.

– To jest, kurwa, chore – odzywa się James.

Deszcz nadal leje i wszyscy czują na sobie mokre ubrania.

– Nie możemy po prostu pojechać do domu? – pyta Sammy.

– Przykro mi, że musiałeś przez to przechodzić – odpowiada Rex i odwraca się do pozostałych.

Patrzy na trzech mężczyzn w deszczu. W każdym zagłębieniu powstają kałuże, ziemia wygląda, jakby się gotowała. Krople deszczu spadające z dużą siłą tworzą nad skalami białą poświatę.

– Uważaj, żebyś się nie poślizgnął – mówi Rex do Sammy'ego.

– Widziałem, jak spada – szepcze Sammy. – Podszedłem z boku... To było, zanim zaczęło padać, wszystko się potoczyło tak szybko, że... nie rozumiem.

– Nie powinniśmy byli przyjeżdżać na to polowanie – mówi Rex i czuje silny niepokój podchodzący do gardła. – Zawsze mi się wydaje, że muszę robić mnóstwo rzeczy, ale przecież nie jestem myśliwym. Mogłem od razu to powiedzieć.

– Jesteś zbyt przyjazny – kwituje Sammy zmęczonym głosem.

– Mogliśmy po prostu poczekać w hotelu – kontynuuje Rex i odsuwa gałąź. – Gotować, rozmawiać, robić to, na co miałbyś ochotę.

– Mama mówiła, że nie byłem planowany, wręcz przeciwnie...

– Posłuchaj – odpowiada Rex. – Kiedy mama i ja się poznaliśmy, byłem wyjątkowo niedojrzały. Myśl o dziecku nie przeszła mi nawet przez głowę, czułem się tak, jakbym dopiero zaczął żyć.

– Chciałeś, żeby mama poddała się aborcji?

– Sammy, wszystko się zmieniło, kiedy cię zobaczyłem. Kiedy naprawdę do mnie dotarło, że mam syna.

– Mama wciąż próbuje mnie przekonywać, że się o mnie martwisz, ale masz trudności z okazywaniem tego.

– Zawsze sobie powtarzałem, że będę przy tobie wtedy, kiedy naprawdę zajdzie taka potrzeba, ale zawiodłem – oznajmia Rex i głośno przełyka ślinę. – Nie było mnie przy tobie.

Milknie, kiedy czuje, że głos odmawia mu posłuszeństwa. Usiłuje zaczerpnąć tchu i się uspokoić.

– Chcę, żeby twoja mama przyjęła pracę we Freetown i żebyś się do mnie wprowadził, tak naprawdę... Żeby było tak, jak powinno być – dodaje na koniec.

– Radzę sobie sam – protestuje Sammy.

Rex przystaje i próbuje nawiązać z synem kontakt wzrokowy.

– Sammy – mówi. – Bardzo się cieszę, że u mnie mieszkasz. Chyba o tym wiesz? Na pewno zauważyłeś. Kiedy razem gotowaliśmy, graliśmy na gitarze, to były najlepsze chwile w moim życiu.

– Tato, nie musisz – odpowiada Sammy.

– Ale ja cię kocham – kontynuuje Rex, czując ucisk w gardle. – Jesteś moim synem, jestem z ciebie dumny i nic innego nie jest dla mnie ważne, tylko ty.

103

Cała dolina, aż do Tornetrask, zniknęła w ulewie, tak jakby kościoła i starego cmentarza robotników kolejowych nigdy nie było, jakby istniał tylko szary, pozbawiony głębi świat.

Rex i Sammy mają przemoczone, zimne ubrania, kiedy wreszcie w rześystym deszczu dostrzegają kontury oświetlonego hotelu.

DJ, James i Lawrence minęli ich już dawno – jeszcze przy ogrodzeniu. Pobiegli przodem i zniknęli im z oczu na wypełnionej wodą ścieżce.

Kiedy byli w połowie drogi, Sammy krzywo stanął. W tym momencie stopa jest już spuchnięta, więc ostatni odcinek chłopak pokonuje, kuśtykając i obejmując Ręxa ramieniem.

– Tato, zaczekaj – mówi i zatrzymuje się przy schodach werandy.

– Boli cię?

– Nie o to chodzi... Po prostu muszę ci powiedzieć jedną rzecz, zanim wejdziemy... Widziałem, jak Kent spada. Tak naprawdę to wyglądało, jakby skoczył.

– Może tak było – odpowiada Rex.

– I jeszcze coś... Mimo że zamajaczył mi tylko przez sekundę i już go nie było, zdążyłem zobaczyć, jak jego czerwony szalik rozwija się za nim w powietrzu.

– Ale...

– Nie miał szalika. Prawda?

W milczeniu wchodzą po schodach i przechodzą przez drzwi do dużego holu, próbując zrozumieć, jak to możliwe, że Kent krwawił jeszcze przed upadkiem.

Może podszedł do krawędzi i się zastrzelił, myśli Rex.

Na kamiennej podłodze w holu widać mokre ślady pozostałych. Broń i sprzęt leżą na niskim stoliku przy kominku.

DJ stoi we foyer i podnosi poduszki z kanap i foteli.

– Zadzwoniliście po służby ratunkowe? – pyta Rex.

DJ posyła mu mroczne spojrzenie.

- Telefony zniknęły – szepcze.
- Położyliśmy je w recepcji – mówi Rex.
- W takim razie musiały spaść – oznajmia DJ i wchodzi za ladę.
- Jest tu ktoś jeszcze oprócz nas? – pyta Sammy.

Rex kręci głową, wzdryga się i odwraca wzrok w kierunku okna. Deszcz tłucze o szybę i po niej spływa.

- Co robimy? – pyta Sammy.
- Musisz włożyć czyste ciuchy – odpowiada Rex.
- To wszystko rozwiąże – mówi Sammy i rusza do pokoju.
- Nie ma ich tutaj – mamrocze DJ, grzebiąc w papierach i księdze gości.

– Nie ma tu telefonu stacjonarnego? – dopytuje się Rex.

– Nie... a komputery wymagają podania hasła – odpowiada DJ pustym głosem.

– Mam w walizce iPada – przypomina sobie Rex. – Myślisz, że jest tu sieć?

- Sprawdź. – DJ nadal szuka za ladą.
- Jak? – Rex wzdycha i patrzy za synem.
- Chodzi o Sammy'ego? – domyśla się DJ.

– Staram się... Kłębi się we mnie tyle uczuć, ale rozumiem, że po prostu nie potrafi sobie tego przyswoić, że po tylu latach nagle chcę być jego ojcem... Zawsze będę tylko tym, który go zawiódł.

Rex milknie, wychodzi na korytarz i rozpinając przemoczoną kurtkę, idzie do swojego apartamentu.

Kiedy otwiera drzwi, rozlega się dźwięk, jakby ktoś próbował zaczerpnąć powietrza.

Może silny wiatr wytwarza w niektórych pokojach podciśnienie, myśli i zdejmuje buty w ciemnym przedpokoju.

Przechodzi ciasnym pasażem, wkracza do dużego pokoju, zdejmuje kurtkę i rzuca ją na podłogę, kiedy nagle dostrzega, że za lampą w rogu ktoś stoi.

Abażur w kolorze tytoniowej żółci zasłania jego twarz, ale słabe światło lśni w ostrzu myśliwskiego noża.

– Stój tam, gdzie jesteś – rozkazuje głos dobiegający zza jego pleców.

Rex się odwraca i widzi, że James Gyllenborg mierzy w niego ze sztucera.

– Żadnych gwałtownych ruchów – mówi James. – Pokaż mi ręce, powoli.

– Co wy ro...

– Zastrzelę cię, strzelę ci prosto w twarz! – krzyczy James.

Rex pokazuje puste ręce i próbuje zrozumieć, co się dzieje.

– Zabij go – szepcze Lawrence z kąta za lampą.

– Gdzie masz broń? – pyta James i macha lufą w jego kierunku.

– Została w lesie – odpowiada Rex najspokojniej, jak potrafi.

– A nóż? – syczy Lawrence. – Gdzie jest nóż?

– Przy pasku.

James robi krok do przodu i patrzy na niego nerwowo.

– Poluzuj klamrę, żeby upadł na podłogę.

– Lepiej go zastrzel – syczy Lawrence, niecierpliwie drepcząc w miejscu.

– Rozpinam klamrę – oznajmia ostrożnie Rex.

– Zginiesz, jeśli zrobisz coś dziwnego – ostrzega go James i przykładą broń do ramienia. – Daję ci słowo, chcę strzelić, bardzo chętnie cię zastrzelę.

– On zabił Kenta – mówi Lawrence podniesionym głosem.

– Nie rób nic głupiego – odpowiada Rex.

– Zamknij mordę! – krzyczy James.

Rex odpina klamrę. Pod ciężarem noża myśliwskiego pasek wypada ze szlufek i ześlizguje się wzdłuż nogi na podłogę.

– Kopnij tu nóż – rozkazuje James.

Rex wykonuje polecenie, ale nóż toczy się zaledwie metr po dywanie i nieruchomieje.

– Jeszcze raz – mówi niecierpliwie James.

Rex powoli podchodzi i mocno kopie. Tym razem nóż ląduje obok fotela.

– Cofnij się z powrotem i uklęknij – mówi James.

Rex wykonuje polecenie – robi kilka kroków do tyłu i opada na kolana.

– Od razu go zastrzel – mówi znowu Lawrence. – Strzel mu prosto w czoło.

– Zachowujecie się, jakbyście myśleli, że mam coś wspólnego ze śmiercią Kenta – zaczyna Rex.

James szybko podchodzi i wbija mu kolbę w twarz.

Trafia w punkt nad prawą brwią. Rex słyszy trzaśnięcie karku, na kilka sekund robi mu się ciemno przed oczami. Przewraca się na bok i czuje pulsowanie palącego bólu.

– Byłeś w naszej strefie! – wrzeszczy James i przykładła mu broń do skroni. – Zastrzelę cię, rozumiesz? W dupie mam, co się stanie...

– Zastrzel go! – chrypi Lawrence.

– Szukałem Sammy’ego – dyszy Rex.

– Gdzie, do cholery, są nasze telefony? – James przyciska mocniej lufę do jego głowy.

– Nie wiem, nie ruszałem ich – odpowiada szybko Rex. – Ale w torbie przy łóżku mam iPada, możemy nadać sygnał SOS.

– Zamknij ryj – prycha James. – Wiesz bardzo dobrze, że nie ma tu żadnej cholernej sieci...

Drzwi na korytarz się otwierają. Ktoś wchodzi i staje w przedpokoju.

– Tato? – wola Sammy zwrócony w kierunku ciemnego apartamentu.

– Idź po DJ-a! – krzyczy Rex do syna tuż przed tym, jak spada na niego kolejny cios.

Opada na plecy, podnosi głowę i widzi, że Lawrence jest już w przedpokoju.

– Sammy – dyszy Rex.

Lawrence ciągnie Sammy’ego za włosy do pokoju, aż buty w przedpokoju się przewracają, i uderza w twarz ręką.

myśliwskiego noża. Przyciska go brzuchem do podłogi, siada na nim okrakiem, odciąga mu głowę do tyłu, trzymając za włosy, i przykłada mu nóż do szyi.

James oddycha szybko. Zamyka usta i je zwilża, potem staje nad Rexem na szeroko rozstawionych nogach i przystawia mu lufę do czoła.

– To już koniec – mówi. – Rozumiesz? Koniec, po tobie. Twoja zemsta nic nie da, nic się nie zmieni.

Lufa mocno drży. Nieruchomieje, kiedy James przyciskają mocniej do twarzy Rexa.

– Nie wiedzieliśmy, co robimy – ciągnie James. – Po prostu tak się stało. Rozumieliśmy, że to złe, ale sami nie byliśmy źli. Po prostu byliśmy głupi.

– Nie musisz przeproszać! – krzyczy Lawrence do Jamesa.

– Co wy zrobiliście? – dyszy Rex.

– Chcę tylko powiedzieć, że nigdy nikogo bym nie zgwałcił. To nie ja, to Wille... i każdy w tej pieprzonej szkole odwrócił oczy. Wiedzieliśmy o tym – nikogo nie obchodziło, co się stało w Króliczej Norze.

– Mówisz o Grace – odzywa się Rex.

– Teraz, zastrzel go! – sapie Lawrence.

James odwraca broń i stękając, kilka razy uderza Rexa kolbą w twarz. Z każdym ciosem pokój gwałtownie ciemnieje, potem robi się rozmazany i znowu gaśnie.

– Tato!

Rex słyszy krzyk Sammy'ego i czuje na twarzy kolejne ciosy, ale są one jakby z innego świata. Bolą go usta i oko. Zapada się w ciemność, próbuje stawiać opór, ale traci przytomność.

Kiedy się budzi, ból rozsadza mu czaszkę. Twarz jest lepka od krwi, a rany pieką. Jak we śnie czuje, że mężczyźni rozrywają materiał i związują mu ręce za plecami. Słyszy, jak przetrząsają wszystkie jego rzeczy, i domyśla się, że szukają telefonów.

– Pójdę poszukać w pokoju chłopaka – rozlega się głos Lawrence'a.

Rex próbuje odwrócić głowę i spojrzeć na syna, ale nie może się

ruszyć. Próbuje krzyknąć, ale nie jest w stanie wykrztusić żadnych słów. Słyszc tylko krew, charczącą w gardle z każdym oddechem.

104

Czterej ochroniarze z Timberline Knolls Residential Treatment Center poprowadzili Sage Bauer do bramy i zaczekali na radiowóz policyjny. Zgłosili włamanie i przekazali ją dwóm funkcjonariuszom.

Saga przysypiała na ławce aresztu w zaniedbanym komisariacie okręgowym w Lemont. Z nikim nie rozmawiała.

Po południu przeniesiono ją do pozbawionego okien pokoju przesłuchań. Nadal nie mogła korzystać z telefonu, ale policjantka z sarkastyczną cierpliwością wypisała wszystkie wspomniane przez nią nazwiska i kontakty.

Kiedy pod wieczór zrozumiano, że naprawdę może mówić prawdę, zaangażowano FBI. Ponieważ jednak ich biuro przy Roosevelt Road było tego dnia zamknięte, zawieziono ją z powrotem do aresztu i spała na materacu dmuchanym.

Jest dziewiąta rano, kiedy do aresztu wchodzi *supervisory special agent* Jocelyn López. Już o tej porze czuć od niej zbyt dużą liczbą filiżanek kawy i nie ulega wątpliwości, że potrafi wyglądać na bardziej naburmuszoną niż ostatnio.

– Podobało ci się w hotelu? – pyta po złożeniu podpisu pod zwolnieniem Sagi.

– Nie za bardzo.

W ciszy opuszczają komisariat i wsiadają do srebrnego pontiaca López.

– Muszę pożyczyć telefon – oznajmia Saga.

– Żeby zadzwonić do szefa? – López uruchamia silnik.

– Tak.

– Rozmawiałam z nim kilka razy.

– W takim razie wiesz, że muszę z nim mówić – naciska Saga.

– Zapomnij.

– To ważne.

– Okej, Bauer. Wy, Szwedzi, jesteście urodziwi, ale niezbyt rozgarnięci,

prawda?

Saga nie wie, jak służby policyjne rozwiązały między sobą ten problem, ale strona szwedzka niewątpliwie gwarantowała, że Saga wróci do domu bez kolejnych problemów. López odprowadza Sagę do terminala numer 1 międzynarodowego lotniska O'Hare, dziękuje za współpracę i przypina jej na kurtce dużą odznakę z wizerunkiem uśmiechniętej cebuli i podpisem *My Kind of Town*.

Umundurowany funkcjonariusz służb lotniskowych przejmuje odpowiedzialność za powrót Sagi do domu. Jest w dobrym humorze – idąc z nią do stanowiska odprawy, opowiada o serialu o wikingach, który ogląda.

Kolejki do odprawy są ogromne. Po czterdziestu pięciu minutach znajdują się dopiero w połowie drogi. Policjant odbiera zgłoszenie przez radio, rzuca spojrzenie w stronę ruchomych schodów i mówi do Sagi:

– Muszę bieć, ale poradzisz sobie. Twój samolot odlatuje za cztery godziny... Zjedz hamburgera i patrz na tablice świetlne – tam się pojawi numer twojego wyjścia.

Przeciska się z powrotem i szybkim krokiem odchodzi, rozmawiając przez radio.

Saga powoli przesuwa się naprzód w kolejce.

Jej telefon jest zniszczony i nie wie, co Joona ustalił na temat Rexa i Oscara.

Może przez to, że została zatrzymana, zanim zdążyła zadać Grace najważniejsze pytania, zginęło więcej ludzi.

Wie, że wkrótce wróci do domu i nie będzie już bruździła, ale najpierw musi pojechać do domu opieki, a potem uzyskać dostęp do telefonu i zadzwonić do Joony.

Równocześnie z gwałtem wydarzyło się coś, o czym Grace nie opowiedziała.

W Króliczej Norze była nieznana osoba.

Może właśnie morderca?

Saga przeprasza i przepycha się na tył kolejki, przewiesza torbę przez

ramię i idzie przez halę odlotów w kierunku drzwi na przeciwnym końcu niż ruchome schody. Potem schodzi do hali przylotów.

Kiedy wraca do wypożyczalni samochodów, mężczyzna za ladą ma w oczach błysk nadziei, jakby jego sen stał się rzeczywistością.

– Nie ma szans – mówi Saga, zanim tamten zdąży otworzyć usta.

Wypożycza takiego samego forda mustanga jak wcześniej, wrzuca bagaż na tylne siedzenie, siada za kierownicą i jedzie z powrotem do ekskluzywnego domu opieki.

Przedmieścia Chicago są skąpane w szarym świetle. Niezbędna część miejskiej maszyny jawi się w całej okazałości.

Brama Timberline Knoll jest otwarta. Saga mijając stróżówkę i staje na parkingu dla gości.

Nie przechodzi przez recepcję. Biegnie truchtem pomiędzy głównymi budynkami, przecina trawnik, po którym nie tak dawno przemykała w ciemności, i wkracza na deptak koło atelier.

Otwiera drzwi i przemierza pokój dzienny, w którym kilku pacjentów je lunch. Szybkim krokiem wychodzi na korytarz, puka do drzwi pokoju Grace i wchodzi, nie czekając na zaproszenie.

Grace stoi odwrócona plecami do drzwi, tak samo jak poprzednim razem, i patrzy na piękny rododendron za domem.

Saga czuje, jak pod jej butami chrzęszczą resztki porcelany i ziemia kwiatowa. U stóp kobiety leży biały słoiczek po lekach.

– Grace – zaczyna ostrożnie Saga.

Na szybie pojawia się plama pary. Grace ściera ją palcem i znowu chucha na szkło.

– Możemy porozmawiać? – pyta Saga i podchodzi.

– Nie czuję się dziś dobrze – oznajmia Grace i ostrożnie się odwraca. – Myślę, że wzięłam trzy, chyba muszę się przespać.

– Trzy tabletki to za dużo? – pyta Saga.

– Tak – odpowiada z uśmiechem krucha kobieta.

– No to dzwonię po lekarza.

– Nie. Po prostu jestem przez to trochę zmęczona – mamrocze Grace.

Otwiera szczupłą dłoń i patrzy na różowe kapsułki. Bierze jedną z nich i podnosi do ust. Saga łagodnie ją powstrzymuje.

– Chyba już wystarczy – mówi.

– Tak.

– Nie chcę cię denerwować. Ale kiedy byłam tu ostatnio, opowiedziałas mi o Króliczej Norze i o tym, co ci zrobili chłopcy.

– Tak – powtarza cicho Grace.

– Czy w Króliczej Norze wydarzyło się coś jeszcze?

– Bili mnie, kilka razy zemdlałam i...

Grace milknie. Drżącymi palcami zaczyna się bawić guzikami swetra.

– Zemdlałaś... ale mimo to jesteś pewna, że wszyscy brali udział w gwałcie?

Grace kiwa głową, a potem zatyka usta, jakby miała zwymiotować.

– Mam zadzwonić po pomoc? – pyta Saga.

– Czasem biorę pięć tabletek – odpowiada Grace.

Wygląda przez okno i pociera palcem ślad pary, tak że słychać lekki zgrzyt. Saga widzi, jak korytarzem po prawej nadchodzą dwie kobiety w białych fartuchach personelu.

– Grace? Mówisz, że jesteś pewna, że wszyscy tam byli, ale...

– Pamiętam wszystko – przerywa kobieta z uśmiechem. – Każdą drobinę kurzu w powietrzu...

– Pamiętasz Reka?

– On był najgorszy. – Grace spogląda na nią, mrużąc oczy.

– Jesteś pewna? Widziałaś go?

– To on mnie tam zabrał... Ufałam mu, a on...

Grace opiera policzek o ścianę, zamyka oczy, odbija się jej.

– Poszedł z tobą z internatu do klubu?

– Nie. Mówili, że przyjdzie później.

– Przyszedł?

– Czowałaś kiedyś smród króliczej nory? – Grace podchodzi do fotela. – To tylko mała dziura w ziemi, ale tam w dole jest labirynt ciemnych korytarzy.

– Nie widziałaś Rexa, prawda? – pyta cierpliwie Saga.

– Zaczęli mnie szarpać, żaden nie chciał czekać... Mruczeli, chodzili do tyłu wzdłuż ścian, włożyli duże białe uszy...

Nagle wygląda, jakby zasnęła w połowie myśli. Opiera ręce na oparciu fotela i na chwiejnych nogach idzie do przodu.

– Nie powinnaś się położyć do łóżka?

– Nie, wszystko w porządku. To tylko tabletki.

Powoli chodzi po pokoju i próbuje się ułożyć w fotelu, ale kiedy nie ma miejsca na zwinięcie się w kłębek, wstaje z powrotem.

Saga słyszy pukanie i radosne głosy. Dociera do niej, że na oddziale rozpoczął się obchód.

– Grace, staram się tylko powiedzieć, że pamięć to skomplikowana sprawa. Komuś może się wydawać, że pamięta wydarzenia, bo powtarzał słowa, ale... Co ty na to, jeśli powiem, że Rexa tam nie było, bo...

– Był tam – przerywa Grace i w roztargnieniu dotyka dłonią szyi. – Zobaczyłam... od razu zobaczyłam, że mają takie same oczy.

– Takie same oczy?

– Tak.

– Urodziłaś dziecko – mówi szeptem Saga. Czuje dreszcz na plecach, kiedy dociera do niej, że nieznaną osobą w Króliczej Norze, o której mówił Joon, jest dziecko.

– Urodziłam dziecko – powtarza cicho Grace.

– I myślisz, że to Rex jest ojcem? – Saga kręci głową.

– Wiem, że to on – odpowiada Grace i ociera łzę. – Ale nic nie mówiłam mamie i tacie... Trzy tygodnie leżałam w szpitalu, powiedziałam, że potrąciła mnie ciężarówka i jedyne, czego chcę, to wrócić do Chicago...

Znów się zatacza i zakrywa dłonią usta.

– Muszę... muszę chyba odpocząć – szepcze do siebie.

– Pomogę ci dotrzeć do łóżka – mówi Saga i prowadzi ją powoli za sobą.

– Dziękuję – mówi Grace, opada na łóżko, kładzie się na boku i zamyka oczy.

– Rodziłaś sama?

– Kiedy zrozumiałam, że już czas, poszłam do stodoły, żeby wszystkiego nie zakrwawić – opowiada Grace i mruga zmęczona. – Mówią, że miałam psychozę, ale dla mnie to była rzeczywistość... Schowałam się, żeby przeżyć.

– A dziecko?

– Mama i tata przyjeżdżali w niektóre weekendy i wtedy musiał radzić sobie sam. Chowałam go w boksie... bo musiałam być w domu, siedzieć przy stole, spać w łóżku.

Zmęczona Grace przysuwa się bliżej skraju łóżka, a kwiaciasta poduszka spada na podłogę. Grace niemrawo sięga w bok, wysuwa szufladę z nocnego stolika, wkłada do niej rękę, na chwilę zamyka oczy i nabiera sił, aż w końcu wyjmuje fotografię w ramce i podaje ją Sadze.

Młody człowiek z ogoloną głową patrzy przymrużonymi oczami w obiektyw. Ma na sobie strój maskujący w kolorze piasku, kamizelkę kuloodporną i MK12 wiszący przy udzie.

To on jest nieznanym uczestnikiem gwałtu.

Na zdjęciu widać, że pod oczami i na nosie spiekło go słońce.

Na ramieniu nosi owalną czarno-złotą materiałową torbę z orłem, kotwicą, trójzębem, pistoletem skałkowym i napisem *Seal Team Three*.

To najbardziej zaawansowana grupa specjalna amerykańskiej floty. Żołnierze są szkoleni jednocześnie na pływonurków i spadochroniarzy.

– To twój syn?

– Jordan – szepcze Grace z zamkniętymi oczami.

– Rex go zna?

– Co? – Próbuje usiąść.

– Wie, że urodziłaś dziecko, którego jest ojcem?

– Nie, to się nie może nigdy stać – mówi, a jej broda i usta zaczynają drżeć tak mocno, że utrudniają mówienie. – On nie ma nic wspólnego z Jordanem, zgwałcił mnie i to wszystko... Nigdy nie będzie mógł się

spotkać z Jordanem, nigdy nie będzie mógł na niego spojrzeć... To byłoby najgorsze, najbardziej chore...

Opada na poduszkę, zakrywa oburącz twarz, kręci głową, a potem leży nieruchomo.

– A jeśli go tam nie było? – pyta Saga, ale milknie, kiedy dociera do niej, że Grace śpi.

Saga próbuje ją obudzić, ale to niemożliwe. Siada na skraju łóżka, mierzy jej puls i słucha równego oddechu.

105

DJ siada ciężko w jednym z foteli w holu i odchyła głowę na zagłówek. Deszcz bębni o okna i dach. Na stole przed nim leżą trzy z pięciu sztucerów.

Jego serce pracuje stanowczo zbyt intensywnie, a ciało dygocze jak rażone prądem. W gardle czuć napięcie, jakby ktoś trzymał je w mocnym uścisku. Każde nerwowe uderzenie serca zbliża głębinowe prądy narkolepsji nieco bardziej do powierzchni.

DJ zniszczył wszystkie telefony, router i wszystkie hotelowe komputery.

Próbuje myśleć strategicznie, zadać sobie pytanie, czy można przygotować coś jeszcze, ale myśli za każdym razem są mącone przez dziwaczne fantazje.

Zamierzał uśmiercić wszystkich podczas polowania, ale zabił tylko jednego, z powodu nagłej ulewy.

Stał na skraju głębokiego wąwozu i widział, jak nad dolinę nadciąga deszcz.

W ciągu dziewiętnastu minut Kent Wrangel błagał o życie ze sto razy, a drugie tyle zapewniał, że jest niewinny.

DJ nie zrobił mu specjalnej krzywdy, tylko wbił mu nóż myśliwski nad kością łonową i trzymał go drżącego nad krawędzią kanionu.

Stał nieruchomo z nożem w jego brzuchu i wyjaśniał, dlaczego to się dzieje.

Kent dyszał szybko, kiedy krew wypełniła mu brzuch i zaczęła spływać przez otwór po nogach.

DJ skierował ostrze ku górze. Gdy tylko Kent zaczął opadać z sił i ugięły się pod nim nogi, nóż wszedł jeszcze wyżej.

Pod koniec Kent odczuwał przeraźliwy ból, kolano kilka razy się ugięło, a ostrze dotarło ukośnie do żebra.

Krew wypełniła mu buty i zaczęła się z nich wylewać.

– A teraz linka latawca odpada – powiedział DJ i wyciągnął nóż.

Spojrzał Kentowi w oczy i pchnął go oburącz w klatkę piersiową, za krawędź przepaści.

DJ ociera usta, patrzy w stronę korytarza z pokojami hotelowymi, spogląda na stolik przed sobą i zaczyna rozładowywać broń. Otwiera torbę na kółkach, stojącą na podłodze u jego stóp, i wkłada amunicję do przegródki obok bielizny.

Czas kończyć.

Najpierw Lawrence albo może James, a na samym końcu Rex.

Może zdąży zabić jednego z nich, zanim rozpęta się piekło, zanim zaczną krzyczeć i uciekać korytarzami. Strach jednak nigdy jeszcze nie uratował królików.

DJ zna proste schematy, zgodnie z którymi przebiega ich panika.

Dłonie lekko mu drżą, kiedy montuje tłumik na pistolecie, wciska nowy magazynek, zabezpiecza i wkłada go z powrotem do torby obok siekiery z krótkim trzonkiem.

Jeżeli tu nie przyjdą, będzie musiał chodzić od pokoju do pokoju.

Wyciąga czarny sztylet SOCP, wyciera tłuszcz z wąskiej klingi i patrzy na ostry wierzchołek.

Jego matka zaszła w ciążę w wyniku gwałtu, ale dopiero kiedy go urodziła, rozwinęła się u niej psychoza.

Miała tylko dziewiętnaście lat, musiała być straszliwie samotna i przerażona.

DJ nie pamięta swoich pierwszych lat, ale się domyślił, że urodziła go w samotności, a potem ukrywała. Chowala w stodole. Jego pierwsze wspomnienie jest takie, że leży pod kocem, marznie i je fasolę z puszki.

Nie wie, ile miał wtedy lat.

Kiedy był dzieckiem, jej chaotyczne wnętrze stanowiło część jego życia, część sposobu pojmowania rzeczywistości.

Jego babcia i dziadek przenieśli się na stałe do domu dopiero wówczas, kiedy długa kadencja Lyndona White'a Hollanda jako ambasadora w Szwecji dobiegła końca.

DJ miał prawie dziewięć lat, kiedy jego dziadek znalazł go w stodole. Posługiwał się wtedy mieszanką szwedzkiego i angielskiego i w zasadzie nie zdawał sobie sprawy, że jest człowiekiem.

Trochę potrwało, zanim przyzwyczaił się do nowości.

Jego mama była leczona w domu, dostawała silne środki i prawie zawsze leżała w łóżku, przy zaciągniętych zasłonach.

Czasami była przestraszona i krzyczała, a kiedy indziej go biła, bo zostawił otwarte drzwi.

Czasami opowiadał jej o królikach, które zastrzelił w ciągu dnia.

Czasami siedzieli razem na podłodze i śpiewali jej rymowaną, dopóki nie zasnęła.

Jakiś rok później nagrał ją dla niej w całości na kasetę magnetofonową, żeby mogła jej słuchać, kiedy była niespokojna.

Mama nie chciała nigdy rozmawiać o jego tacie, ale któregoś razu, kiedy miał trzynaście lat, a ona zmieniła leki, opowiedziała mu o Rexie.

Jeden jedyny raz. Nadal dokładnie pamięta tych kilka zdań. Jako dziecko kurczowo się trzymał każdego słówka, budował wokół tego, co powiedziała, całe światy pełne oczekiwań.

Dowiedział się, że byli w sobie zakochani i spotykali się jak Romeo i Julia, zanim ona wróciła do Chicago.

DJ nie rozumiał, dlaczego on z nią nie pojechał.

Odpowiedziała, że Rex nie chciał mieć dzieci, a ona obiecała, że nie zajdzie w ciążę.

Z początku DJ w to wierzył, ale potem zaczął sądzić, że ukryła się przed Rexem w Chicago, bo było jej wstyd z powodu tego, jak wyglądała po wypadku z ciężarówką.

Nadal nie wie, skąd się wziął pomysł, że w Szwecji przejechała ją ciężarówka, bo nadal nie pamięta, żeby kiedykolwiek o tym opowiadała.

Kiedy miał czternaście lat, mama zobaczyła zdjęcie Rexa w „Vogue” – w reportażu o nowych paryskich kucharzach. Poszła prosto do stodoły i próbowała się powiesić, ale dziadek przystawił do belki drabinę

i odciął Grace, zanim umarła.

Babcia i dziadek siłą umieścili ją na zamkniętym oddziale psychiatrycznym BroMenn Medical Center w Bloomington, a on został wysłany do Missouri Military Academy – szkoły wojskowej, która przyjmowała nawet młodych chłopców.

DJ kładzie sztylet pod obrusem na stole, kiedy słyszy, że ktoś nadchodzi korytarzem.

Zamyka nogą wieko torby, znów się odchyła i zadaje sobie pytanie, którego z mężczyzn przywiódł do niego los.

W jego głowie rozlega się trzask. Widzi mamę kulącą się na ziemi w boksie dla koni, zatykającą uszy i piszczącą ze strachu, kiedy jeden z królików z odciętą głową wierzga i znów zaczyna biec.

DJ przypomina sobie, że złapał go pod zielonym plastikowym wiadrem, wsunął tam rękę, chwycił go i przybił gwoźdźmi do ściany. Jego mama drżała na całym ciele, wymiotowała ze strachu, a potem krzyczała, żeby nie wpuszczał królików.

106

Kiedy DJ słyszy kroki w korytarzu, podnosi wzrok. Po chwili w świetle jednego z kinkietów ukazuje się Lawrence. DJ macha mu nieco ociężale ręką i myśli, że ten człowiek wkrótce będzie biegł po korytarzu ze swoimi jelitami w objęciach.

Lawrence wygląda, jakby przepłakał całą noc. Jego oczy są czerwone i opuchnięte.

- Znalazłeś telefony? – pyta, mrugając z wysiłkiem.
- Nigdzie ich nie ma – odpowiada DJ.
- Myślimy, że to Rex je zabrał – mówi Lawrence nerwowym tonem.
- Rex? Dlaczego miałby to zrobić?
- Po prostu tak myślimy – ucina krótko Lawrence.
- Ty i James? Wy tak myślicie?
- Tak – odpowiada Lawrence i się czerwieni.

Wchodzi za ladę recepcji i uruchamia jeden z komputerów. Deszcz bębni o dach i duże, ciemne okna. Burza z hukiem przetacza się nad lasem i zboczem góry, nabiera tchu i powraca z jeszcze większą wściekłością.

Zaledwie dwa miesiące po ostatniej podróży DJ-a do Iraku zmarł jego dziadek od strony matki i pozostawił jedynemu wnukowi pokaźny spadek.

Babcia DJ-a umarła dwa lata wcześniej. Pojechał do ośrodka i przywitał się z mamą, ale nawet go nie poznała.

Był sam.

To wtedy postanowił pojechać do Szwecji, żeby przynajmniej zobaczyć ojca.

Rex był już wtedy uznanym kucharzem, występował jako gość w wielu programach telewizyjnych i wydał książkę kucharską o jedzeniu i o winie.

DJ założył firmę producencką, zmienił nazwisko na nazwisko

panieńskie babci i zbliżył się do Rexa, nie zamierzając kiedykolwiek zdradzić, że wie od matki, iż jest jego synem.

Mimo to przed ich pierwszym spotkaniem był potwornie zdenerwowany i w ciemnym korytarzu wiodącym do cukierni Vetekatten doznał ataku narkolepsji.

Obudził się na podłodze i przyszedł na spotkanie pół godziny po czasie.

Zupełnie nie byli do siebie podobni z wyglądu, jeśli nie liczyć szczególnej zmarszczki nad oczami.

Złożył Rexowi propozycję biznesową. Zaoferował mu nieprawdopodobnie dobrą umowę, opracował nową strategię, w niecałe trzy lata załatwił mu stałe miejsce w niedzielnym porannym programie „Nyhetsmorgon” i zrobił z niego najwybitniejszego kucharza w kraju, pełnokrwistego celebrytę.

Działał jako ktoś w rodzaju menedżera, zaczęli się spotykać prywatnie, a potem zostali przyjaciółmi.

Mimo że miał już pewność, nie mógł się powstrzymać i zdobył kilka jego włosów. Kiedy Rex siedział w białym fotelu, DJ stanął za jego plecami i wyrwał je pęsetą. Rex krzyknął: „au!”, zamachał ręką nad głową i się odwrócił. DJ tylko się roześmiał i oznajmił, że przeszkadzał mu siwy włos.

Nie dotykając włosów, powkładał je do foliowych woreczków i wysłał do dwóch różnych firm specjalizujących się w testach na ojcostwo.

Oba zestawienia nie pozostawiały żadnych wątpliwości. DJ znalazł ojca i zachował tę radość dla siebie.

– Nie ma tu żadnej sieci – mówi Lawrence zza kontuaru recepcji.

– Spróbuj z innego komputera – proponuje DJ.

Lawrence patrzy na niego, wyciera pot z dłoni i kiwa głową w kierunku okna.

– Można stąd dojść do Björkliden?

– To najwyżej dwadzieścia kilometrów – odpowiada DJ. – Wyruszę,

jak tylko się rozpogodzi.

Przez cały jego okres dorastania mama była leczona na depresję jednobiegunową i zachowania autodestrukcyjne. Po ostatniej wizycie, w czasie której go nie poznała, załatwił jej przeniesienie do bardziej luksusowego szpitala – Timberline Knolls Residential Treatment Center. Tamtejszy ordynator potraktował jej stan jako zespół stresu pourazowego i całkowicie zmienił program leczenia.

Przed Świętem Dziękczynienia DJ postanowił pojechać do Chicago i poprosić mamę, żeby pozwoliła mu wyznać Rexowi, że jest jego synem.

Nie wiedział, czy mama w ogóle zrozumie, o czym mówi, ale kiedy tylko wszedł do jej pokoju, zauważył, że zaszła w niej zmiana. Przyjęła kwiaty i podziękowała, zaproponowała herbatę i wyjaśniła mu, że u podłoża jej choroby leży trauma psychiczna.

– Zaczęłaś rozmawiać z terapeutą o wypadku samochodowym? – zapytał.

– Wypadku samochodowym? – powtórzyła.

– Mamo, wiesz, że jesteś chora, że czasem nie dawałaś rady się mną zajmować, że musiałem pomieszkiwać u babci.

Kiedy opowiedział jej o próbce DNA, o tym, że zbliżył się do ojca i że chce teraz powiedzieć mu prawdę, zobaczył jej dziwną minę. Mama wyglądała, jakby spadała z dużej wysokości.

Rozległ się delikatny grzechot, kiedy odstawiła filiżankę na spodek. Z ociąganiem przejechała ręką po blacie, przyciągając ją do siebie, a potem opowiedziała o wszystkim, co się wydarzyło. Coraz bardziej niespójnie podawała wszystkie szczegóły gwałtu, mówiła o tym, jak chłopcy chcieli zrobić jej krzywdę, o bólu, o strachu, o utracie samej siebie.

Pokazała mu zdjęcie z podsztokholmskiej szkoły z internatem. Zaczęła się jąkać i chaotycznie wymieniła nazwiska wszystkich uczestników napaści.

Pamięta dokładnie, jak siedziała, zakrywając usta chudą dłonią,

i płakała, mówiąc, że on jest owocem gwałtu, a Rex był najgorszy ze wszystkich.

Po tych słowach nie mogła na niego spojrzeć.

Czuł się tak, jakby jego płaszcz wkręcił się w ogromne koło zębate, które przyciągało go do siebie, ku potężnej maszynie.

– Nic już nie działa, jesteśmy odizolowani – oznajmia Lawrence drżącym głosem.

– Może to przez tę burzę – podsuwa DJ.

– Chyba od razu spróbuję pójść do Björkliden.

– Okej, ale porządnie się ubierz i uważaj na stokach – upomina opanowanym głosem DJ.

– Spokojnie – mamrocze Lawrence.

– Mogę ci tylko pokazać jedną rzecz, zanim pójdziesz?

Odwija róg obrusa, podnosi ze stołu sztylet z płaskim ostrzem, wstaje, chowa go przy biodrze i podchodzi do recepcji.

107

Lawrence podsuwa okulary na nosie, podchodzi do lady przy komputerze, jakby pracował w recepcji, przyciska brzuch do krawędzi i patrzy DJ-owi w oczy.

– Trudno zejść do głównej drogi? – pyta.

– Nie, jeśli wiesz, jak iść – odpowiada DJ dziwnie głuchym głosem.

– Mogę pokazać na mapie.

Zamiast mapy DJ wyciąga z kieszeni zdjęcie, kładzie je na blacie i odwraca, żeby Lawrence je widział.

– Moja mama – mówi łagodnym tonem.

Lawrence wyciąga rękę po zdjęcie, ale cofa ją jak oparzony, kiedy rozpoznaje widniejącą na nim dziewczynę.

W tej samej chwili, w punkt, w którym chwilę wcześniej znajdowała się jego ręka, trafia czarny sztylet.

Ostrze wchodzi głęboko w drewniany blat.

Nie myśląc wiele, Lawrence rzuca na DJ-a cały komputer. Widzi, jak zaokrąglona krawędź ekranu trafia go w bok twarzy.

DJ traci równowagę i prawie się przewraca do tyłu.

Komputer zmienia kierunek w powietrzu, zatrzymany przez kabel. Monitor robi obrót, wpada za krawędź kontuaru, odczepia się i z hukiem uderza o podłogę.

DJ podnosi rękę i maca się po policzku. Wygląda przede wszystkim na zdziwionego.

Po drugiej stronie lady Lawrence biegnie najszybciej, jak potrafi, mimo dużego ciężaru ciała, prosto ku okrągłemu oknu. Potem zbiega po schodach do ośrodka spa.

Jego pierwsza myśl to spróbować się wydostać przez wyjście ewakuacyjne, które zauważył, kiedy robili obchód.

Z jakiegoś powodu zatrzymał wzrok na zielonej poświacie tabliczki.

Bez oglądania się za siebie Lawrence mija zdjęcia kobiet w jacuzzi i na

białych stołach do masażu. Mija niewielką recepcję z ręcznikami i sklepik z kostiumami kąpielowymi. Wchodzi do przebieralni. Kiedy zamyka za sobą drzwi, spostrzega, że są wyposażone w przekręcany zamek.

Próbuje go obrócić, ale ręce mu się trzęsą i nie może go utrzymać.

Dyszając, próbuje złapać oddech. Serce wali mu w piersi. Wyciera dłonie o koszulę.

Kroki za drzwiami są coraz bliżej.

Ciągnie za uchwyt i próbuje znowu. Idzie opornie, słysząc zgrzyt. Ciągnie mocniej, przekręca i słyszy, że rygiel powoli wskakuje na swoje miejsce. Nagle wypuszcza uchwyt z rąk i uderza się w kostkę dłoni.

Szybko ssie ranę, nasłuchuje i wyciąga rękę, żeby sprawdzić, czy drzwi są dokładnie zamknięte, kiedy naraz klamka zostaje naciśnięta z drugiej strony.

Lawrence odsuwa się od drzwi.

DJ ciągnie za klamkę i popycha drzwi barkiem, aż słysząc trzask w futrynie.

Lawrence cofa się chwiejnym krokiem, wpatrzony w drzwi, i ma ochotę krzyknąć, żeby zamiast niego DJ zabił Jamesa, że James jest w pokoju Rexa.

Nie robi tego jednak, lecz wchodzi do ciemnej przebieralni i nieprzytomnie myśli, że musi znaleźć miejsce, w którym mógłby się schować.

DJ powiedział przed chwilą, że Grace to jego mama.

– To on się na nich mści – powtarza do siebie Lawrence, idąc wzdłuż ławek i otwartych drzwi metalowych szafek.

Popycha drzwi z mrożonego szkła i wchodzi do ciemnego pomieszczenia z natryskami. Robi kilka kroków i próbuje oddychać wolniej.

W ustach ma stanowczo zbyt sucho i czuje ból w piersi.

Staje plecami do ściany i spogląda w dół na studzienkę ściekową. Nad kratką leżą przyklejone suche włosy.

Spod pach sływa mu po bokach pot.

Myśli o gwałcie w Króliczej Norze, o tym, że stali w kolejce i jak się bał, że będą musieli przerwać, zanim to z nią zrobi.

Kiedy zobaczył ją leżącą na podłodze pod pozostałymi, wypełniły go adrenalina i narastająca złość skierowana przeciwko niej.

Zawsze wiedział, że Grace jest dla niego za ładna, ale teraz leżała tam z rozłożonymi nogami.

Przepchnął się do przodu, położył się na niej, uderzył ją w twarz butelką piwa i złapał mocno za brodę, chcąc ją zmusić, żeby na niego patrzyła.

Na początku czuł w środku tylko triumf.

Po wszystkim wstał i na nią splunął, a dwa tygodnie później próbował się wykastrować w toalecie internatu. Wykonał głębokie cięcie, ale z bólu zachwiał się na nogach, upadł i uderzył twarzą o umywalkę. Pękła i zbiegli się ludzie.

Po miesiącu na oddziale psychiatrycznym dla młodzieży mógł wrócić do domu, a wtedy natychmiast zgłosił się na policję. Nie słuchali go. W szkole nie doszło do gwałtu, a dziewczyna, o której mówił, przeprowadziła się z powrotem do Stanów Zjednoczonych.

Opiera się dłonią o chłodną ścianę z wygładzonego granitu, czuje smak krwi w ustach i orientuje się, że nie może zostać w pomieszczeniu z natryskami, dopóki nie będzie miał pewności, że drzwi do spa są zamknięte.

Na trzęsących się nogach przemyka obok drzwi z przyciemnionego szkła, prowadzących do opalanej drewnem sauny, mija drzwi obrotowe i wchodzi prosto do hali basenowej, w której nie pali się światło.

Słyszcąc tylko deszcz bębniący o ogromne szyby.

Lawrence wie, że musi dotrzeć do wyjścia ewakuacyjnego, wydostać się z hotelu i spróbować znaleźć pomoc albo po prostu ukryć się w lesie.

Cały ośrodek jest przedzielony pośrodku dużym sześciokątnym barem.

Po jednej stronie są nieczynne jacuzzi, puste brodziki różnego rodzaju i duży basen z niewielką ilością wody na dnie. Zimą można wypłynąć

prosto na śnieżycę przez zwisające plastikowe pasy, ale teraz zewnętrzna część basenu jest przykryta materiałowym dachem.

Po drugiej stronie dużego baru – za stolikami i częścią relaksacyjną – jest wyjście ewakuacyjne. Robotnicy zerwali tam podłogę, wszystkie meble zostały przeniesione i blokują przejście pomiędzy barem a oknami. To góra ułożona z plecionych mebli i stolików osłoniętych szarą folią przemysłową.

Wygląda na to, że jedyna droga do wyjścia ewakuacyjnego wiedzie obok drzwi damskiej przebieralni.

Lawrence chwilę nasłuchuje. W końcu rusza po cichu korytarzem pomiędzy słupami, który biegnie obok drzwi do przebieralni. Musi je minąć z bardzo bliska, przez cały czas wpatruje się w obrotowe drzwi z mrożonego szkła. Każda najdrobniejsza wibracja sprawia, że napina mięśnie, żeby nie uciec w panice. W szczelinach drzwi dostrzega, że przebieralnia jest pogrążona w mroku. Wstrzymuje oddech i przechodzi obok. Zmusza się, żeby iść powoli, wzdłuż okna solarium. Patrzy za siebie, na drzwi, i szybkim krokiem rusza do przodu.

Zagląda przez szyby do ciemnej siłowni z maszynami do ćwiczeń, bieżniami i orbitrekami.

Wychodzi z korytarza i rusza w dół, ku przeciwnej stronie baru, kiedy nagle słyszy urywany, trzeszczący dźwięk.

Z jego miejsca zza filarów widać wejście do damskiej przebieralni. Na ścianie ukazuje się rozhuśtany cień.

Ktoś minął drzwi.

Lawrence nie wie, co robić. Nie ma odwagi biec. Okrąża tylko cicho bar, opada na podłogę i próbuje złapać oddech.

108

Lawrence jest schowany za barem i zakrywa usta dłonią. Szybki puls huczy mu w uszach. Orientuje się, że DJ jest w spa i szuka go wzrokiem.

Wszędzie panują jednak cisza i spokój.

Po ciemnej drewnianej okładzinie ściekła coca-cola, a pod krawędzią wystającej części ktoś przykleił gumę do żucia.

Lawrence spływa potem, drży i zwija się w kłębek.

Ze strachu oddycha ciężko i myśli o tym, jak gwałt oddalił od niego wszelkie szczęście. Nigdy nie był w związku, nigdy nie mógł się do nikogo zbliżyć intymnie, nie założył rodziny.

Żeby nie wyjść na dziwaka w oczach ludzi ze swojego otoczenia, czasami udawał, że ma przelotne związki.

Przyjaciołom tłumaczył, że woli krótkie relacje seksualne. Ale prawda jest taka, że nigdy nie był z nikim – ani z mężczyzną, ani z kobietą.

Wkrótce jednak minie rok, odkąd nawiązał kontakt z dziewczyną, którą poznał przez portal randkowy. Jest jedną z tancerek z musicalu *Hamilton* wystawianego na Manhattanie. Lawrence wie, że to nie musi być prawda, że może padł ofiarą oszustwa, uwierzył w fałszywą tożsamość, ale ich rozmowy zawsze są zabawne i ciekawe, poza tym jak dotąd ani razu nie prosiła go o pieniądze. Kocha przysyłane przez nią zdjęcia – jest tak niewiarygodnie słodka, że na jej widok czuje szczęście w każdym zakamarku ciała. Kocha jej gęste kręcone włosy, policzki i uśmiechnięte usta. Jest zbyt piękna, żeby była prawdziwa, ale właśnie dostał od niej bilet na przedstawienie, który wygląda na prawdziwy – ma kod kreskowy i wszystko, co trzeba.

Pewnie daje się oszukiwać, ale co, jeśli to punkt zwrotny w jego życiu?

Patrzy w kierunku wyjścia ewakuacyjnego, wstaje skulony i przemyka w dół po szerokich schodach z nakładkami antypoślizgowymi i srebrną poręczą.

Cała jadalnia jest opróżniona z mebli, a na podłodze zaczęto układać mozaikę. Za kilkoma europaletami z płytkami klinkierowymi i klejem widać zielony znak *exit*, świecący nad drzwiami.

Deszcz ścieka strugami po dużych oknach z widokiem na górski krajobraz.

Lawrence przyspiesza i próbuje wstrzymać oddech.

Wie, że jeśli uda mu się wyjść z budynku, wystarczy zejść w ciemnościach do kościoła, a potem na trasę E10, złapać stopa albo pójść na piechotę do Björkliden, wynająć samochód i gdzieś się schować, dopóki to wszystko się nie skończy.

Rozlega się huk, kiedy przez przypadek kopie czarne wiadro. Wiadro toczy się kawałek po zakurzonej podłodze, a kiedy się zatrzymuje, grzechoczą kielnie z zaschniętym cementem.

Lawrence zaczyna biec, nie przejmując się tym, czy go słychać, okrąża palety i dopada do wyjścia. Naciska klamkę, pcha i ciągnie, ale drzwi się nie otwierają.

Są zamknięte na solidną kłódkę.

Lawrence poprawia okulary i się odwraca. Serce zaczyna mu walić z przerażenia, kiedy widzi DJ-a schodzącego po schodach z siekierą w ręku.

Lawrence kopie szybę, ale słyszy tylko głuchy brzęk.

Omiata wzrokiem teren i orientuje się, że musi spróbować przejść obok baru w przeciwnym kierunku – przez górę kanap, szafek, donic, stołów i leżaków.

Dysząc, biegnie wzdłuż okien i dociera do przeszkody złożonej z mebli. Są ciasno ułożone i sięgają mu do klatki piersiowej. Podnosi warstwę folii, kuca i wciska się pomiędzy stos plecionych krzeseł a okrągły marmurowy stolik.

Światło pod folią się zmienia – jest rozmazane i dziwnie miękkie.

Trzyma folię w uniesionej ręce i wchodzi w niewielkie przejście pomiędzy kredensami, ale nieruchomieje, kiedy słyszy za sobą jęki. Szybko się kuli i słyszy, jak folia opada z powrotem na meble.

Pochylony do przodu, z ugiętymi kolanami, wciska potężne ciało pomiędzy dwie szafy wypełnione porcelaną.

Myśli, że to idzie Grace.

Że tak to urządzili.

Wyobraża sobie jej różową plisowaną spódnicę, zakrwawione uda i włosy zwisające w strąkach wzdłuż policzków.

Sapiąc, przeciska się pomiędzy ogromnymi donicami z terakoty i stertami leżaków. Nagle słyszy za sobą kroki.

Jakaś jego część wie, że to DJ, ale umysł podsuwa mu wizerunek Grace.

Przyszła tu, żeby się zemścić. Słyszy, jak nadchodzi, jak ciągnie za sobą skakankę, a plastikowy uchwyt w kolorze brudnej bieli odbija się od nierówności mozaikowej podłogi.

W panice Lawrence odrzuca na bok stojące mu na drodze plecione krzesło, podnosi kolejne i próbuje się przepchnąć obok stołu bufetowego, kiedy nagle jego droga się kończy.

Dociera do muru zbudowanego z ciężkich szaf. Tą drogą nie sposób się przedostać do basenu. Musi znaleźć inne przejście, może pod stosem leżaków.

Pod wpływem przeciągu folia wybrzusza się ku górze, a potem znów opada, sycząc, jakby wydychała powietrze.

Ból w klatce piersiowej Lawrence'a przybrał na sile, a jego lewe ramię wydaje się dziwnie zdrętwiałe.

Kiedy się pochyla, żeby sprawdzić, czy da radę wpełznąć pod leżaki, gubi okulary.

Drżąc, klęka, żeby ich poszukać, ale niechcący wypycha je pod niski stolik. Mruży oczy i ma wrażenie, że je dostrzega, wyciąga rękę, ale mimo to ich nie dosięga. Duży stół składa się z pomalowanego na biało metalowego szkieletu i ciężkiego kamiennego blatu, prawdopodobnie waży kilkaset kilogramów. Na blacie leży ogromna sterta złożonych stolików kawowych, obwiązanych kilkoma warstwami sznurka.

Lawrence opada na brzuch i zaczyna pełznąć w ciasnej przestrzeni pod

kamiennym blatem. Posuwa się do przodu, mruga i wyciąga się w bok, sięga koniuszkami palców okularów i szybko je zakłada.

Leży na brzuchu, odwraca głowę, spogląda do tyłu, pod meblami, na jadalnię i wyrwaną mozaikową podłogę, kiedy nagle DJ się pochyla i patrzy prosto na niego pomiędzy stołowymi nogami i krzesłami.

Przypomina Grace – jej piękną jasną twarz i włosy w kolorze blond.

Folia szeleści. Lawrence domyśla się, że DJ wszedł pod nią i przeciska się pod stosami mebli.

Lawrence brnie dalej pod stołem. Słyszy, jak guziki kurtki drapią o klinkierowe płytki.

Kiedy oddycha mocniej, jego plecy przywierają do kamiennego blatu i ma wrażenie, że zaraz utknie.

Znowu myśli o bilecie na musical. O tym, że ona nie zrozumie, dlaczego się nie pojawił.

Meble się przewracają. Kiedy się zbliża do drugiej strony stołu, słyszy za sobą dźwięk tłuczonego szkła.

Ma świszczący oddech. Próbuje coś chwycić, żeby się wy dostać.

Rozlega się głuchy brzęk, kiedy DJ kładzie siekierę na podłogę i wyciąga po niego rękę.

– Odwal się ode mnie! – krzyczy Lawrence.

DJ chwyta go za stopę i zaczyna ciągnąć z powrotem. Lawrence kopie i próbuje się oswobodzić, wypęła na drugą stronę i staje na drżących nogach. Kiedy się przeciska pomiędzy wielkimi kanapami, ma wrażenie, że zaraz zwymiotuje. Przewraca górę białych poduszek, folia opada na niego. Potyka się i podnosi nogę nad puchatymi poduszkami, ale utrzymuje równowagę.

Po pokonaniu barykady zatacza się w bok, uderza barkiem o słup, mija okrągłe jacuzzi i przystaje.

Oddech galopuje, a palce jednej z dłoni są kompletnie zdrętwiałe.

Lawrence przebiega obok opróżnionego basenu, po lewej spostrzega basen sportowy, a nieco dalej basen dla dzieci ze zjeżdżalnią w kształcie serpentyny.

Idzie dalej do przodu, rzuca okiem na bar i w szklanych drzwiach solarium zauważa odbicie DJ-a.

DJ biegnie z siekierą w ręku korytarzem pomiędzy słupami. Zmierza w kierunku basenów, mija drzwi przebieralni.

Na jego policzkach powiewają dziwaczne skórzane paski.

Lawrence kaszle i szybkim krokiem rusza w stronę dużego basenu, zamierza do niego zejść, pobiec do części zewnętrznej, otworzyć materiałowy dach i wyjść na zewnątrz.

Czuje ból w sercu i wie, że musi poruszać się wolniej. Chwyta poręcz przy wyłożonych kaflami schodach prowadzących do basenu.

Resztki wody śmierdzą stęchlizną.

Trzęsąc się, zbiega po gładkich schodach, brodzi w wodzie i próbuje biec, ale to się okazuje zbyt trudne.

Mętne błoto z dna podpływa do góry w sięgającej mu do ud wodzie. Idzie ciężkim krokiem i czuje krople na brzuchu i klatce piersiowej. Na rozhuśtanej powierzchni unoszą się plastry, buty do pływania i kłęby włosów.

Przechodzi pod wiszącymi plastikowymi pasami do basenu zewnętrznego, pokrytego materiałowym dachem. Na pewno da się stąd wydostać, myśli. Pokrycie to nic innego, jak tylko gruba plandeka rozpięta na czymś w rodzaju niskich wiązarów.

Brodząc, posuwa się dalej i próbuje zobaczyć, czy w materiale są jakieś łączenia.

Kiedy się odwraca, słyszy za sobą ciężki plusk.

DJ brnie w wodzie, jest coraz bliżej.

Lawrence dochodzi do wniosku, że trudno mu będzie wydostać się z basenu tak, żeby DJ nie zdążył go złapać.

Czuje szczypanie i mrowienie w koniuszkach palców.

Dysząc, odwraca się z powrotem i rusza w stronę najbliższej krawędzi. Prawie się przewraca, ale ją chwyta.

Z całej siły pcha materiał ku górze. Gruba nylonowa tkanina jest tak napięta, że zrobienie choćby najmniejszej szczeliny jest niemożliwe.

Szarpie szkielet, żeby go przewrócić, ciągnie za dolną krawędź, ale nic się nie dzieje.

DJ brnie przed siebie dużymi susami. Fale, które powoduje, biją o brzeg basenu i ochlapują Lawrence'a.

Lawrence nie może włożyć palców pod brzeg materiału. Ponownie próbuje napierać na dach, ale w końcu musi się poddać.

Sapiąc, rusza dalej. Czuje, że jego serce bije zbyt szybko, opada z sił, wie, że nie ma już dokąd uciec. Przystaje i się odwraca.

109

Lawrence stoi nieruchomo i oddycha szybko przez usta. Próbuje coś powiedzieć, ale w dalszym ciągu ma zadyszkę. Jest tylko królikiem, który biega we własnej krwi na dnie cynkowej balii.

Łowca Królików idzie wolniej i ciągnie za sobą w wodzie siekiere o krótkim trzonku.

Przygotował magnetofon i taśmę, spodziewał się, że przygwoździ Lawrence'a, przybijając mu dłoń do lady recepcji, a pozostali będą go szukać.

Brudna woda ochlapała kraciastą koszulę Lawrence'a, a pod pachami pojawiły się plamy potu.

– Wiem, o co w tym wszystkim chodzi – oznajmia Lawrence pomiędzy jednym wysiłonym oddechem a drugim.

Trzyma obie ręce wyciągnięte przed sobą, jakby chciał powstrzymać napastnika przed zbliżeniem się. Łowca Królików robi tylko jeden krótki krok do przodu, chwytając jego dłoń, wyciąga rękę i z całej siły uderza go siekiere nad łokciem. Lawrence pod wpływem siły uderzenia traci równowagę i leci w bok, a krzyk bólu odbija się echem od ścian basenu.

Z głębokiej rany tryska krew.

Łowca wciąż trzyma dłoń Lawrence'a, lekko ją obraca i zadaje kolejny cios.

Tym razem ostrze przechodzi prosto przez kość ramienia.

Łowca zwalnia uścisk i patrzy, jak Lawrence zatacza się do tyłu. Przedramię wisi na kilku ostatnich ścięgnach, a potem całkiem się odrywa i z pluskiem wpada do brejowatej wody.

– O Boże, o Boże – jęczy Lawrence, próbując przyciskać kikut do ciała, żeby zmniejszyć krwotok. – Nie wiem, czego ty ode mnie chcesz. Proszę, po prostu to powiedz. Ja potrzebuję pomocy, rozumiesz?

– Grace to moja mama, a teraz...

– Oni mnie zmusili, nie chciałem tego, miałem tylko siedemnaście lat

– tłumaczy z płaczem Lawrence.

Milnie i sapie. Jego twarz jest pobladła, jakby już był martwy. Łowca Królików mu się przygląda – patrzy na plamy na okularach, zasmarkaną brodę, krew rozchłapaną po brudnym ubraniu.

– Rozumiem, że się mścisz – oznajmia Lawrence i ciężko dyszy. – Ale ja jestem niewinny.

– Wszyscy są niewinni – odpowiada cicho Łowca Królików.

Myśli o Ratjenie, który umierał na oczach dzieci, siedząc w domu na krześle w kuchni. Ratjen zginął, bo przyniósł klucze, otworzył drzwi internatu i zabrał jego mamę do Króliczej Nory. Od tego wszystko się zaczęło. Gdyby wtedy odmówił, to zjadłby w spokoju makaron, poczekałby, aż dzieci zasną, i położyłby się obok żony. Ale on otworzył drzwi. Zrobił to, a potem poszedł z nią do Nory i cierpliwie czekał na swoją kolej.

– To Wille wszystko ukartował – stęka Lawrence.

– Mama wskazała cię. Powiedziała, co zrobiłeś – odpowiada spokojnie Łowca.

– Zmusili mnie – mówi z płaczem Lawrence. – Byłem ofiarą, ja też byłem...

Jego głos zamiera. Uszy Łowcy się zatykają. Próbuje grzebać w jednym z nich, ale nadal nic nie słyszy. Przypomina sobie pewne letnie popołudnie, w przeddzień próby samobójczej mamy.

Polował wtedy z bronią salonową za główną drogą i torami, niedaleko silosu.

Usiadł w trawie, odchylił głowę, a kiedy się obudził, był już wieczór. Jakby się ocknął we śnie.

Leżał nieruchomo w wysokiej trawie i miał wrażenie, że silos wygląda jak wielki cylinder Szalonego Kapelusznika.

W tamtej chwili był mały jak królik.

Lawrence nadal ma nadzieję, że uda mu się uciec – znów kuśtyka w kierunku schodów.

W wodzie wokół niego rozkwita wstęga ciemnej krwi.

Łowca Królików patrzy na zegarek i rusza za nim.

Lawrence przechodzi pod plastikowymi paskami, zatacza się do przodu, robi krok w górę i siada na jednym z dolnych stopni. Podnosi kikut ramienia i jęczy z bólu. Dysząc, rozrywa koszulę i owija go paskiem materiału najmocniej, jak potrafi. Mocno za niego pociąga jedyną, drżącą ręką.

– Boże, Boże – powtarza szeptem.

Krew przecieka przez kraciastą flanelę i skapuje na mokry schodek.

– Nie wykrwawisz się – informuje Łowca Królików i odgarnia królicze uszy z twarzy. – Zanim stracisz przytomność, ugodzę cię w szyję, a wtedy szybko umrzesz.

Lawrence podnosi na niego spojrzenie pełne rozpacz.

– Czy my zabiliśmy Grace? Dlaczego nas mordujesz, przecież ona żyje...

– Nie żyje – przerywa Łowca. – Nie dane jej było żyć.

Wkrótce wejdzie na górę i powiesi Jamesa Gyllenborga. Nie wie, dlaczego chce powiesić akurat jego. Ta myśl po prostu przyszła mu do głowy, kiedy mu się przyglądał podczas polowania. Pomyślał, że chce zobaczyć, jak tamten wisi.

Błyskawiczne wspomnienie przeszywa mu umysł: dźwięk, jaki się rozległ, kiedy dziadek odcinał mamę z belki w stodole.

– Co zamierzasz teraz zrobić? – pyta szeptem Lawrence. Ma przekrwione oczy. – Kiedy skończysz się mścić? Co będzie potem?

– Potem? – Łowca Królików zarzuca siekierę na ramię.

110

Kiedy Rex się budzi, serce wali mu ze strachu jak szalone. Leży na brzuchu, z rękami związanymi za plecami. Jego twarz się napina i boli po serii uderzeń kolbą sztucera.

Na środku leży jego opróżniona torba – wysypali zawartość na podłogę.

Słyszysz głosy i ostrożnie przewraca się na bok. Próbuje niepostrzeżenie uwolnić ręce i zauważa, że nie ma czucia w palcach.

Przez przymrużone powieki widzi Sammy'ego – chłopak siedzi oparty o ścianę, obejmując podciągnięte kolana. Rex ostrożnie się obraca, patrzy synowi w oczy i dostrzega, jak Sammy ledwie zauważalnie kręci głową.

Rex natychmiast zamyka oczy, udając nieprzytomnego, i słyszy, jak syn mówi stłumionym głosem:

– Nie mam z tym nic wspólnego... Mam nadzieję, że to rozumiecie. Nawet by mnie tu nie było, gdyby tata nie próbował mnie powstrzymać przed spotkaniem z moim chłopakiem.

– Jesteś pedałem? – pyta z zaciekawieniem James.

– Tylko nie mów tacie – odpowiada żartem Sammy.

– Co takiego fajnego jest w chłopakach?

– Spotykam się też z dziewczynami, ale seks z chłopakami jest lepszy.

– Za moich czasów... – mówi James – nie mógłbym nigdy czegoś takiego powiedzieć... Wiele się zmieniło... na lepsze.

Lodowatymi palcami Rex próbuje poluzować mocno zawiązane pasy materiału.

– Nie zamierzam wstydzić się tego, kim jestem – odpowiada Sammy.

– Spotykasz się też ze starszymi mężczyznami? – pyta James dziwnym tonem.

– Kręcą mnie jednostki, sytuacje, nie mam ścisłych zasad – wyjaśnia spokojnie Sammy.

Rex leży nieruchomo i słyszy kroki Jamesa na podłodze. Ostrożnie

uchyla powieki i widzi, że James stanął przed Sammym. Trzyma broń luźno w jednej ręce, tak że lufa zwisa wzdłuż prawego biodra i nogi. Na stoliku stoi smukła szklana butelka z wodą, a obok butelka wina, które hotel proponuje gościom za absurdalną cenę.

James się odwraca, a Rex szybko zamyka oczy i próbuje się rozluźnić. Leży nieruchomo i słyszy, że James znów się zbliża i staje przed nim. Woń metalu wskazuje na to, że lufa jest wymierzona w jego twarz.

– Większość moich znajomych określa się mianem panseksualnych – kontynuuje Sammy.

– Co to znaczy?

– Uważa się, że to osobowość jest decydująca, a nie płeć.

– To brzmi rozsądnie – przyznaje James. – Przykro mi, że Lawrence cię zranił. Bolało?

– Trochę...

– Będziesz miał bliznę na swojej słodkiej twarzy – mówi James z nieoczekiwaną czułością w głosie.

– Cholera – wzdycha Sammy.

– Powinieneś skleić taśmą brzegi rany – radzi James.

– W kosmetyczce taty mogą być plastry – podsuwa Sammy.

W pokoju zapada cisza, Rex wciąż ma zamknięte oczy. Jest prawie pewien, że James go obserwuje.

– Leży tam przy fotelu – mówi Sammy.

Rex rejestruje, że James przechodzi krok dalej i kopie kosmetyczkę do Sammy'ego.

– Dzięki.

Rex słyszy dźwięk rozsuwanego zamka błyskawicznego, stukot małych przedmiotów wypadających na podłogę i szelest, kiedy Sammy znajduje plastry.

– Powinieneś najpierw umyć twarz – stwierdza James.

Kiedy Rex słyszy, jak James bierze ze stolika butelkę wody i ją odkręca, zaczyna zginać ręce i ciągnąć tak mocno, jak tylko potrafi, aż w końcu udaje mu się uwolnić jedną rękę z zawiązanych pasów.

W zimnych koniuszkach palców czuje szczypanie i mrowienie, kiedy z wolna powraca krążenie krwi.

– Siedź spokojnie – mamrocze James. – Podnieś lekko głowę...

– Aj – jęczy cicho Sammy.

Rex otwiera oczy. Widzi, że James położył broń na podłodze i stoi pochylony nad Sammym z butelką wody i plikiem papierowych chusteczek.

Ostrożnie wstaje. Nogi są ścierpnięte, jak ciężkie kłody. Jeden z materiałowych pasków wciąż wisi przy guziku w mankiecie jego koszuli, zaczepiony na kilku nitkach, ale po chwili się odrywa i upada na podłogę z cichym plaśnięciem.

Rex nieruchomieje i czeka.

James nic nie słyszał. Odwraca szyjkę butelki ku papierowym chusteczkom i dalej przemywa policzek Sammy'ego.

Rex pomału podchodzi do stolika i podnosi butelkę wina. Prosto, żeby dźwięk był jak najcichszy.

– Jeszcze trochę wody – mówi Sammy. – Aj... aj, do jasnej...

– Zaraz kończę – oznajmia James z osobliwą żarliwością w głosie.

Rex podchodzi do Jamesa, ale przez przypadek staje na koszuli z opróżnionej walizki. Koszula nadal jest w foliowym opakowaniu i szeleści pod stopą. Rex przyspiesza, stawia długie kroki, unosi butelkę, widzi, jak James upuszcza plik chusteczek i odwraca się w jego stronę. W tej samej chwili zadaje cios. James podnosi rękę, żeby się ochronić, ale butelka trafia go ukośnie w policzek i skroń z taką siłą, że szkło się tłucze. Zielone odłamki i ciemnoczerwone wino oblewają Jamesa i ścianę za jego plecami.

James stęka ciężko i upada na bok, zasłania się ręką i próbuje otworzyć drzwi. Sammy się odsuwa, a Rex szybko podnosi broń i się cofa. James siada przy ścianie, błędzi dłońią po skroni i patrzy nieprzytomnym wzrokiem na Rexa, który robi krok do przodu i zadaje cios kolbą sztucera w grzbiet jego nosa, tak że James uderza tyłem głowy o ścianę.

– Chodź – mówi Rex do Sammy’ego. – Musimy się stąd wydostać. Wychodzą z pokoju, zamykają drzwi i razem szybkim krokiem przemierzają zimny korytarz wiodący do recepcji.

– Dobra robota, tato – mówi z uśmiechem Sammy.

– To wszystko twoja zasługa – odpowiada Rex.

Gdzieś ze środka dobiegają mocne uderzenia. Rex się odwraca, ale w ciemnym korytarzu nie widać żadnego ruchu, a drzwi do jego apartamentu są zamknięte. Lufa drapie o ścianę, Rex lekko ją unosi. W tej samej chwili ogarnia go tak silny ból głowy, że musi się zatrzymać.

– Co się dzieje? – pyta szeptem Sammy.

– Nic, daj mi tylko sekundę – odpowiada Rex.

– Co robimy?

– Po prostu musimy się stąd wydostać... Niech no na ciebie spojrzę – mówi i prowadzi syna do światła kinkietu. – Może będzie mała blizna...

– Na mojej słodkiej twarzy – żartuje Sammy.

– Tak.

– Powinieneś zobaczyć sam siebie, tato.

Rex ponownie spogląda na korytarz za sobą. Tym razem spostrzega, że jedno z drzwi, które mijali, są uchylone.

111

Rex i Sammy idą w milczeniu w kierunku holu. Gruby dywan tłumi ich kroki. Wzór na tapetach ciemnieje pomiędzy elipsami światła rzucanego przez kinkiety. Rex sprawdza zabezpieczenie i zarzuca broń na ramię.

– Myślałem o tym, co wcześniej powiedziałaś: że możesz być słaby – odzywa się Rex. – Zgadza się... To znaczy... gdybym umiał powiedzieć to sobie, to może nie musiałbym przechlać swojego życia i może bym cię nie stracił.

Wychodzą do holu. Nikogo tam nie ma. Jeden z komputerów leży na podłodze. Deszcz tłucze wściekle w czarne szyby. Rynny są przepełnione, woda chlusta na bruk na zewnątrz.

– *Ten little rabbits, all dressed in white* – rozlega się nagle głos dziecka.
– *Tried to go to Heaven on the end of a kite.*

Rex i Sammy się odwracają i widzą stary magnetofon na wystawionym stoliku.

– *Kite string got broken* – kontynuuje dziecięcy głos. – *Down they all fell. Instead of going to Heaven, they went to...*

– Co się dzieje? – pyta szeptem Sammy.

Rex rozpoznaje wierszyk, który słyszał przez telefon w restauracji. Podchodzi do stołu i widzi, że klawisze magnetofonu są poplamione krwią.

' – *Ninę little rabbits, all dressed in white, tried to go to Heaven on the end of a kite...*

– Idź do drzwi – mówi nerwowo Rex.

– Tato...

– Zejdź do głównej drogi i trzymaj się prawej strony! – krzyczy.

– Tato!

Rex się odwraca i widzi, że James Gyllenborg nadchodzi szybko korytarzem wiodącym do pokoi. Ma w ręku myśliwski nóż, jego ubrania są zaplamione winem, oddycha przez otwarte usta, jakby miał złamany

nos.

– *Eight little rabbits, all dressed in white* – mówi dalej głos z taśmy. James wychodzi do holu, patrzy na nóż w dłoni i idzie dalej w kierunku Rexa. Szybko wyciera usta wolną ręką i okrąża fotel.

– Spokojnie, James! – mówi Rex i unosi broń.

James przystaje i pluje na podłogę śliną zmieszaną z krwią. Rex się cofa i kładzie palec na spuście.

– Kretyn z ciebie i tyle – syczy James, trzymając przed sobą nóż.

Rozlega się trzask nogi Jamesa, łamanej w kolanie. Krew bryzga na podłogę, a James się przewraca. Wygina się do tyłu, prawie w mostek, i wrzeszczy z bólu.

Dopiero po kilku sekundach Rex jest w stanie zrozumieć, co się stało.

DJ stoi w drzwiach wychodzących na schody do spa, a w ręku ma pistolet z tłumikiem.

Nawłókł kilkanaścioro króliczych uszu na pasek, którym potem obwiązał sobie głowę.

Jego spodnie są mokre aż po uda. Kiedy wchodzi do holu, rzuca na podłogę sznur obleczony gumą i wkłada pistolet do kabury pod kurtką.

Przystaje, zamyka oczy i klepie się w policzek, w odcięte królicze ucho.

James krzyczy i próbuje się przeczołgać do korytarza.

DJ na niego patrzy, podchodzi do Rexa i odbiera mu broń, opróżnia ją z pocisków i kładzie na stoliku wśród pozostałych sztucerów.

– *Six little rabbits, all dressed in white, tried to go to Heaven on the end of a kite* – recytuje dziecięcy głos z magnetofonu.

James leży na podłodze, dysząc. Pod przestrzeloną nogą rozszerza się kałuża krwi.

– Musimy obwiązać ranę – mówi Rex do DJ-a. – On umrze, jeśli nie...

DJ łapie Jamesa za nogę i ciągnie go do jadalni. Rex i Sammy wchodzi za nim pomiędzy nakryte stoły. James uderza w stół, tak że świecznik się przewraca, a jedna ze świec spada.

DJ przewraca Jamesa na brzuch, przyciska kolaniem pomiędzy jego łopatkami, związuje ręce na plecach taśmą i wciska mu do ust Inianą

serwetkę. Precyzyjnymi ruchami wysuwa krzesło i przewleka czarny sznur przez ten sam hak na suficie, na którym wisi kryształowy żyrandol.

– Co robisz? – pyta Rex.

DJ ignoruje jego pytania. Zawiązuje pętlę i zarzuca ją Jamesowi na głowę. Ciągnie, okręca sznur jeszcze raz wokół filaru i zaczyna podciągać mężczyznę za szyję.

Ciężar Jamesa spycha żyrandol na bok, kryształy drżą pod wpływem jego konwulsyjnych ruchów. Zza materiałowej serwetki dobiegają paniczne, rechetliwe odgłosy. Pojedyncze kryształy odrywają się i spadają na podłogę.

– Już dość. – Rex podchodzi i próbuje podnieść Jamesa.

DJ owija sznur kilka razy wokół filaru, robi węzeł i odpycha Rexa.

James hušta się na boki, wierzgając nogami.

Kryształy pobrzękują nad jego głową.

DJ patrzy, jak James robi powolne obroty, potem podsuwa mu krzesło, widzi, jak tamten na nim staje zdrową nogą i usiłuje utrzymać równowagę.

Z holu dobiega ostatnia zwrotka wiersza – o jedynym króliku, który wpada do piekła. DJ patrzy na zegarek, podchodzi i odrobinę obluzowuje pętlę. James wciąga powietrze przez nos. Drży na całym ciele, a po policzkach spływają mu łzy.

– Jeżeli spadniesz albo zemdlejesz, to umrzesz – oznajmia spokojnie DJ.

– Oszalałeś? Co ty wyprawiasz, do cholery? – pyta Rex.

– Jeszcze się nie domyśliłeś – mówi DJ nieobecny tonem. – Wszyscy inni pojęli, a ty nie.

– Idziemy, tato. – Sammy próbuje odciągnąć Rexa.

– Czego nie pojąłem? – pyta Rex i głośno przełyka ślinę.

– Że ciebie też zabiję – odpowiada DJ. – Jak tylko skończę z Jamesem, to... myślę, że rozplątam ci plecy i wyciągnę łopatki.

Wyciąga stare zdjęcie Grace z pierwszej klasy. Na papierze fotograficznym widać białe zagięcie w miejscu jej radosnej twarzy.

- To moja mama.
 - Grace?
 - Tak.
 - Wiem, że została zgwałcona – oznajmia Rex. – James właśnie mi o tym powiedział.
 - Idziemy, tato – powtarza cicho Sammy.
 - Ty byłeś z nimi – mówi z uśmiechem DJ.
 - Nieprawda – odpowiada Rex.
 - Wszyscy to mówili, tuż przed tym, jak...
 - Nie jestem niewinny – przerywa Rex. – Zrobiłem mnóstwo rzeczy, których żałuję, ale nikogo nie zgwałciłem. Byłem...
- Przerywa mu głośny huk z holu. Stoją w milczeniu. Po chwili dźwięk się powtarza.

112

Łowca Królików stoi w jadalni w kompletnym bezruchu, zagląda przez drzwi do holu i czuje rozchodzącą się po ciele lodowatą adrenalinę.

Przyspieszonemu pulsowi towarzyszy zmęczenie, które jest jak ciepły wiatr. Łowca się orientuje, że zapomniał zażyć modiodal.

Nie ma pewności, czy go potrzebuje, ale wie, że potężny atak narkolepsji wszystko by zniszczył. Trzeba tylko starać się zachować spokój.

Jak przez ścianę słyszy głos Rexa mówiącego, że muszą zdjąć pętlę z szyi Jamesa.

Otwiera oczy i napotyka jego wzrok.

Już na samym początku postanowił, kto umrze jako ostatni. Rex będzie stał na polu bitwy, pośród spustoszeń, będzie patrzył, jak mściciel idzie w jego stronę, i upadnie na kolana przed losem.

W jadalni panuje cisza.

Rex wraz z Sammym przesuwa się do tyłu. Czuje tak silny ból, że jest na granicy utraty przytomności.

Kiedy rozlega się walenie do drzwi, Łowca Królików po raz trzeci słyszy w głowie trzask. Widzi drzwi stodoły otwierane siłą wiatru i wirujący po podłodze śnieg.

Jego mama płacze jak przerażona mała dziewczynka i idzie do tyłu, z ostrzem rzeźnickiego noża przytkniętym do szyi.

Przez całą noc szalała burza. Jego mama bała się coraz bardziej. Nie wiedziała, co robić, spędzała długie chwile, siedząc i zatykając dłońmi uszy oraz zamykając oczy, a potem przechodziła do agresji – trzymała rzeźnickie resztki przed sobą, rzucała nimi w drzwi, a kiedy płakał, groziła, że go udusi.

Wie, że nie może pozwolić tym wyostrzonym wspomnieniom na wypełnienie zbyt dużej przestrzeni, aby nie zaczął przypominać własnej matki, nie otworzył się na psychozę.

W dzieciństwie dzielił z nią chorobę, choć sam nie był chory. Po prostu nie miał wyboru – a to nie jest psychoza.

W jej przypadku gwałt wyparł aktualną rzeczywistość. Strach przed królikami stał się fobią i zawierał straszliwe alianse z pamięcią.

Znów rozlega się głośne pukanie do drzwi.

Łowca Królików słyszy własny głos – słyszy, jak zaczyna mówić i wydawać rozkazy, ale te dźwięki pochodzą jakby z odległego świata, ze starego migającego filmu dokumentalnego z ujęciami ze strefy wojny.

Wykopuje krzesło spod Jamesa i patrzy, jak jego ciało wije się w konwulsjach. Jednocześnie zdejmuje królicze uszy, wychodzi, zamyka drzwi do jadalni i naciąga dywan na plamy krwi na podłodze.

Wychodzą do recepcji, DJ bierze ze sobą Sammy'ego za kontuar recepcji, a Rex podchodzi do głównych drzwi, żeby otworzyć.

Deszcz tłucze o czarne szyby, spływa po szkle, leje się z dachu.

Pośród ulewy daje się dostrzec jakąś postać.

DJ wkłada królicze uszy do torby, razem z długopisami i spinaczami. Wyjmuje pistolet, odciąga zamek i chowa broń za ladą.

Rex otwiera drzwi i wpuszcza do środka wysokiego mężczyznę trzymającego kanister na benzynę. Zanim zdąży zamknąć za nim drzwi, wiatr nawiewa do środka deszcz.

DJ obserwuje twarz nieznajomego i jego zmęczone ruchy.

Jasne włosy mężczyzny kleją się do mokrych policzków. Jego ubranie jest przemoczone, a buty i nogawki ubłocone.

DJ nie słyszy, co tamten mówi do Rexa, ale widzi, że stawia kanister na dywanie i podchodzi do recepcji.

– Hotel jest zamknięty – oznajmia DJ i patrzy w oczy nieznajomego. Mają dziwny jasnoszary kolor.

– Rozumiem, ale na trasie E10 zabrakło mi paliwa i zobaczyłem światło – odpowiada mężczyzna z fińskim akcentem.

DJ kładzie lewą dłoń na ramieniu Sammy'ego, a drugą ukrywa pistolet za ladą. Prawą i lewą ręką strzela równie dobrze. Kiedy przekłada pistolet z jednej dłoni do drugiej, nie musi nawet o tym

myśleć.

Ma świadomość, że nieznajomy może być policjantem.

Nawet jeśli to niezbyt prawdopodobne.

Nie może pozwolić, żeby irracjonalna podejrzliwość sterowała wyborami, których dokona w ciągu najbliższych minut.

Nikt nie potrafiłby ich znaleźć w tak krótkim czasie, a policjant nigdy nie przyszedłby po niego w pojedynkę.

Przygląda się, jak mokre ciuchy opinają ramiona i tułów, kiedy nieznajomy strzepuje wodę z brwi. Nabiera pewności, że pod ubraniem nie ma kamizelki kuloodpornej.

Mimo to wciąż może mieć pistolet pod lewym ramieniem albo przy nadgarstku.

Najbardziej prawdopodobne jest to, że mężczyzna nie ma pojęcia, w jakiej sytuacji się znalazł z powodu przymusowego postoju.

– Chętnie byśmy panu pomogli, ale to impreza prywatna – wyjaśnia DJ i przekłada pod ladą pistolet z jednej ręki do drugiej. – Nie ma tu żadnego personelu i wszystkie telefony są wyłączone.

113

Joona stoi przed ladą recepcji, jakby miał się zameldować. Wie, że Rex go rozpoznał, a mimo to potraktował jak obcego.

David Jordan ma na czole drobne plamki krwi, a jego spojrzenie jest dziwnie wodniste.

Prawdopodobnie próbuje ustalić, czy intruz będzie stanowił zagrożenie dla planu, czy też wkrótce sobie pójdzie.

Joona wyciera twarz i czuje, jak woda spływa mu po plecach. Kładzie obie dłonie na ladzie.

Jak tylko dotarł na lotnisko w Kirunie, zadzwoniła do niego psycholożka specjalizująca się w przesłuchaniach – Jeanette Fleming. Nie miała adresu, ale potwierdziła, że Sammy i Rex pojechali do Kiruny, a potem powtórzyła słowa Nica o tym, że Rex próbuje zrobić z syna heteroseksualistę, zmuszając go do zabijania reniferów w klatce.

Kiedy Joona wynajął samochód i ruszył, Anja znalazła jedyne w całej Kirunie miejsce, w którym na dużym ogrodzonym terenie można było zapolować na dzikie renifery. Dowiedziała się, że hotel w pobliżu został wynajęty na weekendową imprezę powitalną. Poprosiła go, żeby był tak miły i poczekał na posiłki z północnej Laponii.

– Przykro mi, że nie możemy panu pomóc – mówi David Jordan na zakończenie.

Joona wie, że większość elitarnych szkoleń z walki wręcz opiera się na założeniu, że przeciwnik jest w znacznie gorszej sytuacji, jeśli chodzi o wyposażenie i wyszkolenie.

Najczęściej tak właśnie jest.

Ich techniki są ekstremalnie skuteczne, ale jednocześnie we wszystko, co robią, jest wpisana pewna doza pychy.

– Mimo wszystko musicie chyba mieć jakiś telefon komórkowy – zauważa przyjaznym tonem.

– Tak by się mogło wydawać, ale mamy lekkiego pecha, jeśli chodzi

o kwestie techniczne. Jesteśmy tu odizolowani, dopóki jutro ktoś nas nie odbierze.

– Rozumiem – odpowiada Joona. – Jak myślicie, gdzie można zdobyć jakiś telefon? Czy Björkliden jest najbliższej?

– Tak – odpowiada krótko DJ.

Zaraz po wejściu Joona zauważył cztery sztucery na stoliku przed kominkiem. Prawdopodobnie oznacza to, że co najmniej jednej osoby brakuje.

Rex i jego syn mają na twarzach ślady przemocy, ale poza tym nie wyglądają na rannych.

Komputer spadł na podłogę, a dywan przed zamkniętymi drzwiami jadalni jest przekrzywiony.

– Była tu jakaś awantura? – pyta Joona i trąca komputer stopą.

– Proszę już iść – mówi DJ stłumionym głosem.

Joona pamięta, że kiedy wszedł, David Jordan trzymał lewą dłoń na ramieniu Sammy'ego, ale później przesunął książkę gości prawą dłonią.

Oba ruchy były tak naprawdę niepotrzebne.

Pewnie chce, żeby Joona myślał, że pod ladą nie trzyma pistoletu. Chce sprawdzić, czy jest pierwszym przybyłym na miejsce policjantem. Joona jednak wie, że zabójca jest oburęczny. Rozpoznaje próby ukrycia, że w tym miejscu są przetrzymywani zakładnicy.

Morderca bez wątpienia ma czas na zastrzelenie Rixa i Sammy'ego, zanim on zdąży wsunąć dłoń pod przemoczoną marynarkę i wyciągnąć pistolet z kabury.

Joona zdaje sobie sprawę, że musi czekać, nawet gdyby to oznaczało straty. Nagle przypomina sobie, jak przed pierwszym szkoleniem z niekonwencjonalnej walki wręcz porucznik Rinus Advocaat cytował *Wei Liao Zi*.

„Taktyczny balans sił tkwi w skrajnościach Dao”, mówił swoim pozbawionym radości głosem. „Jeżeli coś masz, udawaj, że tego nie masz. Jeżeli czegoś ci brakuje, sprawiaj wrażenie, że to posiadasz”.

Tę zasadę zna każde dziecko, ale potrzeba silnej woli, żeby stosować ją

w trudnej sytuacji, w której naturalnym posunięciem policjanta byłoby wyciągnięcie broni.

Teraz jednak ta ekstremalna zabawa jest jedyną szansą na uratowanie życia zakładnikowi.

Jak każdy szalony morderca, David Jordan ma opracowany plan, którego najchętniej by się trzymał.

Gdyby uważał przybysza za policjanta albo sądził, że ma przy sobie broń, strzeliłby od razu. To jedyne racjonalne wyjście, nawet jeśli wpłynęłoby na plan. Jeśli jednak nieznajomy jest tylko człowiekiem, któremu zabrakło benzyny, to lepiej poczekać i pozwolić mu odejść.

Przestępca kilkakrotnie próbował mu pokazać, że jest nieuzbrojony, i tym samym skłonić go do działania. Prawdopodobnie zaczął już rezygnować z myśli, że Joona jest policjantem i ma przy sobie broń.

– Co panowie tu właściwie robią? – pyta Joona.

– Polujemy.

Joona wie, że z każdą sekundą pobytu zwiększa się prawdopodobieństwo skomplikowania sytuacji, ale dopóki udaje, że nie ma pistoletu, istnieje szansa, że uda mu się oddzielić Rexa i Sammy'ego od sprawcy.

– Pójdę, ale... właśnie coś mi przyszło do głowy. – mówi Joona z uśmiechem. – Gdzieś tutaj musi być garaż ze skuterami śnieżnymi.

– Powinien być – odpowiada Rex i podchodzi do lady.

– W takim razie chętnie spuściłbym trochę benzyny... Oczywiście zapłacę – zapewnia Joona i odpina jeden guzik marynarki.

– Mamy klucze tylko do głównego wejścia. Nie pasują do przybudówek i aneksów – odpowiada David Jordan nerwowym tonem.

– Rozumiem. – Joona kiwa głową. – Mimo wszystko dziękuję.

Odwraca się plecami do Davida Jordana, rozpina ostatni guzik i rusza w stronę głównych drzwi.

– Nie chce pan przeczekać najgorszego deszczu? – pyta za jego plecami Rex.

– Miło z pana strony.

Znów się odwraca i widzi, że Sammy zaczął się trząść, a David Jordan dziwnie długo ma zamknięte oczy.

Poczekaj, poczekaj, zdąża pomyśleć.

David Jordan porusza się błyskawicznie, a mimo to, kiedy unosi rękę z pistoletem i naciska spust, można odnieść wrażenie, że przeciska rękę przez płynącą wodę.

Iglica uderza w spłonkę, rozgrzane gazy prochowe wypychają pocisk przez lufę, rozlega się chrzęst zamka.

Za plecami Rexa bryzga krew, kiedy kula przeszzywa jego tułów.

W tym czasie David Jordan celuje już w Joona. Okrąża ladę, ani na sekundę nie tracąc linii strzału.

Ma otwarte oczy i przemieszczając się, obserwuje całe pomieszczenie. Rex wygląda na zdezorientowanego, chwije się do tyłu, jedną ręką zasłania krwawiący brzuch.

– Tato! – krzyczy Sammy.

Joona powstrzymuje się przed wsunięciem ręki za pazuchę. David Jordan celuje w jego klatkę piersiową i trzyma palec na spuście.

Podchodzi do Rexa, chwytając go od tyłu za włosy i kopie w dół podkolanowy, tak że Rex opada do klęku. Ani na chwilę nie traci z celownika Joony.

– Ciebie to nie dotyczy – mówi do niego. – Przeżyjesz, jeżeli nie będziesz się mieszał.

Joona kiwa głową i wyciąga przed siebie rękę.

– Zabierz stąd mojego syna – dyszy Rex do Joony. – To sprawa między nami dwoma, więc zakończmy ją w spokoju.

David Jordan wciąga powietrze, przyciska wylot tłumika do skroni Rexa i znów zamyka oczy. Joona wyciąga rękę i chwytając Sammy'ego za przedramię. Ciągnie go za sobą do drzwi – ostrożnie i delikatnie. Mijają stół ze sztucercami i ciemny kominek. David Jordan podnosi na nich wzrok. Wygląda, jakby walczył ze snem, choć kostki palców, którymi trzyma pistolet, są zbielełe.

Joona dociera do drzwi i ostrożnie naciska klamkę. Powieki Jordana

drżą i znów zaczynają opadać.

– Sammy, kocham cię! – woła Rex za synem.

David Jordan gwałtownie otwiera oczy i podnosi ku nim pistolet. Jona odciąga Sammy'ego do tyłu dokładnie w chwili, kiedy kula uderza w szybę obok nich.

Wypadają na deszcz i silny wiatr, Sammy przewraca się na bruku, a podmuch wiatru szarpie drzwi z powrotem tak mocno, że duża szyba się tłucze.

Jona stawia Sammy'ego na nogi i w deszczu szklanych odłamków widzi, że David Jordan biegnie przez hol z uniesioną bronią.

– Musimy się ukryć! – Jona przekrzykuje silny wiatr i ciągnie chłopaka na bok.

Woda chlusta z dachu, przepełnia rynny i spieniona tryska ze studzienek ściekowych.

– Tato! – krzyczy Sammy.

Jona wlecze go za sobą. Mijają okrągłe kamienie i wpadają w zarośla. Razem się przewracają, uderzają o ziemię i ześlizgują się z mokrego pagórka. Drobne kamyczki i ziemia spadają wraz z nimi.

Sammy jęczy, kiedy zaczepiają o brzoźowe chaszczki.

Jona jest już na nogach i szybko ciągnie za sobą Sammy'ego jak najdalej od hotelu. Deszcz huczy nad nimi, woda napływa kolejnymi falami, zmywa ziemię i liście.

Chowają się pod wystającą skałą i słyszą, jak David Jordan ich nawołuje.

– Sammy! – krzyczy, idąc wzdłuż krawędzi. – Twój tata umiera! Potrzebuje cię!

Chłopak oddycha stanowczo za szybko, próbuje usiąść. Jona go przytrzymuje i widzi, że oczy Sammy'ego są rozszerzone od szoku.

– Muszę porozmawiać z tatą...

– Ciszej – odpowiada Jona stłumionym głosem.

– On nie wie, że się o niego martwię, ale tak jest. Musi się tego dowiedzieć – mówi szeptem Sammy.

– On już to wie.

Deszcz zostaje przesyty światłem padającym przez okno. Jakaś postać szybko przelatuje za jedną z szyb. Idąc, DJ zrzuca małe kamyczki. Samy drży, kiedy uderzają o ziemię przed nimi.

Nagle jednak kroki cichną.

David Jordan się zatrzymał. Stoi nieruchomo i nasłuchuje. Czekając, aż się zdradzą i zaczną biec jak króliki.

114

Saga próbuje do samego końca, ale nie udaje jej się obudzić Grace przed przyjściem lekarza, który robi obchód. Otwiera drzwi, odwraca się od ubranego na biało personelu, idzie do pokoju dziennego i zestresowana nalewa kawę do kubka.

Kobieta w średnim wieku, o pięknych zielonych oczach, wpatruje się w nią, a potem kręci głową.

– To nie jest pora odwiedzin – mówi i zaczyna kruszyć bułkę na kolana.

Saga pije słabą kawę, odstawia kubek i patrzy na wojskowe zdjęcie Davida Jordana. Jego oczy i kości policzkowe kojarzą się trochę z Rexem Müllerem, ale z pewnością nie jest to uderzające podobieństwo.

Znów bierze kubek do ręki, pije jeszcze łyk, obchodzi pokój dzienny, zagląda do korytarza i widzi, jak personel opuszcza pokój Grace i puka do następnych drzwi.

Odczekuje jeszcze kilka sekund i szybkim krokiem idzie z powrotem. Wchodzi do środka i zamyka za sobą drzwi. Podchodzi do Grace i klepie ją po policzku.

– Obudź się – szepcze.

Powieki drżą, ale pozostają zamknięte. Saga słyszy, że oddech jest teraz cichszy, i jeszcze raz klepie ją w policzek.

– Grace?

Grace wolno podnosi ciężkie powieki, mruga i patrzy na nią zdziwiona.

– Zasnęłam – wyjaśnia szeptem i zwilża usta.

– Zaraz będziesz mogła znowu pospać, ale muszę wiedzieć, dlaczego jesteś taka pewna, że Rex jest ojcem twojego syna. Przecież on nie...

– Bo widziałam próbkę DNA – przerywa Grace i próbuje usiąść w łóżku.

– Nie przeprowadzono postępowania przygotowawczego – zaprzecza

Saga. – Nie pobrano od ciebie żadnych próbek, nie pamiętasz? Mówiłaś, że zostałam potrącona przez samochód... Nie wspominałaś o gwałcie.

– Mówię o teście na ojcostwo.

Saga patrzy zdziwiona na Grace, siada na brzegu łóżka i nagle zaczyna rozumieć, co się wydarzyło przed trzydziestu laty.

– Ty i Rex byliście parą, zanim doszło do gwałtu, prawda?

– Byłam głupia, zakochana...

– Ale nie uprawialiście seksu?

– Były tylko pocałunki. – Grace spogląda na nią zbита z tropu.

– Nic więcej?

Grace spuszcza wzrok i skubie pościel.

– Zrobiliśmy to na łące za szkołą... Ale przerwaliśmy, zanim on... No wiesz, tak jak można robić.

– Chyba zdajesz sobie sprawę, że to nie zawsze wystarczy.

– Ale...

Grace podnosi rękaw nocnej koszuli do twarzy i się wyciera – na policzkach i pod nosem.

– Posłuchaj mnie – mówi Saga. – W czasie gwałtu Rex był zamknięty w stajni... Jeśli to on jest ojcem dziecka, to musiałaś być w ciąży już wcześniej.

Na twarzy Grace pojawia się jakieś przelotne uczucie.

– Jesteś pewna, że był zamknięty w stajni? – pyta.

– Tak, jestem pewna... Pozostali go pobili i tam zamknęli. Nie wiedział, co się dzieje.

– O Boże – szepcze Grace, a po jej policzku spływają łzy.

Kładzie się na pościelonym łóżku, otwiera usta, ale nic nie mówi.

– Masz telefon? – pyta Saga i poklepuje ją po dłoni.

Nagle dobiega ich dźwięk tłuczonej szyby. W korytarzu włącza się alarm. Saga widzi, że jednym z deptaków przy Oak Lodge nadchodzi ochroniarz.

– Grace – mówi – muszę wiedzieć, czy masz telefon.

– Nie wolno nam ich mieć.

W sąsiednim pokoju coś z hukiem upada na podłogę, tak że obraz nad łóżkiem się chwieje.

– To nie jest pora odwiedzin! – krzyczy schrypniętym głosem kobieta zza ściany.

Saga wychodzi z pokoju i szybkim krokiem rusza korytarzem w kierunku wyjścia, kiedy nagle zza rogu, pobrzękując kluczami, wybiega postawny ochroniarz. Na jej widok przystaje, oddycha z wysiłkiem i odczepia od paska paralizator.

Saga bez wahania zrywa ze ściany dużą gaśnicę pianową i idzie w jego kierunku, stawiając długie kroki.

Ochroniarz się na nią gapi, zwalnia zabezpieczenie broni i rusza jej na spotkanie.

Ciężka gaśnica wisi w jej dłoni. Saga podrzuca ją, bierze w ramiona i zbliża się szybko do ochroniarza.

– Muszę pożyczyć telefon – oznajmia i wbija dolną część gaśnicy prosto w jego klatkę piersiową.

Ochroniarz jęczy, nagle tracąc dech, chwieje się do tyłu pod wpływem uderzenia i próbuje się oprzeć o ścianę, kiedy Saga zadaje mu kolejny cios gaśnicą w pierś.

Ochroniarz prawie się przewraca, gubi paralizator, robi wymach ręką i zrzuca ze ściany obraz namalowany przez któregoś z pacjentów.

Saga podąża za nim, kopie go w łydkę, tak że jego stopa traci podparcie. Ochroniarz leci na podłogę, uderza barkiem o ścianę i ląduje krzywo na tyłku.

– Co do cholery? – sapie, kaszląc i spogląda na nią zdezorientowanym wzrokiem.

Saga upuszcza gaśnicę na podłogę, przechodzi pomiędzy nogami ochroniarza, chwyta oburącz jego głowę, przyciąga do siebie i zadaje cios w twarz prawym kolaniem. Rozlega się plaśnięcie, pot wlatuje aż pod sufit, a głowa odskakuje do tyłu. Ochroniarz bezwładnie opada na podłogę. Leży na plecach z rozłożonymi rękami i zakrwawionymi ustami.

– Jak trudne może być pożyczenie komuś telefonu? – pyta Saga.

115

DJ wraca z deszczu do środka, przechodzi przez zniszczone drzwi, krzyczy i rzuca pistoletem o ścianę. Rozlega się huk, części pistoletu rozsypują się po podłodze i wpadają pod stół.

Rex leży na boku, ledwie może oddychać. Czuje palenie w żołądku, każdy ruch sprawia taki ból, że musi walczyć, aby nie zemdleć.

– Co ty tam robiłeś? – pyta pomiędzy jednym szybkim oddechem a drugim.

Próbuje stanąć, ale traci równowagę, nogi się pod nim uginają i opada na kolana. Przyciska dłoń do rany postrzałowej. Przez kilka sekund jego pole widzenia się kurczy, a potem spostrzega, że DJ znów owija sobie głowę skórzanym paskiem z króliczymi uszami i idzie w jego stronę z czarnym nożem w ręku. Odcięte uszy dyndają z każdym krokiem.

– Sammy jest tylko dzieckiem – dyszy Rex.

Ból i szok sprawiają, że nie rozumie, co się dzieje. DJ popycha go do przodu, on próbuje oburącz stawiać opór. Po chwili czuje, że napastnik rozciął mu plecy.

Jego ramiona się uginają i opada na podłogę.

– Nie możesz – jęczy, kiedy DJ siłą stawia go z powrotem na nogi.

Rex nie ma pojęcia, jak głęboka jest rana w plecach – strach o Sammy'ego zagłusza wszystko inne. DJ popycha go przed sobą, przez zrujnowane drzwi, na deszcz.

Rex przerażonym wzrokiem szuka ciała Sammy'ego na drodze wiodącej do kościoła.

Deszcz leje mu na głowę, ubrania robią się przemoczone i zimne, trzyma się oburącz za brzuch i czuje, jak gorąca krew przepływa pomiędzy palcami.

Silne kaskady wody przetaczają się po żwirowej ścieżce spienionymi pasmami.

Zostaje popchnięty do przodu, robi dwa kroki i czuje zmęczenie, od

którego kręci mu się w głowie. Wszystko wokół niego wykonuje szarpane ruchy, jakby ktoś próbował rozerwać cały świat.

– Sammy! – krzyczy DJ przed siebie.

Rex wybucha płaczem pełnym ulgi, kiedy dociera do niego, że Sammy uciekł, że DJ zgubił go w ciemności.

– Sammy! – wrzeszczy DJ i odgarnia uszy z twarzy. – Popatrz teraz na swojego tatę!

Rex robi chwiejne kroki do przodu i próbuje coś powiedzieć, ale tylko wykasłuje krew.

– Krzyknij do Sammy’ego – mówi DJ. – Każ mu podejść, powiedz, że go kochasz, powiedz, że wszystko będzie dobrze, jeśli tylko...

Rex przystaje zdyszany na skrzyżowaniu w kształcie litery T. Nie zamierza już dłużej brać w tym udziału. DJ chodzi z miejsca na miejsce i wściekle bije go po twarzy ręką noża. Zatacza się, ale utrzymuje równowagę i unosi brodę.

– Krzyknij do Sammy’ego – nakazuje groźnie DJ.

– Nigdy – dyszy Rex.

Deszcz huczy w powietrzu jak zniszczony żagiel, a kałuże wyglądają, jakby się gotowały. Stary kościół w dolinie, w kolorze czerwieni faluńskiej, jest odrapany, wygląda jak krwawy kawałek drewna pośród białych krzyży cementarza robotników kolejowych.

– Rozumiem – syczy Rex. – Rozumiem, że myślisz...

– Cisza! – wrzeszczy DJ.

– Ja nie zgwałciłem...

– Poderżnę ci gardło!

Daleko w dole, na trasie E10, widać niebieską, nierzeczywistą poświatę radiowozów dojeżdżających do zjazdu w kierunku hotelu.

– Sammy! – krzyczy DJ.

Rex myśli, że Sammy wyjdzie z tego cało, o ile tylko uda mu się pozostać w ukryciu.

– Idź dalej – mówi DJ.

Rex patrzy mu w oczy i opada na kolana pośrodku skrzyżowania.

Dość już tego.

DJ chce go zmusić do wstania, bije go w policzek i wrzeszczy, żeby szedł dalej. Rex nadal klęczy. Nawet nie czuje już tak silnego bólu. DJ go szarpie, a on się chwieje, ale nie wstaje.

Zamyka oczy, otwiera je ponownie i myśli, że wszystko się zakończy w taki sposób, kiedy nagle, daleko w deszczu, dostrzega postać. Ktoś idzie żwirową ścieżką w kierunku skrzyżowania.

Jooną wychodzi na żwirową ścieżkę. Idzie w strugach deszczu ku dwóm postaciom na skrzyżowaniu. Ziemia wygląda, jakby się trzęsła. Od chwili, kiedy kula trafiła Rexa w brzuch, wiedział, że ma dokładnie dziewiętnaście minut, żeby go uratować.

Morderca za każdym razem działał według tego samego schematu. Jeszcze dwie minuty.

Wiedział, że zdąży wyprowadzić Sammy ego i wrócić, zanim David Jordan uzna, że już czas na ostateczną egzekucję.

Deszcz spływa mu z brwi i utrudnia widzenie. Pistolet przy każdym kroku huśta się w kaburze pod przemoczoną marynarką. Jeszcze nie ujawnił sprawcy, że jest uzbrojony.

Łowca Królików chwytą mokre włosy Rexa i odchyła jego głowę do tyłu, ale ostrze sztyletu nadal spoczywa na ramieniu. Wpatruje się w nadchodzącego mężczyznę i nie może zrozumieć, czego tamten chce. Dlaczego wraca? Musi przecież rozumieć powagę sytuacji, powinien robić wszystko, żeby się trzymać jak najdalej.

Pojazdy służb przyjadą za pięć minut.

To dobrze.

Zdąży zrobić to, co musi. Nic innego nie jest ważne, myśli i patrzy na zegarek.

Porządek zemsty jest idealny.

Rex w czasie gwałtu dał życie temu, który miał się na nim zemścić. Dokładnie w chwili zbrodni dwie komórki scalają się ze sobą i są początkiem życia rosnącego w macicy Grace – życia, które jedzie z nią do Chicago, rodzi się w ukryciu i wyrasta na Łowcę Królików, który

trzydzieści lat później powróci i ukaże przestępcę.

Obcy mężczyzna nadchodzi drogą, stawia duże kroki.

Deszcz huczy nad nimi i smaga krzaki, tak że przyginają się do ziemi. Woda z dużą prędkością płynie po ulicy, jak warstwa ciemnego szkła.

Bez pośpiechu Łowca Królików przykładła ostrze do szyi Rexa i widzi, jak wysoki mężczyzna wydaje się odprężyć w połowie kroku. Intruz rozpina ostatni guzik marynarki, wkłada pod nią dłoń, wyciąga pistolet i go unosi, a to wszystko w jednym płynnym, skupionym ruchu.

Łowca Królików nie ma czasu zareagować, wygląda, jakby nie rozumiał, nie potrafił zaakceptować tego, co się dzieje.

Jooną idzie w deszczu, stawiając wielkie kroki, celuje i oddaje trzy strzały prosto w klatkę piersiową Davida Jordana.

Siła odrzutu szarpie broń do tyłu, biały płomień z lufy lśni w szarym świetle świtu jak mała eksplozja. Gazy prochowe rozpraszają się w parującym deszczu, a łuski z brzękiem spadają na żwirową ścieżkę.

David Jordan chwieje się na nogach pod wpływem siły wystrzału i upada gwałtownie do tyłu. Potrójny huk odbija się głuchym echem od górskich stoków.

Jooną robi ostatnie kroki z pistoletem wycelowanym w twarz sprawcy i kopie sztylet. Deszcz leje im na głowy i pieni się na ziemi. David Jordan leży na plecach i patrzy na Joonę.

– Przez cały czas miałeś broń – mówi zdziwiony.

Jooną spostrzega, że trzy rany wlotowe są skupione pomiędzy mięśniami piersiowymi i wie, że Davidowi Jordanowi pozostało najwyżej kilka minut życia.

Nie ma żadnej szansy, żeby go uratować.

Woda płynie brzdami na drodze obok i zabiera ze sobą krew.

Jooną trzyma wylot lufy przyciśnięty do czoła Davida Jordana i szybko przeszukuje jego ubrania. Potem wstaje i chowa broń z powrotem do kabury.

David Jordan wykastuje krew na brodę i podnosi wzrok na czarne niebo. Przez padający deszcz ma wrażenie, że z dużą prędkością leci ku

górze. Od tego uczucia kręci mu się w głowie.

Rex po prostu dalej klęczy na środku skrzyżowania. Kiedy Joona próbuje mu pomóc, Rex w pierwszej chwili nie chce się położyć.

– Sammy – dyszy.

– Wszystko z nim w porządku – odpowiada Joona i ostrożnie układa Ręxa na boku.

Rex ma białe wargi i cały się trzęsie, jakby miał wysoką gorączkę. Joona rozrywa mu koszulę i widzi krew wypływającą z rany wlotowej w tułowi. Prawdopodobnie jedna z nerek jest uszkodzona. Rex cierpi z powodu silnego bólu i prawdopodobnie wkrótce dozna wstrząsu.

Rozlega się dzwonek telefonu Joony. Widzi na wyświetlaczu, że to Saga, odbiera i mówi, że trochę trudno mu teraz rozmawiać.

– To ważne – oznajmia Saga. – Odbylałam kolejną rozmowę z Grace i dowiedziałam się, że Rex jest ojcem Davida Jordana.

– Ale przecież nie był obecny przy gwałcie – mówi Joona.

David Jordan leży na plecach, z otwartymi ustami, ale nadal mruga, kiedy spadają na niego krople deszczu.

Pierwszy pojazd przejeżdża obok małego kościoła. Niebieskie światło przeszywa deszcz nad ciemnoczerwonym drzewem.

Joona włącza głośnik i kładzie telefon na jednym z okrągłych kamieni znaczących skraj drogi.

– Słyszysz, co mówię? – ciągnie Saga.

– Tak – odpowiada Joona i pomaga Ręxowi lekko podciągnąć kolana, żeby zmniejszyć ciśnienie w wypełnionej krwią jamie brzusznej.

– Może nie ma to teraz żadnego znaczenia – mówi Saga – ale David Jordan nie był owocem gwałtu, jak sądzili... Tak naprawdę był dzieckiem miłości.

Saga mówi dalej, ale dźwięk w telefonie jest trzeszczący, zmienia się i całkiem zanika, kiedy gaśnie wyświetlacz.

Rex próbuje odwrócić głowę, żeby zobaczyć DJ-a, ale nie potrafi. Krew przepływa pomiędzy palcami Joony i skapuje na żwirową ścieżkę.

Policjanci i sanitariusze ostatni kawałek pokonują biegiem.

DJ przestaje oddychać. Jego twarz jest całkiem spokojna. Może przed śmiercią usłyszał słowa Sagi, może zrozumiał, o czym mówiła.

Joon Linna wstaje i rusza w dół zbocza, a jednocześnie patrzy, jak Sammy idzie za tatą do karetki.

Deszcz w kolorze kamienia smaga dolinę i duże jezioro. Cały krajobraz jest jak wyryty w szarości i srebrze.

EPILOG

Rex podchodzi na skraj basenu i patrzy na dym unoszący się nad błękitną wodą. Podnosi wzrok i widzi ćmy – krążą wokół latarni w kwitjącym ogrodzie.

Ogień trzaska, kiedy skapuje na niego tłuszcz, a wokół grubych befsztyków na kratce do grillowania buchają małe płomienie.

Sammy nakrył do długiego stołu na tarasie i nadmuchuje dużego różowego królika do pływania. Veronica siedzi trochę dalej w hamaku i pije czerwone wino razem z Umaru, którego poznała w Sierra Leone. Jego dziewięcioletnia córka wychodzi przez otwarte drzwi werandy z miską sałatki.

Rex pojechał z ciałem Davida Jordana do Chicago, na pogrzebie siedział obok Grace i trzymał ją za rękę. Miała w organizmie tyle środków uspokajających, że musiał ją podtrzymywać, gdy szli przez kościół. Kiedy po krótkiej ceremonii mijali ławki, słyszał, jak wciąż, raz za razem, szepcze „przepraszam”.

Rex podchodzi do grilla i obraca befsztyki, widzi, że powierzchnia pieczenia jest idealna, wypija z butelki trochę wody mineralnej i dokłada kotlety sojowe dla Sammy’ego. Myśli, że powinien przynieść z kuchni zapiekankę z ziemniaków i topinamburu, kiedy dzwoni telefon.

– Rex – odbiera i sprawdza szczypcami konsystencję mięsa.

– Cześć, tu Edith – odzywa się wysoki głos.

– Cześć... – mówi Rex z pytaniem w głosie.

– Spotkaliśmy się tuż po tym, jak otrzymałeś nagrodę Kucharza Kucharzy.

– Wiem. Myślałem, żeby zadzwonić, ale...

– Jestem w ciąży.

– Gratulacje – rzuca Rex bez zastanowienia.

– Ty jesteś ojcem.

Jest już wieczór, kiedy Valeria zbiera jabłka i zanosz koszyki do

ziemiarki. Wchodzi na górę, do domu, napełnia wannę na piętrze, dolewa trochę olejku i kilka kropli perfum.

Z westchnieniem zanurza się w ciepłej wodzie, czuje, jak sztywne mięśnie się rozluźniają, i myśli, że Joono nie oddzwonił po tym, jak zostawiła mu wiadomość na poczcie głosowej.

Oczywiście go rozumiała. Odepchnęła go za nic, bo był tym, kim był. Zawsze będzie policjantem.

Odczekała dwa miesiące, ale nie przestała o nim myśleć, a w zeszłym tygodniu zebrała się na odwagę, chwyciła za telefon i ponownie spróbowała się z nim skontaktować. Okazało się, że w ogóle nie dostał jej pierwszej wiadomości.

Uśmiecha się do siebie, zamyka oczy i słucha własnego oddechu i kropel spadających z kranu do wanny – spokojnego rytmu, delikatnego plusku. Z jakiegoś powodu nie może sobie przypomnieć, czy wcześniej tego wieczoru zamknęła drzwi do piwnicy. To nie ma znaczenia, ale mimo wszystko zwykle je zamyka.

Prawie zasypia, kładzie jedną stopę na krawędzi wanny, patrzy w sufit, na bujający się kraciasty wzór, a potem pomału wstaje, żeby nie mieć zawrotów głowy. Ostrożnie wychodzi z wanny i zaczyna się wycierać. Jej skóra paruje i jest gorąca. Lustro nad umywalką zaparowało na szaro.

Wyciska mokre kosmyki włosów i odwiesza ręcznik, popycha drzwi łazienki, czeka kilka sekund, przeszukuje wzrokiem korytarz i obserwuje nieruchome cienie na tapetach.

W ciągu ostatnich dni niekiedy czuła w domu nieprzyjemną obecność. Zwykle nie boi się ciemności, ale z czasów spędzonych w więzieniu została jej czujność.

Wychodzi z łazienki, idzie naga korytarzem, zdejmuje mokre plastry z dłoni i przedramion. Przedwczoraj usuwała zarośla na dużej działce w Saltsjöbaden. Wzdłuż kamiennego murku rosło dużo jeżyn – kolce na ich cienkich łodyżkach poprzebijały rękawiczki.

Wchodzi do sypialni, zauważa, że korony drzew za szklarniami nadal

są ciemniejsze niż niebo, podchodzi do komody, otwiera najwyższą szufladę, wyjmuje z niej parę czystych majtek i je wkłada. Podchodzi do szafy, wyjmuje żółtą sukienkę i kładzie ją na łóżku.

Coś zgrzyta piętro niżej i Valeria gwałtownie nieruchomieje. Stoi w zupełnym bezruchu i nasłuchuje, ale wszędzie panuje cisza.

Nie rozumie, co to był za dźwięk.

Może zdjęcie jej mamy spadło na podłogę, bo gwóźdź w końcu nie wytrzymał.

Może talerze w zlewie zmieniły ułożenie, bo z kranu ciekła woda.

Zaprosiła na wieczór Jooneę. Mają zjeść razem kolację – zamierzała przygotować dobrze przyprawioną baraninę bez kości, z kolendrą, według przepisu z nowej książki kucharskiej Reka.

Nie powiedziała mu, że może zostać na noc, ale mimo to pościeliła w pokoju gościnnym.

Podchodzi do okna i zaczyna zasuwac rolety, bo ma wrażenie, że obok jednej ze szklarni stoi jakiś mężczyzna.

Odruchowo robi krok do tyłu i wypuszcza z ręki sznurek, a roleta z hukiem podjeżdża do góry i się kręci.

Valeria gasi lampkę przy łóżku, osłania piersi rękami i wygląda przez okno.

Nikogo nie ma, ale jest prawie pewna, że ktoś tam stał.

Chudy mężczyzna o pomarszczonej twarzy, znieruchomiały pomiędzy wąskimi pniami drzew, był tam i się w nią wpatrywał.

Jak strach na wróble w ciemnym zagajniku.

To był szkielet – rozbrzmiewa jej w głowie jak echo.

Szkielet w zielonej wiatrówce, ze starymi nożycami ogrodowymi w ręku.

Teraz widzi tylko odbicie w szybach szklarni, pnie, pożółkłą trawę i przeżartą rdzą taczkę.

Mieszka sama w domu na wsi, nie może się bać ciemności.

Może to był klient albo dostawca, który chciał o coś zapytać, ale się wycofał, kiedy zobaczył ją nagą w oknie.

Bierze telefon ze stolika przy łóżku, ale bateria jest całkiem wyładowana.

Jooną powinien u niej być najpóźniej za godzinę, trzeba zacząć przygotowywać jedzenie, ale czuje, że musi wyjść i spojrzeć na ogród.

Wkłada zniszczony szlafrok i zaczyna schodzić po schodach, ale się zatrzymuje. Na nogach czuje przeciąg. Ostrożnie pokonuje ostatni odcinek i się wzdyga, kiedy widzi, że drzwi są otwarte.

– Halo? – wola ostrożnie.

Wiatr przywiał kilka mokrych jesiennych liści na dywan w przedpokoju i na białą podłogę z desek. Valeria wkłada kalosze bez skarpetek, zdejmuje latarkę z półki na kapelusze i wychodzi z domu.

Schodzi do szklarni, sprawdza, czy drzwi są zamknięte, włącza latarkę i świeci do środka. Krople pary połyskują na szkle, liście przyciskają się do szyb, rozbłyskują w świetle i rzucają cienie w głąb szklarni.

Valeria okrąży najbardziej wysuniętą szklarnię i ostrożnie podchodzi do lasu. Trawa szeleści jej pod nogami, a mała gałązka z trzaskiem pęka pod jej ciężarem.

– Mogę w czymś pomóc? – pyta głośno.

Błada kora wierzby iwy w świetle latarki wygląda jak spękania skalne. Oświetlone pnie zasłaniają te ciemne, w głębi.

Valeria podchodzi do taczki, patrzy na brązowe płatki rdzy i dziurę w porowatym metalu. Nagle robi jej się tak zimno, że zaczyna drżeć.

Ostrożnie odsuwa się w bok, pozwala wiązce światła latarki dotrzeć głębiej, widzi połyskujące w świetle włókna pajęczyny.

Nikogo tu nie ma, trawa wygląda na nietkniętą, ale głębiej pomiędzy drzewami, dokładnie w miejscu, w którym zaczyna rządzić ciemność, leży szary koc – stary pled, którego nigdy wcześniej nie widziała. Podchodzi bliżej, choć serce zaczyna jej szybciej bić.

Wygląda, jakby przykrywał coś na ziemi. To coś ma kształt chudego ciała. Skulonego człowieka bez rąk.